LEGENDA MIECZA

VIRION

KREW

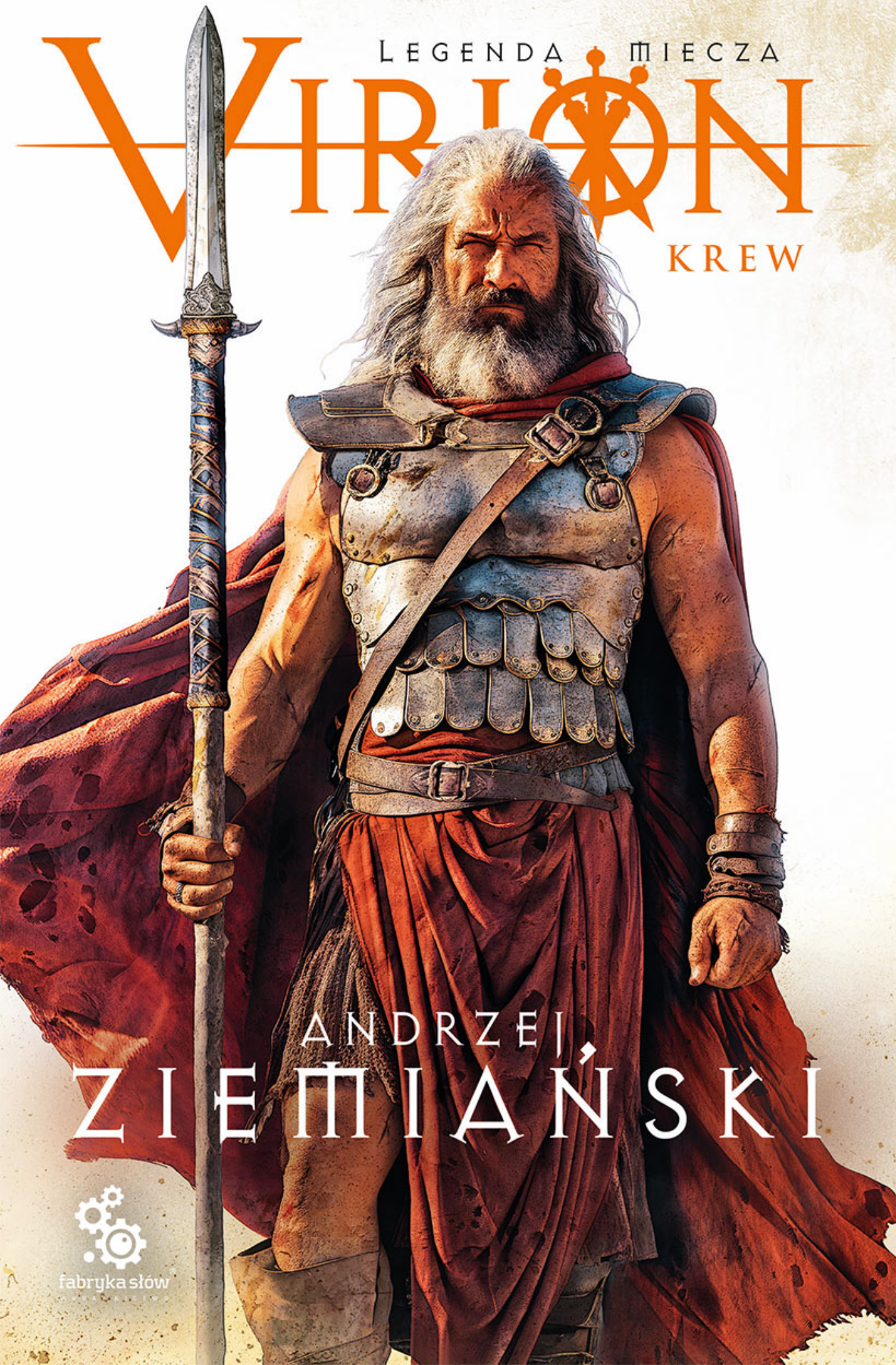

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

fabryka słów

Podczas przemykania się między wojskami nie wolno rozpalać ognisk – tłumaczyli swoje postępowanie. – Nie wolno się zatrzymywać, nie wolno niczego jeść.
– Ale rozumiemy i gotowi jesteśmy powstrzymać się od jedzenia – odpowiadali nieliczni. – Po co zabierać nam zapasy?
– Bo nie może być tak, że jeden głodomór, który nie zdoła wytrzymać bez żarcia, narazi całą grupę. Na wiosnę jakiś żarłok sprowadził nam na karki setkę piechoty!
Słysząc tej wagi argumenty, ludzie oddawali do worka swoje skromne racje. A ponieważ przemytnicy nikomu nie wierzyli na słowo, pozwalali im przeszukiwać bagaże, które mieli ze sobą. Przemytnik, kierujący tym procederem nigdzie nie napotykał oporu. Pech nastąpił, dopiero kiedy podszedł do grupy Elma.
– Co tam masz w sakwie? – Wskazał kościstym palcem rzeczy starszego, siwego mężczyzny, który im towarzyszył.
A Dziadek jak to on. Uśmiechnął się do mężczyzny z całym swoim sprzyjaniem, radością życia, optymizmem i miłością do ludzi, którą się charakteryzował. I powiedział:
– Spierdalaj!

Fragment powieści

Andrzej Ziemiański
Poznaj bliżej
autora Viriona
Zobacz więcej na YouTube

Spis treści

Karta tytułowa

Spis serii

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Karta redakcyjna

Okładka

ANDRZEJ
ZIEMIAŃSKI

LEGENDA MIECZA

VIRION

KREW

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Warszawa

Seria 3 · Legenda miecza

1. Virion. Legenda miecza. Tom 1. Krew
2. w przygotowaniu
3. w przygotowaniu

Seria 2 · Szermierz natchniony

1. Virion. Szermierz natchniony. Tom 1. Zamek
2. Virion. Szermierz natchniony. Tom 2. Pustynia
3. Virion. Szermierz natchniony. Tom 3. Legion

Seria 1 · Imperium Achai

1. Virion. Wyrocznia
2. Virion. Obława
3. Virion. Adept
4. Virion. Szermierz

Sprawdź jak czytać Viriona

Rozdział 1

Rzeźnia stała na wzgórzu, daleko od zniszczonej wsi, i tak jak ona sprawiała wrażenie od dawna opuszczonej. A jednak coś tutaj było nie tak. Jakiś drobny, nieuchwytny na pierwszy rzut oka szczegół sprawiał, że to miejsce wyglądało inaczej. Co stanowiło różnicę?

– Muchy – powiedziała Aya. – Tu się roi od much.

Jej siostra Zaina, jakby spodziewając się, że nawet tu, na podejściu, owionie je zapach gnijącego mięsa, zmarszczyła nos.

– A dlaczego much nie ma w zagrodach?

– Wieś już dawno zniszczyli. Nikt nie mieszka i nic tam nie ma.

– To niczego nie tłumaczy – włączył się do rozmowy Elmo. Nie mógł zrozumieć braku logiki u swoich dwóch starszych sióstr. Skoro wieśniacy uciekli już dawno, to przecież nie było ludzi do obsługi tak wielkiej rzeźni. Musiała zostać zamknięta dokładnie wtedy, gdy w chałupach poniżej zabrakło już mieszkańców. Dlaczego więc tam nie ma rojów much, a tutaj są? I to w nadmiarze?

Chłopak sięgnął do juków swojego muła i wyjął z nich gruby, dobrze obrobiony i dobrze utwardzony kij. Nie za długi. Taki w sam raz, żeby nie budził skojarzeń z bronią tłuczną, a jednocześnie nadawał się do bijatyki. Szczególnie z zaskoczenia, kiedy nagle wyjmie się taki argument zza pleców i uniesie nad głowę.

– Nie idź tam! – Aya poruszyła się niespokojnie.

– Nie idź! – Zaina natychmiast poparła siostrę. – Tu w ogóle jest coś dziwnego. Po co tak wielka rzeźnia w małej wsi? Po co w ogóle rzeźnia na wsi?

Akurat w tej kwestii miała rację. Przecież chłopi bili swoje zwierzęta od razu na drzwiach swoich obór. Tak wielki budynek im

niepotrzebny. Ale wyjaśnienie mogło być proste. Rzeźnia służyła pobliskiemu, również opustoszałemu teraz miasteczku. Po prostu tu była tańsza siła robocza, no i rzeka w pobliżu, więc koszt transportu mięsa prawie żaden.

Elmo ścisnął swój kij mocniej w dłoni i ruszył w stronę ponurej budowli. Nie cierpiał nadopiekuńczości starszych sióstr. Owszem, obie dbały o niego i chroniły jak mogły, ale jeszcze chwila, a wychowają go na dziewczynę! Nie ruszaj, nie dotykaj, nie interesuj się, nie ryzykuj, a na widok obcego opuść oczy i pochyl głowę. Niedoczekanie!

Zanim szarpnął za skrzydło drzwi, mocno już nadgryzionych zębem czasu, odruchowo wziął głęboki wdech. Niby wiedział, że niewiele mu to pomoże. Ale chciał się przygotować przynajmniej na pierwsze uderzenie fetoru. Kiedy jednak udało mu się przesunąć wielkie wierzeje, ze zdziwieniem stwierdził, że z mrocznego wnętrza nie dochodzi nawet cień woni zepsutego mięsa. No może coś tam...? Nie. To na pewno nie zgnilizna. Ale coś było. Jakiś ślad zapachu, jakiego na co dzień raczej się nie czuło. Co to może być?

Wytrzeszczał oczy, ale to niewiele dało. Przed chwilą stał w pełni słońca i teraz był jak oślepiony. Dopiero kiedy opuścił głowę, udało mu się dostrzec granatową z pozoru ciecz na posadzce. Znowu pociągnął nosem. Nic. Tu na pewno nic się nie psuło. A ta ciecz na podłodze to...

Krew!

Aż go zemdliło. To była ogromna kałuża krwi! Muchy wcale nie zleciały się, czując padlinę. One piły świeżą krew.

Elmo podniósł oczy, które już powoli przyzwyczajały się do ciemności. Na tyle przynajmniej, żeby rozpoznać, że kilka kroków od wejścia na wielkim rzeźnickim haku wisi człowiek. I to rozpłatany czymś od szyi aż do podbrzusza. Co gorsza, na ile Elmo się na tym znał, to nie było ostre, rzeźnickie narzędzie. Raczej tępawy miecz. Bo mimo ogromnej rany wnętrzności nie wylały się na zewnątrz. Tylko krew musiała buchnąć z całej siły. Kto jednak powiesił rannego na haku? Tego nie sposób rozstrzygnąć, stojąc w tym miejscu.

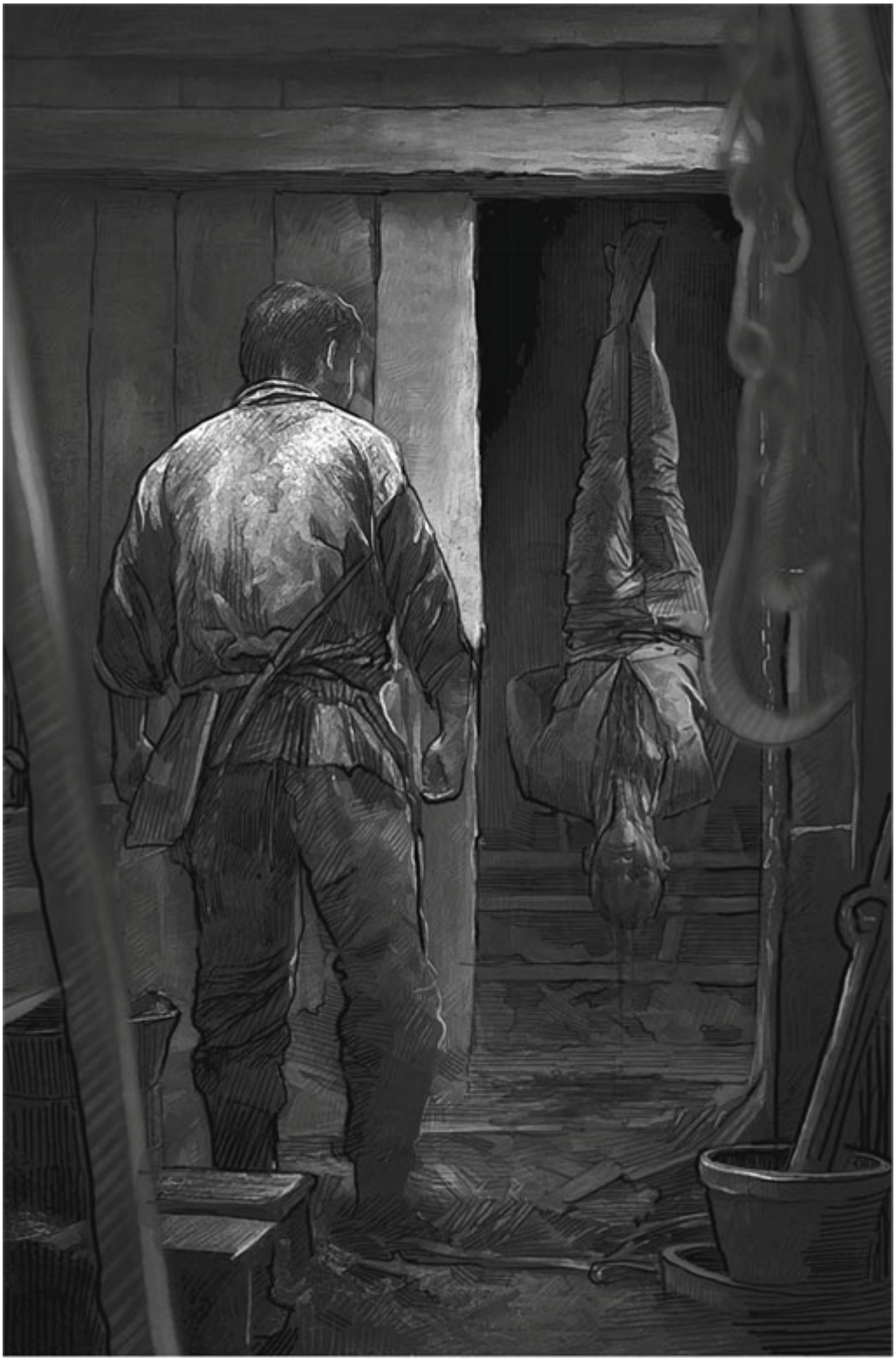

Na tyle przynajmniej, żeby rozpoznać, że kilka kroków od wejścia na wielkim rzeźnickim haku wisi człowiek

Elmo zdławił odruch wymiotny i ruszył w głąb rzeźni, usiłując ominąć kałużę, która ciemniała pod jego nogami.

– I co? – dobiegł go okrzyk Zainy z zewnątrz. – Co tam jest?

„Ludzie” – chciał odkrzyknąć, ale powstrzymał się, bo chyba nie o to chodziło. Z kolei odpowiedzi „nieżywi ludzie” jego siostry mogły nie znieść w spokoju.

Bo właśnie dostrzegł dwa następne trupy. Jeden miał rozpłatane gardło, a drugi paskudną ranę w klatce piersiowej. Wyglądało to, jakby ktoś wbił mu ostrze w płuca, ale niedostatecznie głęboko i szarpnięciami poszerzał otwór wejściowy. Kilkanaście kroków dalej leżały czwarte zwłoki. Tym razem mężczyzna musiał się bronić lepiej niż poprzednicy. Na jego ciele widniało kilka ran znamionujących długą i uporczywą walkę. Prawa ręka nieboszczyka została ucięta powyżej nadgarstka. Obok też po raz pierwszy Elmo dostrzegł porzuconą broń: długi miecz z potężnym jelcem. Pochylił się, żeby zerknąć na klingę. Była czysta. Na ostrzu miecza zabitego mężczyzny śladów krwi nie dało się zauważyć.

– A może znajdziesz tam coś do jedzenia? – krzyknęła czekająca przed rzeźnią Aya. – Może nie całe mięso zgniło i da się coś odkroić?

Elmo znowu poczuł szarpnięcie mdłości. I to perfidnie tylko dlatego, że odruchowo chciał odkrzyknąć: „Wszystko jest świeże, ale nie wiem, czy smakuje ci ludzina”. Kretyński dowcip podsuwany przez coraz bardziej skołowany umysł, który nie radził sobie z oceną sytuacji. Skup się! – łajał się w duchu. Spróbuj myśleć racjonalnie.

– W porządku! – zawołał pod adresem swoich sióstr, wyłącznie żeby je uspokoić.

Potem ruszył dalej, napotykając kolejne zwłoki porozrzucane wzdłuż głównego przejścia budynku w najdziwniejszych pozach. Tutaj już wszędzie walała się broń. Miecze, wojskowe noże, sztylety, a nawet mocno zakrzywione, ostrzone po obu stronach sierpy. Kim byli ci ludzie? To na pewno nie wojsko, choć paru z nich miało na sobie elementy armijnego wyposażenia. Na zwykłych bandziorów jednak to oni również nie wyglądali. Ogolone gęby, przystrzyżone włosy, porządne, wcale nie bardzo brudne rzeczy, które mieli na

sobie. Jacyś najmici? Z drugiej strony nie leżeli tak, jak powinni leżeć pokonani najemnicy, którzy stanowili oddział i znali komendę.

Elmo nie znał się na wojnie, za to długo pracował w koszarach i nasłuchał się żołnierskich opowieści. I wiedział z nich, jak wygląda pobojowisko. To proste: żołnierze walczą w szyku, a nie pojedynczo. Bo tylko to ma sens i dlatego tworzy się oddziały. Polegli leżą więc w grupach. A nie jeden w odległości kilku czy kilkunastu kroków od drugiego, jak to miało miejsce w tej przeklętej rzeźni. Kiedy zwłoki żołnierzy leżą w sporych odległościach od siebie? Tylko wtedy, gdy oddział rozsypie się w ucieczce. Ale przecież goniący to nie idioci. Ze wszystkich sił będą dążyć do okrążenia, odcięcia drogi ucieczki i znowu skupią swoje ofiary w jednym miejscu.

No właśnie.

A tutaj? Dlaczego ci ludzie leżą porozrzucani w dużych odległościach między sobą? Dlaczego zwycięzcy nie otoczyli ich, nie przyparli do ściany? Czy jest racjonalne wytłumaczenie? No jest.

Elmo aż się uśmiechnął, bo myśl, która przyszła mu do głowy, choć racjonalna, wydawała się zbyt absurdalna. Tak by leżeli, gdyby ich wszystkich atakował tylko jeden człowiek. Przecież on by ich nie mógł ani otoczyć, ani przyprzeć do ściany.

Zabawne. Chłopak naliczył dotąd już siedemnastu martwych najemników. I jeden człowiek? Ha, ha, ha... Nie mógł zastanawiać się dalej, bo ciszę naznaczoną bzyczeniem much przerwał jakiś nienaturalny dźwięk. Elmo skoncentrował się, unosząc swój gruby kij.

Co to było? Jakby stłumione piłowanie? No ale to przecież rzeźnia, a nie tartak. Coś tu jednak hałasowało. Elmo otrząsnął się, nagle czując chłodny powiew. E tam, po prostu wiatr wieje i szarpnęło jakąś okiennicą czy co tam.

Chłopak powoli ruszył dalej. Zwłoki, które leżały za wielkim stołem do patroszenia, sprawiły jednak, że zatrzymał się znowu. Mężczyzna został prawie przecięty na pół. I to nie rzeźnickim toporem, ale najwyraźniej mieczem. Jego oprawca ponawiał uderzenia raz za razem, jakby chciał potraktować przeciwnika jak

wieprzka, którego tusza nie mieściła się na wózku i wymagała rozpołowienia. Okropny widok. Ale... tuż obok leżała broń ofiary. Elmo schylił się po chwili wahania. Miecz nie był tak krótki jak typowa broń piechoty. Ale nie miał też przesadnie długiej klingi, jakie woleli oficerowie. Ostrze wydawało się akurat. W sam raz. Bardzo by mu się taki miecz przydał, a nigdy nie było go stać. Stać... dobre sobie. Nigdy nie mógł nawet marzyć o podobnej broni. A tu? Na terenach pogranicza? Kto zwróci uwagę na jego rzeczy? Tym bardziej że miecz był łatwy do ukrycia w jukach. Ale czy wypada okradać trupa?

Zganił się w myślach. Ta głupia, pieprzona moralność, którą wpojono mu do głowy. Te debilne zasady, honor i przyzwoitość. Dawno już powinien uświadomić sobie, że nie ma zasad. Poza jedną: przeżyj ze wszelką cenę, nie licząc się z niczym.

Elmo przyjrzał się klindze. Była czysta, lśniła kusząco nawet w półmroku, który tu panował. Jak to możliwe? Ciała najemników zostały poranione, pocięte, ich odzież skąpana we krwi. Ta sama krew dosłownie zalewała podłogę. Trudno było znaleźć suche miejsca, żeby przejść, nie mocząc sandałów. A tu na ostrzu miecza nie dostrzegł nawet jednej najmniejszej czerwonej kropli. Jakim cudem? Nikomu z zabitych nie udało się nawet drasnąć przeciwnika, który ich zabijał? Ani jednemu?

I znowu skądś z bliska dobiegł go odgłos jakby piłowania czegoś tępym narzędziem. Elmo przełknął ślinę. Przerzucił swój kij do lewej ręki, a zdobyczny miecz chwycił prawą. Powoli ruszył do przodu, usiłując nie hałasować, ale też i nie wdepnąć w kałużę krwi. Nie dlatego, żeby się brzydził – tłumaczył sobie – tylko dlatego, że śliskie i można się przewrócić.

Tajemniczy dźwięk rozbrzmiewał coraz głośniej. Już nie przypominał piłowania, bardziej charkot. Czy coś w tym stylu. Czyżby ktoś pozostał przy życiu? Jakiś ranny potrzebował pomocy? Elmo przyspieszył kroku, ale zaraz przystanął zaskoczony. Dziwne odgłosy najwyraźniej dobiegały spod stosu parcianych worków do transportu zgromadzonych pod ścianą. Elmo domyślił się, co jest

przyczyną hałasu. To nie było piłowanie, to nie było rzężenie rannego. Ktoś ukryty pod stertą płótna po prostu głośno chrapał.

Chłopak nachylił się i podniósł kilka worków. Nie wystarczyło. Ktoś zakopał się znacznie głębiej. Dopiero zdjęcie i odrzucenie na bok prawie połowy stosu ukazało śpiącego mężczyznę przytulonego do wielkiego skórzanego bukłaka. A charakterystyczny zapach jednoznacznie wskazał przyczynę tak głębokiego snu. Facet był po prostu pijany w sztok! Zresztą w tym wypadku dla własnego dobra. Tylko to, że się nawalił, sprawiło, że przeżył całą tę jatkę, która tu się rozegrała, bo nie obudził się i nie ujawnił tym samym swojej kryjówki. Szczęściarz.

Elmo przyjrzał się pijakowi. Starszy gość z rzadkimi siwymi włosami spiętymi w mały kucyk za głową. Barczyste ramiona, stare blizny na rękach. Dość czysta tunika wcale nie najtańszego sortu.

Potrząsnął śpiącego za ramię. Raz, drugi, potem mocniej.

Chrapanie urwało się nagle.

– Co? Co? – Mężczyzna otworzył oczy i powiódł nimi błędnie po otoczeniu.

– Co tu się stało?

Obcy dopiero po dłuższej chwili zogniskował wzrok na najbliższej kałuży krwi.

– Nie wiem – powiedział i zabrzmiało to szczerze. Najwyraźniej naprawdę nie miał pojęcia i przespał spokojnie wszelkie dramatyczne wydarzenia, które się tutaj dokonały.

Elmo tylko westchnął.

– A ty? – zapytał, siląc się na cierpliwość. – Kim jesteś?

Starszy mężczyzna popatrzył mu prosto w oczy.

– Nie wiem – wyznał.

Karczma położona w pasie przyfrontowym, na zapleczu atakujących wojsk nie należała do miejsc szczególnie bezpiecznych. Takie okolice

w czasie wojny przyciągały szubrawców najróżniejszego autoramentu, od zwykłych bandziorów przez złodziei, maruderów, dezerterów po znaczniejszych przestępców, którzy uciekli z metropolii, pragnąc ukryć się właśnie tutaj. Tam, gdzie wojsko obejmuje zwierzchnictwo nad danym terenem, władza cywilna słabnie, niewiele ma do powiedzenia i prawie nic nie może zrobić. A armia przecież nie po to jest, żeby łapać rabusiów. Żandarmi mają jedynie rozkaz pilnować porządku, a nie sprawdzać, kto poszukiwany i za co. Nie ich to robota. Toteż od zarania świata wszelkie szumowiny ciągnęły do takich miejsc w poszukiwaniu azylu i okazji do zarobku. Niekoniecznie takiego, który zainteresowałby poborcę podatkowego i który dałby się wpisać w rejestr.

Dlatego też młoda kobieta, która stanęła w drzwiach karczmy, wzbudziła powszechne zdziwienie. Ona... ona była sama. Miała na sobie białą, nieskazitelnie czystą sukienkę, czyli strój dokładnie odwrotny do tego, jaki przydałby się w podróży. I w ogóle jakoś tak... Nikt z obecnych nie umiał ubrać własnych odczuć w odpowiednie słowa. Ona wydawała się za młoda, za ładna, za elegancka, za dobrze urodzona, za bogata, zbyt kulturalna i zbyt bezbronna, jak na otoczenie, w którym się właśnie znalazła. Co ona tu robi? Bo w to, że chyba tylko szuka guza, nikt z obecnych nie wątpił.

Dziewczyna jednak nie zwracała uwagi ani na ludzi okupujących główną salę karczmy, ani na wlepione w nią namolne spojrzenia mężczyzn. Podeszła do szynkwasu i zwróciła się do stojącego za nim rosłego mężczyzny.

– Gospodarzu, czy znajdzie się dla mnie jakiś pokój gościnny?

Karczmarz nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej i dla niego obecność kogoś tak dalece należącego do innego świata była czymś niewyobrażalnym. W końcu udało mu się odnaleźć głos w gardle.

– Gości u mnie dużo. – Wskazał na pełną salę. – Ale te ochlapusy upadną na podłogę tam, gdzie siedzą, i w tym samym miejscu zasną, więc pokój jest. Jak najbardziej.

– Zatem każ go przygotować.

– Yyy... znaczy co przygotować?

– Pokój, o którym mówimy.

Gospodarz przygryzł wargi i patrzył przez moment bez zrozumienia, potem jednak jakaś myśl zaświtała mu w głowie.

– A co w nim przygotować konkretnie? – zapytał zaciekawiony.

– Zmienić pościel na świeżą, posprzątać i wywietrzyć. Płacę oczywiście z góry, jeśli tego żądasz.

Karczmarz skinął na jednego ze swoich pomocników i półgłosem wydał instrukcję, wskazując palcem sufit.

– Przynieś tam jakąś pościel, jak znajdziesz, śmieci odgarnij i okna pootwieraj. – Przeniósł wzrok na zjawiskowego gościa, który stał przed nim, i dodał głośniej: – A wolno spytać, jaki jest cel waszej podróży, panienko?

– Ależ oczywiście. – Dziewczyna nieoczekiwanie uśmiechnęła się ciepło. – Przecież nie będę trzymać tego w tajemnicy. – Zrobiła minę, jakby chciała zganić sama siebie za to, że nie zaczęła od razu od najważniejszej kwestii. – Przyjechałam tu, bo szukam wszelkich burd, wielkich bijatyk, walk na miecze, ludzi leżących pokotem...

Gospodarz wybałuszył oczy i tak już został na dłuższą chwilę. Opanował się z najwyższym trudem.

– A walki, żeby zobaczyć, to w góry trzeba iść. – Wskazał palcem okno, za którym majaczyły zatopione w porannej mgle, zalesione szczyty. – Tam, gdzie Luan atakuje Arkach. Ale wojaki mogą nie dopuścić cywila na front.

– Ja nie szukam wojny – żachnęła się dziewczyna. – Chodzi mi o to, czy ludzi nie pozabijano w okolicy. W większej liczbie.

– A ile to większa liczba? – odparł gospodarz pytaniem.

– Pięciu na przykład.

– E, pięciu zabitych to jeszcze dzisiaj wieczorem panienka zobaczy.

– To dziesięciu? Piętnastu?

– No to już może być problem, bo żandarmi jednak przychodzą i spokój robią, panienko. Ale i to się może zdarzyć.

– Znowu źle się wyraziłam. Czy doszły do ciebie jakieś słuchy, gospodarzu, że nieznani sprawcy wybili do nogi jakiś oddział?

Mężczyzna przesunął dłonią po szczeciniastej brodzie.

– Tak ostatnio to nie – powiedział. – Ale jak tylko dojdą mnie słuchy, to od razu panienkę zawiadomię. – Zastanawiał się, czy wypada zapytać, po co jej takie widoki. Natchnienia szuka? Poetka jakaś czy co? – A jeśli nie przeszkoda... To po co panience jakieś bijatyki?

– Oddaję się poszukiwaniom – odparła enigmatycznie. – Bardzo konkretnym. I bardzo dużo zapłacę za wiadomości.

– O dużej liczbie zabitych cywilów?

– Tak.

– A o własnym bezpieczeństwie to panienka myśli?

– Umiem zadbać o siebie – odparła kategorycznie i bez chwili zastanowienia.

Gospodarz wzruszył ramionami. No, przekonamy się, pomyślał. Już dzisiaj wieczorem. A może i wcześniej.

Wyjął spod kontuaru zwój papieru i pióro, które umoczył w kałamarzu. Strefa wojny, szpiegów się boją, to i kazali rejestr prowadzić.

– Jakie imię mam wpisać, panienko?

– Io.

Aż odchrząknął.

– Jakie?!

– Io – powtórzyła.

– Takiegom jeszcze nie słyszał.

Dziewczyna nie speszyła się, patrząc mu prosto w oczy.

– Takiej kobiety jak ja też jeszcze nie widziałeś. Zapewniam.

Zaina wyprzedziła dwa muły prowadzone przez Ayę, wzięła Elma za łokieć i poprowadziła jeszcze dalej do przodu. Zwolniła, dopiero

kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zabrałeś Dziadka?! – warknęła.

Stary pijak zagarnięty przez jej brata z rzeźni nie przypominał kogoś, kto zasłużyłby na miano „Dziadek". Ale tak nazwała go Aya i jak większość źle dobranych przezwisk, to właśnie określenie przylgnęło natychmiast.

– A co? Miałem go zostawić? – żachnął się chłopak. – Gdyby mordercy wrócili, to przecież zabiliby go od razu jako jedynego świadka.

– On nie może być świadkiem, bo przecież niczego nie pamięta.

Ot, logika jego siostry. Elmo oczami wyobraźni już widział Dziadka, jak tłumaczy zabójcom, że niczego nie powie o masowej zbrodni, bo niczego nie pamięta. A oni wierzą i odjeżdżają, zostawiając go w spokoju.

– Wziąłem go z nami, bo sam sobie nie poradzi. Całkiem stracił pamięć.

– A czym go będziesz karmił? Nie mamy już zapasów.

– Nie wygląda na głodomora. Wódka zdaje się mu wystarczać.

– A co będzie, jak mu się skończy?

Elmo zaczynał tracić cierpliwość.

– Wziąłem go, bo jest sympatyczny i w przeciwieństwie do ciebie przez cały czas pogodny!

– Bo przez cały czas nasączony!

– To poproś go o kilka łyków i również pokaż światu swoje sprzyjające oblicze – postanowił jej przyciąć. – To będzie pierwszy raz od początku tej podróży.

– Zobaczysz, że on przyniesie kłopoty.

– Nie kracz. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zatrzymał się nagle i wyciągnął rękę, wskazując niewielkie zagłębienie tuż obok drogi. – O tu.

– Co tu? – dała się zaskoczyć Zaina.

– Strumyczek szemrze. Jak pójdziemy za nim w głąb lasu, to na pewno znajdziemy doskonałe miejsce na nocleg.

Dziewczyna rozejrzała się uważnie, ale najwyraźniej niczego nie dostrzegła, bo westchnęła w końcu.

– Przynajmniej masz dar orientowania się w terenie – przyznała po chwili.

– Ja też cię kocham – odparł.

Oboje zaczekali na Ayę, która prowadziła muły z ich skromnym dobytkiem na grzbietach oraz ze starym pijakiem, siedzącym okrakiem na jednym z nich. Pogoda ducha malująca się na jego obliczu powinna być zaraźliwa, ale dziewczęta były zbyt zmęczone, by dać się ponieść.

Z trudem udało im się zejść ze szlaku, bo krzaki przy drodze rosły bardzo gęsto. A podstawową zasadą bezpiecznego noclegu było przecież niezostawianie widocznych śladów. W końcu udało się przeprowadzić zarówno zwierzęta, jak i trochę lejącego się przez ręce Dziadka głębiej, do miejsca, które znajdowało się tuż przy strumyku, a jednocześnie podróżujący drogą nie mogli go zauważyć.

– I co? – Aya rozglądała się z rezygnacją. – Znowu nawet bez ogniska?

– W głodzie i chłodzie hartują się dusze – Elmo powtórzył sentencję często wygłaszaną przez ich matkę, którą ledwie pamiętali. – Nie w spełnianiu zachcianek.

– Ja chętnie zamienię trochę głodu na jedną malutką zachciankę – zripostowała Aya.

– Jesteś głodna, dziecko? – zainteresował się Dziadek.

– No trochę już tak. Nic nie jedliśmy od wczorajszego ranka.

– A czemu od razu nie powiedziałaś? – obruszył się mężczyzna. – Mam w worku ser i placki.

Dziewczyny spojrzały po sobie, a potem zdziwione na niego.

– To ty straciłeś całą pamięć, ale wiesz, co masz w podróżnym worku?

– Ano tak. – Mężczyzna sprawnie rozwiązał supeł i grzebał już w swoim bagażu. – Wiem też, co mam w bukłaku.

– A pamiętasz swoje imię? – zainteresował się Elmo.

– Nie.

– A to, kim jesteś?

– Również nie.

– Mówisz jak ktoś wykształcony.

– Ty też – odparł Dziadek i zaczął dzielić ser, kładąc odpowiednie porcje na grubych plackach.

Usiedli pod najbliższym drzewem, licząc trochę na to, że gęste, bogato ulistnione gałęzie utrzymają choć trochę iluzorycznego ciepła. Ludzie zawsze instynktownie wybierają schronienia, które posiadają coś w rodzaju dachu.

Dziewczęta, co było dużym zaskoczeniem dla mężczyzny, który obserwował je uważnie, wcale nie rzuciły się na jedzenie i nie zapchały sobie od razu ust. Obie odrywały po małym kawałku, który potem żuły długo. Nigdy nie brały do ust tyle, by uniemożliwiło im to udział w dyskusji, którą zainicjował ich młodszy brat.

– A nie pamiętasz, kim jesteś? Nie masz żadnych skojarzeń?

Dziadek aż się skrzywił, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek.

– Niczego nie pamiętam.

– A jaki masz zawód?

– Nie wiem.

– Ciekawe. Mówisz jak człowiek kultury, a jednocześnie masz muskularne ręce, w dodatku poznaczone bliznami.

– Najgroźniejszy z obrońców biblioteki – podpowiedziała Aya, a mężczyzna parsknął śmiechem.

– Albo nieustraszony zabójca smoków ze swoim oddziałem krwiożerczych filozofów.

Tym razem roześmiały się dziewczyny. Elmo tylko kręcił głową.

– Tak doskonale zachowane funkcje intelektualne przy jednoczesnej całkowitej utracie pamięci. No nieprawdopodobne.

– Właśnie. – Dziadek pociągnął duży łyk ze swojego ogromnego bukłaka.

– Może utrata pamięci została spowodowana tym, że byłeś świadkiem dramatycznych zdarzeń? Może to efekt koszmarnej zbrodni?

– Albo nadużywania alkoholu? – mruknęła Zaina. – Bez urazy oczywiście.

Aya wyciągnęła rękę i dotknęła przedramienia mężczyzny.

– Zastanawiam się, kto może mieć takie mięśnie i tyle blizn? Może drwal?

Dziadek drgnął nagle.

– Drwal! – powtórzył jakby olśniony. – To coś mi mówi. Chyba.

– Mhm – zgodził się Elmo z uprzejmości. – Pierwszy w historii robotnik leśny, który wysławia się z prawidłowym akcentem.

– No czekaj. – Aya trwała przy swojej koncepcji. – A co jeszcze masz w swoim worku? Pamiętasz?

– Mam ciepły koc. Eleganckie ubranie. Siarkę na insekty...

Elmo chciał zakpić na temat połączenia drwala z elegancją, ale mężczyzna nagle uderzył dłonią o kolano.

– Wiem, co wynika z połączenia tych rzeczy – wykrzyknął. – Jestem żołnierzem.

– Przypomniałeś sobie?

– Nie. Tylko że wszystko do siebie pasuje. Znasz trzy zasady, które każdy żołnierz musi spełnić na polu walki?

– Nie znam. – Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

– To słuchaj. – Dziadek rozcapierzył palce u prawej dłoni i zaczął je kolejno zginać. – Po pierwsze, na polu walki musisz być zawsze elegancki. Po drugie, nie wolno ci się zgubić. Po trzecie, jeśli jednak się zgubisz, to pamiętaj, że ciągle masz być elegancki!

Dziewczyny zaczęły się śmiać, a Elmo zamarł w zdziwieniu. Tylko mężczyzna patrzył teraz nieufnie.

– No co? Przecież wszystko pasuje: mam muskuły, blizny i eleganckie ubranie. Jestem żołnierzem.

Tajemnicza podróżniczka pojawiła się w głównej sali karczmy, w chwili gdy na zewnątrz zapadał właśnie zmrok. Tym razem Io

zamiast lśniąco białej sukni miała na sobie szeroką, chyba dahmeryjskiego kroju spódnicę, wysokie buty z cholewami i ciepłą skórzaną kurtkę podbitą barankiem. Ten pseudogóralski strój dalece bardziej pasował do tego wnętrza niż poprzedni, ale i tak ściągał spojrzenia bywalców równie mocno, jakby jego właścicielka pojawiła się tutaj nago.

No, zaczyna się, pomyślał gospodarz za ladą, widząc pierwszą próbę szturmu – wielkiego, prymitywnego i spoconego draba, który zastąpił dziewczynie drogę.

– Ej, lala, cho no tu. Do mnie.

– Nie byłam z wami umówiona, panie – odparła Io oschle.

– Ha! Ale pana znasz. Wiesz, kto jestem?

– Proszę, zejdź mi z drogi, panie.

– No dalej. – Drab wyciągnął rękę w kierunku bioder dziewczyny.

Io zrobiła krok do przodu, prawie przyklejając się do wielkiego mężczyzny, a potem uderzyła go od dołu otwartą dłonią, nawet niezbyt silnie, ale za to... dokładnie między szeroko rozstawione nogi. Kiedy stracił oddech i zaczął zginać się wpół, zgrabnie uskoczyła na bok, a potem, omijając przeszkodę, ruszyła znowu w stronę szynkwasu.

Biesiadnicy na sali rechotali głośno. Ale każdy, kto miał rozum, wiedział, że to nie koniec kłopotów dla obcej. Ta jednak zdawała się niczym nie przejmować.

– Gospodarzu, daj mi, proszę, szmatkę nasączoną w wódce – zadysponowała.

– Szmatkę?

– No tak. Muszę umyć sobie dłoń, którą go uderzyłam.

Kiedy zdziwiony niecodziennym zamówieniem karczmarz spełnił jej prośbę, dodała:

– Czy udało ci się znaleźć odpowiedniego człowieka?

– Tak, pani. – Nie mógł oderwać wzroku od szmatki, którą dokładnie wycierała sobie dłoń. Marnować wódkę tylko po to, żeby rączkę umyć? No ale... klient płaci, klient żąda. Nie ma dziwne, jak mówili w wojsku.

– Czy przewodnik jest godny zaufania?

I co tu odpowiedzieć? Gospodarz sam nigdy po górach się nie pałętał. On prowadził porządny, zyskowny interes nie po to przecież, żeby sobie tyłek po chaszczach telepać. Mógł się opierać tylko na opiniach, które słyszał. No ale z drugiej strony na ludziach się znał i wiedział, kto mówi prawdę, a kto łże. No mniej więcej przynajmniej.

– Z tego, co wiem, jak dotąd nie obrabował ludzi, których prowadził. A przynajmniej nie w czasie, kiedy spali – zażartował.

Jej uśmiech świadczył, że doceniła dowcip.

– Na szczęście nie boję się ani rabunków, ani zasypiania w towarzystwie nieznajomych – wyjaśniła. – Gdzie on jest?

Gospodarz podniósł rękę i strzelił palcami. Zza najbliższej ławy podniósł się starszy mężczyzna z krótko ostrzyżoną siwą brodą. Był ubrany na modłę tutejszych górali, w filcowe spodnie i skórzaną kurtę. Jego głowę ozdabiał kapelusz z szerokim rondem, którego nie zdjął nawet w karczmie. Wyglądał na ogarniętego, jeśli chodzi o sprawy światowe, dopóki nie podszedł bliżej. Biła od niego okropna woń, będąca rezultatem wymieszania smrodu źle wyprawionych skór, dymu z wędzarni i chyba capa.

– Jestem Faron – przedstawił się ochryple.

– Io. – Dziewczyna wyciągnęła rękę w jego kierunku. Nie bardzo wiedział, co z nią zrobić, ale przynajmniej się nie speszył.

– Wielu jużem kupców przeprowadził przez góry… – zaczął, ale nie dała mu dokończyć.

– Zbójowanie znasz? – zapytała. – Na rabunek chodziłeś?

Zawahał się przez chwilę, a potem odparł:

– Tak, znam zbójowanie. Potrafię panienkę ochronić.

– A ja ochrony nie potrzebuję. Chcę wiedzieć, czy się nie zlękniesz.

Wzruszył ramionami.

– Strachu nie znam.

– To dobrze. – Patrzyła na niego uważnie, a najwyraźniej lustracja musiała wypaść korzystnie, bo dodała: – W takim razie zaraz wyruszamy.

Teraz dopiero go zadziwiła. Nie tylko jego zresztą. Gospodarzowi wypadł z ręki jeden z kubków, które wziął, żeby nalać na przybicie transakcji.

– Jak zaraz? – Przewodnik nie mógł uwierzyć. – Przecież właśnie zmrok zapada.

– A co nam nie pasuje w ciemnościach? – zapytała.

– No właśnie to, że ciemno. Koń się potknie.

– Nie będziemy zatem jechać w siodłach, weźmiemy wierzchowce za uzdy i poprowadzimy za sobą.

– A jak człowiek się potknie? – Faron wskazał Io palcem.

– Ten człowiek się nie potknie. – Również pokazała na siebie. – Bo ten człowiek weźmie sobie kij. I radzę też drugiemu człowiekowi – przeniosła palec, wskazując teraz na przewodnika – żeby też wziął kij do ręki. Wtedy i on się nie potknie.

– Ale nocą się nie podróżuje!

– Dlaczego?

– Dzikie zwierzęta grasują!

– Niby jakie? Jak niedźwiedź podejdzie, to rzucimy mu torbę z żywnością i uciekniemy. A cała reszta nas nie zaatakuje z zupełną pewnością.

– Wilki też nie?

– W zimie to może. Doprowadzone głodem do ostateczności mogłyby się rzucić na człowieka. Ale w lecie? Mając żarcia w bród? Nigdy w życiu.

– A dziki?

– Uwierz mi, kiedy dzik spotka w lesie człowieka, to boi się tak samo jak on. Każdy z nich chce uciekać. Chyba że locha z małymi. Ale co locha z małymi miałaby robić w nocy na środku drogi? Co?

– No dobra, dobra. – Przewodnik przyjął jej częściowo kpiący, częściowo drwiący ton. – A jak na węża po ćmicy panienka nastąpi?

– Wąż na drodze to tak. Tak – przyznała mu rację. – Wąż rzeczywiście lubi wygrzewać się w promieniach słońca na samym środku traktu. To prawda. Ale skąd wąż weźmie promienie słońca w samym środku nocy, na to nie mam żadnego pomysłu.

Przekorna baba! I choć absolutnie nie zgadzał się z tym, co mówi, to jednak rogata dusza tej dziewczyny zaczęła się właśnie przewodnikowi podobać.

– Nikt nie podróżuje w nocy, panienko! – powtórzył więc bardziej już z obowiązku, niż żeby ją przekonać. – Nikt!

– Będziemy zatem pierwsi.

Góral sięgnął po ostateczny argument.

– A jeśli nas zbójcy zaatakują? Wtedy dwa kije nie wystarczą...

– Jacy zbójcy? – Nie posiadała się ze zdziwienia. – Przecież przed chwilą ty sam, były rozbójnik, powiedziałeś, że nocą nikt nie podróżuje. Więc na kogo mieliby zbójcy czekać po ciemku na trakcie?

Przewodnik poddał się w dyskusji, machając ręką, a gospodarz zaskoczony upuścił drugi kubek. Patrzył na dziewczynę rozszerzonymi oczami.

– Ha! No... tak! Toż to z rozumu wynika – powiedział. – No ona ma rację. Że też mi to nigdy do głowy nie przyszło.

– To był oszust – oznajmił Dziadek, kiedy tylko ruszyli w dalszą drogę.

– Skąd wiesz? – Zaskoczony Elmo o mało nie potknął się na jakiejś dziurze, która ziała na samym środku gruntowej drogi.

– Przez cały czas się do ciebie uśmiechał.

– I to wystarczy, żeby kogoś nazwać oszustem? Nikt nigdy się do ciebie nie uśmiechnął?

Siwy mężczyzna tylko westchnął, najwyraźniej nie zamierzając mówić nic więcej, ale Elmo napierał.

– Wytłumacz, proszę.

– O żeby cię... No dobrze. Powiedz mi, kto się do ciebie uśmiecha.

– Wszyscy?

– Mhm. A jeśli odrzucisz matkę, ojca, siostry, kochankę i wszystkich bliskich, kumpli od wina i ludzi, którym opowiadasz udane dowcipy, to kto się do ciebie uśmiecha?

Chłopak gorączkowo przeszukiwał pamięć. No... generalnie ludzie się do siebie uśmiechali. Hm, czy na pewno? Co robili ci, którzy wyrzucali go z domu? Co robili fałszywi oskarżyciele?

– Co masz na myśli?

– Odpowiem ci. Uśmiecha się do ciebie kupiec, oberżysta, handlarz niechodliwym towarem, kapłan na niedochodowej placówce, przekupka, naganiacz w burdelu albo pośrednik w nabywaniu nieruchomości. Nawet właściciel gospody, pod warunkiem, że nie ma pełnej sali i wynajętych wszystkich pokoi na górze. Wtedy na zimno, ale z satysfakcją odprawi cię, pokazując, gdzie twoje miejsce.

– Do czego zmierzasz?

– Uśmiechają się do ciebie ci, którzy chcą coś sprzedać.

Elmo potrząsnął głową.

– Chyba nie do końca się z tobą zgodzę.

– No dobrze, zerknij z drugiej strony. Spotykasz faceta, który sam do ciebie podchodzi i mówi, że zna jedyny sposób na przejście granicy bez kontaktu z wojskiem, bez żadnych pytań, podejrzeń, przesłuchań i wszelkich innych kłopotów. Trwa wojna, ale on wie, jak was ocalić. Musicie połączyć się z innymi biedakami w jeden wielki konwój, a jego przyjaciel poprowadzi was do Arkach tak, żebyście nikogo nie napotkali po drodze.

– Co w tym dziwnego?

– Wszystko. A najbardziej niecodzienny jest fakt, że facet, który mówi o twoim ocaleniu, bez przerwy uśmiecha się do ciebie przymilnie. Nieprawdaż?

– Powinien mieć bardziej dramatyczny wyraz twarzy? No zaraz. Ty też się do mnie uśmiechasz.

– Ja po prostu jestem przepełniony optymizmem, sprzyjaniem i miłością do świata. Mnie tu po prostu dobrze.

– Bo cały czas się nasączasz.

– Lepszy pijany szczęśliwiec niż trzeźwy ponurak. – Dziadek jakby na potwierdzenie swoich słów pociągnął łyk ze swojego bukłaka i co ciekawsze, nie pomylił przy tym kroku. Jakby ktoś prowadził go na niewidzialnym sznurku.

Elmo natomiast nie mógł poradzić sobie z myślami we własnej głowie.

– Kim ty naprawdę jesteś? – zapytał po chwili. – Po jednym spojrzeniu niby odkrywasz oszusta, znasz się na ukrywaniu obozowiska, umiesz oporządzać muły, a jednocześnie mówisz jak człowiek wychowany w bibliotece.

– Ty też.

– Ale ja pamiętam swoje imię.

– A ja nie. Ale wiem, jak zajrzeć do duszy obcego człowieka.

Droga wiodła po zboczu niewysokiego wzgórza, lecz nawet to łagodne podejście sprawiło, że Dziadek zadyszał się i musiał przystanąć. Elmo postanowił wykorzystać sytuację. Sądząc, że postępuje wyjątkowo sprytnie, spróbował wybadać siwego mężczyznę.

– A co byś powiedział o mnie? Tak na pierwszy rzut oka...

Dziadek nie odwrócił głowy. Ruszył pod górę, i to nawet w niezłym tempie, ciągnąc za sobą chłopaka.

– Twoje imię jest fałszywe. Tak samo zresztą jak i imiona twoich sióstr.

Elmo znowu się potknął, choć tym razem na drodze nie było żadnej dziury. Po prostu źle postawił nogę. Poleciał do przodu, robiąc kilka chaotycznych i niezbornych kroków. Tylko cudem nie wylądował twarzą w pokrzywach rosnących na poboczu. Po chwili odwrócił się gwałtownie.

– Skąd wiesz?!

– Nie wiem – odparł Dziadek filozoficznym tonem. – Tylko się domyślam.

Chłopak nie bardzo wiedział, jak się zachować. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Był jeszcze za młody, by zebrać tak zwane

Pobrano ze strony pijafka.pl

życiowe doświadczenie. Stał więc, nie podejmując decyzji, aż dogoniły ich jego siostry.

– Co się stało? – zapytała bardziej domyślna Aya.

– On wie, że jesteśmy oszustami – mruknął Elmo.

– Tego nie powiedziałem – zastrzegł się Dziadek natychmiast. – Używanie przybranych imion nie jest żadnym przestępstwem.

– A skąd on wie? – zainteresowała się Zaina. – Wygadałeś się?

– Nie.

– Mniejsza z tym. – Aya opadła na ziemię pod najbliższym drzewem i z westchnieniem ulgi oparła plecy o jego pień. – Zróbmy postój, bo jestem tak zmęczona, że... że nie wiem, co chciałam powiedzieć.

– Dobry pomysł – zgodził się Dziadek. – Muszę się czegoś napić.

Podał Ayi swój bukłak. Niewielki i podróżny, w którym trzymał wodę. Zawartością tego z wódką nie częstował nikogo. Elmo opadł na ziemię tuż obok, a muły zajęły się skubaniem przydrożnej trawy. Jedynie siwy mężczyzna stał nieporuszony jak posąg, jakby nagle zaczął czerpać z tajemniczego źródła jakieś zupełnie niesamowite siły. Chłopak miał odczucie, jakby Dziadek domagał się prawdy. Albo nie. Może to po prostu tajemnica ciążyła mu coraz bardziej i sam chciał się przed kimś wygadać? W każdym razie powiedział:

– Tak naprawdę mam na imię Nerideen.

– Przez dwa „e”?

– Mhm.

– Dla odpowiedniego akcentu?

– Skąd wiesz?

Dziadek uśmiechnął się nagle.

– Wiem, że kiedyś znałem faceta o imieniu Nolaan. I on mi wytłumaczył. Takie imię pochodzi wprost ze starożytności, z czasów, kiedy jego przodkowie tworzyli Cesarstwo Luan, a wtedy ludzie mówili inaczej. Bo jego imię dzisiaj wymawiałoby się z akcentem na pierwszą sylabę, mówiąc przesadnie: Nooolan. Akcent na „o”.

– Wiem.

– Właśnie, a wtedy podobno akcent stawiano na ostatniej sylabie. Stąd Nolaan, przez dwa „a”, tylko po to, żeby ludzie wymawiali to imię jako, znowu powiem przesadnie: Nolaaan. Akcent na „a”.

– Wiem – powtórzył Elmo. – Chyba każdy słyszał o Nolaanie.

– Czyli... – Siwy mężczyzna na chwilę zawiesił głos. – Skoro jesteś Nerideen, to... jesteś księciem?

Odpoczywający na poboczu chłopak zaczął się śmiać.

– Wiesz, książę to chyba taki gość, co ma mnóstwo pałaców, kupę złota, władzę, wpływy i posłuch u cesarza. Ale nie frajer, który pylistym gościńcem prowadzi dwa muły i dwie siostry, a wszystkich o suchym pysku.

– No wybacz! – obruszyła się natychmiast Zaina. – Twoje porównanie jest wielce niestosowne!

Dziadek nie komentował. Stał po prostu bez słowa, a chłopakowi znowu wydało się, że w jakiś nienamacalny sposób zmusza go do odpowiedzi. Położył więc splecione dłonie pod głowę i zamknął oczy.

– Tak, jestem księciem – powiedział. – Prawdziwe imię kłótliwej Zainy to Mezeena. A Aya naprawdę ma na imię Klitoo. Regularne księżniczki, ale gdybyś chciał, żeby dla zysku wydoiły ci krowy albo popasały owce na łące, to obie się podejmą.

Siwy mężczyzna uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg. Widać było, że nie bardzo wie, co powiedzieć w takiej sytuacji, co mogło znaczyć, że jest z natury dość wrażliwym człowiekiem. Ewidentnie zaciekawiła go historia rodzeństwa, ale nie wypadało mu zadawać pytań. Przysiadł się więc obok, zamierzając chyba postawić na cierpliwość. Ale nie. On miał inny plan.

– Wiem, że zaraz uraczysz mnie wyciskającą łzy historią o tym, jak popadliście w biedę, więc muszę cię uprzedzić. Takich historii słyszałem już tysiące.

– W większości nieprawdziwych? – wpadł mu w słowo Elmo.

– Niekoniecznie. Myślę, że w tych opowieściach tkwiło sporo faktów. Generalnie jednak połowa z nich była opowieściami o głupocie, a druga połowa o pechu. Jaka jest twoja?

– O głupocie i powinności – roześmiał się chłopak, bo bardzo spodobał mu się podział historii upadków na kategorie.

Aya i Zaina również się uśmiechały.

– Głupota i powinność to jedno i to samo, braciszku – upomniała go Aya, której prawdziwe imię brzmiało Klitoo. – To synonimy tego samego słowa.

– Coś w tym jest. – Dziadek rozsiadł się wygodniej. – Zamieniam się w słuch zatem.

– Kiedy tu niewiele jest do opowiadania – podjęła Zaina. – Naszą szlachtę również można podzielić na dwie kategorie: tych bardziej inteligentnych i zapobiegliwych oraz tych, co trwają w powinności wobec cesarstwa, czyli, jak ustaliliśmy przed chwilą, głupich.

– Jak rozumiem, Nolaana zaliczyłabyś do pierwszej kategorii?

– Oczywiście. Z tym jeszcze, że rodzina Nolaana miała wyjątkowy dryg do robienia interesów na przestrzeni wielu wieków i stąd jego bajeczna fortuna, mogąca się równać z cesarską bez mała.

– Tyle że ten obraz nie jest wcale aż tak czarno-biały, jak może się wydawać – dodała swoje Aya. – Owszem, w Syrinx jest wiele starych rodów, które muszą oddawać synów na służbę w cesarskiej administracji, a córkami wręcz handlować na rynku matrymonialnym dla nowobogackich, którzy chcą stać się szlachcicami i wkroczyć do pałaców. Generalnie jednak średnio jest średnio.

– Tacy jak Nolaan i tacy, którzy całkiem upadli, to raczej ekstrema? – domyślił się Dziadek.

– Właśnie.

– No a skąd w takim razie wasz los?

– Nasza rodzina trochę za bardzo przejęła się hasłem, że szlachta ma wszystko poświęcić dla cesarstwa, a prywata i dbanie o siebie, o swój zysk jest obrazą świętej moralności i zaprzeczeniem powinności wobec państwa.

– O powinności już mówiliśmy.

– Otóż to. W wyniku niewłaściwego pojmowania znaczenia tego słowa nasza rodzina wyzbyła się wszelkich nielicznych już zresztą

dóbr i zamieszkała w stolicy. Czasy były trudne, pieniędzy mało, a zarabiać moi przodkowie nie potrafili. No i rodzina pauperyzowała się coraz bardziej.

– Rozumiem, że godność nie pozwalała wystawić córek na żer dla nowobogackich, a służba w charakterze urzędnika byłaby ujmą dla honoru synów? – domyślił się Dziadek.

– W rzeczy samej. Jakbyś widział te wydarzenia.

– No ale bieda to jeszcze nie skrajna nędza ani wygnanie.

– Owszem. Szlachcic bierze udział w zgromadzeniu, w różnych radach i za te skromne honoraria z głodu nie powinien umrzeć. Tyle że pauperyzacja następuje błyskawicznie. Pod koniec mieszkaliśmy w jakiejś budzie, wśród zwykłych poddanych cesarza, którzy trudnili się jakąś konkretną pracą i serdecznie nas nienawidzili za to, że dzieci w naszej rodzinie, zamiast gonić do roboty, były starannie uczone przez rodziców.

Siwy mężczyzna skinął głową z całym zrozumieniem zawiłości stosunków między sąsiadami.

– A co się stało, że wylądowaliście na ulicy?

– Sprawa Geberika, lata temu. To ten, który ma stadion własnego imienia, ale nie był budowniczym, tylko go na nim zamęczono.

– Wiem, wiem. Co? Ojciec brał udział w spisku?

– No skąd?! Nie wiem, do czego byłby potrzebny spiskowcom zwykły nędzarz pozbawiony krzty wpływów i jakichkolwiek możliwości. Ale na zgromadzeniu siedział tuż przy jednym ze spiskowców. No niby wiadomo, że przydział miejsc następuje według alfabetu, niby wiadomo, że ojciec, nawet gdyby chciał spiskować, to chyba tylko razem z niezadowolonymi praczkami przy kanale, bo nikt z choć odrobinę wyższych sfer do niczego go nie potrzebował. Ale co z tego, że nie spiskował. Mógł. No i siedział przy niewłaściwej osobie.

– Co mu zrobili?

– Miał szczęście. Tylko ścięli i pogrzebu zakazali. Zwierzęta miały załatwić sprawę szczątków. Wywinął się od wielu dni tortur w odróżnieniu od reszty spiskowców, na których coś mieli. Brak

jakiegokolwiek znaczenia ojca i to, że jego imię nic nikomu z ludu nie mówiło, zamieniły się w ostatni łut szczęścia.

– Tylko ścięli – powtórzył Dziadek. – No fakt. Jak los na loterii.

– A mamą i nami nikt się nie interesował. Tyle że przyszli sąsiedzi. Zabrali wszystko, co było do zabrania, w mordę każdemu dali. Na szczęście siostry były jeszcze za małe. No ale z mamą robili straszne rzeczy. – Elmo opuścił głowę. – Pewnych widoków nie da się odzobaczyć.

– Tia.

– No i poszliśmy w świat. Boso, bo nawet sandały nam zabrali. A kiedy wyszliśmy na ulicę, to jeszcze sąsiadka wróciła, ta, co mieszkała najbliżej, i zdarła ze mnie tunikę. Tak że w świat poszedłem goły i bosy w sensie jak najbardziej dosłownym.

Elmo zamilkł, więc opowieść podjęła Aya:

– Póki żyła, dbała o nas mama. Pracowała w jakiejś garkuchni. Zarabiała niewiele, ale trochę jedzenia dla dzieci zawsze się znalazło. A potem podrośliśmy i sami poszliśmy do roboty. W sam raz zdążyliśmy okrzepnąć tuż przed tym, jak zostaliśmy sami.

– W sposobie, w jaki się wyrażasz, nie ma śladu gminnego akcentu.

– Mama szczególnie dbała o naszą naukę. Jednak nie da się być na chodzie przez całą dobę. Więc szybko zmarła.

– Cicho! – poderwał się nagle Elmo. – Ktoś jedzie drogą.

– Spokojnie. – Dziadek tylko machnął ręką. – Słyszę ich od długiego czasu. I nie przestrasz się, kiedy ich zobaczysz. To zbrojni.

– Co... Co? Jesteś w stanie usłyszeć szczęk oporządzenia, zanim jeszcze zobaczysz człowieka?

– No raczej tak.

– E...

– Spokojnie. Nie zamierzają na nas napaść. Kiedy nas zobaczą, mogą położyć ręce na głowniach, ale generalnie mają nas w dupie. Więc nie wykonujcie gwałtownych ruchów.

– Te wszystkie rzeczy można usłyszeć?!

Tym razem Dziadek zaczął się śmiać.

– Może i nie wiem, jak mam na imię ani kim jestem. Za to wiem jedno: za krótko jeszcze żyjesz na świecie, żeby o nim cokolwiek wiedzieć. Za krótko.

Faron przez całą niełatwą drogę przez pogrążony w ciemnościach gościniec zastanawiał się, do czego tajemnicza kobieta potrzebowała przewodnika. Szła przodem, prowadząc swojego konia za uzdę i przyspieszając, ilekroć chciał się z nią zrównać. O nic go nie pytała, nie potrzebowała żadnych informacji. Więc może chodziło po prostu o męskie towarzystwo? O silne ramię w pobliżu? Raczej nie, strofował sam siebie. Io nie wyglądała na kobietę, która boi się kogokolwiek.

Robiła jednak dziwne rzeczy. Na przykład potrafiła zatrzymać się nagle i opaść na kolana, a potem jeszcze oprzeć się na dłoniach. Zbliżała twarz do ubitej ziemi i trwała tak długą chwilę. I niby co robiła w takiej pozycji? Węszyła jak pies? Kiedy kolejnym razem zbliżył się trochę, zauważył dokładnie w świetle gwiazd, że jej nozdrza poruszały się lekko. A więc jego podejrzenie było słuszne. Węszyła, zaraza! Ale co człowiek może wywąchać z pylistej powierzchni gościńca, tego już nie wiedział.

Na szczęście nie była istotą nadprzyrodzoną. Zdarzały jej się też wpadki.

– Pani! – Podskoczył tuż przed świtem. – Nie idźcie dalej! Tam wojsko.

– Skąd wiesz?

– Bo zawsze tam stoją. To punkt kontrolny przed groblą.

– Aha, szum wody głuszy ich dźwięki. Ale czemu nie mogę ich wyczuć?

– Bo wieje nam od pleców? Zresztą co panienka chciałaby nosem wyczuć? Niemyte nogi czy co?

– Rzeczywiście, masz rację. Chodźmy tam.

– Niech się panienka nie waży! – Chwycił ją za rękę i przytrzymał, bo naprawdę chciała już ruszyć przed siebie. – Toż tam wartownicy są wystawieni. Jak się przestraszą w ciemności, to do nas strzelą.

– Z czego?

– No jak z czego? Z kuszy.

Wzruszyła ramionami, przyjęła jednak argumentację swojego przewodnika, bo zwinęła dłonie w tubę i zbliżyła do ust.

– Hej, wy tam, na posterunku! Nie musicie się bać!

Bełt wystrzelony z kuszy świsnął jej tuż koło ucha. Strzelec wiedział, że gdyby ktoś przedzierał się przez las, to musiałby usłyszeć przynajmniej jakieś szelesty – mierzył więc wzdłuż osi drogi, na słuch. I prawie mu się udało.

Faron szarpnął Io za ramię i zaciągnął za osłonę własnego konia.

– Co? Zwariowali? – Dziewczyna najwyraźniej nie mogła zrozumieć, co się stało. – Do kobiet strzelają?!

– Panienko, jesteśmy na granicy, za którą trwa wojna.

– Wojna nie upoważnia nikogo, żeby strzelać do kobiet!

– Ale to granica z Arkach, panienko.

– No to co?

– W armii Arkach wojują same baby. Więc kiedy ci na warcie usłyszeli twój głos, to strzelili, myśląc pewnie, że ichni zwiadowca się zakradł.

– Aha. – Io patrzyła jednak bez większego zrozumienia. Otrząsnęła się dopiero po chwili. – Złożymy skargę na wartownika?

– W pasie wojny? Skargę na wartownika? Bardzo panienka chce poleżeć związana w klatce o wodzie i chłodzie przez parę nocy?

– Bo co?

– Bo to nam zrobią, jak ich wkurwimy.

Przez moment patrzyła jeszcze zadziornie, dysząc wściekłością, potem jednak rozum przeważył.

– Dobra. Ty mów.

Faron ostrożnie wychylił się zza osłony, którą stanowił koński grzbiet.

– Panowie! – krzyknął. – Nie jesteśmy wrogami!

– To się pokaż!

– Dobrze. Wychodzę.

– Nie po ciemku! – wrzasnął ktoś, najwyraźniej zdenerwowany.

Faron ostrożnie, starając się nie hałasować, wyjął z juków krzesiwo i woreczek z wiórami na podpałkę.

– Panienko – szepnął – trzeba coś wymyślić, że niby dlaczego podróżujemy nocą po ciemku. I to coś, co ich przekona.

Zaczął krzesać ogień, a kiedy brzozowe wiórki zajęły się płomieniem, odpalił od niego łuczywo.

– Wymyśliła panienka?

– Tak.

Io znowu złożyła ręce jak tubę i wrzasnęła na całe gardło:

– I nie strzelać mi tam, łamagi, tylko do dowódcy prowadzić! Mam pilną wiadomość!

– Jaką wiadomość?

– Służbową – rozdarła się dziewczyna.

Faronowi wyrwało się kilka przekleństw. Na szczęście cicho, wyłącznie pod nosem. Teraz już był pewien, że wartownicy zrobią z nich siekane kotlety, bo nie umiał sobie wyobrazić żadnej sytuacji w armii Luan, w której to jakiś oficer poleciłby przekazanie służbowej wiadomości kobiecie. To było stare, złote cesarstwo, a nie jakieś tam Arkach czy Troy, gdzie takie rzeczy byłyby do pomyślenia.

Było jednak za późno, żeby protestować. Oboje, prowadząc konie za uzdy, ruszyli w stronę wojskowego punktu kontroli na drodze.

– Dowódcę budzić! – nie ustawała Io. – Ale szybko!

– No budzę, budzę – usłyszeli dość rozbawiony głos. – I dowódcę, i naszego stratega, i cesarza wraz z małżonką. Wszystkich już budzę.

Faron odetchnął. Facet po drugiej stronie miał przynajmniej poczucie humoru. Może nie od razu każe związać i dać do klatki. Ostrożnie podchodzili do ledwie widocznego w ciemnościach posterunku. Dopiero kiedy stojący na szpicy żołnierz mógł ogarnąć ich wzrokiem, dał znak i ktoś otworzył drzwi od wartowni. Oślepił ich blask światła bijącego z kilku pochodni.

– Tu chodźcie – usłyszeli rozkaz. – Konie zostawcie.

– Ja tylko coś wyjmę z bagaży. – Io na szczęście zrozumiała, że poza kręgiem światła otaczają ich zbrojni w kusze żołnierze. Nie wykonywała żadnych gwałtownych ruchów. Powoli i ostrożnie wyjęła ze swoich juków coś jakby skórzane okładki, cienkie, wytłaczane i bardzo eleganckie. Faron nie wnikał.

– Tędy!

Wartownik, którego zobaczyli jako pierwszego, popchnął ich w stronę wejścia do wartowni. Zalane światłem, a przynajmniej tak im się wydawało, pomieszczenie było dość duże, jak na potrzeby posterunku tego typu. Widocznie musiało obsługiwać większą liczbę żołnierzy, bo na bocznej ścianie można było zauważyć nawet schody prowadzące na piętro. W środku jednak znalazło się jedynie kilku ludzi.

– Kim jesteście? – Niskiej rangi podoficer dyżurny wycelował palec przede wszystkim w dziewczynę. Ludzi pokroju Farona widywał pewnie codziennie. – Dlaczego podróżujecie po ciemku?

– Mam wiadomość ogromnej wagi dla waszego oficera. – Io otworzyła okładki i spomiędzy nich wyjęła kartkę gęsto pokrytą drobnym, regularnym pismem. Poza tym można było zauważyć liczne pieczęcie, w tym także lakowe na wstędze. – Jest pilna, ale nie tajna, więc możesz przeczytać. – Podała kartkę żołnierzowi.

Podoficer zbliżył ją do oczu.

– Aaa... eeee... – Było jasne, że nie umie czytać. – Tak jest! Obudzę dowódcę!

Na zaspanego oficera nie musieli długo czekać. Pojawił się na schodach już po chwili, ziewający, przecierający oczy i zły. Zszedł na parter z miną zwiastującą czyjąś śmierć. Z wściekłością wyrwał dokument z ręki Io i przysunął do oczu.

Z całą pewnością umiał czytać. Wyraz jego twarzy zmieniał się bowiem z nieprawdopodobną wręcz szybkością. Ze złego na wręcz usłużny. Chyba nie dokończył nawet analizy dokumentu. Wyprężył się nagle i zasalutował, choć stojąca przed nim dziewczyna z całą pewnością nie była wojskowym wysokiej rangi.

– Pani... – Drżącą ręką oddał dokument. – W czym mógłbym wam pomóc, pani?

– To misja specjalna – odparła Io. – Chcę wiedzieć wszystko o masowych mordach w okolicy, egzekucjach albo jakichś walkach dotyczących cywilów, które zakończyły się wieloma ofiarami.

– Aaa... Tak. Była jedna egzekucja. Przedwczoraj złapaliśmy dezertera, który teraz dynda tu, w pobliżu. – Odruchowo wskazał dłonią kierunek.

– Masowych! – wysyczała Io.

– A tak, właśnie. Ale to raczej żandarmeria. Nie my.

– A co słyszałeś? Jakie raporty znalazły się na twoim biurku?

Oficer aż się zjeżył, słysząc to ostatnie określenie. Ciekawe, czy na tej placówce miał do dyspozycji choćby stół. W każdym razie mężczyzna odchrząknął, podniósł rękę, jakby chciał podrapać się po nieogolonej jeszcze brodzie, ale zamarł w pół gestu.

– A jest! – Nagle przypomniał sobie coś, co sprawiło, że poczuł ulgę. – W starej rzeźni odbyła się bitwa na miecze. Żandarmeria jeździła w tę i we w tę, a cywilnemu prefektowi pozwolili nawet wejść i zobaczyć. Podobno trupów co niemiara.

Dziewczyna skrzywiła się, słysząc to niezbyt wojskowe określenie, ale zapytała tylko:

– Gdzie?

– Tędy, tą drogą trzeba dalej jechać, pani. – Oficer znowu wyciągnął palec, żeby pokazać.

Faron śmiał się w duchu. Wystarczyło jedno pismo nie wiadomo skąd, a tamten już stracił cały swój militarny sposób bycia. Takie to i było teraz imperium. Nie liczyło się już nic, żadne urzędy, żadne hierarchie czy systemy, nic poza absolutną władzą jednego człowieka. Dawniej chyba żadnego wojskowego nie obchodziłoby za bardzo, co mu ma administracja, nawet i centralna, do powiedzenia. A teraz? W każdej chwili „ci, co trzeba” mogli wyprowadzić dowolnego człowieka i zamęczyć, nawet publicznie, na stadionie, ku uciesze gawiedzi. Starzy ludzie mówili, że tak było zawsze. Ale jak dotąd majestat starał się zachowywać pozory, jakieś prawo

obowiązywało poszczególne resorty. Teraz jednak liczył się już tylko rozkaz z góry. Z im większej wysokości, tym skwapliwiej go wykonywano. I nikt nie wnikał, czy rozkazodawca miał rację, czy jej nie miał. Czy na papierze miał prawo rozkazywać w danej sprawie, czy, znowu na papierze, takiego prawa nie miał. Podobno tak się stało po „zamęcie Geberika". Władza, przezwyciężywszy ten kryzys, uznała się za nieomylną i osobiście zaczęła regulować każdy aspekt życia imperium. Nie patrząc już na nic poza własnym nosem.

– Napotkacie, pani, wiele opustoszałych wiosek. Wojna przecież. Ale w jednej z nich zobaczycie ogromną rzeźnię na wzgórzu, pani.

– Rzeźnia na wsi? A po co?

– Ja się na wojaczce znam, pani. A rzeźnię widzę tylko na polu bitwy, kiedy zajadły przeciwnik się trafi. A ten tu – po raz kolejny wskazał na pobliskie góry – zajadły nie jest. I generalnie się cofa.

– Rozumiem.

Io schowała swój dokument z powrotem między skórzane okładki. Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz chyba w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że ten poziom intelektualny rozmowy nie zaprowadzi jej do niczego. Zrezygnowana machnęła ręką i skinęła na Farona.

Potem oboje opuścili wartownię, nie obrzucając obsady ani jednym spojrzeniem więcej.

Pierwsze żywe miasteczko, jakie napotkali, składało się z namiotów rozstawionych przez wojsko i wiat skonstruowanych z gałęzi znalezionych w lesie i płótna, które najprawdopodobniej zabierano w martwych wsiach po drodze. Pokrycie improwizowanych dachów części cywilnej krojem i wzorami na materiale świadczyło, że jeszcze do niedawna owe dachy były czyjąś pościelą. A całość w związku z tym sprawiała wrażenie niekoniecznie odpornej na warunki pogodowe. Prawdopodobnie mocniejszy wiatr zwiałby to miasteczko z mapy równie szybko, jak się na niej pojawiło.

Niemniej życie tętniło tutaj we wszystkich swoich przejawach, co napawało optymizmem, szczególnie tych, którzy codziennie dotąd mijali wypalone lub na pół zrujnowane domy w opuszczonych wsiach. A co ważniejsze, wojsko potrzebowało rąk do pracy. Dziadka i Elma najęto do zrębu, żeby uzyskać materiał budowlany, a dziewczyny pobiegły prać stany magazynowe, jak się wyraził werbujący kobiety dziesiętnik. Wszystko więc wskazywało na to, że ten dzień może zakończyć się obfitą, a przede wszystkim ciepłą kolacją.

W lesie Dziadek wykazał się nieprawdopodobną wręcz znajomością drwalskiego rzemiosła. Powalał drzewa jedno po drugim bez widocznego wysiłku, a Elmo miał za zadanie przygotować pnie do zwózki. Jego siwy kompan na szczęście pokazał, co i jak, wytłumaczył i jeszcze pomógł od czasu do czasu. Dzięki temu obaj zakończyli obrabianie przydzielonej im działki długo przed wieczorem. I kiedy inni byli dopiero w połowie roboty, obaj, podzwaniając brązowymi w sakiewkach, mogli wracać do miasteczka.

Dziewczyn jeszcze nie było. Widać pranie okazało się robotą na dniówki. Elmo zainteresował się więc zawodami w strzelaniu z łuku. Zawsze marzył o takiej broni, a nigdy nie było go stać.

– Czekaj, czekaj, co ty robisz? – strofował go Dziadek przy pierwszym złożeniu. – To zupełnie nie tak.

– A ty co? Mistrz?

Siwy mężczyzna skrzywił się lekko.

– Nie pamiętam. Ale skądś wiem, że strzelam z łuku znakomicie, tyle że do celu nie trafiam.

Elmo potraktował to jako dowcip, ale Dziadek mówił poważnie.

– Nie trafiam, bo niedowidzę. Ale złożyć się potrafię, w przeciwieństwie do ciebie.

– A co ja robię nie tak?

– Wszystko.

Chłopak aż prychnął ze złości.

– No to może mi łaskawie pokażesz?

– Łaskawie mogę ci pokazać. – Dziadek zabrał mu broń. – Najpierw musisz znaleźć środek ciężkości.

– Środek... czego?

– Ciężkości. Wystaw palec wskazujący i połóż na nim łuk tak, żeby uzyskał równowagę.

Aha. To akurat Elmo rozumiał. Dowiedział się też, że to właśnie w tym punkcie musi chwycić drzewce. Dopiero teraz nastąpiło „zmierzenie się" z łukiem. I bynajmniej nie chodziło o składanie się do strzału. Najpierw trzeba było porównać swój wzrost z długością broni i wyciągnąć wnioski. Chłopak żadnych wniosków nie wyciągnął, ale Dziadek wręcz przeciwnie. W każdym razie wyglądał na zadowolonego. Pokazał chłopcu, w którym miejscu ma dotknąć cięciwy wargami, a nawet zawiązał tam jakąś nitkę.

– No a teraz celowanie – powiedział triumfalnie, rozpoczynając nowy etap nauki w chwili, kiedy Elmo był pewien, że przecież wie już wszystko.

Niestety, w tej mierze niewiele udało się zrobić, ponieważ właściciel łuku zażądał oddania broni z racji tego, że zamierzał właśnie rozpocząć zawody. Elmo wystartował w dwóch konkurencjach, za które zapłacił Dziadek, najwyraźniej nie chcąc tłumić entuzjazmu chłopaka. W zawodach punktowanych, co było łatwe do przewidzenia, jego protegowany sromotnie przegrał. Natomiast w części otwartej udało mu się nawet ustrzelić jedną z nagród – wspaniały złoty miecz. Dostał go Dziadek, po pierwsze, w odpłacie za zaangażowanie, a po drugie, miecz, choć piękny, był drewniany, chociaż ktoś go naprawdę pociągnął, i to bardzo starannie, złotą farbką.

Dziewczyny jeszcze nie wróciły, więc obaj poszli do karczmy pod gołym niebem. Obrotny gospodarz po prostu poustawiał w jednym miejscu wszystkie meble, które jego pomocnicy zdołali znaleźć w opuszczonych pobliskich wsiach. Goście siedzieli zatem na krzesłach najróżniejszych kształtów i wielkości, fotelach (w tym i bujanych), stołkach, taboretach, trójnogach z płótnem zamiast siedziska, a nawet prostych podstawkach, na jakich zazwyczaj

przysiadały w oborze kobiety dojące krowy. Jeszcze lepiej wyglądały długie ławy zaimprowizowane ze wszystkiego, co było płaskie i w miarę duże. Zdarzały się i podłogi od wozów, i drzwi od stodoły, i płot, w którym szpary pomiędzy sztachetami dobito deskami, a nawet elementy trumny przybite do ramy od brony pozbawionej kolców. Bywalcy chyba przekonywali się wzajemnie, że trumna nie została jak dotąd użyta zgodnie z przeznaczeniem, bo nikt nie stronił od niecodziennego mebla.

Dziadek w pierwszej kolejności uzupełnił zapas trunku w swoim ogromnym bukłaku, a potem zamówił dla nich wódkę w kubkach. Musiał mieć przy sobie sporo pieniędzy, ale w takim razie po co najął się jako drwal za nędzne brązowe? Elmo zrozumiał, że musi przyzwyczaić się do faktu, iż pewne tajemnice pozostaną tajemnicami i może nigdy nie zostaną odkryte. Wódki natomiast pić nie chciał. Nigdy mu nie smakowała, a poza tym miał bardzo niewiele okazji, żeby jej posmakować. Wolałby coś zjeść, szybko jednak przekonał się, że Dziadkowi odmówić nie sposób. Usiłował więc tylko zachować proporcje – na wielki haust fundatora odpowiadać jak najmniejszym z możliwych łyczków.

– A powiedz, jeśli to nie sekret... – Oczy siwego mężczyzny szybko nabrały blasku. – Dokąd właściwie zmierzacie?

Elmo nie miał nic do ukrycia.

– Zasadniczo jedziemy przed siebie. A konkretnym zamiarem jest opuszczenie granic naszego najukochańszego cesarstwa.

– Aha. – Dziadek potwierdził skinięciem głowy.

Zorientował się dopiero po dłuższej chwili.

– Ale nikt was nie ściga, mniemam?

– Z tego, co wiem, to nie. Nie popełniliśmy też żadnego przestępstwa. Poza jednym.

– Nie wyglądasz na kryminalistę. A czym podpadłeś władzy?

– Jestem biedny.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Jestem biedny, a to wystarczający powód, żeby wymierzyć mi najwyższą karę.

– Karę śmierci?

– Źle się wyraziłem, przepraszam. – Elmo upił maleńki łyk ze swojego kubka. – Najboleśniejszą z możliwych kar. Przynajmniej moralnie, bo mówię o niewolnictwie.

Dziadek spojrzał podejrzliwie.

– To jest raczej przewidziane za najcięższe przestępstwa, nie?

– To zależy od czasów, w jakich się żyje.

Najwyraźniej zaintrygował Dziadka do tego stopnia, że ten odstawił nawet swój kubek.

– Wyjaśnij.

– Na czym opiera się siła cesarstwa? – westchnął Elmo. – Na praktycznie darmowej sile roboczej, czyli na nieograniczonej niczym liczbie niewolników. Nikt nie może z nami rywalizować. Najbogatsze państwa pozostają daleko w tyle. Tylko my dzięki darmowej robociźnie możemy produkować tak tanio, że nasze towary zabijają całą konkurencję. Opłaca się je wozić po całym świecie i sprzedawać taniej niż towary miejscowe. Przytłaczamy wszystkich wokół produkcją żywności, którą możemy wytwarzać w prawie dowolnej ilości i po najniższej cenie, bo nas nic nie kosztuje praca na roli. Jesteśmy potęgą potęg, ponieważ utrzymanie tej potęgi jest dla nas mało kosztowne.

– Nigdy nie pomyślałem o tym w ten sposób, ale masz rację.

– Właśnie. Jedynym warunkiem, żeby praca u nas była prawie darmowa, jest to, że o niewolników nie powinniśmy dbać. Bo to kosztuje. Taniej jest w sposób ciągły wymieniać ich na nowych.

– No, widzę konsekwencję w tym wywodzie.

– Właśnie. – Elmo wziął do ust następny mały łyczek, przełknął i na moment go zatkało. – A skąd ich brać? – zapytał, kiedy tylko odzyskał oddech.

– Cesarstwo prowadzi wojny na wszystkich swoich granicach. A każda z nich to nowe zastępy niewolników.

– Naprawdę? Hm, to patrz. Zimne Królestwa. Tak się z nimi nawygrywaliśmy, że nasze czołówki dotarły do ich lodowatych,

zaśnieżonych gór. Dalej armią w sandałkach i cieniutkich tunikach już się nie posuniemy.

– No faktycznie.

– A sytuacja z Troy? Trochę walki, więcej lat pokoju. Zyski, jeśli chodzi o jeńców, niewielkie, nieregularne. Troy to ogromne państwo, o mocniejszym niż nasz kręgosłupie, opartym na dość świadomych obywatelach. Nie poradzimy sobie z nimi naszą bandą najemników. Tym bardziej że dzieli nas olbrzymia pustynia.

– No tak. Zgadza się.

– Przyjrzyjmy się więc tej granicy, przy której jesteśmy. Tu też wygrywaliśmy długo, aż doszliśmy do gór. Te są jeszcze zalesione, nieskaliste i pokryte lodem. Tu jeszcze możemy walczyć. Co prawda w kniejach kawalerii użyć się prawie nie da, a nasza ciężka piechota musi ganiać po chaszczach za leciuteńką piechotą Arkach. I powiem ci tak: ich leciuteńka piechota jest wyraźnie mniej zdyszana niż nasi ciężkozbrojni opancerzeni, okulbaczeni, objuczeni całym swoim sprzętem.

Dziadek roześmiał się nagle.

– Jak ty to tłumaczysz, to widzę, że masz rację.

– Ale to jeszcze nie koniec. Jeśli nawet tu zwyciężymy, to za Arkach jest już tylko Wielki Las. W naszym rozumieniu spraw gorszy niż pustynia. A samo Arkach to też żaden zysk. Mała gęstość zaludnienia, ogromna mobilność ludności, przyzwyczajonej do trudów i migracji. Kiedy wydostaniemy się operacyjnie na ich płaskowyże, to oni po prostu spakują się i uciekną. Zdobędziemy co prawda pola uprawne, ale nie będzie kim na nich robić.

– He. – Dziadek potrząsał głową. – Nigdy nie spojrzałem na Luan w ten sposób. – Zafrasowany osuszył swój kubek i wlał sobie nową porcję wódki. – Ale została nam jeszcze jedna granica. Morska.

– A tak, tak. A tam piraci skwapliwie dostarczają nam niewolników od razu na targ i strasznie się na tym bogacą. Niestety, ich liczba nigdy nie będzie znacząca. Piraci mogą grasować paradoksalnie tylko wtedy, kiedy jest ich mało. Marynarki wojenne wszystkich ograbianych krajów dość solidarnie ich tępią. A jeśli

piraci staną się poważnym problemem, to władcy sypną złotem i ich wytępią. Jak wszy olejem skalnym.

– I co? Jak widzisz przyszłość?

– No właśnie. Przyszłości już nie ma.

– Imperator niczego nie wymyśli?

– Owszem, już wymyślił. Skoro nie ma skąd brać niewolników, to przecież można ich czerpać z własnych zasobów. Brać swoich. Zniewalać cesarskich poddanych.

– No chyba żartujesz.

– No właśnie nie.

Dziadek najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Siedział długo wpatrzony w zawartość swojego kubka. Chyba do niczego nie doszedł, bo w końcu wypił wódkę do dna i powiedział:

– Gdyby imperator brał w niewolę swoich, to żeby rzecz miała sens, musiałby działać na masową skalę. Byłoby coś słychać. A tymczasem głucho wszędzie.

Elmo roześmiał się głośno i położył dłoń na przedramieniu rozmówcy.

– Ty raczej nie obracałeś się w kręgach biedoty.

– Nie wiem, gdzie się obracałem. Ale... co? Mówi się o tym?

– Tak, z tym że mało kto rozumie, o co tu naprawdę chodzi. Biedota utyskuje, że nawet ubogim już być nie wolno, bo w cesarstwie wszyscy mają być szczęśliwi. Albo śmieją się, że ktoś się pomylił w pisemnym rozkazie. Podobno w cesarskim edykcie było napisane: „wyłapać wszystkich niewolników ukrywających się wśród ludzi", a jakiś skryba kopista przez nieuwagę przerobił na: „wyłapać wszystkich ludzi i przerobić na niewolników" i dzięki temu w jakimś tam mieście połapali wszystkich, którzy dali się złapać. Piętno na tyłkach wypalili i tak dalej.

– A tak było napisane w oryginale tego edyktu?

– A był jakiś w ogóle? Skąd biedota miałaby o tym pojęcie? Te ich tłumaczenia to tylko próba jakiegoś wyjaśnienia rzeczywistości, której ich umysły nie chcą przyjąć, bo jest zbyt straszna.

Dziadek znowu się zgodził. Tak właśnie lud robił z rzeczami, których nie rozumiał. Ułaskawiał przeciwności, interpretując je, żeby były zrozumiałe. A swoją drogą, podziwiał elokwencję chłopaka. Rodzice, a później już tylko samotna matka, nie szczędzili na edukację swoich dzieci. Z Elmem, a właściwie z Nerideenem rozmawiało się jak z równym. I cały ten proces dostarczał wiele przyjemności.

– I ty, zorientowawszy się, co może się wydarzyć, uciekłeś z siostrami, żeby zdążyć, zanim to zacznie się w Syrinx?

– Tak. W rzeczy samej. Z tym że nie tylko ja jestem taki genialny. – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Gdybyś rozglądał się uważnie, zauważyłbyś, że ucieka mnóstwo ludzi. Wszyscy, którzy mają rozum i oczy tam, gdzie trzeba.

– Nie mam pojęcia, na co patrzyłem, zanim straciłem pamięć – wyznał pogodnie siwy mężczyzna. – A powiedz mi jeszcze: gdzie uciekacie?

– Najbliżej było Arkach.

– Ale trzeba przejść przez linię naszych wojsk. No i ich wojsk również.

– Boję się tylko naszych. Bo nie sądzę, żeby ci z Arkach mieli coś przeciwko rzeszom młodych uchodźców, którzy podejmą się każdej pracy. A i w razie konieczności zasilą szeregi obrońców, bo wiedzą przecież, skąd i dlaczego uciekli.

– Hm... – Dziadek pokręcił głową. – Takie przemyślenia mogą być zdradliwe. Nie każdy na świecie kieruje się kalkulacjami płynącymi z rozsądku.

Przerwały im okrzyki dochodzące z krańca osady. Kilku konnych galopowało gościńcem, wznosząc tumany kurzu. Wrzeszczeli coś, ale z powodu odległości trudno było cokolwiek zrozumieć.

– Arkach atakuje?! – poderwał się Elmo.

– Nie. Po mojemu to ci jeźdźcy chcą się po prostu napić i wołają, żeby już wódkę lać.

– Żartujesz? Możesz takie rzeczy usłyszeć?

Dziadek potwierdził ruchem głowy.

– Mogę usłyszeć, ale i znam ten pokrój ludzi. Ich zachowania są bardzo typowe.

Chłopak usiadł, choć nie wyglądał na uspokojonego.

– No i gdzie oni jadą?

– Tutaj, do nas, do karczmy. – Siwy mężczyzna nachylił się nad koślawym stołem. – Pamiętasz, jak na drodze mówiłem, żeby nie bać się nadjeżdżających obcych i żeby tylko nie wykonywać gwałtownych ruchów?

– Pamiętam. Mówiłeś, że potrafisz rozpoznać, czy ktoś chce cię napaść, czy nie.

– Tak właśnie. A ci tutaj są inni. Ci są w bojowym nastroju, szukają zaczepki i na pewno doprowadzą do burdy.

– Powinniśmy odejść?

– Za późno. – Dziadek zerknął na ludzi zeskakujących ze spienionych wierzchowców. – Teraz się nie ruszaj, żeby ich nie sprowokować. I nie patrz na nich pod żadnym pozorem.

Chłopak nie był głupi. Opuścił głowę, udając, że studiuje skomplikowany wzór słojów na desce przed nim. Gospodarz wybiegł naprzeciw nowych gości. Najwyraźniej dobrze ich znał.

– Jakże się cieszę, panie! – krzyczał. – Sam pan Druzus z kompanią raczył nas nawiedzić.

– Wódki!

– Na jednej nodze, panie! Na jednej nodze!

Pomocnicy karczmarza skoczyli obsługiwać przyjezdnych, a Elmo nie mógł powstrzymać się od zerknięcia w bok.

– Bogowie! – szepnął. – To sam Druzus?

Dziadek zdziwił się trochę teatralnie.

– Nie znam.

– No jak to? Przecież to szermierz natchniony!

Siwy mężczyzna również spojrzał na przybyszów, zaspokajających właśnie pierwsze pragnienie, wyraźnie zaciekawiony.

– Hm. Wydawało mi się, że szermierze natchnieni to Nolaan, Hekke i...

– Tak – wpadł mu w słowo Elmo. – Ale to ci starzy. Z legend! Ich czyny trwają już tylko na pożółkłych stronach starych kronik. A ten tu jest żywy!

– A tamci to już nie są żywi?

– No są. Ale co innego słuchać o dawnych czynach przy kominku, a co innego patrzeć na żywą legendę tuż obok.

– Ty lepiej tam nie patrz. Szukają zaczepki, a ty ich sprowokujesz.

– Niby czym? Z podziwem patrzę.

– A taki mądry się wydawałeś...

Dziadek znowu miał rację. Któryś z kompanów szermierza natchnionego zauważył spojrzenie chłopaka.

– A ty czego się gapisz?! Wpierdol mam spuścić?

Elmo chciał coś odpowiedzieć, a wtedy Dziadek nachylił się, chwycił go za kark i zmusił do nachylenia się nad kubkiem.

– Wybaczcie, panie – powiedział spokojnie. – To pachołek od poganiania mułów. Spraw światowych on nie zna wcale.

Niestety, ugodowy ton nie pomógł. Sam Druzus podszedł bliżej z kubkiem w lewej dłoni. Prawa spoczywała na głowni miecza zawieszonego na pasie.

– Jak nie zna, to czas, żeby poznał. Czyż nie?

– Wybaczcie, panie – powtórzył Dziadek. – On durny, nauk nie pobierał.

– No to ja mu udzielę!

Dłoń szermierza głaskała delikatnie rękojeść broni. To były ledwie dostrzegalne ruchy, mało kto zauważył, a ci, co zauważyli, nie domyślali się, co będzie dalej.

– Podnieś kubek, młody!

Dziadek ewidentnie drgnął, słysząc te słowa. Chyba nie chodziło o ich treść, ani nawet o zaczepny, chamski wydźwięk. O ile Elmo dobrze zauważył, twarz siwego kompana skurczyła się na dźwięk słowa „młody”.

– No podnieś.

Chłopak sięgnął do kubka i dokładnie w tym samym momencie miecz Druzusa wyprysnął do przodu, ściął kubek, rozwalając go na

setki drobnych okruchów, a sięgająca po niego dłoń zacisnęła się w powietrzu.

Koledzy szermierza zaczęli rechotać ubawieni. Elmo zrobił ruch, jakby chciał wstać, lecz żelazna ręka Dziadka przytrzymała go na stołku.

– To cud, panie – powiedział spokojnie siwy mężczyzna. – Jeszczem niczego takiego w życiu nie widział.

– A chcesz zobaczyć lepsze? – zapytał Druzus ze źle ukrywaną groźbą w głosie.

– Eeee, lepszego szermierza od ciebie to na świecie nie ma, panie.

Bandzior z mieczem uśmiechnął się z mieszaniną wyższości i totalnej pogardy. Pochlebstwa nie robiły na nim wrażenia.

– Sięgnij po kubek – rozkazał.

Jego koledzy zaczęli się odsuwać. Pewnie znali swojego herszta i wiedzieli, że teraz mistrz utnie staremu łapę. Nie chcieli zostać opryskani krwią.

– Sięgaj!

Dziadek najpierw patrzył na Druzusa tak, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. A potem z nieruchomą twarzą sięgnął po naczynie, podniósł do ust, wypił łyk i zaczął odstawiać kubek, a miecz Druzusa dopiero wtedy świsnął nad stołem. Goście karczmy, którzy stali się mimowolnymi świadkami zajścia, patrzyli zdumieni, sądząc chyba, że to przypadek, że coś się nie zgrało albo któryś z adwersarzy popełnił błąd. Jednak siedzący tuż obok Elmo widział wyraźnie, że albo siwy mężczyzna naprzeciw był szybszy od szermierza natchnionego, albo stało się coś, czego nie rozumiał.

Nienaruszony kubek Dziadka dopiero w tej chwili dotknął blatu, a on sam teatralnie wybałuszył oczy.

– O Bogowie! – krzyknął. – Coś tu przeleciało!

Któryś z gości karczmy zaśmiał się.

– No coś tu przeleciało! Mówię wam. Coś tu lata strasznego.

Kilku innych bywalców też zaczęło się śmiać.

– Nie wierzycie mi! A ja przysięgam, że widziałem, jak coś leci tuż nad stołem!

Nawet koledzy Druzusa rechotali wraz z tłumem. On jednak nie wiedział, co zrobić. Zabicie starego w tym momencie sławy już mu nie przyniesie. A jeśli go ukarze za to, że ochronił kubek, to przyzna przed wszystkimi, że dziadyga był lepszy w tym starciu. Lepiej więc będzie udawać, że tak miało być.

Uśmiechnął się wymuszenie.

– Masz, kurwa, więcej szczęścia niż rozumu – mruknął i obrócił się na pięcie.

Ubawiony tłum powoli wracał do swoich napitków. Jedynie Elmo, zupełnie poważny, patrzył w skupieniu na Dziadka po drugiej stronie stołu.

Rozdział 2

W Cesarstwie Luan nie istniało pojęcie „prefektura polowa”. Nie było czegoś takiego i nie mogło być. Żaden urzędnik państwowy nie mógł się nawet zbliżyć bezpośrednio do strefy walk, a wszelkie obowiązki administracji cywilnej przejmowała zawsze żandarmeria wojskowa. Front jednak oddalał się od tych terenów, imperium wchłaniało je powoli, a wojskowi już się nie interesowali swoim głębokim zapleczem. Następował czas, żeby ustanowić tu bezpośrednią władzę cesarską. Ponieważ nieliczne miasteczka na zdobytym terenie armia spaliła do gołej ziemi, a wyludnione wsie z powodu kolejnych fal rabunków i dewastacji nie nadawały się już do niczego, prefekt musiał ustanowić swoją nową siedzibę w namiotach przy strumieniu pod lasem. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że w wielkim napisie na deskach przybitych do ostrokołu, głoszącym: „Tymczasowa Prefektura Prowincjonalna”, najważniejsze jest słowo „tymczasowa”. Urzędować w tych warunkach w żaden ludzki sposób się bowiem nie dało.

Io jednak nie przejmowała się leksykalnymi zawiłościami. Jej władczy ton w zupełności wystarczył, żeby wartownik przepuścił ją do wnętrza ostrokołu, gdzie Faron mógł zająć się końmi. Gorzej poszło z samym prefektem. Urzędnik państwowy był co prawda o całe nieba bardziej inteligentny od oficera, który miał pieczę nad punktem wartowniczym na drodze. Ocenił prawidłowo ubiór gościa, jego sposób wyrażania się, a także styl bycia, który od razu powiedział mu, że ma do czynienia z osobą należącą do wyższych sfer. Był więc grzeczny, ale zupełnie niesprzyjający.

– Wielka pani – mówił, tkwiąc w wejściu swojego namiotu i nie przepuszczając Io do środka – moim obowiązkiem na tych terenach jest przejęcie ich i osadzenie tutaj imperialnej administracji. Jak doskonale wiesz, pani, armia samym swoim przejściem czyni więcej strat niż wszyscy nasi wrogowie razem wzięci i najwyższy już czas objąć opieką napływających cesarskich poddanych. A tylko cywilne służby są w stanie cokolwiek zdziałać w tej mierze.

– Nie neguję twoich obowiązków, panie. – Io, choć zaczynała wewnętrznie wrzeć, grzecznie skłoniła głowę. – Moja misja jednak jest wielkiej wagi. Muszę poznać szczegóły śledztwa...

– Jeśli chodzi o jakiekolwiek śledztwa – prefekt zręcznie wpadł jej w słowo – to koniecznie musisz się zwrócić do dowódcy żandarmerii polowej, pani. Ja tu żadnego śledztwa jeszcze nie zdążyłem podjąć.

Nawet Faron westchnął, słysząc tę uwagę. Spychologię znał i jej doświadczał. To, że facet chce nawet wysoko urodzoną dziewczynę spławić, nie było niczym dziwnym.

– Nie, nie, nie, drogi panie – broniła się Io. – Żandarmi opuścili okolicę tuż za postępującą do przodu armią. To wasza jurysdykcja, panie.

– Nie neguję twoich słów, pani. Ja tylko pragnę stwierdzić, że w priorytetach mam w pierwszej kolejności zainstalowanie tu placówki zamkowych, poborców podatkowych, komisji przejmowania mienia, komisji do spraw zasobów ludzkich i wielu, wielu innych, pani. Swoją podstawową działalność będę mógł zacząć dopiero...

Zniecierpliwiona Io pstryknęła palcami. Faron wyjął z jej juków skórzaną okładkę zawierającą dokument państwowy i z szacunkiem podał dziewczynie, która wyjęła pismo i podała prefektowi. Ten najpierw przyjrzał się pieczęciom, a potem zaczął studiować treść. W miarę postępów lektury obserwatorowi stojącemu obok mogło się wydawać, że postawa prefekta coraz bardziej zaczynała przypominać postawę zasadniczą. Kiedy skończył, ewidentnie stał już na baczność.

– Pani? – zmienił ton.

– Panie. – Io również stała się urocza. – Co to za masowe mordy jak te w starej rzeźni?

Prefekt wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom najwyraźniej wiedział, o czym mówi dziewczyna.

– Nie nazwałbym tej masakry mordami. To raczej wyglądało na bitwę, w której ktoś pokonał kilkunastu ludzi.

– Ilu dokładnie?

– Osobiście nie odwiedziłem tego miejsca. Ale liczba ofiar jest bliższa siedemnastu, osiemnastu niż jedenastu czy dwunastu.

– Nie wiecie, kto ich zaatakował?

– Gdyby nie ślady mieczy, rzekłbym, że jakiś dziki zwierz. – Mężczyzna uśmiechnął się oszczędnie. – Układ ciał bowiem w niczym nie przypomina tego, jak leżą zwłoki po walce między dwoma oddziałami.

– Sugerujecie, panie, że zabójca działał sam?

Tym razem prefekt otwarcie prychnął śmiechem.

– Nie znam nikogo, kto samotnie zabiłby kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, pani. Tym bardziej że to nie żadni maruderzy. Mam podstawy przypuszczać, że byli to zbrojni wynajęci przez jakiegoś wielmożę.

– W jakim celu? – Io zainteresowała się wyraźnie.

– Jak zwykle. – Uśmiechnął się znowu, tym razem smutno. – Przejmowania dóbr na zdobytych terenach. Zbrojni w czyimś imieniu zajmują jakiś młyn, wielką karczmę czy cokolwiek z cennej infrastruktury.

– Zaraz. A ta rzeźnia nie była na tyle cenna, żeby ją zająć?

– Właśnie była. I ją zajęli.

– Aha, rozumiem. I komuś nie spodobało się, że cenny obiekt zajął ktoś inny?

Prefekt zawahał się i dość długo myślał nad odpowiedzią.

– To nie takie proste – podjął po chwili. – Wysyłani tu zbrojni z jednej strony chronią dobra przed szabrownikami, a z drugiej są gwarantem, że dany obiekt trafi w ręce spekulanta, który ich wysłał.

– A to nie imperialna komisja sprzedaje zdobyczne dobra?

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Ależ oczywiście, że komisja. Problem w tym, że kiedy zbrojni już coś zajmą, to wyrzynają innych chętnych, którzy się pojawią, zrzucając zbrodnie na karb maruderów, i w momencie licytacji żadna konkurencja się nie pojawia.

– A wy o tym wiecie i co?

– Wiedza, a raczej domysły to nie dowody. Prefektura nie dysponuje własnym ramieniem zbrojnym.

Faron, pilnujący wierzchowców, słyszał całą rozmowę i śmiał się w duchu. Oj, naiwna panienka, naiwna. No pewnie, że prefekt wiedział o całym procederze. I to wiedział z samego źródła, czyli od spekulantów, którzy zbrodnie zlecali, a jemu płacili łapówki, żeby nic nie robił. Oni mieli nawet specjalne słowo, które ten układ określało. Faron wytężył pamięć. Kor... korupcja? Czy jakoś tak.

– Czy spotkaliście się kiedyś z podobnym wybiciem nasłanych zbrojnych, panie?

– Wiele razy.

– A tutaj, w okolicy?

– Hm. Z podobnym to nie. Ale – prefekt znowu się zawahał – było coś, choć nie do końca takie samo.

– Dlaczego?

– Zabito kupców podczas przeprawy przez rzekę. Z pozoru zwykły napad rabunkowy, przeprowadzony w dogodnym miejscu i czasie. Jakież było nasze zdziwienie jednak, kiedy stwierdziliśmy, że nic nie zginęło z przewożonych przez nich towarów.

– Może bandyci skupili się na gotówce?

– Gotówka też była. W sakiewkach, które tkwiły przywiązane do pasów na zwłokach.

Io poruszyła się wyraźnie.

– Mamy podejrzenie, że to nie kupcy, ale fałszywi przewodnicy przez granicę. Brali zapłatę od ludzi, których mieli bezpiecznie przeprowadzić, wiedli w dzikie ostępy, a tam mordowali i ograbiali z dobytku. Z tym że ta hipoteza kupy się nie trzyma, bo kto miałby motyw mordować jakieś tam hieny? Na pewno nie służby

imperialne, bo nasze metody są inne. Na pewno nie inni bandyci, bo wtedy zrabowaliby cały łup.

– Może ktoś mścił swoją zamordowaną rodzinę?

– A skąd by taki hipotetyczny ktoś wiedział, że oni to akurat oni? – zapytał rezolutnie urzędnik, robiąc duży skrót myślowy. Ale panienka się nie czepiała. – No fakt. Dziwna sprawa i śledztwo jeszcze nie zamknięte. Do dziś leżą tu ich rzeczy.

– Mogłabym zobaczyć? – podchwyciła natychmiast dziewczyna.

– Ależ oczywiście. – Prefekt wykazał się wielkim entuzjazmem, ponieważ odprowadzenie natręta do magazynu dawało możliwość definitywnego pozbycia się upierdliwej, ale niestety, wysoko postawionej panny. – Już prowadzę. Proszę łaskawie za mną, pani.

Faron powlókł się za nimi, prowadząc konie. On akurat doskonale wiedział, dlaczego śledztwo w sprawie zabicia domniemanych kupców bez motywu rabunkowego tak bardzo zainteresowało władze, że mimo braku efektów nie chciały odpuścić. Prefektura mogła wszystko odpuścić, na wszystko machnąć ręką. Oprócz najważniejszej sprawy: nikt przecież nie powinien wyręczać władzy ani w karaniu winnych, ani w decydowaniu o ich losie. To było zarezerwowane wyłącznie dla cesarza i nikt nie miał prawa zabierać mu nawet najmniejszej cząstki czynienia sprawiedliwości na ziemi. Sprawiedliwość to cesarz. I każdemu, komu się wydawało, że może przyłożyć do tego własną rękę, należało tę rękę krwawo odrąbać!

Tylko jeden władca jest na świecie. Tylko jeden decydent. I dlatego to śledztwo musi zostać doprowadzone do końca. Choćby miało zająć wieki i kosztować fortunę.

– Proszę, tu jest magazyn, a wszystkie dowody tam, na drewnianej ramie, żeby nie zawilgły. – Prefekt odsunął połę namiotowej płachty. – Czy życzysz sobie, pani, pozostać sama?

– W istocie, takie jest moje życzenie.

– Zatem pozwól, że powrócę do swoich obowiązków. W razie gdybyś potrzebowała pomocy, wyślij po mnie służącego.

– Uniżenie dziękuję za okazaną mi pomoc, panie. – Io dygnęła, pochylając głowę, na co on odpowiedział ukłonem. Żegnali się, co napełniło duszę prefekta nieopisaną ulgą. Miał na dziś dość wielkopańskich bachorów mieszających się do urzędowych spraw.

Kiedy odszedł, Io zniknęła we wnętrzu przepastnego namiotu i Faron został sam. Ciągle trzymał w ręku skórzaną okładkę z dokumentem, który kobieta okazywała różnym ważniakom po drodze. Nie odkładał okładek do bagaży, bo nie ośmieliłby się grzebać w jej jukach. Czekał cierpliwie, aż sama je odbierze i schowa.

Znudzony zaczął się przechadzać. Niezbyt daleko, ot, parę kroków w tę i parę z powrotem. Niby przypadkiem zbliżył się do namiotu. Zauważył, że dziewczyna źle zasłoniła jego połę, wchodząc do środka. Pozostała dość duża szpara. Wcale go nie korciło, żeby zerknąć, co ona tam robi. Wcale. Parę kroków w tę, parę z powrotem.

W ogóle nie interesowało go, co ona robi tam w środku. Nie? To dlaczego skonstatował nagle, że stoi tuż przy płachcie i przykłada oko do szpary?

No i trudno. Skupił wzrok na dziewczynie, która akurat podnosiła do twarzy ubrania zdjęte ze zwłok oszukańczych kupców. O Bogowie! Włosy zjeżyły się na karku Farona. Ona je całowała!

Nie.

Spokojnie. Przypomniał sobie ich nocny szlak, kiedy Io parę razy zatrzymywała się i opadała na kolana. Przecież wcale nie całowała ziemi. Ona po prostu węszyła. I teraz robiła to samo.

Ale co można wywęszyć w rzeczach zabranych trupom? Faron cofnął się od wejścia do namiotu, usiłując uspokoić oddech. Ożeż kurwa! Jaką woń ona chce tam znaleźć? Wiedziony nagłym instynktownym odruchem rozejrzał się. Nikt nie patrzył w jego stronę. I w ogóle nikogo w pobliżu nie było. A on miał przecież ten przedziwny dokument Io, który zjednywał jej wszystkich ludzi na ważnych stanowiskach. Faron nie był biegły w sztuce czytania, ale sylabizować umiał! A może się dowie, kto wysłał panienkę

z wyższych sfer w dzikie ostępy? I kto wysłał ją tutaj... samą? Może ten dokument, a przynajmniej pieczęcie, którymi był ozdobiony, rzucą choć promień światła na tę tajemnicę?

Nie mógł się powstrzymać. Nikt na niego nie patrzył, a Io była zajęta za ścianami namiotu. Teraz.

Faron rozchylił okładki i spojrzał na znajdującą się w środku kartkę z wykwintnego, grubego papieru. Najpierw stracił oddech, potem poczuł zimno gdzieś w okolicach głowy i na plecach, a ręka trzymająca okładki zaczęła mu drżeć.

Kartka w środku była idealnie czysta.

Dziadek, zazwyczaj pogodny i wesoły, stał się nagle apatyczny. I to bez żadnej widocznej przyczyny. Kiedy rozbili biwak na jednym z zalesionych wzgórz, przysiadł na stoku i zapatrzył się gdzieś w dal. Trwało to i trwało, aż zaczęli się niepokoić, bo nawet nie pociągał ze swojego bukłaka. A może inaczej: nie pociągał z niego równie regularnie jak zazwyczaj. W końcu Aya i Zaina poszły sprawdzić, co się dzieje. A Elmo nie mógł uwierzyć. Dziadek zaraził je swoją melancholią. Obie dziewczyny po krótkiej wymianie zdań usiadły przy nim po obu stronach, a chwilę później jedna przytuliła się do jego boku, a druga położyła mu głowę na ramieniu. Chłopak zaczął się skradać od tyłu, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Dziadku – to był głos Zainy – a może ty się na nas gniewasz?

– Niby za co?

– Że nie chciałyśmy cię zabrać ze sobą na początku. Że nie chciałyśmy się tobą zaopiekować.

– A skąd.

– Zrozum nas, proszę. Bardzo ciężko wziąć odpowiedzialność za dodatkową osobę, w chwili kiedy nie masz co do ust włożyć.

Siwy mężczyzna wzruszył ramionami. Żeby być ścisłym – jednym ramieniem, bo nie chciał strącić głowy drugiej z sióstr.

– Chyba nigdy w życiu nie byłem głodny. Może poza jednym jedynym razem, kiedy przedzierałem się z kimś przez las. Ale to było dawno temu.

– Pamiętasz to?

– No właśnie nie.

– Aha. I męczy cię, że nic nie pamiętasz?

– Wiele pamiętam. Ja tylko nie wiem, kim jestem.

– I to jest problem, który przywołał smutek?

Dziadek zerknął na Zainę.

– Problemem jest tęsknota.

– Za czym?

– Na pewno nie „za czym". To ktoś. Ale najgorsze jest to, że nie wiem za kim. Wiem, że tęsknię, wiem, że za kimś, i w głowie nie pojawia mi się żadna twarz.

– Straszne – chlipnęła Aya i objęła mężczyznę swoim ramieniem. – Bogowie, jak ja ci współczuję!

– Ja też! Ja też! – Zaina również przytuliła się mocniej.

Elmo klął w duchu. Do jasnej zarazy! Przecież zaraz cała trójka wspólnie się tam popłacze! Należało coś zrobić, tyle że chłopak nie wiedział co.

– I co? – dopytywały jego siostry. – Co się stało w tym lesie?

– Wiem, że musiałem kogoś chronić. Ale zawiodłem. Chyba mnie złapano, ale nie wiem, bo pamiętam, że znowu znalazłem się w lesie.

– W tym samym?

– Tak. I chyba... – Dziadek opuścił głowę. – Chyba kogoś zabiłem.

– Ścigają cię teraz? – Aya najwyraźniej opacznie zrozumiała opowieść.

– To było dawno temu. Byłem wtedy młody.

Zaina kiwała głową.

Bardziej inteligentna od siostry i bardziej logiczna, na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie kostycznej. Jednak widząc smutek Dziadka, rozklejała się teraz zupełnie jak jej bardziej empatyczna siostra, która już nie hamowała łez.

– A ten ktoś, kogo miałeś chronić? Pamiętasz jakiś szczegół?

– Pamiętam.

– No? Co to było? Kim był ten ktoś?

– Pamiętam, że nie był człowiekiem.

Zaina o mało nie udławiła się śliną. Natomiast Aya spojrzała na siostrę z dezaprobatą.

– Przestań drążyć. Nie widzisz, że biedak niczego nie pamięta?

– Ale może uda się mu pomóc? Coś poskładać z kawałków?

– Tak, to dopytuj i koniecznie poznaj szczegóły o nieczłowiekach.

– Nieludziach – odruchowo poprawiła siostrę Zaina.

Elmo uznał, że nadeszła pora na jego interwencję. Podszedł bliżej, udając krok marszowy.

– Żołnierzu! – wykrzyknął. – Czy wy w ogóle znacie trzy zasady, które obowiązują na polu bitwy?!

– No znam. – Dziadek zaskoczony podniósł wzrok.

– Po pierwsze, masz być zawsze elegancki. Po drugie, nie wolno ci się zgubić. Po trzecie, jeśli się jednak zgubisz, to pamiętaj, że masz być zawsze elegancki!

– Sam cię tego nauczyłem.

– A ty jak wyglądasz?! – Elmo przyjął srogi wyraz twarzy. – Jak fleja! I w dodatku fleja zagubiona w otchłani własnej duszy!

Dziadek nie przejął się okrzykami, za to po raz pierwszy tego wieczora uśmiechnął się radośnie. Natomiast siostry Elma bardzo się przejęły. Zaczęły poprawiać ubranie Dziadka i starannie czesać jego siwe włosy.

– Pani, a czego my tak właściwie szukamy? – Faron odważył się w końcu zadać pytanie, które od dawna chodziło mu po głowie, ale wciąż brakowało mu odwagi. Nie, wcale nie bał się dziewczyny, skądże znowu. Jednak, to musiał przecież przyznać sam przed sobą, ona była strasznie dziwna. Na przykład teraz. Nie miał pojęcia, dlaczego skradali się o pierwszej szarzyźnie świtu tylko dlatego, że

poczuła dym z dalekiego ogniska. No i co z tego, że ktoś pali ogień? Mało to podróżników, przemytników, maruderów i uciekinierów kręci się w przyfrontowym pasie? A jak się kręcą, to przecież muszą spać, muszą obozować, muszą coś jeść, no i koniecznie muszą odstraszać dzikie bestie.

– Myślisz, że wolno mi opowiadać wszystkim o misji najwyższej wagi, którą mi zlecono? – odpowiedziała pytaniem Io.

„Najwyższej wagi misja”... Dobre sobie. Gdyby to cesarscy urzędnicy wysłali tu śledczego, to po pierwsze, byłby on mężczyzną. A po drugie, taki śledczy raczej nie posługiwałby się czystą kartką zamiast oficjalnego dokumentu.

Zauważyła wyraz jego twarzy.

– Ach, a ty od razu myślisz, że to cesarz osobiście zlecił mi zadania. – Wzruszyła ramionami. – Są różne wysokie czynniki zlecające zadania ludziom, którzy najlepiej potrafią je wykonać, a nie ze względu na wiek, doświadczenie czy płeć.

Jedyne, co Faronowi przyszło do głowy, to Rada Czarowników. Oni tak, mogliby wysłać czarownicę. Tu by pasowała nawet czysta kartka w roli dokumentu zmieniającego treść w zależności od potrzeb. Ale chyba nie wysłaliby aż tak młodej. No i raczej wyposażyliby swojego posłańca w oznaki swojej władzy, jak choćby w czarną opaskę na czole.

– Jesteś czarownicą, pani? – odważył się zadać kolejne pytanie.

Io roześmiała się.

– A cóż zwróciło twoją uwagę, że aż tak bardzo różnię się od zwykłych ludzi, żeby mnie brać za czarownicę?

„Czysta kartka” – chciał powiedzieć Faron, ale oczywiście nie zrobił tego, bo wyszłoby na jaw, że przeglądał jej rzeczy. I nagle do głowy przyszła mu inna myśl. Zaraz, przecież nie wolno rzucać czarów ani na oficerów cesarskiej armii, ani na imperialnych urzędników. Żaden czarownik by się nie odważył. I od razu wyobraźnia podsunęła mu możliwe rozwiązanie. A może ona jest z Arkach? Albo, jeszcze gorzej, z Troy?

Io musiała być dobrym obserwatorem, bo jej rozbawienie rosło, w miarę jak zmieniał się wyraz jego twarzy.

– Jesteś jak księga – szepnęła. – Łatwa w czytaniu dla wprawnego bibliotekarza.

– To źle?

– Wprost przeciwnie, dobrze. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć, że poza zerknięciem, jakiż to dokument kryją skórzane okładki, którymi się posługuję, nie sprzeniewierzyłeś mi się w niczym innym.

Faron poczuł, że coś kłuje go w płucach.

– Spokojnie. To malutka wina, a dzięki temu, że cię czytam, wiem, że nie zamierzasz mnie zabić i obrabować we śnie.

Nie mając pojęcia, co powiedzieć, przewodnik usiłował zmienić temat.

– I wszystkich tak czytasz, pani?

– Nie wszystkich. Widzisz, człowiek im bardziej inteligentny i bardziej wredny, tym lepiej posługuje się sztuką maskowania swoich intencji. Dlatego najłatwiej czyta mi się zwierzęta.

– To dlatego nie boisz się ani ciemności, ani lasu?

– Między innymi dlatego. A zwierzęta generalnie mnie się boją, a nie na odwrót, co czasami, niestety, utrudnia sprawę.

– W jaki sposób?

– Zaraz zobaczysz. Obcego obozowiska pilnuje wilk. Nie mogę go spłoszyć, bo uciekając, może zaalarmować śpiących.

Faron zawahał się nagle.

– Jak wilk? Sama mówiłaś, że wilki nie zaatakują ludzi o tej porze roku.

– On nie zamierza atakować. Ludzie wtargnęli na jego teren, smrodzą dymem, wataha niespokojna, to najsilniejszy z wilków poszedł przepatrzyć, co i jak.

W to jednak przewodnik już nie chciał uwierzyć. Dziewczyna mogła być i czarownicą, i wrogim agentem, choć raczej wyglądała na córeczkę wychowaną w bardzo dobrym domu. Ale powiedzmy. Może skądś odziedziczyła niezwykłe talenty, może wynajął ją ktoś,

kto właśnie chciał ukryć cel misji, zlecając go tak niepozornej osobie. Wszystko da się jakoś wytłumaczyć. Tylko nie to, że drobna kobieta boi się nastraszyć wilki w nocy w ich naturalnej siedzibie.

Nie chciał komentować. Posłusznie skradał się za nią, usiłując dojrzeć cokolwiek w pierwszych, bardzo delikatnych jeszcze szarzyznach przedświtu. Jedno musiał dziewczynie przyznać. Potrafiła chodzić po lesie. Pod jej stopami nie chrzęścił susz, nie łamały się drobne gałązki, a liście nie szeleściły na wprawianych niechcący w ruch gałęziach. Potrafiła ominąć każdą naturalną pułapkę, która mogła spowodować głośniejszy dźwięk.

No i po długiej chwili okazało się, że Io w jeszcze jednej kwestii miała rację. Faron wilka zauważył dopiero z odległości kilkunastu kroków, kiedy zwierzę już od dawna patrzyło na niego i szczerzyło ogromne kły. Zamarł w bezruchu, a dziewczyna szepnęła mu do ucha:

– Zostań tutaj, a ja spróbuję podejść tak, żeby go nie przestraszyć.

Ja pierdolę! – odezwało się coś w głowie przewodnika. Ona naprawdę myśli, że może przestraszyć takiego wielkiego byka? Taką maszynę do zabijania? Najsilniejszego z watahy, przewodnika wilczego stada? Ocipiała?

Io najwyraźniej nie słyszała jego myśli. Faron uspokajał się, że podczas ucieczki przed drapieżnikiem nie musi być wcale szybszy od wilka – wystarczy, że będzie szybszy od dziewczyny. Ona jednak podchodziła ostrożnie, robiąc przy tym jeden z najgorszych błędów w obcowaniu z dzikimi zwierzętami, czyli z wyciągniętą przed siebie ręką. Szła powoli, krok za krokiem, bez wahania i, trzeba jej to przyznać, w dalszym ciągu bez niepotrzebnego hałasu. Szelestu nawet. No ale co z tego, jak dziewczyna zaraz zginie? I nagle Faron zauważył coś dziwnego.

Sierść na grzbiecie wilka nie była zjeżona. A ogon zwierzęcia tkwił między jego tylnymi nogami.

O kur... Przewodnik nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Tak po prawdzie taki widok zdarzył mu się przed oczami po raz pierwszy w życiu. Tymczasem Io dotarła do wilka na odległość wyciągniętej

ręki. Delikatnie, a może po prostu ostrożnie dotknęła jego pyska. Dała dłoń do powąchania? Faron nie widział za dokładnie z pozycji, w której się znajdował. Uporczywie mrugał oczami, jakby chciał oczyścić je z jakichś wyimaginowanych pyłków. Io bowiem zrobiła jeszcze krok i zaczęła czochrać zwierzę po sierści na karku. Ruchem drugiej ręki natomiast przywołała Farona do siebie.

Przewodnik przełknął ślinę, trochę bojaźliwie ruszając do przodu. A może to tylko pies, który urwał się z czyjegoś gospodarstwa i lgnie do ludzi? A może to... z gardła zwierzęcia dobiegł cichy dźwięk.

To nie pies, stwierdził Faron i zrobił dwa kroki w bok. Tak dla pewności.

– Widzisz? – Dziewczyna palcem wskazała mu obozowisko.

Maleńki ogień powoli dogasał, niezbyt pomagając w identyfikacji. Na szczęście szarość przedświtu była już dużo bardziej intensywna. Można było dostrzec dwóch ludzi zawiniętych w koce.

– No. Widzę.

– Kto to jest według ciebie?

Nie miał wątpliwości.

– Regularne bandziory.

– Po czym wnosisz?

– Po tym, że wieczorem przepatrywali zrabowane komuś rzeczy. – Pokazał jakieś ciuchy porozrzucane na niewielkiej polance.

– Może po prostu bałaganiarze?

– Wątpię. No chyba że któryś nosi kobiecą sukienkę.

– No fakt. – Io skrzywiła się wkurzona tym, że nie zauważyła pierwsza i nie wyciągnęła właściwych wniosków.

A, widać, że nie jest taka idealna, jak by się wydawało, podsumował ją Faron.

– Dobra, wilczku. – Dziewczyna znowu zaczęła czochrać zwierzę tuż obok. – Zrób coś dla mnie. – Przez chwilę przypatrywała się prymitywnemu obozowisku. – Zawyj, proszę, i przebiegnij tam przez środek. Dobrze? Nie chcę, żebyś ich atakował. Po prostu przebiegnij obok nich na drugą stronę i wystarczy.

Ciekawe, w jaki sposób porozumiewała się z dzikim zwierzęciem? Może chodziło o dotyk ręki? Trudno rozstrzygnąć. Wilk w każdym razie nie chciał wyć. Z jego gardła wydobywało się coś pomiędzy charkotem a warczeniem. Potem jednak uniósł łeb i zawył tak, że Faron odruchowo się skulił. Wiedział, że takie wycie niesie się nawet na dziesięć tysięcy kroków. Na ile niosło się to konkretne, nie miał pojęcia. Na dwóch śpiących jednak wystarczyło. Mężczyźni zerwali się momentalnie, a pierwszym obrazem, który pojawił się w ich omamionych snem oczach, był biegnący przez środek polanki ogromny wilk.

Obaj chwycili za broń. Obaj też odruchowo spięli się w reakcji obronnej, stając przodem do miejsca, gdzie umknął drapieżnik. A więc tyłem do Io. Dziewczyna wyskoczyła z kryjących ją dotąd zarośli i runęła biegiem w ich kierunku. Oczywiście, teraz ją usłyszeli. Zaczęli się odwracać w stronę nowego niebezpieczeństwa, Io jednak nie dała im żadnej szansy. Pierwszemu, który stał bliżej, skoczyła na plecy, uderzając go w locie obiema nogami. Sama przy tym upadła na ziemię, podniosła się błyskawicznie i popchnęła następnego. Kiedy cofnął się odruchowo, kopnęła go w nogę. Wszystko można przeskoczyć, prawie każdą przeszkodę. Oprócz własnej nogi. Mężczyzna przewrócił się, klnąc, tuż obok swojego kolegi.

– Leżeć! – krzyknęła. – Leżeć, gady!

Miała w ręku jakąś broń. Coś jakby szpikulec, bo na pewno nie miecz. Jakby naostrzony pręt z przedziwną rękojeścią, a właściwie dwiema. Faron zobaczył to coś po raz pierwszy w życiu. I od razu mógł się zapoznać z instrukcją obsługi. Jeden z bandytów, ten pierwszy, zadziwiająco sprawnie uniósł się na czworakach, chwycił swój miecz i świsnął długim ostrzem, chcąc najwyraźniej chlasnąć napastniczce przez łydki. Nie był jednak wystarczająco szybki. Dziewczyna przeskoczyła nad przelatującą nad trawą klingą i wbiła mu swoje ostrze dokładnie pod obojczyk. Faron aż syknął odruchowo. To nie był ciężki miecz, tylko leciutki, wyostrzony

szpikulec, który dotarł do serca bez przeszkód, bez wysiłku ze strony Io. Zabił rosłego przecież mężczyznę momentalnie.

Faron szybko też zrozumiał, po co tę broń wyposażono w dwie rękojeści. Dziewczyna chwyciła właśnie za obie i znowu bez trudu wyciągnęła narzędzie z bezwładnego już ciała. Postronnego obserwatora, jakim był przewodnik, zaskoczyła mała, wręcz minimalna ilość krwi, która pojawiła się wokół rany.

– Leżeć! – powtórzyła Io, przykładając ostrze swojego szpikulca do karku drugiego bandyty.

– Wy cesarscy? – wystękał.

– Nie. Prywatni.

– Dla zemsty przysłani? Za czyjąś krzywdę?

– Nie. Gówno mnie obchodzisz.

– Bogom niech będą dzięki – westchnął rozbójnik z wyraźną ulgą.

Dziewczyna musiała się uśmiechnąć, bo w jej głosie dało się wychwycić lekkie nutki wesołości.

– Ja bym tak pochopnie Bogom nie dziękowała za to, że mnie tu zesłali. Przeżyjesz tylko wtedy, jeśli twoje odpowiedzi mnie zadowolą. Inaczej będę cię odcinać kawałek po kawałeczku.

– A co chcesz wiedzieć, pani?

– Co wiesz o ataku na przemytników ludzi? Podczas przeprawy przez rzekę.

– Ja nic... Aaaaa!!!

Głupia odpowiedź bandyty zamieniła się w wycie, bo Io obcięła mu ucho. Jej szpikulec musiał mieć inny kształt niż okrągły. Miał swoje ostrze, i to doprowadzone osełką do perfekcji.

– Za co? Za co?

– Nie udawaj poczciwego idioty, proszę. Ja nie przypadkowych bandziorów napadłam. Wiem, że byłeś tam w zapadającej nocy.

Rozciągnięty na ziemi bandyta zamarł przerażony.

– Skąd możesz wiedzieć, że tam byłem? Skąd możesz wiedzieć, że zapadała noc?

Io znowu się uśmiechnęła.

– Mam swoje sposoby. I nie przyszłam po ciebie w ciemno.

– Ale ja nic złego tam nie zrobiłem...

– Następny będzie nos!

– Ja... tak... ja wszystko powiem. Wszystko powiem. Jak było. Naprawdę.

– Przestań się mazgaić. Litości we mnie nie wzbudzisz. – Tym swoim wyostrzonym szpikulcem Io sięgnęła po skłębioną na ziemi, zrabowaną komuś sukienkę i lekko ją podniosła. Nawet Faron zauważył na niej plamy krwi. – I nie oczekuj po mnie zmiłowania. Ty go nie okazałeś.

Bandyta chyba dopiero teraz zrozumiał, jak poważna jest jego sytuacja. I pojął też, że żadne kluczenie w niczym mu już nie pomoże.

– Mów – rozkazała Io. – Co tam się stało?

– Czailiśmy się z kolegą na kupców. Ale ci, co nadjeżdżali, nie byli kupcami. Mieli broń, dużo broni, sporo zrabowanych bagaży i pewnie sute sakiewki. Z daleka wyczuliśmy, że to handlarze ludźmi. A tych skurwieli lepiej nie ruszać. To straszne świnie.

– Och, bo mi łzy popłyną – zakpiła dziewczyna. – Nie ruszyliście, bo was było dwóch, a ich kilkunastu.

– Trzech nas było – bandyta wprowadził poprawkę. A Faron stwierdził, że dziewczyna, choć niesamowicie skuteczna, nie jest jednak wszechwiedna. – Oni... zaczęli się przeprawiać. Bród jest w takim miejscu, że każdy widzi... Lepiej nocleg rozbić po stronie, gdzie czekaliśmy.

– Pomiń szczegóły. Kto ich zaatakował?

– Nie wiem – ni to jęknął, ni pisnął leżący na ziemi zbój, usiłując jednocześnie schować swój nos w trawie. – Ciemność zapadała. Nie widziałem, bo walka zaczęła się na końcu ich pochodu. Tam był wrzask i tam ludzie spadali z koni.

– A potem?

– Jeźdźcy, ci, co już byli w wodzie, zawrócili.

– Wahali się? Czy zwrot na komendę?

– Nie było w nich wahania. Ale też nie było i komendy. Po prostu zawrócili, jakby stało się coś, co wymagało ich interwencji. Ale nie

byli ani przerażeni, ani nawet niespokojni.

– I co dalej?

– Jak dojechali na tamten brzeg, to zaczęli spadać z koni.

– Ilu było napastników?

– Nie wiem. Nie widziałem.

– Ktoś ich skosił z kusz? Z pozycji w lesie?

– Nie, pani. Ktoś ich ścinał. Ale ja niewiele widziałem.

– A jak długo trwała walka?

– Niedługo. Jak raz wszystko ucichło. A myśmy siedzieli w chaszczach po drugiej stronie i czekaliśmy Bogowie wiedzą na co. Nic nie było słychać. Żadnych komend, odgłosów rabowania, ani nawet jęków rannych. Cisza była. No tośmy wyrozumowali, że tamci błyskawicznie uderzyli, swoje osiągnęli i już sobie poszli. Że może o jaką zemstę chodziło? I że może jeszcze wśród zwłok coś znajdziemy cennego.

– Hieny.

– No i śmy ruszyli.

– Przez wodę?

– Przez wodę. I trupy śmy znaleźli. Nieruszone. Z sakiewkami. Ale trzeba było wszystko po omacku, bo tylko gwiazdy już świeciły. I strach nas zdjął.

– Dlaczego?

– No, że to pewnie pułapka. Kto zostawia pełne sakiewki? No kto?

– No faktycznie. – W ton głosu dziewczyny wkradła się teraz zgryźliwość. – Dosłownie niesłychane!

– I włosy nam się zjeżyły ze strachu, ale pieniądz gotowy do zabrania był. Aż żal zostawić. I zaczęliśmy obmacywać zwłoki, aż kolega powiedział, że ktoś mu obciął rękę.

– Co?

– Powiedział, że ktoś mu obciął rękę. Nie krzyknął, nie wrzasnął, nie zawył z bólu, tylko... oznajmił. No to z drugim kolegą patrzymy, a tu jakaś straszna postać się podnosi. Z mieczem. Bez słowa. I świst słychać tylko. I ten kolega bez ręki to już głowy nie ma. No to z drugim kolegą zaczęliśmy spierdalać.

– Wpław?

– Jak się dało, pani! Jak się dało! Niewiele pamiętam...

– A wierzę, wierzę.

– Na szczęście konie mieliśmy uwiązane w kryjówce, bo nawet rano na miejsce bijatyki baliśmy się wrócić.

Io skinęła głową. Widać było, że usłyszała to, co chciała usłyszeć. Zabiła bandytę czystym ciosem w tętnicę szyjną i podniosła się szybko, żeby nie obryzgała jej krew.

– Co? Wyrzuty sumienia? – zapytała Farona, czyszcząc wąziutką klingę szmatką. A potem schyliła się jeszcze i podniosła dziecięcą tunikę. – Bachorowi też nie darowali – mruknęła. – Nie ma co ich żałować.

– Ja ich nie żałuję – powiedział przewodnik.

Tak po prawdzie nie umiał słowami określić stanu, w jakim się znajdował.

Ludzie zbierali się na leśnym trakcie, tuż przy szemrzącym strumieniu, żeby przynajmniej wody było pod dostatkiem. Znać po nich było głód i niedostatek. Mieli na sobie nędzne, poszarpane ubrania, rzadko kto dysponował jakimś zwierzęciem pociągowym, a jeszcze rzadziej zdarzał się wóz wypakowany skromnym dobytkiem. Ludzie, którzy chcieli uciec z Luan, nie byli przestępcami. Nawet niekoniecznie wszystkich przycisnął zły los. W grupie przeważali ludzie młodzi, chłopcy i dziewczęta, przekonani, że tu, na miejscu, dzieje się im krzywda i lepiej szczęścia szukać na obczyźnie, gdzie, wiadomo, ani biedy, ani głodu nie uświadczysz, bo tam wszystko lepiej zorganizowane. Poza nimi dołączyło kilku starszych, niedołężnych, pod opieką swoich dzieci, kilka kalek, a także paru domorosłych kombinatorów, co to zawsze wszystko wiedzą lepiej.

– No i widzisz? – Elmo podszedł do Dziadka. – Mówiłeś, że tamten pośrednik to oszust. A co się okazało?

– Mówiłem, że oszust, bo to był oszust.

– Ale prawdę mówił. Konwój czeka w miejscu, które nam oznaczył.

– Jak ty nie rozumiesz prostych rzeczy... – zasępił się siwy mężczyzna. – Posłuchaj. Znałem kiedyś starego strażnika miejskiego. Zęby zjadł w swoim zawodzie, ulic patrolować już nie mógł, do niczego się z pozoru nie nadawał. Ale pewien bardzo bogaty kupiec docenił jego doświadczenie i zatrudnił go za ciężkie pieniądze, osładzając mu starość.

– Do czego go wziął?

– Kupiec dał strażnikowi bujany fotel miękko wyścielony i pled do okrycia. Jedynym zadaniem starego było siedzenie przy wejściu do wielkiego składu towarów i wskazywanie palcem młodym ochroniarzom, na którego z wchodzących mają zwrócić baczną uwagę.

– A po co? Nie lepiej wszystkich pilnować?

– Skład olbrzymi, ludzie chcą w towarach przebierać, a nie lubią, jak ktoś im z podejrzliwością na ręce patrzy. Dziadyga więc, choć opłacany złotem, oszczędzał więcej, niż kosztował, a jednocześnie z kłopotu wybawiał kupca, który nimb zdobył, że ufa swoim klientom, a w jego składzie nigdy kradzieży nie było.

– I po co mi to mówisz?

– Ano po to, żebyś zrozumiał, że mam doświadczenie. Jeśli mówię, że ktoś jest oszustem, to jest oszustem. I koniec.

– A... ale... jaki cel miałoby mieć to oszustwo, skoro wszystko się zgadza?

– Nie wiem. Rozumów wszystkich nie pojadłem i w Boga się nie zamieniłem.

– A, rozumiem. – Elmo objął Dziadka ramieniem i przytknął czoło do jego czoła. – Wiesz, dlaczego tak bardzo cię lubię? – zapytał, patrząc z minimalnej odległości w jego oczy. – Bo jesteś tak bardzo pryncypialny.

– A ja lubię młodzieńców, którym nieobce są skomplikowane słowa.

Dalszą wymianę zdań przerwały siostry, które wróciły właśnie z plotkarskiego rozpoznania.

– Ruszamy jeszcze przed świtem – powiedziała Aya. – Wszystko ma być gotowe do wymarszu. Każdy musi zdjąć sandały.

– A po co? – zainteresował się Dziadek. – I dlaczego ruszamy przed świtem?

– Żeby nas żołnierze cesarscy nie zauważyli po ciemku. – Dziewczyna tłumaczyła starszemu mężczyźnie powoli. Z jego umysłem musiało było coś nie tak, skoro nie rozumiał najprostszych rzeczy. No ale co się dziwić, jeśli stracił on pamięć.

– Zaraz. – Dziadek uśmiechnął się promiennie. – Od granicy tak na oko dzieli nas pół dnia drogi. Jeśli więc ruszymy przed świtem, to w zasięg wzroku ewentualnych patroli dotrzemy dokładnie w południe.

– A jeśli cesarscy tutaj właśnie, w tej okolicy, będą akurat chcieli patrolować?

– Tutaj istnieje zaledwie takie ryzyko. – Dziadek przekomarzał się z Ayą rozbawiony. – Na granicy będziemy mieli pewność, że tam są posterunki.

– Nasi przewodnicy przeprowadzili na tamtą stronę niejeden konwój!

– Nie będę pytał, skąd wiesz, bo na pewno ci sami powiedzieli. Ale powiedz: dlaczego mamy zdjąć sandały?

– Po to, żeby móc się poruszać bezszelestnie! – Dziewczyna była zdumiona niedomyślnością Dziadka.

– Aha. A nie powiedzieli, żeby mułom zdjąć podkowy z kopyt?

Siostry spojrzały na siebie, jakby każda szukała wyjaśnienia u drugiej.

– Pewnie powiedzą, żeby kopyta obwiązać szmatami – odparła Zaina.

– Wiele razy czytałem o tej sztuczce w romansach rycerskich, ale w życiu to jeszcze czegoś takiego nie widziałem. I coś mi się zdaje, że

to albo niemożliwe, albo nieskuteczne.

– Szukasz dziury w całym.

– Nie szukam. Już wiem, jak poradzimy sobie z mułami, a inni poradzą sobie z kołami od wozów. Szmatami.

– Szukasz!

– Nie szukam! Powiedz mi tylko, jak matki mają dusić niemowlęta, żeby nie płakały? Ręką czy też szmatą?

Zaina podniosła palec, żeby powstrzymać Dziadka.

– Z tobą nie można wytrzymać.

– Już o nic więcej nie spytam. Nawet o tego suchotnika, który kaszle przez cały czas. – Siwy mężczyzna wskazał nieszczęśnika leżącego nieopodal na kocu. – Nie zapytam, czy go zostawiamy, dobijamy, czy w drodze będziemy dusić kneblem.

Elmo wszedł między Dziadka i siostry, przerywając dyskusję.

– Strach ma wielkie oczy – palnął dość głupio. – A wszystko pewnie wyjaśni się w praniu.

– Że niby ja się boję?

– Nie. Tego nie mówiłem.

– No to spróbuj zrozumieć, że ci ludzie nie przeprowadzą was przez granicę.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– To jest normalnie czarnowidztwo – powiedział chłopak. – Wiesz?

Faron nie chciał tego przyznać, ale zaczynał bać się dziewczyny, którą przeprowadzał przez nadgraniczne lasy. Ona była jakaś inna. I nie chodziło bynajmniej o to, że zarżnęła dwóch ludzi bez zmrużenia oka. Nie chodziło o to, że jej ręka nawet nie zadrżała. Przewodnik nie umiał nazwać tej cechy. Nie znał jednak nikogo, kto tak konsekwentnie... co? Niestety. Akademii żadnych nie kończył i zasób słów miał ograniczony. A teraz właśnie przydałoby mu się jakieś wydziwiaste, używane jedynie przez mędrców w bibliotekach,

które od razu określiłoby, co i jak. No trudno, mógł jedynie obserwować „podopieczną” spod oka.

Io czyściła swoją dziwną broń. Faron nigdy w życiu nie widział tak doskonale utrzymanej klingi. Dziewczyna zajmowała się nią z delikatnością medyka operującego czyjeś oko, ostrzyła precyzyjnie jak mistrz obrabiający diament w najdroższej biżuterii. A potem jeszcze konserwacja, wosk miękki, wosk twardy, lejący się tłuszcz na wierzchu. Masakra!

Przewodnika dręczyła ciekawość. Zapytać, nie zapytać? No co, przecież nie wyprowadzi sztychu i nie zatopi ostrza w jego piersi, bo za bardzo się napracowała nad doprowadzeniem go do stanu doskonałości, żeby od razu na nowo stępić i pobrudzić krwią. No ale z drugiej strony to na pewno czarownica. Faron był świadkiem, jak gadała z wilkiem, psiajucha. E tam, nie jest żadną magiczką. Przecież słyszał o zwykłych ludziach, którzy długo żyli w puszczy i potrafili obłaskawić każde dzikie zwierzę. No tak, tyle że ona była za młoda, żeby spędzić pół życia w puszczy.

W końcu zdecydował się zadać pytanie. Ale nie to, które najbardziej go nurtowało. Na razie wolał wybadać teren.

– Pani, a co to za dziwna broń? Jeszczem takiej nie widział.

Dobry znak. Uśmiechnęła się.

– Różnie ją zwą. Długim nożem, długim sztyletem albo patrząc z drugiej strony, cienkim mieczem, kusym mieczem czy nawet biedamieczem. Kowal, który wykuł ten konkretny egzemplarz, mówi na tę broń jeszcze inaczej. Szpada.

– Hm. A czemu to takie dziwne?

– Widzisz, miecz jest toporny i przeznaczony dla silnych mężczyzn. Tym się wali na chama, tnie, a nawet zadaje ciosy. Ale miecz jest za ciężki, więc celować można tylko tak mniej więcej, na korpus przeciwnika. A szpada jest bronią dynamiczną, szybką i niesamowicie dokładną. Jest przez to koszmarnie niebezpieczna, bo można nią zadawać precyzyjne wkłucia. Dokładnie w serce, w wątrobę, w trzustkę, a jak jestem we wrednym nastroju, to nawet

konkretnie w jaja. Miecz jest dla mężczyzny, a szpada to broń kobieca.

– He. A... a po co dwie rękojeści?

– Bo możesz chwycić na różne sposoby. Możesz uderzać z dołu, z góry, na wprost, z prawej czy z lewej. To tylko broń do kłucia, więc trzeba być bardzo precyzyjnym.

– Przeciwnika z mieczem w jednej i sztyletem w drugiej ręce to tym nie pokonasz, pani.

– Taki ktoś nie będzie miał ze mną żadnych szans.

Wyjęła ze stojących obok juków jeszcze inną broń. Przypominała cienki miecz, ale po jednej stronie wcale nie miała ostrza, tylko zęby. Zupełnie jakby w wielkim grzebieniu.

– Popatrz. Facet z mieczem nie będzie się ze mną fechtował, bo nie ma żadnych szans. Moja szpada jest lżejsza i sto razy bardziej manewrowa. Więc on musi wykorzystać zalety miecza. Pewnie uniesie go za głowę i będzie chciał zakończyć sprawę rozpłataniem mnie na dwie połówki. A ja wychwytuję jego ostrze puginałem grzebieniowym, klinga miecza więźnie między zębami. No i sytuacja wygląda tak: po blokadzie pozostają nam swobodne drugie ręce. On w swojej ma sztylet, ja szpadę. Trzy razy dłuższą. Kto wygra?

Faron zaczął się śmiać. Ale sprytne. Nie mógł za dobrze ogarnąć możliwości, które rodziły się w takiej konfiguracji.

– Tyle że z rycerzem zakutym w zbroję, który ma dwuręczny miecz, to nie wygrasz, pani – powiedział.

– Nie, bo nie będę podejmować z nim walki. Ja lekka i niczym nieobciążona, więc ucieknę mu, kiedy zechcę, a on, zakuty w blachę, nigdy mnie nie dogoni.

– Aż strach myśleć, czego to ludzie nie wymyślą. – Kręcił głową w podziwie.

Nagle zdał sobie sprawę, że to, o czym opowiadała mu Io, przypomina trochę sytuację na granicy. Wielka imperialna armia nie może zgnieść malutkiego królestwa. Bo cesarska piechota należy do najcięższych na świecie. A piechota Arkach jest leciuteńka. Na bezleśnej równinie nie wytrzymałaby walki nawet przez dwie

modlitwy. Ale w górach, wśród gęstych drzew? Po prostu wystarczy szybko uciekać i czekać, aż ciężkozbrojny zmęczy się w pogoni. A wtedy manewr, cios z boku, z zaskoczenia... I co z tego, że lekki? Szpadą też łba nie odrąbiesz. A lepiej nią nie zarobić.

Ta myśl znowu przypomniała mu to, o co chciał spytać. Teraz było nawet jakby łatwiej. Io dzisiaj była w sprzyjającym nastroju, bez fochów, stanów głębokiego zamyślenia, które przypominały trans i napawały Farona strachem. Dziś była przyjazna, rozgadana i wyraźnie w dobrym nastroju. Odważył się więc.

– Pani?

– Tak?

– A czego my tu szukamy, pani?

Na szczęście nie zmienił jej się wyraz twarzy. Nic nie wskazywało na zbliżający się wybuch gniewu, więc dodał szybko:

– Jakbym wiedział, to może bardziej bym się przydał.

– Tak kombinujesz? – zapytała, ale uśmiech nie schodził jej z ust. – Ciekawość spać nie pozwala?

Chciał zaprzeczyć, ale instynkt ostrzegł go, że kłamstwo byłoby od razu rozpoznane i raczej nie policzone przez nią jako zasługa. W związku z tym nie powiedział niczego.

Io w takim razie postanowiła być szczera.

– Wysłano mnie, żebym odnalazła pewnego mężczyznę. Bardzo niebezpiecznego mężczyznę, żeby choć trochę zbliżyć się do określenia, które jest zgodne ze stanem faktycznym.

– I wysłano cię samą, pani?

Rozłożyła ręce w geście „no i cóż zrobisz?”.

– Chyba niewielu by się podjęło. – Jej ton nagle stał się kpiący. – A poza tym mało kto ma tak unikatowe zdolności jak ja.

Faron nie ustawał w indagacjach.

– A czemu interesują cię masowe mordy, jak to mówisz? Dlaczego szukasz skupisk wielu trupów, pani?

– W ten sposób łatwiej go znaleźć. Jego ślady.

– Że niby on jest jednym ze sprawców? To człowiek jakiejś bandy?

– Nie. Interesują mnie tylko takie zwałowiska trupów, które nie wyglądają, jakby to jeden oddział uderzył na drugi. Nie wyglądają na pobojowisko po równej walce. – Nagle spoważniała. – Ja szukam jatek, w których sprawca był sam.

– O Bogowie! – wyrwało się Faronowi. – Sam?!

Potaknęła.

– I ktoś sam jeden wykończył tych zbrojnych w rzeźni na wzgórzu?

– Tak.

– I tych handlarzy ludźmi na brodzie przez rzekę? Sam jeden?

– Sam jeden.

Przewodnik pokręcił głową. To, co usłyszał, ewidentnie nie chciało się w niej zmieścić. A przynajmniej nie naraz. Dał więc myślom czas na ułożenie się, zanim zapytał ponownie.

– A czemu kiedy do zwłok tych na rzece podeszli rabusie, to zabił tylko jednego z nich? Dlaczego nie gonił dwóch pozostałych?

Io znowu pokazała swoje lśniąco białe zęby, które świadczyły, że jest panienką z bardzo dobrego domu, a nie jakimś tam wynajętym mordercą wytrwale podążającym za tropem ofiary.

– On nie jest już młody. Nie gonił bandziorów, brnąc po pas w wodzie, boby ich nie dogonił.

Przewodnik wziął głębszy oddech i poruszył jeszcze jedną kwestię, która go nurtowała.

– Pani, a jak już trafisz na niego, to jak zamierzasz... – Zawiesił głos, bojąc się powiedzieć „złapać” albo „zabić”.

Io wzruszyła ramionami.

– Wyprzedza nas, ale czuję, gdzie zmierza. Myślę więc, że nie ma co mitrężyć już czasu po tej stronie granicy. Przedzieramy się jutro do Arkach.

– Na drugą stronę frontu?

Skinęła głową.

– Tam zastawimy na niego pułapkę.

Przemytnicy rzeczywiście obudzili cały konwój uciekinierów tuż przed świtem, starając się nie robić hałasu. Jeden z nich krążył wśród ludzi, zbierając do wielkiego worka to, co mieli ze sobą do jedzenia.

– Podczas przemykania się między wojskami nie wolno rozpalać ognisk – tłumaczyli swoje postępowanie. – Nie wolno się zatrzymywać, nie wolno niczego jeść.

– Ale rozumiemy i gotowi jesteśmy powstrzymać się od jedzenia – odpowiadali nieliczni. – Po co zabierać nam zapasy?

– Bo nie może być tak, że jeden głodomór, który nie zdoła wytrzymać bez żarcia, narazi całą grupę. Na wiosnę jakiś żarłok sprowadził nam na karki setkę piechoty!

Słysząc tej wagi argumenty, ludzie oddawali do worka swoje skromne racje. A ponieważ przemytnicy nikomu nie wierzyli na słowo, pozwalali im przeszukiwać bagaże, które mieli ze sobą. Przemytnik kierujący tym procederem nigdzie nie napotykał oporu. Pech nastąpił, dopiero kiedy podszedł do grupy Elma.

– Co tam masz w sakwie? – Wskazał kościstym palcem rzeczy starszego, siwego mężczyzny, który im towarzyszył.

A Dziadek jak to on. Uśmiechnął się do mężczyzny z całym swoim sprzyjaniem, radością życia, optymizmem i miłością do ludzi, którą się charakteryzował. I powiedział:

– Spierdalaj!

Wtedy stała się rzecz niespodziewana. Elmo podskoczył bliżej, spodziewając się awantury, ale przemytnik z wielkim workiem tylko zerknął na radosny uśmiech przed sobą i z rezygnacją machnął ręką. Bez słowa ruszył dalej, rekwirować żywność u innych.

Coś nie pasowało do obrazu, który Elmo wytworzył sobie w głowie, ale nie mógł sobie uświadomić co.

– Dalej im wierzysz? – zagadnął Dziadek.

– A ty dalej uważasz ich za oszustów?

– Przestańcie – włączyła się Aya. – Zaraz ruszamy, a wy ciągle swoje.

– Siostrzyczka ma rację – natychmiast poparła ją Zaina. – Przed nami ciężki dzień. I wiele wysiłku.

– Toteż nie opóźniam. Chcę chłopakowi opowiedzieć coś o życiu, ale równie dobrze mogę to robić w drodze. Jeśli nie będziemy biec, to się nie zadyszę.

Aya pokazała Dziadkowi język. A Zaina wydęła policzki, by potem powoli wypuścić z nich powietrze. Elmo jednak się zainteresował.

– O czym chcesz mi powiedzieć?

– A o tym, że oszust nie ma tak charakterystycznej twarzy i zachowania jak złodziej, którego doświadczony strażnik od razu wskaże palcem przy wejściu do kupieckiego składu.

– A jak wygląda oszust?

– No... wygląda jak oszust. Tyle że uświadamiasz to sobie dopiero po sprawie, kiedy już staniesz się jego ofiarą. I zaczniesz złorzeczyć, pomstować na siebie. „No przecież od razu widać było po nim, kim jest. Dlaczego dałem się otumanić?”

– No, dlaczego?

Dziadek tylko westchnął.

– Znałem wielu oszustów. Niektórzy byli wirtuozami w swoim fachu. Ale powiem ci, że żaden nie działał w sposób jakoś tam choć trochę inteligentny, wyrafinowany. Nie. Oni zawsze korzystają z tego, że człowiek po prostu nie widzi rzeczy takimi, jakie są w istocie. Człowiek widzi rzeczy takimi, jakimi chciałby je zobaczyć. I tyle.

– A jak to się ma do naszej obecnej sytuacji?

– Wy właśnie przypominacie takich, co to dadzą się wodzić za nos, bo ewidentnie tego chcecie.

– My?

– Posłuchaj. – Dziadek nie dał sobie przerwać. – Oszust nie działa tak, jak się tobie wydaje. On nie działa z jakimś głębokim planem. On sprawdza, jak daleko może się posunąć. Przykładowo: masz tysiąc złotych monet. Oszust mami cię, sprzedaje swoją wizję,

prymitywną i ciężkostrawną, ale ty sam ją usprawniasz, łatasz luki, interpretujesz wszystko na jego korzyść. No i po chwili tysiąc złotych monet staje się jego własnością, jako pożyczka, inwestycja w jego nieistniejące interesy albo po prostu darowizna. Obojętnie. W każdym razie każdy normalny przestępca, uzyskawszy wielki łup, powinien się oddalić, zwiać, ukryć się. Oszust nie. On przecież odkrył kogoś, kogo może wyssać do suchego. Pyta więc, czy masz jeszcze jakieś pieniądze. A ty mówisz, że masz dwadzieścia srebrnych na bieżące wydatki. No to on cię prosi, żebyś mu je dał. Już się nawet za bardzo nie kryje i nie wymyśla żadnego powodu. Ty dasz mu pieniądze, bo dwadzieścia srebrnych będzie dla ciebie potwierdzeniem, że wcześniej ulokowałeś tysiąc złotych dobrze, w zaufanym miejscu.

– Możesz...

– Czekaj. Skracając opowieść, kiedy już będziesz zupełnie bez pieniędzy, pójdziecie sobie przez miasto. Oszust wejdzie do jakiegoś budynku...

– I ucieknie?

– Nie! – Siwy mężczyzna tylko potrząsał głową w zatroskaniu nad naiwnością chłopaka. – Wróci. I powie, że napiłby się wody, i spyta, czy masz mu coś pożyczyć. A ty masz ostatniego brązowego, ale dajesz mu, bo już nie możesz zrobić nic innego.

– Najpierw chciał tysiąc złotych monet, potem dwadzieścia srebrnych, a na koniec będzie jeszcze ryzykował dla jednego brązowego?!

– Właśnie. Tak działają oszuści, jeśli znajdą dojną krowę. No i on się przy tobie niczego nie boi, bo to ty będziesz dbał o jego bezpieczeństwo.

Elmo prychnął ze złością.

– To jakiś absurd.

– Tak? A powiedz mi, co cię tak poruszyło w reakcji tego gamonia, który zabierał wam resztki jedzenia?

Chłopak zastanowił się przez chwilę, ale chyba nie potrafił udzielić odpowiedzi.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Ja ci powiem. – Za to Dziadek nie miał wątpliwości. – Sądziłeś, że jeśli mu powiem, żeby spierdalał, to facet zacznie mnie namawiać, a może grozić, a może nawet będzie chciał siłą sprawdzić moją sakwę. A on nie. Kiedy odmówiłem, bez słowa machnął ręką i poszedł.

– Może nie chciał szarpać się ze starszym człowiekiem?

– Jak to? Przecież groził wszystkim. Twierdził, że jednostka nie może narazić całej grupy.

– Więc może sądził, że to ja o ciebie zadbam i to ja cię przypilnuję.

– Widzisz? Już zacząłeś sam za niego szukać usprawiedliwienia dla tak dziwnego zachowania. – W głosie Dziadka pobrzmiewały nutki triumfu. – A tymczasem on po prostu zrozumiał, że ja nie poddaję się jego narracji, że widzę rzeczy, jakimi są. Po co mu zatem tracić czas na mnie, ruszył golić innych frajerów.

Obie dziewczyny, lekko zaniepokojone, zerknęły na brata. Ten długo zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu uśmiechnął się i rzucił:

– Wyjaśnij mi jedną rzecz, proszę. Skoro to oszuści, to co jeszcze mogą od nas wyłudzić? Nawet muły musieliśmy sprzedać. Po uiszczeniu zapłaty za przeprowadzenie przez granicę nie mamy już nic.

Siostry odetchnęły z wyraźną ulgą.

– No! – Aya posłała w powietrzu pocałunek w stronę brata. – I to jest argument nie do zbicia. – Przeniosła wzrok na Dziadka. – Co jeszcze mogliby nam zabrać?

Ten lekko przygryzł wargę.

– Nie mam pojęcia. Ale jeszcze dzisiaj się tego dowiemy.

– Stać! I złazić z koni! – Zdecydowany głos nie dopuszczał sprzeciwu. – I tak, żebym widział wasze łapska!

Io i Faron posłusznie zatrzymali wierzchowce i sprawnie zeskoczyli z siodeł. Byłoby bardzo głupio przeciwstawiać się posiadaczowi tak dobrze wyćwiczonego głosu, w dodatku, sądząc z pewności siebie, działającemu na własnym terenie. Oboje więc posłusznie odsunęli dłonie od ciała, aby pokazać, że niczego nie ukrywają. Dopiero wtedy z pobliskich zarośli wyszedł patrol żandarmerii polowej w liczbie sześciu żołnierzy dowodzonych przez dziesiętnika.

– A co to za kręcenie się za linią wojsk, co? – Dowódca na widok ładnej dziewczyny szybko przeszedł w tryb konwersacyjny w miejsce nakazowego. A nawet można byłoby go nazwać „droczącym się". – Jesteście kandydatami na stryczek, który umieścimy gdzieś tu w pobliżu?

– Na dwa stryczki – poprawiła go odruchowo Io. – Nie. Nie jesteśmy.

– No to w takim razie umieszczę was w jamie głęboko wykopanej w ziemi, gdzie jest woda po kostki i pływają w niej szczury. Na dziesięć dni!

– Panie – dziewczyna podjęła tryb droczący – mam pisma, które stwierdzają w sposób oczywisty, że jestem tu oficjalnie.

– Na nic mi twoje pisma, dziecko, bo ja nie umiem czytać.

– Oj. To prowadź do oficera!

– Nie, wyczytam, czyś prawdomówna, z twoich głębokich oczu, najlepiej na uboczu.

– Jeśli chcesz czytać z moich oczu na uboczu – Io podjęła jego rym – to nie wiem, czy nie wybiorę jednak głębokiej jamy ze szczurami na dziesięć dni!

Tak rozbawiła tym szeregowych, że zaczęli rechotać. Dziesiętnik również rozszerzył usta w uśmiechu.

– Mów mi tu bez kłamstwa, wygadana babo, kim ty jesteś i czego szukasz w naszych przepięknych lasach.

– Jestem czeladnikiem lekarskim...

– No nie. Dziewczyna uczniem lekarza! Toż tu front, dziecko. Sami mężczyźni i zapewniam, nikt z nich nie zamierza rodzić.

Io zerknęła na Farona i wyjaśniła, bo najwyraźniej jej przewodnik nie zrozumiał.

– On uważa, że jedyny związek kobiety z medycyną może polegać na byciu akuszerką. To dopuszcza, reszty nie, mizogin jeden!

Tego słowa jednak nie zrozumiał nikt ze stojących na trakcie. Nikt więc się też nie obraził.

– No to widzę, że muszę cię jednak zaprowadzić do oficera, wygadana panno – podjął dziesiętnik, ale jeszcze zastanowił się chwilę. – Ale może jednak dobrowolnie zgłosisz się do odsiadki w jamie. I daruję ci dziesięć dni. Idź na trzy.

– Dziękuję ci, panie, za wspaniałomyślną propozycję. Pozwól jednak, że odmówię sobie tej przyjemności.

– No dobra, to chodźcie. – Dowódca patrolu wskazał kierunek, ale wcale nie ruszył przodem. Wolał iść tuż obok dziewczyny. – Z tą jamą to kłamałem, że taka głęboka. I nie ma w niej szczurów – kusił. – Co najwyżej wąż może się zdarzyć, no i pająki.

– Dziękuję ci, panie, za troskę.

– To może jednak? Na dwa dni?

– Z prawdziwym żalem muszę odmówić.

Faron westchnął w duchu. Jego podopieczna gadane to miała. No i potrafiła załatwiać sprawy po dobroci. A to najważniejsze w życiu. Właściwie to właśnie po tym przewodnik rozpoznawał ludzi. I dzielił ich na tych, co potrafili przyjąć postawę przyjazną i radzili sobie na miękko, oraz tych, co tylko siłą przepychali się przez życie. Ci drudzy, jeśli nie zostali królami, ginęli szybko.

Na szczęście oficer żandarmerii, który mógł podjąć decyzję, nie stacjonował tuż za linią walk, ale na głębokim zapleczu. I okazał się człowiekiem rozsądnym, skłonnym bardziej zrzucać sobie z głowy dodatkowe obowiązki, niż wkładać nowe. Wolał dziewczynę spuścić, z czym tam chciała, niż zajmować się nią i patrzeć na ręce.

– I co tu masz robić? – Studiował papiery, które przywiozła z Syrinx. Io tym razem nie użyła swojej słynnej już białej kartki w skórzanych okładkach. Miała prawdziwe listy od lekarzy ze stolicy, w tym i od lekarza wojskowego.

– Mam napisać raport na temat medycyny frontowej.

– A co to takiego?

– No... Medycy z Troy napisali pracę o potrzebie stworzenia lazaretów. Czasy się zmieniają.

– A co to lazaret?

– Szpital frontowy dla rannych żołnierzy.

Oficer parsknął śmiechem.

– Toż rannych leczą koledzy, a jak ktoś ciężko dostał, to sobie zdycha pod opieką kapłana. Taki los żołnierski...

Nie zamierzał wdawać się w te nowomodne aberracje i cała sprawa w ogóle go nie obchodziła. Dziewczyna nie była agentem liczącym ich siły i nie będzie obserwować ruchów wojsk. Nie wyglądała też na trucicielkę, która doleje coś żołnierzom do kotła. Jedyne, co w jej sprawie należało zrobić, to spuścić na zieloną trawę jak najszybciej.

Oficer napisał jej więc przepustkę, którą opatrzył zamaszystym podpisem i wielką pieczęcią jednostki. Życzył wszystkiego najlepszego w strefie walk i grzecznie zasalutował. Niech się dziewczyna cieszy. Będzie miała o czym opowiadać koleżankom przy grzanym winku, kiedy wróci do domu.

Jeśli wróci.

Różne rzeczy się przecież mogą wydarzyć na wojnie, a przewodnik, którego sobie wynajęła, sam jej nie obroni.

Konwojenci biegali wzdłuż całej kolumny uciekinierów.

– Uwaga! Uważajcie! – powtarzali szeptem. – Teraz nastąpi najgorszy moment. Musicie zachować ciszę za wszelką cenę.

– A niby co to znaczy? – zainteresował się Dziadek.

– Ciii... – sumitowały go dziewczęta, przykładając palce do ust. Wyglądały na bardzo przejęte.

– No co? Zapytać nie można?

– Jak cisza, to cisza – powtarzał uspokajająco Elmo. – Spróbuj współpracować.

– Nigdy nie byłem skłonny do jakiejkolwiek współpracy.

Cichą wymianę zdań nagle przerwał głośny płacz dziecka.

– O! – Dziadek od razu skorzystał z dodatkowego argumentu na jego korzyść. – To jemu wolno? – Wskazał niemowlaka. – A mnie nie?

– Ciiii... – Aya uwiesiła się na ramieniu siwego mężczyzny, tym razem jemu kładąc palec na ustach.

– No co „ciii”? Co „cii”? – pomstował starszy mężczyzna. – Smoka jakiegoś boicie się obudzić?

Niespodziewanej odpowiedzi udzielił szeptem jeden z przewodników, który zbliżył się do nich z wypełnionym czymś do połowy workiem.

– Zaraz będziemy przechodzić tuż obok wojskowych posterunków – wyjaśnił szeptem. – Ruszą na nas, jeśli nie będziemy cicho.

– Będziemy cicho – zapewnił go Elmo. – Zadbam o całą moją grupę.

To było skierowane pod adresem starego kłótnika, lecz przewodnik nie wnikał.

– Musimy posuwać się w wielkiej ciszy – powiedział tylko. – Nie możemy robić żadnego hałasu. Oddajcie sandały.

Dziadek parsknął śmiechem.

– Rozumiem. Wozy turkoczą na kamieniach, zwierzęta stukoczą na kamieniach, ale my musimy iść na bosaka?

– Zaraz wejdziemy do lasu sosnowego. Tam droga piaszczysta.

Aya szarpnęła ich siwego towarzysza za ramię, żeby już nie gadał i nie psuł ich relacji z przewodnikami. Wiedziała przecież, że starzy ludzie wszystko mają za złe i będą krytykować każdy aspekt życia. Taki wiek po prostu. Jej siostra i brat współpracowali z ludźmi, którzy narażali się dla nich. Grzecznie zdjęli swoje sandały i wrzucili do worka, a potem zmienili Ayę, żeby też mogła wykonać polecenie.

– A ty? – Facet z workiem spojrzał na Dziadka.

Ten jak poprzednio uśmiechnął się promiennie i przyjaźnie, a potem odparł:

– Spierdalaj!

I dokładnie tak jak poprzednio przewodnik machnął ręką, by odejść do innych ludzi. Ani Elmo, ani jego siostry nie komentowali. I w ogóle dopóki trwał postój, nikt z nich nie chciał się odzywać.

Konwój szybko ruszył w dalszą drogę, a kiedy rzeczywiście po kilku modlitwach wkroczyli do sosnowego lasu, a droga z gruntowej zamieniła się w piaszczystą, humory rodzeństwa znacząco się polepszyły.

– No i co? – Elmo zbliżył się do Dziadka, żeby móc szeptać mu prawie do ucha. – Przewodnicy jednak mieli rację?

– A czy ja mówiłem, że nie mają?

– No ale wszystko się zgadza. Miał być sosnowy las i jest. Miała być piaszczysta droga i jest.

– Zdziwiony byłbym, gdyby zapowiadali ocean, a my napotkalibyśmy pustynię. Czemu mieliby kłamać w kwestii ukształtowania terenu?

– No nie. Ty po prostu szukasz dziury w całym i wszędzie widzisz oszustwo. A tu co? Okazało się, że jest sens w tym, co nam mówią.

Dziadek spojrzał na chłopaka z ukosa.

– Sens jest – mruknął. – A teraz wyobraź sobie, czysto hipotetycznie, że będziesz musiał uciekać. Czy daleko ubiegniesz boso w sosnowym lesie, gdzie szyszki i ostre gałązki z każdym krokiem wbijają się w stopy? Daleko uciekniesz bez zapasów wody i jedzenia?

Było coś dziwnego w głosie starego, co sprawiło, że Elmo nie wdawał się już w dalsze komentarze. Zasępiony maszerował wraz z innymi. Czasami zerkał spod oka na innych ludzi, którzy szli obok. Różne myśli kłębiły mu się w głowie i nie bardzo wiedział, jak sformułować tę najważniejszą. Powoli tracił nawet poczucie upływającego czasu, kiedy nagle przyszło olśnienie. Już wiedział.

Już wiedział, jak sprawdzić słowa przewodników. Wystarczy spojrzeć, czy sami zastosowali się do własnych instrukcji

bezpieczeństwa. Wyszedł na bok z kolumny posuwających się w pośpiechu uciekinierów i spojrzał w kierunku czoła pochodu. I zobaczył to, co chciał zobaczyć.

Żaden z przewodników swoich sandałów nie zdjął.

Przygryzając wargi, wrócił na swoje miejsce. Czy to możliwe, żeby wszyscy dali się omamić? I nikt nie zwracał uwagi na podstawowe... Zaraz, zaraz, w głowie chłopaka odezwał się inny głos. Oni mają sandały, bo wiedzą, jak się poruszać, by nie czynić hałasu.

Dość. To przecież ewidentna bzdura. Ale jak to możliwe, żeby wszyscy jak jeden mąż dali się omamić i szli teraz jak stado owiec? Bez żadnej refleksji.

Znowu zaczął się rozglądać, patrząc w twarze ludzi wokół. Był chyba kiepskim obserwatorem, bo dopiero po dłuższej chwili zauważył, że Dziadek przypatruje się właśnie jemu. I to pewnie od dawna. Aż drgnął pod naporem tego spojrzenia.

Ale, trochę wbrew oczekiwaniom, siwy mężczyzna uśmiechnął się do Elma ciepło. Ta chwila nie trwała długo. Jego siostry uznały chyba, że zbyt obcesowo odnosiły się do siwego towarzysza podróży, bo obległy go nagle z obu stron i trajkotały szeptem bez przerwy, żeby wprawić go w dobry humor. Jednak one również okazały się kiepskimi obserwatorkami. Dziadek był w dobrym humorze. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że w doskonałym.

Tymczasem konwój maszerował piaszczystą drogą, osiągając całkiem przyzwoite tempo. Zdawało się, że las wokół gęstnieje, ale to było tylko złudzenie spowodowane tym, że stosunkowo płaski teren ustępował miejsca coraz bardziej stromym pagórkom i piaszczysta droga stawała się powoli dnem wąwozu. Gdzieniegdzie nawet po bokach zaczęły pojawiać się skały.

– Coraz głębiej – szepnął Elmo.

– Nie jest głębiej, bo idziemy pod górę – odparł Dziadek. – To tylko zbocza po jednej i drugiej stronie stają się coraz wyższe.

– Na jedno wychodzi. A zwróciłeś uwagę, że wąwóz jest coraz węższy?

– Zaraz stoki po obu stronach zamienią się w urwiska.

– Skąd wiesz?

Siwy mężczyzna zerknął na chłopaka, kręcąc głową.

– To dość typowy krajobraz w tych stronach.

– Byłeś już w Arkach?

– Nie pamiętam.

Urwał, bo skądś z oddali dobiegł ich cichy okrzyk, niemal cień okrzyku. Absolutnie niezrozumiały w treści dźwięk, na tyle jednak niepokojący, że wzbudził poruszenie wśród maszerujących ludzi.

Żaden z przewodników nie okazywał niepokoju. Jeśli ktoś rozglądał się zbyt nerwowo, podchodzili, wykonywali uspokajające gesty, niczego nie tłumaczyli.

– Teraz trzeba zachować wyjątkową ciszę – niosło się wśród uciekinierów. – Przechodzimy obok linii posterunków.

– A ten okrzyk?

– Może kogoś złapali?

Dziadek nachylił się do Elma.

– Zwróciłeś uwagę, że to nie od przewodników pochodzi wezwanie do zachowania szczególnej ciszy?

Chłopak potrząsnął głową. Zbyt wiele rzeczy przestawało mu pasować do tej układanki. Co gorsza, odległy krzyk rozległ się znowu. Lepiej słyszalny, choć dalej nie sposób było rozstrzygnąć, czy był to krzyk strachu, bólu, czy też wydany z jakiejkolwiek innej przyczyny.

– Uwaga! Uwaga! – Jeden z prowadzących chodził wzdłuż ludzkiej rzeki z wyciągniętym w górę palcem, jakby chciał wszystkich ostrzec. – Teraz będziemy musieli biec! Właśnie mijamy posterunki armii Luan!

– Ależ, panie – odezwał się jakiś starszy człowiek – my nie damy rady.

– Tam, za grzbietem, już Arkach! – Mężczyzna machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Tam wolność!

– Biegiem! Biegiem! – ryczeli pozostali przewodnicy. – Ruszamy!

– A co z tą ciszą? – zapytał rezolutnie Dziadek.

– Odkryli nas! – darł się przywódca przewodników. – Uciekajmy! Biegiem!

Ludzie ruszyli we wskazanym kierunku. Właściwie to nie mieli wyboru. Wąwóz stawał się ciasny, a ściany zamieniły się w urwiska.

– Biegiem! Uciekać!!!

Przerażeni ludzie dawali z siebie wszystko. Elmo wraz z siostrami zostali porwani przez gęstniejący tłum. Dziadek został za nimi. Przez chwilę jego twarz mignęła jeszcze chłopakowi gdzieś z tyłu, potem znikła za głowami panikujących uciekinierów. No tak, pewnie zadyszka. Nie sposób było jednak zawrócić w tłumie bliskim wzajemnego się tratowania. Lęk ogarniał wszystkie umysły.

– Uciekajcie! – Wrzask przewodników zdawał się narastać.

Sami jednak nie biegli. Ustawili się po obu stronach poruszającego się coraz szybciej ludzkiego potoku i krzyczeli, przykładając do ust zwinięte dłonie:

– Uciekać! Uciekać!

Co słabsi zaczynali odstawać, ale tłum nie pozwalał na odpoczynek. Porywał wszystkich, niósł przed siebie, a jeśli ktoś się przewrócił, ciżba przebiegała po nim, depcząc i wgniatając w piasek.

– Uciekać!

Ponad wrzaski poganiaczy wzniósł się znowu jakiś okrzyk. Już nie tak daleki jak za pierwszym razem. I tym razem stało się jasne: to okrzyk bólu. Ale nawet jeśli ktokolwiek zdał sobie z tego sprawę, nie mógł się zatrzymać.

– Mordują! – krzyczeli przewodnicy. – Mordują! Uciekajcie!

Elmo dostrzegł, że ktoś przegrodził wąwóz kiepsko wykonaną, ale wysoką palisadą. Nie stanowiła przeszkody. Wielkie wrota stały otworem, przepuszczając biegnących bez tworzenia zatoru. Kiedy przebiegł przez bramę, wąwóz zaczął się rozszerzać, a sama droga zamieniła się w niewielką dolinkę otoczoną stromymi ścianami. Można było zauważyć parę drewnianych budynków, które wyglądały jak stodoły czy nawet obory dla bydła, oraz kilka zagród. W jednej z nich, tej największej, stali ludzie. Co najmniej

sześćdziesięciu, siedemdziesięciu. Wszyscy nadzy. I wszyscy z przerażeniem patrzący na nadbiegającą grupę.

– Złamać opór! – krzyknął mężczyzna na podeście z desek. – Dawać tu pierwszych od razu!

Co miał na myśli? A zresztą... jaki opór? Elmo nie dostrzegł żadnych jego oznak. Kolejną myślą było: gdzie jest Dziadek? Ale mimo rozglądania się, a nawet podskoków, żeby spojrzeć choć na chwilę ponad morzem głów, nigdzie nie mógł dostrzec siwego mężczyzny. Uciekł? Zdążył? Nie sposób stwierdzić. Uciekinierzy z grupy Elma toczyli nieprzytomnymi spojrzeniami. Zaniepokojone głosy jeszcze jednak nie przeradzały się w strach.

– Złamać opór! – powtarzał mężczyzna na podwyższeniu.

Kilku innych przewodników chwyciło pierwszego z brzegu chłopaka i wciągnęło za ogrodzenie, gdzie znajdowało się stanowisko kowala. Ktoś zdarł z chłopca tunikę, kto inny przy pomocy kolegów montował mu na twarzy rozwieracz szczęk.

Elmo nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jeden z pomocników kowala chwycił język chłopaka szczypcami, wyciągnął go na zewnątrz i obciął jednym ruchem wyostrzonego do granic noża. Sam kowal wepchnął ofierze do ust rozpalony do czerwoności pogrzebacz.

– Aaaaa!!!

Oprawcy puścili wierzgającego chłopaka, który zamroczony bólem opadł na kolana. Po chwili jednak przerażony gwałtownie uniósł głowę. Elmo domyślił się natychmiast. Paraliżujący ból w niczym nie ograniczył nagłego zdziwienia: w ustach nie ma czegoś, co było tam od urodzenia. Poczuł dreszcze.

– Szybciej! Zdławić ich!

Mężczyźni wciągnęli za płot jakąś dziewczynę.

– Rozbieraj się!

– Co?... Ja...

– Rozbieraj się.

Kilku mężczyzn siłą ściągnęło z opierającej się tunikę. Widocznie i ta rzecz była tu cenna, skoro nie chcieli jej zdzierać i narazić na

zniszczenie. Dwóch chwyciło dziewczynę za ręce. Oparli ją o specjalny kozioł do znakowania bydła, pochylili plecy, wystawiając pośladki, a kowal wypalił jej na tyłku cesarską lilię.

– Aaaa!!!

Większość ludzi na placu będących świadkiem zdarzenia dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co widzi. Oni... Oni zrobili z niej niewolnicę! Nieczłowieka. Zwykły towar na sprzedaż. Stało się jasne, po co te obory wokół, zagrody dla bydła. Trzymano w nich towar na wysyłkę. A Elmo klął własną głupotę. Mówił Dziadek, że na pewno dzisiaj dowiedzą się, co jeszcze można im zrabować. Trzeba było słuchać, a nie zarzekać się jak osioł. Osioł? Nie. Zaraz on sam stanie się czymś dużo tańszym niż osioł.

– Rozbieraj się!

Oprawcy wyciągnęli z tłumu następną dziewczynę.

– Nie!

Dostała w twarz. Na razie z otwartej ręki. I jeszcze raz, poprawka z drugiej strony. Dwóch mężczyzn zdjęło z niej tunikę, kazało wypiąć się na koźle, a kowal wypalił niewolnicze piętno.

– Aaaa!!!

Łkającą kopniakiem odgoniono na bok, a z tłumu wyłuskano chłopaka.

– Nie! Nie! – krzyczał ciągnięty w kierunku kozła. – Nie obcinajcie mi języka!

– Nie obetniemy – zgodził się jeden z pomocników kowala. – Rozbieraj się!

Chłopak posłusznie sam pozbawił się tuniki, a nawet podszedł i oparł się o drewniany kozioł. Kowal wypalił mu znak, a drugi pomocnik wręczył łopatę.

– Tam kop dół. Pod tym drzewem!

– Grób?! – podskoczył przerażony niewolnik.

– Tak, ale nie dla ciebie. – Czeladnik kowalski uśmiechnął się łagodnie. – Zaraz klientów doślemy.

– Szybciej! – wrzeszczał mężczyzna na podium. – Złamać ich opór!

Aya i Zaina, przerażone do granic możliwości, przytuliły się do boków Elma. On sam nie miał siły wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Pomocnicy kowala wyciągnęli z tłumu starego człowieka.

– Ten się nie nada i zdechnie w podróży – ktoś szybko dokonał selekcji. – Bagaże oddawaj!

Natychmiast zabrano staremu związany sznurkiem worek, który ten dźwigał na plecach.

– Rozbieraj się.

Staruszek posłusznie zdjął tunikę.

– Tam idź! – Jeden z pomocników zaczekał, aż ofiara odwróci się do niego plecami, i drewnianą pałką z całej siły uderzył ją w głowę. – Ej, ty! – wrzasnął na niewolnika z łopatą, nawet nie patrząc na walące się ciało. – Masz tu pierwszego. Odciągnij go pod drzewo!

Z tłumu wyciągnięto następną dziewczynę.

– Rozbieraj się!

Kiedy przerażona wykonała rozkaz, kazano jej oprzeć się o kozioł i wypiąć. Kowal wypalił jej znak na pośladku.

– Następna!

Szło im coraz łatwiej. Ludzie bezwiednie, w oszołomieniu zaczynali poddawać się komendom bandytów.

– Następny! Do goła, oprzyj się, wypnij!

I po chwili delikwenta z wypalonym znakiem odsyłano kopniakiem do coraz większej grupki nagich ludzi, którzy chlipali z bólu kilka kroków dalej. Nikt nie stawiał oporu. Zresztą czym? Elmo rozejrzał się, czując, jak paraliżująca panika sięga mu do gardła. Widział jakichś piętnastu bandytów. Pewnie drugie tyle kryło się poza zasięgiem wzroku. Ofiar, licząc z tymi wcześniejszymi, już zebranymi w zagrodzie, było grubo ponad dwie setki. Przecież gdyby ci ludzie rzucili się w kupie na strażników, to tamci nie mieliby szans.

Tymczasem obserwował jakby oniryczny rytuał. Jeden z oprawców wskazał palcem kolejną dziewczynę.

– Do goła! Oprzyj się, wypnij!

Elmo rozszerzonymi do granic oczami patrzył, jak zalękniona dziewczyna zdejmuje tunikę, przerażona podchodzi do kozła i posłusznie opiera na nim ręce. Wypina pośladki, a kowal sprawnie wypala jej piętno.

– Aaaaa!

Dławiąc się krzykiem, a po chwili płacząc rozdzierająco, sama odchodzi do coraz większej grupki chlipiących niewolników.

Kolejnym wskazanym był mężczyzna w sile wieku. Dobrze zbudowany, umięśniony. No, z nim na pewno nie pójdzie tak łatwo.

– Do goła, oprzyj się, wypnij!

Mężczyzna posłusznie wypełniał rozkazy.

– Aaaaa!

On też zaczął płakać. Zresztą szlochali nie tylko ci, których rozpalonym żelazem już zepchnięto w niebyt. Łzy ciekły także po twarzach tych, którzy czekali dopiero na wykonanie wyroku. Nawet Aya wygięła usta w podkówkę, a podbródek zaczął jej drżeć.

– Nie becz mi tutaj! – warknął Elmo.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dlaczego nikt nawet nie pomyślał, żeby się przeciwstawić? Dlaczego nikt się nie sprzeciwiał?

– Do goła, oprzyj się, wypnij... – Oprawcy stracili już gdzieś zdecydowany i rozkazujący ton. Teraz przypominali bardziej rachmistrzów podczas żmudnej pracy.

– Aaaa!

I wyraźnie znudzonym tonem:

– Następny.

– Ja nie chcę. – Zaina przytuliła się do ramienia brata. – Boję się. Ja nie chcę...

– Co z nami będzie? – Aya przywarła z drugiej strony.

– Następna. Rozbieraj się, oprzyj ręce, wypnij...

Siostry w przerażaniu obserwowały nieznaną dziewczynę, która potulnie dała sobie wypalić niewolnicze piętno, a potem płacząc, odeszła do reszty niewolników. Nikt jej nawet nie musiał kierować. Nikt jej nie wydał żadnego rozkazu.

Co się dzieje? Elmo po raz kolejny rozejrzał się, ale na żadnej z otaczającej go twarzy nie dostrzegł choćby cienia sprzeciwu. Dominowały strach, zagubienie albo rozpacz. Wszystko stracone. Nikt nie zamierzał podjąć walki.

A może potrzebują przywódcy? – przyszła mu do głowy myśl. Może czekają tylko na znak, na sygnał, na impuls, który wznieci bunt. Strząsnął siostry z ramion. Rozplątał sznurki worka, który dźwigał na plecach. Niewiele tam było. Najwięcej miejsca zajmował zwinięty ciasno pled. Ale w nim...

Z każdej strony zasłaniali go przerażeni ludzie, dosłownie zahipnotyzowani rozgrywającym się przed nimi widowiskiem. Elmo mógł więc zupełnie bezpiecznie wyjąć miecz, który zabrał z rzeźni na wzgórzu, przy wyludnionej wsi.

Przycisnął ostrze do ciała i wyprostował się ostrożnie. Niepotrzebnie się krył. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Usiłował uspokoić oddech, który nagle przyspieszył. Miał w rękach broń! Nie znał się na szermierce, nie umiał fechtować. Jego matka była zbyt uboga, żeby posłać chłopca do gimnazjonu. Ale broń to broń. Przez chwilę poczuł się jak mężczyzna. Chropowata rękojeść miecza zdawała się szeptać: „Ja ciebie nie zawiodę, a czy ty jesteś gotowy?”.

Chłopak rozejrzał się jeszcze raz. Mężczyzna na podwyższeniu z desek miał przypasany miecz. Dwóch strażników nadzorujących wypalanie cesarskich znaków na ciałach ludzi – także. Oczywiście cała reszta miała do dyspozycji różne narzędzia, od kowalskich po zwykłe pałki czy żerdzie do zaganiania, ale generalnie oni wszyscy byli czymś zajęci. Pozostawało trzech gotowych do walki w dowolnym momencie. Kilkunastu wokół. I nieznana liczba w budynkach. A ludzi skazanych przez bandytów na najbardziej okrutny los na świecie w zasięgu wzroku Elma było grubo ponad dwustu. Bandyci nie mieli szans. Po prostu sama liczba zgniecie ich w mgnieniu oka. Wystarczy dać sygnał i koniec.

Tylko jak zacząć?

Zastanawiał się dłuższą chwilę. Zaraz. No przecież to proste. Musi najpierw uświadomić ludziom, że wrogów jest mniej. Dramatycznie,

epicko mniej. Niech każdy wyrwie sztachetę z licznych płotów dokoła, niech podniesie kamień i niech rusza. Na jednego bandytę będzie minimum dziesięciu uciekinierów. Tłok się zrobi. To nawet nie będzie walka, to będzie zadeptanie.

Wziął głębszy oddech.

– Hej, ludzie! – wrzasnął. – Ich jest tylko kilku!

Ci, którzy stali blisko, odwracali głowy, by spojrzeć, co się dzieje tuż obok. Na ich twarzach malował się strach.

– Nie ma się czego bać! Ich tu, w pobliżu, jest tylko kilku! Rozerwiemy ich na strzępy!

Nikt się nie poruszył. Ludzie patrzyli na Elma rozszerzonymi oczami. Ci zgromadzeni wcześniej w zagrodzie dla bydła nawet się odwracali plecami. Żeby tylko nikt nie pomyślał, że mają cokolwiek wspólnego z nagłym buntem. Niesamowite. Przecież oni właśnie nie mieli już niczego do stracenia.

– Ludzie! Chodźmy razem! Do ataku na zbójów!

Jakiś mężczyzna stojący tuż obok szarpnął się nagle i podbiegł do człowieka stojącego na podwyższeniu z desek. Ośmielił się nawet dotknąć rękawa tamtego.

– On ma miecz! – krzyknął oskarżycielsko, wyciągając ramię w kierunku Elma. – On ma miecz, panie! – Jego głos był teraz wzorem służalczości.

Chłopak przełknął ślinę. Potem podniósł swoją broń nad głowę.

– Ludzie! Za mną! Na wroga!!!

Człowiek na podwyższeniu zdjął z szyi piszczałkę i zagwizdał ostro.

– Wszyscy na kolana! – ryknął rozkazująco.

Zgromadzeni zaczęli klękać. Ci stojący najbliżej buntownika najpierw usiłowali się od niego odsunąć.

– Na twarz, skurwysyny! – wrzasnął człowiek z piszczałką. – Mordę do gleby, kurwa!

Wokół rozgrywały się irracjonalne sceny. Cały tłum – już na kolanach – reagował bez szemrania. Ludzie pochylali się szybko, opadali na ręce, a potem dosłownie wciskali twarze w piasek.

W jednym z domów obok otworzyły się drzwi. Wyskoczyło z nich kilkunastu mężczyzn z mieczami w dłoniach. Kiedy jednak zobaczyli tylko jednego przeciwnika, zwolnili od razu. Zbliżali się niespiesznie, żartując głośno.

– Noooo, patrzcie, jaki kogut!

– Tego to sprzedamy do jakiegoś haremu na służącego.

– A jaja mu obetniemy jego własnym mieczem.

Elmo spojrzał w prawo, potem w lewo. Był sam. Jeśli nie liczyć wrogów, był jedynym człowiekiem stojącym na nogach w zasięgu wzroku. No i jeśli nie liczyć jego przytulonych do siebie, zalęknionych sióstr. Jedyny wyprostowany mężczyzna w tłumie klęczących tchórzy z twarzami wbitymi w glebę. Ze zdziwieniem stwierdził, że na klęczki opadli nawet ci zgromadzeni w zagrodzie dla bydła. Oznakowani wcześniej.

Zrozumiał, że zaraz zginie. Albo będą go męczyć, upokarzać, więc sam powinien ze sobą skończyć. Wyschło mu w gardle, poczuł, że dłonie ma lodowato zimne.

– No chuj – wychrypiał. – Ale najpierw pozabijam, ilu zdołam.

– Czekaj!

Elmo rozpoznał głos, który rozległ się z tyłu. Odwrócił się gwałtownie. A potem wytrzeszczył oczy. Od strony wejścia do tej pechowej dolinki kroczył Dziadek. Tak, to było właściwe określenie. On nie szedł, nie zbliżał się, nie maszerował. On kroczył. Zdążył się gdzieś przebrać, ponieważ miał na sobie kapiącą od elegancji tunikę. Była lśniąco biała, wyszywana złotą nicią w egzotyczne wzory z dalekiego Garrenmich, szamerowana purpurowymi elementami, ze wstawkami, w których coś lśniło w blasku słońca, być może były to kamienie szlachetne. Starannie uczesane siwe włosy okalała opaska ze złotogłowiu. Nawet sandały na nogach zrobiono ze złotych sznurków, złoty był nawet pasek, za który Dziadek wetknął swój złoty miecz, otrzymany od Elma po zawodach strzeleckich.

Wytworny mężczyzna zatrzymał się tuż przy chłopcu.

– No i co, młody? Zostałeś sam.

– No. Tak jakby sam.

– Nie martw się. Mężczyzna zawsze jest sam. Taki los. – Dziadek splunął na piasek. – Czasem niby ktoś sprzyja, raczej nieliczni, czasem nawet ktoś chce pomóc. Ale spojrzeć w oczy otchłani musisz sam. Tak samo dzisiaj i tak samo w dniu śmierci naszej.

Chłopak zebrał się w sobie.

– Ty stanąłeś przy mnie – powiedział.

Wyraźnie rozbawił starszego mężczyznę.

– A nie wydaje ci się, że jestem złudzeniem?

– Raczej złudzeniem wydaje mi się wszystko wokół.

I znowu wywołał uśmiech na twarzy jedynego człowieka, który tkwił na nogach tuż obok.

– Nieprawdaż?

– Dziadku... – Elmo nie miał pojęcia, jakich słów powinien użyć, żeby powiedzieć to, co musiał powiedzieć. No przecież stary ma problemy z pamięcią, z umysłem. – A... czy zdajesz sobie sprawę, że miecz, który wetknąłeś za pasek, jest wystrugany z drewna?

– A co ty chcesz od mojego złotego miecza?! – obruszył się Dziadek. – A zresztą. Nie oręż jest ważny, tylko duch wojownika!

Bandyci patrzyli na nich w zdumieniu. Przystanęli nawet, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Jakiś wielki pan stanął tu, wśród nich, ubrany tak bogato, że sama jego szata będzie jednym z największych łupów. Długo świdrowali wzrokiem niecodzienne zjawisko.

Natomiast ich widok otrzeźwił chłopaka.

– Będziemy walczyć? – zapytał.

– My?! A ty jak wyglądasz?! – Dziadek wyraźnie się rozsierdził. – Czyż nie wpajałem ci podstawowych zasad pola walki?! Jaka jest pierwsza?!

– Mam zawsze wyglądać elegancko! – wyrecytował Elmo.

– A druga?!

– Mam się nie zgubić!

– Dobrze. Trzecia?!

– Jeśli już się zgubię, to dalej mam wyglądać elegancko! – wykrzyczał zapamiętaną instrukcję chłopak.

– No. – Chyba udobruchał Dziadka. – A ty wyglądasz jak fleja! – Nie, to nie było udobruchanie, tylko pozoracja przed kontratakiem. – Dziewczęta – siwy mężczyzna przeniósł wzrok na siostry Elma – doprowadźcie go do porządku, proszę.

Skoczyły obie. Przygładziły bratu włosy, zawiązały na nich chustę. Oczywiście nie ze złotogłowiu, bo nie miały.

– Dziadek... – odezwał się Elmo, widząc, że bandyci ruszają na nich. Najwyraźniej ochłonęli już ze zdumienia. – A ty umiesz walczyć? Potrafisz robić mieczem?

– Nie wiem – zabrzmiała szczera odpowiedź. – Nie pamiętam.

– Ja pierdolę... – jęknął Elmo.

– Nie pierdol – powiedział siwy mężczyzna. – Trzymaj się moich pleców, Nerideen.

Chłopak drgnął, słysząc swoje prawdziwe imię. Jeśli Dziadek zamierzał go zmobilizować przed walką, to ewidentnie mu się to udało. Jego umysł napełnił się przeświadczeniem, że dzisiaj na pewno zginie, a to przywróciło mu spokój ducha. Zacisnął dłoń na głowni swojej broni.

Dziadek najwyraźniej nie zamierzał czekać, aż przeciwnik zbierze się do walki. Cicho i spokojnie, bez ostrzeżenia ruszył w ich stronę, czym zresztą zaskoczył nawet Elma. Siwy mężczyzna podszedł do najbliższego bandyty i wbił mu swój drewniany miecz w oko. Ból eksplodował w głowie ofiary. To nie jest tak jak w rycerskich romansach – kiedy bohater, tracąc w połowie wzrok, zasłania ranę dłonią i patrząc drugim okiem, walczy dzielnie dalej. Nie, nie, ból jest paraliżujący. Ofiara chwyciła się za twarz i dosłownie wyjąc, opadła na kolana.

Jeden z kolegów, który stał odpowiednio blisko, skoczył z odsieczą. Uniósł swój miecz nad głowę, by zadać od razu rozstrzygające uderzenie, a Dziadek dźgnął go pod pachę.

– A! – Tamtego zastopowało, stanął w rozkroku, usiłując odzyskać równowagę. Siwy mężczyzna przerzucił drewniany miecz z lewej do prawej i z całej siły uderzył bandytę dokładnie między rozstawione nogi.

Elmo po raz pierwszy zobaczył, co to znaczy, że komuś jak najbardziej dosłownie oczy wychodzą z czaszki na zewnątrz. Mężczyzna chyba stracił oddech, bo nie był w stanie nawet jęknąć.

– Otoczyć ich! Otoczyć! – wrzeszczał mężczyzna na podwyższeniu z desek.

– I widzisz, Nerideen – rzekł Dziadek mentorskim tonem – wydając komendę, facet ujawnił się jako dowódca i sam pokazał, kogo trzeba wyeliminować w pierwszej kolejności. Zajdź go z tyłu, żeby nie zwiał.

Chłopak rzucił się biegiem we wskazanym kierunku. Był naprawdę szybki. Zajął pozycję na tyłach platformy, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Niestety, jego akcja nie przydała się do niczego, bo dowódca nie zamierzał bynajmniej uciekać. Pewny swego, zlekceważył gramolącego się na podwyższenie Dziadka. W końcu co mógł mu zrobić przeciwnik ze złotym mieczem? W to, że zrobiono go z prawdziwego kruszcu, nikt nie wierzył. Ale co to mogło być? Mosiądz? Pomalowane drewno? W rozumieniu zasad normalnej walki człowiek posługujący się takim orężem był bezbronny.

Dowódca nie dziwił się niczemu. Przywykł do myśli, że frajer to frajer i tyle. Miał prymitywną twarz, na której malowało się tylko jedno uczucie. Pogarda.

Przyjął postawę szermierczą jedynie po to, by uciąć przeciwnikowi ostrze w połowie i dopiero potem przekonać się, z czego jest wykonane. Na ten widok Dziadek przyjął identyczną postawę. Jego twarz nie wyrażała niczego szczególnego. Coś jednak chciał przekazać jeszcze przed walką. Otworzył usta i palcem wolnej dłoni dotknął własnej szczęki.

– Ra-ta-ta-ta-ta-ta! – Wykonał gest, jakby liczył sobie zęby.

Bandyta uderzył pierwszy, ale Dziadek nie parował. Przepuścił zgrabnie klingę po swojej. Metal nie miał szans przeciąć drewna. Dowódca zadał cios jeszcze raz i znowu został po boku drewnianego miecza. Bandyta zadawał ciosy coraz szybciej i coraz bardziej zajadle, doprowadził jednak tylko do cichej uwagi:

– Nie ma czasu do wieczora.

Dziadek przy kolejnym zwarciu upuścił swoją broń i chwycił przeciwnika za dłonie. Kierując nimi, sprawił, że bandzior sam najpierw wybił sobie przednie zęby, a potem podciął gardło na całej szerokości. Wyłamane zęby upadały na deski, wydając charakterystyczny dźwięk: „ra-ta-ta-ta-ta-ta”...

Elmo tuż obok zamarł ze zdziwienia, że można być aż tak silnym. Wstrząśnięty i zdumiony patrzył, jak siwy mężczyzna zabiera ofierze broń, pozwala ciału upaść na deski i zeskakuje po drugiej stronie, pakując się w sam środek kręgu, który utworzyli bandyci, chcąc wykonać poprzedni rozkaz o otoczeniu przeciwnika.

Dziadkowi ich manewry nie przeszkadzały, bo zaczął ich zabijać, zaczynając od prawej. Nie fechtował się z nimi, nie wchodził w zwarcie. Po prostu podszedł do pierwszego i zabił go prostym ciosem od góry. I co z tego, że ofiara nawet zdołała się zasłonić? Ostrze opadało z taką siłą, że wytrąciło miecz w zasłonie, rozwaliło czaszkę i rozcięło czerep na pół. Prymitywne mordy bandytów potrzebowały dużo czasu, żeby malujące się na nich poprzednio uczucie: „zabić, zabić” zamieniło się w wyraz zaskoczenia. Co się dzieje?

Dziadek miał trudności w odzyskaniu ugrzęźniętej broni, przejął więc miecz przeciwnika. Następnemu, który chciał wykonać sztych, obciął rękę, a chwilę później głowę. Jeszcze kolejnemu głęboko rozorał klatkę piersiową i kopnięciem złamał nogę w kolanie. Dziadek zupełnie nie zwracał uwagi na to, co przeciwnicy zamierzają zrobić. Jaki cios zadać, jaki sztych wyprowadzić. To nie miało znaczenia, bo stary nie fechtował. Przełamywał zastawy na siłę i zabijał. Jedni bandyci wyli z bólu, inni wydobywali z siebie jedynie przedśmiertny charkot.

– Okrążajcie mnie! – zdenerwował się nagle, widząc, że bandyci przestali na niego nacierać. – Wykonajcie, kurwa, rozkaz dowódcy.

Chętnych jednak nie było. Któryś z nich musiał wcześniej służyć w wojsku, bo zrozumiał, że walcząc pojedynczo przeciwko samej śmierci, nie mają wielkich szans.

– Zewrzeć szeregi! – krzyknął, obejmując dowodzenie nad grupą. – Razem!

Bandyci zacieśnili się, by móc osłaniać się wzajemnie. Siwy mężczyzna przyglądał się temu, nie reagując.

– No? – Uniósł broń i zrobił krok do przodu. Prowokacja, niestety, się nie udała. Nikt nie chciał opuścić ciasnej grupy, która dawała poczucie osłony. – Młody! Daj mi mój złoty miecz!

Elmo potrząsnął głową, w pierwszej chwili nie wierząc w to, co usłyszał. Po chwili jednak skoczył i podniósł drewnianą atrapę broni. A potem podał ją Dziadkowi. Ten teatralnym ruchem odrzucił zdobyczny miecz i podniósł do góry drewniany.

– No? A teraz? – kusił.

Nowy dowódca bandytów zrozumiał, że ma szansę. Kiedyś był żołnierzem i doskonale wiedział, co można zrobić patykiem trzymanym w ręku. A raczej czego nie można.

– Za mną! – krzyknął i runął na wroga. Tak jak go nauczono, w szyku ubezpieczonym.

Nie przewidział tylko, że to nie armia. I że nikt za nim nie ruszy. Jego miecz natomiast celował idealnie – w szyję przeciwnika. Szybkość i siła – na to liczył. Czas jakby biegł wolniej. Samozwańczy dowódca zauważył, że mężczyzna naprzeciw odbija jego miecz gołą dłonią, bijąc w klingę z boku. A potem stała się rzecz jeszcze bardziej dziwna. Ciało bandyty uderzyło w ciało starego. Ale... tam nie było nic miękkiego. Napastnik miał wrażenie, jakby rąbnął o skałę. Czuł jeszcze, jak mężczyzna szarpie go od tyłu za włosy, odgina kark i wkłada do rozwartych w krzyku ust ostrze swojego drewnianego miecza. Coś strasznego powędrowało od przełyku głębiej i głębiej. Drewno w gardle tłumiło ryk bólu i przerażenia. Były żołnierz zrobił zeza i zacisnął zęby. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że zacisnął je na... rękojeści drewnianego miecza.

– To ci połykacz. – Dziadek pchnął dławiącego się kamrata w ramiona kolegów. – Nawet w cyrku tego nie widziałem.

Nikt nie pomógł umierającemu mężczyźnie. Wszyscy długą chwilę patrzyli na niego z tępym niezrozumieniem tego, co się stało.

Dopiero kiedy kolega z mieczem wepchniętym przez gardło do brzucha upadł na ziemię, jeden z bandytów odwrócił się i zaczął uciekać.

Reszta potrzebowała dodatkowej chwili. Ale kiedy i ona minęła, uciekali już wszyscy.

– Za stary już jestem na bieganie. – Siwy mężczyzna rozejrzał się zezłoszczony. – Młody! – Rozkazującym gestem wskazał cel. – Goń ich! Bo nam kurwy pouciekają!

Elmo rzucił się w pościg. I był naprawdę szybki, ale tamci uciekali przed śmiercią. Udało im się nawet dopaść koni przywiązanych za najbliższą oborą, w której trzymali ludzi. Wierzchowce nie były osiodłane, więc bandyci rzucali swoje miecze i wskakiwali na grzbiety zwierząt, chcąc ruszać na oślep. Elmo chwycił jednego z nich za nogę. Udało mu się ściągnąć bandytę na ziemię, a kiedy ten uderzył w nią plecami i stracił oddech, Elmo wbił mu miecz w brzuch. Niestety, pozostali uciekinierzy byli już poza jego zasięgiem.

Z trudem wyciągnął ostrze z krwawiącej rany i ruszył z powrotem.

– Złapałeś ich? – krzyknął Dziadek, mordujący właśnie kowala, który wypalał ludziom niewolnicze piętna.

– Jednego.

– No kur... – Siwego kompana wyraźnie zdenerwował kiepski wynik pościgu. – To łap pomocników.

Czeladnicy kowalscy rzeczywiście uciekali w popłochu. Ale ich sytuacja była gorsza niż oprychów. Po pierwsze, nie było już koni, a po drugie, nie było też gdzie uciekać, bo Elmo przewidująco zaszedł ich od strony bramy.

– Stać, świnie! – krzyczał chłopak, podbiegając z uniesionym mieczem.

Rozbiegli się, ale nie mieli doświadczenia regularnych bandytów. Elmo ciął jednego głęboko przez ramię i zdążył dogonić drugiego. Ten dostał w plecy, dość płytko, bo w biegu, ale popełnił błąd,

ponieważ odwrócił się z jakiejś nieznanej przyczyny i stanął. Wtedy Elmo ugodził go w brzuch.

– No co z tą dzisiejszą młodzieżą... – Zdyszany Dziadek podszedł z boku, czyszcząc klingę miecza wielką kowalską szmatą. – Tylko dwóch zadziabałeś?

– Uciekali jak karakany, kiedy pochodnię się zapali! Na wszystkie strony!

– Ech, młody... Ale nie bój się. Jeszcze wrócą.

– Tu wrócą?

– Nieee, nas będą gonić. Kiedy ekipę zbiorą większą. W swoim bandyckim świecie nie mogą żyć z piętnem, że uciekli przed frajerami.

Chłopak zauważył, że siostry przyglądają mu się rozszerzonymi oczami, postanowił więc zagrać twardziela. Przybrał pozę starego żołnierza i rzucił ochrypłym głosem:

– Przepraszam, mistrzu, że tylko trzech dopadłem. Za szybko uciekali. Za szybko...

– Ech, Nerideen. – Siwy mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. – To ja w ciebie inwestuję, uczę cię mozolnie zasad wojowania, a ty trzema się tylko odpłacasz?

Siostry dopiero teraz odważyły się zbliżyć. I znowu obie przytuliły się do Dziadka po obu stronach.

– Przepraszamy cię bardzo, jeśli byłyśmy dla ciebie niemiłe – powiedziała Aya. – Uratowałeś nam życie.

– Ależ wcale nie byłyście niemiłe.

– Nie chciałyśmy cię zabrać z tej rzeźni. Dobrze, że brat się uparł, bo zrobiłybyśmy coś okropnie głupiego.

– Drogie Mezeeno i Klitoo! – Dziadek dowiódł, że doskonale pamięta ich prawdziwe imiona. Co więc było nie tak z jego pamięcią? Dlaczego działała tak wybiórczo? – Prawdziwe damy mogą się mylić, ale nigdy nie postępują głupio.

Na ten komplement obie pochyliły głowy w ukłonach, a Elmo znowu miał wrażenie, że zagadkowy mężczyzna musi pochodzić z wyższych sfer.

– Co zrobimy z taką masą ludzi? – zapytał, bo energia walki wciąż się w nim kotłowała i musiał ją jakoś rozładować.

– A co ty chcesz z nimi robić?

– No nie wiem... Zaprowadzić ich gdzieś. Do miasta? Pod opiekę wojska?

– Czyli chcesz ich dać tam, skąd uciekali?

Ta myśl poruszyła Elma. Podobne ujęcie sprawy nie przyszło mu do głowy.

– Ktoś im powinien pomóc.

Dziadek wzruszył ramionami.

– Ci, którzy już mają wypalone piętna, lepiej, żeby uciekali do Arkach. Tu, w Luan, po prostu zostaną sprzedani na targu.

– Ale przecież oni niewinnie zostali... – Chłopak urwał, bo zdał sobie sprawę, że strzelił głupotę. I to jedną z większych. Aż syknął ze wstydu i machnął ręką.

– Natomiast my powinniśmy zwijać się natychmiast. Ruszamy w stronę frontu i przekraczamy granicę, jak szybko się da. Idąc dzień i noc.

– Naprawdę ci bandyci wrócą? I to wielką bandą?

– Na pewno. Tyle że w Arkach nie będą już mieli nic do powiedzenia.

Elmo rozejrzał się niespokojnie.

– A... ale... – Coś ewidentnie nie dawało mu spokoju. – A ci ludzie? Zostawimy ich tak?

– Aha, o to chodzi.

Siwy mężczyzna objął chłopaka ramieniem i poprowadził między uciekinierów, którzy ciągle tkwili tak, jak im kazano, na kolanach, z twarzami wciśniętymi w piach. Zatrzymali się dopiero przy stanowisku kowala, którego zakrwawiony trup leżał tuż obok. Jeden z mężczyzn opierał dłonie o kozioł. Bandyci zdążyli go już rozebrać, kazali mu się ustawić, ale zginęli, zanim udało się wypalić mu na tyłku niewolnicze piętno. Niedoszła ofiara nie wiedziała teraz, co ma robić.

– No i co tutaj tak sterczysz? – zapytał go uprzejmie Dziadek.

Nagi mężczyzna powiódł po nich zalęknionym wzrokiem.

– No bo nie wiem – trochę się jąkał – kto teraz będzie nam wypalał niewolnicze znaki...

– No. – Dziadek poklepał Elma po ramieniu. – I to byłoby tyle w kwestii tych ludzi. Nieprawdaż?

Pobrano ze strony pijafka.pl

Rozdział 3

No i teraz widzisz, dlaczego najlepiej podróżować w nocy – szepnęła Io, wiążąc konia za pasem przydrożnych zarośli. – Wszystko słychać z daleka.

– Ale tam też nas słyszeli – odparł Faron.

– Nie. Nie sądzę. Oni bardzo się spieszą, a my jechaliśmy powoli.

– To jakaś różnica?

Dziwna dziewczyna roześmiała się cicho.

– Nie słyszysz? – Była najwyraźniej zdumiona. – Oni albo kogoś gonią, albo uciekają.

– Nas gonią? – Przewodnik wyraźnie się przestraszył.

– No skąd, jadą nie z tej strony. A ponieważ nikt nie przemknął obok nas wcześniej, to znaczy, że uciekają.

Faron kręcił głową. Odległy tętent słyszał i on, ale żeby wyciągać z tego aż tak daleko idące wnioski? Chociaż z drugiej strony po nocy, jedynie w świetle gwiazd raczej nie pędzi się gościńcem, bo to droga do ran, kalectwa albo i śmierci.

– Zaraz się dowiemy, kto ich tak nastraszył. – Io wyjęła ze swojej sakwy zwój cienkiego, choć mocnego sznura i zaczęła go zwijać na przedramieniu.

– Zapytamy ich?

– Tylko jednego.

Poprowadziła Farona na sam skraj drogi, gdzie oboje ukryli się za pniem wielkiego drzewa.

– Posłuchaj. – Dziewczyna podniosła przygotowany wcześniej zwój sznura. – Na ostatniego zarzucę pętlę, żeby ściągnąć go z konia. Ale jestem za lekka i może mnie pociągnąć. Więc koniec tej liny musisz trzymać ty. Rozumiesz?

– Rozumiem. Ale...

– Nie obawiaj się. Spadnie, bo oni wszyscy jadą na oklep.

Spojrzał niebotycznie zdziwiony.

– Skąd wiesz, pani?

– No jak można tego nie słyszeć? – odpowiedziała mu pytaniem. – Są spanikowani, jadą bardzo niepewnie i coś musiało ich tęgo wystraszyć, bo walczą tylko o to, żeby się utrzymać na końskim grzbiecie.

– Nie wzięłaś swojej szpady, pani. A jeśli oni nie będą chcieli odpowiadać na pytania?

– Mówiłam. Złapiemy ostatniego, który odstaje, najgorszą fajtłapę. Reszta się nie zatrzyma. Nawet nie będą wiedzieli, co się stało.

Faron nie był aż takim optymistą. Choć z drugiej strony dziewczyna wiele już razy podczas ich krótkiej podróży udowodniła, że mimo młodego wieku zna się na ludziach. Niemniej nurtowało go jeszcze wiele pytań.

– A jak chcesz zarzucić pętlę na jeźdźca? Czy to w ogóle możliwe?

– Możliwe, możliwe. Nauczyłam się tego, kiedy byłam na wypoczynku u górali.

– U górali? Więc od najbardziej wytrawnych wojowników w dalekiej Dahmerii?

– Nie, kurde! Od pastuchów, którzy paśli zwykłe krowy. Ale na górskich stokach. I ta metoda służy do łapania krów.

Jej przewodnik niewiele już rozumiał. Ale też nie było możliwości przeciągania rozmowy. Daleki tętent wzmagał się i już po chwili w świetle gwiazd zamajaczyły im postacie jeźdźców.

I dopiero teraz okazało się, że dziewczyna miała rację. Kilku ludzi rzeczywiście jechało na oklep, ledwie sobie radzili, bo głównie walczyli o utrzymanie się na końskich grzbietach. Jednemu, jadącemu z tyłu w pewnym oddaleniu, szło jeszcze gorzej, prawie leżał na koniu, trzymał się grzywy i wydzierał się rozpaczliwie do kolegów, żeby tamci się zatrzymali.

Io, ukryta w cieniu gęstych zarośli, czekała cierpliwie, aż minie ją cała grupa. Dopiero kiedy mijał ją maruder na końcu, wybiegła na

drogę i zręcznie zarzuciła mu pętlę na tułów.

– Trzymaj! – Podała końcówkę liny Faronowi. Przewodnik zaparł się w oczekiwaniu na szarpnięcie.

Opryszek prawdopodobnie w ogóle nie zauważył, co się stało. Dopiero zaciśnięcie się węzła i zrzut z grzbietu wprost na ziemię przerwały jego krzyki. Io doskoczyła do niego natychmiast, Faron chwilę później.

– Ciii. – Dziewczyna podniosła palec do ust. – Bądź cicho. Wiesz przecież, że nikt z pomocą nie przyjdzie.

Mężczyzna patrzył na nich ogłupiały. Upadek spowodował u niego uporczywy kaszel.

– Ciiiii. – Io pomogła mu unieść plecy. – Już, już, to zaraz minie.

– Kto wy...?

Dziewczyna najwyraźniej nie miała oporów, żeby się przedstawić.

– Jestem uczniem, kształcę się na lekarza – powiedziała, a potem dodała z dumą: – W niektórych dziedzinach już przegoniłam swojego mistrza, a wszystko jeszcze przede mną. – Uśmiechnęła się. – A ty?

– Jestem kupcem – zełgał mężczyzna. Jego kłamstwo było tak oczywiste, że Io aż się skrzywiła. Twarz leżącego na ziemi miała tak prymitywny wyraz, że istniały duże wątpliwości, czy on potrafi prawidłowo dodać choćby dwa do dwóch. Więc kupiec był z niego jak z koziej dupy złota cesarska fanfara. – Napadli nas bandyci – kontynuował nieudolne kłamstwo. – Obrabowali nas ze szczętem.

– I co? Nawet siodło ci spod tyłka wyszarpnęli?

– No! – potwierdził. Był bardzo głupi. Sądził, że mu wierzą.

– Aha. A powiedz, czemu ty zostałeś z tyłu? Za kolegami?

– Bo ja już wcześniej spadłem z konia. I bardzo mnie boli.

– Rozumiem. Ale jestem lekarzem – powtarzała uspokajającym tonem Io. – Pomogę ci. Pokaż, gdzie boli.

– Tam. – Mężczyzna pokazał palcem dolną część ciała.

– Noga?

– Tak. Niżej.

Palce dziewczyny sprawnie przesuwały się w dół po udzie.

– Kolano cię boli? Nie bój się. Jestem lekarzem.

– Tak. Kolano.

Kiedy jej ręka dotarła do rzepki, mężczyzna syknął z bólu. A Io uderzyła w kolano z całej siły, jednocześnie drugą ręką zasłaniając leżącemu usta.

– No to gadaj. Kim jesteś?

– Kup... kupcem...

Nastąpiło nowe uderzenie, a potem Io nachyliła się do ucha opryszka.

– Wiesz, co to jest punkcja? Kiedy wsuwasz gwóźdź pomiędzy rozciągnięte stawy i rzepkę. A potem majstrujesz nim w środku.

– Jestem naprawdę kupcem. Handluję ludźmi!

– Aha, to takie buty. No mów, mów, bo zaczynasz brzmieć rozsądnie.

– Zbieramy uciekinierów, którzy z Luan ciągną nad granicę. I pomoc oferujemy. Tanio.

– Pomoc w czym?

– W przekroczeniu granicy, przez front. Ale nie prowadzimy ich tam, gdzie stacjonuje wojsko.

– Domyślam się.

– Dajemy ich do takiej dolinki, daleko od oficjeli, w gęstym lesie. Tam ich obieramy ze wszystkiego, co mają, piętnujemy i sprzedajemy na najbliższym większym targu niewolników.

– Typowa luańska przedsiębiorczość – zakpiła Io. – Okłamać kogoś, oszukać, zwieść na manowce, a potem przerobić na niewolnika i sprzedać. A wszystko to najtaniej w cesarstwie.

– Nie wiem, czy najtaniej w kraju. – Leżący na gościńcu idiota najwyraźniej wziął jej słowa za dobrą monetę. – Ale naprawdę mały pieniądz braliśmy za przeprowadzenie.

– A przed czym tak uciekałeś? – najwyraźniej zniecierpliwiona dziewczyna zmieniła temat.

– W ostatnim transporcie był taki mężczyzna. Bogato ubrany, wielki pan i ze złotym mieczem. Ale ten miecz był z drewna, tylko pięknie pomalowany.

– No? No? – zaciekawiła się nagle Io. – Co zrobił?

– No pozabijał naszych. Najpierw dowódcę, kowala i zbrojnych.

– Drewnianym mieczem?

– Zwykłym też zabijał. Ale ten drewniany na samym końcu wepchnął jednemu koledze... – Przesłuchiwany przełknął ślinę, krzywiąc się na samo wspomnienie.

– Gdzie?

– W gardło! Wepchnął mu w gardło po samą rękojeść.

Dziewczyna westchnęła i podniosła się na nogi.

– No to jesteśmy w domu – powiedziała do siebie.

– To ten, którego szukamy? – domyślił się Faron.

– Ten.

Leżący na ziemi bandzior dostrzegł swoją szansę w jej słowach.

– Nie zabijaj mnie, pani. Ja wszystko powiem. Powiem, jak do dolinki trafić, powiem, co zrobić...

Io zniecierpliwiła się, słysząc jego pojękiwania.

– Mam gdzieś wszystkie twoje dolinki, wszystkie twoje sprawy i przyjmij do wiadomości, że człowiek o inteligencji mojego sandała nie będzie mi doradzał. Nie mam nawet noża, żeby cię tu zabić, więc idź, gdzie oczy poniosą.

Tak ogłupiła bandytę, że ten, nie wstając, zaczął się cofać na rękach i jednej zdrowej nodze.

– A gdzie mój koń? – wyrwało mu się nagle.

– Mam ci jeszcze konia szukać? A może wolisz zabieg lekarski?

Mężczyzna dosłownie pisnął ze strachu, odwrócił się na brzuch i zaczął uciekać na czworaka. To znaczy na czworaka, ale używając tylko trzech kończyn.

Io zwinęła linę, skinęła na Farona i ruszyła w stronę ich wierzchowców, uwiązanych w ukryciu.

– Będziemy posuwać się śladem tego durnia? – zapytał przewodnik.

– Nie. W tej dolince już go na pewno nie ma.

– Co więc zamierzasz zrobić, pani?

– Widzisz, skoro poszukiwany znalazł się tam razem z grupą uciekinierów, to znaczy, że zamierza przekroczyć granicę z Arkach. Iść jego śladem nie ma sensu, bo zawsze będzie szybszy.

– Rozumiem. My też przekroczymy granicę. I to może nawet przed nim.

– Tak, właśnie. A w Arkach zastawimy na niego pułapkę.

Faron skinął głową. Sprawnie odwiązał konie, a potem podał dziewczynie wodze. Zawahał się na moment.

– Wybacz ciekawość, pani – powiedział cicho. – Ale łatwiej byłoby, gdybyś mi powiedziała, kogo ścigamy.

Nie obraziła się, nie nadąsała, nie zezłościła. W ogóle była jakaś taka mało histeryczna. Po prostu skinęła głową.

– Szukamy najbardziej niebezpiecznego faceta w Cesarstwie Luan. – Wydęła wargi. – I w Królestwie Troy – dodała. – I chyba w ogóle... najniebezpieczniejszego gościa w całym znanym nam świecie.

Dziadek miał niesamowitą zdolność budzenia się na zawołanie. Od razu w stanie pełnej trzeźwości, bez marudnego nastroju, bez przecierania oczu czy ziewania. Głęboki sen, a zaraz po nim następowała pełna gotowość.

Teraz też, Elmo widział wyraźnie. Siwy mężczyzna leżał nieruchomo pod kocem, miał równy, spokojny i głęboki oddech, a potem nagle otworzył oczy, usiadł i rzucił przytomnym głosem:

– Czemu klęczysz?

Chłopak drgnął nieprzygotowany na tak postawione pytanie.

– Prośbę mam – wyjaśnił.

– Aż taką, że wymaga pozycji na kolanach?

– Aż taką. – Elmo potwierdził energicznym skinieniem głowy. – Słuchaj... chcę, żebyś mnie wziął na ucznia. Chcę, żebyś został moim mistrzem.

Dziadek przez chwilę patrzył z niedowierzaniem, a potem rozłożył szeroko ręce.

– Dobrze. I teraz ty mnie posłuchaj. Musisz zacząć od picia wódki, codziennie, przez cały dzień. – Odnalazł w ciemności swój wielki bukłak, wyjął zatyczkę i pociągnął dwa wielkie łyki. – Musisz brać udział w każdej bijatyce, jaka się nadarzy. W każdej zaplutej karczmie, na każdym zadupiu, wszędzie. Jeśli będziesz przestrzegał tej instrukcji, dostatecznie wiele razy oberwiesz w łeb, a potem osiągniesz mój wiek, to gwarantuję ci, że stracisz pamięć. No. – Świeżo mianowany mentor był wyraźnie zadowolony ze swoich pierwszych nauk, których udzielił. – Wszystko ci wyjaśniłem? Ukontentowałem cię?

Elmo pozostał śmiertelnie poważny.

– Chcę, żebyś nauczył mnie walczyć.

Dziadek wyraźnie oklapł, a chłopak kontynuował:

– Wiem, że jestem beznadziejnym przypadkiem. Nie mam w ogóle pojęcia o szermierce, w gimnazjonie nie byłem, nawet miecza nigdy nie miałem, bo swój rodowy ojciec musiał sprzedać, żeby nas utrzymać.

– W gimnazjonie szermierki się nie nauczysz. Tam co najwyżej poznasz podstawy oszukiwania.

– Ty się nauczyłeś.

– Ja?

– A kto pokonał kilkunastu bandytów... drewnianym mieczem?

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Widziałem, jak oni na ciebie patrzyli, widziałem, jak uciekali. Ty jesteś mistrzem szermierki!

Dziadek zaczął się śmiać.

– Bo zabiłem kowala z kumplami, którzy zeszli na złą drogę? Posłuchaj, to byli bandyci z mieczami, a nie szermierze. Podobnie jak żołnierze to ludzie z mieczami, a nie szermierze. A jeśli poszlibyśmy do parku miejskiego, gdzie bawią się dzieci, i ktoś by im rozdał broń, to dalej mielibyśmy jedynie dzieci z mieczami, a nie szermierzy.

Elmo podniósł ręce w obronnym geście.

– Jak byś nie mówił, jak byś nie wywijał w słownych konstrukcjach, ja... chcę być taki jak ty!

– Ależ to proste. Pij codziennie od rana do nocy, a świt i zmierzch witaj uderzeniem głowy w pień najbliższego drzewa. Zapewniam, że po kilkudziesięciu latach będziesz mnie przypominał.

Obudzone głośną rozmową siostry podnosiły się właśnie ze wspólnego posłania. Obie ziewały w dystyngowany sposób, zasłaniając usta, i dyskretnie przecierały oczy. Może i nie odbierały nauk na dworze, ale ich wychowanie było perfekcyjne. A Dziadek w ich przytomności dostrzegł swoją szansę.

– Czy wasz brat od dawna słabuje na umyśle? – zapytał Ayę.

– A czemu?

– Bo chce, żebym go uczył szermierki.

– A. – Dziewczyna nie była jeszcze dostatecznie przytomna, żeby odpowiedzieć z sensem. – Tak, ja wiem, jak się uczy szermierki. Czytałam w rycerskich romansach.

– O Bogowie.

– Najpierw trzeba znaleźć odpowiedni miecz – kontynuowała niezrażona Aya. – Najlepiej idealnie wyważony, skuwany z wielu warstw najrzadszych metali przez jakiegoś kowala geniusza, który stosuje zaginione wschodnie sposoby hartowania...

– Jeśli ktoś potrzebuje specjalnego miecza do walki, to powinien się zająć sprzątaniem w domu! – zdenerwował się Dziadek.

– Widzisz. – Zaina odebrała to po swojemu. – Skoro tak mówisz, to znasz się na szermierce.

Trafiła siwego mężczyznę w sam środek serca. Wybiła mu wszelkie argumenty w dyskusji.

– Nie znam się na nauczaniu – usiłował zmienić linię obrony.

– Ale on pojętny. – Zaina dotknęła palcem czoła brata. – W pół słowa zrozumie.

– Nie uważacie obie, że to skrajna głupota? Zobaczył sobie chłopczyk jedną bijatykę i już chce zostać mistrzem mistrzów?

Aya westchnęła głęboko, a potem nachyliła się i położyła dłoń na ramieniu Dziadka.

– On nie od wczoraj. On tak od dziecka. Pewnie chce mścić krzywdę rodziców albo po prostu chce być na tyle silny, żeby to jemu nikt nie odważył się krzywdy zrobić. Od kiedy nauczył się czytać, to tylko pochłaniał rycerskie romanse.

– Nie czytałem tego! – Elmo aż podskoczył.

– Oj, oj, oj. – Zaina przytuliła się do niego. – Jeśli sądzisz, że starsze siostry nie wiedzą absolutnie wszystkiego na temat swojego młodszego brata, to jesteś w okropnym błędzie.

Fuknął na nią rozzłoszczony, ale Zaina wcale nie była jego wrogiem.

– Za głupia jestem, żeby rozstrzygać, czy to dobre, czy złe – zwróciła się do siwego mężczyzny, który przyglądał się całej scenie z pewnym zainteresowaniem. – Nie potrafię dostrzec skutków i nie umiem powiedzieć, czy dobrze, żeby nasz braciszek się uczył, czy nie. Ale mogę przysiąc, że marzył o tym od najmłodszych lat. – Rozciągnęła usta w uśmiechu. – Tylko tyle.

– Potwierdzam – dodała Aya. – To jego najskrytsze marzenie, z którego nikomu się nie zwierzał. Nawet nam. – Zrobiła porozumiewawczą minę. – Ale rozumiesz, dwie siostry z matką w domu i tylko jeden chłopczyk. Przed nami to raczej nic nie udawało się ukryć.

– To akurat rozumiem – mruknął Dziadek. – Ale pomyślcie może, co będzie, jeśli zginie w pierwszej walce. Co się stanie, jeśli zostanie kaleką? Bez rąk czy nóg. Bez nosa, bez uszu. Co z nim będzie?

– A co by z nim było, gdybyśmy sami poszli z innymi do tej dolinki z bandytami? Nie spotkawszy przedtem ciebie? No co by z nim było?

– Ty! – rozsierdził się Dziadek. – Filozof domorosły!

– Ludzie to nie Bogowie. – Zaina natychmiast wzięła stronę siostry. – Nie nam rozstrzygać, co nastąpi w przyszłości.

Zły i pomstujący pod nosem mężczyzna podniósł się z posłania wykonanego poprzedniego wieczoru z najcieńszych sosnowych

gałązek i zaczął zwijać swój koc. Rodzeństwo zerkało na siebie zaniepokojone.

– Co robisz? Noc jeszcze trwa.

– Trzeba iść. Najlepiej przejść przez front przed świtem.

– Ale się nie obraziłeś? – zapytała Aya. – Nie zostawisz nas? – Ze zdumieniem spostrzegła, jakiej formy bezwiednie użyła. I zrozumiała, że role się odwróciły.

– Nie, nie zostawię, bo znowu on coś wymyśli i będzie bieda.

Obie dziewczyny i chłopak rzucili się do pakowania ich skromnego dobytku. A Dziadek stał na środku małego obozowiska i pocierał szczeciniastą brodę.

– I jeszcze jedno. Jeśli się uda, dziś będziemy już w Arkach. Tam wasze prawdziwe imiona nic nikomu już nie powiedzą.

– Owszem.

– Więc zacznijcie ich znowu używać. Wy, Mezeeno i Klitoo, i ty, Nerideenie. Macie tak o sobie myśleć. Prawdziwymi imionami.

– A dlaczego to takie ważne?

– W żadnej dziedzinie nie posuniesz się nawet o krok, jeśli cokolwiek będziesz udawał sam przed sobą.

Przepustka Io działała jak złoty klucz do królewskiego skarbca. Likwidowała wszelkie przeszkody po drodze. Dowódcy polowi, widząc wystawiony przez żandarmerię papier, przepuszczali ich bez słowa. Dopiero ostatni, ogorzały i sądząc z wieku, bardzo doświadczony setnik ciężkiej piechoty, odważył się skomentować:

– Ale wiesz, pani, że jesteśmy ostatnią linią wojsk Luan na tym terenie? Jesteś świadoma tego faktu?

– Tak, panie. Ale dziękuję za ostrzeżenie.

– Ja nie ostrzegam cię, pani, bo to nie moja sprawa. Pragnę tylko, żebyś wiedziała, że kiedy miniesz ostatnie pozycje zajmowane przez

moich żołnierzy, dalej nie napotkasz już nic. – Uśmiechnął się. – Poza żołnierzami Arkach, być może.

– Znasz ich pozycje, panie?

– Nikt ich nie zna. Przemieszczają się po cichu, o zmroku lub tuż przed świtem, żeby zniknąć z jednego miejsca tylko po to, by pojawić się niespodziewanie w innym.

– Słyszałam, że to bardzo lekkie siły w porównaniu z objuczonymi wielbłądami, które masz pod rozkazami, panie.

– W rzeczy samej. Warto też, żebyś wiedziała, pani, że od tej pory wszystko, co poruszy się przed tobą w krzakach, to wróg. Dalej nie napotkasz już żadnego Luańczyka.

– Będę o tym pamiętała, panie.

– No to pamiętaj też o tym, że oni nas tam bardzo nie lubią. A „bardzo nie lubią" to niezwykle łagodne określenie, pani.

Io w podzięce skinęła setnikowi uprzejmie głową. Potem dosiadła swojego konia i ruszyła przed siebie, szybko mijając ostatni posterunek na perymetrze.

– I tak prosto w las idziemy? – Faron, który dogonił ją dopiero po chwili, miał wyraźne wątpliwości.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Przyznasz, że oficer Arkach, który umieściłby swoje lekkie siły dokładnie naprzeciw ciężkiej piechoty Luan, byłby urodzonym idiotą?

– No... – Niby przyznał jej rację, choć nie do końca. – W wojsku z tą mądrością dowódców to różnie bywa.

– Nie przesadzaj. Dam sobie rękę uciąć, że na kierunku dokładnie przed nami jest pusto jak na targu podczas świątynnej uroczystości.

– Oby, pani. Oby!

Wydawało się jednak, że Io ma rację. Przynajmniej na początku. Bez przeszkód minęli bowiem szczyt pierwszego z zalesionych wzgórz, wjechali lekkim trawersem na zbocze następnej góry, daleko wyższej niż poprzednia. Kiedy Faron rozglądał się zaniepokojony jakimś dziwnym dźwiękiem, dziewczyna niezmiennie machała uspokajająco ręką. Nauczył się już ufać jej

nieprawdopodobnemu wręcz słuchowi. Niemniej był doświadczonym przewodnikiem i nie mógł opanować podskórnego przeczucia, że zaraz się coś wydarzy.

Tymczasem minęli kolejny szczyt. Ich oczom ukazała się dość spora dolina, pokryta ogromną liczbą jeziorek i stawów.

– Bagna!

– No gdzie w górach bagna? – oponowała Io. – Oszalałeś?

– No to uroczysko. Miejsce, gdzie mieszkają potwory!

Westchnęła ciężko.

– I na te potwory trzeba od razu wypuścić tłum chłopów z widłami i pochodniami.

– Chłopi z widłami tu nie pomogą.

– Widziałeś tu coś konkretnego czy tylko tak dygoczesz na pokaz, żeby podnieść swoje honorarium za dzień pracy w niebezpiecznych warunkach?

Nie chwycił dowcipu. Otarł rękawem pot z czoła.

– W tym miejscu nigdy nie byłem. Ale po naszej stronie też są takie uroczyska. A tam lepiej nie pojawiać się po zmroku.

Dziewczyna spojrzała na niebo.

– Na szczęście słońce stoi wysoko. Jedziemy.

Podróż między jeziorkami i łączącymi je ciekami okazała się bardzo trudna. Choć to może złe określenie. Była wyczerpująca. Często danego zbiornika nie dało się przekroczyć w żaden sposób i trzeba było się cofać, lawirować, szukać innej drogi. Był tylko jeden plus tak ukształtowanego terenu. Tu z całą pewnością nie dawało się walczyć, więc nie groziła im obecność czołówek armii Arkach.

– Zmierzcha, pani. – Faron rozglądał się niepewnie. Był już bardzo zmęczony, podobnie jak konie, które potykały się o niewidoczne w grubym poszyciu przeszkody. – Chyba czas pomyśleć o obozowisku.

– Wcześnie jeszcze.

– Ale robi się coraz ciemniej.

Io, tak jak i on przed chwilą, rozejrzała się.

– No dziwne – mruknęła. – Ale fakt, że jakby zmrok się zbliżał.

Wyjęła z juków pomalowany w różne kolory kij i zgrabnie zeskoczyła z siodła. Ech, młodość, zaklął w myślach Faron. On sam po tak długim czasie spędzonym na grzbiecie wierzchowca ledwie mógł zejść z trudem i rozprostować stężałe mięśnie.

Tymczasem dziewczyna wbiła swój kij w ziemię. Zauważył, że zatrzymała się na jaskrawym znaczniku, a potem przyłożyła rozcapierzone palce do cienia rzucanego przez jaskrawe narzędzie.

– No popatrz – powiedziała zdziwiona. – Znając długość kija i zmierzywszy długość cienia, a wiedząc przy tym, w jakiej krainie geograficznej się znajdujemy, możemy wyliczyć...

– Szepczesz jakieś zaklęcia, pani? – Faron oczywiście niczego nie zrozumiał.

– Nie! – fuknęła rozzłoszczona. – To czysta nauka!

– Aha. A co wynika z tej nauki?

– Że pod żadnym pozorem nie powinno jeszcze zmierzchać.

– Toż to widać po samym położeniu słońca.

– Jego położenie może być mylące. Znam magików, którzy potrafią... – urwała, a na jej twarzy po raz pierwszy pojawiło się coś dziwnego. Jakby niepokój. – Na noc za wcześnie.

To stwierdzenie przeraziło przewodnika. Znowu się rozejrzał, tym razem gwałtownie, a potem rzucił się do juków i wyjął swój łuk.

Ciemności zapadały teraz błyskawicznie. Nie, słońce nie zachodziło. Oboje widzieli je wyraźnie na nieboskłonie, ale wyglądało teraz, jakby świeciło zza zasłony niezwykle gęstych dymów. Można było bez obaw patrzeć teraz bezpośrednio na jego tarczę. Zaniepokojone ptaki wzbijały się w powietrze z gałęzi okolicznych drzew. Zewsząd dochodził odgłos nerwowych uderzeń skrzydeł. Coś zerwało się tuż obok, dosłownie spod ich nóg, i pobiegło przed siebie przez krzaki.

Faron przestał szamotać się z kołczanem. Nałożył strzałę na cięciwę i oparł się plecami o swojego niespokojnego konia.

– Potwory! – szeptał. – Nadchodzą potwory...

– Nie sądzę – powiedziała Io, w przeciwieństwie do swojego przewodnika nagle odzyskując spokój. – Myślę, że to widowisko jest

pod moim adresem.

Spojrzał na nią przerażony.

– Chcą cię zabić, pani?!

– Wątpię – mruknęła. – Gdyby ktoś po prostu chciał się mnie pozbyć, nie robiłby aż takiej szopki.

– To czarownicy?!

– Mhm.

– A czego chcą?!

– Zaraz się dowiemy.

Io metodycznie przepatrywała okolicę. Robiło się coraz ciemniej i dlatego już po chwili zdołała dostrzec to, czego szukała.

– Tam. – Wyciągnęła rękę przed siebie. – Widzisz?

Faron zerknął we wskazanym kierunku. Wysiliwszy wzrok, zobaczył kilkudziesięciu jeźdźców na koniach. Każdy z nich trzymał w ręku pochodnię – teraz były doskonale widoczne w nagłym mroku. Przed linią zbrojnych stał herod z proporcem i dwie kobiety. Szczegółów nie sposób było dostrzec z tej odległości.

– Armia Arkach – jęknął Faron. – Dopadli nas.

– Nie mogę stąd dostrzec ich barw, ale to z całą pewnością nie wojsko Arkach. Ich nie byłoby stać na takie widowisko tylko po to, żeby wskazać mi drogę, którędy mam do nich podejść.

Jej przewodnik zmrużył oczy.

– A kto to jest, pani?

– Pewnie poselstwo Królestwa Troy. Oni mają tu swoje interesy. No i lubią szastać pieniędzmi, a ta noc w środku dnia musiała ich sporo kosztować.

Nerideen był bardzo pewny siebie. Prowadził przez las, jakby tu właśnie się urodził i spędził większość swojego życia.

– Dawno już minęliśmy granicę – perorował bez przerwy. – Jeśli informacje tych kupców są cokolwiek warte, to na pewno minęliśmy

też linię wojsk Luan.

Dziadek zachowywał filozoficzne milczenie, pociągał sobie z bukłaka na każdym postoju i miał wszystko głęboko w dupie. Siostry nie wypowiadały się, generalnie dlatego, że znały swojego brata i jego wybuchową naturę. Wolały nie polemizować i nie prowokować awantury. Ale swoje wiedziały, ani one same, ani ich brat nie mieli pojęcia o orientacji w terenie. Może znał się na tym siwy mężczyzna, który im towarzyszył, a którego tak bardzo ostatnio polubiły. Zajmowały się więc obserwacją jego twarzy. Jeśli nie malowała się na niej jakakolwiek troska, one również pozostawały spokojne.

Notabene zwiad kupiecki, który napotkali poprzedniego dnia, rzeczywiście dysponował jakimiś informacjami na temat sytuacji na froncie. Według nich działania wojenne chwilowo ustały, a oni sami posuwają się we właściwym kierunku.

– I teraz powinniśmy zejść z drogi – oświadczył Nerideen z wielką pewnością w głosie.

– Nazywasz to coś drogą? – zapytała Klitoo.

– Nie spierajmy się o nazwy. I niech ci będzie: szlak, ścieżka, wydeptany ślad. Odtąd musimy zejść z tego czegoś i posuwać się dalej lasem.

– A po co?

– Jeśli już minęliśmy wojska Luan, to przecież Arkach na pewno wystawi posterunki właśnie na takich zagubionych traktach jak ten.

– A po co? – powtórzyła Klitoo.

– Żeby łapać szpiegów! – Nerideen nie mógł się nadziwić naiwności siostry. – Takich, co wojsko policzą i zaznaczą na mapie, gdzie jest.

– Przecież my nie jesteśmy szpiegami – obruszyła się dziewczyna. – Nawet na takich nie wyglądamy.

– Wyglądacie za to na takie, które trutki żołnierzom do zupy doleją, najpierw wkradłszy się w ich łaski.

– O nie! – rozgniewała się Mezeena. – Dziadku, a ty co o tym myślisz?

Starszy mężczyzna skrzywił się, wyrwany ze swoich pogodnych, sądząc po minie, rozmyślań.

– Nooooo... szpiegów mogą chcieć łapać. Faktycznie.

– A czy my wyglądamy na szpiegów?

– Nie! Tyle że przecież szpieg nie może wyglądać na szpiega. Powinien wyglądać jak... – Dziadek zamyślił się. – Powinien wyglądać tak mniej więcej jak wy. Znaczy niewinnie – wybrnął.

– A co myślisz o tym, żeby zejść z drogi? – dopytywała Klitoo.

– Nic – siwy mężczyzna odruchowo odparł szczerze. – To chyba bez znaczenia, bo jeśli obstawili teren, to nie patrzą, czy jest droga, czy jej nie ma... – urwał, bo zobaczył minę Nerideena i zmienił zdanie. – W sumie to jednak dobry pomysł, bo jeśli gdzieś mieliby się nas nie spodziewać, to właśnie tam.

– I nie zgubimy się w lesie? – to pytanie obie siostry zadały naraz.

– Nie! – ich brat miał gotową odpowiedź. – Bo pójdziemy wzdłuż koryta strumienia.

To ucięło dalszą dyskusję i cała grupa skręciła w głąb lasu, w stronę szemrzącej nieopodal wody. Dziewczyny napełniły łagwie. Dziadek, korzystając z krótkiej przerwy, pociągnął kilka łyków ze swojego bukłaka i po chwili mogli ruszać dalej.

„Dalej” to nie znaczy, że daleko. Nie przeszli nawet dwustu kroków, kiedy powstrzymał ich energiczny głos:

– A czemu to szanowni podróżni nie drogą, tylko przez chaszcze się przedzierają?

Nerideen chciał wyszarpnąć swój miecz ukryty w zrolowanym kocu, Dziadek jednak zdążył chwycić go za rękę.

– Zgubiliśmy się – powiedział do ukrytego wśród zarośli człowieka. – Poszliśmy do strumienia po wodę. I nie możemy wrócić na drogę.

– Brzmisz rozsądnie, ale przecież drogę widać gołym okiem, jakby się tylko rozejrzeć uważnie.

– A mów za siebie, proszę. Nie wiem, ile masz lat i jakie oczy, ale ja żadnej drogi nie widzę!

– Stary, a nie mógłbyś kazać młodemu, żeby się rozejrzał?

– A mógłbym, ale kto by tam młodego słuchał! Toż ja wiem lepiej!

Najwyraźniej rozbawił obcych, bo kilku mężczyzn opuściło kryjówkę z gałęzi dosłownie kilkanaście kroków przed nimi. Nie wyglądali ani szczególnie bojowo, ani specjalnie groźnie. Ale wszyscy byli uzbrojeni.

Na ich widok Klitoo oświadczyła dobitnym tonem:

– Nie jestem szpiegiem i nie zajmuję się dolewaniem trutki żołnierzom do zupy!

Teraz już obcy zaczęli się śmiać głośno.

– Bardzo nam miło z tego powodu. – Najbardziej ogarnięty z mężczyzn nawet tak jakby lekko się ukłonił. – Witajcie w Arkach.

– Czy wy jesteście żołnierzami? – zapytał Dziadek.

– A ty, stary, to chyba naprawdę jesteś ślepy. Widzisz na nas jakieś mundury?

– Na bandytów rabujących w lesie też mi nie wyglądacie.

– My jesteśmy prywatni, wojsko nas najęło, żebyśmy las przeszukiwali i wyłuskiwali takich jak wy, ponieważ robimy to trzy razy skuteczniej niż armia i dziesięć razy taniej.

– Aha. To znaczy, że teraz nas przeszukacie?

– Możemy cię przeszukać, ale tylko na twoje stanowcze żądanie. Generalnie nas nie interesujecie. Nasze zadanie polega na tym, żeby was dostarczyć do punktu koncentracji, zainkasować należną kwotę i wrócić na stanowiska. Wszystko zrozumieli czy mam powtórzyć?

– A na tym punkcie to co z nami zrobią? – zapytała trochę przestraszona Mezeena.

Mężczyzna posmutniał trochę.

– Tam dziewczętom urywają głowy – powiedział. – Ale tylko brzydkim, więc was nie tkną nawet palcem.

Dziadek skłonił głowę, słysząc wyrafinowany komplement. Zaciekawiło go, kim był ten facet przed wojną. Nauczycielem, sofistą? Najwyraźniej nie był obyty z bronią, ale też i za bardzo tej umiejętności nie potrzebował. Znajdował się na terenie swojego kraju, wokół stały ich wojska, no i reprezentował własne państwo. Teoretycznie więc dałoby się łatwo pokonać na miecze tych

zgarniaczy przypadkowych podróżnych i uciec, ale byłoby to przecież rozpoczęcie wojny z całym państwem. To nie byli bandyci, tylko jego oficjalni reprezentanci. A wojna z całym krajem wydawała się bardzo głupim pomysłem. No i z drugiej strony dokąd uciec? Z powrotem do Luan? No przecież młodzi stamtąd właśnie zwiewali. W głąb obcego kraju? To już bardziej. Ale wtedy warunkiem powodzenia stawało się nieszukanie zwady z jego reprezentantami.

– No chodźcie, chodźcie. – Zbrojni otoczyli małą grupę, ale bez wrogości. Wyglądali na takich, co chcieli, żeby się nikt nie zgubił. – Punkt koncentracji blisko. Nie zmęczycie się.

Młodzi wraz z Dziadkiem nie byli zmęczeni. Jeśli chodzi o odczucia, dominowało raczej zaniepokojenie. Nie strach. Ci tutaj, choć niby z bronią, nie budzili lęku. Co jednak mogło ich czekać? Do tej pory nie mieli do czynienia z kontrolą na granicy, nie wiedzieli, czego można się spodziewać. Na szczęście punkt, o którym wspominali zbrojni, rzeczywiście nie znajdował się daleko. Już po kilku modlitwach, od chwili kiedy wrócili na leśny trakt, zauważyli kilka rozbitych obok drogi namiotów. Nie otaczały ich umocnienia, ostrokół, ani nawet ogrodzenie. Trochę dalej pod drzewem siedziało kilkunastu innych podróżnych, doprowadzonych pewnie wcześniej tego samego dnia. Nie wyglądali ani na zgnębionych, ani nawet na przestraszonych. Pożerali właśnie łapczywie suche wojskowe racje żywnościowe, którymi poratowała ich miejscowa armia. Ot i tyle. Żadnych żołnierzy też nie było widać. A na spotkanie nowej grupy z namiotu wyszła bardzo młoda kobieta w skórzanej spódnicy i skórzanej kurtce podbitej barankiem.

– Mamy nowych! – pochwalił się mężczyzna, który ich tu przyprowadził.

– No ładnie, ładnie. – Młoda kobieta miała przyjemny głos, trochę nosowy, kojący i w żaden sposób niekojarzący się z celnikiem, poborcą myta, a już na pewno nie strażnikiem. Wyjęła z sakiewki przy pasie kilka monet i wręczyła mężczyźnie.

– Jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz najlepszym werbownikiem – pochwaliła go z uśmiechem.

– Staram się, staram.

– I najbogatszym.

– O to, to, to! Najlepiej, jeśli służba ojczyźnie łączy się z mnożeniem dóbr doczesnych. – Zaśmiali się oboje i tylko oblicze Dziadka marszczyło się coraz bardziej.

Potem kobieta podeszła do grupki nowych i spojrzała badawczo.

– Drodzy przybysze ze świata szerokiego czy skąd tam – powiedziała, siląc się na uroczysty ton – witajcie na gościnnej ziemi Arkach!

Nerideen, Mezeena i Klitoo pochylili głowy z szacunkiem. Dziadek patrzył z uwagą.

– Jeśli jesteście uciekinierami, jeśli jesteście ścigani, jeśli ciążą na was sprawy, w które nie chcę wnikać, a które łączą się z potrzebą natychmiastowego opuszczenia miejsca, w którym dotąd żyliście, nie musicie się obawiać. Azyl zostanie wam udzielony.

– Pani, to zaszczyt gościć w tak szlachetnym królestwie – powiedział chłopak.

Kobieta w skórzanej kurtce pominęła tę uwagę milczeniem. Kontynuowała spokojnie:

– Niestety, nasz kraj toczy w tej chwili wojnę z wielokroć bardziej licznym przeciwnikiem. Agresor zadał nam ciężkie straty, nasza armia cofa się pod naporem i krwawi. Sytuacja jest ciężka i dlatego chcąc obronić nasze królestwo przed plugawym najeźdźcą, zmuszeni jesteśmy prosić was o pomoc.

Kobieta zawiesiła dramatycznie głos, Dziadek przełknął ślinę, a Nerideen uśmiechnął się z sympatią.

– Proszę, pomóżcie nam bronić najlepszego królestwa na świecie! Wstąpcie do armii Arkach!

I wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Nerideen, dokładnie tak samo jak w dolince, gdzie bandyci osaczyli przyszłych niewolników, wyrwał się przed szereg. Zrobił krok naprzód i powiedział dobitnie:

– Doskonale rozumiem waszą sytuację, wiem też, jakie jest Luan. I w podzięce za to, że zamierzacie bezinteresownie udzielić nam gościny, chcę wstąpić do waszej armii na ochotnika. Chcę bronić mojej przyszłej ojczyzny!

– O kurwa! – wyrwało się Dziadkowi.

– Co? – nie zrozumiała kobieta w kurtce.

– Chcę wstąpić do waszej armii na ochotnika.

Oczy kobiety rozszerzały się coraz bardziej, potem odkaszlnęła raz i drugi, ale w żaden sposób nie zbliżyło jej to do zapanowania nad sytuacją. Niepewnie odwróciła głowę w stronę najbliższego namiotu.

– Pani major! – zawołała. – Pani major!

We wnętrzu płóciennego schronienia rozległ się jakiś trzask, a potem skrzypienie polowego krzesła. Kiedy wielka poła uchyliła się na bok, zobaczyli starszą już kobietę, również ubraną w skórzaną spódnicę i skórzaną kurtkę. Dodatkowo jeszcze z powodu chłodnego wieczoru tamta, wychodząc na zewnątrz, owinęła się w wełniany płaszcz.

– Czego mordę drzesz, chorąży, co? Może chcesz dowodzić zaprawą fizyczną dla nowych rekrutów?

– Pani major, melduję, że ten tutaj – wskazała palcem przyczynę całego zamieszania – chce wstąpić do naszego wojska na ochotnika.

Major podeszła do chłopaka i zaczęła podejrzliwie węszyć.

– Co piłeś?

– Nic, pani – odparł rezolutnie Nerideen. – Rozumiem sytuację, jestem poruszony tym, co oferujecie zagubionym przybyszom, i chcę bronić Arkach. Chcę wstąpić do wojska na ochotnika!

– Ja pierdolę! – wyrwało się pani major, ale ponieważ była wyższym oficerem, szybko się opanowała. Zmieniła ton. – Doceniam, chłopcze, to, co mówisz. Twoja postawa jest bardzo szlachetna i... – gorączkowo szukała słów – i... i bardzo szlachetna! Naprawdę doceniam. I choć potrzebujemy... – znowu zabrakło jej słowa – szlachetnych ludzi w szeregach, muszę ci odmówić.

– Dlaczego?

– Ponieważ w naszej armii służą wyłącznie kobiety. Taki mamy podział ról w społeczeństwie. – Poklepała Nerideena po ramieniu. – Tak że ty i stary możecie spokojnie iść dalej, a te dwie zostają z nami.

– To moje siostry!

– No właśnie. Tuszę, że będą równie szlachetne jak ty i na ochotnika odsłużą swoje w armii Arkach. – Major zerknęła na podwładną i ruszyła z powrotem do namiotu. – Dokończ za mnie – rozkazała. – Albo cię poślę do kierowania zaprawą fizyczną!

– Tak jest! – Chorąży odwróciła się na pięcie. – Kapral do mnie!

Z innego namiotu wysypało się natychmiast sześć dziewczyn w wojskowych tunikach i płóciennych kurtkach. Wszystkie też miały krótkie, grube warkocze splecione u każdej w ten sam sposób. Dopiero teraz Mezeena i Klitoo przestraszyły się tak naprawdę. Nerideen sięgnął po swój miecz, ale Dziadek znowu chwycił chłopaka za rękę.

Z innego namiotu wysypało się natychmiast sześć dziewczyn w wojskowych tunikach i płóciennych kurtkach

– Ani się waż – syknął. – Nie zaczynaj wojny z całym państwem.

Dziewczyny z namiotu błyskawicznie dopadły do obu sióstr.

– Rozbierać się obie! Już! – komenderowała jedna z nich, piegowata i jędzowata z wyglądu. – Nie martwcie się. Wasze tuniki oddamy rodzinie.

– Ale my...

– Wy odtąd znajdujecie się pod opieką armii, która będzie was ubierać i żywić. Poczujecie się jak u mamusi – zakpiła kapral.

Nerideen szarpnął się znowu, ale Dziadek trzymał mocno. Chorąży zauważyła, co się dzieje.

– Słusznie – mruknęła. – W tych namiotach mam pluton wsparcia, więc niech młody nie fika, bo podpadnie pod sąd polowy.

Mezeenę i Klitoo odarto z ubrań, które zresztą zgodnie z zapowiedzią zaraz położono przed chłopakiem, i to zgrabnie poskładane w dwie identyczne kostki. Obu dziewczętom, posługując się miarką z kawałka sznurka, błyskawicznie skrócono włosy do regulaminowej długości i spleciono, jak u innych, w pojedyncze grube warkocze. Potem obie musiały włożyć wojskowe tuniki i płócienne kurtki, jeszcze bez odznak jednostek. Sandały związane parami powieszono im na szyjach.

– Nie wkładajcie od razu na dłużej – poradziła im kapral – bo nogi zaraz będą w krwawych bąblach.

– Ale za co...? – Klitoo była tak oszołomiona tempem rozgrywających się wypadków, że dopiero teraz zdołała się choćby symbolicznie przeciwstawić. – Za co nam to robicie?

– Nie słyszałaś, co było mówione? – zainteresowała się kapral. – Przecież ty ze szlachetności wstąpiłaś na ochotnika.

– Ale ja nie chcę.

– Ty mi lepiej odpowiedz na proste pytanie. – Żołnierz zdjęła ze swojej szyi dwa przygotowane wcześniej kawałki rzemienia. – Czy ja się mam z tym wygłupiać, czyście już pojęły prostą rzecz?

– Jaką rzecz? – zapytała Mezeena.

– Mam wam wiązać ręce, żebyście nie wierzgały jak głupie? Czy może już pojęłyście, że jeśli w tych mundurkach uciekniecie tam – palec pani podoficer pokazał kierunek, w którym leżało Luan – to

zabiją was jako wrogów. A jeśli uciekniecie tam – palec powędrował na stronę przeciwną, gdzie leżało Arkach – to zabiją was jako dezerterów?

Po dłuższej chwili Mezeena zaczęła chlipać.

– Zrozumiałyśmy – powiedziała trzęsącymi się wargami.

Klitoo, bardziej bojowa, szarpnęła się mocno, ale żołnierze trzymały ją dobrze.

– No trudno.

Kapral sprawnie krępowała im dłonie za plecami, a potem zameldowała:

– Gotowe, pani chorąży! Odprowadzać?

– Zaczekaj chwilę. – Chorąży skrzywiła się i splunęła na ziemię. – Możecie pożegnać się z rodziną. Ale szybko i nie mazgaić mi się!

Mezeena, płacząc jak bóbr, przytuliła się do Nerideena. Nawet nie mogła go objąć, przez co wydawało jej się, że osiągnęła już dno rozpaczy. Klitoo stała z boku, pomstując pod nosem i klnąc bezgłośnie. Wyraźnie wzbierała w niej agresja.

Dziadek zbliżył się do pani chorąży.

– Jak długo trwa u was służba wojskowa?

Młoda kobieta w skórzanej kurtce zrozumiała, dlaczego siwy mężczyzna stara się być dyskretny. Zasłoniła więc usta i odpowiedziała również szeptem:

– Dziesięć lat.

– O kurwa.

– Szepnij im na odchodnym, żeby postarały się o przeniesienie do elitarnych jednostek. – Kobieta odruchowo dotknęła swojej kurtki. – Służba cięższa, za to szansa na doczekanie jej końca jakby większa.

– Szepnę.

– I nie obawiaj się. To normalne wojsko, a nie jakieś szykany dla obcokrajowców. Nic poza tym, co przeżywają inne dziewczyny, im nie będzie.

– Dzięki za pocieszenie. Choć wolałbym je zobaczyć żywe.

– Dadzą Bogowie, to zobaczysz. – Chorąży skrzywiła się znowu. – Mam tylko nadzieję, że liczba kończyn przynajmniej z grubsza

będzie się zgadzać.

Faron czuł, że ogarnia go niepokój. Chociaż niepokój to za mało powiedziane. Włosy jeżyły mu się na karku. Ta nagła ciemność w chwili, kiedy słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ten upiorny orszak stu ludzi z pochodniami i dwie kobiety, które najwyraźniej na nich czekały. Coś tu było zupełnie nie tak.

Io nie miała żadnych niepokojących przemyśleń. Generalnie była za młoda na egzystencjalne strachy. Traktowała życie jako coś, co dzieje się tu i teraz, a przyszłość jest tylko takim wyobrażeniem, któremu nie warto poświęcać za dużo uwagi. Sama przyjdzie przecież. Dlatego też przyglądała się niecodziennemu orszakowi z wielką ciekawością. Jeźdźcy na koniach zdawali się wręcz identyczni, jakby wykuci w marmurze i pokolorowani. Nawet ich pochodnie płonęły identycznie. Żadna nie trzasnęła, nie sypnęła iskrami. Io zerknęła na proporzec. Miała rację. To oficjalne poselstwo Troy. Ale najciekawsze okazało się to, że posła nigdzie nie było widać. Io uśmiechnęła się w myślach: to tylko jedyne Troy tak potrafi ze wszystkich królestw na świecie. Jedynie to państwo miało odpowiednio dużo fantazji w olśniewaniu maluczkich. No i, trzeba dodać, tylko ono miało odpowiednio dużo pieniędzy, żeby spełnić swoje zachcianki.

Ale nie to było ważne. Najciekawsze okazały się dwie czekające na Io kobiety. Jedna to ewidentnie czarownica. Nawet miała czarną chustę, choć nie zawiązaną na głowie, jak wymagano by tego od czarownika w misji. Ona po prostu zawiesiła ją sobie na szyi. Młoda, z zaciętą, brzydką twarzą ozdobioną (a może oszpeconą?) małymi oczkami.

Natomiast druga kobieta była ruda! Coś niesamowitego. Miała po prostu czerwone włosy i mnóstwo piegów na twarzy! Znak, że jej tatuś albo jakiś inny przodek przybył do Troy aż z Królestwa

Pobrano ze strony pijafka.pl

Chorych Ludzi. Dziwne, bo twarz kobiety wcale nie była biała jak papier, choć rzeczywiście wydawała się o całe nieba bledsza od wszystkich wokół.

– Ty jesteś Io? – zapytała czarownica bez żadnych wstępów.

Faron aż się spocił ze strachu. Zerknął na swoją podopieczną, ale dziewczyna tylko się uśmiechnęła.

– Tak.

– No to ja swoje zrobiłam. I przyznaj, że tylko ja potrafiłam ją odnaleźć.

Druga z kobiet, ta ruda, uśmiechnęła się z sympatią.

– Wybacz, pani, ten obcesowy ton mojej przyjaciółki. – Ukłoniła się z gracją. – Jestem Anarcha. Prawa ręka Betelgeuzy.

Tego Io już nie zrozumiała, choć domyśliła się, że chodzi o wielkoksiążęce imię z Troy, które wzięło się od jakiegoś gwiazdozbioru.

– Prawa ręka, czyli? – zapytała, aby od razu wyjaśnić tę kwestię.

– Och, złośliwi mówią, że jestem koleżanką do zabaw w piasku, pochlebcy nazywają mnie jej oficerem do zadań specjalnych. A tak naprawdę jestem dziewczyną na posyłki.

– Podziwiam skromność.

Anarcha podniosła dłoń w odżegnującym geście.

– Pozwoliłam sobie na uwagę o księżniczce i zabawach w piasku, ponieważ Betelgeuza ma dopiero sześć lat. Niemniej to ona powinna sprawować pieczę nad kierunkiem spraw i naszych interesów w Arkach.

– Ach, rozumiem. Ktoś ją na razie zastępuje, ale imienia tego kogoś póki co nie wymienisz, tak?

– Wymienię. To Kasjopea.

Ups! Zrobiło się groźnie. Każdy, kto choć trochę orientował się w układach panujących na szczytach władzy w Troy, wiedział, że Kasjopea jest zajadłą luanożerką, kobietą, która nienawidzi cesarstwa i która za wszelką cenę dąży do konfrontacji.

– Anarcha jest bardzo skromna – odezwała się stojąca obok czarownica. – Tak naprawdę funkcja oficera do zadań specjalnych

w rzeczywistości oznacza, że Królestwo Troy wysyła ją, żeby rozwiązywała sprawy naprawdę trudne.

– I ja jestem taką sprawą? – zapytała Io.

– Absolutnie. Ale nie przedstawiłam się, wybacz. – Czarownica ukłoniła się podobnie jak przedtem rudowłosa. Tylko dla zachowania pozorów. – Jestem Fedra.

Nooooo... teraz robiło się naprawdę ciekawie. Io słyszała historię Fedry. Czarownica, która zbuntowała się przeciwko wyrokowi ich Rady. O mało jej nie wyklęli jak Mereditha. W jej przypadku skończyło się publiczną chłostą i upokorzeniem, ponieważ nagą i zakneblowaną batożono na oczach mieszkańców miasteczka, któremu wbrew wyrokowi chciała pomóc.

– Ty również przybywasz w imieniu Betelgeuzy, czy też jak wolicie, Kasjopei?

– Nie. Mnie przysyła Luna.

I to imię nie było Io obce. Czarownica uwikłana w jakieś machinacje na szczytach aparatu bezpieczeństwa w Luan. Przyszły na nią srogie terminy, podobno nawet poszła w niewolę i zepchnięto ją na dno na kilka lat. I tylko dzięki pomocy kogoś władnego udało jej się uciec do Troy. Podobno teraz założyła Biuro Handlowe i trudniła się zbieraniem informacji dla kupców. Mniejsza zresztą o jej historię.

Wszystko stało się jasne. To nie Rada Czarowników przysłała tutaj członków poselstwa. Gorzej. Ono najwyraźniej zostało przysłane wbrew Radzie. Może w tajemnicy przed nią, a może po prostu w kontrze, aby dokonać czegoś, co nigdy nie zostałoby zaakceptowane?

– A dlaczego mnie szukacie? – Io nie zamierzała bawić się w jałowe rozważania. Nauczono ją, żeby niczego nie dawać do zrozumienia, tylko zawsze pytać wprost.

– Luna twierdzi, że jesteś jedyną osobą, której można zlecić bardzo skomplikowane zadanie – powiedziała Anarcha.

– No niestety. Jestem właśnie w trakcie wykonywania misji.

– Ależ pomożemy ci ją wypełnić. Nie zamierzamy cię do niczego zmuszać. Nam się aż tak bardzo nie spieszy.

– A jakie to zadanie?

Obie jak na komendę rozłożyły ręce.

– Wybacz, nie tutaj, nie dzisiaj i nie w obecności tych wszystkich ludzi.

Io nie bardzo chciała wierzyć. Co im nie pasuje w dolinie pełnej jezior? Ktoś tu będzie podsłuchiwał? Zbyt naiwne. A może po prostu Luna nie była pewna swoich wizji i obie wysłanniczki miały najpierw przyjrzeć się Io, zanim powiedzą, co mają do powiedzenia. To najpewniej. Io westchnęła w duchu. Nie lubiła takich sytuacji, ale instynkt nie pozwalał jej odmówić od razu. Coś, czego nie mogła sobie nawet uświadomić, w tej chwili pociągało ją w związku z tą sprawą. Co? Nie umiała nazwać tego odczucia. Tamte więc miały rację: decyzja nie dziś, nie tutaj, nie w tym otoczeniu.

– Powiedzcie zatem: dlaczego ja? – zapytała. – Czemu mnie wybrałyście?

Fedra zrobiła dwa kroki, podchodząc bliżej. Stanęła przed Io i spojrzała prosto w jej twarz.

– Mówią, że jesteś jak połączenie młyna wodnego i szubienicy. Zabijasz mechanicznie, pewnie i zawsze tak samo skutecznie.

Faron struchlał do cna. A Io odpowiedziała szczerym, radosnym uśmiechem.

– Ale ja nie lubię zabijać i nigdy nie zabijam! – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, całą mocą swojej niewinnej, dziewczęcej twarzy i dodała: – Jeśli nie muszę.

Nerideen nie mógł zasnąć. Wiercił się na swoim posłaniu, wstawał, siadał, kładł się znowu, tylko po to, żeby przewracać się bezproduktywnie z boku na bok. Mniej więcej w środku nocy Dziadek zlitował się nad nim. Podniósł się, klnąc w żywy kamień,

i pozwolił chłopcu golnąć kilka łyków ze swojego ogromnego bukłaka. Nie pomogło. Ale przynajmniej wywiązała się rozmowa.

– Siostry męczą – ni to spytał, ni stwierdził siwy mężczyzna.

– Nie. Sam się męczę. Zawiodłem.

Dziadek przyłożył do ust szyjkę bukłaka. Pił długo i ze smakiem.

– Pamiętam taką piosenkę z dzieciństwa – westchnął, zionąc oparami mocnego alkoholu. – Miała tytuł: „Oki nigdy nie zawiedzie".

Nerideena nic chyba nie mogło pocieszyć. Odmówił nawet kolejnego łyka.

– No i co z tą piosenką? – zapytał bardziej dlatego, że wkurwiała go cisza, niż po to, żeby poznać odpowiedź.

– Otóż jej autor się mylił. Każdy zawodzi. Czy ty, czy ja, czy najlepszy żołnierz świata... Każdy zawiedzie. Tak jak Oki.

Chłopak poderwał się na posłaniu z gałęzi.

– Ale ja zawiodłem rodzone siostry. I jak mam żyć z myślą, że one właśnie giną z rąk silniejszego, doświadczonego, wyszkolonego żołnierza Luan, który góruje nad nimi siłą i uzbrojeniem?

– Tak zaraz to nie zginą – wtrącił Dziadek. – Rozmawiałem z tą podoficer, z tą chorążą... nie wiem, jak się odmienia... Z tą chorążym?

– No i co z tego?

– A to, że w Arkach nie idioci urządzili armię z kobiet. Najpierw czeka je sto dni szkolenia, gdzie, gwarantuję, nikt ich nie zabije.

– I podczas tego szkolenia staną się silniejsze od cesarskiego gwardzisty?

– A czy ty w ogóle przyjrzałeś się wyposażeniu tych żołnierzy?

Nerideen o mało nie eksplodował.

– Nigdy sobie tego nie wybaczę! Nigdy nie daruję sobie, że uciekłem stamtąd jak tchórz i zostawiłem własne siostry na pewną śmierć!

Dziadek zaczął się śmiać.

– Uwierz mi, darujesz sobie już niebawem. – Pogłaskał chłopaka po głowie jak nauczyciel, który widzi, że dziecko bardzo się stara, ale jest zupełnie niepojętne. – Po drugie, zaczynanie wojny z całym

królestwem jest zwykłym samobójstwem, a to w każdej chwili możesz jeszcze popełnić. Weź miecz, idź w krzaki, załatw sprawę, zamiast mi się tu mazgaić. Po trzecie, mamy sto dni, żeby wyciągnąć twoje siostry z wojska. – Dziadek upił kolejny łyk, chuchnął i kontynuował: – A dodam od siebie, że gdybyś się przyjrzał wyposażeniu tych żołnierzy, tobyś wiedział, że one wcale nie mają zrównać się siłą fizyczną z cesarskim gwardzistą. W sztabie Arkach nie ma takiej opcji, nie ma takiego planu. Ot co.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy chłopak zmarszczył brwi, a potem spojrzał pytająco na swojego towarzysza.

– Co masz na myśli?

Dziadek odpowiedział pytaniem:

– Czy zauważyłeś u nich jakąkolwiek broń długą?

– Czyli co?

– No piki, oszczepy, włócznie, cokolwiek, co pozwala trzymać przeciwnika na dystans.

– Nie.

– Zatem te oddziały nie są przeznaczone do walki na równinach, kiedy to jedna armia staje naprzeciw drugiej, a w rezultacie dochodzi do bijatyki na pięści pomiędzy kobietami i mężczyznami. Prawda?

Nerideen chyba przeżył olśnienie, bo siedział w milczeniu i patrzył przed siebie.

– No fakt – wyszeptał po chwili. – Facet w zbroi, który dźwiga na sobie wyposażenie o wadze połowy swojego ciała, raczej nie dogoni w górach dziewczyny jedynie w tunice i ciepłej kurteczce.

– Tym bardziej że dziewczyna ma przy sobie tylko krótki miecz i małą kuszę.

– To nie kusze. To jakieś zabawki.

– Mylisz się, bo znowu oczami wyobraźni odruchowo przedstawiasz sobie ciężką dahmeryjską kuszę polową, której zasięg to dwieście, trzysta kroków. A tutejsza lekka kusza to, podejrzewam, raptem dwadzieścia, trzydzieści kroków, z którego to dystansu przebija przeciwnika. Lepsi strzelcy mogą mierzyć na pięćdziesiąt,

a wyborowi pewnie na siedemdziesiąt kroków. Ale co z tego, skoro broń błyskawicznie się ładuje. Żadnej stopki, żadnych korb, po prostu dźwignia do naciągnięcia i strzelasz dwa, trzy razy, zanim wróg do ciebie podejdzie.

– Nooo... Rzeczywiście nie chciałbym iść na zdesperowaną kobietę mającą w rękach coś takiego.

– Dlaczego zdesperowana? To ty nie wiesz, że kobiety strzelają lepiej niż mężczyźni?

– Jakoś nie widziałem, żeby kobiety wygrywały zawody strzeleckie.

– Bo nie organizuje się wspólnych zawodów. Nie ma tradycji, kobiety nie trenują. Gdyby szanse były równe, to wszystkie samce musiałyby od razu poschodzić z podiów i oddać wszystkie wieńce laurowe.

– Żartujesz?

– Nie. Mam talent do łuku, nie strzelam tylko z powodu kiepskiego wzroku. Ale wielu ludzi nauczyłem strzelać i wiem, że one robią to lepiej.

– Dlaczego?

– Widzisz, facet zawsze wie swoje. Ma własne wcześniejsze wyobrażenia na temat strzelania, wiele razy przyglądał się strzelcom, wyciągał jakieś błędne wnioski. A kobieta nie. Przychodzi na strzelnicę, instruktor tłumaczy jej, co i jak, a ona powtarza instrukcję oddania strzału. Mężczyzna nigdy, zawsze będzie kombinował. No i one mają inne podejście. Mężczyzna zawsze chce być najlepszy. Chce wygrać, stanąć na podium, pokonać innych samców. Kobieta nie. Bardziej chce poczuć luz, wczuć się w atmosferę i prawidłowo oddać strzał. Inne kobiety nie są wrogami do pokonania, a przynajmniej nie na niwie strzelectwa.

Nerideen ciągle kręcił głową. Więc Dziadek ciągnął swój wywód:

– Armia Arkach nie została stworzona jako narzędzie dominacji nad innymi jak choćby armia Luan. Jest stworzona do obrony własnego terytorium i tylko na tym terytorium może skutecznie działać. Ma szansę jedynie w górach porośniętych gęstym lasem. Tu

cesarstwo nie będzie uderzać całymi formacjami. Tu pojedynczy, spocony i dyszący Luańczyk będzie chciał złapać nareszcie zwinną dziewczynę z Arkach. Nie dojdzie do bitwy szereg na szereg, bo szeregu nie ma jak ustawić. Dziewczyny będą strzelać z ukrycia, a kiedy tamci ruszą całą masą, one uciekną, ukryją się, mogą choćby wejść na drzewa.

– Jak to na drzewa? A łucznicy?

– Młody, pole bitwy to nie stół chirurga, gdzie wszystko jest przygotowane i czeka na użycie pod ręką. A wyobraź sobie, jak pierwsza linia ciężkozbrojnych przechodzi, a dziewczyny za ich plecami zsuwają się z drzew...

– I znajdują się w okrążeniu.

– A ja bym powiedział, że znajdują się za pierwszą linią przeciwnika. Zamiast uderzać w jego plecy, idą w tył. I masakrują magazyny, transporty zaopatrzenia na drogach, sztaby, punkty koncentracji...

– Eeee...

– E? A jak byś się czuł na pierwszej linii, wiedząc, że w tym czasie ktoś rozpierdala ci całe zaplecze i żre żywność z twojego magazynu, głośno mlaskając? Albo jakbyś stał w formacji na punkcie koncentracji, a ktoś by strzelił do ciebie z krzaków i w dodatku jeszcze obrażał cię wulgarnymi słowy?

Nerideen wzruszył ramionami.

– Wojna nie jest łatwą sprawą – powiedział.

– O mędrcze! – Dziadek wzniósł oczy do rozgwieżdżonego nieba, a potem pobrał następny haust ze swojego bukłaka.

– Daj mi też.

– Spadaj! Kończy mi się i musimy zajrzeć jutro do najbliższej karczmy. – Siwy mężczyzna zaczął ponownie układać się na swoim posłaniu, trzymając bukłak tak, żeby Nerideen nie mógł go po ciemku znienacka wyszarpnąć.

– A to, co mówiłeś o moich siostrach, to prawda?

– Że co?

– Że można by spróbować wyciągnąć je z wojska?

– Tak. Ale nie tu, w lesie. Do miasta trzeba jechać, znajomości szukać, sposobności i okazji. Dowiedzieć się, co i jak.

– Myślisz, że w mieście podejmie nas od razu ktoś władny?

Dziadek zaczął się śmiać.

– Zapamiętaj se jedno, młody. Łatwiej załatwia się sprawy z cieciem niż z królem. A cieć w przeciwieństwie do króla w dodatku wie, jak coś załatwić.

Drewniany pałacyk myśliwski zbudowano w samym środku nieprzebytej, zdawało się, kniei. W pobliżu nie było ludzkich osiedli, nie było nawet dróg dojazdowych, którymi można byłoby dostarczać zaopatrzenie dla jego mieszkańców. Każdego, kto przyjechał tu po raz pierwszy, tym bardziej dziwił przepych, z jakim urządzono wnętrza. Wyprawione skóry egzotycznych zwierząt konkurowały z meblami wykonanymi z niespotykanych w tym kraju gatunków drewna. Luksusowe przedmioty odróżniały się od tych spotykanych gdzie indziej tylko jedną cechą. Poza absolutnym, koniecznym minimum do ich skonstruowania nie użyto żadnego metalu.

Anarcha zwróciła uwagę, że Io przygląda się skomplikowanemu urządzeniu, jaki stanowił lśniący mieszalnik i podgrzewacz do wina.

– Tak, tak – powiedziała. – To wyczyn świata zrobić coś takiego w ogóle bez metalowych części.

– I kto zadał sobie aż taki trud?

– Nie znam imienia byłego właściciela. No ale na pewno był to człowiek inteligentny. Lubił polować w okolicy, wiedział jednak, że prędzej czy później ta ziemia stanie się własnością Luan.

– A co ma jedno do drugiego? To znaczy jak do przewidywanej agresji cesarstwa ma się fakt, że pałacyk jest wykonany wyłącznie z drewna?

Anarcha uśmiechnęła się, rozkładając ręce.

– Żeby można go było łatwo spalić. Żeby nawet głupia łyżka do zupy nie dostała się w ręce wroga.

– O Bogowie. Ktoś był wielkim patriotą, i w dodatku bogatym. – Io zorientowała się nagle w konsekwencji tego, co sama powiedziała. – Zaraz. I ten ktoś pozwala, żeby mieszkali tu przedstawiciele obcego państwa?

– Poselstwo Troy odkupiło pałacyk. Z gwarancją, że spali go, zanim dotrą tu Luańczycy.

– No tak. Troy jest naturalnym sojusznikiem Arkach w tej wojnie. A to, że szastacie forsą na lewo i prawo, to wasz znak rozpoznawczy.

– Na biednego nie trafiło.

Anarcha uśmiechnęła się znowu, sprzyjająco i przesympatycznie, a Io zdała sobie sprawę, czemu miała służyć ta gościna i prezentacja niesłychanego wytworu architektury tymczasowej. Czy raczej ulotnej, jak by powiedzieli poeci. No cóż, Królestwo Troy pokazywało swą siłę. Wydać tyle pieniędzy na pokaz czarów zamieniających dzień w noc, a potem na luksusowy pałac, który niedługo już zostanie spalony, mogło mieć tylko jeden cel. Wielcy książęta oznajmili jej nagle: „Pamiętaj, dziewczyno! My zawsze mówimy poważnie! A naszą propozycję musisz rozpatrzyć wyjątkowo sumiennie”.

– Zapraszamy. – Milcząca dotąd Fedra wyciągnęła ramię w stronę leżanek, na których można było zjeść kolację. Były tak zestawione, że kiedy wszystkie trzy położyły się na nich, mogły swobodnie rozmawiać, patrząc sobie w oczy.

Służący podali grzane wino i gorące, pikantne przekąski, co było doskonałym pomysłem na chłodny wieczór.

– Mam przez cały czas przemożne wrażenie, że inwestujecie w niewłaściwą osobę. – Io zaczęła rozmowę, zdając sobie sprawę, że istotnych tematów teraz i tak nie będą mogły poruszyć. Trzeba zaczekać na moment, kiedy obsługa zniknie na dobre za drzwiami kuchni.

– My zawsze inwestujemy w tych, na których nam zależy – odparła Fedra z wielką pewnością siebie.

– Tylko że ja nie jestem płatnym zabójcą.

– Ależ jest to dla nas zupełnie oczywiste. – Anarcha zręcznie udawała oburzenie, że ktoś w ogóle posądzał je, że mogły choćby o tym pomyśleć. – Potrzebujemy twoich absolutnie unikatowych zdolności, droga przyjaciółko.

– Mówiłam wam, że wykonuję teraz misję...

– Jedno nie koliduje z drugim – wpadła jej w słowo Anarcha. – Więcej, z chęcią pomożemy ci wykonać twoje obecne zlecenie.

– A gdyby powiedzieć, że nasza oferta jest hojna – dopowiedziała Fedra – to jakby nic nie powiedzieć.

– O taaak – zgodziła się Io natychmiast. – Olśniewacie mnie wysokością waszych wydatków od pierwszej chwili.

Obie kobiety pełniące tu rolę gospodarzy zaczęły się śmiać. Potem Anarcha machnęła ręką.

– My w ogóle nie mówimy o pieniądzach – oznajmiła już poważnie. – Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że rozmawiamy o wieczności.

Nie mogła bardziej zaciekawić gościa. Niestety, nie było teraz możliwe zapytanie o cokolwiek, bo słudzy przynieśli wszystkie dania, które składały się na kolację. Io musiała zmienić pozycję na biesiadnym łożu, bo trudno jej było sięgnąć po co bardziej konkretne smakołyki. Troy nie zawiodło także w mierze wyboru dań oraz kucharza, który je przyrządzał. Stara, dobra monarchia opromieniana przez antyczne zwyczaje. Nie to, co nowobogackie Luan, gdzie tylko nieliczni patrzyli na wielowiekową tradycję.

Ech, jeżeli celem tych dwóch kobiet było wprawienie Io w doskonały nastrój, to ewidentnie im się udało. Przy winie kończącym posiłek, tym razem słodkim, gęstym, bez żadnej domieszki ciepłej wody, dziewczyna czuła, że odlatuje. Myśli leniwie przepływały przez głowę, powieki ciążyły, a duszę przepełniało sprzyjanie całemu światu.

Anarcha jednym klaśnięciem w dłonie przepędziła służących.

– Nie będziemy dzisiaj omawiać żadnych szczegółów – oznajmiła. – To rano. Teraz jednak możemy snuć wizje rzeczy przyjemnych.

– Ale w końcu poznam szczegóły? – zapytała Io. – I na pewno nie chodzi o zamordowanie jakiegoś wysoko postawionego obywatela?

– Poznasz szczegóły – powiedziała oficer do zadań specjalnych. – I niech to będzie rozstrzygnięcie także drugiej nurtującej cię kwestii. Szczegółów bowiem nie zdradza się prostemu mieczowi do wynajęcia. Nasza sprawa wymaga subtelnego podejścia, choć oczywiście może przybrać i gwałtowny obrót.

– Już bardziej tajemniczo tego powiedzieć się nie da – zdenerwowała się nagle Fedra. – Posłuchaj, koleżanko – czarownica zwróciła się bezpośrednio do Io. – Abstrahując od tego, kto kręci interesem, o którym mówimy, my tu nie reprezentujemy ani Kasjopei, ani Luny. To bardzo ważne, żebyś wiedziała.

– A kogo reprezentujecie?

– To, co powiemy teraz, powiemy jako Królestwo Troy.

Uuu, zaraza jasna! To była mocna deklaracja. I to znaczy, że coś zostało ustalone pomiędzy królem a wielkoksiążęcymi rodami. Ale w takim wypadku to coś nie mogło dotyczyć ceny trzech łokci sukna na targu w stolicy. Tu chodziło o grę w państwa.

– Dowiem się, o co chodzi?

– Jutro, kiedy będziemy opuszczać ten pałac. Ale teraz możesz spytać, co oferujemy w zamian.

Io skinęła głową.

– Co oferujecie w zamian? – powtórzyła jak opóźnione trochę echo.

Anarcha podniosła rękę.

– Ja powiem w skrócie.

– Mhm?

– Czasy idą parszywe, nawet nie wiesz jeszcze jak. Królestwa będą upadać, porządek na świecie zostanie zachwiany. Nie będzie już dobrych miejsc na przetrwanie, nie będzie gdzie się ukryć, idzie wielkie przewartościowanie.

– A mniej poetycko?

– Oferujemy ci azyl. Wieczny.

– Jak to mnie?

– Tobie i twojej rodzinie. Jakkolwiek szeroko rozumiałabyś to słowo.

Io zrozumiała właściwe znaczenie.

– To jest ta nagroda?

– To jest propozycja sojuszu.

– Bogowie! Pomiędzy mną a...?

– Nie. Pomiędzy nami a twoją rodziną. – Anarcha cmoknęła cicho. – Żeby to jakoś ładnie powiedzieć.

– No i pamiętaj – dodała Fedra. – Tego, co usłyszałaś, nie powiedziały dwie obecne tu dziewuchy z Troy. To powiedział ktoś znacznie od nas ważniejszy.

Io przymknęła oczy i opadła na miękkie wezgłowie. Czy można zaufać Troy? No... Jeśli już, to komu, jeśli nie im? Westchnęła, a właściwie ze świstem zaczerpnęła powietrza.

Cena była powalająca!

Wydawało się, że w górach słońce nie powinno być tak dokuczliwe jak na równinach. Ale gdzie tam. Jeśli ktoś liczył na chłodne powietrze spływające z wysokich turni, to nadzieje okazały się płonne. Zdawało się, że skwar nie ma sobie równych.

Do pierwszego większego miasta dotarli razem z ospałym, posuwającym się leniwie oddziałem kawalerii.

Nerideen podziwiał osobliwe nakrycia głowy, którymi dziewczyny na koniach chroniły się przed promieniami słońca. Były to ogromne kapelusze. Ale nie proste, góralskie. Te zdobiące głowy kawalerzystek miały fantazyjnie powyginane ronda, często przypięte ozdoby, lisie ogony, pióra drapieżnych ptaków, no i generalnie były w jasnych kolorach. Naprawdę rzadki widok, ponieważ armie innych państw na świecie zasadniczo dążą do unifikacji umundurowania, a tu ktoś pozwolił na pełną swobodę, przynajmniej w kwestii nakryć głowy.

Dziadek pochwycił spojrzenie chłopaka.

– To może oznaczać dwie rzeczy. Albo one są weterankami, którym już wszystko wolno, albo to biedna armia i wszystko, co żołnierze sami wymyślą, żeby nie dostać udaru, jest tolerowane.

– Na weteranki to one raczej nie wyglądają.

– Czemu tak myślisz?

– Za młode.

– Hm... – Siwy mężczyzna potarł brodę, zastanawiając się nad czymś, a potem oznajmił: – Może i masz rację? Zupełnie się na tym nie znam.

Samo miasto robiło dobre wrażenie, choć większość jego budowli wykonano z drewna. Murowana była jedynie świątynia i gmach prawdopodobnie rady miejskiej albo gubernatora, albo kogoś, kto tu rządził, ale zaraza jedna tylko wiedziała kto to był.

Na ulicach było czysto. Targ zorganizowano wzorowo. Stragany ustawiono w ten sposób, żeby na środku pozostał szeroki wolny pas, umożliwiający szybką komunikację tym, którzy nie zamierzali niczego kupować. Istna rzadkość, zważywszy na organizację takich miejsc w Luan. No i karczmy po bokach głównej ulicy wyglądały na bardzo przyzwoite, przestronne, gwarantujące dobrą jakość usług.

Dziadek jednak ciągnął gdzie indziej. Obaj zagłębili się w plątaninie zaułków o coraz niższej zabudowie, coraz bardziej zaniedbanej.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytał Nerideen.

– Nie. Szukam konkretnej okolicy.

– Chyba nie rozumiem.

– Bo tu nie ma nic do rozumienia. Musimy znaleźć porządny nocleg, wykąpać się, dać rzeczy do wyprania. Po noclegach w głuszy, zawitawszy do miasta, jest milion rzeczy do zrobienia. Choćby golibroda.

– Przecież przy głównej ulicy było dużo karczem i golibrodów również.

Dziadek tylko westchnął i machnął ręką.

– Dobra, podjąłem się uczyć cię walki, więc wytłumaczę też najprostsze rzeczy.

– A! – Nerideen podskoczył z radości. – Więc jednak się zdecydowałeś!

– Owszem. Przemyślałem sprawę i stwierdziłem, że chociaż jesteś wyjątkowo głupi i mało pojętny, to i tak raczej nikt mądrzejszy mi się nie trafi. Jakoś ostatnio widzę mało lotnych umysłów.

– Nie musisz być nieuprzejmy, ale i tak ci dziękuję. To najlepszy dzień w moim życiu.

– Nie dziękuj, nie dziękuj. Zaraz zginiesz i będę musiał zaczynać od nowa z kimś innym.

– Dlaczego zginę?

– Boś głupi – brzmiała jednoznaczna odpowiedź.

– To dlaczego zgadzasz się mnie uczyć?

– Bo jako jedyny wyjąłeś miecz wśród całego stada owiec prowadzonych do rzeźni. – Dziadek nawet nie zwolnił. Najwyraźniej wszystko, co mówił, było dla niego oczywiste i sądził, że każdy powinien widzieć sprawy dokładnie w ten sam sposób.

Nerideen zatrzymał się nagle, czując natłok myśli, ale zaraz ruszył za oddalającą się sylwetką siwowłosego mężczyzny, bojąc się go zgubić. Co powinien robić uczeń wobec mistrza? Na pewno nie powinien być natrętny, nie zamęczać pytaniami, nie naprzykrzać się... zaraz, przecież to jedno i to samo. Co więc powinien robić? Być przydatny.

– Tak. – Dziadek zdawał się czytać w jego głowie. – Mógłbyś mi przypomnieć, że zacząłem myśl i nie skończyłem.

– Przepraszam, zadumałem się. – Nerideen gorączkowo przeszukiwał pamięć, próbując przypomnieć sobie, o czym mówili ostatnio. – Miałeś mi wytłumaczyć, dlaczego nie skorzystamy z żadnej karczmy.

– Przy głównym trakcie. Bo szukamy miejsca podłego. Podejrzanego. Gdzie toczą się podejrzane interesy.

– A dlaczego?

– Bo takie miejsca z reguły mają system ostrzegania o zbliżaniu się straży miejskiej. Oferują też wiele dróg ucieczki, kiedy już się zacznie nalot.

– A czego niby miałaby od nas chcieć straż miejska?

– A tego już lepiej od nich nie usłyszeć. Lepiej ich unikać zawczasu.

– Czy to nie przesada?

– Gdybyśmy zawczasu unikali żandarmerii armii Arkach, twoje siostry byłyby teraz z nami. – Dziadek najwyraźniej odnalazł budynek, który odpowiadał jego wyobrażeniom o odpowiednio podejrzanym miejscu, bo uśmiechnął się do siebie i zaczął wspinać się po stromych drewnianych schodkach prowadzących do drzwi.

– Ale to burdel! – Nerideen odczytał napis nad wejściem.

– No właśnie.

– Co? Mamy nocować w burdelu?!

– A czemu nie? – Starszy mężczyzna zatrzymał się tuż przed drzwiami. – Aha, rozumiem. – Współczująco pokiwał głową. – Nie wiem, dlaczego się wzdragasz. Przecież to właśnie najlepsze miejsce na pierwszy raz.

Energicznie nacisnął klamkę i wkroczył do środka, a Nerideenowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za nim. Główna sala przybytku różniła się od zwykłych karczem tylko jednym szczegółem: za kontuarem napoje podawała starsza kobieta, a nie mężczyzna jak gdzie indziej. Nieliczni o tej porze goście byli poubierani, a wbrew legendom na sali wcale nie dało się zauważyć tłumu oferujących swoje wdzięki, ledwie pozasłanianych kurtyzan. Tych kilka dziewczyn, które rozmawiały z klientami przy ławach, również nie pokazywało niczego gorszącego.

– Witam jaśnie panów! – Kobieta za ladą ukłoniła się sztywno. – Od czego zaczynamy?

– Potrzebujemy noclegu, kąpieli, golenia, zabawy i gorących posiłków. Ale zaczniemy, jak Bogowie przykazali, od wypicia za zdrowie tak pięknej pani! – Dziadek ukłonił się również, i to mniej sztywno niż właścicielka lokalu.

– Co nalać?

– Dla mnie wódka. A dla młodego pewnie mleko.

– Służę uprzejmie. – Kobieta z dość sympatycznym uśmiechem postawiła przed nimi dwa kubki. – Wódka raz. – Napełniła naczynie przed Dziadkiem. – Mleko od wściekłej krowy dwa! – Naczynie Nerideena napełniła z tej samej butelki.

Siwy mężczyzna osuszył swój kubek jednym haustem, chłopak walczył z odruchem wymiotnym od samych oparów.

– I coś na ząb, wielka pani!

– Miejscowe przysmaki, czyli specjalność zakładu, czy światowe wykwintności panowie życzą?

– Skosztujemy miejscowych – zakomenderował Dziadek.

– Światowych? – nieśmiało zaproponował chłopak, podejrzewając, że skoro wódka śmierdzi tak okropnie, to i jedzenie może nie być aromatyczne.

– Świetnie. – Kobieta rozstawiła talerze, a potem napełniła je przekąskami z tego samego wyjętego spod lady garnka. – Światowe cuda, czyli baranina i ogórki. Oraz miejscowe pyszności: ogórki i baranina.

– No i pasuje. – Dziadek postukał paznokciem w swój kubek, żądając ponownego napełnienia. – Zgaduję, że na gorąco również będzie baranina?

Kobieta przytaknęła.

– I ogórki – dodała.

Nerideen, słysząc ten wyrok, przemógł się i przełknął zawartość swojego kubka, a potem długo walczył o życie. Po jakimś czasie wódka spełniła swoje zadanie. Po drugim kubku baranina zaczęła wydawać się smaczna, a ogórki pachnące. Nawet atmosfera panująca w niewielkiej sali okazała się coraz bardziej przyjazna. W środku siedziało raptem ze trzydzieści osób, w większości pogrążonych w dyskusji z kobietami w różnym wieku. Kilku mężczyzn grało w karty. Jakiś starszy mężczyzna, widząc, że sala się zapełnia, usiadł w kącie i przyłożył sobie do ramienia czekający tam instrument. Już po chwili rozległy się dyskretne dźwięki melodii

granej na harfie. I chyba właśnie to odróżniało salę jadalną w burdelu od podobnych sal w karczmach. Przy takiej samej liczbie ludzi w karczmie panowałby dokuczliwy gwar, no i grałaby orkiestra. Tu jednak rozmowy gości były ściszone. Jedyny wyjątek stanowiły głosy należące do czterech karciarzy. Ale po nich akurat widać było, że nie są miejscowi. Za wiele na nich było luańskiego sznytu. I to nie przywodzącego na myśl wyższych sfer, tylko te najniższe, bandyckie.

– Jakim cudem w matriarchalnym państwie mogą istnieć lupanary? – zaciekawił się Nerideen.

Temat zainteresował Dziadka, bo ten nawet odstawił swój kubek.

– A czemu sądzisz, że tu jest matriarchat?

– Bo w armii same baby.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Chociaż masz chyba rację, ci miejscowi mężczyźni są tacy jacyś... jakby mamusie nimi rządziły.

– No. Niewiele zdążyłem zaobserwować, ale to mi się rzuciło jako pierwsze w oczy.

– Każdy z nich jak księciunio normalnie, a sądząc po tym, jak się zachowują, to sama szlachta. Ani jednego człowieka z gminu.

Cóż za trafna uwaga. Obaj nie zdążyli poczynić zbyt wielu obserwacji po drodze, ale to się Dziadkowi udało. Określenie w sam punkt.

– A wracając do burdeli. Skoro moją damską armię, to i burdele dla kobiet muszą mieć. Każda płeć ma swoje potrzeby, a jeśli odseparujesz jedną od drugiej, jak w wojsku, to same kłopoty...

– Ale że jak? Toż kobiety mają inne potrzeby.

– Po mojemu takie same.

– Myślę, że...

Przerwało im otwarcie drzwi wejściowych z takim impetem, że o mało nie wyleciały z framugi. Wszyscy na sali odwrócili głowy. Kilku mężczyzn pokrytych kurzem z drogi wkroczyło do wnętrza, rozglądając się butnie. Nerideen poczuł, że lekko przyspiesza mu oddech. Znał przecież człowieka, który prowadził grupę. Dobrze zapamiętał jego twarz.

Druzus!

Co on może tutaj robić? Dlaczego on też przekroczył granicę? W spanikowanym umyśle Nerideena pojawiła się absurdalna myśl: a może on ich ściga?

Gdzie tam. Szermierz natchniony ledwie zerknął na zgromadzonych przy ladzie, uważniej rozejrzał się po sali i najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Wśród mężczyzn grających w karty.

– Gewane! Tu jesteś!

Ponury drab, niski, krępy i z jakimś świństwem wypisanym na twarzy, podniósł się, rzucając karty na blat.

– Mistrzu mistrzów! – Rozpromienił się fałszywie. – Skąd mnie ten zaszczyt klepnął po plecach?

– Zaszczycam cię... – Druzus również się uśmiechnął, ale bez śladu wesołości. – Nie obszczywam, ale zaszczycam. – Usiłował być dowcipny. – Ludzi szukam.

– Nie znam jeszcze okolicy, ludzi niewielu poznałem. – Hazardzista wydął wargi. – A co oni ci uczynili złego, mistrzu mistrzów?

– Ludzi szukam do roboty, kretynie! – szermierz natchniony raczył wyrazić się jaśniej.

– A! – Wyraz oczu Gewanego nie wskazywał jednak na zrozumienie.

– Ekipę zbieram, ćwoku!

– Ach, jasne. I ja się nadam?

– W mieczu jesteś dobry. Najlepszy na tym zadupiu.

Karciarz przybrał wyraz twarzy starego wyjadacza i rozejrzał się uważnie, czy wszyscy usłyszeli pochwałę, która padła z tak znamienitych ust.

– Na twój rozkaz zawsze stanę z mieczem u boku.

– Ja myślę. – Druzus skinął głową. – Ci twoi też dobrzy? – Wskazał na pozostałych trzech karciarzy.

– Dobrzy. Znam ich i ręczę.

– No to ich też przyprowadź. Jutro w południe będziemy czekać. Przed świątynią.

Tego już Dziadek nie zdzierżył, bo mruknął:

– Takie czasy nastały, że grzesznicy i bogożercy przed świątynią się teraz umawiają. Po czymś takim kapłani nigdy schodów już nie odczyszczą.

Nerideen zastanawiał się, czy ktokolwiek poza nim i kobietą za ladą usłyszał cichą uwagę. Najwyraźniej nie sens słów, ale przynajmniej nieprzychylny ton musiał dotrzeć do uszu Druzusa, bo ten rozejrzał się po sali, ale nie patrzył w jakimś konkretnym kierunku. Raczej chciał dojrzeć osoby, które patrzyły na niego. No i dopatrzył się. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem chłopca. Lekkie zmarszczenie brwi i... tak, przypomniał sobie.

– A wy co? Szpicle, że tu was przywiało? – powiedział pogardliwie. – Czy też całe tchórzliwe gówno z Luan spierdala teraz do Arkach?

Nerideen wziął oddech, ale momentalnie go stracił, uderzony przez Dziadka zgiętym palcem w sam splot. Na szczęście znany szermierz nie miał ani czasu, ani ochoty zajmować się byle czym.

– Uważaj, z kim pijesz. – Odwrócił się z powrotem w stronę swojego rozmówcy. – Może tu jakieś długie ucho się zalęgło.

– Mam czujność.

– No. Jutro w południe przed świątynią. Zarobicie swoje.

– Będę, mistrzu mistrzów. Wszyscy będziemy niezawodnie!

– No. – Druzus skinął mu palcem. Potem tą samą dłonią wykonał kolisty ruch pod adresem swojej ekipy, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Całe zajście pewnie na tym by się zakończyło, gdyby nie Gewane. W jego prymitywnym umyśle pojawiła się bowiem chęć rozkoszowania się słowami szermierza natchnionego pod własnym adresem. No i sprawdzenia, czy wszyscy dobrze słyszeli.

Najpierw rozejrzał się po twarzach swoich kamratów. No... Druzus to nie był byle kto. To człowiek legenda, szczególnie w kręgach bandytów i tych, którzy nie za bardzo lubili się z prawem. Koledzy od miecza i kart patrzyli na Gewanego z niekłamanym

podziwem. I dobrze. Ale tego się spodziewał. Gewane zaczął toczyć wzrokiem po sali. Wszyscy wlepiali w niego oczy. Co prawda kobiety jakby mniej zainteresowane tematem, być może odwróciły głowy tylko dlatego, że mężczyźni, z którymi prowadziły rozmowę wcześniej, zrobili to samo. Trudno. Skoro nie chcą zacząć go od razu uwielbiać, to niech zaczną się go bać. Mistrz szermierki szukał teraz potencjalnej ofiary. I nie musiał długo szukać.

Ruszył powoli ku dwóm mężczyznom pijącym wódkę przy barze. Przecież sam Druzus nazwał ich gównem. Nazwał ich tchórzami.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, stanął przed godniejszym w jego oczach przeciwnikiem, czyli Nerideenem, i z szerokiego rozmachu uderzył go w twarz. Otwartą dłonią, na odlew. Głowa chłopaka odskoczyła gwałtownie. A Dziadek chwycił go za ręce. Niby dlatego, żeby ofiara się nie przewróciła, ale chyba prawdziwy plan był inny.

– Przeproś mnie! – zażądał Gewane.

– Co...? – Twarz Nerideena nabierała pąsowych barw. Wstyd i upokorzenie sprawiały, że wszystkie słowa umknęły mu z głowy.

– Przeproś mnie za to, że tu jesteś, chuju!

– Bo...?

– Bo ci każę!

Gewane zamachnął się z drugiej strony i uderzył Nerideena w lewy policzek. Równie mocno. I tak jak poprzednio, głowa chłopca poleciała do tyłu.

– Opanuj się – zasugerował Dziadek, nie puszczając jego rąk. – Jeśli mu odpowiesz, to zginiesz.

Nerideen mógł nie usłyszeć. Szarpnął się, nie mogąc poradzić sobie z ogarniającym go poczuciem wstydu.

– Zabiję go.

– Nie. On zabije ciebie.

– Ja...

– Posłuchaj. Odpowiadanie na takie zaczepki jest głupie.

– Ale on mnie uderzył.

– I co, urażona panienko? Chcesz się mścić? No to ci powiem, że zemsta nigdy nie daje satysfakcji. Zostawia tylko niesmak. Rozczarowanie. I poczucie, że się jest kretynem!

– Zabiję go.

– A zabiłeś tego człowieka, który wyrzucił cię z domu i zdarł z ciebie tunikę?

Nerideenem coś wstrząsnęło. Chyba jego siwy towarzysz dotknął niechcący zbyt bolesnego wspomnienia. W dodatku wspomnienia podobnego do sytuacji, która teraz miała miejsce. Chłopak zacisnął zęby.

Gewane wbrew temu, czego można by się spodziewać, wcale nie słuchał wymiany zdań swoich ofiar. Toczył spojrzeniem po sali, żeby sprawdzić, czy wszyscy widzą, jaki jest agresywny. I czy kobiety już się go boją. Nie sądził, żeby obity po pysku szczeniak mógł zareagować. A tym bardziej siwy, zarośnięty mężczyzna obok. Żaden z nich nie miał broni, żaden nie był dla niego przeciwnikiem. A koledzy za plecami rechotali z ogromnej uciechy.

Dziadek natomiast jakby oklapł. Albo zdał sobie z czegoś sprawę. Z czegoś nieuniknionego.

– Dobrze – szepnął. – Pokażę ci, dlaczego to nie ma sensu.

Gewane właśnie odwracał głowę, zastanawiając się, co jeszcze mógłby zrobić i jakie upokorzenie mógłby jeszcze wymyślić. Drgnął, kiedy Dziadek wszedł pomiędzy niego i chłopca.

– E... czego?

Siwy mężczyzna patrzył mu prosto w oczy. Szczególne było to, że na jego twarzy nie malowała się jakakolwiek ekspresja. Był całkiem obojętny.

– No czego, pytam?! – Gewane podniósł ręce, by zmieść przeszkodę sprzed siebie i posłać gdzieś daleko, ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że stary chwycił go za nadgarstki. Szarpnął się, zrobił krok w tył, lecz przeciwnik podłożył mu nogę i mistrz szermierki upadł na plecy z takim impetem, że uderzył o najbliższy stół. Kilka naczyń spadło z brzękiem na podłogę. Dopiero teraz na całej sali zapadła cisza.

Koledzy od kart właśnie rozdziawiali gęby w szerokich uśmiechach. No to teraz, stary, zobaczysz.

Gewane gramolił się, klnąc wkurwiony tak, że w pomieszczeniu zapachniało mordem. Kilka kobiet zerwało się i pomknęło na zaplecze. Mężczyźni, ci z bliżej siedzących, zaczęli odsuwać się do tyłu.

– No, chuju... – Mistrz szermierki, kiedy tylko stanął na nogi, położył dłoń na rękojeści miecza.

Dziadek dokładnie w tej samej chwili rzucił mu w twarz kubkiem Nerideena. Wódka trysnęła w oczy i sprawiła, że Gewane lekko się zachwiał. Siwy mężczyzna doskoczył i pchnął przeciwnika prosto w ramiona kolegów.

– Co, kurwa? – Jeden z nich wyszarpnął miecz. Pozostali chwycili kolegę.

– Tylko bez burd mi tu! – krzyknęła kobieta za ladą.

Gewane dobył broni i ruszył na Dziadka. A ten niespodziewanie wyszedł mu na spotkanie. Spotkali się na środku. Napastnik jeszcze omiótł przeciwnika spojrzeniem, by upewnić się, że ten naprawdę nie ma żadnej broni. A potem triumfalnie wyciągnął miecz przed siebie, unosząc ostrze nad głowę siwego mężczyzny.

Dominował. Rządził. Od jego kaprysu zależało teraz życie człowieka. Nerideenem coś wstrząsnęło na widok ładunku pogardy malującego się na twarzy mistrza szermierki. Jego ogrom był porażający. Tym bardziej widoczny, że na prymitywnym obliczu nie sposób było dostrzec odbicia żadnej innej myśli.

– Długo jeszcze? – zapytał Dziadek niezrażony perspektywą własnej rychłej śmierci.

Do jego oprawcy nic nie docierało. To on był panem sytuacji, a nie ta wesz, którą miał w swojej mocy. Stał i napawał się tym, że decyduje o zakończeniu czyjegoś życia.

Siwy mężczyzna najwyraźniej nie dysponował zbyt wielkimi pokładami cierpliwości. Zrobił krok do przodu, wchodząc pod rękojeść wiszącego mu nad głową miecza, i uderzył mistrza szermierki pod pachę. Z całej siły chyba, bo aż stęknął. Gewane

poleciał do tyłu, ale nie przewrócił się, chwyciło go dwóch kolegów. Jego miecz świsnął bezproduktywnie w powietrzu, płatając jakąś niewidzialną, nieistniejącą głowę, bo prawdziwej od dawna nie było już na miejscu do ścinania.

Dziadek ruszył na tego z przeciwników, który miał broń w ręku. Karciarz nawet wykonał prawidłową osłonę i stanął w pozycji, uniemożliwiając napastnikowi kopnięcie go w zakroczną nogę. Trudno. Dziadek kopnął w nakroczną, co oczywiście nie przyniosło wielkiego efektu, ale zmusiło bandziora do opuszczenia ostrza. To wystarczyło, żeby siwy mężczyzna zrobił jeszcze krok i chwycił tamtego obiema dłońmi za nadgarstek. A kiedy już chwycił, zaczął go od razu wykręcać. Chyba każdy obecny na tej sali wzdrygnął się, słysząc trzask łamanej kości.

– Brać go! Brać go! – krzyczał Gewane.

Dwóch pozostałych karciarzy dobyło własnej broni.

Dziadek w tym czasie unicestwiał przedramię swojego przeciwnika, zamieniając je chyba w kostną mączkę, bo walił nim o kant najbliższej ławy. Nie zwracając uwagi na wycie, zabrał bandziorowi miecz, a potem chwycił go za włosy z tyłu głowy i zaczął uderzać nią o ten sam kant ławy, co przedtem ręką. Być może chciał uciszyć te krzyki.

Przerwał, dopiero kiedy zbliżył się następny karciarz z bronią. Ten jeszcze nie zrozumiał, co się wydarzyło. Podszedł szybko, agresywnie i uniósł miecz, żeby zakończyć sprawę jednym cięciem.

I zakończył.

Tyle że było to cięcie przez jego płuca, bo Dziadek podbił mu broń i sam ciął skośnie, z całej siły, głęboko. Mężczyzna upuścił swój miecz, ukląkł bezwiednie, patrząc na spienioną pęcherzykami powietrza krew, która buchała mu z rozciętych płuc. Chciał coś powiedzieć, może krzyknąć. Ale nie był w stanie zaczerpnąć głębszego oddechu. Z szeroko otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk, nawet charczenie. Świst i bulgot miały swoje źródło dużo niżej.

– Otaczaj go! – krzyczał Gewane. – Zajdź go z boku, debilu!

Jego ostatni kamrat trzymał co prawda miecz w dłoni, ale on już zrozumiał, co stało się na tej sali. I ewidentnie się wystraszył. Tchórzliwy przeciwnik nie jest przeciwnikiem, chyba że ma coś, z czego można strzelać. Ten jednak nie miał ani kuszy, ani nawet łuku. Nie liczył się, więc Dziadek zlikwidował go tylko po to, żeby oczyścić sobie pole. I nie było to żadne wyrafinowane działanie.

Po prostu uderzył w miecz karciarza własnym mieczem, ale z taką siłą, że tamten nie utrzymał rękojeści i upuścił broń. Siwy mężczyzna nawet go nie sięgał. Kiedy bandzior odwrócił się, by spróbować szczęścia w ucieczce, po prostu go popchnął, a kiedy przeciwnik upadł na brzuch, podszedł i zaczął kopać leżącego piętą w potylicę. Kałuża krwi płynąca z twarzy ofiary powiększała się powoli na drewnianej podłodze.

– Ty!... Ty, kurwa, ty!

Gewane ruszył do ataku. Przy całym swoim prymitywizmie nie runął, żeby zgnieść masą i chamstwem, bo chyba zaświtała mu myśl, że takie działanie mogłoby nie zakończyć się sukcesem. Postawił na to, w czym był najlepszy.

Na szermierkę.

– No?! Chuju!

Przybrał postawę jak na zawodach w gimnazjonie. Dziadek odpowiedział tym samym.

Gewane zaatakował, Dziadek sparował, cofając się o trzy kroki. Jeden, dwa, trzy i sam przeszedł do ataku, zmuszając przeciwnika do cofnięcia się o trzy kroki.

Jeden, dwa, trzy...

Krew płynęła ze skroni mistrza szermierki, ale nikt w tym pomieszczeniu nie zauważył, kiedy to się stało.

Gewane znowu zaatakował. Raz, dwa, trzy. Kontratak i w drugą stronę: raz, dwa, trzy.

Krew płynęła z rany ciętej na ramieniu mistrza. Kiedy zdążył zarobić to cięcie?

Znowu atak. Raz, dwa, trzy i nic. Kontratak: raz, dwa, trzy i kolejna rana na szyi. Mogła być poważna, krwawiła obficie, ale

ciągle nie była to tętnica. Zgromadzeni goście patrzyli jak na misterium odprawiane przez najważniejszych kapłanów w państwie. Oczy wychodziły po prostu z czaszek.

Atak: raz, dwa, trzy, brzdęk stali o stal. Kontratak: raz, dwa...

– Teraz będzie w podbrzusze – zapowiedział Dziadek.

Trzy!

– A! – wrzasnął Gewane ugodzony gdzieś pomiędzy pępkiem a pęcherzem. Głęboko.

Mistrz szermierki upuścił swoją broń i opadł na kolana, usiłując dłońmi powstrzymać krwotok. Dziadek podszedł do nieczynnego teraz wielkiego kominka i ze stojaka z przyrządami do czyszczenia wziął solidny pogrzebacz. Potem wrócił na miejsce walki.

Zaprezentował klęczącemu szermierzowi wielki hak na końcu pogrzebacza.

– A teraz wbiję ci to w dupę i powieszę na suficie! Będziesz, kurwa, świecił jak najlepsza lampa w mieście, choć tylko oczami!

Gewane podniósł przerażony wzrok zbitego psa.

– Co?... Co... mam zrobić?

– Przeproś młodego, gnoju!

– A... ale dla... dlaczego?

– Bo ja tak każę!

Gewane przypomniał sobie i zrozumiał.

– Przepraszam was, wielki panie! – wykrzyknął głośno, powodując tym samym silniejszy upływ krwi z własnego brzucha. – Przepraszam... błagam, błagam o wybaczenie.

Dziadek splunął obok, odrzucił pogrzebacz i podszedł do lady.

– Piękna pani! – Rozsupłał swoją sakiewkę i zaczął wykładać na blat złote monety. – To jest za sprzątanie sali, to za wyniesienie ciał, ta jest na poczęstunek alkoholowy dla wszystkich gości dla uspokojenia nerwów, a te są dla ciebie, piękna pani, za wyrozumiałość.

Położył trzy dodatkowe złote monety.

– Czy wybaczysz nam, że strasznie nagrandziliśmy, pani?

Pobrano ze strony pijafka.pl

Kobieta sprawnym ruchem zgarnęła z blatu pieniądze i ukryła w fałdach swojej szaty.

– Spadajcie – powiedziała rzeczowo.

A kiedy obaj ze zszokowanym Nerideenem ruszyli w stronę drzwi wyjściowych, krzyknęła za nimi:

– Gdzie?! Tam już po was biegną!

Pokazała za swoje plecy, otwierając drugą ręką drzwi na zaplecze.

– Dzięki, piękna pani. Dzięki!

Już po chwili wymknęli się tylnym wyjściem na równoległą do poprzedniej ulicę. Nie zaczęli biec, ale Dziadek narzucił niezłe tempo.

– No i co czujesz? – zapytał po chwili. – Triumf?

Nerideen nie mógł zebrać myśli. W głowie dosłownie mu się gotowało. Powiedział jednak:

– Miałeś rację. Czuję niesmak.

– No właśnie. No właśnie. Ale jakbyśmy darowali, czułbyś się równie paskudnie. Więc nie wiem, co lepsze.

– No ale... – Nerideen z trudem łapał oddech. Bynajmniej nie z powodu zadyszki. Po prostu myśli buzowały mu w głowie, jedna goniąc drugą. – Teraz zadarliśmy z całym państwem. Czyż nie?

Dziadek niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

– Niekoniecznie. Istnieje szansa, że strażnicy skwitują całe zajście w ten sposób: „Ty patrz, i znowu brudni imigranci pocięli się między sobą. Co za bydło, nie?”...

Rozdział 4

Io obudziła się z krótkiego snu, czując, że ma napięte wszystkie mięśnie. Jak przed skokiem do wody z jakiejś nieprawdopodobnej wysokości. Co to było? Omdlenie? Wydawało jej się, że została sama dosłownie na parę chwil; kobiety, które były tu gospodarzami, zapytały, czy chce się odświeżyć... Genialne pytanie dla kogoś, kto kilka ostatnich nocy spędził w lesie, do snu przykryty własnym płaszczem. Skwapliwie skorzystała z uroków olbrzymiej łaźni. Tu zapach drewnianego domu był wyczuwalny najsilniej. Woda w dwóch basenach, zimnym i ciepłym, sprawiła, że deski, choćby nie wiadomo jak zaimpregnowane, chłonęły ją i sprawiały, że woń zgnilizny trzeba było kryć silnym kadzidłem o zapachu korzeni.

Io pamiętała, że zanurzyła się w ciepłej wodzie, odmakała, celebrując opanowujące ją uczucie ulgi. Potem umyła się, natarła wonnościami i właśnie zamierzała skorzystać z zimnego basenu, kiedy stało się to coś. Co? Straciła przytomność? Niemożliwe. Szybko sprawdziła palcami skórę na głowie. To nie było omdlenie, nie upadła, nic jej nie bolało, nie miała żadnych stłuczeń. Czyżby czary? I to takie, jakich nigdy dotąd jeszcze nie doświadczyła? Hm, i niby po co byłoby to tym dwóm kobietom? Chciały przeszukać jej bagaże? Śmieszne. No to może wykorzystać? Być może, gdyby to było dwóch mężczyzn, ale i tak cały pomysł wypadało raczej traktować w charakterze dowcipu, a nie rzeczywistości. Miała wrażenie, że nie dowie się szybko, co tak naprawdę zaszło w łaźni. Ta wiedza zresztą miała niewielkie znaczenie, bardziej interesowało ją, dlaczego własne ciało zareagowało spięciem, jakby w oczekiwaniu na wielkie niebezpieczeństwo.

Uśmiechnięta wyszła do głównego pomieszczenia pałacu, którego ściany obwieszono myśliwskimi trofeami. Trofea Io nie interesowały, choć z pewnym zdziwieniem dostrzegła wśród nich kilka ludzkich czaszek.

– To nie ludzie. – Fedra pochwyciła jej spojrzenie. – Z opisu wynika, że to głowy potworów z Wielkich Lasów. Tam obok, z kłami, to podobno jakiś wilkołak czy upiór, a dalej to utopce czy w co tam biedni ludzie wierzą.

– Rozumiem.

Tu, w wielkiej sali, zapach zgnilizny był ledwie uchwytny, choć oczywiście, jak w każdym drewnianym domu, czaił się gdzieś na granicy wyczuwalności. A tutaj dodatkowo kryła go dość silna woń wielu tysięcy potraw, które latami podawano w tym miejscu i których zapach wsiąkł w grube tkaniny, jakimi pokryte były meble.

– Nasza ruda koleżanka – czarownica podbródkiem wskazała Anarchę – odłoży na moment swoją godność oficera do zadań specjalnych Betelgeuzy i będzie nam usługiwać osobiście. Odprawiłyśmy całą służbę.

– Gdzieś do pobliskiej wsi?

– W okolicy nie ma żadnej wsi. Służbę odprawiłyśmy na zawsze. – Fedra zajęła jedną z leżanek tuż przy stojaku z kadzidłem. – W kontrakcie zakupu tego pałacu zobowiązałyśmy się, że nie wpadnie on w łapska luańskich żołdaków. A cesarscy tuż-tuż, więc sama rozumiesz.

– A dodatkowym zyskiem jest to, że nikt nie będzie słuchał.

– Łatwo sprawić, żeby nikt nie słyszał tego, co mówię – odparła Fedra z dużą pewnością siebie. – Zechcesz spocząć obok mnie?

– Dziękuję. – Io zajęła wskazaną leżankę.

Ruda oficer rzeczywiście zajęła się obsługą, podstawiając maleńkie stoliki z przekąskami. Potem zajęła się rozlewaniem wina. Rozlewaniem w sensie dosłownym, bo niezbyt radziła sobie z ciężką amforą o długiej szyjce i sporo napitku wylądowało na podłodze, a także trochę na sukience Fedry.

– Cóż, polowe warunki, więc i obsługa typu polowego – skwitowała czarownica. – Ale nie bacząc na trudności, przegrupujmy się – opierając stopy na podłodze, przesunęła swoją leżankę dalej od niebezpieczeństwa – i kontynuujmy rozmowę.

– Jeszcze nie zaczęłyśmy.

– Ach, faktycznie. Od czego zatem zacząć?

– Może od wyjaśnienia, co robią dwie tak wysoko postawione Troyanki w dalekim Arkach.

Fedra podniosła palec.

– O, świetnie. Doskonały pomysł.

Anarcha przysiadła na najbliższej leżance i zaczęła wycierać w szmatkę mokre od wina dłonie.

– Obsługa polowa melduje zakończenie czynności kwatermistrzowskich i gotowość do działań sztabowych.

– Co? – dała się zaskoczyć Io.

– Ja ci wytłumaczę, bo jak ona zacznie, to albo niczego nie zrozumiesz, albo będziesz myśleć, że to jakieś głupoty.

Czarownica wbrew oczekiwaniom nie obraziła się śmiertelnie. Najwyraźniej obie były bliskimi przyjaciółkami, tylko nie okazywały tego przy obcych.

– Zamieniam się w słuch.

– Interesuje nas Luan, a nie jakieś tam Arkach. Jesteśmy tu tylko po to, żeby zneutralizować wpływ imperialnych służb na królową tego pięknego, choć trochę dzikiego państwa.

– Rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz. – Ruda oficer podniosła rękę. – Troy interesuje koalicja państw, które nie sprzyjają cesarstwu.

– Oj, oj, oj. – Io uśmiechnęła się szeroko i kpiąco jednocześnie. – A jest choć jedno w okolicy, które imperium sprzyja?

– Nie ma. I niech tak zostanie.

– Rozumiem, że stało się coś, co może wyrwać Arkach z „naturalnej” koalicji?

– Gorzej. Może je unicestwić. A jeśli upadnie Arkach, to upadną Nimmeth i Dery. A wtedy Luan zagarnie te tereny, dojdzie do

Wielkiego Lasu i nie będzie już mogło posunąć się ani o krok dalej.

Powiało grozą. Io była inteligentna i w lot zrozumiała, o co Fedrze chodzi. Imperium nie mogło istnieć bez stałego dopływu niewolników. W Zimnych Królestwach oparło się już nosem o mur. Cesarskie armie doszły do gór, których przy pomocy swoich żołnierzy nie potrafiły zdobyć. Jeśli za kilka lat oprą się w Arkach nosem o Wielki Las, to skończą się wszystkie kierunki agresji. Wszystkie oprócz jednego. Luan, czy chce czy nie chce, będzie musiało przekroczyć pustynię i całą swoją potęgą ruszyć na Troy. A tam nie rządzili idioci. Doskonale wiedzieli, jaka jest perspektywa strategiczna oraz dlaczego bardziej opłaca się walczyć cudzymi rękami niż własnymi, choćby miało to dużo kosztować. Samo Troy ograniczało się do niewielkich w strategicznej skali potyczek w okolicach portu Yach, gdzie chodziło generalnie o pieniądze i o wpływy wewnętrzne, we własnym kraju, a nie o politykę międzynarodową.

Ale to wszystko musiało się teraz diametralnie zmienić. Pozostało kilka lat na odmianę losów świata albo cała potęga Luan ruszy na Troy, i to nie dlatego, że chce, tylko dlatego, że nie będzie miała innego wyjścia. A to mogło oznaczać koniec cywilizacji w jej obecnym kształcie.

Albo zwycięży Luan i świat znajdzie się pod jego butem, jęcząc w niewoli. Albo Troy pokona imperium, ale nie zdoła potem zrobić żadnego ruchu. Albo najpewniej wszyscy osłabią się do tego stopnia, że państwa runą, ustępując miejsca zalewowi barbarzyńców. Niestety, polityka nie polega na roztrząsaniu, które „albo” jest najbardziej prawdopodobne. Polityka polega na doprowadzeniu do sytuacji, w której to nasze „albo” będzie na wierzchu.
I prawdopodobnie temu była poświęcona misja tych dwóch kobiet, jako pewnie jeden z wielu kierunków działań. Ciekawe jednak, dlaczego one zaproponowały tak sowitą zapłatę.

– A jak wygląda teraz sytuacja w Arkach? – zapytała Io.

Anarcha potrząsnęła głową, odrzucając z oczu rude loki.

– Właśnie jestem tu po to, żeby ci wyjaśnić.

Ruda oficer była sprytna. Widząc, że nie radzi sobie z amforą o wąskiej, długiej szyjce, napełniła od razu kilkanaście pucharów, rozlewając mnóstwo wina i z góry godząc się ze stratami. Teraz więc, nie brudząc wszystkiego ponownie, wzięła sobie po prostu kolejny puchar.

– Wojna trwa od lat i generalnie Arkach przegrywa. Ale powoli i umiejętnie opóźnia działania przeciwnika i powoduje jego horrendalne straty. Za ileś tam lat Luan oczywiście wygra, nakryje wroga hełmami i będzie pozamiatane. Ale co z tego, skoro zysk z kampanii będzie niższy niż koszt jej prowadzenia. Kupcy nazywają to mankiem.

– I co przedsięwzięli? – zapytała rzeczowo Io.

– Niestety, udał im się majstersztyk. – Anarcha skrzywiła się, robiąc boleściwą minę. – Umieścili swojego agenta w najwyższych kręgach władzy Arkach. W dodatku ten agent jest agentem wpływu.

– Wiecie, kto to?

– Chłopak nazywa się Biafra. Jest jedynym mężczyzną w armii kobiet, ma stopień generała i naprawdę wiele do powiedzenia na dworze.

– Aha. I chcecie, żebym to ja go... – Io wykonała gest, jakby chciała przebić palcem na wylot leżącą obok czarownicę.

Fedra i Anarcha zerknęły na siebie, a potem zaczęły się śmiać.

– Niestety. To absolutnie niemożliwe.

– Bo?

– Bo Biafra jest synem królowej.

Io zaniemówiła.

– Ja cię pieprzę! – Odzyskała oddech dopiero po dłuższej chwili. – Chcecie mi powiedzieć, że wywiad Luan zwerbował syna królowej państwa, z którym prowadzi wojnę?! No to już ich mają na rożnie.

– A widzisz – westchnęła Anarcha. – To nie takie proste, jak ci się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Więc wytłumacz.

Ruda oficer osuszyła swój puchar kilkoma łykami i podniosła następny.

– Biafra zasadniczo nie powinien się urodzić, a przynajmniej nie powinien przeżyć porodu. W matriarchalnym państwie królowa powinna rodzić wyłącznie dziewczyny. No ale się urodził i coś z tym trzeba było zrobić. Odesłano dzieciaka na wychowanie do jednej z księżniczek. Wybrano taką, która nie zadaje pytań. Niestety, nikt nie pomyślał, że księżniczka nie zadaje pytań tylko dlatego, że jest wyjątkowo głupia.

– Zaczyna się ciekawie.

– I jeszcze ciekawiej się kończy. Okazało się, że Biafra, kiedy tylko nauczył się mówić, zaczął też się jąkać. No a dzieci z otoczenia księżniczki dokuczały mu z tego powodu.

– No to rzeczywiście księżniczka charakteryzowała się głupotą wielką jak morze, skoro do tego dopuściła.

– Wielką jak ocean. Ale wiesz, to ten typ człowieka, że tylko zasady, tradycja i to, czego sama się nauczyła od mamusi.

– Aha. Wiele wyjaśnia.

– No właśnie. Biafrę umieszczono gdzieś w głuszy, w pałacyku, w którym otaczali go wyselekcjonowani nauczyciele.

– Którzy byli pracownikami wywiadu Luan – dokończyła Io.

– Przynajmniej jeden, ale wystarczyło – zgodziła się Anarcha. – Opętał chłopaka mocą wszechwładzy, pokazał mu, co może osiągnąć przez zakulisowe machinacje. No i stało się.

– Biafra wrócił na dwór księżniczki?

– Tak. Opanował jąkanie, opanował myślenie perfidne zamiast prostolinijnego i pozabijał rękami agentów Luan wszystkie swoje zmory, które dręczyły go w dzieciństwie.

– Nauczył się postępować z ludźmi?

– Właśnie. A kiedy doszło do niezwykle istotnych negocjacji, wykradł poufne informacje, przekazał gdzie trzeba i klęska w rozmowach już wtedy o mało nie doprowadziła do upadku Arkach. Aż zdenerwowała się sama królowa, skróciła głupią księżniczkę o głowę, majątek skonfiskowała, a jej dzieci rozpędziła na cztery wiatry.

– A Biafra?

– Wrócił z mamusią do stolicy, zaczął brylować na dworze i po obcych poselstwach. Potrzebował pieniędzy, został więc agentem kilku obcych wywiadów. No jak to w życiu. Ma się powodzenie wśród dziewczyn, to pieniądze są potrzebne na zabój.

Io zaczęła się śmiać. Dokończyła swoje wino i wzorem Anarchy sięgnęła po następny puchar.

– Skoro nie chcecie, żebym się na niego zamachnęła, nie przeszkadza wam, że chłopczyk jest sprzedajny jak prostytutka w dzień targowy, więc... co jest waszym celem?

– Cwana jesteś – włączyła się do rozmowy milcząca dotąd Fedra. – Sama domyśliłaś się, że nie potrzebujemy w nim agenta, choć wiadomo, że łatwo byłoby go kupić.

– Czego zatem potrzebujecie?

– Sojusznika.

– No jasna dupa wystawiona zza krzaka! Jak z chłopca na cesarskiej smyczy zrobić sojusznika? Zwariowałaś?

Czarownicy brew nawet nie drgnęła.

– Musimy zabrać cesarzowi tę smycz – odparła. – Biafra jest potwornie inteligentnym chłopakiem. Zdaje sobie sprawę, że jest potrzebny, dopóki Arkach nie padnie. A potem przestanie interesować Luańczyków. Będzie nikim. Dlatego w jego interesie wcale nie leży szybkie doprowadzenie do upadku własnej ojczyzny.

– Mamczyzny? – podsunęła Io kpiącym tonem. – To, co mówisz, ma sens – przyznała jednak po chwili. – Gdzie tkwi problem?

– Oni coś na niego mają – powiedziała Anarcha.

– Ale odkrycie! Jeśli są przy zdrowych zmysłach, to na każdego swojego człowieka coś mają.

– Nie, nie. – Anarcha zrobiła gest, jakby się odżegnywała. – To szczebel królowej. Mają więc na Biafrę absolutnie niezbity dowód współpracy. Coś, co przekona władczynię w okamgnieniu, a nie jakieś tam pierdu, pierdu, które można sfabrykować na każdego.

– A twoim zadaniem byłoby dowiedzenie się, co to jest i gdzie to trzymają – wtrąciła Fedra. – A potem zabranie im tego dowodu.

Io przeniosła wzrok na czarownicę.

– Skąd przekonanie, że trzymają to na terenie Arkach?

– Dostarczenie dowodów ze skarbca wywiadu w Syrinx trwa tyle, że w tym czasie można tu hocki-klocki wyczyniać i hasać, nie znając umiaru. I zanim ta rzecz ujrzy światło dzienne, sytuacja może się obrócić trzy razy.

– No fakt.

Io opadła na wyścielane oparcie. Zaczęła sączyć gęste, słodkie wino, pozwalając mu krążyć w żyłach i napełniać je zaklętym w płynie słonecznym ciepłem. Najgorsze w całej sprawie było to, że te dwie kobiety we wszystkim miały rację. Każda rzecz, o której wspomniały, miała sens, a ich narracja trzymała się kupy. A to by znaczyło, że ich propozycja jest poważna. A to by z kolei znaczyło, że jej rodzina... Nie! Żadnych rojeń o przyszłości. Kto inny o tym zadecyduje, a jej zadaniem jest otworzyć drogę.

– Co z moją obecną misją? – zapytała.

– Oj. – Ruda oficer machnęła ręką. – Pomożemy ci znaleźć dowolnego poszukiwanego. Mamy tu naprawdę spore możliwości.

Io zmarszczyła brwi.

– A tak z innej beczki, zmieniając temat. Dlaczego do wypełnienia zadania wysłano właśnie was? Dwie kobiety?

Fedra przygryzła wargi i oskarżycielsko wskazała na Io palcem.

– No to tutaj się nie popisałaś. A kogo mieli wysłać do matriarchalnego królestwa, gdzie wszystkim rządzą księżniczki i armia złożona z dziewczyn? Facetów?!

– Zaraza jedna. Coś mnie chwilowo zaćmiło.

Czarownica wzniosła oczy ku drewnianej powale.

– Oby tylko chwilowo.

Anarcha nie wnikała w rezultat słownych utarczek. Zapytała jak oficer:

– Jesteś z nami czy nie?

Io popatrzyła jej prosto w oczy.

– Wasza propozycja jest poparta czymś konkretnym?

– Jeśli znajdziesz, co mają na Biafrę, porozmawiamy o konkretach.

Nie było się nad czym zastanawiać.

– Ta, dowiem się, co na niego mają, gdzie to jest i... – westchnęła – wykradnę wam wszystko.

– Przybite! – Anarcha wyciągnęła rękę i po męsku, mocno uścisnęła dłoń Io.

Fedra posłała jej buziaka samymi ustami.

– Nie pożałujesz.

– Dlaczego ty jesteś ciągle taki... – Nerideen szukał odpowiedniego słowa. – Taki jakiś zadowolony z mijającego dnia. – Skrzywił się, bo niezupełnie o to mu chodziło. – Taki jakiś...

– Pogodny? – wyręczył go Dziadek.

– No właśnie. Cokolwiek by się działo, ty podchodzisz do wszystkiego z akceptacją.

– Mam się buntować, że skwar? Albo że wiatr wieje?

– Nie o to chodzi. – Chłopak poprawił swoją pozycję na gałęzi drzewa rosnącego na skraju targu. Wybrali to miejsce na zjedzenie posiłku, bo po ostatnich zajściach przez jakiś czas woleli unikać karczem w tym mieście. – Ty do każdego człowieka podchodzisz z sympatią. Do tych zbójów, którzy łapali naiwnych kandydatów na niewolników. Nawet tych bandziorów w burdelu. Potrafisz każdego pokonać, ale jakoś tak bez złości. Jesteś surowy, ale się nie unosisz. Nie ma w tobie nienawiści.

– Dobrze powiedziane. – Dziadek, oparty o pień tego samego drzewa, miał pewien problem w przechylaniu swojego wielkiego bukłaka, ponieważ właśnie napełniono mu go świeżą zawartością i ciężar był znaczny. – A ty czujesz nienawiść do robactwa, które zamierzasz wytępić?

– No nie.

– Właśnie. Zabijasz, bo musisz, bo inaczej robactwo zepsuje ci życie, sprowadzi choroby na twoją rodzinę. Ale nie jesteś przecież

zły na karalucha. Taka już jego natura, a inna twoja, która pozwala ci na naprawę tego, co się popsuło w okolicy.

– Hm.

– No! Ująłeś to filozoficznie.

Nerideen roześmiał się nagle.

– Jesteś nie do przegadania. Ale doskonale rozumiem, że kowal nie jest zły na koło u wozu, które się połamało i które musi naprawić. Jednak już jadący tym wozem podróżny mógłby się wkurzyć.

– No i wracamy do podstawowej kwestii: czy można się wkurzyć na to, że deszcz pada? Owszem, można – odpowiedział sam sobie Dziadek. – Ale trudno wyobrazić sobie bardziej jałowe postępowanie, prawda?

Siedzący na gałęzi chłopak strząsnął okruszki ze swojej tuniki i zaczął machać nogami.

– Dobrze, źle zacząłem, a chcę zapytać o coś innego.

– Wal śmiało. Może chcesz łyka na odwagę?

Nerideen zaprzeczył ruchem głowy.

– Odpowiedz mi na taką kwestię: czy nam idzie dobrze czy źle, ty zawsze i niezmiennie wydajesz się zadowolony z życia. Jakim cudem?

– O! – Dziadek oderwał się nareszcie od bukłaka i spojrzał na Nerideena. – Widzisz, teraz zapytałeś o coś bardzo istotnego.

– Naprawdę?

– Tak. Widzisz, skoro mam cię uczyć, to musisz pojąć jedną rzecz. Śmierć jest zawsze przypadkowa. Nigdy nie wynika z porządku rzeczy.

– No zaraz. A starzec od dawna chorzejący w łożu, który gaśnie pewnego dnia, to chyba wynika jednak z prawideł...

– Nie mówimy teraz o starcach. Mówimy o szermierzach.

– No tak.

– Przed każdą walką musisz sobie powiedzieć jasno, że zginiesz w tym starciu. Tylko tak możesz przestać się przejmować, możesz przestać myśleć, bo jak wiesz, myślenie przeszkadza w walce.

Wielcy mistrzowie mówią o duchu walki, nigdy o umyśle walki. To domena strategów.

– Mówiłeś już o tym.

– Tak, i jeszcze wiele razy będę ci powtarzał. Pamiętaj, nie przekonasz się o własnej śmierci, jeśli targają tobą emocje, jeśli myślisz o niezałatwionych sprawach, jeśli jesteś pełen pretensji do świata i ludzi, pełen nierozsądzonych spraw, jeśli pałasz do kogoś nienawiścią. Nienawiść, złość, żal czy zawiść nie prowadzą do spokoju.

– A co prowadzi?

– Miłość.

Chłopak aż się żachnął.

– I kogo niby mam kochać tak bardzo?

– Najlepiej siebie. – Dziadek pociągnął wielki łyk wódki. – Daj sobie luz, wybacz sobie, nie zajmuj się pierdołami. Miej wszystko w dupie i kochaj siebie takiego, jaki jesteś.

Nerideen nie mógł uwierzyć. Potrząsał głową i marszczył brwi.

– Mówisz poważnie?

Siwy mężczyzna zaczął się śmiać.

– No dobra, może kiedyś uda ci się siebie pokochać i zostaniesz prawdziwym, porządnym egoistą.

– Przecież egoista to zły człowiek. Nie zajmuje się innymi...

– Tylko sobą – dokończył za niego Dziadek. – Tylko siebie kocha i w związku z tym egoista nigdy nie wywoła wojny, na nikogo nie napadnie, nie zrobi obcym przybyszom pogromu, bo on się nimi nie zajmuje. On się zajmuje tylko sobą.

– Dobrze ci tak mówić, bo nie masz dwóch sióstr jęczących w obcym wojsku.

Dziadek tylko machnął ręką.

– Dobrze, to spróbuj kochać kogoś innego. Tylko szczerze. I pamiętaj jedynie, musisz mieć wzajemność w tym procederze. Jeśli jej nie masz, spierdalaj.

Ta kwestia najwyraźniej zainteresowała chłopaka.

– No dobrze. Będę mógł się uspokoić, pogodzić wewnętrznie i przystąpić do walki.

– Nie będziesz. Nie dostaniesz chwili na zastanowienie.

– Słucham?

– Przecież powiedziałem, że śmierć jest zawsze przypadkowa. Może nastąpić w każdej chwili. Tu, teraz, z niespodziewanej strony. I kiedy się będziesz godził i przygotowywał? To musi być stan ciągły.

– Jak to tu i teraz? – Nerideen rozejrzał się. – A kto nam tu niby zagraża? Kto nastaje?

Dziadek wyraźnie się zdenerwował.

– No przecież ten, kto na ciebie nastaje, nie zbliży się tutaj przy dźwięku trąb i nie ogłosi przez herolda, że zamierza pozbawić cię życia! Nie napisze sobie tego na czole, żebyś mógł z góry wiedzieć.

– Zaraz. Przecież jeśli jakiś szermierz natchniony pojawi się w okolicy i coś do mnie będzie miał, to zawsze zdążę...

– Ach. – Siwy mężczyzna pacnął się dłonią w czoło. – Aż tak wysoko mierzymy.

– Mówiłeś, żeby się nie ograniczać w marzeniach.

– Nie wiedziałem, że wykorzystasz to przeciwko mnie. No ale skoro już zamierzasz zostać szermierzem natchnionym...

– Nie śmiej się.

Dziadek tylko machnął ręką, zupełnie jakby opędzał się od muchy.

– Widziałem kilka śmierci szermierzy natchnionych, o paru słyszałem. I powiem ci, że nikt z wielkich mistrzów nie zginął z ręki innego mistrza. Wszystkich ich zabili amatorzy.

– Cooo?!

Nerideen zeskoczył z drzewa. Oczy miał jak talerze.

– Jak to?!

– Zawsze tak jest. Mistrzowie nie giną z rąk arcymistrzów. Ich zabijają niewyszkoleni żołdacy w jakiejś kretyńskiej potyczce. Jakieś skrzywdzone dzieciaki, które strzelają takiemu z kuszy w plecy, bo mistrz zabił im tatusia. Jakieś męty, z którymi pił na umór, jakaś kochanka wlewająca truciznę do kielicha albo chłopska rodzina, której ktoś sypnął srebrnymi, głód odpędzając, zatłucze mistrza

pałami, podczas kiedy dzieci trzymają go za ręce. Przecież mówiłem, że śmierć jest absolutnie przypadkowa.

Nerideen nie mógł się pogodzić z tym, co usłyszał.

– A ja myślałem, że to ktoś wyzywa szermierza na pojedynek, który kończy się śmiercią...

– Tego, który wyzywał – znowu dokończył za niego Dziadek. – Od takich rzeczy aż się roi. Najczęściej to jakiś chłopczyk, który chce dostać laury „tego, który zabił mistrza", bo sądzi, że wtedy dziewczyna, która go nie chciała, zwróci nareszcie uwagę. Ale tu niebezpieczeństwo jest żadne, bo jeśli ktoś nie radzi sobie z dziewczynami, tym bardziej nie poradzi sobie w walce.

– Niesamowite.

Siwy mężczyzna spojrzał chłopcu prosto w oczy.

– No to jak? Jesteś gotowy na śmierć w tej chwili?

– Niby... czekaj. No jak?

– Prosto. Słyszysz muzykę z pobliskiej knajpy? Możesz spojrzeć na niebo i powiedzieć, co widzisz?

– Słyszę, jak grają. A niebo jest czyste jak łza.

Dziadek wstał, stanął obok chłopaka i położył mu rękę na ramieniu.

– No to teraz wyobraź sobie, że muzyka nienaturalnie zwalnia, a niebo przyjmuje barwę szkarłatu, a potem pęka i wali się na ciebie. To chwila twojej śmierci. Musisz bez żalu pożegnać się z tym, co dla ciebie najdroższe, musisz pogodzić się z tym, że nie wyrównasz żadnych rachunków, że chuje pozostaną chujami, a pizdy pizdami i wielu ludzi będzie się cieszyć. Na stole nakrytym do śniadania nikt już nie postawi naczyń dla ciebie. A twój miecz będzie istniał zupełnie obojętny w rękach innego właściciela.

Nerideen przełknął ślinę. Wsłuchał się w muzykę knajpianych grajków, jeszcze raz zerknął na niebo.

– Czy jesteś gotowy na śmierć? – wyszeptał Dziadek.

– Nie.

Podpalenie myśliwskiego pałacyku wymagało odpowiednich materiałów, które podtrzymałyby ogień w pierwszej fazie. No i tu znowu Io zobaczyła, czym różni się Troy od reszty świata. A przynajmniej czym różnią się ludzie pracujący dla wysoko urodzonej śmietanki od swoich odpowiedników w innych państwach. Czegoż bowiem trzeba do podpalenia? Wszystko jedno. Suchych gałęzi, słomy, kory, huby, próchna... Nie, nie, nie. Za wolno by szło. No to oliwy. Oleju skalnego. Żywicy. Ale to z kolei takie przyziemne. I takie pozbawione poezji. Anarcha i Fedra jako podpałki użyły... wschodnich wonności.

Ożeż kurwa! – Io nie mogła uwierzyć w to, co widzi. A dwie kobiety w sieni pracowicie wysypywały z małych pudełeczek zwinięte w wałeczki kawałki tkanin mocno nasączonych aromatycznymi olejkami.

Trwało to i trwało, bo materiału potrzebowały sporo, żeby mieć pewność, że całość domostwa się zajmie.

Przepiękny zapach po chwili stał się tak intensywny, że chyba zabijał już muchy w locie. Czekająca poza pałacykiem Io poczuła, że błyskawicznie zatyka jej się nos, a żołądek daje sygnał, że potrzebuje natychmiastowego opróżnienia ze wszystkich treści. Cofnęła się kilka kroków.

Nareszcie dwie podpalaczki amatorki pojawiły się na zewnątrz. Jedna trzymała w ręku pochodnię, a druga usiłowała skrzesać ogień. I ta czynność, choć z pozoru skomplikowana, znalazła w końcu swój kres.

– Zechcesz czynić honory domu? – Fedra podała Io płonącą pochodnię. – Ten pałacyk był naszym centrum operacyjnym i zżyłyśmy się trochę.

– To ja mam zjarać całą tę stodołę?

– Nam będzie przykro – włączyła się Anarcha.

– A potem mnie oskarżycie, że spaliłam wam roczny zapas najdroższych zapachów ze Wschodu?

– No coś ty. Perfumy były w schowku przy sypialni. Stanowiły część wyposażenia pałacu.

Io, niewiele myśląc, wrzuciła pochodnię do sieni. Zdawało się, że powietrze wypełnione oparami aromatycznych olejków dosłownie eksplodowało. A ogień pojawił się po chwili. Rósł w niesamowitym tempie.

– Ja tam bym wzięła trochę tych pachnideł na drogę.

– Masz rację! Zabiorę trochę. – Anarcha ruszyła w stronę drzwi wejściowych szybkim krokiem. Ale zanim Io zdążyła zareagować, zatrzymała się przed buchającym płomieniami piecem. Oczywiście był to zwykły wojskowy żart.

– Ha. Ha – skwitowała Fedra beznamiętnie. – Ruszamy, bo zaraz zajmie się pół lasu.

Oficer Betelgeuzy, krzywiąc się, wąchała własne palce.

– Już chyba nigdy nie pozbędę się tego zapachu.

– Po paru dniach zniknie.

Tylko Io bez słowa kulbaczyła swojego konia. Co w tych dwóch kobietach było nie tak? Ta myśl od pewnego czasu nie dawała jej spokoju. Wróciła wspomnieniami do ich ostatniej rozmowy. W narracji Troyanek wszystko pasowało do siebie idealnie, było wręcz wzorem logiki i ciągu przyczynowo-skutkowego. A w życiu tak nie jest z reguły. Nie wszystko da się logicznie wytłumaczyć. A z drugiej strony człowiekowi, którego chce się zwerbować, nie pokazuje się wahań ani przesadnych trudności. No ale… Dlaczego właśnie jej kazały zainicjować pożar? Dlaczego właśnie to miało dla nich znaczenie?

– Gdzie jedziemy?

– Generalnie powinnyśmy dotrzeć do stolicy, ale wiemy już, że Biafra ją opuścił. A co za tym idzie jego cienie również.

– Cienie?

– Operacyjni pracownicy wywiadu Luan. Przecież nie spuszczą z oczu tak łakomego kąska.

– Nie sądzicie chyba, że agenci noszą przy sobie haki na Biafrę.

– Nie. Dowody są prawdopodobnie gdzieś w otoczeniu posła Luan. A jego też nie ma już w stolicy.

– Więc gdzie jedziemy?

Anarcha rozłożyła ręce.

– Dowiemy się po drodze od naszych kurierów. Nasze wsparcie udzieli nam wsparcia.

– O, jak ładnie powiedziane! – niby to oburzyła się Fedra. – Nie ma to jak wojskowy żargon.

– To nie żargon.

– Nieudolność w używaniu języka mówionego? To wsparcie, które udziela wsparcia, będąc dla nas wsparciem wartym wsparcia...

– Oj, oj, oj. Żeby cię tylko własna błyskotliwość nie zatchnęła.

– Kto to jest? – zapytała Io.

– Kto? Nasze wspa... – Anarcha urwała w pół słowa, zerkając na zgryźliwą czarownicę. I to, co chciała powiedzieć, ujęła innymi słowami: – Skoro im pomaga poseł Luan, to nam pomaga poseł Troy. Nie możemy być gorsi.

– Nawet nie sam poseł jest taki ważny – dodała Fedra. – W składzie poselstwa jest bowiem wielka księżna Proxima.

Io słyszała już to imię. Wiele razy. Zawsze w połączeniu z określnikiem: zabójcza, zwiastująca śmierć, mordercza, zgubna. Ją samą jednak najbardziej ujął przydomek Proximy: Czarna Gwiazda.

– Czy dostanę jakieś wskazówki? Od czego mam zacząć?

– Oczywiście. Podczas kiedy my tkwiłyśmy tu mało produktywnie, nasi ludzie na pewno coś zdołali ustalić. Wszystkiego dowiemy się od kurierów po drodze.

– Jasne. – Io skończyła przygotowywać swojego wierzchowca do podróży. – Pozwólcie, że pożegnam się z moim dotychczasowym przewodnikiem.

Ruszyła w stronę chatki stróża, w której nocował Faron. On sam, chyba przestraszony widokiem rosnącego pożaru, również przygotowywał swojego konia do ucieczki. Najwyraźniej groźba, że może się zająć okoliczny las, wcale nie była pustą groźbą.

– Przyjacielu, dziękuję za wszystko. – Io wyjęła ze swojej sakiewki kilka złotych monet i wyciągnęła dłoń w kierunku Farona.

Przewodnik pochylił się w pełnym szacunku ukłonie.

– Królewska zapłata! – Nie patrząc, samymi palcami przeliczył pieniądze. – Nigdy bym się nie spodziewał aż tak hojnego daru!

– To również za milczenie.

– Ależ ta kwestia jest dla mnie najzupełniej oczywista.

– Świetnie, że się rozumiemy. Mam nadzieję, że ci się nie nudziło przez tę jedną noc.

Drgnął, jakby usłyszał coś dziwnego. Ewidentnie Io czymś go zaskoczyła.

– Co?

– Nic, nic. Po prostu powiedziałaś „jedną noc", pani.

– A co w tym niezwykłego? Przecież przyjechaliśmy tu wczoraj.

Spłoszony Faron spojrzał na dwie kobiety czekające przy koniach, zupełnie jakby upewniał się, że obie są poza zasięgiem słuchu. Potem przeniósł wzrok na dziewczynę, która go wynajęła. A w jego oczach czaił się strach.

– Przyjechaliśmy tu przedwczoraj, pani – wyszeptał. – A ja spędziłem tu dwie noce.

Io przygryzła wargi. Nie miała podstaw, żeby nie wierzyć przewodnikowi. Jak to możliwe? Przypomniała sobie dziwne uczucie, które towarzyszyło jej w łaźni. Jakby obudziła się od razu gotowa do akcji. Ze spiętymi mięśniami. A jednocześnie niesamowicie lekką głową. Co mogło się stać?

– Jesteś pewny? – zapytała.

– Tak, pani – odparł natychmiast. – Spędziłaś tu dwa dni. Nie jeden.

Dziadek jak zwykle tryskał humorem i optymizmem. Choć był w zupełnie obcym, nieznanym sobie kraju, prowadził pewnie,

zupełnie jakby znał drogę. Starał się nawet polepszyć humor Nerideenowi, oferując mu „powąchanie” zawartości bukłaka, bo na więcej komuś, kto ma mleko pod nosem, nie powinno się pozwalać. I w ogóle perorował, zaczepiał przechodniów płci pięknej, prawił komplementy, często doprowadzając do przyjaznego uśmiechu, zamienił słowo lub dwa z majstrami różnych warsztatów, którzy pilnowali swoich czeladników w otwartych pomieszczeniach przy ulicy. Wydawało się, że zna drogę i ludzi. Tymczasem jednak utknęli na samym końcu ulicy, bo kilku pastuchów pod strażą wojska prowadziło właśnie spęd bydła do wielkich stajni na obrzeżach. Nie można było ruszyć dalej. Próby zagadywania żołnierek pełniących warty nie przyniosły rezultatów. Jedynym odzewem było to, że piechociarki podnosiły wyżej trzymane w rękach kusze. Żadna nawet nie otworzyła ust.

No trudno. Pozostało im smętne przyglądanie się prowadzonym krowom, i to naprawdę nie wiadomo jak długo.

– Dziadku – coś przykuło uwagę Nerideena – powiedz mi, na jakiego grzyba ktoś przywiązał krowie do rogu kolorową wstążkę?

Siwy mężczyzna nie od razu zauważył obiekt zainteresowania chłopaka. Musiał zrobić kilka kroków we wskazanym kierunku, żeby zobaczyć, o co chodzi.

– To dziecko. – Skrzywił się lekko. – Pewnie bachor wychował się na mleku tej krowy, a kiedy podrósł, to wyprowadzał ją na pastwisko, pilnował, mył, szczotkował, prowadził codziennie do obory i karmił. A krowa odwdzięczała się mlekiem, z którego było masło i sery. No i przyjaźnią.

– Mówisz, jakbyś to widział.

– Widziałem wiele chłopskich rodzin, gdzie bieda aż piszczy. I widziałem dzieci, które przyjaźniły się ze swoimi zwierzętami jak z członkami rodziny. Pewnie szczyl teraz płacze, bo mu odebrano bliską istotę.

– I czemu tak?

– Ślepy jesteś? Wojna. Rekwizycja za rekwizycją. Żołnierza, któremu każe się ganiać po górach, mlekiem nie nasycisz. On musi

mieć mięso, żeby mógł biegać.

– No tak.

Drzwi pobliskiego warsztatu otworzyły się nagle, przepuszczając korpulentnego mężczyznę, który ruszył w ich kierunku, machając ręką.

– Panowie! Panowie!

– Do nas mówisz? – zdziwił się Nerideen.

– Do was, a jakże, panowie.

– A skąd wiesz, żeśmy panowie, a nie plebs na przykład?

Mężczyzna zaczął się śmiać.

– Powinienem powiedzieć, że poznałem po odzieniu i manierach... Ale powiem prawdę. – Przekrzywił głowę. – Przecież jesteśmy w Arkach, a u nas każdy człowiek to szlachcic. No chyba że chłop.

Dziadek zrozumiał szybciej niż chłopak i również zaczął się śmiać.

– Dobre. A to oznacza, że szlachta to bracia i siostry, panie i panowie i tylko z chłopów można trochę szydzić.

Korpulentny mężczyzna podniósł palec i pokiwał nim.

– Nie radzę szydzić z wieśniaków, bo wraz chłopską rabację wywołają. A wtedy szlachta będzie się modlić do Bogów, prosząc, żeby to jednak Luan nasze państwo pod but wzięło.

– No ładnie.

– Ale ja w konkretnej sprawie do was biegnę, panowie. Roboty szukacie?

– W podróży jesteśmy. Ale dziękujemy za propozycję.

– No ale w podróży przerwę można zrobić. Sakiewkę obciążyć na drogę. Łatwiej na szlaku będzie.

– Oczywiście. Niestety, pilne sprawy wzywają.

– Oj, panowie. Wojna jest, a co za tym idzie pieniądz wędruje ze skarbca królewskiego do rąk prostych szlachciców. Robota na człowieka czeka, tyle że robić nie ma kim! A jeśli na kilka dni do mnie przystaniecie, to i dużo monet będzie brzęczeć radośnie w waszych sakiewkach.

– Przykro mi – powiedział Dziadek. – Naprawdę doceniam propozycję, ale musimy pilnie pomóc dwóm siostrom tego chłopaka,

zanim większe nieszczęście im się przydarzy.

– A co się stało? – zaciekawił się właściciel stajni, a może ubojni.

– Wojsko je wzięło.

– Uuuuu! – Tamten machnął rękami jakby nad wielką stratą. – To faktycznie w ciężkie terminy popadły dziewuszki.

– No i nie wiemy, co robić. – Dziadek postanowił być szczery. – Coś tam sobie roję o jakiejś łapówce czy jakimś innym załatwieniu sprawy.

– O tym nawet nie myśl. Ciężkie przestępstwo, głową karane. A poza tym nie znajdziesz dziewczyn w armijnym morzu, nikt ci nie powie, gdzie są, więc komu chcesz płacić? Sens byłby tylko komuś władnemu, czyli księżnej. – Mężczyzna cmoknął głośno i dodał: – A teraz podumaj sobie: czy stać cię na łapówkę dla księżniczki?

Obaj jak na komendę prychnęli śmiechem.

– No właśnie. Jedyna szansa iść po prośbie. Ale nie do pań oficerów, bo one się nie mogą opędzić od tatusiów, którzy chcą córeczki ratować. Im samym kazano służyć, to pewnie myślą, że każdej innej babie też taki los musi być pisany. Żeby każdej po równo źle było.

– Możesz mieć rację.

– No mam, mam. Nie wczoraj się urodziłem.

– Co robić?

Korpulentny mężczyzna to przygryzał wargi, to wzdychał cicho, to znowu marszczył czoło. Na koniec otarł dłonią spierzchnięte usta.

– Żadna baba cię nie zrozumie, panie bracie. Do mężczyzny musisz iść po prośbie.

– Do kogo?

– Ano widzisz, jest jeden generał w naszej armii, mężczyzna, co się zajmuje zaopatrzeniem i rozpoznaniem czy jakoś tak. Jeśli go wzruszysz, to nawet jak dziewczyn do domu nie zwolni, to może chociaż każe przenieść do tego zaopatrzenia, a nie na bitkę, gdzie je Luańczycy zaraz poharatają, nie?

– Wydaje się, że myśl przednia. Ale gdzie tego generała znaleźć?

– Poselstwo Luan będzie przyjmowane w Canope. To duże miasto, niedaleko stąd.

– Jesteś pewny?

– Trąbią o tym od dawna, łudzą ludzi, że pokój nastanie na znośnych warunkach.

– A nie nastanie?

– A ty byś popuścił na miejscu cesarza, kiedy masz nas już na rożnie? – Znowu nastąpiło lekceważące machnięcie ręką. – Zapomnij.

– No coś w tym jest. Dzięki za radę, panie! – Dziadek podniósł dłoń w geście pozdrowienia. – Jak tylko krowy przejdą, ruszamy dalej.

– Powodzenia życzę. Bywajcie!

Obaj ukłonili się prawie dwornie. Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę swoich zabudowań, lecz po chwili zatrzymał się jeszcze.

– A tak przy okazji, bardzo sławny bandyta imieniem Druzus poszukuje w okolicy dwóch imigrantów, którzy pomieszali mu szyki w jakiejś sprawie. Czasy niespokojne, lepiej na siebie uważać.

– Dzięki!

Kiedy tamten odszedł nareszcie, Nerideen przypadł do Dziadka.

– Nas szuka ten szermierz natchniony?

– Raczej nas. – Siwy mężczyzna nie wyglądał na targanego takimi uczuciami jak strach.

– Ale czemu...? – Chłopak urwał, bo zdał sobie sprawę, że przecież Druzus werbował ludzi. A oni to po części uniemożliwili.

– Naucz się, młody, że każdy czyn, który popełnisz, ma swoje konsekwencje. Każdy.

– No ale żeby od razu nas szukać?

– Szukać i zabić. Zabawne, prawda?

– Mało zabawne.

– I cóż zrobisz? Bandziory tak mają.

Długo stali w milczeniu, a potem Dziadek uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz co? Założyłbym się, że gdybyśmy się zatrudnili jednak w tej rzeźni, w której stanowiska oferował nam ten przemiły człowiek, to ty byś jednej rzeczy nie zrobił.

– Jakiej rzeczy bym nie zrobił?

– Nie zabiłbyś krowy ze wstążką zawiązaną na rogu.

Kurier rzeczywiście czekał na nie w dokładnie oznaczonym na mapie miejscu. Miał ze sobą zalutowaną tubę z tajnymi materiałami poselstwa Troy. Ktoś odwalił kawał dobrej roboty.

– Dobra, dziewczyny. – Anarcha z prawdziwą ulgą zeskoczyła z siodła. – Popas.

Pokwitowała kurierowi odbiór przesyłki, opieczętowała jego rozkaz wyjazdu, sprawdzając przedtem sumiennie podpis na dokumencie.

– Wysłał cię osobiście poseł? – zapytała.

– Nie, pani. On tylko sygnował papier, a wysłała mnie wielka księżna Proxima.

– O? No to zaczyna się robić ciekawie.

– To ma jakieś znaczenie? – interesowała się Io.

– Jak najbardziej. – Anarcha odprawiła kuriera i podeszła bliżej. – Wiesz, jak mówią o wielkich rodach Troy: że zajmują się wyłącznie sobą nawzajem, że gry i zabawy strategiczne dotyczą wyłącznie sukcesji i podziału wpływów, a co za tym idzie zysków.

– Może i dobrze, że nie zajmują się własnym narodem. W Troy właśnie dzięki temu najwięcej wolności i najmniej durnowatych nakazów.

– Może. W każdym razie to towarzystwo wzajemnej adoracji potrafi się jednak błyskawicznie zjednoczyć. Jeśli tylko pojawi się wróg z zewnątrz, to wszyscy ci najwyżej urodzeni – Anarcha zacisnęła dłoń w pięść – łapią za sękate pały i razem, jednocześnie walą wroga po głowie, aż zdechnie. – Rozcapierzyła wszystkie palce i przesunęła sobie dłoń przed oczami. – A kiedy niebezpieczeństwo mija, wracają do wzajemnych podgryzań, szarpań, intryg i wojenek.

Fedra zaczęła się śmiać.

– Zgrabnie to przedstawiłaś – przyznała. – Ale faktycznie. Jeśli słodki liścik pochodzi od Proximy, to zawiera konkret. Bo ona działa realnie, a poseł to tylko taki urzędnik.

Nie czekając, aż ich przyboczna gwardia urządzi choćby prowizoryczny popas, obie szarpnęły za tubę z dwóch stron, niszcząc zabezpieczenia, a potem wysypały tajne papiery wprost na trawę rosnącą przy drodze.

– Jakieś plany. – Anarcha ze zmarszczonym czołem rozkładała karty popstrzone geometrycznymi oznaczeniami. – Chyba projekt jakiegoś budynku.

– Jest i list. – Fedra złamała książęcą pieczęć, oderwała kolorowe taśmy i rozwinęła papier. – Do nas obu.

– Czytaj, czytaj. Z Io łączy nas już umowa, więc nie mamy tajemnic.

– „Wy dwie idiotki”...

– Tak napisała?! – Oficer do zadań specjalnych poderwała się z ziemi.

– Nie. To tylko moja interpretacja bardzo grzecznych zwrotów powitalnych – śmiała się czarownica. – Czytać dalej?

– No czytaj. Ale tak, jak tam stoi... Albo nie – zmieniła zdanie Anarcha. – Przeczytaj i opowiedz swoimi słowami.

Miała rację. Przebijanie się przez gąszcz oficjalnych zwrotów, jakie powinno zawierać oficjalne pismo, mogło im zająć za dużo czasu. Oficer chyba go nie miała. Najwyraźniej też znała się na rysunkach budowlanych, studiowała bowiem dostarczone plany z wielkim zainteresowaniem.

Fedra szybko przebiegła oczami cały tekst.

– Spotkanie wyznaczono nam w Canope – powiedziała.

– Dość blisko chyba? To duże miasto?

– Żebyś się tylko nie rozpędziła za bardzo, bo przebiegniesz całe w jednej chwili. W każdym razie, jak na Arkach, duże. No i całe murowane. – To ostatnie dodała z przekąsem. Bo tutaj to było coś, a w Troy, z którego pochodziła, wszystkie miasta były murowane. Wioski też.

– A czemu tam?

– Jest okazja. Do Canope zawita poseł Cesarstwa Luan. Podejmować go będzie sama królowa.

– To i Biafra powinien się tam znaleźć.

– Będzie, będzie. I pewnie ponownie spierniczy rozmowy między państwami na rozkaz cesarskiego wywiadu.

– Myślisz, że znowu wykradnie jakieś poufne materiały?

– Nie wiem. Ale jeśli on coś wykradnie, to my też będziemy kraść.

Anarcha przekrzywiła głowę.

– Co? Coś już wiadomo na temat naszych złodziejskich akcji?

– Do Canope zawita również poselstwo Troy. Niby żeby podnieść rangę rozmów między państwami, być gwarantem, ble, ble i tak dalej. No a przecież każdy wie, że jeśli nasza dyplomacja przyjeżdża już do ważnego miasta, to na pewno będziemy kradli, ile się da. Nie sposób przepuścić okazji.

Anarcha cmoknęła głośno.

– Zaczynam rozumieć. Te plany, które dostałyśmy od Proximy, to...?

– To plany pałacu, w którym zatrzyma się poselstwo Luan.

Io, która nie przejmowała się dotąd rozmową dwóch kobiet, teraz dopiero okazała lekkie zainteresowanie.

– Czyżbym dobrze odgadywała? Ktoś ma się przekraść do siedziby posła i podsłuchiwać?

– Dobrze odgadłaś.

– A nie sądzicie obie, że to raczej niemożliwe?

– Dlaczego niemożliwe? – Anarcha znowu nachyliła się nad rozłożonymi na trawie planami. – No popatrz. – Jej palec sunął wśród symboli geometrycznych. – Dałabyś radę przepłynąć pod wodą jakieś sześćdziesiąt kroków, a potem wspiąć się po kamiennym murze na wysokość jakichś trzech ustawionych jeden na drugim ludzi?

Io nie miała wątpliwości.

– Dałabym radę – powiedziała.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Ja bym się udusiła pod wodą, ale ty byś dała radę. Więc sama widzisz.

– Co widzę? Popłynę, wgramolę się po murze i podsłucham jakąś przypadkową rozmowę jakichś przypadkowych ludzi przez czas nie dłuższy niż dwie, trzy modlitwy, zanim ktoś zauważy mój przyklejony do muru tyłek.

– Pójdziesz głęboko w nocy.

– Żeby usłyszeć chrapanie posła?

Anarcha zwiesiła ramiona.

– Ona ma rację. – Spojrzała na czarownicę. – Proxima nie pisze konkretnie, jakie są jej potrzeby?

– No przecież one się nie zmieniły. Musimy dowiedzieć się, co wywiad Luan ma na Biafrę i gdzie to coś przechowuje. To drugie ważniejsze. A potem... – Fedra wykonała dłonią gest, jakby coś komuś kradła.

– Ale tego nie da się osiągnąć, podsłuchując pod oknem przez dwie modlitwy – podsumowała Io.

– Mogę ci bardzo pomóc – zaoferowała się Fedra.

Ciekawe, czy oznaczało to nielegalne czary? Coś, co nie mogło przejść ani w Luan, ani w Troy. Ale tutaj? Niby kto sprawdzi? A z miejscowymi czarownikami pewnie dałoby się jakoś dogadać. Tak czy inaczej.

– Mam lepszy pomysł. Pokażcie, że wy z Troy macie rozmach.

– Niby jak?

– Po prostu kupcie ten pałac, zanim jeszcze poseł się wprowadził. Wymurujcie w jadalni fałszywą ścianę i ukryjcie za nią agenta, który będzie słuchał przez całą dobę. Musi mieć zapasy i dostęp do przewodu kominowego.

– Po co?

– Jak coś wywęszy, da nam znać, choćby puszczając pasemko kolorowego dymu. A potem ja wam to ukradnę.

Fedra i Anarcha spojrzały po sobie zaskoczone.

– Krańcowo mało czasu – mruknęła czarownica.

– Ale pomysł dobry – powiedziała oficer do zadań specjalnych. – W Arkach taki numer przejdzie bez bólu.

Io rozłożyła dłonie w geście „do usług”.

– Jest tylko jeden problem – dodała. – Nie znam się na rysunkach architektonicznych.

– Ja mogę pójść z tobą – natychmiast odezwała się Anarcha.

– Teoretycznie tak. Ale niestety, nie potrafisz przepłynąć pod wodą sześćdziesięciu kroków.

Głód rąk do pracy w Arkach był taki, że Dziadkowi i Nerideenowi bez trudu udało się dotrzeć do Canope – szybko, wygodnie, z zapewnionym wiktem oraz namiotami do spania zamiast noclegów pod własnym płaszczem. Po prostu wynajęli się jako pomocnicy do obsługi wozów z żywnością.

No, trochę trzeba było nadźwigać się worków z ziarnem na każdym postoju, naczyścić koni i narozstawiać obozowego sprzętu. Za to kupcy karmili dobrze, podróż odbywała się w tempie iście błyskawicznym, bo trzeba było zdążyć na giełdę, no i nie było obawy z powodu jakichś kontroli czy szykan ze strony czynników oficjalnych. W dodatku kupcy płacili, a w samym mieście oferowali nocleg z możliwością kąpieli i prania. Cóż, nie był to może poziom usług znany z burdelu, ale dla człowieka, który od dawna marzył o tym, żeby się umyć i ogolić, łaźnia z udogodnieniami zdawała się darem od niebios.

Samo Canope również sprawiało oszałamiające wrażenie. Murowane z kamienia i cegły, różniło się diametralnie od tego, co można spotkać w Luan. Cesarskie miasta były białe, jasne, tynkowane. Tu królowała czerń, ciemne odmiany kamienia i ciemnobrązowa cegła. Ulice były wąskie, oflankowane wysokimi na kilka pięter ciemnymi murami, brakowało forów, stoi, parków czy choćby zagajników, gdzie uczyła się młodzież. Jedynym wielkim

placem był rynek, zatłoczony do granic możliwości ludźmi robiącymi interesy, oraz kilka pomniejszych targów wciśniętych, gdzie się tylko dało.

– Tu się nie da niczego zobaczyć – narzekał Nerideen, kiedy wyszli się rozejrzeć. – Albo człowiek musi się przepychać między ludźmi, albo przemykać przytulony do ściany i patrzeć pod nogi.

– Taaak – zgodził się Dziadek. – A wydawało się, że ciaśniejszych zaułków niż w Syrinx nie ma nigdzie na świecie.

– Tam są zaułki, ale są i przestrzenie. A tutaj?

– Wyjątkowo duszne miasto. Ale ma swój urok.

– Niby gdzie?

– W strzelistości!

Coś było na rzeczy. Wszystko tu było wysokie. Z braku miejsca karczmy wkopywano głęboko pod ziemię, składy i kantory na poziomie ulicy, a całą resztę wysyłano gdzieś w stronę niebios, więc pewnie właściciel, chcąc ogarnąć i pracę, i odpoczynek, nabiegał się przez całą dobę jak małpa na wąskich schodach.

– No i jeszcze popatrz, ile jest tu kobiet – zauważył siwy mężczyzna.

– E, jakoś nieszczególnie dużo w porównaniu z cesarstwem.

– Ale ja nie mam na myśli bab przebiegających ulicą ze sprawunkami ani przekupek na targu. Popatrz po tych domach kupieckich. One robią interesy, załatwiają urzędowe sprawy.

Chłopak wzruszył ramionami.

– He, jak mają armię, to nie sposób zabronić im życia publicznego.

– Właśnie. Zaczęły, rzec by można, od spraw ciężkich, nie od splendorów, to i żadnych praw nikt im nie może zabronić.

– A właśnie. Co jest z tą ich armią? Dlaczego tylko kobiety biorą, skoro wiadomo, że takie wojsko nie wytrzyma z tradycyjnym nawet jednej walnej bitwy?

– Na bezleśnej równinie nie wytrzyma. Ale jeśli to wojsko działa w warunkach, do których zostało stworzone, to nie ono, tylko imperium ma wielkie problemy, żeby posunąć się dalej.

– Kwestia czasu.

– Każdego można przykryć hełmami, a rychlej jeszcze pieniędzmi. Armia Arkach została stworzona nie po to, żeby zdobyć Syrinx, ale po to, żeby imperium nie opłacało się atakować Arkach, bo koszty będą zbyt wielkie.

– No... jednak atakują.

– Widać imperium w śmiertelnej desperacji. Stąd i wojna głupia, niepotrzebna, za to śmiertelna.

Nerideen chciał coś powiedzieć o wojnie, kiedy przypomniało mu się coś innego.

– Miałeś mnie uczyć – przypomniał z wyraźną nutką pretensji w głosie. – A ty nawet nie pokazałeś mi tak naprawdę, jak miecz trzymać w dłoni.

Dziadek otrząsnął się z jakichś myśli, które ogarnęły go z powodu rozmowy o śmiertelnych zmaganiach, i uśmiechnął się, jak to zwykle on, całym sobą, w pełnej gamie akceptacji wszechświata.

– No właśnie! Ale do nauki walki trzymanie miecza niepotrzebne.

– Rozumiem. – Chłopak usiłował być zgryźliwy. – Najpierw muszę się nauczyć być gotowym na śmierć.

– Niekoniecznie.

Nerideen zatrzymał się nagle. I sprawił, że Dziadek zatrzymał się również.

– No to zacznijmy!

– Dobrze. – Siwy mężczyzna rozglądał się przez chwilę, a potem wyciągnął rękę, wskazując starego kupca w narożnym kantorze, który pochylał się nad swoimi księgami i trzęsącą się ręką kreślił coś na papierze. – Idź i zabij tamtego faceta.

– Dlaczego? – dał się złapać chłopak. – Dlaczego akurat jego?

– Bo słaby przeciwnik. Miecz ci niepotrzebny.

– No ale za co?

– Za nic. To element nauki.

– Zwariowałeś?

– Zabij go, brutalnie, szybko, a potem obaj zwiewamy. W tym tłumie nikt nie będzie gonił.

Nerideen długą chwilę patrzył na swojego nauczyciela rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– No ale on mi nic złego nie zrobił. Nie atakuje mnie, nie zagraża.

– Owszem. To tylko element nauki.

Teraz obaj patrzyli na siebie w milczeniu.

– No... no... ale nawet nie wiem, co to za człowiek. Może dobry?

– A może właśnie pociągnięciem pióra wywłaszcza chłopską rodzinę? Rodzice pójdą na żebry, dzieciaki pozdychają z głodu? Pamiętasz krowę ze wstążką na rogu? Ktoś ją dziecku odebrał.

– Skąd mam wiedzieć, że to on?

– A czy za każdym razem, kiedy będziesz musiał kogoś zabić, zażądasz rejestru jego uczynków i jak jeden z bogów będziesz najpierw rozpatrywał, ile w nim dobra, a ile zła?

Nerideen zrozumiał to po swojemu.

– Ach, ty po prostu żartujesz, tak? Żartujesz?

Dziadek jednak był poważny.

– Posłuchaj mnie uważnie. Na śmierć nie jesteś gotowy. Nie jesteś gotowy na to, żeby zabić kupca, ani nawet krowę ze wstążką na rogu. Powiedz mi... Czego ty się właściwie chcesz uczyć?

– Chcę się nauczyć walczyć mieczem.

– Po co?

– Żeby móc się bronić. Żeby móc bronić swoich bliskich.

Dziadek znowu uśmiechnął się szczerze. Całym sobą.

– W żadnej teorii wojskowości nie ma nawet pojęcia obrony. W żadnej ze sztuk walk nie istnieje coś takiego jak obrona. Jakbyś bardzo szukał w regulaminach, to gdzieś może ktoś wspomni ukradkiem, że obrona to wymuszona przez przeciwnika forma działań, która ma na celu przygotowanie ataku. No dobra... Jeśli weźmiesz jakiegoś oficera czy szermierza na bok, przyprzesz do muru i zapytasz, czy w ogóle istnieje skuteczna obrona, to może ci bardziej szczerzy odpowiedzą. Tak! Jedyną skuteczną formą obrony jest atak wyprzedzający! Zaskocz przeciwnika, uderz, kiedy się nie spodziewa, wbij mu nóż w plecy w chwili, kiedy będzie miał zajęte ręce, trzymając w ramionach swoje dzieci!

Nerideen dyszał, zupełnie jakby to on, a nie rozmówca, wygłosił przed chwilą ognistą tyradę.

– I w gimnazjonach tak uczą? – zapytał.

– W gimnazjonach uczą też matematyki. Nie zna jej zasad ten kupiec, którego ci wskazałem. Kupiec poznał tylko, jak matematyka działa. Naprawdę. W kantorze. I dlatego jest tak bogaty, że chłopiec, który kończył gimnazjon, przez wiele lat będzie mu czyścił buty. I usługiwał w kantorze. Mimo że matematykiem jest wybitnym.

– To znaczy, że nie nauczą mnie tam nawet, jak trzymać broń?

– Nauczą. Ale do niczego ci się to nie przyda.

– Bo... czym jest szermierka?

Dziadek uśmiechnął się po raz trzeci podczas tej rozmowy.

– Szermierka to pasja. Walka to nie zadawanie pytań, które nasuną się wszystkim normalnym ludziom na świecie. Walka to stan, w którym odpowiedzi na te pytania staną się nieważne! Nieistotne. Pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

– Nie rozumiem.

– Większość ludzi nie zrozumie tego do końca życia. A chodzi o bardzo prostą rzecz. Ty musisz znaleźć odpowiedź, która pasuje wyłącznie tobie. Jest twoim indywidualnym wynalazkiem. Nie możesz w życiu kierować się przykładem rodziców, robić tego, co oni. Nie możesz w życiu robić tego, co wypada, tego, co „powinno się robić". Nie wolno ci patrzeć na to, czego chce żona, przyjaciele. Musisz kroczyć własną drogą, a twoim przewodnikiem będzie pasja! Wiesz, czym się różnisz ode mnie?

– Czym?

– Tym, że ja jestem zadowolony z życia, a ty całymi dniami chodzisz struty. Ja się wciąż uśmiecham, a twoja morda jest wiecznie ponura.

– Łatwo ci mówić. Tobie nie odebrano brutalnie dwóch sióstr na poniewierkę.

– Niczego o mnie nie wiesz, chłopcze.

Stali długo, mierząc się wzrokiem. Potem Nerideen opuścił oczy.

– No dobrze. Zrozumiałem, że nie powinienem się na nikim wzorować, bo to droga do...

– Narzekania od świtu do nocy – wpadł mu w słowo Dziadek – życia cudzym życiem i tylko udawania, że jest fajnie. Wmawiania sobie.

– Więc nawet głupiego chwytu mi nie pokażesz?

Siwy mężczyzna zrozumiał, że dał się złapać. Uśmiechnął się, potem westchnął i zaczął się rozglądać, szukając czegoś na bruku pod nogami. W końcu podniósł niewielki patyk i ujął go mocno dłonią.

– To najczęstszy chwyt. Odruchowy. Ty, kiedy bierzesz miecz do ręki, łapiesz go właśnie w ten sposób. Jego podstawowym minusem jest fakt, że przeciwnik zawczasu wie, czy uderzysz z góry, czy z dołu, z lewej czy z prawej. Przy tym chwycie sam układ ręki mu to pokazuje.

– Tak. To wiem.

– No więc są ludzie, którzy trzymają rękojeść jak rączkę do pompy. Tak jakby od góry, kładąc palec wskazujący wzdłuż rękojeści.

Dziadek zmienił chwyt i teraz patyk był wycelowany prosto w brzuch chłopaka.

– Nie wiadomo, skąd padnie cios ani jak zostanie wyprowadzone cięcie. Niestety, ogromnym minusem takiego rozwiązania jest to, że broń nie jest trzymana zbyt pewnie. Przeciwnikowi łatwo wytrącić ją z dłoni. Trudno też jest wziąć większy zamach.

– I można coś na to poradzić?

– Coś można. Są ludzie, którzy trzymają miecz w trzech palcach.

– To przecież niemożliwe.

Dziadek chwycił patyk trzema, a dwa pozostałe trzymał jakoś tak dziwnie nad nim.

– Taki chwyt pozwala na płynną jego zmianę i zadawanie ciosów z dołu do góry albo z góry do dołu, a przeciwnik nie będzie wiedział, co się dzieje.

Patyk celował w brzuch chłopaka. A kiedy siwy mężczyzna zasymulował cios, Nerideen zasłonił się odruchowo od dołu. Wtedy

koniec patyka poszybował w górę i uderzył go w szyję.

– Minusem tego chwytu jest to, że trzeba ćwiczyć wiele lat, żeby osiągnąć sprawność. Trzeba mieć bardzo silne dłonie i bardzo silne palce.

– Chyba nigdy nie da się dojść do biegłości w czymś takim.

– Dwa, trzy lata jako drwal siekiernik na wyrębie albo dwa, trzy lata jako oskardowy w kamieniołomie i będziesz trzymał miecz nawet dwoma palcami, pewnie jak wykałaczkę.

– Chyba żartujesz.

– Naprawdę nie. Pozostaje jeszcze kilka możliwości. Najbardziej egzotyczna to trzymanie miecza tak jak noża. Z kciukiem na szczycie rękojeści, a ostrzem położonym wzdłuż ramienia.

Teraz patyk zmienił położenie, istotnie przypominając narzędzie walki nożownika.

– I co takim czymś można zrobić?

Dziadek postąpił o krok i przejechał patykiem po szyi chłopaka.

– E, nie! Gdybym miał w ręku miecz, tobyś tego nie zrobił.

Siwy mężczyzna zaczął się śmiać.

– Tobie się wydaje, że długość broni ma znaczenie? Czyli... Idąc dalej tym tropem, jeśli w walce na pięści nie rozprostuję ramion, to z tobą przegram?

Nerideen zastanawiał się przez chwilę.

Jako dzieciak stoczył wiele bójek z innymi chłopcami w zaułkach Syrinx. Wiedział, co i jak, był odpowiednio agresywny i potrafił przylać nawet trochę większym od niego.

– Tak – odparł pewny siebie. – Przecież nie dopuszczę cię bliżej niż na odległość ramion. Czym zatem mnie sięgniesz?

Dziadek złożył dłonie na splocie słonecznym i wykonał dwa próbne ciosy łokciami w powietrze.

– Broń się zatem swoimi długimi rękami.

Nerideen osłonił się, ustawiając przedramiona tak, żeby chroniły mu boki. I nawet chcąc przechytrzyć przeciwnika, ruszył do ataku.

Pierwszy cios Dziadka, zadany z boku, odrzucił jego ręce w przeciwną stronę, drugi, prosto w splot, zatrzymał mu oddech,

a trzeci, od przodu, posłał na bruk.

Chłopak, kaszląc napadowo, zaczął się podnosić dopiero po naprawdę długiej chwili.

– No i co z twoim trzymaniem na dystans?

– Gdybym... miał miecz i gdybym... umiał nim władać, to...byś tego nie zrobił.

– Gdyby babcia miała wąsy, to mianowano by ją głównodowodzącą armii Luan.

– Ale...

– Zwróciłeś uwagę, że ja w ogóle nie mam miecza? Ani broń, ani sposób, w jaki ją trzymasz, nie są ważne.

– A co jest ważne?

– Pasja.

Dziadek był nie do zdarcia. Nie można go było przegadać, zagłuszyć ani przekonać w żaden sposób. Nie było argumentu, który by do niego trafiał.

Pochylony Nerideen oparł dłonie na kolanach, usiłując w tej pozycji w pełni odzyskać oddech. Potrząsał głową, żeby pozbyć się szumu w uszach. Nagle zamarł. Potem wyprostował się i doskoczył do Dziadka.

– Tam! – Pokazał palcem.

– Co?

– Druzus!

Siwy mężczyzna wytężył wzrok, ale przy jego oczach był to próżny wysiłek. Niemniej uwierzył chłopakowi na słowo.

– Ciekawe, czego ta kanalia tu szuka?

– Może nas goni? Zemsty chce!

– Spokojnie. – Dziadek jak zwykle tylko się uśmiechnął. – Najgorzej to uznać się za pępek świata, wokół którego wszystko się toczy. On przyjechał w jakiejś innej sprawie.

– Ale kiedy nas zobaczy, to będzie chciał zabić.

– A tak. Niewątpliwie skorzysta z okazji.

Pałac wynajęty przez poselstwo Troy wypełniali robotnicy z dłutami i młotkami. Ich zadaniem było robienie dziur w ścianach i wkładanie tam poziomo metalowych prętów. Nie na zawsze. Pręty wyjmowano, jeśli okazało się, że za ścianą jest lity mur lub inne dostępne dla wszystkich pomieszczenie.

– Co oni robią? – zainteresowała się Io.

– No jak to co? – Fedra aż fuknęła, dziwiąc się niedomyślności nowej koleżanki. – Skoro wpadłaś na pomysł, żeby kupić pałac, który będzie miejscem pobytu poselstwa Luan, wymurować tam fałszywą ścianę i umieścić podsłuchiwaczy, to trzeba sprawdzić, czy oni nie wpadli wcześniej na identyczny pomysł.

– Tak. – Anarcha natychmiast poparła czarownicę. – Jeśli oni zrobili tutaj to, co my planujemy, to przecież żadną miarą nie można tu wpuścić posła.

Io wyobraziła sobie nagle, że wszystkie nowe budynki, które kupiło ostatnio Troy dla służb dyplomatycznych na całym świecie, są w tej chwili dziurawione i sondowane metalowymi prętami. Oni zawsze mieli rozmach.

– I przepraszam, zwrócicie tę budowlę w stanie, nazwijmy to, podziurawionym?

– A kto się będzie przejmował jakimś zwracaniem.

– Nie mów, że ten pałac też kupiliście?

– Oczywiście, że kupiliśmy. Nikt nie wie, jaki będzie wynik rozmów i czy przypadkiem Luan nie zawita do miasta już w przyszłym roku. Tym razem nie w osobie posła, tylko stratega, głównodowodzącego armią. Więc ceny nieruchomości w Canope lecą na łeb na szyję.

– Och – westchnęła Io. – Czy nie uwłacza godności posła, że będzie musiał nocować w sali z dziurawymi ścianami?

– A kto by się posłem przejmował? – mruknęła Anarcha, choć trochę zasłaniając usta. – Ciebie zaraz podejmie nie jakiś tam

urzędniczyna, tylko prawdziwa władza w poselstwie.

– Zaszczyt.

– Nie. Ona jest bezpośrednia, rzeczowa i pragmatyczna. Niczego nie udawaj, nie klucz i nie kłam. Podobno ma dar patrzenia w głąb ludzkiej duszy.

– Tia. Ostatni człowiek, który twierdził, że zajrzy na samo dno mojej duszy, ukradł mi dziesięć brązowych na targu!

– Nie bój się, kochana – rozległ się głos, który dobiegał gdzieś z góry. – Ja cię nie okradnę.

Wszystkie trzy stanęły jak wryte i gwałtownie podniosły głowy. Wielka księżna Królestwa Troy Proxima stała na antresoli nad nimi i opierała się swobodnie o balustradę. Nie zauważyły jej na początku pewnie dlatego, że pomieszczenie wypełniały kłęby zbijanego tynku. A może... może przed chwilą jej tam jeszcze nie było? Takich możliwości chyba nie rozpatrywała Anarcha, która nerwowo zastanawiała się, czy Proxima mogła usłyszeć jej uwagę o pośle. Księżna jednak nie wnikała.

– Wam dwóm bardzo dziękuję za staranie uwieńczone sukcesem – powiedziała ujmującym, uprzejmym głosem. – Poczekajcie na zewnątrz, tu za dużo kurzu i huku.

No tak. Jednym gestem odesłała czarownicę i oficera do miejsca, gdzie pewnie czekała też służba.

– A ty, dziecko, pozwól tutaj. – Wskazała Io kręte schody prowadzące na galerię, a z niej na antresolę. – I nie denerwuj się. Moim życzeniem jest, żebyś usłyszała o pewnych sprawach ze źródła.

Io była daleka od nerwów. Aczkolwiek rzeczywiście, kiedy pokonywała kręty bieg, miała wrażenie, że gdzieś wewnątrz kumuluje się w niej napięcie. Przypomniała sobie drewniany pałacyk myśliwski zagubiony w leśnej głuszy. Tam też ocknęła się w łaźni z napiętymi jak do skoku mięśniami. Ciekawe.

– Pani. – Kiedy znalazła się na górze, wykonała nawet pałacowy ukłon, no, taki, jaki umiała, nie chowała się bowiem na dworze.

– Chodź, chodź, dziecko. I daruj sobie te sztywne formy. Sądząc z kurzu, jesteśmy na placu budowy i możesz zwracać się do mnie jak do majstra.

Io przyglądała się księżnej z wielką ciekawością. Proxima była starą kobietą. Nie sędziwą jeszcze, ale starą. Stąd pewnie to „dziecko", którym ją określała.

– Cieszę się, że cię widzę, dziewczyno. Co prawda aż tyle o tobie słyszałam, że mam wrażenie, jakobym znała cię od dziesięcioleci. Och, wybacz, kochanie. Ty przecież nawet dwóch dziesięcioleci nie spędziłaś na tym świecie.

– Mam nadzieję, że mówiono o mnie wyłącznie dobrze. – Io przełknęła uwagę o swoim nad wyraz młodym wieku.

– Wyłącznie źle. – Proxima rozłożyła ręce. – A nawet najgorzej... – zawiesiła głos. – Ale przecież słuchałam tego, co mają do powiedzenia wyłącznie twoi wrogowie, a w tym przypadku wszystkie kalumnie zamieniają się w superlatywy.

Sprytna baba. Ale swoją drogą, gdzie ona mogła usłyszeć „aż tyle"? Io nie była osobą ani znaną, ani nawet dążącą do rozgłosu. Wprost przeciwnie.

– Przyznam, że zawstydziłaś mnie trochę, pani. Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smucić.

– A to już zależy wyłącznie od punktu widzenia. Moim zamiarem nie było onieśmielanie kogokolwiek, a już na pewno nie ciebie, dziecko.

Io, nie wiedząc, co powiedzieć, skłoniła głowę.

– Chciałabym, żebyś usłyszała z samego źródła to, o czym wspomniały te dwie tam... – Proxima od niechcenia wskazała palcem kierunek, w którym oddaliły się Fedra i Anarcha. – Potwierdzam powagą najwyższych rodów i całej władzy królestwa: jeśli wypełnisz zlecone ci zadanie, Troy udzieli azylu całej twojej rodzinie.

– Dziękuję, pani. – Kolejny pałacowy ukłon Io nie był wcale lepszy od poprzedniego. Ale Proxima chyba nawet nie patrzyła. W końcu

płaciła najwyższą cenę na świecie. Mogła więc nawet dłubać sobie w nosie. – Wiem, jakie jest moje zadanie. Mam się przekraść...

– Ciiii! – Proxima skrzywiła się, jakby ugryzła coś gorzkiego. – Szczegóły taktyczne pozostaw do swojej wiadomości. Ja się zajmuję strategią, dziecko!

– Przepraszam.

Księżna rozpogodziła się po dłuższej chwili, a Io zastanawiała się, jak by to było, gdyby została wrogiem tej kobiety. Czy już by ją skrócili o głowę, czy jeszcze nie? Zrozumiała też, dlaczego nazywano ją morderczą Proximą. To po prostu było czuć, jeśli widziało się ją z bliska.

– Te dwie tam – księżna znowu jakby od niechcenia kiwnęła palcem – pewnie naopowiadały ci mnóstwa szczegółów. A ja chcę ci dać obraz sytuacji. Bez wdawania się w detale.

– Zamieniam się w słuch, pani.

– Musimy ochronić Biafrę nie dlatego, że jest sukinsynem, ani dlatego, że czegoś od niego potrzebujemy. Po prostu nie wolno dopuścić, żeby wywiad Luan miał nad chłopcem władzę. Żeby syn królowej skakał, jak mu cesarscy zagrają.

– Rozumiem. Mam zabrać dowody, które na niego zgromadzili, i dostarczyć je wam.

– Tak właśnie. Ponieważ kierowany przez Luan Biafra doprowadzi do rychłej zagłady Arkach. W dodatku zagłady bezproduktywnej.

– To może lepiej zniszczyć te dowody? Będzie łatwiej.

– Nie. Niekontrolowany przez nikogo Biafra będzie przedłużał agonię swojego królestwa w nieskończoność. Również bezproduktywnie.

– A wy chcecie, żeby...

Proxima parsknęła śmiechem.

– Arkach ma się rzucić na Luan, poświęcając wszystko!

– To przecież niepodobieństwo.

– A co tam! Wystarczy podjudzić, zapewnić o naszym wsparciu i pójdą ze śpiewem na ustach.

Io zapytała ostrożnie:

– Ale wy... udzielicie im pomocy, prawda?

Księżna spojrzała na dziewczynę wyraźnie zdziwiona.

– No niby jak? Przecież Troy leży po drugiej stronie naszego wspólnego wroga, więc żadna pomoc nie wchodzi w grę.

Proxima nagle zdała sobie sprawę, że jej wypowiedź mogła wydać się zbyt obcesowa i zrobić złe wrażenie na rozmówcy. Zaczęła więc łagodzić swoje słowa.

– Oczywiście, że pomożemy, i złotem, i pomysłami, szkoleniem i... szukając im jakichś sojuszników. Nasze służby informacyjne zapuszczają się nawet do Królestwa Chorych Ludzi i stamtąd płyną bardzo optymistyczne sygnały... ale to trochę za daleko na jakieś konkretne próby transportu. Sama rozumiesz. Marynarki wojennej nie wyślemy, bo przecież Arkach nie ma dostępu do morza. Zresztą musielibyśmy przepłynąć tuż obok marynarki Luan. Armii też im nie wyślemy, bo dzieli nas pustynia, no i samo imperium.

– Rozumiem.

– No właśnie. Arkach ma powstać i tupiąc głośno, ruszyć na wroga, mimo że nie jest gotowe na śmierć. Ale musi dać nam czas, żebyśmy sami zdążyli przygotować się do wojny.

– Wojna naprawdę jest nieunikniona?

– Tak. Za dwa, trzy lata, tak. Cesarstwo dusi się z braku niewolników i na pewno zrobi coś nieobliczalnego.

– Rozumiem, że twoim tutaj zadaniem, pani, jest opóźnienie ataku na Troy kosztem Arkach?

– Tak.

Proxima najwyraźniej uznała, że nie ma sensu kluczyć. Nie musiała też zachowywać ani tajemnicy, ani pozorów wobec samej Io. Przecież przed chwilą potwierdziła transakcję, a dziewczyna wyraziła zgodę. Io została po prostu kupiona. Cóż z tego, że za królewską kwotę.

– A nie lepiej uderzyć w królową?

– Ona nie jest głupia. Przecież to całe spotkanie w Canope, do którego zaraz dojdzie, to próba uzyskania pokoju. Nawet za cenę

spełnienia idiotycznych i upokarzających żądań cesarza. Ona może uratować Arkach i wyjąć je z wojny nawet na długie lata.

– Rozumiem. Łatwiej chwycić w garść jej już umoczonego synka.

– Otóż to. A Biafra ma uderzyć całą siłą na Luan. Ma cesarza rozjuszyć. Ma zrobić rzecz najgłupszą na świecie, ponieważ zagłada Arkach da nam co najmniej jeszcze jeden rok bez wojny na naszej granicy.

– Tyle że jeśli Troy nie ruszy z odsieczą, to wszyscy będą wiedzieć, że wmanewrowaliście Arkach w awanturę, której nie przeżyje.

– Nie bój się. Innym puści się dym w oczy. A ponieważ wojna i tak jest nieunikniona, więc będziemy zapewniać o tym, że mają nas za plecami. No i będziemy mocno machać mieczami i wydawać gromkie wojenne okrzyki! – Proxima roześmiała się na cały głos. – A za to dostaniemy minimum rok spokoju na własne przygotowania. Tanio, prawda?

Rozdział 5

Canope na czas spotkania wysokich, układających się stron stało się miastem „poselskim”. A to oznaczało, że porządku pilnowano z ustokrotnioną skutecznością. Liczba strażników miejskich zwiezionych z innych regionów przewyższała wszelkie wyobrażenia. W tłumie obserwujących przejazdy orszaków wielkich dostojników żartowano, że wystarczy tych strażników przezbroić i wysłać na front – wojnę wygramy w dwa dni. To miejsce stało się absolutnie wyjątkowe. Pod groźbą utraty zdolności honorowej tutaj nie mógł przecież nastąpić żaden zamach na wyjątkowych gości. Nie można im było wyrządzić żadnej krzywdy, tak na mieniu, jak i na powadze. Za próbę choćby słownej obrazy kogokolwiek z dostojnych gości karano gardłem. Na miejscu, na postrach dla reszty. Tłum więc milczał. Gromadził się na trasach przemarszu wspaniałych pochodów oficjeli z różnych krain, ale nie wiwatował.

Dziadek i Nerideen wybrali boczną uliczkę. Miasto władze uznały za bezpieczne, więc nie ukrywano przed nikim tras przejścia wszelkich delegacji. A tędy właśnie miał przejść do swojej siedziby generał Biafra. Nie był bardzo ważnym dostojnikiem, nie był posłem reprezentującym swojego władcę. A jednak zgromadziło się sporo ludzi. I to głównie, co było pewnym zdziwieniem, mężczyzn.

Dziwne. Nerideen, chcąc się upewnić, że dobrze trafili, zaczepił jakiegoś ciesielskiego czeladnika.

– Ty, to tędy ma przechodzić generał Biafra?

– Tędy, tędy. – Tamten zachichotał ni stąd, ni zowąd i szturchnął Nerideena łokciem w bok. – Dobrze trafiłeś, stary. Nic się nie martw.

Dziadek postanowił włączyć się do rozmowy.

– Ale to chyba będzie skromne widowisko.

– Skromne nie skromne. – Czeladnik znowu zaczął chichotać. – Co kto lubi.

– Nie martw się, przyjacielu – odezwał stojący z lewej piekarz, który wpadł tu chyba prosto z roboty, bo był cały utytłany mąką. – Zobaczysz, co jest do zobaczenia.

Dziadek i Nerideen wymienili spojrzenia. Obaj nie rozumieli.

– Generał to chyba ma niewielki orszak?

– Generał w ogóle nie ma żadnego orszaku. Jak każdemu wyższemu oficerowi przysługuje mu tylko pluton służbowy do ochrony.

– A co to takiego?

– Jak to co? Oddział złożony z żołnierzy weteranów, zaprawionych w bojach, mężnych i bez trwogi w sercu.

– Nooo... – zawtórował piekarzowi ciesielski czeladnik. – W boju zaprawione one na pewno są! Zresztą zaraz zobaczycie, bo jadą.

– Jadą! Jadą! – poniosło się w tłumie.

Nerideen stanął na palcach, chcąc dostrzec cokolwiek już z daleka, ponad głowami zebranych.

– I co?

– I nic. – Chłopak wzruszył ramionami. – Oficer i trzydziestu żołnierzy.

– Ciekawi mnie, jaki to człowiek – mruknął Dziadek. – Czy da się do niego podejść po prośbie, czy nie?

– Na ulicy chyba nie będziemy próbować.

– Pewnie, że nie. Tu chcę go tylko zobaczyć. Często z samej twarzy można wyczytać więcej, niż czarodziej wyczyta z głębin duszy.

– Hm... – Chłopak był bardziej sceptyczny.

Tłum tymczasem przeszło jakby drżenie.

– Są! Są! – niosło się wśród ludzi.

Nie bacząc na kordon strażników, zebrani mężczyźni zaczęli napierać. Nerideen nie bardzo wiedział, co jest grane. Popchnięty z tyłu, znalazł się w pierwszym rzędzie. Szukał wzrokiem Dziadka i dopiero po chwili popatrzył na zbliżający się oddział.

– O Bogowie! – wyrwało mu się mimowolnie.

W armii Arkach służyły wyłącznie kobiety. Dlatego też kobieta oficer wybiera sobie pluton służbowy złożony również z kobiet. Kryterium jest więc doświadczenie bojowe, liczba odbytych kampanii, specjalność wojskowa czy choćby to, żeby wszystkie dziewczyny miały taki sam wzrost, by ładnie wypaść na defiladzie.

Tu nie. Widać było, że ten szczególny pluton służbowy wybierał mężczyzna. I jedynym kryterium, jakim się kierował, okazywała się uroda. Te kobiety były po prostu zjawiskowo piękne, obecni wokół gapie nie mogli oderwać oczu. Żołnierze miały na sobie mundury elitarnych jednostek, krótkie spódniczki i skórzane kurtki. Ale skóra ich sortów lśniła, zupełnie jakby została pokryta warstwą cienkiego lodu. Ich broń wypolerowano tak, że odbijała promienie słońca. Trzydzieści zjawiskowych piękności miało ze sobą oczywiście regulaminowe wyposażenie. Ale jego wygląd wskazywał, że w tym przypadku ważny jest tylko wygląd. Ten oddział na sam widok wroga w polu pewnie by się rozpłakał. Ale co z tego. Jako pluton reprezentacyjny przyćmiewał nawet cesarski orszak. Mężczyźni nie mogli odwrócić oczu.

– Same weteranki – mruknął umorusany mąką piekarz. – Ciekawe tylko, w jakich bojach zdobyły swoje szlify?

– He, he – zawtórował mu ciesielski czeladnik. – Ja chcę zostać generałem! Ja chcę zostać generałem!

– Takiego haremu to królowie nie mają – odzywały się głosy z tyłu.

– Królowie nie wożą swoich haremów na widoku – powiedział Dziadek, który dopiero teraz przepchnął się do pierwszego rzędu.

Nie patrzył na cudowne dziewczyny. Obserwował twarz Biafry. Dziwną, zamyśloną. Jego oczy błądziły gdzieś, obserwując raczej dachy kamienic niż tłum wokół. Piękny chłopczyk. Równie zjawiskowy, co żołnierze z jego plutonu. Upał musiał mu doskwierać, bo co chwila pociągał wodę z przydziałowej manierki.

Niedaleko od ich stanowiska oddział zatrzymał się nagle. Odźwierni z reprezentacyjnej kamienicy, w której generał miał

dzisiaj nocować, rzucili się roztrącać gapiów i rozwijać ozdobny kobierzec, który miał prowadzić do schodów przed drzwiami.

Zjawiskowo piękna pani porucznik razem z cudownej urody panią sierżant pomagały Biafrze zsiąść z siodła. Tłum cmokał i coś tam sobie szeptał. Nikt nie odważył się gwizdać.

Dziadek ujął Nerideena za ramię i pociągnął do tyłu.

– Zobaczyłem, co było do zobaczenia.

– I jak ci się podobały dziewczyny?

– Kuszące, ale patrzyłem na Biafrę.

– I?

– Jest cień szansy na porozumienie się z nim, jeśli tylko dostąpimy zaszczytu audiencji.

– A. Porozumiesz się z nim jak jeden zbereźnik z drugim zbereźnikiem?

Dziadek spojrzał karcąco.

– Jak jeden pijak z drugim pijakiem – skwitował. – A co, tobie umknęło, jak łoił? Na co patrzyłeś?

Io wynurzyła się z ciemnej toni tuż przy twarzy nachylonej nad kanałem Anarchy. Ta drgnęła nerwowo, ale trzeba przyznać, że była doświadczonym oficerem. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nie wywołała nawet szelestu ocierających się o siebie warstw ubrań.

– I jak? – szepnęła. – Jest przejście?

– Jest.

Io oparła dłonie o kamienne nabrzeże i ostrożnie, bardzo powoli zaczęła wyciągać się do góry. Właściwie, patrząc z boku, trudno było powiedzieć, co dokładnie robi. Dziewczyna wcześniej obwiązała nogi i ramiona czarnymi szmatami, które szczególnie teraz, kiedy były mokre, ściśle przylegały do skóry. Jej włosy kryła maskująca plecionka z przymocowanymi gałgankami, które ukrywały nawet kształt głowy.

– Nie oddychasz gwałtownie? – zdziwiła się Anarcha.

– Usiłuję być cicho – wyjaśniła Io, przerzucając ciężar swojego ciała przez punkt podparcia. A kiedy już znalazła się na brzegu, dodała: – Czemu miałabym dyszeć?

– Właśnie przepłynęłaś pod wodą odległość równą sześćdziesięciu krokom.

– Kwestia treningu.

– Bogowie... Ja bym w ogóle nie dała rady.

– A dobrze pływasz?

– Urodziłam się nad morzem.

– Ale ja nie o dziecinnych zabawach z falami. Czy uczył cię jakiś fachowiec?

Io chyba nieświadomie dotknęła jakiejś czułej struny, bo oficer nie odpowiedziała. Zmieniła temat.

– Jesteś pewna, że dotrzesz tą drogą do piwnic budynku, który zajmuje poselstwo Luan? Chodzi mi o to, że jeśli dostaniemy sygnał, że nasz człowiek ukryty u nich da sygnał, to...

– Jeśli dowie się czegoś i da sygnał, to mogę płynąć nawet w tej chwili.

– Nigdzie nie popłyniesz – rozległ się w ciemności obcy głos.

Obie drgnęły, nieprzygotowane na obecność kogoś trzeciego, kiedy z boku rozbłysło słabe światełko.

– To ja, to ja. – Fedra uspokajająco przysunęła sobie do twarzy dłoń z pełgającym nad nią małym płomykiem. Stanowczo nadużywała czarów. Albo też była absolutnie pewna, że nikt jej nie wykryje w tym miejscu. Głębokie, na pół zrujnowane kazamaty faktycznie raczej nie nadawały się na miejsce zebrań Rady Czarowników. – Nigdzie nie popłyniesz – powtórzyła czarownica, kucając nad brzegiem kanału. – Nie ma już powodu.

– Co się stało?

– Odkryli naszego człowieka.

– Skąd wiesz? Zaraz. – Anarcha potrząsnęła głową. – I gdzie on teraz jest?

– Na to pytanie są dwie odpowiedzi, ponieważ on znajduje się w dwóch różnych miejscach.

– Co?

– Nie wiem, gdzie schowali jego ciało, więc tego miejsca ci nie określę. Ale jego czerep znajduje się już u nas, bo Luańczycy grzecznie go oddali.

Io parsknęła śmiechem.

– Och, jakie twardziele! – zakpiła. – Co najmniej tak twardzi jak przywódca portowej szajki w stolicy Troy!

Fedra również zaczęła się śmiać. Natomiast Anarcha pomstowała bezgłośnie.

– No i koniec naszej akcji! – powiedziała wkurzona do granic.

– A wcale nie – zaoponowała Io.

– Jak to?

– Skoro bawią się w tak durne gesty jak wysyłanie komuś głowy, to znaczy, że są zdrowo pierdolnięci. Na kim oni chcieli zrobić wrażenie? Na nas? A przejęła się któraś z nas trzech? A może chcieli nastraszyć króla Troy, żeby odtąd natrętna myśl o głowie nie pozwalała mu zasnąć?

– W zasadzie masz rację – ciągle śmiała się Fedra. – Ale jak to się ma do faktu, że możemy kontynuować akcję?

– Posłuchaj. Skoro ich bezpieka wymyśla tego typu teatralne posunięcia, to znak, że one niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. A to oznaka miłości własnej. Teraz pewnie siedzą gdzieś i rechoczą, powtarzając sobie: „Aleśmy te trzy baby wyruchali!”.

– Jak to? – otrząsnęła się Anarcha. – Wiedzą o nas?

– No pewnie, że wiedzą. Aż tak całkiem głupi to oni przecież nie są.

– To co proponujesz?

– Zagrać na ich miłości do siebie i umocnić w nich wiarę, że są geniuszami. Na pewno macie w poselstwie Luan jakiegoś mało ważnego agenta. Jakąś płotkę, która nic nie wie i której używacie do prostych poruczeń.

– Znajdzie się.

– No to go ujawnijcie. Tylko w taki sposób, żeby ich bezpieczniaki myślały, że same go rozgryzły.

– Da się zrobić – zgodziła się Anarcha. – Ale co? Chcesz, żeby nam przysłali nową głowę? Kolekcję zakładamy?

– Nie, niech uwierzą w swoją wszechmoc. W swoją sprawczość. I w to, że wygrywają z nami w każdym posunięciu.

– Ja rozumiem, o co chodzi – powiedziała Fedra, poważniejąc. – I jeszcze coś wymyślimy, a potem damy im to coś rozgryźć. Chłopaki znajdą się na fali.

– Na jakiej fali? – nie zrozumiała Anarcha.

– Na fali sukcesu. Skoro tak dobrze im idzie, stracą czujność. A wtedy...

– A wtedy powiemy im, o co nam chodzi – wpadła jej w słowo Io.

– Co? Co? – Obie, czarownica i oficer, spojrzały na nią gwałtownie.

Io podniosła odżegnująco dłonie.

– No przecież nie wprost. Ale wejdźcie w ich umysły. Pasmo sukcesów, jeden triumf za drugim i w kolejnym kroku dzięki swojej skuteczności dowiadują się, jaki jest nasz cel.

– Prawdziwy?

– Oczywiście, że prawdziwy. Niech się dowiedzą, że za wszelką cenę chcemy zdobyć dokumenty, dzięki którym mają w ręku Biafrę.

– Aha! – Fedra zamyśliła się, przygryzając dolną wargę.

Anarcha wodziła wzrokiem od jednej do drugiej.

– No i co się wtedy stanie? – zapytała po chwili.

– Nie wiemy, gdzie te papiery przechowują. Nie wiemy nawet, co to jest. A oni... pomyślą, że jednak wiemy, skoro chcemy je zdobyć. I będą musieli je zabezpieczyć. Skoro wiemy, co to jest, to pewnie wiemy, gdzie jest przechowywane. I bezpieczniaki ściągną to coś do pałacu poselstwa, do bezpośredniej bliskości posła i jego zbrojnych. A wtedy to już naprawdę będziemy wiedzieć, gdzie to trzymają. Sami nam pokażą.

– No ale przecież będą pilnować. Wystawią warty.

Io zgodziła się natychmiast, kiwając głową. Potem dodała:

– A ja przepłynę sześćdziesiąt kroków pod wodą i te warty im pozabijam.

Fedra i Anarcha spojrzały na siebie. Ciszę, która nagle zapadła, dopiero po dłuższym czasie przerwała czarownica.

– No i mówiłam ci, pani oficer, że trzeba wynająć właśnie ją. I co? Miałam rację?

– Miałaś.

– I nigdy już nie zwątpisz w siłę mojego rozumu?

– Nie zwątpię.

– No! – Czarownica podniosła się z pozycji kucznej. – To realizujemy plan tej najemniczki.

Anarcha podniosła się również.

– A może jednak lepiej byłoby wysłać tym z Luan również czyjąś głowę?

Fedra zrobiła krok, stając przed przyjaciółką, a potem dotknęła czołem jej czoła, patrząc rudowłosej w oczy całkiem z bliska.

– Plan dobry – wycedziła. – I proponuję, żeby im wysłać twoją głowę, koleżanko. Korzyść podwójna: straty intelektualne po naszej stronie będą minimalne, a zdziwienie Luańczyków niebotyczne.

Io z najwyższym trudem opanowała się, żeby zachować kamienny wyraz twarzy i ukryć nawet wesołe ogniki w oczach. Coś bardzo mocnego musiało łączyć te dwie kobiety, bo oficer, zamiast wrzasnąć na cały głos, jedynie cicho westchnęła.

Nerideen nie miał pojęcia, co mu się śniło. Raczej nic przyjemnego, bo kiedy Dziadek obudził go, potrząsając za ramię, chłopak krzyknął na cały głos:

– Krew! Krew!

– Uspokój się.

Nieprzytomny Nerideen usiadł nagle i zaczął się rozglądać. Po chwili jego uwagę przykuło kilka brązowych plam na pledzie,

którym się okrywał.

– Krew! – powtórzył przerażony. – W nocy kogoś zabiłem!

Siwy mężczyzna dobrotliwie poklepał go po ramieniu.

– Taaak... Krew jest, ale trupa nie widzę. Wniosek: zabiłeś go i zjadłeś!

Nerideen przecierał oczy kułakami. Potem spojrzał na swoje dłonie, oglądając je to z jednej, to z drugiej strony.

– Nie śmiej się – powiedział już spokojniej. – Skąd te ślady?

– Przez pół nocy zgrzytałeś zębami. Pewnie przegryzłeś sobie język i pled poplamiłeś.

Chłopak wysunął język i zrobił zeza, żeby spojrzeć na odniesione rzekomo rany. Siłą rzeczy mu się to nie udało, więc spytał:

– Ardo sie ogłysle?

– Co?

Nerideen schował język.

– Czy bardzo się pogryzłem?

Dziadek zrobił boleściwą minę.

– A nie lepiej byłoby spytać, co robiłem przez pół nocy i dlaczego nie spałem z tobą w tej izbie?

Ta uwaga poderwała chłopaka.

– Już wiesz, jak uwolnić moje siostry?!

– Powoli, powoli. – Dziadek wykonał uspokajający gest. – Na razie znalazłem punkt zaczepienia. Wiem, jak dostać się do ucha Biafry. Być może.

– Co to znaczy: być może?

Nerideen wyskoczył z legowiska i zaczął się pospiesznie ubierać.

– Idziemy?

– Gdzie?

– Tam, gdzie można się dostać do ucha Biafry! – Chłopak nie mógł pojąć, jakim cudem Dziadek nie rozumie najprostszych spraw. – Natychmiast!

– Tak po prawdzie wolałbym coś zjeść rano. – Siwy mężczyzna podrapał się po brodzie. – Ale właściwie to możemy znaleźć coś

w mieście. Ta gospoda chyba nie zaoferuje nam niczego lepszego na śniadanie niż zupa z karaluchów.

– Teraz myślisz o jedzeniu? Teraz?!

– Widzisz... to nie jest takie proste.

– Opowiesz mi po drodze.

Siwy mężczyzna tylko westchnął ciężko i rozłożył ręce. Po chwili zaczął pakować swoje bagaże.

– Tu już nie wrócimy? – zdziwił się Nerideen.

– A ty co? Zapomniałeś, że Druzus nas szuka?

– A! Fakt.

Chłopak ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze z ręką na klamce.

– A w jaki sposób zdobyłeś te informacje? Masz tu jakichś znajomych?

– Nawet jeśli mam, to ich nie pamiętam. – Dziadek odsunął chłopaka, otworzył drzwi i wyszedł do głównej sali parszywej gospody, w której nocowali. – Ja po prostu w przeciwieństwie do ciebie umiem rozmawiać z ludźmi.

Lawirując pomiędzy gośćmi, którzy nie wynajęli osobnych izb i spali na podłodze, wyszli na zewnątrz, gdzie nareszcie owionął ich świeży podmuch powietrza.

– Aha, to znaczy chlałeś przez całą noc z miejscowymi i nasłuchałeś się plotek?

– To znaczy, że piłem całą noc z kim trzeba. I zadawałem właściwe pytania, nie budząc najmniejszych podejrzeń.

Nerideen nie do końca uwierzył w tę wersję, choć tak po prawdzie nie miał wyjścia. Sam nie potrafił wpaść na żaden sensowny pomysł, a kwestia wydobycia własnych sióstr ze szponów armii powoli stawała się paląca. Cień szansy istniał, tylko dopóki obie przebywały w obozie szkoleniowym. Kiedy poślą je na front, to chyba już tylko królowa Arkach byłaby władna jeszcze coś zrobić.

– Zdradzisz, czego się dowiedziałeś? – zapytał.

– A owszem, owszem.

Pobrano ze strony pijafka.pl

Ruszyli wzdłuż ulicy. Tutaj, na dalekich przedmieściach, o tak wczesnej porze było prawie pusto. Nieliczni rzemieślnicy przemykali do swoich warsztatów, czeladnicy i uczniowie szykowali wszystko na nadejście swoich mistrzów. Przekupnie i handlarze jeszcze spali.

– Dowiedziałem się, że do Canope przyjechała prosto ze stolicy pewna kapłanka.

– Przełożona jakiegoś zakonu?

– Właśnie nie. To bardzo dziwne. Ona przed laty obwołała się prorokiem, głosi dość radykalne poglądy, jeśli chodzi o wiarę, nawołuje do uprawiania miłości, co ma być środkiem do zbliżenia się ku Bogom.

– O matko! – żachnął się Nerideen. – Inni kapłani jeszcze jej nie rozerwali końmi na forum?

– No właśnie. Przecież mówiłem, że to dziwne.

– Ale nie aż tak dziwne. Wszystko, co związane z miłością, jest przecież w ścisłej reglamentacji u kapłanów i tylko oni mogą sprawować rząd dusz, mając pod kontrolą tę sferę.

– To oczywiste. Pani prorok zresztą aż tak nie burzy fundamentalnych podstaw kapłaństwa. Miłość zbliża do Bogów, ale tylko ta miłość, którą pątnik uprawia wyłącznie z samą panią prorok. Rzekłbym osobiście.

– Aha. – Nerideen nie mógł uwierzyć. – I kapłani pozwalają na nierząd w świątyni?

– W świątynnych kręgach to ona nawet zdobyła pewną popularność, ponieważ nawet kapłani mogą się z nią kochać bez grzechu w świetle nowej doktryny.

– Aha. A wielu tylko to ma na myśli.

– Owszem. Ale oczywiście najwyższe święte zwierzchnictwo nie chce słyszeć o procederze ani na to pozwalać. A jednak słyszy i pozwala.

– Ot, zagadka!

Dziadek roześmiał się chrapliwie.

– Nie taka znów wielka.

– Nie rozumiem.

– Jak nie? A kto może kazać coś kapłanom?

– Arcykapłan?

– Albo ten, kto utrzymuje kapłanów.

– Lud utrzymuje kapłanów, składając ofiary.

– Ty chyba rozum z pierdem pomyliłeś. Kapłanów utrzymuje władza. Nadaniami, a nie prostaczkowie drobnymi ofiarami podczas nabożeństw czy z jakiejś tam okazji. A skoro władzę dzierży tu królowa, to trudno chyba podejrzewać, że popiera proceder kultywowany przez panią prorok, prawda?

– Prawda. – Chłopak podrapał się w głowę. – Tak, to brzmi rozsądnie.

– Komu jest więc potrzebna prorok nimfomanka, która udziela się cieleśnie ważnym pątnikom i ważnym kapłanom?

Tu Nerideen nie miał wątpliwości.

– Temu, kto zbiera informacje. A w ten sposób ma je z pierwszej ręki. Tfu! Z pierwszej... jak to powiedzieć?

– Będą z ciebie ludzie – mruknął z uznaniem Dziadek. – Tak. Chodzi o poufne informacje od ludzi z hermetycznego świątynnego kręgu. A tu są rzeczywiście z pierwszej... no, na pewno nie ręki, ale ja też nie wiem, jak to powiedzieć.

– Skoro więc nie królowa, to kto?

– Generał Biafra ma pod sobą służbę rozpoznania i zaopatrzenia. I moim zdaniem to on zbiera informacje, którymi potem karmi majestat, stając się człowiekiem niezbędnym.

Nerideen odruchowo przyspieszył kroku, ale widząc, że Dziadkowi nie chce się biec, znowu zwolnił.

– A jak przez tę prorokinię dotrzemy do Biafry? – zapytał.

– Czekaj, ja jeszcze nie wiem, jak dotrzemy do samej prorokini. Ale daj mi parę chwil. Ona jest osobą publiczną, otoczoną wyznawcami. Muszą więc być tam i pieczeniarze. A wśród nich pijacy...

– Ty zawsze w jedną stronę.

– W jedną, za to skuteczną. A ty tylko żeby biadać od rana do... Stój!

Dziadek chwycił chłopaka za ramię i osadził w miejscu.

– Kurwa! Mogłeś się rozglądać, gdzie idziemy. Wiesz, że wzrok mam słaby.

– Ale co?

Nerideen wodził dookoła nieprzytomnym lekko spojrzeniem, nie mając pojęcia, czego ma szukać. Zatrzymali się dokładnie obok wielkiej wozowni. Dwu- albo nawet trzypiętrowy budynek nie wyglądał na pusty. Mimo wczesnej pory kręciło się sporo pracowników i nie byli to sami stróże. Ktoś przetaczał wielkie transportowe furgony, ktoś wyprowadzał konie ze stajni. Jacyś ludzie otwierali właśnie kuźnię i położoną obok stolarnię, gdzie naprawiano uszkodzone elementy wozów.

– Co mam zobaczyć?

Siwy mężczyzna skrzywił się lekko.

– Oczy mam słabe, ale słuch idealny. To Druzus.

Nerideen zesztywniał. Mimo że omiatał okolicę wzrokiem, nie mógł dostrzec szermierza. Po chwili zrozumiał, że szukał za blisko. Jego towarzysz miał jakiś niewyobrażalny słuch. Druzus stał na podwyższeniu ze skrzyń, otoczony przez dwudziestu, może trzydziestu ludzi. Nie wyglądali na parobków chcących nająć się do pracy w polu. Najwyraźniej poszukiwali zgoła innego zajęcia, ponieważ każdy z nich miał broń. Widać młody szermierz natchniony ciągle szukał ludzi do roboty, która na pewno nie polegała na przewijaniu niemowląt.

– Jest?

– Tak. Widzę go.

– Zamilkł. Co teraz robi?

– Patrzy wprost na nas. – Chłopak przełknął ślinę. – Uciekamy?

Dziadek ni to prychnął, ni sapnął.

– A gdzie chcesz uciekać? – zapytał.

– Do tyłu! W stronę przeciwną, niż on stoi.

– Aha. Znaczy za miasto, do lasu? Kiepski pomysł, skoro on ma tu konie do wzięcia.

– Nie no. Myślałem, żeby tu gdzieś się ukryć. Między budynkami.

– Dwóch obcych będzie się ukrywać przed miejscowymi na ich terenie. To może nie wyjść.

– No to... co robimy?

– Co to za ludzie, których słyszę obok niego?

– Zbrojni. I to na oko nie tacy pierwsi lepsi. Wyglądają na mistrzów. A przynajmniej na specjalistów od pojedynków.

– Mhm. Zatem nie pozostało nam nic innego, jak podejść i grzecznie zapytać, co słychać.

Ruszyli przed siebie wzdłuż parkanu wozowni. Szerokie bramy prowadzące na rozległe podwórko były już otwarte, ale żaden pojazd nie opuszczał jeszcze ogrodzonego terenu.

Ludzie otaczający szermierza natchnionego musieli już wyczuć, że dzieje się coś ciekawego. Gremialnie odwracali głowy, by spojrzeć na drogę. Sam Druzus nie odrywał wzroku od zbliżającej się dwójki. Na jego twarzy właściwie nie gościł żaden szczególny wyraz. Tylko najbardziej bystry obserwator mógł się dopatrzyć lekkiego zaciśnięcia szczęk w rodzaju: „O skurwysyny! No i doigraliście się”.

Nerideen zbyt dosłownie potraktował instrukcję, której udzielił mu Dziadek. Kiedy obaj zbliżyli się do tłumu na odległość kilku kroków, uśmiechnął się radośnie do Druzusa i powiedział:

– Cześć! Co słychać?

Stojący wokół Druzusa specjaliści od walki na miecze wytrzeszczyli oczy. Cisza stawała się wręcz namacalna. Stojący na podwyższeniu szermierz dotknął rękojeści miecza.

– Stać, stać... – Siwy mężczyzna od niechcenia machnął ręką. – Co ten tam na górze tak głownię maca? Ręka świerzbi czy liszaj na skórze wyskoczył i podrapać trzeba?

Nic już nie mogło zachwiać triumfem Druzusa. On też się uśmiechnął.

– Wy skurwysyny jebane – powiedział nawet dość grzecznie i w miarę przyjaźnie. – Chcieliście robotę mi spierdolić. Zabiliście

ludzi, których chciałem nająć!

– Toż innych znalazłeś. Czego się czepiasz?

Nerideen spojrzał zdziwiony na swojego towarzysza. Takiego go jeszcze nie znał.

– Zapłacisz mi za to, chuju. Za małe gówno jesteś, żeby mi w planach mieszać!

– Co mordę drzesz po próżnicy? Chcesz czegoś czy tylko tak pierdolisz, żeby se mordę naślinić?

– O ty... – Druzus wyszarpnął miecz i zeskoczył ze skrzynek tak szybko, że stojący najbliżej wciąż patrzyli w miejsce, gdzie stał przed momentem, podczas kiedy on już znalazł się za ich plecami.

– Zamieniłeś się głowami z osłem? – zapytał Dziadek głosem zupełnie pozbawionym emocji, kiedy w ułamek chwili później szermierz natchniony stał przed nim z uniesionym nad głową mieczem.

W głosie starego podróżnika było tyle spokoju i tyle pewności siebie, że Druzus zawahał się nagle.

– Czego pierdolisz?

– W mieście obce poselstwa, idioto! – Teraz głos Dziadka stał się dobitny. – Strażników jak nasrał do przepełnionego szamba. Wojska tyle, że można z nimi iść na Syrinx czapkami wroga nakrywać. A ty burdę chcesz zrobić? Zajebią cię w pół modlitwy, jełopie!

Nerideena dosłownie sparaliżowało ze strachu. Takie słowa do arcymistrza z już gotowym do ciosu mieczem?! Bogowie!

Coś jednak musiało być na rzeczy. Druzus wypuścił powietrze z płuc. Zrobił krok w tył i opuścił miecz. Długo uspokajał oddech. I najwyraźniej nad czymś myślał.

A potem, co już było zupełnie niesłychane, odwrócił się i ruszył z powrotem, przepychając się przez zebranych zbrojnych. W niewielkim tłumie zaczęły rodzić się szepty. Ale on nie zwracał uwagi. Bez pośpiechu wspiął się na podwyższenie ze skrzynek i schował miecz do pochwy.

– On ma rację – powiedział do zebranych. – W tym mieście pierdniesz i już dziesięciu strażników wącha. – Zarechotał ze

swojego wątpliwego dowcipu. – Stary ma rację. Grandzić tutaj się nie da. – Uśmiechnął się do najemników, choć najwyraźniej nie tego oczekiwali. Patrzyli lekko zszokowani.

Druzus jednak wiedział, jak wybrnąć.

– W związku z tym mam dla was propozycję – podjął. – Wiecie, że oferuję dobrą, doskonale płatną robotę. Ale potrzebuję do niej wyjątkowych ludzi. I dlatego zrobimy tu sobie taki egzamin polowy! – Podniósł zaciśniętą pięść, zachwycony własnym konceptem. – Egzamin polega na tym, że wy teraz zajebiecie tych dwóch, co jest łatwiejszą częścią zadania. A potem musicie jeszcze uniknąć złapania przez straże i wojsko. I w związku z tym kto zdoła stawić się wieczorem na umówione spotkanie, ten dostanie robotę u mnie za podwójną stawkę!

Zadowolony z siebie Druzus odwrócił się, zeskoczył ze skrzyń i nie oglądając się już, ruszył w stronę niedalekiej bramy miasta.

– Co oni? Kąpią się wszyscy razem? – zapytała Io, wchodząc do olbrzymiej balii napełnionej dość ciepłą nawet wodą. – Kobiety i mężczyźni?

Dziewczynę zdziwili mężczyźni noszący w drewnianych wiadrach parującą wodę do balii. Anarcha i Fedra już siedziały w środku. Obie nagie i nieskrępowane, zgodnie z obyczajem Królestwa Troy.

– Wiesz, jak to jest. – Czarownica wzruszyła ramionami. – Te wszystkie uprzedzenia i fobie, że mężczyzna nie może widzieć nagiej kobiety, bo stanie się coś strasznego, to raczej w Zimnych Królestwach się wylęgły. Arkach pod tym względem jest bliższe Luan i Troy.

– A ja myślę, że oni poszli nawet dalej – włączyła się Anarcha. – Ich armia składa się z żeńskiego poboru. Dziewczyny bierze się w szeregi aż na dziesięć lat. No i miłość między kobietami jest tam

tolerowana bez najmniejszego mrugnięcia okiem. Co już w Luan byłoby nie do pomyślenia.

– W Troy również nie.

– A tutaj to luz wielki. Teraz jest lato, ale gdybyś przyjechała w zimie, tobyś zobaczyła łaźnie z okropnie gorącą parą. I tam wszyscy na golasa, chłopy, baby, dzieci... tylko zwierząt nie wpuszczają.

– I kochają się przy dzieciach? – Io nie mogła uwierzyć.

– Tam jest tak gorąco, że gdyby jakiś facet chciał się na ciebie rzucić, to uwierz, prędzej mu serce stanie – zachichotała Fedra. – A potem zimny basen albo wręcz śnieg. Co raczej też nie sprzyja miłości.

– Dla zdrowia to robią.

– A. – Io zajęła przygotowany dla niej zydel owinięty tkaniną. Służący podał jej dziwny, porowaty przedmiot. – A to? Co to takiego?

– Gąbka – wyjaśniła Anarcha. – Koszmarnie droga, sprowadzana z dalekich krajów.

– Poobijasz się tu jeszcze wśród miejscowych obyczajów. Cała tutejsza higiena jest trudna do pojęcia dla ludzi wychowanych w kulturze oliwy i skrobaczek do ciała.

– No właśnie widzę. – Io zaczęła nacierać się czymś o konsystencji popiołu i w takimż kolorze. – Coś nowego w naszej sprawie?

– Mhm. – Anarcha jednym klaśnięciem w dłonie pozbyła się służących z łaźni. – Jest parę bardzo pilnych spraw i dlatego cię wzywałyśmy.

– Czyżby udała się realizacja moich pomysłów?

– Owszem. Nasza płotka w szeregach poselstwa Luan została sprzedana. Ich bezpieczniaki szaleją w euforii własnej skuteczności. Opchnęliśmy im też informację, że „zacieśniamy kręgi” wokół poselstwa, cokolwiek miałoby to znaczyć.

– Kupili?

– Sprzedawało bardzo w ich mniemaniu wiarygodne źródło. I to takie, z którym oni handlują od lat.

– Od lat wodzicie ich za nos? – Io spojrzała na Anarchę z zainteresowaniem.

– W tej jednej kwestii. Źródło sprzedaje im bowiem za wielkie pieniądze plany naszego ataku na Luan. Dokument po dokumencie, mapa za mapą, nawet kwatermistrzowskie zestawienie za zestawieniem.

– Czego nie rozumiem? – Ta przedziwna gąbka okazała się bardzo skuteczna w usuwaniu ze skóry szarej, popielistej masy, którą się wcześniej natarła. A w dodatku w wyniku tego zabiegu pojawiało się rzadko wcześniej odczuwane poczucie totalnej świeżości. – Handlujecie własnymi planami operacyjnymi na wypadek wojny?

– Tak jest – potwierdziła Fedra. – I to prawdziwymi.

– To schemat ataku na Syrinx. Z grubsza zakłada on, że flota Troy przewozi piechotę morską na brzeg cesarstwa położony najbliżej stolicy. Piechota ląduje, zajmuje główną imperialną drogę, a posiłki maszerują na Syrinx. Zdobywają ją po krótkim oblężeniu, zmuszają cesarza do abdykacji i przyłączamy Luan do macierzy! Hura!

Io zaczęła się śmiać.

– I uwierzyli w tę bzdurę?

– A czemu nie? Co prawda każde dziecko na samym początku nauki matematyki w gimnazjonie bez trudu obliczy, że nie mamy sił, żeby realizować operację zaplanowaną z takim rozmachem, ale wiesz... Te napisy, że „ściśle tajne”, lakowe pieczęcie, klauzule, że każdy, kto zdradzi treść tych dokumentów, podlega natychmiastowej karze najwyższej i tak dalej, no i podpisy najwyższych strategów i naszego króla. Kto by nie uwierzył w ten bajer?

– A moim zdaniem o prawdziwości tych dokumentów przekonują ich gigantyczne sumy, które sami płacą za każdy przekazany fragment – powiedziała czarownica.

– To możliwe. Luan tymi sumami utrzymuje na swoim terenie całą siatkę agentów Troy.

– No dobrze – przerwała im Io. – Ale poza samozadowoleniem agentów zarówno Luan, jak i agentów Troy, które właśnie widzę, macie jakiś konkret?

Obie natychmiast spoważniały. Dając zresztą kolejny asumpt, by przypuszczać, że wszystkie te wywiady na całym świecie to tylko jedno wielkie kółko samoaadoracji i wzajemnego przywiązania. Do obrazu kochającej się ogólnoświatowej rodziny brakowało tylko tego, żeby agenci z różnych krajów wymieniali się życzeniami na święta.

– Niestety, mamy konkret – powiedziała Anarcha. – Źródło ustaliło, że dowody na Biafrę są prawdopodobnie już na terenie poselstwa albo znajdą się tam lada chwila.

– Ale nikt z poselstwa nie użył słów „dowody na Biafrę”?

– Oczywiście, że nie. Jednak po paru szczegółach można domyślać się, że o to chodzi.

– No to mój plan wypalił.

– Owszem. Jest jednak komplikacja.

– Jaka?

Anarcha zerknęła na Fedrę, a ta odpowiedziała szybkim, trochę skonfundowanym spojrzeniem. Co one? Zachowywały się jak pensjonarki w jakiejś świątynnej szkole.

– Widzisz... – Oficer do zadań specjalnych na moment zacisnęła wargi. – Możemy się nawet domyślać, jak Luańczycy zamierzają chronić te dowody.

– No jak? – Io zaciekawiła się natychmiast.

– Cesarscy wynajęli szermierza natchnionego. Ściągnęli go wprost z Luan, wyposażyli w odpowiednie sumy, żeby mógł dobrać sobie najlepszych ludzi.

– Kto jest tym mistrzem miecza?

– Druzus.

Io cmoknęła cicho.

– Słyszałam o nim. Ponoć naprawdę niesamowity zawodnik.

Anarcha i Fedra znowu wymieniły się spojrzeniami. Naprawdę jak pensjonarki.

– No właśnie.

– Co? Czemu tak patrzycie?

Czarownica nachyliła się do niej i szepnęła:

– A nie robi się z tego misja dla ciebie samobójcza?

– Wyluzuj. Ja z nikim nie walczę. Jeśli się gdzieś wkradam, to tylko po to, żeby załatwić sprawę i wyjść. Z nikim nie będę się mierzyć.

Czarownica westchnęła z dużą ulgą.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Ale dla pewności trzeba zmodyfikować plan ucieczki.

– Czujesz? – zapytał Dziadek, zrobiwszy głęboki wdech. – Czujesz to?

Nerideen wiedział, że śmierć nastąpi zaraz i na całym świecie nie ma już dla nich ratunku. Zgraja szermierzy przed nimi nie pozostawiała żadnych złudzeń. Rozkaz Druzusa: „Zabić ich!” również nie zostawiał cienia wątpliwości na temat tego, co się stanie. Przerażony do granic możliwości, uniósł wzrok i spojrzał prosto w jasne poranne niebo. Patrzył i patrzył, ale mimo całego swojego rozedrgania nie mógł dostrzec żadnych symptomów przybierania odcienia szkarłatu. No i muzyka nie spowalniała swojego tempa. Tak po prawdzie w ogóle żadnej muzyki nie dało się słyszeć – było jeszcze za wcześnie, żeby otwierać karczmy.

– Dziadku – zwrócił się do swojego towarzysza – czy zdążymy jeszcze zmówić modlitwę za zmarłych?

Siwy mężczyzna zerknął na niego z wyraźnym zdziwieniem.

– Ty chcesz się jeszcze za nich modlić? – Wskazał palcem grupę bandytów.

– Nie. Za nasze dusze, żeby dobrzy Bogowie wzięli je...

– Aha – przerwał mu Dziadek. – To dlatego gapiłeś się w niebo? Skup się na czymś innym.

– Na czym?

– Otwórz dłonie, skieruj je w stronę przeciwnika. I poczuj to.

– Co?

– Koniec dni, zatratę, chwile, w których przestaje ci się chcieć żyć, ten ohydny marazm, beznadzieję. Nierozróżnienie. To wszystko,

czym zioną ci ludzie. A kiedy już poczujesz tę pustkę, weź ją na siebie. Przyjmij. Zmierz się z nią.

Nerideen nie czuł niczego poza strachem. Jednak przemowa towarzysza sprawiła, że przynajmniej przestał dygotać. Posłusznie otworzył dłonie. Znowu zerknął w bok. Dziadek nie wykazywał nawet cienia strachu. Widać było, że targające nim emocje pochodzą z zupełnie przeciwległego bieguna. Wyglądał jak człowiek, który znajduje się tuż obok rzeczy, jakiej bezskutecznie szukał od wielu lat. A teraz dopiero pojawiła się szansa, że będzie mógł jej dotknąć. Wyglądał jak ktoś, komu właśnie zupełnie niespodziewanie realizują się najskrytsze marzenia. Jak ktoś, kto o świcie otwiera drzwi zmurszałego składziku i zamiast opału znajduje w nim stos złotych monet.

– A może...? – szeptał. – A może jest tam prawdziwy...?

Ostatniego słowa chłopak nie dosłyszał. A może nie zrozumiał.

– Dziadku? Będziemy się bronić?

Jego towarzysz z wielkim zaciekawieniem odwrócił głowę.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytał szczerze zaskoczony. – A może jesteś idiotą i nie rozumiesz, co mówię?

Nerideen zdał sobie sprawę z tego, jaką wpadkę zaliczył. I choć dalej trzęsły mu się ręce ze strachu, postanowił ją natychmiast naprawić.

– Przepraszam – powiedział, usiłując nadać swojemu głosowi choć pozory stanowczości. – Słyszę i rozumiem. Tylko mnie trochę zaćmiło.

– No! Co zapamiętałeś?

– W każdej walce nie ma nawet pojęcia obrony. A jeśli już w ogóle można mówić o jakiejś formie obrony, to jedyną skuteczną jest atak wyprzedzający.

– Widzisz? Może będą z ciebie ludzie.

Dziadek ruszył w kierunku dużej grupy mężczyzn, którzy właśnie dobywali swoich mieczy. Z otwartymi dłońmi, z pogodnym wyrazem twarzy.

Coś się zmieniło dopiero w połowie odległości dzielącej go od grupy. Dziadek nagle zaczął biec. Bez żadnego ostrzeżenia.

Dopadł do pierwszego z brzegu mężczyzny i lekko wyjął mu miecz z dłoni. Nie zajmował się zaskoczonym i bezbronnym chwilowo człowiekiem. Ciągnąc z dwóch rąk, prawie rozpłatał drugiego, zadając mu głęboką ranę na skos przez piersi. Nie robiąc następnego kroku, sięgnął kolejnego, tnąc mu gardło samą końcówką miecza.

Nerideen trzęsącymi się znowu rękami wyciągnął z wojłoków swój miecz i ruszył w tamtą stronę. Bogowie! Jak ciężko żegna się z życiem, będąc tak młodym jak on. I siostry...? Już ich nie zobaczy. Dziś zginie ich ostatnia nadzieja, a one same zostaną zabite gdzieś hen, na bezimiennym polu bitwy, w wojnie, która w ogóle nie będzie ich dotyczyć.

– Nie kazałem ci zostać na miejscu?!

Dziadek, który poranił jeszcze jednego przeciwnika, nagle znalazł się tuż obok.

– Nie.

– No to zapomniałem. Uciekaj!

– Gdzie?

Siwy mężczyzna szarpnął Nerideena za ramię i pociągnął dwa kroki w stronę pobliskiej wozowni.

– Teraz są w szoku, ale zaraz im przejdzie.

Nerideen chciał się obejrzeć, lecz siwy mężczyzna na to nie pozwolił.

– Zaraz znajdą się za nami. A ja nie jestem w wieku odpowiednim do ganiania się po polu – wyjaśnił, dysząc coraz mocniej. – Musimy zmniejszyć przestrzeń.

– Czyli co?

– Nie biegać tam i z powrotem. Zwabić ich między ciasne cztery ściany!

Dopiero teraz chłopak zrozumiał. Znowu chciał zerknąć do tyłu, ale tym razem w porę przypomniał sobie naukę swojego towarzysza: „Biegnąc, nie oglądaj się, czy goniący są blisko. Od razu musisz dać z siebie wszystko, jakbyś już czuł ich oddech na karku”.

Roztrącając robotników, udało im się dopaść wielkich wrót wozowni. Hala, do której wbiegli, okazała się naprawdę spora. W środku stało kilka wozów, pętały się konie, pod ścianami zgromadzono elementy pojazdów przeznaczone do naprawy albo remontu.

– Trudno. – Dziadek zatrzymał się prawie tuż przy wejściu. – Nie ma czasu teraz szukać dalej.

– Co mam robić? – Nerideen podniósł swój miecz.

– Schowaj się gdzieś.

– Nigdy w życiu!

– Znaczy jednak słabujesz na umyśle...

Siwy mężczyzna stanął tuż za wrotami, ale nie sprężył się czy przygotował na cokolwiek istotnego. Po prostu stanął z opuszczonymi rękami i patrzył przed siebie.

– Możesz sprawdzić, jak dostać się sprawnie na górę – rozkazał chłopcu. – Do mniejszych pomieszczeń.

– Tak jest!

– Ciiii... to nie wojsko. Szkoda sił na wrzaski.

Akurat. Nerideen rzucił się w tył, jakby był demonem prędkości. Omiatał wzrokiem pomieszczenie. Były dwa biegi prowadzących na górę schodów. Normalny, wąski, ciasny, przeznaczony dla ludzi. I szeroki, o łagodnym wzniosie. Prawdopodobnie przeznaczony do przenoszenia większych elementów konstrukcji wozów. Chłopak wybrał ten drugi. Idealnie nadawał się do wycofania w trakcie walki. Przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz, wbiegł na górę. Ludzie, widząc broń w jego rękach, rozstępowali się błyskawicznie.

Niestety. Na piętrze nie znalazł pomieszczenia idealnego do walki. Przynajmniej w jego mniemaniu. To był właściwie jeden skład, podzielony co prawda przepierzeniami, ale wszędzie kryły się liczne pułapki. Dziury w podłodze, którymi spuszczano liny blokowych dźwigów, poustawiane w piramidy skrzynie, popakowane już do wysyłki towary... Nie mógł znaleźć czegoś, co odpowiadałoby jego wyobrażeniu „pokoju egzekucyjnego”.

I nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. Dziadek nie chciał, żeby coś tu znalazł. On go po prostu odesłał na górę! Chciał mu dać tylko możliwość ucieczki, sam ginąc w poświęceniu!

Chłopcem zatrzęsła złość. Niedoczekanie! Wściekłość momentalnie zagłuszyła strach i Nerideen zawrócił, biegnąc w stronę schodów. Znowu przeskakiwał po kilka stopni, tym razem w dół. Tylko cudem nie potknął się i nie zabił własnym mieczem. Przypadkiem też udało mu się nie rozpłatać żadnego z robotników, którzy właśnie uciekali na górę.

Na dole bowiem walka rozgorzała na dobre. Co było najdziwniejsze, Dziadek właściwie to nie szermował. Zupełnie jakby nie władał mieczem. Po prostu stał z opuszczoną głową i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, robił wypad. Wcale bynajmniej nie w kierunku najbliższego przeciwnika. Robił dosłownie kilka kroków, przemykał jakimś cudem pod uniesionym już mieczem jakiegoś wroga i zadawał straszliwy cios. To nie było widowiskowe ucinanie głowy ani rozorywanie klatki piersiowej. Dziadek walił nisko. W kolano z boku, masakrując nogę, w biodro, wywracając przeciwnika, albo w podbrzusze, wypuszczając wnętrzności. Ani razu jego klinga nie znalazła się wyżej niż pas.

Sytuacja jednak wcale nie wyglądała dobrze. Napastnicy musieli przedostać się do wielkiej hali jakimiś innymi drzwiami niż główne wrota. Spora grupa, dając sobie znaki gestami, zbierała się właśnie z tyłu, by uderzyć na siwego mężczyznę od strony pleców.

Nerideen uniósł swój miecz, ale bojowy wrzask zamarł mu na ustach. Rozum więc nie zniknął mu zupełnie, bo chłopak pojął nagle, że nie ma żadnych szans, rzucając się na tamtych w pojedynkę. Gorączkowo zaczął szukać wzrokiem potężniejszej broni.

Wóz! Może przetoczyć jeden z wozów zaparkowanych pod ścianą i zmiażdżyć tamtych.

Po chwili przyszło otrzeźwienie. Bez sensu. Nie da rady nawet pchnąć ciężkiej machiny. No to...

Dyszel!

Nerideen chwycił jeden z dyszli przeznaczonych do naprawy. Udało mu się oderwać go od ściany, o którą był oparty. Udało mu się nawet zrobić dwa kroki. I dopiero potem zrozumiał, że nie da rady użyć dyszla jako oburęcznej broni tłucznej na dalekim dystansie, bo nie mógł utrzymać go w dłoniach.

Uzbrojeni w miecze mężczyźni skradali się za plecami Dziadka, zajętego walką z tymi z przodu. Byli coraz bliżej.

Zrozpaczony chłopak oparł dyszel o kark stojącego najbliżej konia pociągowego. W desperacji wskoczył na grzbiet zwierzęcia. Ale choć używał wszystkich sił, drzewce było za ciężkie, żeby użyć go w charakterze kopii czy lancy. Nerideen pociągnął go więc ku sobie i jedyne, co mu się udało, to zbudowanie równoważni na grzbiecie coraz bardziej przestraszonego zwierzęcia. Gruby drąg miał punkt oparcia na karku i sterczał z obu stron tułowia konia. Z tyłu pewnie wyglądało to tak, jakby wyrosły mu nagle dwa gigantyczne drewniane skrzydła.

Trudno! Kawaleria naprzód!

Chłopak z całej siły dźgał boki wierzchowca piętami. Przerażone zwierzę ruszyło do przodu. Stęp, potem kłus, który szybko przeszedł w galop. Na cwał zabrakło miejsca.

– Dziadek, padnij!

Rozpędzona machina bojowa parła do przodu jak jazda pancerna rycerstwa z Zimnych Królestw. Nic nie zdołało jej zatrzymać. Drzewca po obu stronach wierzchowca uderzyły w karki skradających się zbójów, obalając ich na ziemię.

Dziadek zdążył zrobić padnij.

Ci, co stali przed nim, różnie. Jedni zdążyli kucnąć, inni nie i przewracali się teraz na plecy z rozwalonymi twarzami.

Niestety, koń nie chciał zakończyć szarży. Wolał uciec ze strasznego miejsca i skierował się ku drodze na wolność, na zewnątrz.

Wierzchowiec zmieścił się w świetle wrót. Dyszel nie. Drzewce po obu stronach uderzyło we framugi i zmiotło chłopaka z końskiego grzbietu. Nerideen poleciał jak pocisk wyrzucony z katapulty

i twardo uderzył o ziemię plecami. Zamroczyło go na długą chwilę. Potem zaczął kaszleć.

Kiedy nareszcie ustąpiły mroczki przed oczami i znów widział, zobaczył uniesiony nad sobą miecz. Nie zdążył się zasłonić. Nawet pomyśleć o tym, co ma zrobić.

Wierzchowiec zmieścił się w świetle wrót. Dyszel nie

Miecz nie opadł na jego głowę. A może inaczej. Ten miecz opadł na ziemię, ale obok, i to razem z ręką, która jeszcze przed chwilą go

trzymała. Dziadek szarpnął Nerideena za tunikę przy karku i pomógł stanąć na nogi.

– No... zapał masz! – powiedział tak jakby z cieniem uznania.

Odbił cios jakiegoś napastnika, który zaatakował z boku, i zaczął ciągnąć chłopaka do tyłu.

– Gówno wiesz, ale tchórzem nie jesteś. – Siwy mężczyzna kręcił głową. – No, to teraz zdobądź następnego konia. Tylko takiego z siodłem. – Pchnął go za swoje plecy.

Nerideenowi nie trzeba było powtarzać. Choć obolały i poruszał się z trudem, to zdobycie kolejnego wierzchowca wydało mu się bardzo łatwe. Wszystkie konie, pod wierzch i pociągowe, tuliły się do siebie w najodleglejszym kącie hali. Były przestraszone tumultem i wrzaskami walczących. Ale to jeszcze nie była panika. Jeszcze dało się wyłowić z przypadkowego stadka wierzchowca, którego ktoś już przygotował do drogi.

Nerideen, sycząc z bólu, wskoczył na siodło. Zawrócił jeszcze w miarę sprawnie, ale koń okazał się narowisty. Szarpał, nie chciał słuchać. Z najwyższym trudem udało się chłopakowi zbliżyć do Dziadka, który sapiąc z wysiłku, trzymał na dystans kilku przeciwników.

– Tutaj! – Siwy mężczyzna machnął ręką do tyłu.

Na szczęście wierzchowiec podporządkował się chłopcu choć na chwilę i udało się podjechać bliżej. Dziadek przełożył ramię przez siodło i zacisnął dłoń na łęku. Potem uniósł się na tej ręce i obiema nogami kopnął najbliższego przeciwnika.

– Jedź!

Nerideen ruszył, uderzając piętami boki zwierzęcia.

– Gdzie?! – krzyknął jeszcze.

– Na górę!

Dobre sobie.

Nawet i w wielkim, ale jednak pomieszczeniu manewrowanie wierzchowcem, który niezbyt słucha jeźdźca, zakrawało na cud. Na szczęście koń był silny i bardzo szybki. Nawet te rzeczy, które robił wbrew woli człowieka dzierżącego wodze, wykonywał

błyskawicznie. W końcu jednak chłopak, z nogami poobijanymi o burty zaparkowanych wokół wozów, zdołał go zmusić do zawrócenia i rozpędzić na krótkim rozbiegu.

W ogłuszającym odgłosie walenia podkutymi kopytami w drewnianą konstrukcję dostali się na szerokie schody, by po chwili znaleźć się na górze. Koń z rozpędu wpadł do korytarza.

– Już.

Dziadek puścił łęk i opadł na ziemię.

– Zawróć i czekaj – polecił.

Potem podbiegł do wylotu korytarza, a Nerideen zamarł przestraszony stopniem trudności wyznaczonego mu zadania. Jak...? Jak ma w dość ciasnym korytarzu zawrócić konia, który go nie słucha?! No do jasnej zarazy!

Zeskoczył na ziemię, przełożył uzdę przez głowę wierzchowca i spróbował go przestawić. Szybko przekonał się, że koń zdecydowanie woli gryźć, niż zawracać. I że zasadniczo poza postawieniem zwierzęcia na tylnych nogach on sam nie widzi możliwości zawrócenia.

Dziadek lekko i bardzo elastycznie przyjął atak dwóch napastników, którzy dobiegli jako pierwsi. Tamci nie mogli wystąpić w większej liczbie. W korytarzu było za wąsko.

Nerideen odnalazł drzwi w bocznej ścianie. Otworzył je kopniakiem i zajrzał do środka. Dwóch kupców przy kantorze patrzyło na niego baranim wzrokiem. Mimo że chłopak nie miał przy sobie miecza, który zgubił na dole podczas szarpaniny z dyszlem, żaden nie ośmielił się protestować. Wystarczył im widok końskiego zadu wpychanego na siłę do środka. Nie mieli ochoty zarobić w głowę podkutym kopytem, odskoczyli więc pod przeciwległą ścianę. Zszokował ich też fakt, że ktoś im konia wprowadza do kantoru na piętrze.

W końcu się udało. Po niewiarygodnie długiej szarpaninie oraz wymianie przekleństw i rżenia wierzchowiec nareszcie stanął łbem we właściwym kierunku. Dziadek nie miał kłopotów z przeciwnikami z przodu. Ale bandyci chcieli go otoczyć. Dostali się

na górę bocznymi schodami i teraz rozbijali ścianę korytarza gdzieś z tyłu.

– Czas z nimi kończyć. – Siwy mężczyzna zerknął na chłopaka i zaczął się cofać. – Zrobimy jedną krótką szarżę.

Nerideen już na siodle poruszył się niespokojnie. Na szczęście nie miał czasu wyrazić swoich wątpliwości. Ściana pod naporem wrogów runęła właśnie i dwóch najemników pojawiło się na korytarzu. Walkę z nimi wziął na siebie ich koń, przestraszony nagłym hałasem z tyłu. Jednego napastnika posłał gdzieś hen, hen daleko jednoczesnym kopnięciem z obu nóg w klatkę piersiową. Drugiemu złamał kość udową.

Dziadek tak jak poprzednio przełożył ramię przez siodło i chwycił się łęku.

– Szoruj ramieniem o lewą ścianę – polecił. – I... do ataku! Szarża!

Podkute kopyta zadudniły na drewnianej podłodze. Ruszyli naprzód niczym oddział kawalerii. Czyjaś ścięta głowa poszybowała w górę, odbiła się od sufitu i pokrywając wszystko krwią, obracała się na podłodze. Koń przeszedł w galop.

Rozwalili framugę jakichś drzwi, zrzucili plany wiszące na ścianie, rozbili pakunki na podeście. Wierzchowiec runął w dół po szerokich schodach, jakiś najemnik ciągnięty przez ostrze miecza, które utkwiło mu w brzuchu, krzyczał coś niezrozumiałego. Szybko znaleźli się w hali na dole i przestrzelili ją w mgnieniu oka.

Na zewnątrz oślepiły ich jaskrawe promienie słońca.

– Zatrzymaj się. – Dziadek pozbył się miecza razem z nabitym nań szermierzem. – Lepiej stój.

Nerideen zatrzymał konia bardziej odruchowo, niż wiedząc, co się dzieje. Kiedy odzyskał pełnię widzenia, zrozumiał, że zrobił to w ostatniej chwili.

Tuż przed nimi stało w idealnej linii trzydzieści dziewczyn w mundurach armii Arkach. I każda z nich miała w rękach wycelowaną w niego kuszę.

– Zejdź powoli i trzymaj dłonie z daleka od ciała – szepnął Dziadek.

Z boku prostopadle do pierwszej stała druga linia żołnierzy uzbrojonych w kusze. Trzeciego plutonu nie było widać, pewnie zagradzał ucieczkę od tyłu. Przed nimi tkwiła w siodle totalnie wkurwiona czymś pani kapitan dowodząca kompanią, a obok można było zobaczyć jej sierżanta szefa z wyrazem twarzy zwiastującym czyjąś rychłą śmierć. Łatwo było domyślić się, co je tak wkurzyło. Całkiem niedaleko rozwijał się właśnie oddział straży miejskiej i najwyraźniej żołnierze nie mogły ścierpieć sytuacji, w której na tym terenie musiały wykonywać rozkazy cywilów.

– Przypominam sobie, że gdzieś już widziałem człowieka, którego stu kuszników zamieniło w jeża – szepnął Dziadek. – Postaraj się nie powtórzyć tamtej sytuacji.

Nerideen zamarł w bezruchu, nie śmiąc nawet odetchnąć głębiej. Jedynie ich wierzchowiec inteligentnie stwierdził, że nim raczej nikt się tu nie zainteresuje, więc spokojnie poczłapał sobie pod płot i zajął się wyjadaniem rosnącej tam trawy.

Inny oddział straży musiał dostać się do wozowni od tyłu, bo uzbrojeni ludzie z miejskim godłem na piersiach zaczęli wynosić z wnętrza hali trupy ludzi Druzusa i rannych. Wyprowadzali też garstkę tych, co przeżyli.

Ze swojej dwukółki wysiadł prefekt i rozglądał się posępnym wzrokiem. Skąd sam prefekt tutaj o tak wczesnej porze? – zastanawiał się Nerideen. Rozwiązanie tej zagadki okazało się jednak łatwe. To przecież był człowiek, na którego głowę złożono bezpieczeństwo królowej, posłów i wszystkich członków zagranicznych delegacji. Pewnie w ogóle się dzisiaj nie kładł do łoża. Z jego oblicza również emanowała wściekłość, choć brała się z innych niż u oficerów armii pobudek.

– Co to za rzeźnia?! – wysyczał.

Ktoś podbiegł z oddziału wynoszącego zwłoki. Jakiś oficer, może nawet zastępca szefa, bo wyrażał się niekoniecznie w sposób służbowy.

– W środku totalna demolacja. – Wskazał kciukiem za siebie. – Jatka, wszędzie krew, wszystko porozwalane, ludzie przerażeni

chowają się po kątach.

– I kto to uczynił?

– No ci tu. – Domniemany zastępca wskazał dziadka, Nerideena i niedobitki napastników.

– A o co poszło?

– A chuj ich wie. Ale nie wygląda mi to na rozróbę polityczną.

Prefekt nie wnikał. Miał inne sprawy na głowie.

– No dobra. Wołać kata i kaźnić ich tu natychmiast.

– Których?

– Wszystkich. – Prefekt odwrócił się i na powrót zajął miejsce w dwukółce. – A ty nie pytaj, nie pytaj, bo się w końcu dopytasz – na odjezdnym rzucił ulubioną maksymę cechu prawników.

Oficer straży został na placu z głupią miną. Najwyraźniej nie miał wystarczającej liczby ludzi, żeby wszystko obstawić. Postanowił zwrócić się z prośbą o pomoc do wojska.

– Proszę pani, teren jeszcze nie rozpoznany. Czy mogłaby pani przez jakiś czas nie wycofywać żołnierzy?

Rozjuszył ją nieznajomością właściwych dla wojska form konwersacji.

– Co ty, kurwa, wiesz o rozpoznaniu? – wysyczała.

– Nie no... Nie chodzi o to. Ja po prostu muszę mieć na protokole egzekucji podpis jakiegoś oficera oprócz mnie. A kat pewnie niepiśmienny, no i nie jest żadną szarżą.

– Ty chcesz ze mnie kata jeszcze zrobić?!

– Absolutnie nie. Ale proszę o podpis na protokole.

– Jak ty chcesz protokół zrobić, skoro ich nie przesłuchałeś? Nawet ich imion nie znasz!

Trafiła chyba w czułe miejsce, bo oficer straży zamilkł skonfundowany. Jak mógł zapomnieć o tak podstawowej sprawie?

– Cywilbanda! – podsumowała to, co się dzieje, pani kapitan. – Ty idź! – warknęła na swojego sierżanta szefa.

Młoda dziewczyna o zawadiackim wyrazie twarzy zgrabnie zeskoczyła z konia. Szybko podeszła do grupki pojmanych.

– A ty kto? – zapytała uprzejmie pierwszego z brzegu i z całej siły uderzyła go pięścią w splot. – Kiedy odzyskasz oddech, podyktuj imię do protokołu – poinstruowała ofiarę i podeszła do następnego.

– Ja jestem Nerideen, urodziłem się w Syrinx, w Luan – krzyknął chłopak, chcąc uniknąć ciosu. – A to jest mój dziadek, proszę pani – dodał rezolutnie, przypuszczając słusznie, że jego towarzysz może nie pamiętać, gdzie się urodził.

– No widzicie? – powiedziała sierżant do pozostałych więźniów. – Można się wyrażać kulturalnie do podoficera, prawda? Trzeba tylko chcieć.

Zacisnęła pięść, żeby przylać następnemu, ale powstrzymał ją okrzyk dowódcy.

– Stój. Psiamać. To Luańczycy!

– A co to zmienia? – zapytał oficer straży.

– W mieście przecież poseł Luan bawi! Jeśli się dowie, że my tu kaźnimy cesarskich poddanych, to może taką egzekucję potraktować jako prowokację. Formę nacisku? Bo ja wiem zresztą...

– Ale ja muszę ich zabić.

– To zabijesz. Tylko że w przypadku tych dwóch musisz mieć wyrok sądu. Więc weź ich do lochu, idź do sędziego i każ mu podpisać nakaz egzekucji. Wieczorem niech kat zetnie obu, tylko musisz mieć wysoko postawionego świadka, który ci podpisze świadectwo. Trzeba zaprosić jakąś szarżę. I będziesz miał dupę krytą. Tyle.

Oficer straży westchnął.

– I tyle zachodu.

– Oj – prychnęła kapitan. – Przecież ci nie uciekną. – Wskazała metalową klatkę na wozie, którą podciągnięto już wcześniej, przed akcją.

Fedra po raz kolejny pochyliła się nad planami pałacu. Anarcha za jej plecami kręciła sobie palcem kółka na czole.

– Co tam chcesz znaleźć nowego? – zapytała Io.

– Jakąś alternatywną drogę ucieczki dla ciebie. W razie gdyby odwrót tym kanałem był niemożliwy.

– Nie przewiduj wszystkich możliwych zdarzeń, bo ich się nie da przewidzieć.

– To co zrobisz, jeśli na widok intruza zastawią czymś studzienkę prowadzącą do kanału?

– Będę improwizować. Na przykład wejdę na dach i przeskoczę na sąsiedni budynek.

– To pałac. Nie ma sąsiednich budynków.

– A przynajmniej nie w zasięgu skoku – włączyła się Anarcha. – A możesz mi powiedzieć, dlaczego nasza służba od rana szuka na targu rybich pęcherzy? – zmieniła temat. – Szczególnie dużych?

– Mogę. Ostatnia próba pokazała, że po wyjściu z wody robię kałużę i zostawiam mokre ślady. To może wzbudzić czyjeś podejrzenia.

Oficer do zadań specjalnych potrząsnęła swoją rudą czupryną.

– No. Fakt. Ciężko coś zrobić z mokrymi rzeczami.

Io wzruszyła ramionami.

– Mogę płynąć nago. Ale na miejscu, kiedy już lekko podeschnę, to chciałabym włożyć suchą tunikę. Jeśli mnie ktoś zobaczy przypadkiem, niech myśli, że jestem służącą czy coś w tym stylu.

Czarownica podniosła głowę znad planów.

– Jeśli cię ktoś zobaczy nago, to pomyśli, że jesteś kochanką szefa.

– No dziękuję ci bardzo. I jeszcze mam się ładnie wypiąć?

– Przestańcie, dziewczyny – sumitowała je Anarcha. – Przecież żadna kochanka nie łazi wśród ludzi na golasa.

– No i ciekawe, gdzie miałabym wtedy ukryć broń?

– Już, już. Ten rybi pęcherz potrzebny ci jest, żeby po wyjściu z wody mieć suchą tunikę do dyspozycji?

– No. Kiedy mi wyschnie skóra, to ją włożę i przynajmniej na pierwszy rzut oka nie wzbudzę podejrzeń.

– Coś w tym jest – przyznała czarownica. – Czekając, aż wyschnie mokre ubranie, można tam spędzić czas do rana. A i to bez gwarancji.

Io wstała lekko i podeszła do okna. Przeciągnęła się w nim, prostując ramiona, a potem wyciągnęła je do góry i zaczęła odginać się w tył. Powoli, powoli, nie tracąc równowagi, zrobiła wsteczny mostek, opierając dłonie o podłogę tuż za własnymi stopami. Jej długie włosy rozsypały się po posadzce.

– To wasze źródło dało już znać? – zapytała.

– Ale jesteś wygimnastykowana – wyrwało się czarownicy z zazdrością.

– Źródło milczy – odpowiedziała na zadane pytanie Anarcha. – Czekamy.

– Zabiją nas? – Wstrząśnięty Nerideen zaciskał dłonie na kratach lochu, do którego ich wtrącono. Zupełnie jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że te grube żeliwne pręty naprawdę istnieją. A może po prostu miał nadzieję, że kiedy znikną, on, stojąc tuż przy nich, pierwszy będzie o tym wiedział?

– Tak.

Dziadek chyba po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali, siedział pod ścianą zasępiony. Powodem jego zadumy wcale jednak nie była grożąca im kaźń. Raczej był nim brak w połowie pełnego jeszcze bukłaka, który mu zabrano.

– A jak... jak oni tu zabijają?

– Ścinają, wieszają albo duszą. Nie wiem.

– A co najgorsze?

– Duszenie. Albo nieumiejętne powieszenie, bo wtedy wychodzi na to samo.

– A... a jakby poprosić o ścięcie, to się zgodzą?

– Wątpię. A nawet na pewno się nie zgodzą.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Powiem, że jestem szlachcicem.

Dziadek wzruszył ramionami.

– Widzisz, ja tak po prawdzie to nie wiem, czy na pewno ścięcie najlepsze. Mgliście pamiętam, że jakaś głowa po ścięciu jeszcze długo mówiła...

Chłopak przerażony oderwał się od kraty.

– Coo?! Co mówiła?

– Nie wiem. Przecież nie miała już płuc i powietrze nie leciało. Ale bardzo długo ruszała ustami.

– Nie mów o tym!

– To nie pytaj.

Coś zachrobotało za drzwiami. Rozległ się przeciągły zgrzyt, a potem trzask. Chłopak znowu dopadł do krat.

– Idą! Idą po nas!

– Spokojnie. Jeszcze wyrok.

– Ale może to już nasza egzekucja!

Dziadek splunął na podłogę.

– Nie tak nerwowo – powiedział spokojnie. – Bez nas nie zaczną.

Okute metalem drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Pierwszy przeszedł przez nie strażnik z glewią, który skrupulatnie sprawdził, czy w środku wszystko w porządku i czy więźniowie przypadkiem nie przegryźli metalowych krat. Potem do ciasnego pomieszczenia będącego przedsionkiem właściwego lochu weszło dwóch mężczyzn. Jednego znali, był to oficer straży, którego ludzie opanowywali sytuację w wozowni, drugi, sądząc po emblemacie na płaszczu, był sędzią. Obu jednak brakowało urzędowej powagi. Najwyraźniej nadużyli różnych płynów przed wizytą tutaj. Ich nastrój najbliższy był określeniom takim jak „kpiący” lub „ironiczny”.

– Wzrokowo stwierdzam obecność więźniów, sztuk dwie. – Sędzia parafował przyniesiony dokument. – Przezwiska „Młody” i „Dziadek”. Imion nie podali.

– Na imię mi Nerideen!

– Jeden z nich przedstawia się, podając fałszywe dane...

– Moje imię jest prawdziwe!

– Podając fałszywe dane, za co wyznaczam mu karę dodatkową: pięćdziesiąt batów na gołe ciało!

Nerideen zszokowany wytrzeszczył oczy. Nawet Dziadek poruszył się niespokojnie.

– Jemu się ze strachu w rozumie pomieszało – powiedział. – On odmawia podania imienia, panie sędzio.

– No! I tego mi się, kurwa, trzymać, bo tak se już wcześniej napisałem w protokole! Nie będę tu nic kreślił, bo nie mam czym!

– On przeprasza i prosi o darowanie dodatkowej kary, panie sędzio.

Urzędnik łaskawie skinął głową.

– No dobra, upał panuje, więc okażę się litościwy wobec pomocnika kata, który miałby cię chłostać. A ty, młody, słuchaj starego, bo jego rady przydadzą ci się w życiu.

Wypowiedziawszy te słowa, sędzia ryknął śmiechem. Momentalnie dołączył do niego oficer straży, a chwilę później nawet strażnik.

– No! – Sędzia uspokoił się po chwili. – Przeczytaj zarzuty.

Oficer podniósł do oczu przyniesiony w dłoni dokument.

– Mmmm... ble, ble, ble, czekaj... odtąd: „Przedstawia się oskarżonym następujące zarzuty: wszczynanie burd, udział w bijatyce, popełnianie czynów niemoralnych, sianie zgorszenia publicznego i zamętu i spowodowanie licznych strat materialnych”. – Oficer podniósł wzrok znad dokumentu. – Wystarczy?

– A ofiary śmiertelne? – zainteresował się Dziadek.

– Nie mogę ci ich wpisać, bo przy każdym trupie musiałbym prowadzić śledztwo. A kto ma na to czas?

– Nie popełniłem żadnych czynów niemoralnych! – wykrzyknął Nerideen.

– Rozumiem – natychmiast zgodził się sędzia. – Rozumiem, że przyznajesz się zatem do wszystkich innych zarzucanych ci czynów.

– A!... Ale...! Ale ja nikogo nie zabiłem!

– Twoje oświadczenie w tej kwestii jest niepotrzebne i nie zostanie zaprotokołowane. Przecież nie postawiono ci takiego zarzutu.

Chłopaka zamurowało.

– Wydaję wyrok. – Sędzia usiłował choć przez chwilę nie chwiać się na nogach i przybrać poważny wyraz twarzy. – Wobec przyznania się do winy obu oskarżonych uznaję dalsze śledztwo za bezprzedmiotowe i w imieniu Królestwa Arkach wydaję wyrok: kara śmierci dla obu winnych. Wyrok jest prawomocny i zostanie wykonany dzisiejszej nocy na szubienicy znajdującej się w obrębie więzienia.

– Ale... – Chłopak tak zacisnął dłonie na kratach, że pobielały mu palce. – To nie my zaczęliśmy! Nawet nasi przeciwnicy mogą o tym zaświadczyć.

– Oni już o niczym nie zaświadczą, bo egzekucję miejscowych mętów przeprowadziliśmy w trybie doraźnym na miejscu – wyjaśnił oficer straży. – To tylko z zagranicznymi śmieciami się tak cackamy. I tylko z okazji wizyty waszego posła.

– Chcę prosić o lżejszy wymiar kary!

– Dobrze – zgodził się sędzia, wyjątkowo łaskawie dzisiaj nastawiony do świata. Pewnie nie z powodu upału, a raczej z powodu tego, czym obaj się wcześniej raczyli. – Wobec ciebie orzekam lżejszą karę śmierci.

– A co to znaczy?

– Pojęcia nie mam, ale spytaj kata. Może on będzie wiedział.

Tym razem włączył się Dziadek.

– A czy to prawda, że macie zwyczaj dawać skazańcowi przed śmiercią kwartę wódki? – zapytał.

– Prawda! – potwierdził natychmiast oficer straży. – Najprawdziwsza prawda. Pozwól tylko, że wprowadzę drobną korektę szczegółów. Po pierwsze, nie kwartę, tylko wiadro. Po drugie, nie wódkę, tylko szczyny. I nie dajemy do picia, tylko oblewamy. Poza tym wszystko się zgadza.

– Kończmy sprawy na dzisiaj – przerwał mu sędzia. – Odwróć się do mnie tyłem, pochyl i nic nie mów w domu.

– Ale ci się dowcip wyostrzył. – Oficer mimo to posłusznie odwrócił się i pochylił.

Sędzia położył mu na plecach przygotowany już dawno dokument z wyrokiem i zaczął chuchać na swój służbowy stempel. Kiedy uznał, że wystarczy, z dużą siłą przybił go na papierze, aż służący za stół oficer jęknął z bólu.

– Protestuję! – krzyczał Nerideen.

– Do kogo?

– Do najwyższych instancji w tym kraju!

– Ależ my ci umożliwimy złożenie protestu przed najwyższą instancją na świecie. Jeszcze dziś złożysz go samym Bogom!

Obaj już bez słowa skierowali się do drzwi i opuścili ciasne pomieszczenie, w którym zaczynało się już robić duszno. Chwilę dłużej został strażnik z glewią.

– Rozerwijcie się czymś, chłopaki. Macie do północy jeszcze dużo czasu, bo dopiero co minęło południe – powiedział.

A potem i on opuścił loch, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Chłopak stał z czołem przyciśniętym do krat. Długo nie mógł się uspokoić. Albo pogodzić z tym, co usłyszał, co zresztą wychodziło na jedno. W końcu jednak zapytał:

– I co teraz?

– A co chcesz usłyszeć?

– Może jakąś radę?

– A niby co można radzić komuś skazanemu na powieszenie? Miłego dyndania?

Chłopak dopiero teraz odwrócił się i oparł plecami o kraty.

– A jak się zachować...?

– Jak chcesz. Widzisz... to dość przykre, jak sobie człowiek uświadomi, że jego los nie obchodzi absolutnie nikogo na całym wielkim świecie. Kwestia, co się z tobą stanie, nurtuje wyłącznie ciebie. Ale zapewniam, że tuż po północy ty również dasz sobie z tym spokój.

Anarcha wpadła do pokoju Io w stanie jeśli nie zdenerwowania, to przynajmniej najwyższej ekscytacji.

– Co się stało?

Oficer do zadań specjalnych dyszała ciężko, próbując jednocześnie poradzić sobie ze swoją rudą czupryną, która od biegu straciła kształt dopuszczalny przez armijne regulaminy.

– No wyduś z siebie nareszcie.

– Zmiana planów.

– Bo?

– Poselstwo Luan się przenosi. Pałac, w którym przebywają obecnie, nie spełnia ich oczekiwań. Nie chcą, jak oświadczyli, sprawiać wrażenia, że zostali źle podjęci przez władczynię Arkach, wina leży wyłącznie po ich stronie. Przewidziany protokołem wydawany przez nich bal na cześć królowej musi zostać wyprawiony w bardziej odpowiednich warunkach, żeby z kolei ich nie spotkało oskarżenie, że nie spełniają wymogów dyktowanych przez etykietę.

– Wiedzą o naszej akcji – wpadła jej w słowo Io.

– Niekoniecznie.

– No jak to? Jaki może być powód, że się przenoszą? Przecież od początku wiedzieli, gdzie się zatrzymują. I co? Na początku wydawało im się, że mogą tam podjąć królową, a teraz już nie? Co się zmieniło?

– Nie wiem. Ale przyczyn może być naprawdę wiele.

Io wstała z wyścielanej ławy, na której wypoczywała, i podeszła do rudej oficer.

– No to teraz szczerze: o co chodzi?

– Mam różne przypuszczenia, żadne konkretne. Ale wiem jedno. Źródło twierdzi, że Druzus z całą pewnością spędzi dzisiejszą noc w obecnym pałacu. Razem ze swoimi ludźmi.

Io zmrużyła oczy.

– A co to oznacza? Że tajne materiały zostaną tam jeszcze na jedną noc?

– Na jedną albo dwie. Poseł ma zamiar przeprowadzić się jutro. Przez cały dzień będzie trwać przenoszenie się jego personelu.

– A to rzeczywiście nie jest dobry moment na przeniesienie ich oczka w głowie – zgodziła się natychmiast Io. – To z kolei oznacza, że mamy jeszcze szansę na przeprowadzenie akcji.

– Mamy. Choć to bardziej ryzykowne.

– Dlaczego?

– No wiesz... Noc przed przenosinami. Co mniej ważna służba może być przez cały czas na nogach.

– To mi zupełnie nie przeszkadza.

– Jesteś pewna?

– Czyli dzisiaj nad ranem – powiedziała Io z uśmiechem. – Będziecie mi obie potrzebne. Ty i Fedra.

– Jasna sprawa. – Anarcha wyjęła zza paska niewielką sakiewkę. – Weź to ze sobą.

– Jest za mała, żeby zmieścić w niej moje honorarium.

– Nie żartuj. To różne drobiazgi, fragmenty wyposażenia armii Arkach. Rozrzuć to dyskretnie na miejscu akcji. Ale tak, żeby Luańczycy znaleźli.

– Rozumiem. Niech poseł odniesie wrażenie, że akcję przeprowadzili miejscowi.

– Właśnie tak. – Anarcha westchnęła ciężko, potem położyła dłoń na ramieniu Io. – Przed akcją... to będzie ciężki dzień?

– Ależ wprost przeciwnie. – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Właśnie przyszło mi na myśl, żeby się przespać.

Rozdział 6

Czym się różni zwykła cela od celi śmierci? Głównie tym, że w zwykłej panuje nuda, a w tej dla skazańców przeznaczonych na egzekucję władanie ma wyobraźnia. Nerideen, skulony w kącie najbardziej oddalonym od wejścia, nie mógł opanować nerwowego rzucania spojrzeniami to w jedną stronę, to w drugą. Każdy szmer, każdy hałas dochodzący zza okutych metalem drzwi powodował najbardziej plastyczne z możliwych wyobrażeń tego, co tam się dzieje. Odgłos przesuwanego na kołowrocie łańcucha przywołał nagle obraz machiny do łamania ludzkich kości. Odgłos przelewanej wody – to wiadomo. Napełniają basen, w którym długo i sukcesywnie będą topić więźniów. Odgłos kroków? Też wiadomo. Prowadzą innego skazańca na egzekucję.

Zza drzwi dobiegł go właśnie urywany krzyk. Chłopak przerażony zerknął na Dziadka, ale ten spokojnie chrapał, śpiąc pod przeciwległą ścianą. A za drzwiami rozgrywały się straszliwe sceny.

– Błagam! Błagam, puśćcie mnie! – Wysoki kobiecy głos przeszedł nagle w szloch. – Przecież ja nic nie zrobiłam!

– A co mnie to obchodzi? – Głos kata był niski, spokojny. – Ja tu tylko swoją robotę odwalam.

– Jestem niewinna!

– Od winy i niewinności sąd jest. Nie ja.

– Błagam! Nie zabijaj mnie! Jestem jeszcze taka młoda!

– Zaraz będziesz martwa.

– Nie! Proszę... To jest tak strasznie bolesne.

– No musi boleć. I to bardzo – tłumaczył cierpliwie męski głos. – To jest śmierć. Tu trzeba się wić z bólu! Najokrutniejszego

i najdłuższego bólu na świecie...

Nerideen obudził się, dopiero kiedy Dziadek trzasnął go w twarz z otwartej dłoni.

– Co jest, do jasnej zarazy? – Nachylił się nad chłopcem. – Jakieś koszmary? Jęczałeś jak dziewczyna w połogu.

– Zaraz, zaraz... To przecież ty spałeś i chrapałeś głośno.

– Nie zasnąłem ani na chwilę, bo strasznie mnie suszy. – Dziadek za pomocą drewnianego czerpadła napełnił sobie również drewniany kubek. Opróżnił go kilkoma łykami, ale najwyraźniej nie przyniosło mu to ulgi. – No ale źle z tobą, skoro już ja się zaczynam tobie śnić. No, ciekawe, ciekawe...

– Powiedz. Czy śmierć boli?

– Nie wiem. – Siwy mężczyzna usiadł pod przeciwległą ścianą. – Ale generalnie to krzyczą tylko ranni. Nie widziałem jeszcze wyjącego z bólu trupa.

– Nie żartuj. A może zabijany człowiek jeszcze długo czuje najokrutniejszy ból, ma jeszcze świadomość, ale już nie może się ruszyć?

– Wątpię.

– Sam mówiłeś o głowie, którą obciąłeś, a która jeszcze długo ruszała ustami.

Dziadek westchnął ciężko.

– Niepotrzebnie ci to opowiedziałem. A mówiąc poważnie: nie mam bladego pojęcia, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Umierających widziałem wielokrotnie. I generalnie w chwili zgonu ciało się uspokaja.

– A ci, co się nie uspokajają?

– Zastygają w pozie pełnej cierpienia, buntu, niezgody...? Czy ja wiem zresztą... Ale człowieka już w tych ciałach nie ma.

– Zastygają w geście cierpienia?

– No przestań. Cierpieli, kiedy byli tylko ranni. Potem zmarli i przestali.

– Jesteś pewny?

– Ja pierdolę. Pomyśl o czymś przyjemnym.

Nerideen tylko potrząsał głową.

– Nie, nie, nie. Zresztą co tu może być przyjemnego?

– Rozwiążesz dzisiaj największą filozoficzną zagadkę ludzkości.

– Ja? Jaką?

– Dowiesz się, czy istnieje życie pozagrobowe. – Dziadek uśmiechnął się triumfalnie, ale na chłopaka ta uwaga podziałała w sposób przeciwny do zamierzonego.

– O Bogowie! Kraina wiecznego płaczu! Już nigdy nie zaznam ukojenia, przez wieczność.

– Czemu bierzesz najbardziej pesymistyczny mit? A ukwiecone łąki, które wiecznie toną w słońcu?

– I co niby oni tam jedzą?

– No przecież będziesz już nieżywy. Co niby zamierzasz jeść?

– Kraina wiecznego głodu.

– Ale z ciebie uparty egzemplarz. – Dziadek zniecierpliwiony podniósł swój kubek i załomotał w kraty. – Kat! Kat! Czego się guzdrzesz? Nie możesz trochę przyspieszyć?

– No idę, idę! – rozległo się zza okutych drzwi, co zresztą wprawiło ich obu w lekkie osłupienie. To się nazywa wyczucie momentu.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc jak poprzednio. Tym razem jednak zamiast urzędników pojawili się strażnicy. Jeden z nich otworzył kratę, pozostali czterej czekali przy drzwiach. Nie mieli kajdan ani nawet sznura. Było jasne, że z lochu, w którym za chwilę odbędzie się egzekucja, nikt nie zdoła uciec.

– Wychodzić jeden z drugim!

Dziadek wraz z Nerideenem podnieśli się powoli. Chłopak chciał jak najbardziej odsunąć chwilę, kiedy go zabiją. A siwy mężczyzna był po prostu niezadowolony z faktu, że zabrano mu bukłak. Nie zamierzał im nic ułatwiać.

– Wyłazić stąd!

Przeszli obok strażników przy drzwiach. No i okazało się, że nigdzie dalej już nie pójdą. W czasie kiedy obaj byli zamknięci na głucho, ktoś postawił w sali rozprowadzania więźniów... szubienicę. Tak, była składana. Po prostu dwa bale wsuwało się w otwory

w posadzce, a poprzeczkę montowało na żelazne zaczepy. Chwila na montaż, chwila na demontaż, zero kłopotów.

Chłopakiem coś wstrząsnęło. Potem poczuł, jak jego nogi ogarnia bezwład. O mało nie osunął się w ramiona eskortujących go strażników.

Sędzia, którego pamiętali z improwizowanej rozprawy, zbliżył się nieco.

– Czy odczytać wam wyrok ze wszystkimi paragrafami, opisem i uzasadnieniem?

– Nie – mruknął Dziadek.

– Jak rozumiem, wystarczy sentencja. – Urzędnik nawet się nie wysilał, żeby mówić głośno. Odwrócił się po prostu do protokolanta i półgłosem podyktował kilka zdań. – Zaczynamy? – Spojrzał przez ramię na oficera straży.

– Jeszcze świadek. – Ten pokazał palcem własny tyłek, przypominając, że w przypadku cesarskich poddanych potrzebuje dupokryjki. – Już do nas schodzi.

Rzeczywiście od strony kręconych schodów dało się słyszeć odgłos kroków co najmniej kilku osób. Sądząc z hałasu, nie były daleko, ale też wąski bieg bardziej nadawał się na narzędzie tortur niż ciąg do komunikacji.

Nerideen nie mógł oderwać wzroku od szubienicy. Z poprzeczki zwisały już dwa sznury zakończone pętlami. Przygotowano też dwa stojaki z zapadniami.

To koniec? – nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami. To naprawdę koniec?

I znowu w głowie pojawiło się wspomnienie sióstr, które dokładnie w chwili jego śmierci również zostaną skazane na zatracenie. Dziesięć lat służby na nieznanej im wojnie, gdzieś w zarazę daleko, w zapomnianym przez cywilizowany świat zakamarku. Ile przed nimi strasznych chwil? W zapomnieniu, bez nawet iluzorycznej nadziei w postaci powrotu po służbie do jakiejś rodziny? Nie, o tym wszystkim lepiej zapomnieć. Dziesięciu lat na froncie nie da się przeżyć. Można tylko doświadczać chłodu, głodu,

rozlicznych upokorzeń i ekstremalnego strachu. A w nagrodę czeka męka umierania na bezimiennym i dalekim polu bitwy.

Myśli o siostrach nie były jednak tak intensywne jak poprzednio. Widok miejsca, gdzie zaraz on sam rozstanie się ze światem, przytłaczał ciężarem niemożliwym do określenia słowami. Strach był potworny, ale znacznie gorsze było uczucie beznadziei. To koniec. Koniec. Już stąd nigdzie nie pójdzie. Urwie się jego życie...

– Żeby was szlag trafił! – od strony wejścia dobiegły czyjeś słowa. – Zmuszać mnie do schodzenia tymi schodami ze świadomością, że jeszcze będę musiał nimi wejść?!

– Wybaczcie, panie. – Oficer straży rzucił się, żeby przytrzymać drzwi. – Takie mamy kazamaty.

– To nie mogliście skazańców wyprowadzić na górę? Tylko ja mam do nich złazić?!

– Panie, tak stoi w regulaminie. Tu trzeba kaźnić, żeby podli przestępcy ani słońca, ani rozgwieżdżonego nieba już nad sobą nie ujrzeli.

Nawet Dziadek spojrzał zaciekawiony na drzwi, w których właśnie pojawiła się postać generała Biafry, a za nim jego sześciu najpiękniejszych żołnierzy w armii Arkach. Dobrze, że nie wziął ze sobą całego plutonu. I tak strażnicy wytrzeszczali na dziewczyny oczy.

– No? – Wymuskany paniczyk rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu, usiłując cokolwiek dostrzec wyraźnie. – I co mam podpisać?

– Protokół, że egzekucja odbyła się w zgodzie z przepisami prawa.

– A ja się na tym nie znam.

– Ależ nie musisz być, panie, znawcą prawa. To Luańczycy, więc wymogiem jest, żeby znaczna persona o ugruntowanym zaufaniu stwierdziła, że nie zamordowano ich pałami, tylko był proces i uczciwa egzekucja.

– Aha. – Biafra nie wnikał. – Rozumiem. Obcy poseł w mieście, więc każdy robi pod siebie ze strachu, byleby tylko władza, jak już patrzy na ręce, niczego się nie dopatrzyła...

Oficer nie zamierzał polemizować, bo diagnoza była ze wszech miar słuszna. Pochylił głowę z szacunku dla domyślności pana generała.

– Gdzie mam podpisać?

– O, tu. – Sędzia podsunął dokument. – Stwierdzenie, że obaj rozstali się z życiem zgodnie z przepisami.

– Toż oni jeszcze żyją!

– Ach, niedopatrzenie. – Sędzia skinął na strażników. – Już ich zabijamy.

Silne ramiona ujęły Dziadka i Nerideena. Pociągnięto ich w stronę szubienicy. Chłopak czuł, że nagle traci oddech.

– Czy... czy... – Chciał zapytać, czy będzie boleć, ale nie był w stanie zaczerpnąć powietrza.

– Nie ma sensu o nic pytać – powiedział spokojnie Dziadek. – Zaraz poznasz odpowiedzi na wszystkie pytania.

Biafra drgnął.

– Za co ich wieszacie?

Sędzia odruchowo chciał odpowiedzieć, że za szyję, ale na własne szczęście domyślił się, że nie o to chodzi.

– Pozabijali ludzi w największej wozowni pod miastem. Ale do papierów musiałem wpisać, że... – Urzędnik urwał nagle, zdziwiony reakcją młodego generała.

Ten podszedł do starszego ze skazanych, którego umieszczono już na stojaku z zapadnią, i podniósł głowę. Bez słowa patrzył w jego twarz.

– Długo każesz na siebie czekać – powiedział po chwili, dławiąc się złością. – Do ostatniej chwili, co?

Twarz Dziadka ani drgnęła. Ale tylko Nerideen wiedział, że jego towarzysz po prostu niczego nie pamięta. I cokolwiek w przeszłości działoby się między nim a Biafrą, to w tej chwili Dziadek nie wiedział, o czym mówi rozmówca.

– I co to ma, kurwa, znaczyć?! – wrzasnął Biafra z wściekłością, szerokim gestem wskazując na lochy. – Nie uważasz, kurwa, że to trochę ryzykowne?!

Dziadek stał nieruchomo jak posąg. Nerideen w amoku wytrzeszczał oczy do bólu. A Biafra się rozkręcał.

– Nie mogłeś, idioto, znaleźć innej metody?! A gdyby nie mnie poprosili o podpis pod protokołem, kretynie, to co by było?! Co byś zrobił, gdyby tu przyszła jakaś zafajdana księżniczka?! Debil! Nie mogłeś jakoś inaczej się do mnie zbliżyć...?

Nagle Biafra musiał sobie coś przypomnieć, bo zamilkł, przygryzając wargi. Potem pacnął się dłonią w czoło.

– No nie mogłeś – przyznał skazańcowi rację. – Fakt. Nie mogłeś. Ale żeby mordować ludzi w wozowni?

Dziadek dalej nie pojmował, co się dzieje, chcąc jednak znaleźć się jakoś w roli, której nie znał, rozłożył ręce. Nerideen nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami. To oni się znali?! To... nieśmiała nadzieja odurzała jak najmocniejszy alkohol. To może ich nie powieszą?!

– To byli ludzie Druzusa – zaczął siwy skazaniec, ale generał nie pozwolił mu dokończyć.

– Ty jesteś naprawdę pojebany. Ja rozumiem dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ja rozumiem, że jedno, co umiesz, to zabijać. Jednak dostać się przed moje oblicze przez szubienicę... to tylko ty mogłeś wymyślić. Nic głupszego nie przyszło ci do głowy?

– Udało się.

– Dobra. – Biafra machnął ręką. – Puśćcie ich i idziemy z tej nory. Jeszcze nie jest za późno.

– Ależ, panie! – Sędzia i oficer straży aż podskoczyli. – Wyrok prawomocny! Egzekucja już zasądzona.

– Nie można? – Oczy Biafry rozszerzyły się nieco. – No trudno, to zabijcie ich obu. – Odwrócił się ku wyjściu, ale słysząc, że strażnicy chwycili za stryczki, pstryknął palcami. – Stać! Żartowałem!

Przez chwilę roztrząsał w głowie jakąś kwestię, a potem skinieniem wezwał swoją prześliczną panią porucznik.

– Słuchaj, pójdziesz teraz do mamy...

– Do mojej mamy? – zdziwiła się oficer.

– Nie! Od twojej mamy mógłbym co najwyżej dostać przepis na budyń. Pójdź więc do mojej mamy, ponieważ jest królową i da mi akt łaski. Powiedz wyraźnie, że potrzebuję królewskiego ułaskawienia dla dwóch skazanych, ale niech nie wpisuje tam żadnych imion. Pamiętaj, żadnych imion. Nikt nie może się dowiedzieć, o kogo chodzi! Zrozumiałaś?

– Tak jest!

– To wykonaj.

– Rozkaz!

Zjawiskowa pani porucznik odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę feralnych schodów. A Biafra znowu podszedł do Dziadka.

– No dobra – mruknął. – Nie jest jeszcze za późno. Jesteś gotowy do akcji?

– Tak, ale daj się czegoś napić! Przecież nie da się walczyć o suchym pysku.

– Dobra. – Fedra nachyliła się nad taflą wody i zanurzyła w niej rękę. – Coś mi się tu nie podoba.

– Niby co? – Anarcha stanęła tuż obok.

– Mam wrażenie, że ta woda płynie.

Io również podeszła bliżej. Oddarła kawałek papieru z planszy przedstawiającej rzut pałacu, zmięła go i wrzuciła do kanału. Szybko przemieścił się aż pod przeciwległą ścianę. Wszystkie trzy skupiły wzrok, chcąc coś dostrzec w mroku.

– Troszeczkę światła? – zaproponowała Anarcha.

Fedra skrzywiła się, cmokając głośno.

– Ryzykowne. A jeśli oni mają w poselstwie czarownika? Wyczuje, co robię.

– Nie mają. Przyjrzałam się całemu składowi poselstwa. Żadnego faceta z czarną opaską na głowie.

– Ja też nie mam opaski, a pracuję dla nas!

– Ty zawsze żeby tylko nic nie robić.

– Zrozum, tu jest miasto! Zaraza wie jakie tu czarownice i co wyrabiają. Użyjesz mocy i staniesz się od razu latarnią świecącą w ciemnościach nad brzegiem morza.

– Przestańcie się kłócić. – Io dla pewności rozsunęła kobiety rękami, bo z boku to wyglądało, jakby miały na siebie skoczyć. – Troszeczkę światła jest tak pospolitym zaklęciem, że rzuca je nawet czarownik wracający z karczmy chwiejnym krokiem.

– Ale nie w miejscu pod pałacem wrogiego poselstwa – zaoponowała Fedra.

– W składzie poselstwa nie ma czarownika. Wyczułabym... tfu! Wyczułabyś go.

– Jak sobie chcecie. – Czarownica wyciągnęła rękę nad kanałem, a drugą przyłożyła do ust. – Jak sobie chcecie. Na waszą odpowiedzialność.

Po chwili nad powierzchnią wody pojawiła się maleńka, dość wyraźna zorza. Io i Anarcha nachyliły się jeszcze bardziej.

– O ja pierdolę! – Oficer potrząsnęła głową. – Nie dość, że płynie, to jeszcze podnosi się poziom!

– Ten kanał musi mieć połączenie z rynsztokami.

– Skąd wiesz?

– Deszcz był. Stąd przybór, pływy i podnoszenie się lustra. Chwilowo nici z naszych planów.

Teraz zaniepokoiła się Fedra.

– Dlaczego nici?

– Przy wysokiej wodzie nie da się wejść do pałacowej piwnicy.

Anarcha chyba nie zrozumiała.

– Co? Nie otworzysz klapy, bo zalana?

– Ależ otworzę – uśmiechnęła się Io. – I wejdę do pałacu wrogiego posła w towarzystwie tryskającej z całą mocą fontanny! Zrobię im taki gejzer na przywitanie! Żeby wszystkich skutecznie pobudzić.

– No fakt. Że też nie pomyślałam.

– No jasna zaraza! – zdenerwowała się czarownica. – Tyle przygotowań, tyle wysiłku i nic? Trzeba się zbierać?

Io usiadła na brzegu kanału i opuściła stopy nad taflę.

– Nie desperuj. Deszcz nie był wielką ulewą. Woda na pewno opadnie.

– Ale nie przed świtem!

– Brzmisz jak czarownica maruda!

– Nie! Ale mamy tak czekać?

Io rozłożyła ramiona i odchyliła głowę do tyłu.

– Delektuj się chwilą – szepnęła. – Przypomnij sobie słowa pewnego wielkiego mędrca, który powiedział dawno, dawno temu: masz wielu wrogów? Usiądź więc na brzegu rzeki i cierpliwie czekaj, aż ich ciała spłyną z nurtem.

– To jest makieta pałacu. – Biafra nachylił się nad wielkim stołem, chwycił za dach stojącej na blacie konstrukcji i uniósł go, odsłaniając cały labirynt pomieszczeń na piętrze. – Kazałem to wyrzeźbić w drewnie, żebyś mógł sobie unaocznić, którędy wejdziesz i którędy będziesz uciekał.

Dziadek popatrzył z zaciekawieniem.

– A co jest naszym celem?

– Naszym?

– Wezmę młodego, bo może się do czegoś przyda. Zresztą niech się uczy.

Biafra zerknął na Nerideena, który uniknąwszy stryczka, nie wyglądał na kogoś przedstawiającego wielką wartość bojową. Siwy mężczyzna pochwycił to spojrzenie.

– Nie, nie, on nie do walki, bo nic jeszcze nie umie. Ale ja już jestem stary. Jeśli trzeba coś przynieść, dźwigać czy po coś polecieć, to on będzie biegać.

– Jak chcesz. Nie wnikam w organizację na pierwszej linii.

– A kto jest moim celem?

– Raczej co. – Biafra podniósł kartkę, na której znakomity artysta narysował czyjś bagaż i położył obok makiety. – Wiem, jak ta skrzynia wygląda, ale nie wiem, gdzie jest.

– To jak ją znajdę?

Olśniewającej urody młodzieniec nalał im trunku do kubków. Biafra i siwy mężczyzna podnieśli je w tym samym momencie, stuknęli się i wypili zawartość duszkiem.

– Poseł sam się załatwił w swoim cwaniactwie. Niby nawet coś podejrzewa, coś przewiduje... Kazał poselstwu przenieść się do innego pałacu, bo tu mu rzekomo niewygodnie. Taki sprytny! Ale do pilnowania skrzyni wynajął sobie najlepszego fachowca, o jakim można tylko marzyć: Druzusa z jego bandą.

Dziadek zaczął się śmiać.

Uderzył kilka razy dłonią w blat. Makieta pałacu podskakiwała w rytm uderzeń.

– Piękne. Nie trzeba szukać skrzyni, bo ją trudno znaleźć. Drobinka w wielkiej budowli. Ale...

– Ale – wpadł mu w słowo równie rozbawiony Biafra – wystarczy znaleźć Druzusa i jego rębajłów!

– A ich nie da się łatwo schować!

– Ich się w ogóle nie da schować.

– Oni są niemożliwi do schowania.

– Po prostu, psiamać, są jak wielka góra na płaskim polu!

– Ha, ha, ha...

Biafra nalał następną kolejkę. Wypili szybko.

– Niemniej – podjął młody generał – poseł będzie się przenosił. Musisz uderzyć jeszcze tej nocy.

– Jeśli polejesz, to uderzę – odparł Dziadek.

– Tam mogą mieszać jeszcze służby specjalne Królestwa Troy, ale chuj z nimi. To jest mój teren, mój kraj i moi ludzie. A ponieważ ochrona posła o coś już ludzi z Troy podejrzewa, to tylko lepiej dla nas. Dam ci sakiewkę, która zawiera parę drobiazgów, fragmenty wyposażenia armii Troy. Rozrzucisz na miejscu akcji, oni znajdą

i pomyślą, że to funkcjonariusze wrażego królestwa zorganizowali zamach, a nie my.

– Sprytne.

– Wchodzicie do pałacu w nocy jako dostawcy jedzenia. W koszach ukryje się dwóch moich ludzi. Na miejscu zamienicie się z nimi ubraniami i wy zostaniecie, a oni opuszczą pałac w wasze miejsce, żeby się liczba zgadzała.

– Wszystko jasne. Ale co? Oni nie kontrolują przejść pomiędzy pomieszczeniami, do których mogą wejść dostawcy, a resztą?

Biafra podniósł głowę i uśmiechnął się złowieszczo.

– Tak jak mówiłem, to mój kraj, moje miasto i mój pałac. Tu ja wszystko kontroluję, nie oni.

Dziadek ukłonił się, choć jego mina nie wskazywała na to, że był jakoś tam szczególnie przekonany do tej koncepcji.

Młody generał natychmiast to wychwycił. I znowu nachylił się nad makietą. Tym razem zdjął piętro, pokazując, jak wygląda przyziemie.

– Wchodzicie tędy. – Jego palec wędrował od bocznej furty dla służących do pomieszczeń położonych w pobliżu kuchni. – Tu się wymieniacie z moimi ludźmi, ukrytymi dotąd w koszach.

– Nikt nie zajrzy?

– To sracz. Jeden z moich zablokuje drzwi i nikt nie będzie miał szansy, żeby choć zerknąć.

– Aha.

No faktycznie. Siwy mężczyzna klął w myślach brak własnej domyślności. Przecież oczywiste, że toaleta musiała być tuż przy kuchni. Jeden odpływ nieczystości, jedno ujęcie wody. Elementarne.

– I co dalej?

– Tu jest przejście. – Palec Biafry dotknął ślepej ściany.

– No przecież nie ma.

– Jest, jest. Tylko go nie widać gołym okiem. Ale jeden z moich będzie wiedział, jak was tam wpuścić.

– Tajne przejście?

– Wyjdziecie nim na korytarz, który także nie jest dostępny dla gości. Bardzo wąski, ciemny, ale nawet po omacku traficie nim w pobliże części reprezentacyjnej. Wyjdziecie dokładnie tutaj. – Palec wskazał teraz jakieś pomieszczenie na zapleczu strefy dla służących.

Stało się jasne, dlaczego luański poseł zamierza przeprowadzić się do innej siedziby. Nawet jeśli nie odkrył tajnych przejść, to jego specjalistów od bezpieczeństwa musiały zdziwić przesadnie grube ściany w niektórych miejscach, dziwne instalacje oraz otwory wentylacyjne z pozoru prowadzące donikąd. No cóż, na idiotów nie trafiło.

– Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby skrzynia była przechowywana w pobliżu pomieszczeń, które zajmuje sam poseł ze świtą – podjął Biafra. – Zbyt wielu ochroniarzy tuż obok zdemolowałoby mu codzienną pracę.

– To jasne – powiedział Dziadek. – Druzus z bandziorami nie są widokiem reprezentacyjnym.

– Właśnie.

Obaj mężczyźni przyglądali się makiecie, jakby miała im zdradzić jeszcze jakieś sekrety. Misterna drewniana rzeźba pałacu, a właściwie w tej chwili tylko jego przyziemia, milczała tajemniczo.

– Jak się stamtąd ewakuujemy? – zapytał Dziadek.

– O właśnie. Kiedy już zdobędziecie skrzynię, to musicie się znaleźć w tej sali. – Palec Biafry ponownie podjął drogę przez plątaninę malutkich korytarzy. – Pójdziecie tędy aż do tej ściany tutaj. – Dotknął znowu litej powierzchni, w której nie było żadnego otworu.

– Tam też jest tajne przejście?

– Nie. Za nią, na zewnątrz, będą czekali moi ludzie z łomami i kilofami.

– Co? Górnicy?

– Nie. Wystarczy, że dasz sygnał, gwiżdżąc – generał podał rozmówcy piszczałkę okutą metalem – a oni rozwalą ścianę i droga ucieczki stanie otworem. W dodatku od tej chwili pod moją ochroną.

Dziadek z pewnym podziwem skinął głową.

– To rozwiązuje mnóstwo problemów – przyznał. – Możemy ruszać.

– No i świetnie. – Biafra wbrew temu, co powiedział, zmarszczył brwi. – Wiesz? Wydajesz mi się chwilami jakiś nieobecny. Jakby inny niż podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Aaa. – Siwy mężczyzna machnął ręką. – Małe problemy z pamięcią. – Uśmiechnął się szeroko. – Za dużo ciosów w głowę kumulujących się przez całe życie.

– Rozumiem. Ale nie przeszkadza ci to w robocie?

– Nie. Zupełnie.

– To dobrze. – Biafra podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. – Potrzebujecie czegoś? – Wskazał na stosy broni rzucone na podłogę. – Nie wiedziałem, które są wasze, więc kazałem przynieść wszystko, co zebrano po jatce w wozowni.

Dziadek podszedł bliżej.

– Sama broń? – Skrzywił się wyraźnie.

– A potrzebujesz czegoś jeszcze? – Biafra najpierw spojrzał pytająco, a potem sam zrozumiał i puknął się w czoło. – Ach, zapomniałem.

Podszedł do armijnej skrzyni z zaopatrzeniem polowym i wyjął z niej ogromną wojskową manierkę. Potrząsnął naczyniem, by sprawdzić, czy na pewno jest pełne, a potem podał je Dziadkowi.

– Proszę.

– Opadła! – Fedra uniosła głowę znad zaimprowizowanego punktu pomiarowego. – Woda opadła.

Io spojrzała na znaki wydrapane przez Anarchę na cembrowinie. Postęp był znaczny. I to świadczyło, że miała rację. Deszcz nie był wielką ulewą. Opady nie zasiliły zasobów w kanale na tyle, żeby poziom wody mógł się utrzymać na dłużej.

– No to płynę.

Ściągnęła przez głowę tunikę i podała ją oficerowi do zadań specjalnych. Ta potrząsnęła rudą głową.

– Jesteś pewna?

– No przecież za to mi płacicie, żebym była pewna.

Io podeszła do brzegu, schyliła się i oparła na nim dłonie. A potem szybko przeniosła ciężar ciała za krawędź przymurówki i zaczęła opuszczać się do wody. Kiedy zanurzyła się aż po szyję, Anarcha podała jej rybi pęcherz z suchą tuniką, szpadę i małe zawiniątko.

– Pamiętaj, żeby rozsypać te drobiazgi w pałacu. Niech Luańczycy myślą, że dokumenty ze skrzyni ukradli im ci z Arkach.

– Będę pamiętała.

– Powodzenia!

Io zrobiła kilka nie za głębokich wdechów, a potem nabrała powietrza mniej więcej do połowy objętości płuc. Zanurzyła się bez słowa, nawet bez spojrzenia w stronę pozostających na brzegu kobiet. Przez chwilę jeszcze na powierzchni unosił się jej ciasno zaplątany warkocz, ale potem i on zniknął w ciemnej toni.

– No! – Biafra zatrzymał się nagle. – Tu muszę was już zostawić. Nie byłoby dobrze, gdyby mnie ktoś zobaczył wśród sług.

Znajdowali się kilkaset kroków od pałacu, gdzie rezydował luański poseł. Widać było, że tragarze są ludźmi generała, bo kiedy on stanął, wszyscy zatrzymali się w tym samym momencie, jak oddział wojska.

– Przecież damy sobie radę – powiedział uspokajająco Dziadek.

Nerideen nie podzielał tej pewności. Cały drżał z nocnego chłodu, klnąc w duchu ostry klimat Arkach – w dzień upał, w nocy zimno jak zaraza. A może była inna przyczyna drżenia? Napięcie, niepokój? Na pewno nie strach. U człowieka, który cały dzień przesiedział w celi

śmierci i w ostatniej chwili został uwolniony od stryczka, trudno raczej mówić o strachu w klasycznym rozumieniu tego słowa.

– Pamiętaj – Biafra podał Dziadkowi małe zawiniątko – żeby rozrzucić te drobiazgi w pałacu. Niech Luańczycy myślą, że to ci z Troy zorganizowali atak.

– Będę pamiętał.

Io wynurzyła się w ciemności. Przepłynięcie sześćdziesięciu kroków pod wodą nie było dla niej szczególnym wyczynem, więc nadal nie wypuszczała powietrza z płuc i nie nabierała oddechu. Słuchała uważnie, sama nie wywołując żadnego hałasu. Na szczęście z przytłumionych dźwięków, które dobiegały do niej nad powierzchnię wody, żaden nie wzbudzał podejrzeń. Pozwoliła więc sobie na jeden oddech. Wokół dalej nie działo się nic podejrzanego.

Io powoli podpłynęła do ściany i dotknęła jej dłonią. Sunąc po chropowatej powierzchni kamienia, lekko poruszała nogami. Po kilku chwilach jej ręka trafiła na metalową klamrę. Była u celu.

Znowu odetchnęła lekko, chwyciła zębami sznurek, którym związała swój bagaż, i zaczęła się wspinać. Nasłuchiwała co jakiś czas. Była naga, więc żaden szelest, żadne ocieranie się materiału o materiał nie mogły jej zdradzić.

Ale też wróg najprawdopodobniej nie spodziewał się ataku z tej strony, ponieważ dotarła do klapy na samej górze, nie wyczuwając niczyjej obecności.

Nikt nie kontrolował skrupulatnie służących, którzy przynieśli produkty spożywcze. No, może ktoś tam zerkał z zawodową czujnością, ktoś inny przeliczył wchodzących, ale poza tym nie było szykan. Nikt też nawet nie zerknął na samą żywność. To akurat było

zupełnie zrozumiałe. Otrucie posła sprawiłoby królestwu więcej kłopotów, niż wart byłby jakikolwiek, choćby iluzoryczny zysk z takiego incydentu. Luańczycy właściwie czuli się na tym terenie prawie jak w domu. W zasadzie można było odnieść wrażenie, że czuli się na tym terenie JUŻ jak w domu. Pewność siebie jednak może być zgubna.

Po doniesieniu produktów w pobliże w kuchni „służący" Biafry wykonali pod ubikacją tak genialny tumult, że Dziadek i Nerideen wpadli do małego pomieszczenia z absolutną pewnością, że nikt z gospodarzy nie zorientował się, iż dwóch obsługantów nagle zniknęło z pola widzenia. Zresztą natychmiast zastąpiono ich ludźmi przyniesionymi w koszach z ziarnem.

Wewnątrz toalety czekał tylko jeden człowiek. Dziadek i Nerideen zdjęli tuniki i odziali się w to, co przyniósł tamten. W razie wpadki nie mogli przecież mieć na sobie ubrań w królewskich barwach. Wzięli też od niego broń.

– Tędy. – Mężczyzna uruchomił niewielką zapadnię pod półką na lampkę. Ta z kolei pozwoliła uchylić skrzydło niewielkich drzwi przemyślnie ukrytych w ścianie. – Wewnątrz nic nie widać, ale nie sposób się zgubić.

– Szef mówił, co i jak.

– I dobrze. Trafić do końca łatwo, bo wystarczy sunąć dłońmi po ścianach. Ale mechanizm otwierający drzwi po drugiej stronie dawno nie był używany.

– I co? Skrzypi?

– Nie skrzypi, ale trochę stuka.

Dla obecnych było jasne, że skrzypienie to mniejszy problem. Wystarczy polać mechanizm oliwą lub posmarować masłem i po sprawie. Ale stukanie...?

– I co w takim razie?

– Nic, stukanie się nie niesie. Ale przed pchnięciem skrzydła drzwi owińcie mechanizm szmatą.

Ktoś stojący w przedsionku ubikacji zaniósł się kaszlem. To ich wartownik wysyłał ostrzeżenie.

– Już! Szybko! – Mężczyzna prawie wepchnął Dziadka i Nerideena do mrocznego tunelu i starając się nie robić hałasu, zamknął za nimi drzwi. A potem krzyknął do kogoś głośno i z wyraźnym gniewem: – Zajęte, psiamać! No gdzie się pchasz?! Wysrać się nie można w spokoju!

Dziadek i Nerideen stali w ciemnościach tak absolutnych, że usiłujące wyłapać choćby najmniejszą odrobinkę światła oczy zaczęły ich boleć prawie od razu.

Io namacała klapę nad głową i pchnęła ją delikatnie. W niewielkiej szparze nie dostrzegła niczego, znak, że albo na górze nikogo nie było, albo ktoś tam czekał, ale bez światła. Nie dobiegał do niej najmniejszy choćby odgłos ani zapach. Otworzyła więc klapę szerzej i powoli, ostrożnie wysunęła się ze studzienki. Mokry warkocz nieprzyjemnie drażnił jej nagie plecy. Nie miała czasu, żeby go wykręcić. W ogóle nie miała za dużo czasu. W skali akcji, którą miała przeprowadzić, właściwie to już od dawna go brakowało. Niespodziewany deszcz o mały włos nie pokrzyżował w ogóle wszystkich planów.

Io przeszła do następnego pomieszczenia. Schody przymocowane do ściany po lewej były drewniane i bardzo już stare. Dziewczyna stawiała więc stopy prawie na samym krańcu stopni, tuż przy kołkach przytrzymujących barierkę. Pchnęła drzwi na końcu biegu. Zaskrzypiały lekko czy tylko jej się zdawało? Bez znaczenia. Nikt nie powinien dosłyszeć tak niewielkiego hałasu. W sali przed nią nie było nikogo, spokojnie ruszyła więc dalej. Stawiała bose stopy na ich zewnętrznych krawędziach, tak żeby nie plaskały o kamienną podłogę.

Nerideen, który posuwał się przodem, uderzył w coś czołem. Mocno. Aż przed oczami pojawiły się iskry.

– Co? – tchnął Dziadek wprost do jego ucha najciszej jak mógł.

– Walnąłem o coś głową.

Jego towarzysz wysunął rękę do przodu.

– Na szczęście w metal uderzyłeś.

– Na szczęście?

– Bo nic nie zatrzeszczało jak przy drewnie ani nie poniosło się głucho jak w przypadku kamienia.

– A moja głowa?

– Widać nie jest pusta. Nie rezonowała jak dzwon.

No nie. Nawet w takiej sytuacji Dziadka trzymały się dowcipy.

No ale co się dziwić. Dzięki zapasom Biafry od czasu uniknięcia stryczka Dziadek raczył się najprzedniejszą wódką w okolicy.

– To chyba ten mechanizm – szepnął.

– Chyba tak.

– Trzeba go zawinąć szmatą.

– Tak. Ale ten facet w zamieszaniu nie dał nam szmaty.

– To co robimy?

Dziadek nie miał wątpliwości. Czas uciekał nieubłaganie i należało się spieszyć.

– Zdejmij tunikę i nią zabezpiecz mechanizm – powiedział.

– No jak?

– Po prostu. Otworzymy drzwi i znowu ją włożysz.

Chłopak, klnąc po cichu, spełnił rozkaz.

– A sam mówiłeś, że na polu bitwy muszę być elegancki – złorzeczył. – A jak mam się zastosować do tej zasady, kiedy będę miał wymiętą i brudną tunikę? Co?

– Oj. – Siwy mężczyzna w tym przypadku nie chciał wnikać. – Istnieją wyjątki od każdej zasady.

– No ciekawe… – Nerideen paradoksalnie dzięki temu, że warunki zupełnie nie sprzyjały poważnej rozmowie, zdecydował się zadać pytanie, które od dawna chodziło mu po głowie. – Powiedz…

Pobrano ze strony pijafka.pl

a dlaczego nie usiłowałeś wycisnąć z Biafry jakichś informacji na swój temat? Przecież on ewidentnie wie, kim jesteś.

– A ty najwyraźniej zgłupiałeś. Miałem się przyznać, że nie pamiętam niczego z wiążącej nas umowy? – Stary zdenerwował się nagle. – Toż faceta, który stracił pamięć, nie posyła się na akcję, tylko z powrotem na stryczek, bo jest niezdatny do niczego.

– Hm... No może i tak.

Obwiązali mechanizm grubym materiałem, a potem naparli jednocześnie na niewielki kołowrót. Drzwi, a właściwie cała ściana przed nimi drgnęła i zaczęła się odchylać. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mogli dostrzec nikłe odblaski dalekiego światła. Mechanizm rzeczywiście nie skrzypiał, ale stukanie było dość wyraźne.

– Szlag. – Dziadek pchnął chłopaka w stronę wyjścia. – Wyłaź.

– A tunika?

– Nie mogę jej wyjąć. Utkwiła w trybach.

Nerideen sam chwycił za materiał i szarpnął mocno, aż coś trzasnęło.

– Ciiii!

– Zamknijmy drzwi, to się odblokuje.

– No i zostaniemy w środku.

– Ale odzyskamy moje ubranie.

– Znowu będziemy musieli owinąć mechanizm i sytuacja się powtórzy. – Dziadek popchnął chłopaka. – Wychodzimy.

Kiedy trochę oszołomieni znaleźli się w ciemnej i pustej sali dla służby, ściana za nimi zaczęła się zamykać. Stukanie tu, na zewnątrz, praktycznie nie było słyszalne.

– No ładnie – wysyczał Nerideen. – Mam walczyć, ale zostałem tu na golasa.

– Spróbuj we wszystkim dostrzec dobrą stronę.

– A jest jakaś?

– Kiedy przeciwnik zobaczy cię gołego, to na pewno się zdziwi. A ty wtedy wykorzystaj efekt zaskoczenia.

Na szczęście wokół było ciemno i Dziadek nie mógł dostrzec wyrazu, który pojawił się w oczach chłopaka.

Io skradała się po ciemku, nie tracąc orientacji w przestrzeni. Doskonale pamiętała architektoniczne plany i jak dotąd wszystko się zgadzało. Jeśli nowy, chwilowy gospodarz pałacu nie zmienił funkcji poszczególnych sal, a nie miał przecież ku temu najmniejszego powodu, to zbliżała się właśnie do części budynku zarezerwowanej dla służby. Tu trzeba było bardzo uważać. Z kolei sprzyjała jej pora nocy. To właśnie teraz ludzie spali najgłębszym snem. Służący to nie wartownicy. Nikt od nich nie żądał nocnej aktywności. Wyjątkami mogli być podręczni posła czuwający nad jego snem i spełniający ewentualne zachcianki, gdyby się obudził. Wyjątkami byli też ludzie przygotowujący posiłki, ale dziewczyna do kuchni nie zamierzała się zbliżać. To na pewno nie jest miejsce, gdzie przechowuje się ważne dokumenty.

Gdzie więc są? Problem wbrew pozorom wcale nie był zawiły ani trudny do rozstrzygnięcia. Gdzie się trzyma skarby? Najlepiej w pomieszczeniu, gdzie nie ma okien i jest tylko jedno wejście. Tyle że w reprezentacyjnym pałacu może nie być takich pomieszczeń. Jasne. I w tym konkretnie nie było. A w takim wypadku należy szukać pokojów z jak najmniejszą liczbą okien oraz drzwi. Fedra i Anarcha długo studiowały projekt. I wytypowały dwie takie sale. A Io właśnie zmierzała do jednej z nich.

Zatrzymała się, słysząc odgłos kroków. Zamarła na środku pomieszczenia. Po chwili dostrzegła blask światła. Jego źródło powoli się zbliżało. Słyszała odgłos kroków na schodach.

Io rozejrzała się błyskawicznie. Pierwszą myślą była ucieczka w stronę kanału, którym przypłynęła. Ale to głupia myśl. Dziewczyna nauczyła się już nie ufać pierwszym skojarzeniom. Przecież to mógł być wartownik, którego zadaniem było

sprawdzenie wszystkich ewentualnych wejść do pałacu. W tym i wodnego.

Drugą ewentualnością okazały się drewniane, zbite z cieniutkich listewek drzwi tuż obok. Dokąd prowadziły? Akurat tego nie mogła sobie przypomnieć, ale stała przecież na środku pomieszczenia gospodarczego. To musiał więc być jakiś składzik. A kto z mieszkańców przeszukuje składziki głęboką nocą? No przecież nikt.

Decyzja została podjęta. Io skoczyła w bok i delikatnie otworzyła drzwi. Odgłos kroków za plecami stawał się coraz wyraźniejszy. Dziewczyna wskoczyła do środka i o mało nie walnęła nosem w ścianę. Składzik miał głębokość mniej więcej łokcia! Co to było? Do czego takie coś mogło służyć? Mniejsza... Pewnie jakaś suszarnia.

Io z trudem odwróciła się plecami do ściany i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. No nie! Ich skrzydło okazało się ażurowe. Nie mogła tego zauważyć w ciemnościach, ale teraz, kiedy źródło światła było coraz bliżej, widziała wyraźnie. Cieniutkie listewki nie stykały się ze sobą, tworząc delikatną kratkę, przez którą ona mogła bez problemu obserwować, co dzieje się w pomieszczeniu obok.

Pytaniem zasadniczym było: co mógł widzieć facet, który zbliżał się od zewnątrz? Czy ją od razu dostrzeże?

Dziewczyna wstrzymała oddech.

Nerideen został wysłany na zwiad w stronę pomieszczeń dla służby. Dziadek nie przypuszczał bynajmniej, że tam właśnie ukrył się Druzus ze swoimi bandytami. Chciał tylko mieć pewność, że nie ma tam ludzi, którzy mogliby znienacka pojawić im się za plecami. Plan dobry, ale chłopak nie był dobrym zwiadowcą. Szedł wściekły, czując się podwójnie głupio. Był na wymarzonej akcji, gdzie przecież w każdej chwili mógł się okazać bohaterem, a tu... musiał poruszać się na golasa. Gorzej: miał miecz i sandały. Nie miał ubrania.

Generalnie tylko to zaprzątało mu głowę. Owszem, może i się rozglądał. Bardziej jednak w poszukiwaniu nowej tuniki niż w celu identyfikacji ewentualnych zagrożeń.

Myśląc o zupełnie czymś innym, zapędził się na sam środek pomieszczenia gospodarczego, kiedy zdał sobie sprawę, że nagle widzi wszystko bardzo wyraźnie. A widzi dlatego, że ktoś z boku zbliża się z lampą. Nerideenowi na chwilę stanęło serce. Spanikował. Uciekać do przodu? Za daleko! Do tyłu? Za długo? Musi się przecież odwrócić i... Instynktownie skoczył w bok.

W rosnącym strachu otworzył wykonane z cieniutkich listewek drzwi i wskoczył do środka. O mało nie rozbił sobie nosa o przeciwległą ścianę. Bogowie! Składzik był głęboki może na łokieć, a może i nie. Z najwyższym trudem odwrócił się plecami i domknął za sobą drzwi. A wtedy przyszło drugie spostrzeżenie. Drewniane skrzydło jest ażurowe. Listewki tworzą delikatną kratkę i z miejsca, gdzie stał, mógł obserwować, co dzieje się w pomieszczeniu gospodarczym. Pojawiło się od razu pytanie: co będzie widział ktoś, kto do tego pomieszczenia wejdzie?

Usiłował uspokoić oddech. Ale ten po chwili zamarł mu w gardle.

Nerideen z całkowitą pewnością zdał sobie sprawę, że w składziku jest ktoś jeszcze. Czuł wyraźnie na ramieniu ciepło czyjegoś ciała. A do sali przed nim wszedł mężczyzna w sile wieku odziany w długą nocną szatę i oświetlił wszystko trzymaną w ręku lampą. Chłopak czuł, że dostaje gęsiej skórki, a włosy ewidentnie mają ochotę stanąć dęba.

Mężczyzna odpalił drugą lampkę, która dotąd stała na półce, rozejrzał się, najwyraźniej szukając czegoś absolutnie mu niezbędnego, i cofnął się do pomieszczenia dalej. Po chwili dobiegły stamtąd odgłosy przestawiania jakichś sprzętów.

Nerideen, dławiąc się własnym oddechem, odwrócił głowę i spojrzał w bok. To mogło mu się tylko przyśnić! Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Tuż obok stała nagusieńka dziewczyna i patrzyła na niego w niebotycznym zdumieniu. Bardzo długo mierzyli się wzrokiem.

Żadne nie śmiało głębiej odetchnąć, a potem nagle, jakby na niewidzialny sygnał, przyszła ulga. Oboje w tym samym momencie zdali sobie sprawę, że to drugie nie krzyknie nagle głośno, wzywając wartowników, by powiadomić ich o intruzie. Oboje jechali na tym samym wózku.

Co za oniryczna sytuacja. Już bardziej by się spodziewał zastać tutaj Druzusa ze wzniesionym do ciosu mieczem niż nagą dziewczynę. Ładna zaraza – do głowy przyszła mu pierwsza spokojniejsza konstatacja. Odruchowo przyjrzał się jej twarzy, ozdobionej wielkimi oczami. Przeniósł wzrok niżej, na kształtne piersi ze sterczącymi teraz z zimna sutkami, i niżej, na płaski brzuch, i jeszcze niżej...

– Najwyraźniej nie peszą cię obce dziewczyny tuż obok – szepnęła jak mogła najciszej.

– Wiesz – odpowiedział również szeptem – wychowałem się w niewielkim pomieszczeniu z dwiema starszymi siostrami. Nic, co kobiece, nie jest mi obce.

Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie, ale widocznie.

– Co? Byłeś nieznośnym braciszkiem czy ulubionym synalkiem mamusi?

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Chyba jednym i drugim.

Doceniła szczerość. Ale teraz ona opuściła wzrok z jego twarzy i spojrzała na ramiona z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Potem opuściła wzrok niżej, na płaski brzuch, a potem jeszcze niżej...

– A ty masz rodzeństwo? – zapytał.

– Mam. Ale to ja jestem najstarszą siostrą.

– Oj, oj, oj. Wiem, że to przykre. Najpierw jesteś jedynym dzieckiem, księżniczką dla swoich rodziców, potem pojawia się braciszek i następuje detronizacja. A potem kolejne dziecko i jesteś już tylko jednym z czeredy. W dodatku tobie poświęca się najmniej uwagi, bo już sobie sama radzisz...

– Nie! – szepnęła dziewczyna. – To się nie mogło zdarzyć! To nie miało prawa nastąpić!

– Co?

– No wyobraź sobie, że stoję sobie naga w jakimś obcym, okropnym zamczysku i nagle do mojego schowka wchodzi nagi mężczyzna i od razu zaczyna analizować moją duszę, poczynając od najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa.

Nerideen zafrasował się.

– No fakt – szepnął. – To się nie miało prawa zdarzyć.

Oboje niemal parsknęli śmiechem. Nić porozumienia między nimi została nawiązana. I to nie była słaba nić. No ale co się dziwić. Młoda dziewczyna i młody chłopak zamknięci razem w ciasnej przestrzeni, i to w dodatku bez ubrań. Jak to nazwać? Porozumienie ponadzmysłowe? Czy wprost przeciwnie?

Oboje stali, stykając się ramionami. Oboje również trzymali dłonie na ustach, żeby nie roześmiać się na głos, kiedy mężczyzna w nocnej koszuli powrócił do pomieszczenia gospodarczego, żeby podjąć przerwane poszukiwania czegoś, na czym zależało mu tak bardzo, że zarywał noc.

A Io i Nerideen dostali głupawki. Nie mogli nawet zerknąć na siebie, bo każde spojrzenie w bok powodowało nowy paroksyzm powstrzymywanego z najwyższym trudem śmiechu. Tak właśnie działał mechanizm głupawki, dobrze znany uczestnikom nudnych wykładów albo podniosłych ceremonii państwowych czy świątynnych. Potworny, niemożliwy do opanowania chichot rodził się w gardłach uczestników, tym większy, im bardziej nie wolno było się roześmiać. Mechanizm był nieubłagany. Po chwili dławiącym się własnym rechotem ludziom wystarczyło pokazać choćby zgięty palec, by wybuchnęli niczym już niekontrolowanym chichotem.

W końcu jednak zamknięci w składziku chłopak i dziewczyna zaczęli się uspokajać. A kiedy mężczyzna z lampką w dłoni odwrócił się, by przenieść poszukiwania na półki z tyłu, Nerideen odważył się nawet podzielić swoimi traumatycznymi wspomnieniami. A przede wszystkim chciał zmienić temat na bardzo poważny, nieskłaniający do śmiechu.

– A wiesz, że ja dzisiaj uciekłem katu ze stryczka? W ostatniej chwili!

I to był ten zgięty palec.

Biedna dziewczyna aż się skuliła, cała drżąc. Za usta trzymała się obiema dłońmi, bo jedna mogła już nie wystarczyć. Nerideen dołączył do niej po chwili, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Oboje powoli zaczynali się dusić. A mężczyzna naprzeciw metodycznie szukał czegoś na półkach.

Na szczęście żadna tortura nie trwa wiecznie. Intruzowi pod ścianą chyba nie udało się odszukać przedmiotu, którego potrzebował, zaklął bowiem głośno, a potem kopnął nawet stelaż z poukładanymi przez kogoś wzorowo szmatami. Wreszcie odszedł, złorzecząc komuś pod nosem. Zabrał ze sobą lampki.

Io i Nerideen uspokajali się powoli. Łapali też pierwsze głębsze oddechy. W zasadzie żadne z nich nie było w stanie powiedzieć, co ich tak straszliwie rozśmieszyło. Tak naprawdę to przecież nic. Takie są po prostu prawa głupawki, która dopada ludzi w najmniej odpowiednich chwilach.

Potem dziewczyna, dysponująca daleko lepszym słuchem niż jej przypadkowy partner, uchyliła skrzydło drzwi ciasnego składziku. Wyszła zeń bez słowa i na odchodnym „przyjacielsko” walnęła tylko chłopaka w ramię. Nerideen również bez słowa ruszył w przeciwną stronę.

– No, ciebie to po śmierć można posłać – pomstował Dziadek, kiedy go zobaczył – i mieć pewność, że się dożyje sędziwego wieku.

– Nastąpiły nieprzewidziane okoliczności.

– Mniejsza. Dużo ludzi czuwa po tamtej stronie?

– Nie wiem.

– A co robiłeś tak długo?

– Wszedłem do schowka, gdzie ukryła się naga dziewczyna.

– I co tam robiliście?

– Śmialiśmy się. – Nerideen przełknął ślinę, podejrzewając, że prawdziwa wersja może Dziadka nie przekonać. Dodał więc coś od

siebie: – To pewnie agentka z Troy, Dery albo Nimmeth. A najpewniej szpieg Zakonu.

Siwy mężczyzna smętnie pokiwał głową.

– Strach pomieszał ci rozum – szepnął zmartwiony. – Po pałacu kręci się naga agentka Zakonu... Bym, kurwa, tego w życiu nie wymyślił.

Io zdawała sobie sprawę, że straciła zbyt dużo czasu. Noc nie była rozciągliwa. Zaraz będzie się kończyć. Na szczęście do tego feralnego pomieszczenia przyszedł ten facet w nocnej koszuli i czegoś szukał. Jego strój, jak najbardziej adekwatny do pory, nie był czymś, co włożyłby mężczyzna, który choćby przechodził między licznymi zbrojnymi pilnującymi ważnych dokumentów. Dziewczyna widziała, w którą stronę tamten odszedł. Sama więc włożyła na siebie przyniesioną w rybim pęcherzu tunikę i ruszyła w stronę przeciwną.

Tym razem nie napotkała żadnych przeszkód. Kiedy po kilkudziesięciu krokach usłyszała pierwszy oddech, zrozumiała, że wybrała dobry kierunek. Docierające do niej dosłownie na granicy słyszalności sapanie nie było odgłosem śpiącego spokojnie człowieka. Ten ktoś znajdował się na jawie, miał kłopoty z przegrodami nosowymi i najwyraźniej był niespokojny. Posunęła się jeszcze trochę. Teraz słyszała wyraźnie. Co najmniej kilkanaście osób czuwało w pobliżu. Sądząc po szelestach świadczących o tym, jak dyskretnie zmieniali pozycje, oni najwyraźniej na coś czekali. I to czekali już bardzo długo.

Io zrozumiała, że cel znajduje się tuż przed nią.

– Trzymaj. – Dziadek podał Nerideenowi tunikę.

– Skąd masz?

– Znalazłem. Ja nie uganiałem się za gołymi agentkami Zakonu.

Chłopak ubrał się szybko. Już wiedział, że jego towarzysz długo nie daruje mu tej opowieści.

– Co mam robić?

– Idziemy do miejsca, które przewidział Biafra. Zdajmy się na jego instynkt.

Nerideen podniósł swój miecz.

– Będziemy walczyć z mistrzami Druzusa?

– Ja będę walczył. Zajmę ich, a ty musisz dopaść tej skrzyni z rysunku. Nie taskaj całej. Rozwal na drobny mak i zabierz dokumenty. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem. Ale... Na pewno chcesz się zmierzyć z Druzusem? To szermierz natchniony.

Dziadkowi opadły ręce. Westchnął przeciągle, a potem zaczął tłumaczyć:

– Skup się. Bo oczywiście mamy inne wyjście.

– Jakie?

– No przecież możemy wrócić do lochu i poddać się egzekucji. Ułaskawienie to nie anulowanie wyroku, który wisi już nad naszymi głowami. Ułaskawienie wystawca zawsze może cofnąć. A wtedy żegnaj, nadziejo, witaj, stryczku.

Siwy mężczyzna zorientował się, że chyba przegiął z plastyką przy opisywaniu uroczej alternatywy, która ich czekała, gdyby tutaj zawiedli, więc dodał:

– Uspokój się. Biafra na pewno nie jest idiotą.

– Mhm. Pocieszyłeś mnie.

– No przestań. Biafra nie jest dupkiem, który wysłał nas na śmierć dla zabawy. On ma w tym jakiś plan i z całą pewnością widzi szanse jego realizacji.

– Jakie? – żachnął się chłopak.

– Nie wiem. – Dziadek wzruszył ramionami. – Ale jakieś na pewno.

Ruszyli wzdłuż korytarza kilka chwil później. Powoli, krok za krokiem, ale bez zachowywania przesadnej ciszy. Dziadek bowiem

upierał się, że usłyszy ich pierwszy. I rzeczywiście. Już po przejściu kilkudziesięciu kroków podniósł dłoń w geście ostrzeżenia. Chłopak nie słyszał niczego.

Io posuwała się naprzód przyklejona ramieniem do ściany. Nie dość, że słyszała oddechy przeciwników, to jeszcze czuła teraz intensywną woń ich potu. Zasadzka była bardzo amatorska. Ona sama pewnie kazałaby zapalić w pobliżu jakieś kadzidło dla zmylenia. Ale z drugiej strony... Czego niby miał obawiać się Druzus w otoczeniu swoich bandziorów? Że wkroczy tu wroga armia? Wtedy to już nie byłyby jego kompetencje, tylko posła i, szerzej, całej dyplomacji Luan. A tych kilku szpicli ludzie Druzusa zatrzymają bez większych problemów. I rzeczą bez znaczenia będzie, czy tamci spodziewali się zasadzki, czy nie.

Niby racja. Ale Io uśmiechnęła się do siebie. Lubiła trudne sytuacje.

Dziadek najwyraźniej lubił trudne sytuacje, bo Nerideen w blasku gwiazd wpadającym przez wielkie okno na korytarzu dostrzegł, że jego towarzysz się uśmiecha. Musiał zauważyć zdziwienie na twarzy chłopaka, bo nachylił się do niego i tchnął wprost do ucha:

– Nie, nie podnieca mnie walka sama w sobie – wyjaśnił. – Uwielbiam za to chwile, kiedy czuję się absolutnie wolny.

– Walka czyni człowieka wolnym?

– Tylko walka. Wszędzie podlegasz jakimś ograniczeniom. A w walce znajdujesz się na niepodległym terytorium. Absolutna wolność jest wewnątrz kręgu wyznaczonego przez ostrze twojego miecza. W nim jesteś panem świata i jego wyłącznym władcą!

Nerideen długo myślał nad tym, co usłyszał.

– Aha – powiedział w końcu. – Znaczy chodzi o to, że teraz umrę jako wolny człowiek, a na stryczku zdechłbym jako więzień.

– Dobrze kombinujesz. Pamiętaj tylko o jednym: Biafra nie jest idiotą i nie wpuścił nas tutaj, żeby później zlecić poetom opiewanie naszej bohaterskiej śmierci w nierównej walce. Skoro podjął się próby odzyskania papierów, to znak, że to da się zrobić.

– Aha – powtórzył chłopak. – No fakt.

– Nie do końca wiem, co napotkamy, ale pamiętaj. Ja ich związę w walce, a tym masz zdobyć zawartość skrzyni, którą widziałeś na rysunku. Musisz ją rozwalić, a nie tachać w całości.

– Pamiętam.

– No i najważniejsze. Walczymy po ciemku.

Nerideen oniemiał.

– Jak?!

– Na słuch – wyjaśnił spokojnie Dziadek. – To znaczy ja walczę, a ty gasisz światła, gdyby przyszło im do głowy jakieś rozpalić.

– Mam się rzucić na szermierzy...?

– Wyluzuj. Żeby skrzesać ogień, musisz mieć obie ręce wolne. Więc taki facet nie będzie już trzymał miecza. I to nie będzie się działo na pierwszej linii.

– A, no tak.

– Zrozumiałeś wszystko?

– Zrozumiałem.

– No to w drogę.

Ruszyli po omacku, trzymając się ściany. A Nerideen nie mógł wyłączyć umysłu, w którym pojawiały się coraz to nowe wizje, jakie to wyrafinowane pułapki zastawili na nich obrońcy poselskiej skrzyni. Oczami wyobraźni widział nabite gwoździami deski porozkładane na podłodze, garnce z wrzącą oliwą wiszące na hakach pod sufitem, liny nasmarowane trucizną, umieszczone na wysokości nóg... Z drugiej strony rozum podpowiadał mu, że na nich dwóch wystarczą szermierze Druzusa, przyczajeni, ostrzeżeni i gotowi do walki. No ale... z trzeciej strony, jeśli ktoś od zmroku do obecnej pory tkwi w gotowości na posterunku, to teraz już

zdecydowanie nie jest w dobrej formie. A nawet, można zaryzykować stwierdzenie, jest w najgorszej formie, jaką można sobie wyobrazić. Przecież to właśnie przed świtem zawsze atakują bandyci, wiedząc, że otępiałe od chęci zaśnięcia ofiary nie będą stawiać zdecydowanego oporu. Trudno rozstrzygnąć. A może tamci się zmieniają, na przemian śpiąc i czuwając?

Io posuwała się naprzód w ciemnościach. A mimo to mogła zauważyć zaczajonych w większej sali ludzi. To znaczy tych, których dało się dostrzec z korytarza. Tak jak się spodziewała. Bandziory Druzusa czekały w pełnej gotowości. No, właściwie to nic dziwnego. Poseł tego dnia miał się przenieść do innego pałacu. Jeśli więc ktoś miałby uderzyć, to właśnie dzisiaj. Konkretnie: tej nocy. Ale też dziewczyna wyobraziła sobie natychmiast, jaka jest kondycja ludzi, którzy od pierwszego zmroku do tej chwili trwają na posterunkach w gotowości do odparcia ewentualnego ataku. Ich stanu zdecydowanie nie nazwałaby pełnią sił i koncentracji.

Niemniej trzeba było bardzo uważać. Tym bardziej że opcją, która przeważała w jej głowie, był jeden błyskawiczny atak, by od razu sięgnąć celu, i natychmiastowy odwrót. Ale żeby zdecydować się na takie działanie, potrzebowała zdecydowanie więcej informacji. Posuwała się więc bezszelestnie do przodu, obserwując wszystko to, co mogła dostrzec.

Od skupionych pod ścianami bandziorów Druzusa dzieliło ją dosłownie kilka kroków. Była o włos, o moment krótszy niż wzięcie oddechu od ostatecznego skoku w kierunku celu.

Ale wtedy właśnie rozległ się straszliwy łoskot.

Zgodnie z obawami Nerideena zbrojni pilnujący skrzyni rzeczywiście zastawili pułapkę. Ale nie były to deski nabite gwoździami, kotły z wrzącą oliwą ani liny nasączone trucizną. Ktoś po prostu ustawił pod ścianą kilka garnków, jeden na drugim. I kiedy chłopak po ciemku kopnął w ten na samym dole, stos rozsypał się z takim hukiem, że nie tylko bandziory Druzusa zerwały się na równe nogi. Najprawdopodobniej zrobił to również sam poseł Cesarstwa Luan.

– Naprzód! – syknął Dziadek i skoczył w ciemność przed nimi.

Nerideen ruszył za nim, ale znowu jego lewa noga trafiła na garnek, pośliznął się i uderzył w ścianę. Ponownie narobił hałasu, ale tym razem wyszło na dobre. Obrońcy spodziewali się, że napastnicy wciąż znajdują się dalej, przynajmniej o kilka kroków. A Dziadek w tym czasie zabił już kogoś na pierwszej linii. Ktoś krzyczał, ktoś krzesał ogień.

Chłopak skoczył w kierunku iskier i ciął na oślep mieczem. Ręką szarpnęło, ale nie miał pojęcia, czy trafił w ramię bandziora, czy tylko w jakiś mebel. W każdym razie prób krzesania więcej nie podjęto.

Stojąca u wylotu innego korytarza Io zrozumiała, że trafia jej się niepowtarzalna okazja. Ktoś jeszcze zaatakował wynajętych przez poselstwo bandytów. W tej sytuacji idiotyzmem byłoby kontynuowanie wcześniejszego wstępnego planu. Może teraz uda się w ogóle bez wysiłku?

Dziewczyna z plecami przy ścianie przedostała się do sali, gdzie prawdopodobnie przechowywano skrzynię. Dwóch ludzi z mieczami, którzy blokowali korytarz, minęła w odległości mniejszej niż wyciągnięte ramię. Nie zauważyli jej. Przy drugim korytarzu trwała intensywna walka po ciemku. Tuż obok jakiś

szermierz chciał skrzesać ogień, ale chłopak, którego poznała w schowku, zabił go jednym uderzeniem miecza w głowę.

Świetnie! Nikt nie zwracał uwagi na sunącą powoli do celu dziewczynę.

Nerideen macał powietrze przed sobą wolną dłonią. Niczego nie widział. Słyszał tylko odgłosy masakry gdzieś z tyłu, po lewej. Za to tuż przed nim zamajaczył wyraźny blask. Usłyszał, że ktoś dmucha intensywnie.

Piecyk z węglami! Chłopak skoczył do przodu, ale nie udało mu się sięgnąć celu. Wpadł na kogoś i obaj przewrócili się na podłogę. Potrącony mężczyzna chwycił Nerideena za szyję i pewnie by zadusił, ale na szczęście młodego nie opuścił rozum.

– To ja! Co robisz? – krzyknął stłumionym głosem, będąc pewnym, że przecież wszyscy bandyci nie mogą się znać wzajemnie.

Nie przeliczył się. Bandzior puścił jego gardło i klnąc, zaczął gramolić się na nogi.

Ktoś wrzeszczał za plecami Nerideena, odgłosy walki po ciemku nasilały się z każdą chwilą. Ktoś znowu otworzył żeliwne drzwiczki piecyka z węglami.

Gdzie jest skrzynia? Psiamać! Gdzie jest skrzynia?!

Nie! Najpierw światło.

Jeden z ludzi Druzusa wyjmował właśnie z piecyka szczapę, którą w nim zapalił. W drugiej ręce trzymał ogromną oliwną lampę. Nerideen runął w tamtym kierunku. Nie udało mu się dosięgnąć mężczyzny, ale zdołał stłuc mu lampę. Oliwa chlusnęła na przeciwnika, a ten wiedziony rozsądkiem odrzucił płonącą szczapę daleko od siebie.

Zamieszanie było takie, że Io dopadła do skrzyni bez najmniejszego kłopotu. Jednym ciosem szpady w serce zabiła stojącego na niej mężczyznę. Stękając z wysiłku, strąciła na bok jego ciało.

Jest! Była u celu.

Szpada nie nadawała się do podważenia wieka, ani tym bardziej do potrzaskania okutych metalem desek. Io miała jeszcze ze sobą szeroki nóż o bardzo krótkim ostrzu. Wbiła je właśnie między wieko i ścianę skrzyni, ale niewiele poza skrzypieniem zdołała zdziałać.

Ktoś kilka kroków dalej znowu krzesał ogień. Najwyraźniej walka po ciemku nie rozstrzygała się na korzyść obrońców. Wywoływane tarciem krzemienia o nóż iskry nie trafiły jednak na przygotowaną podpałkę, bo chłopak ze składziku dziabnął mieczem krzesającego. Odniosły jednak inny skutek. Podpaliły oblanego przedtem oliwą mężczyznę.

W sali rozległ się wrzask dużo głośniejszy niż te dotąd. A miotająca się dziko żywa pochodnia oświetliła nareszcie wszystko wokół.

Io zrozumiała, że ma do dyspozycji już tylko krótkie chwile. Naparła na nóż, ale wciąż bez rezultatu.

Nagle wieko skrzyni odskoczyło lekko. Podniosła wzrok. Z naprzeciwka podważył je mieczem chłopak ze składziku.

– Papiery są moje! – Bezczelnie włożył rękę do środka.

– Moje! – zaprotestowała, wkładając tam obie dłonie.

Zaczęli się szarpać. Każde usiłowało uchwycić jak najwięcej.

– Tylko nie podrzyjmy obiektu zlecenia – zawołała.

– To puszczaj, głupia! To moje!

– Moje!

Wielki facet z toporem o mało nie obciął im dłoni. Cofnęli ręce w ostatniej chwili. Na szczęście ktoś odwołał dryblasa, krzycząc: „Gene! Gene, tutaj!”. Drugiego ciosu mogliby nie przeżyć. Ale sytuacja i tak zdawała się wymykać spod kontroli. Jakiś mężczyzna skoczył na Io, wymachując mieczem. Osadziła go sztychem swojej szpady. Ale potrzebowała chwili, żeby odzyskać broń. Dokoła nich gromadzili się przeciwnicy.

Dziadek w chybotliwym świetle zauważył, że Nerideen jest przy skrzyni. I że ma kłopoty. Ruszył więc w jego stronę. W pomieszczeniu zrobiło się już jasno, więc dotychczasowi przeciwnicy, przynajmniej ci, których dotąd nie sięgnął mieczem, ruszyli za nim. Z drugiej strony wrzeszczące źródło światła miotało się w różnych kierunkach i trudno było uznać panujące tu warunki oświetlenia za komfortowe. Bandyci wpadali na siebie, przewracali się. Niestety, większości udało się ruszyć w pogoń.

Io doskonale rozumiała, że to już koniec danego jej czasu. Jeśli miała ujść z życiem, to właśnie teraz. Nastała ostatnia chwila. Chwyciła do ręki tyle papierów, ile mogła zmieścić w garści, i wstała, osłaniając się szpadą. Ktoś ją popchnął i przewrócił się pod nogi. Nie mogła zrobić kroku w tył, a z przodu atakował właśnie siwy mężczyzna z uniesionym mieczem.

Nagle twarz Io przybrała wyraz bezbrzeżnego zdziwienia.

– Tato?!

Dziadek już miał wyprowadzić śmiertelne uderzenie, kiedy nagle coś sprawiło, że oczy rozszerzyły mu się do granic możliwości.

– Córcia?!

Nerideen, uwolniony od konieczności walki z konkurencją, wyjął ze skrzyni resztę papierów i przycisnął do piersi niczym najcenniejszy skarb. Potem, zszokowany tym, co widzi, potrząsnął głową.

– To wy się znacie?!

Dziadek nie mógł uwierzyć, kogo ma przed oczami.

– Co ty tutaj robisz?

– Mama kazała cię szukać. – Io przepuściła po klindze cios jakiegoś bandyty. – Wiedziała, że masz pewnie znowu problemy z pamięcią.

– Za dużo ciosów w głowę. – Dziadek zablokował czyjś sztych, a potem wykonał gładkie kontrcięcie.

– A może za dużo wódki? – Dziewczyna uśmiechnęła się perfidnie.

– Uciekajmy! – Nerideen podskoczył do nich, widząc, że wokół gromadzą się napastnicy. – Szybko!

Rzeczywiście. Za moment mogło być za późno. Chłopak naparł na rozmawiających i masą ciała popchnął ich w kierunku drzwi. Roztrącając przeciwników i parując liczne ciosy, wydostali się na korytarz. Tu było łatwiej. Nerideenowi udało się nawet przewrócić jakiś mebel, co na moment powstrzymało pogoń.

Niestety, im dalej od sali z żywą pochodnią, tym ciemniej się robiło. Chłopak musiał wybierać. W jednej ręce miał ważne papiery, w drugiej broń i brakowało trzeciej, żeby sunąć dłonią po ścianie. Io musiała zauważyć jego wahanie, bo położyła mu ręce na ramieniu.

– Poprowadzę cię.

– Dzięki! – odparł, ale zaraz zrozumiał, że coś tu nie gra. – Ty widzisz w ciemności? – zapytał oszołomiony.

– Tak.

– A on? – Zaskoczony wskazał na Dziadka.

– On słyszy.

– Naprawdę się znacie? – To było najgłupsze pytanie, ale w szoku tylko takie przyszło mu do głowy.

– No raczej tak. Ja go znam od urodzenia.

Dotarli do większej sali, gdzie udało się zamknąć drzwi, zanim dogonili ich bandyci. Io znalazła ozdobną halabardę i użyła jej jako rygla, a Nerideen przysunął pod próg ciężką skrzynię.

– Odzyskałeś pamięć? – To pytanie było skierowane do Dziadka.

– Tak. Tak sądzę.

– I wiesz już, o co chodziło z Biafrą?

– Wiem.

– A wiesz już, kim jesteś?

Dziadek wydał odgłos jakby syknięcia, wątpliwości, niechęci, może nawet zniesmaczenia.

– No niestety... wiem.

– Koniec gadania! – zakomenderowała Io, słysząc, że bandyci dobijają się do drzwi. – Macie jakiś plan ucieczki? Ja do swojego kanału stąd już nie dotrę.

– Chodź z nami, córeczko.

– A gdzie?

Dziadek dokładnie zapamiętał, jak wyglądała makieta przedstawiona mu przez Biafrę, i wskazał kierunek, gdzie znajdowała się gotowa do zawalenia zewnętrzna ściana pałacu. Niestety, jego palec wskazywał właśnie stronę, z której coraz mocniej dobijali się ludzie Druzusa.

– Aha. – Io popatrzyła w tamtym kierunku z niewyraźną miną. – To czemu uciekliśmy właśnie tutaj?

– Nie wiem. Nerideen prowadził, a on jest nieobliczalny.

– Nie jestem nieobliczalny! – obruszył się chłopak. – Nie patrzyłem po prostu, gdzie was popchnąłem, bo mogliśmy zginąć.

– Ty nigdy nie patrzysz tam, gdzie trzeba. Co robił Biafra, nie zaobserwowałeś, bo wlepiałeś gały w dziewczyny z jego plutonu, makiety nie zapamiętałeś, bo... Zaraz! – zorientował się Dziadek. – A dlaczego nie patrzyłeś, w którą stronę nas pchałeś?

– Bo patrzyłem na twoją córkę – odparł szczerze Nerideen.

– I sama widzisz – siwy mężczyzna zwrócił się do Io – jemu tylko dziewczyny w głowie!

– Tato, a kim on jest?

– To mój uczeń.

– A, no to wszystko jasne. Wybrałeś takiego, co ma niepoukładane w głowie, identycznie jak ty!

– Błagam was – przerwał im Nerideen. – Później się pokłócicie. Teraz uciekajmy!

– Niby którędy?

– No nie wiem. Może znajdźmy jakieś obejście albo co? Te drzwi zaraz puszczą.

– Fakt – pierwsza zebrała się Io. – Jak rozumiem, w kierunku, skąd atakują, do zewnętrznej ściany?

– Tak.

– To chodźcie za mną. Poprowadzę.

– Też widziałaś makietę? – zainteresował się chłopak.

– Widziałam plany budynku. Ale wolę się zdać na mój instynkt.

Ruszyli w stronę bocznego korytarza, prostopadłego do poprzedniego. Dziewczyna znowu położyła rękę na ramieniu Nerideena i udało im się poruszać nawet stosunkowo szybko.

– Druzus co prawda zbyt mądry nie jest – mruknął Dziadek – ale trudno go z kolei nazwać kretynem.

– Co masz na myśli?

– Wie, że uciekamy. Ustawi ludzi tu i tam.

– Na najbardziej prawdopodobnych kierunkach. Tak. Też mi to przyszło do głowy.

– A teraz będą uprzedzeni, w pełni oświetleni i jak najbardziej gotowi.

– No niestety.

– To może jednak pójdziemy w stronę twojego kanału? – nieśmiało zaproponował Nerideen.

– A przepłyniesz pod wodą sześćdziesiąt kroków?

To ucięło dalszą dyskusję.

– Idziemy dokoła pałacu – zakomenderował Dziadek. – Io, prowadź.

Dziewczyna wysunęła się naprzód, nie puszczając ramienia Nerideena. A chłopak miał do rozstrzygnięcia poważną życiową kwestię. Dotyka go, bo chce jedynie, żeby jej oddział zachował sprawność bojową? Czy może ten gest ma jakieś inne, ukryte znaczenie? Może go lubi? A może po prostu jej się spodobał? No przecież w tym składziku gadało im się niezwykle przyjemnie.

Fascynujące rozmyślania ogromnej wagi zaprzątnęły go trochę za bardzo. Mimo prowadzącej ręki o mało nie wyrżnął w zastrzał

jakiejś drewnianej podpory.

– Uważaj! – syknęła Io, a potem odwróciła się do swojego ojca. – Widzę światło. Dokładnie na kierunku, w którym idziemy.

– No szlag. Ja jeszcze nie widzę.

– Uwierz mi na słowo. W niewielkiej sali czeka kilkunastu zbrojnych, tuż przed ścianą, przez którą mamy wyjść.

– Druzus też wie, którędy prowadzi droga ucieczki. Ktoś z poselstwa ma głowę na karku.

– Musimy wymyślić jakiś plan.

Dziadek wzruszył ramionami.

– Powtórzę to, co powiedział mi mój nauczyciel wiele, wiele lat temu.

– Co?

– Na co mi misterny plan, skoro dotąd żaden mi w życiu nie wyszedł?

– To co robimy?

– A teraz zacytuję mojego młodszego kolegę: trudno... trzeba iść i napierdalać!

Io potrząsnęła głową.

– Tato! Czy ty się kiedykolwiek zmienisz?

– No raczej już nie – odparł Dziadek pogodnie i ruszył przodem. – Za mną! – rozkazał.

– Co? – nie zrozumiał Nerideen. – Idziemy tak na oślep?

– Nie wiem, co cię dziwi – mruknęła dziewczyna. – Nie zauważyłeś, że on po prostu lubi się naparzać?

– Wiesz, spotkałem go, jak przemierzał dzikie ostępy. Zdawał się czegoś szukać.

– Nie czegoś, tylko kogoś.

– Wiesz kogo?

– Wiem. – Dziewczyna skinęła głową. – On szuka wojownika, który okaże się lepszy od niego. I będzie go tak szukał do końca...

– Może wreszcie znajdzie?

Światło z ostatniej sali w korytarzu było już na tyle intensywne, że dziewczyna mogła spojrzeć Nerideenowi w oczy. Widział wyraźnie

jej twarz i moment, kiedy pojawia się na niej uśmiech.

– Wątpię – powiedziała.

Potem puściła jego ramię. Tu już chłopak mógł poruszać się sam.

– No to wchodzimy!

Dziadek potraktował kopniakiem półotwarte skrzydło drzwi. Stojącym na korytarzu ukazało się kilkunastu mężczyzn z mieczami wyciągniętymi do przodu. Prawie opierali się o przeciwległą ścianę. Na twarzy każdego z nich rysował się identyczny wyraz kpiny. I co? – zdawały się mówić ich spojrzenia. Tędy chcecie uciekać? Pewnie nawet wojskowi byliby pod wrażeniem. Idealnie równy szereg najeżony ostrą bronią. Przeszkoda nie do pokonania. Pewni siebie wojownicy, którzy nie cofną się o krok. Młodzi, sprawni, silni, nie do ugięcia.

A naprzeciwko nich stanął siwy mężczyzna. Przekrzywił głowę. Powoli uspokajał oddech, który przyspieszył podczas gonitwy przez korytarze. A potem na jego twarzy również pojawił się uśmiech. Bynajmniej nie kpiący. Wyczekujący.

Większość mężczyzn z bronią, którzy czekali pod ścianą, odpowiedziała na jego uśmiech w stylu: „Sam pchasz się na rożen”. Samotny szermierz nie miał szans. Sala, w której się spotkali, była doskonale oświetlona pochodniami tkwiącymi w żeliwnych uchwytach. Przeciwnik był ostrzeżony i w pełni gotowy. Górował nie tylko liczbą, ale wiekiem, kondycją i chamstwem, które tu właśnie zamieniało się w nieskończoną pewność siebie.

Atmosfera tężała. Obie strony mierzyły się wzrokiem. Dosłownie chwile dzieliły przeciwników od tego, żeby rzucili się na siebie. Ułamki chwili dzieliły wszystkich od jatki, w której samotny stary drapieżnik zostanie rozszarpany przez stado żądnych władzy młodych.

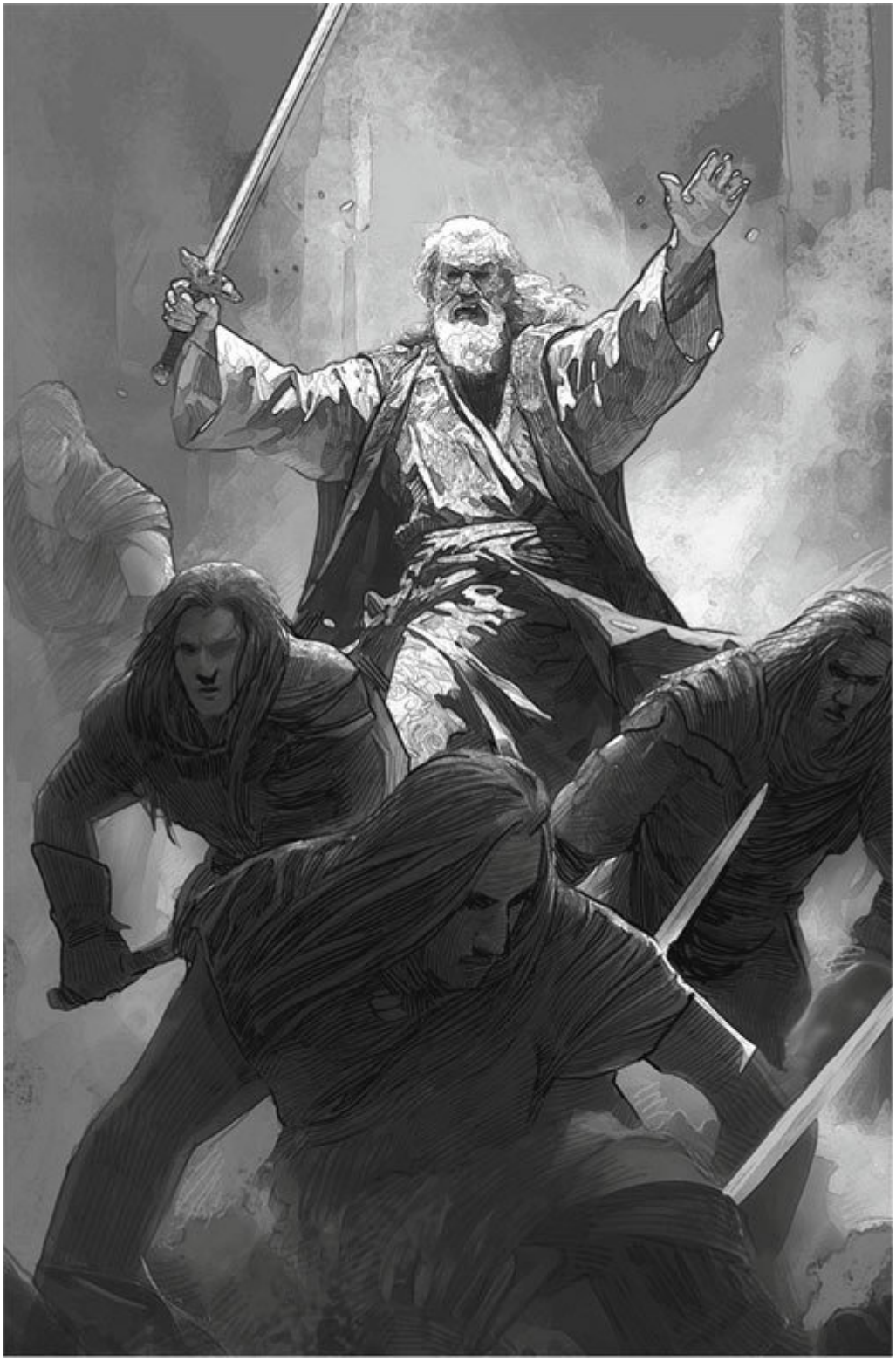

– Dobrzy Bogowie, ja go znam!! – zawołał jeden z szermierzy pod ścianą. – To Virion!

A wtedy Dziadek uniósł swój miecz.

– Dobrzy Bogowie, ja go znam!! – zawołał jeden z szermierzy pod ścianą. – To Virion!

Dramatyczna cisza zapadła nagle w pomieszczeniu. Zdawało się, że każdy z obecnych wstrzymał oddech. Nerideen poczuł, że kręci mu się w głowie.

– Ja pierdolę! – Ktoś z młodych rzucił miecz na posadzkę i ruszył do bocznych drzwi. – Ja się na to nie pisałem.

Ktoś inny rzucił na środek sakiewkę.

– Nie biorę zapłaty, nie wykonuję zadania. Ale odchodzę żywy.

Ktoś jeszcze upuścił swój miecz, który z brzękiem wylądował na podłodze.

– Beze mnie – jęknął. – Ja dziękuję.

Pozostali patrzyli baranim wzrokiem. Siwy mężczyzna zrobił krok do przodu.

Na szczęście Nerideen mimo samego dna oszołomienia wykazał się refleksem. Podszedł do samotnego szermierza, wyjął mu piszczałkę zza pasa i dmuchnął z całej siły w okuty metalem ustnik. Świdrujący uszy dźwięk sprawił, że za ścianą rozległy się odgłosy kucia. Pojedyncze cegły zaczęły wypadać prawie natychmiast, a cała ściana zachwiała się złowieszczo.

Tego młodym wojownikom było już stanowczo za dużo. Najpierw jeden, dwóch, a potem cała reszta zaczęła uciekać w stronę najbliższego korytarza. Tłocząc się i przepychając, zdawali się pamiętać tylko o jednym: żeby pod żadnym pozorem nie spojrzeć w oczy staremu z mieczem, który pozostał na środku.

Rozdział 7

Posła obudzono tuż przed świtem.

– Panie! Wielki panie! Zaatakowano nas w nocy!

Sędziwy dyplomata z trudem podniósł głowę z poduszki. Drżącymi dłońmi przecierał oczy.

– Co zrobiono?

– Zaatakowano!

– A po ludzku?

– Napadli na nas w nocy bandyci!

– A. No to idę już. Idę.

– Panie! Twoje życie jest zagrożone. Honor Luan...

– Ciiii. Co się stało?

– Napadli na nas w środku nocy i zrabowali dokumenty ze skrzyni, której pilnował Druzus. Bandyci...

– Uspokój się. Skoro zrabowali zawartość skrzyni, to nie bandyci. Tylko koledzy ze służb z innych państw.

Lokaja zatkało. Nie był doświadczony. Służył od roku i dopiero się wdrażał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego humor jego pana, zamiast pogrążyć się w czerni, stawał się lepszy z chwili na chwilę.

– Ale nie możesz narażać swojego życia, panie! – nie ustawał. – Wezwijmy zbrojną eskortę!

– Skoro napastnicy kręcili się wokół pomieszczenia, gdzie zdeponowałem skrzynię, to znaczy, że nawet nie zbliżyli się do komnat, w których mieszkam ja! – Polityk osadził służącego i jednym zdaniem zgasił jego zapał. – Prowadź!

– Tak jest, panie. – Teraz już nie sposób było protestować.

– I chcę tu mieć więcej światła!

– Tak jest.

Szpica bezpośredniej obstawy posła ruszyła na zwiad. Reszta jego osobistych zbrojnych otoczyła mały orszak złożony z kilku najbliższych pracowników, których właśnie obudzono, ale nikt z nich nie trudził się nawet, żeby dobyć broni. Oni świetnie odczytywali intencje szefa. A poza tym byli profesjonalistami. Doskonale zdawali sobie sprawę, że to nie pospolite bandziory dokonały ataku na pałac. A skoro uderzenie było dziełem innych profesjonalistów, pracowników wywiadów wrażych państw, to wiadomo, że ci nie podniosą ręki na dyplomatów. Korzyść z tego żadna, a groźba utraty zdolności honorowej ogromna.

Kiedy zeszli na parter, służącym udało się zorganizować lepsze źródła światła niż migoczące i śmierdzące lampki. Ktoś dostarczył z zewnątrz wielkie pochodnie do oświetlania placu manewrowego. W pałacowych salach zrobiło się prawie widno.

– I co tu mamy? – Poseł zatrzymał się na widok zwłok leżących w kałuży krwi.

– To jeden z naszych – wyjaśnił lokaj. – To znaczy jeden z ludzi wynajętych przez Druzusa.

W sali obok było więcej ciał. Leżały w najróżniejszych pozycjach. Niekoniecznie w takich, w jakich zastała ich śmierć. Ludzie wynoszący rannych mogli tu wiele poprzestawiać i dlatego poseł postanowił się zorientować. Zauważył dowódcę najemników i wezwał go skinięciem dłoni.

– To wszystko twoi ludzie? – zapytał.

– Tak, panie – mruknął Druzus, krzywiąc się z niechęcią. – Bronili skrzyni do ostatka.

– Obronili?

– Sama skrzynia jest. Ale zawartość została zrabowana.

– Aha. A gdzie położyliście zwłoki napastników? Ciekawie byłoby przyjrzeć im się bliżej.

Szermierz natchniony miał minę, jakby chciał kogoś zamordować.

– Nie ma zwłok napastników. Ale na pewno wielu z nich zostało rannych!

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Uhu, hu, hu. – Poseł rozłożył ręce przed swoim sekretarzem. – Widziałeś, jak mnie cenią? Wysłali przeciwko mnie elitę elit, samą śmietankę zawodowców. Po całej nocy łupaniny w korytarzach nie zdołaliśmy sięgnąć ani jednego.

Sekretarz skłonił głowę z szacunkiem.

– Boją się ciebie, panie.

– Ja myślę. Ale też pochlebiają mi tym, przyznam.

– Dobrze, że cię humor nie opuszcza, panie.

– Nie zamierzam go tracić z powodu byle ruchawki na parterze. Na majestat cesarstwa łotry bały się jednak rękę podnieść.

Sekretarz przeniósł wzrok na Druzusa.

– Czy wiadomo, kto na nas napadł?

– A owszem. Już zdążyłem przepatrzyć podłogi w miejscach, gdzie toczyła się walka. I proszę, co znalazłem. – Szermierz zaprezentował garść połyskujących drobiazgów. – O! Na przykład to. Klamra od pasa armii Arkach. Elitarna jednostka.

– No nie... – Poseł nie mógł się powstrzymać przed złośliwością. – Dziewczyny na was napadły? I zrabowały, co chciały?

Druzus zacisnął szczęki.

– Mnie tutaj nie było. Sam kazałeś mi, panie, strzec wejścia na górę.

– Wiem, wiem. Toteż i do ciebie pretensji nie mam.

Ta uwaga w żaden sposób nie polepszyła mu humoru.

– W istocie zauważono jedną kobietę, choć nikt się nie przyjrzał. Natomiast kilkudziesięciu pozostałych napastników to byli mężczyźni.

– Kilkudziesięciu? – Dyplomata potoczył wzrokiem po ścianach. – Cud, że się tu w ogóle zmieścili – mruknął. – Nieprawdaż?

Sekretarz opanował śmiech i zerknął na inne drobiazgi znalezione na polu bitwy.

– Pozostali też z Arkach? Najemnicy?

Druzus pokazał oddarte od munduru insygnia.

– To odznaka dziesiętnika armii Troy. Widzicie te wyszywane gwiazdy, panowie? To jednostka wyszkolona do ataków w nocy.

– Co oni? – Sekretarzowi opadły ręce. – Już tak oficjalnie? Rąsia w rąsię przeciwko nam?

– W Arkach mają taką sentencję: wróg naszego wroga to nasz przyjaciel.

– Ale żeby razem atakować? Oficjalnie?

– Nie wiemy, co się tutaj wydarzyło – stwierdził poseł, zachowując spokój. – Przyznasz jednak, że z powodu wojny przeciwko nam Arkach i Troy są tak jakby naturalnymi sojusznikami.

– Ale może by tak poinformować świat dyplomatyczny, że doszło już do oficjalnego sojuszu? – nie ustępował sekretarz. – Może by tak na przykład honor podyktował właściwy wzór postępowania?

– Nie wiemy, do czego tu doszło – powtórzył poseł. – Jeśli jednak te dwa królestwa znalazły się w sojuszu, to dni Arkach są policzone.

Tą uwagą zadziwił nawet Druzusa. I to do tego stopnia, że szermierz zadał pytanie w kwestii, która w ogóle nie powinna go interesować:

– Dlaczego tak myślisz, panie?

– To przecież proste. Troy może choć trochę osłabić cesarstwo cudzymi rękami. Więc ich dyplomacja będzie tutejszej królowej obiecywać złote góry. Powiedzą wszystko, co tylko miejscowi będą chcieli usłyszeć. Że przybędzie pomoc wojskowa, że interwencja, że broń przyślą w dowolnej ilości, obce pieniądze popłyną do Arkach jak rwące rzeki, a kiedy się zacznie tak naprawdę, to cała potężna armia Troy ruszy w sukurs natychmiast!

– Ha, ha, ha... – Poseł rozbawił nawet sekretarza. – Tia.

– A nie ruszy?

– Ruszy, ruszy. I będzie walczyć z nami do ostatniego żołnierza... Arkach.

– No ale przecież i tak wojna.

– Im więcej naszych sił zwiąże Arkach, tym łatwiej im będzie po drugiej stronie. A jeśli to małe królestwo podda się na jakichś rozsądnych warunkach, to przecież Troy zostanie w walce z nami samo. Prawda?

– Więc obiecają im wszystko – dokończył sekretarz. – I zrobią wszystko, byleby tylko Arkach dało się wyniszczyć, walcząc z nami do końca.

Druzusa najwyraźniej męczyła jeszcze inna kwestia, bo przyglądał się dyplomacie długą chwilę, a potem znowu zadał pytanie zupełnie niezwiązane ze swoim zakresem obowiązków:

– A dlaczego informacja o zrabowaniu dokumentów wcale was nie martwi, panie?

Poseł uśmiechnął się przyjaźnie.

– Ano dlatego mnie nie martwi, że źli ludzie ukradli efekt wielodniowej pracy moich skrybów. Właśnie do nich adresowany.

Nawet sekretarz nie był wcześniej uprzedzony o akcji, bo podniósł gwałtownie głowę.

– Nie może być! Panie?

– Może, może. Nie wiedziałem co prawda, kto się ośmieli napaść na pałac, więc trochę musiałem ściemniać w tych dokumentach. Na Arkach to nie wywrze wrażenia, ale jeśli dokumenty zdobyło Troy, to chłopcy tam poszaleją ze szczęścia. Będą myśleli, że mają asa w ręku.

– A to dlatego chciałeś, żebym wynajął wielu ludzi, nie bacząc na jakość – domyślił się Druzus. – Mieli stanowić przynętę?

– W rzeczy samej. Niepokoi mnie jednak fakt, że tak łatwo znalazłeś wiele śladów zdradzających, kim byli napastnicy.

– Dlaczego, panie?

– Bo ani ci z Troy, ani ci z Arkach nie są aż tak głupi, żeby aż tyle swoich rzeczy nagubić. A to może świadczyć, że w aferze macza palce jakaś trzecia siła.

Virion i Nerideen jechali na wozie ewakuacyjnym Biafry w otoczeniu jego zbrojnych, zasłonięci przed okiem przechodniów płóciennymi ścianami. Zresztą niewielu tych przechodniów było.

Kiedy nastał świt, opuszczali miasto przez specjalnie dla nich otwartą bramę. Już za murami mogli obserwować słońce, które mozolnie pięło się po nieboskłonie, sprawiając, że chyba wszystkie ptaki w okolicy podjęły radosny śpiew.

– No i mieliśmy już tego nie ujrzeć. – Siwy mężczyzna o przezwisku „Dziadek" spoglądał przez szpary w płóciennym pokryciu wyraźnie zadowolony z rozpoczynającego się dnia. – Widzisz, młody, jak się życie plecie.

– Ty naprawdę jesteś Virion? – Chłopakowi po głowie chodziły zupełnie inne sprawy. – Ten Virion?

– No ten, ten... Ale popatrz. Rano pobiliśmy się z bandytami, wsadzili nas do celi śmierci, a wieczorem facet, który miał być świadkiem egzekucji na stryczku, uratował nas i znowu poszliśmy naparzać bandytów. Czyż to nie zabawne? Czy widzisz w tym chichot Bogów?

– Ale powiedz. Jak się żyje, będąc legendą?

– Normalnie.

– To znaczy jak? Wszyscy ci się kłaniają na targu?

– A niby skąd mają mnie znać? Zresztą co to kogo obchodzi?

– Mnie obchodzi. – Nerideen zdał sobie sprawę, że strzelił grubą gafę. Przecież sam nie rozpoznał mistrza, i to mimo długiej wspólnej podróży. – Czytałem wszystkie książki o twojej walce.

– O Bogowie...

– Znam imiona wszystkich mistrzów, których pokonałeś.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że większość autorzy wyssali sobie z palca?

– Zabiłeś sam jeden dwudziestu rycerzy, którzy się na ciebie rzucili?

– Owszem.

– A mając tylko dwudziestu ludzi, rozgromiłeś cały Legion Moy w serii pojedynków?

Virion zaczął się śmiać. I w ogóle był dziś radośnie nastawiony do otoczenia. Zawsze był pogodny, teraz jednak doszło coś jeszcze. Być

może do tego nastroju dokładał się fakt, że odzyskał pamięć? A może to, że spotkał córkę?

– Ten temat pomińmy milczeniem.

– Ale powstrzymałeś cały legion?

– No, powiedzmy.

– I spałeś z setkami kobiet...

– Aaaa! Do tego zmierzasz – roześmiał się Virion. – Wiedziałem, że ta rozmowa zdąża do jakiegoś celu.

– Nie zdąża – żachnął się chłopak.

– Tia. Na szczęście troska o honor kobiet, z którymi miałem zaszczyt być bliżej, zabrania mi opowiadania czegokolwiek na ich temat. Bo stracę własny.

Nerideen na słowo „honor" zareagował niczym cesarski gwardzista.

– I tak bym nie dopytywał.

– Akurat.

Ciekawość jednak była silniejsza.

– Nie chcę znać imion, brońcie Bogowie. Ale zdradzisz mi, ile ich było?

– Wiedziałem! – Virion zaczął się śmiać i pociągnął łyk z ogromnej wojskowej manierki, którą dostał od Biafry. – Wiedziałem.

Nerideen nie drążył. Zamierzał poruszyć daleko bardziej ważny temat, ale nie miał odwagi.

– Eee... – Z trudem zbierał się do wypowiedzenia właściwych słów. – Kiedy twoja córka...

– Znowu o dziewczynach?

– Nie, nie, ja... Nie wiem, jak powiedzieć.

– Mów, mów.

– Kiedy zapytała, kim jestem, odpowiedziałeś, że jestem twoim uczniem.

Virion spojrzał na chłopaka spod oka i skinął głową.

– No?

Nerideen aż podskoczył.

– Naprawdę jestem?!

Siwy mężczyzna parsknął śmiechem.

– No jesteś. Zdałem sobie sprawę, że chyba dochodzę do wieku, kiedy powinienem mieć ucznia. I pozostawić mu w głowie parę rzeczy, które przetrwają trochę dłużej.

– Ale dlaczego ja?!

Virion przełknął kolejny łyk i wzruszył ramionami.

– Przede wszystkim los nas zetknął i miałem możliwość obserwować cię w różnych sytuacjach. Może i jesteś głupi, ale to da się zmienić. Natomiast masz wrodzoną zaczepność, nie postępujesz jak wszyscy wokół, tylko masz własne zdanie.

– Mówisz o tym obozie łowców niewolników? Chyba nie poszło mi za dobrze.

– Bez znaczenia. Ty jedyny wyjąłeś miecz. Tylko ty stanąłeś do walki. Sam jeden. Podczas kiedy stado stało i meczało bezwolnie.

– Wtedy to tylko ty...

Virion podniósł dłoń, by pokazać, że to bez znaczenia.

– Wszystkiego można się nauczyć. Resztę można sobie kupić. Jedynie dusza jest niezmienna, a na rynku nie ma lepszych modeli na zmianę.

Nerideen aż podskoczył.

– I sądzisz, że ja taką mam?

– Zobaczymy. Ale rokujesz. Jeśli ktoś po ciemku krzyknął do dryblasa: „To ja!”, sądząc, że tamten też nic nie widzi i go puści, to... Określiłbym to jako zdecydowanie dobre rokowanie.

Chłopak opadł nagle i oparł się plecami o burtę wozu. To był chyba najlepszy dzień w jego życiu. Coś, o czym marzył zatopiony w lekturze, właśnie zyskiwało realny kształt.

– Ty też miałeś swojego mistrza? – zapytał po dłuższej chwili.

– Tak. Miał na imię Horech, był okropnym pijakiem i niedościgłym wzorem.

– I wybrał właśnie ciebie?

– Tak jak i w naszym przypadku, zetknął nas los. Tak jak i teraz, on coś we mnie dostrzegł.

– I to on cię nauczył tak fechtować?!

Virion znowu zaczął się śmiać.

– Zawsze zniechęcał mnie do rąbania mieczem. Nie na tym polega walka, powtarzał. Ale nauczył mnie nieprawdopodobnej rzeczy, którą dopiero teraz zaczynam rozumieć.

– Jakiej rzeczy? – Nerideen chłonął każde słowo z wypiekami na twarzy.

– Nauczył mnie mieć wszystko w dupie. I cieszyć się ze świata, jakim jest, zmieniając go tylko w drobiazgach. Ale zasadniczych.

Chłopak potrząsnął głową.

– Chyba nie rozumiem.

– Jak i ja wtedy. Ale nie martw się, miną lata i zrozumiesz. I pogodzisz się ze światem. Bo taka jest kolej rzeczy dla ludzi rozumnych.

Chłopak wiercił się i kręcił, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Zbyt wiele palących kwestii chciał poruszyć, ale sam czuł, że rozmowa robi się chaotyczna i przypomina skakanie z tematu na temat z liźnięciem zaledwie każdego z nich.

– Jak mogę zostać szermierzem, skoro gimnazjonu nie kończyłem, nie umiem robić mieczem, nie mam żadnych podstaw?

– Nauczysz się.

– Nie nauczę! Zmarnowałem najlepsze lata i już nie odrobię strat!

Virion po raz pierwszy dzisiaj spojrzał na Nerideena z poważną miną.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział. – Te przeszkody istnieją tylko w twojej głowie. Tak naprawdę ich nie ma.

– No jak nie ma? Przecież nie nadrobię tylu lat!

– Nadrobisz.

– Niby jak?

– Poprzez upór.

– Nie. To niemożliwe! To się nigdy nie uda!

– Wszystkie przeszkody istnieją tylko w twojej głowie – powtórzył Virion. – Uwierz mi, kiedy przed wiekami Bogowie zstąpili na szczyt góry, żeby przekazać ludziom zasady magii i starożytną wykładnię praw, to najwyższy z nich nie kazał wyryć w kamieniu

następujących słów. – Virion rozpostarł ręce jak kapłan w świątyni podczas składania ofiary. – „Zaprawdę powiadam wam, że Nerideen jest szermierzem do dupy po wsze czasy!”

Był tak zabawny, że chłopak parsknął śmiechem. Oczywiście w żaden sposób nie przybliżyło go to do wiary we własne siły. Siedzący naprzeciw towarzysz chyba zrozumiał, co dzieje się w głowie Nerideena, bo powiedział:

– Kiedyś Horech zapytał mnie, jaka jest najważniejsza cecha, którą powinien mieć szermierz. Odparłem, że refleks, szybkość, zdecydowanie, znajomość szermierki, poznanie największych tajników, sztuczek i zwodów, nie pamiętam, co tam jeszcze naplotłem.

– A jaka jest najważniejsza cecha według twojego mistrza?

– Osobowość.

Nerideen potrząsnął głową.

– Trudno w to uwierzyć.

– I tak samo ja nie wierzyłem. Ale życie pokazało, że to Horech miał rację.

– I niby jak to można sprawdzić?

– A bardzo prosto – uśmiechnął się Virion. – Swego czasu znałem chyba wszystkich szermierzy natchnionych na świecie. I każdy z nich wiedział jedno. Między sobą się nie pojedynkujemy. Bo to nie ma sensu, niczego ta walka nie pokaże, nic nie udowodni. Wygrać można wyłącznie przez przypadek. No ale nie wszyscy się lubili. Kiedyś Hekke i Nolaan musieli przebywać ze sobą dłużej, biorąc udział w pewnej wyprawie. Nie cierpieli się wzajemnie, dogadywali sobie przy każdej okazji...

– Czytałem o obu! – Nerideen miał teraz wypieki na twarzy. – Legendarny Nolaan. Mistrz, który nigdy nikogo nie zabił.

Virion, który przytknął właśnie do ust wojskową manierkę, prychnął, pokrywając wszystko drobinkami wódki.

– Tia – mruknął, wycierając usta dłonią. – Gdyby w pewnej bitwie nie zabijał wszystkiego, co usiłowało podejść z mojej prawej, to pewnie już bym nie żył.

– Rozumiem. – Chłopak wpatrywał się w mistrza rozszerzonymi oczami. Dawne bitwy, pojedynki, legendarne zwycięstwa. O tym wszystkim czytał w dzieciństwie i w literackim, urojonym świecie żył bardziej niż w realnym. – Mam nie wierzyć we wszystko, co piszą w kronikach.

– Właśnie. A wracając do tych dwóch. Hekke był technicznie lepszy. Może nawet szybszy, może bardziej zdecydowany. A na pewno górował na Nolaanem swoją prostotą. Dla niego był łatwy wybór: napierdalać lub nie. Natomiast książę był wyrafinowanym intelektualistą. Dla niego każda sprawa składała się z miliona odcieni szarości, a podjęcie decyzji to był skomplikowany, wielowarstwowy proces.

– Ale szermował doskonale.

– Owszem. Z tym że jak go porównać z Hekkem? Na własne oczy widziałem, jak Hekke przeskoczył człowieka stojącego naprzeciw. Bez rozbiegu, bez odbicia, po prostu przeskoczył. – Virion cmoknął cicho. – W swoich najlepszych latach nie potrafiłem dokonać czegoś takiego.

– Chyba nikt nie potrafi.

– Widziałem. Widziałem też, jak biegał po ścianie. Widziałem, jak wbiegł na sufit. On wymyślił swoją oryginalną metodę walki. Trzymał miecz tylko w trzech palcach, pozostałymi jedynie blokował. I przerzucał go płynnie z góry na dół lub odwrotnie. Przeciwnik nigdy nie wiedział, skąd padnie cios.

– W trzech palcach? Wydaje się niemożliwe.

– Ha, ha. Pewnie po latach ćwiczeń nie potrafiłbym trzymać miecza w trzech palcach, nie potrafiłbym przeskoczyć człowieka i wbiegać na sufit. Nolaan też tego nie potrafił.

– I doszło do walki?

– Owszem, Hekke na swoją zgubę został przedstawiony u dworu, spodobał się i damom, i nowym kolegom. Pojedynkował się, koledzy na niego stawiali, dorabiając się dużych pieniędzy. Aż w końcu zabrakło chętnych przeciwników. No to dworzanie wymyślili walkę

stulecia. I tak poprowadzili intrygę, że ze względów honorowych Nolaan musiał stanąć naprzeciw Hekkego.

– I kto wygrał?

– Co? Nie napisali o tym w kronikach ani w rycerskich romansach?

– Nie.

– Bo nie było się czym chwalić. A tu lepszy technicznie szermierz o lepszej kondycji stanął naprzeciw księcia, któremu nawet nie chciało się ćwiczyć codziennie, bo miał co innego do roboty.

– I to książę zwyciężył? – Nerideen nie mógł uwierzyć.

– Tak. Zwyciężył inteligencją. A uwierz mi, rozum nie bierze udziału w walce. I dlatego teraz już wierzę Horechowi. Nolaan miał po prostu silniejszą osobowość. Był bardziej charyzmatyczny. A spróbuj wygrać na miecze swoją wyjątkowością... Ha, ha.

– Chyba nie do końca rozumiem – przyznał się chłopak.

– Kiedyś wszystko pojmiesz. Albo wcześniej zginiesz bez tej wiedzy i bez zrozumienia.

– Ciekawa perspektywa. Przyznam jednak, że o szermierce, walce, honorze mógłbym rozmawiać całymi dniami. Nie ma przecież bardziej interesującego tematu.

Virion znowu zaczął się śmiać. Musiał przejrzeć na wylot młodzieńczą duszę, bo bez problemu zmienił temat na jeszcze bardziej pasjonujący Nerideena.

– A co myślisz o dziewczynach?

Chłopak dał się złapać jak niemowlę. Spojrzał na Viriona cielęcym wzrokiem, a na jego twarzy pojawił się pewien nieokreślony wyraz.

– Bez łączenia wszystkich spraw to muszę przyznać, że masz niesamowitą córkę.

– Tak? – Z twarzy Viriona nie schodził kpiący uśmiech. – Jaka jest? – podjudzał nawet.

– No naprawdę. Jest niezwykle inteligentna, mądra nawet, doświadczona, strasznie zabawna i wesoła. Dowcipna! Tak, tak właśnie. Urocza. I prześliczna. Przed chwilą mówiliśmy

o osobowości. A czy wiesz, jaką ona ma piękną osobowość? I jaką głęboką?

– I tego wszystkiego dowiedziałeś się, stojąc z nią na golasa przez chwilę w składziku?

Nerideen dopiero teraz zrozumiał, że dał się złapać. Zaklął i opuścił wzrok. Trochę ze wstydu. Virion poklepał go po ramieniu.

– Nic o niej nie wiesz – westchnął. – Nic o niej nie wiesz.

– Myślałyśmy, że szału dostaniemy, czekając na ciebie przy tym kanale. – W głosie Fedry brzmiał wyraźny wyrzut. – Już sądziłyśmy, że po tobie.

Io wzruszyła ramionami.

– Znalazł się inny sposób ucieczki – wyjaśniła, nie wdając się w szczegóły. – Niestety, znalazł się też inny amator na zdobycie tych papierów.

– Zaraz. – Czarownica odchyliła się na oparciu krzesła. – Anarcha, czytasz?

Głowa rudej oficer pojawiła się na moment w drzwiach specjalnie zabezpieczonego pokoju poselstwa Troy.

– Czytam, czytam.

– I co?

– Materiały są pierwszorzędne.

Fedra przytaknęła i powróciła do poprzedniej pozycji.

– Powiedziałaś, że był inny amator zdobycia papierów?

– Tak. Ale nie wiem, kto to. Widziałam dwóch ludzi. Ale mimo przewagi liczebnej zdołali zagarnąć jedynie połowę papierów.

– Aha. To znaczy, że my mamy połowę dokumentów?

– Tak.

Fedra nie poruszyła się i nie skomentowała. Była profesjonalistą, pracowała w wywiadzie, a tu nikt nie oceniał, nie recenzował wyników ani nie eksponował swoich emocji.

– Kto to mógł być? Jakieś pomysły?

– Najbardziej prawdopodobnymi sprawcami są albo miejscowi, albo Zakon. Mniej prawdopodobni to chłopcy z Nimmeth albo Dery, tylko po co im możliwość skompromitowania Biafry.

– Nie, nie. Oni też są wysoko na liście prawdopodobieństwa. I to wcale nie musi oznaczać, że chcą kogokolwiek kompromitować.

– Są sąsiadami Arkach.

– No i mogą chcieć mieć wpływ na wydarzenia. Na przykład w postaci haków na tak ważnego w polityce człowieka, jakim jest Biafra.

– Pozostanę przy swoim zdaniu. Nie sądzę.

– Bo?

– To sąsiedzi – powtórzyła Io. – Jadą na tym samym wózku co Arkach i po prawdzie nie mają niczego do powiedzenia.

– To raczej udział Zakonu jest mało prawdopodobny. Co oni zyskają?

– Mają tu po prostu własną siatkę. Jak wszędzie na świecie. I zdobycie takiej karty da im kolejną przewagę w rozgrywce. To przecież Luan jest gwarantem ich potęgi.

– Aha, w sensie, że będą mieli asa, którego mogą za coś podarować albo wręcz sprzedać?

Io znowu wzruszyła ramionami.

– Nie znam się na polityce. Ale to silny sięga po takie rozwiązania jak dzisiejszej nocy. Nie słaby.

– No, może coś w tym jest. – Fedra znowu odchyliła się na oparciu. – Anarcha?

– Kończę! Kończę. – Ruda głowa tym razem tylko mignęła w drzwiach.

– Chodź tu! Rzecz nie polega na tym, żeby doczytać do ostatniej kropki!

– Ooo Bogowie...

Pani oficer pojawiła się w przejściu. Jej oczy miotały gromy, ale twarz, o dziwo, wcale nie wyrażała złości. Dziwne.

– Czego chcesz? – zapytała Fedrę.

– Chcę poznać twoją opinię.

– Te papiery to rewelacja. To istny bicz boży na Biafrę i paru związanych z nim polityków.

– Czy są tam jakieś dokumenty podpisane przez niego osobiście?

– Nie. – Anarcha zamyśliła się na chwilę. – Ale zawierają spis informacji, które mógł posiadać tylko on. Są zapisy przemyśleń królowej Arkach, które jak wynika z papierów, powierzyła tylko synowi. Są opisy dokumentów sztabu armii dotyczące planów kampanii...

– To ostatnie to mógł każdy zdobyć – czarownica weszła w słowo swojej przyjaciółce. – Niekoniecznie tylko Biafra.

– Absolutnie nie. Ponieważ te papiery są kopią raportu sztabu do dowództwa własnego wywiadu, czyli do Biafry osobiście. Widać to po wielu szczegółach.

– Aha. – Czarownica zamyśliła się nagle, dotykając palcem własnych warg. – To znaczy, że mamy w rękach...

– Wulkan – dokończyła Anarcha.

Fedra otrząsnęła się i wstała energicznie.

– No to biegniemy do Proximy – zakomenderowała.

– Nie za wcześnie? – Ruda oficer zerknęła za okno.

– To jest wywiad, kochana. Tu się nie śpi.

Czarownica ruszyła pierwsza, za nią Anarcha i Io. Już w długim korytarzu Io zrównała się z Fedrą.

– Co? – Tamta zerknęła w bok i uśmiechnęła się z pewną dozą sympatii. – Chcesz zapytać, jak ktoś o tak nieokreślonej pozycji jak moja mógł zdobyć aż takie wpływy w poselstwie, że nie boi się odwiedzać wielmożnych państwa o świcie?

– Czytasz w moich myślach?

– Nie. To pytanie od lat słyszę wokół siebie. Odważni wypowiadają je głośno, a tchórzliwi jedynie we własnych myślach.

– To ja poproszę o głośną odpowiedź. – Io odpowiedziała uśmiechem.

– Kiedy takiej jednoznacznej to właściwie nie ma. – Czarownica skrzywiła się do własnych wspomnień. – Wiesz, jak to jest, jak się

dziewczyna rodzi brzydka... No – Fedra zerknęła w bok – ty nie znasz tego uczucia, ale chyba możesz je sobie wyobrazić.

– Nie przesadzałabym z tą brzydotą.

– Dziękuję. W każdym razie skoro nie miałam oparcia we własnej twarzy, nie miałam w bogatej rodzinie, no i w dodatku popełniłam w młodości parę błędów, bo za bardzo chciałam...

– To akurat rozumiem.

– Kiedy zaczynasz rozumieć, że w sytuacji, kiedy nawet Rada jest przeciwko tobie, upokarza cię i doprowadza do publicznej chłosty, to zdajesz sobie sprawę, że w zanadrzu pozostała ci już tylko jedna broń. Za to straszliwa.

– Inteligencja? – domyśliła się Io.

– O? Widzę, że ty też z niej korzystasz.

Dalszą wymianę zdań przerwał im służący pełniący wartę przed częścią pałacu przeznaczoną dla wielkiej księżnej.

– Zatrzymajcie się, szanowne panie! Dalej wstęp wzbroniony!

– Mam pilne wieści dla WK.

– Moja pani jeszcze śpi.

Cieć był niewzruszony, ale chyba nie zrozumiał, na kogo trafił.

– To budź natychmiast, zarazo jedna. – Fedra jednym ruchem ręki odsunęła go na bok. – A jeśli się boisz, to ja to zrobię!

– Pani! Pani! Nie wolno!

Czarownica mocno nacisnęła klamkę, ale niestety, drzwi były zamknięte.

– Chwyćcie go za nogi. Rozwalimy drzwi, używając jego głowy jako tarana!

– Nie! Nie! – Sługa wreszcie zrozumiał, że to nie przelewki. – Zawiadomię księżną! Sam zawiadomię!

– No... To śmigaj.

Mężczyzna zapukał w skrzydło w specjalnej sekwencji. Ktoś musiał czuwać po tamtej stronie, bo zazgrzytał zamek i wielkie skrzydło uchyliło się minimalnie. Nie z czarownicą jednak takie numery. Fedra z całej siły pchnęła drzwi i nie bacząc, że ktoś nimi,

sądząc po jęku, oberwał w czoło, bezczelnie wkroczyła do środka. Chcąc nie chcąc, Io i Anarcha ruszyły za nią.

– Wielkie panie! – darł się cieć. – Tak nie wolno!

– Miałeś swoją szansę.

– Nie wolno! – krzyczał służący jeszcze głośniej. – Nie wolno budzić wielkiej księżnej!

– Właśnie obudziłeś! – powiedziała Proxima, która otulona w nocną narzutę pojawiła się w wejściu do swojej sypialni. Jej oczy miotały gromy, ale adresatami nie były wcale sprawczynie całego zamieszania, tylko niefortunny wartownik.

– Pani! – Anarcha wyprężyła się na baczność. – Pilny raport!

Proxima klasnęła w dłonie, usuwając z zasięgu słuchu wszystkich służących, którzy mogli pałętać się wokół.

– Mów!

Ruda oficer, nadal w pozycji zasadniczej, zrekapitulowała wszystko, czego dowiedziała się ze zrabowanych papierów. Potem Fedra zreferowała fakty. W miarę jak mówiła, twarz wielkiej księżnej łagodniała powoli.

– Dziewczęta – chyba celowo użyła nieco deprecjonującej formy – jestem bardzo zadowolona z waszej pracy. – Spojrzała na Anarchę. – Wiem, że oficer to nie człowiek na posyłki, więc to nie rozkaz, tylko moja prywatna prośba.

– Słucham, pani!

– Odprawiłam służących, więc czy byłabyś taka dobra i obudziła moje podręczne? Niech tu przyjdą i przygotują mnie natychmiast do oficjalnego wyjścia.

– Tak jest!

Proxima przeniosła wzrok na Fedrę.

– Wiesz już, kogo chcę odwiedzić?

Odpowiedź nie sprawiła czarownicy żadnego kłopotu.

– Skoro o tak wczesnej porze, to posła Luan, zanim jeszcze przeniesie się do nowej siedziby. Pewnie chcesz, pani, zerknąć na straty, posłuchać ich na gorąco, kiedy są jeszcze wstrząśnięci, wysondować, co myślą i jakie są ich reakcje. Świetny moment.

– Tak, aż się prosi. – Wielka księżna zmrużyła oczy. – Ale myślę jeszcze o czymś bardziej perfidnym.

– Tak, pani?

– Załatw naszej przyjaciółce przepiękną wyjściową suknię. Przecież nie może pójść ze mną w zwykłej tunice.

Fedrę na chwilę zapowietrzyło.

– Chcesz... chcesz, pani, zabrać ze sobą Io? – Nie mogła uwierzyć. – Jest mało prawdopodobne, żeby zbóje, którzy ochraniali skrzynię, znaleźli się w otoczeniu posła. Ale ona przecież dopiero co stamtąd wróciła. Ktoś może ją rozpoznać.

– I o to chodzi – uśmiechnęła się Proxima. – I o to chodzi!

Trzęsący się na kamieniach wóz zatrzymał się nareszcie. Ktoś podniósł płócienną zasłonę, zalewając wnętrze nawałą światła.

– Macie?

To był Biafra. Najwyraźniej zdenerwowany czekaniem i znużony niewiedzą na temat wyniku ich misji.

– Macie to?

– Mamy – odparł Virion. – Mamy połowę.

Generał lustrował go wzrokiem.

– A co się stało z drugą połową?

– Zabrała jakaś obca agentka.

– Jaka agentka?!

– Nie wiem – skłamał Virion. – To młody widział ją na golasa, kiedy sam nagi wlazł do składziku, gdzie się schowała.

– Aaa! Rozumiem. – Biafra spojrzał na Nerideena z pewnym podziwem, ponieważ zinterpretował sytuację po swojemu. – Chciałeś ją w sobie rozkochać i wydrzeć informacje. – Poklepał chłopaka po ramieniu. – Zuch. Co powiedziała?

– Że pracuje dla Troy.

– No... można było się spodziewać. – Biafra zafrasowany potarł brodę. – To tylko ja nie pomyślałem o tym wcześniej.

– Była bardzo profesjonalna. – Chłopak brnął dalej, ale Virion kopnął go ukradkiem w kostkę, żeby nie zaczął opisywać, jaka to jest błyskotliwa, dowcipna, inteligentna i mądra, które to cechy już wcześniej wyssał z palca.

– No, ja myślę. Skoro wyrwała wam połowę łupu.

– Była tam szybciej niż my. I to myśmy jej wyrwali.

– Nie wnikam. Co macie?

Virion podał mu papiery, które wcześniej umieścił w płóciennej torbie. Biafra chwycił łup, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i odwrócił głowę.

– Pani porucznik!

– Tak jest! – Nieprawdopodobnej wręcz urody kobieta w mundurze natychmiast podeszła bliżej.

– Proszę odsunąć wszystkich żołnierzy plutonu poza zasięg słuchu.

– Tak jest! – Kobieta już chciała odmaszerować, zatrzymała się jednak. – A gdzie to jest? – zapytała.

– W miejscu, gdzie nie będzie słychać, o czym my tu mówimy.

– Aha. A jak stwierdzić, gdzie już nic nie będzie słychać? – porucznik zadała pytanie pogłębiające.

– Taaaak. – Biafra skłonił przed nią głowę. – Faktycznie... W takim razie proponuję, żeby odprowadziła pani żołnierzy na odległość trzydziestu kroków, a my nie będziemy podnosić głosów.

– Tak jest!

Kiedy zjawiskowa piękność odmaszerowała nareszcie, Biafra i Virion wymienili spojrzenia.

– Zastanawiam się, jakim cudem ona awansowała do stopnia porucznika.

Obaj nie mieli pojęcia, ale Nerideen zdawał się nie mieć wątpliwości.

– No jak to? – powiedział. – Przecież jest prześliczna. Może awansować w nieskończoność.

– Błąd – mruknął Biafra. – Myślisz kategoriami męskiej armii, w której może i mogłaby w trzy dni dostać rangę generała. Ale w armii kobiet?

– Pojęcia nie mam, jakim cudem – wtrącił Virion. – Przecież powinny ją z zazdrości niszczyć.

– Racja.

Biafra zaczął rozkładać wyjęte z torby dokumenty. Długą chwilę studiował pierwszy, który znalazł się na szczycie sterty. Potem wziął do ręki drugi, zmrużył oczy i przysunął papier bliżej. Patrząc z boku, miało się wrażenie, że uchodzi z niego powietrze. Trzeciemu, czwartemu i kilku następnym stronom nie poświęcił już tyle uwagi, co dwóm pierwszym. A kilka ostatnich dosłownie przekartkował.

– To fałszywki – zawyrokował, przygryzając wargi.

– Czyli... nie zdobyliśmy papierów, po które nas wysłałeś? – zapytał Virion.

– Nie. Ale to nie wasza wina.

– Zastawili pułapkę? Na nas?

– Tak. Nie.

Tym razem spojrzeniami wymienili się Virion i Nerideen.

– A dałoby radę jaśniej?

Biafra zmrużył oczy. Albo potrafił się błyskawicznie opanować, albo posiadł umiejętność skrywania swoich uczuć.

– Tak, zastawili pułapkę. Nie, to nie była pułapka na nas.

– Dalej nie rozumiem.

– Po co mieliby mi podsuwać fałszywe haki na mnie? Przecież wiadomo, że ja sam zorientuję się natychmiast. No i jaką korzyść mieliby z takiego działania?

– Żadną. Ale może chcieli cię upokorzyć? Chcieli, żebyś podjął wysiłek zdobycia dokumentów, a kiedy już będziesz miał je w rękach, żebyś zdał sobie sprawę z ich wielkości, a własnej niemocy?

– Nie. Oni nie są melodramatyczni. To pragmatycy.

– Kto miał więc wpaść w pułapkę? – zapytał Nerideen.

– Ta dziewczyna, którą podrywałeś na golasa w składziku. Ale nawet ona nie bezpośrednio. Chodziło o jej mocodawców.

– Wywiad Troy?

– Właśnie. Oni nie mają szans zorientować się, że dostali fałszywki. I są teraz przekonani, że mają na mnie haki. A to już wywiad Luan może sprytnie wykorzystać.

Virion pokiwał głową.

– To znaczy, że te papiery, które przynieśliśmy, są dla ciebie bezwartościowe?

– Ależ skąd! Mają olbrzymią wartość! Bo ktoś zadał sobie naprawdę dużo trudu, żeby podrobić je w formie niemal doskonałej.

– A dla kogo one mają wartość, skoro nie dla ciebie?

– Dla wywiadu Troy. I zamierzam im sprzedać to, co mi dostarczyliście. Jeszcze tylko nie wiem, czy za wielkie pieniądze, czy też żeby komuś z nich zrobić dobrze, a potem go przekabacić. Ale zyskać coś jeszcze innego.

Virion pociągnął łyk ze swojej manierki, przełknął i otarł usta.

– Prości ludzie mówią, że wywiad to tacy, co liczą obce wojska, patrzą na ich uzbrojenie, morale... A tu intrygi niczym z buduaru wielkich księżnych.

– Wychowałem się w buduarze, więc mi nie wypominaj – roześmiał się Biafra. – Dobra. Muszę lecieć do pałacu posła Luan, zanim go jeszcze opuści.

– Po co?

– No przecież go napadli. Źli ludzie nawet ścianę rozwalili, sługom głowy poodcinali. – Generał zaczął się już śmiać na głos. – Muszę wyrazić ubolewanie i zapewnić, że dowiem się, co za zbóje to uczynili. – Zreflektował się nagle i dodał: – To znaczy ja już wiem, ale mu tego nie powiem.

Virion i Nerideen również zaczęli się śmiać. A Biafra powiedział:

– Dobrze byłoby, gdyby ktoś z was towarzyszył mi podczas tej wizyty. Ty nie możesz, bo ktoś z otoczenia posła mógłby cię rozpoznać. Ale daj mi młodego.

– No przecież on był tam w nocy. Jego też mogą rozpoznać.

– I o to chodzi. – Generał zatarł ręce. – I o to chodzi.

– A co chcesz uzyskać?

– Dobrze byłoby zamieszać im w głowach. Sprawić, żeby nic już nie wydało im się proste i jednoznaczne.

Biafra zeskoczył z wozu i przyłożył do ust zwinięte w tubę dłonie.

– Pani porucznik! Wracajcie! Pani porucznik!

Jego słowom odpowiedziała cisza. Mimo powtórzenia nawoływań żaden głos nie rozległ się w odpowiedzi.

– Ktoś po cichu zabił je wszystkie? – szepnął Nerideen, rozglądając się gwałtownie.

– No przecież kazałeś im oddalić się poza zasięg głosu – podsunął rozwiązanie Virion.

– Ja pierdolę! – Biafra kopnął jakiś kamień, który leżał mu na drodze. – Młody! Wskakuj na konia, znajdź to moje wojsko i każ im wracać.

– Tak jest! – Nerideen przez chwilę sam poczuł się jak w wojsku.

– I jeszcze dam ci radę! Zapamiętaj ją sobie do końca życia!

– Słucham. – Chłopak wyraźnie się zaciekawił.

– Jeśli po latach dojdziesz do wielkiej fortuny albo zdobędziesz władzę i zapragniesz na starość otoczyć się samymi kobietami...

– Tak?

– To wybierz tylko normalne i brzydkie. Wtedy możesz zyskać przyjaźń, może miłość, na pewno wsparcie. Bo jeśli wybierzesz same wyselekcjonowane zjawiskowe piękności, to będziesz otoczony wyłącznie przez kretynki, które przez cały dzień nic nie robią, tylko z uwagą i wielką intensywnością obserwują czubek własnego nosa!

– Sępy zjawiły się z samego rana – zaraportował sekretarz posła, kiedy tylko odzyskał oddech po wspięciu się po stromych schodach. Był bardzo otyły, ale też nikt nie wymagał od niego umiejętności walki wręcz.

Sam poseł był w doskonałym humorze.

– To nie sępy – roześmiał się na cały głos. – To skowronki przyleciały o świcie, jeden, żeby kwilić, pytając, dlaczego mu się nie udało, a drugi nie wiem po co.

– Zgadłeś zatem, panie, kto zapukał do drzwi.

– A tu nie ma mojej wielkiej zasługi. Kto przyszedł z poselstwa Troy?

– Sama WK Proxima.

– Uch! Ale nas zaszczyt strzelił! – Poseł nie mógł opanować radosnej miny. – A wystarczyło nie wysyłać bandziorów po nocy i mogłaby się porządnie wyspać.

– Domyślasz się, panie, po co przyszła?

– A owszem. Chce wyczytać z naszych twarzy wszystko, co da się z nich wyczytać. I dlatego wobec tych z Troy zachowujemy absolutnie uprzejmy, chłodny dystans. Żeby mi się nikt nie wyrwał z żadną osobistą uwagą.

– Tak, panie.

– A kto przyszedł z miejscowych?

– Sam Biafra się zapowiedział. I to przez królewskiego prefekta, który przybiegł pierwszy śledztwo prowadzić.

– Aha. To nie utrudniajmy mu śledztwa. I nawet wręcz mu te drobiazgi, które znalazł Druzus.

– I to śledztwo do czegoś...

– Nie – przerwał mu poseł, domyślając się, czego dotyczyło pytanie. – Ale zabawnie będzie.

– Wobec Biafry również zachowujemy uprzejmy dystans?

– Skądże znowu? On przecież już wie, że papiery to falsyfikat. I to my spróbujemy odczytać coś z jego twarzy.

Proxima onieśmielała służących, którzy biegali dokoła niej zgięci wpół, bojąc się w ogóle podnieść głowy. Nie byli w tym osamotnieni.

Członkowie poselstwa również najchętniej zgięliby się wpół, niestety, im już nie wypadało. Protokół dyplomatyczny jasno i jednoznacznie precyzował, co kto ma robić w danej chwili, a także jaką ma zachować postawę. Na razie rozpoczęła się część oficjalna, czyli powitanie stron. Witali się oczywiście mistrzowie ceremonii trzech wysokich stron, które zebrały się dziś w pałacu. Dostojni starcy wygłaszali kolejno swoje oficjalne, kwieciste przemówienia. I ta część ceremonii zawsze trwała najdłużej. Dlatego też nikogo nie dziwiło, że poseł Luan, wielka księżna i generał Arkach dyskretnie załatwiali podczas niej swoje sprawy.

Proxima znajdowała się w uprzywilejowanej pozycji, jako kobiecie przysługiwał jej wachlarz, którym mogła sobie zasłaniać usta.

– Przyjrzyj się dobrze członkom poselstwa – szepnęła.

Io już dawno przyjrzała się członkom, ale nie poselstwa, tylko delegacji Biafry. Bez problemu rozpoznała Nerideena. Oczywiście nie dała po sobie niczego poznać.

– Tak, pani.

– Znajduję wyjątkową szansę w dzisiejszym spotkaniu.

– Nie rozumiem.

– Ja nie pierwszy raz ich widzę. W większości to zawodowi dyplomaci towarzyszący temu posłowi od lat. Ale sekretarz jest nowy.

– I to jest ta szansa?

– Tak. Sekretarz pewnie został przydzielony przez czyjeś rodzinne koneksje. Zębów nie zjadł na dyplomacji, to pewne. A poza tym jest gruby, więc nie wytrzyma za długo oficjalnych przemówień.

– Ach – domyśliła się Io. – A w sali obok są stoły z przekąskami.

– Właśnie. On na pewno zaraz tam pójdzie. Ty idź za nim.

– Po co?

– Poderwij go.

Dziewczyna żachnęła się, patrząc na wskazany jej obiekt.

– Ale on jest obleśny! – Z trudem tylko nie podniosła głosu.

– Nie każę ci iść z nim do łóżka. Nie musisz się nawet z nim obśliniać. Masz go poderwać.

– Kiedy?

– Teraz. Tutaj. I umów się z nim gdzieś na mieście. A jeśli się nie uda, to wydobądź z niego, na jakim balu będzie w najbliższym czasie, a ja od razu załatwię nam na ten bal zaproszenie.

Io była wściekła, że kazano jej podrywać jakiegoś faceta, i to w obecności Nerideena na sali. Zaraz. Zganiła się w myślach. A dlaczego akurat to jej przeszkadza? Niestety, nie miała czasu do namysłu.

Proxima uderzyła Io delikatnie w ramię wachlarzem.

– No na co czekasz? Idź i zaczekaj, a potem poderwij go, kiedy dotrze do stołów z przekąskami!

– Tak jest!

Biafra, żeby móc coś wyszeptać dyskretnie, musiał zasłonić sobie usta wysoko podniesionym kołnierzem wojskowej kurtki.

– Widzisz tę dziewczynę z orszaku Proximy, która właśnie idzie do sali z poczęstunkiem?

– Jasne. – Nerideen oczywiście rozpoznał Io, nie dał jednak niczego po sobie poznać.

– Ona jest nowa. Nigdy przedtem jej nie widziałem z WK.

– To ważne?

– Interesuje nas każda świeżynka. Tacy ludzie nie mają doświadczenia politycznego. Zresztą widziałeś, że już na samym wstępie ceremonii zamierza się najeść.

– Wczesna pora. Chyba nikt nie zdążył ze śniadaniem.

– To tak, ale jak widzisz, nie ma tłumu przy stołach. Pobiegli ci, którzy o dyplomacji nie mają pojęcia.

– Przecież tu się nic nie dzieje. – Chłopak popatrzył na przemawiających właściwie tylko do siebie starców na środku sali.

– I tu się mylisz. W tej chwili następuje jedno wielkie przewąchiwanie, ale żeby to zobaczyć, trzeba mieć spore doświadczenie.

– Rozumiem. – Nerideen dyskretnie wzruszył ramionami. Według tego, co widział, wszyscy siedzieli spokojnie i z uwagą słuchali powitalnych przemówień.

– Dobra – szepnął Biafra. – Zrób coś dla mnie.

– Co?

– Idź za tą nową dziewczyną i poderwij ją szybko. Teraz, tutaj. Umów się z nią gdzieś na mieście albo wypytaj, na jakim balu będzie, a ja załatwię nam wejście.

– Tak jest!

– Pamiętaj, nie każę ci zaciągnąć jej do łóżka...

– Ale ja się mogę poświęcić dla sprawy!

Entuzjazm chłopaka wobec poświęceń w służbie słusznej sprawy był tak wielki, że Biafra musiał zacisnąć szczęki, żeby nikt nie dostrzegł jego reakcji.

– No to jazda – syknął. – Poderwij ją!

– Tak jest!

Poseł nachylił się lekko w stronę swojego sekretarza. Usta osłaniał upierścienioną dłonią, niby to sprawdzając, czy wszystkie szlachetne kamienie są idealnie wypolerowane.

– Widziałeś tego chłopaka od Biafry? – szepnął. – To nowy.

– Tak, panie. Przepytałem też Druzusa. Jeden z jego ludzi rozpoznał w chłopaku nocnego napastnika.

– O? Robi się bardzo ciekawie.

– Tak, panie, to bez wątpienia on. Brał też udział w masakrze w wozowni pod miastem. I najprawdopodobniej śledzi Druzusa jeszcze od terytorium Luan.

– Co za gratka! Zabijaka, którego jak małpę przebrano w paradny strój i wysłano na dyplomatyczne przyjęcie.

– Czemu gratka?

– No przecież on nowy i głupi! Nie uczył się światowych spraw, skoro w mieczu biegły.

– Ach, rozumiem. – Sekretarz był wystarczająco inteligentnym człowiekiem, żeby się domyślić. – Mam pójść za nim i wyciągnąć z niego wszystko, co się da wyciągnąć...

– Wyciągnij z niego także to, czego wyciągnąć się nie da – podsumował poseł. – Pamiętaj, że to jakiś prymityw zakochany w broni. Więc komplementuj go ponad miarę, podnoś jego przewagi bitewne, jego męskość. To się sprawdzi.

– A gdybym potrzebował trochę ecie-pecie?

– Dobry pomysł. Taki tuman może chcieć od razu wziąć pieniądze. Podeślę ci podręcznego z dyskretnym tobołkiem z precjozami.

– Postaram się go nie spłoszyć.

– Obiecuj złote góry! Ale przede wszystkim podziwiaj jego męskość. Prostacy uwielbiają tego słuchać.

Io zajęła strategiczne miejsce przy stole oddalonym od wejścia, skąd mogła obserwować całe otoczenie. Nie zdążyła sobie jeszcze nic nałożyć, kiedy w drzwiach pojawił się Nerideen. W pomieszczeniu roiło się od służących, chwilowo ustawionych na baczność pod ścianami, więc nie mogli dać po sobie poznać, że się znają. Chłopak zajął się zatem winem umieszczonym w specjalnych dystrybutorach tuż przy wejściu. A kiedy napełnił już swój kryształowy kielich, ruszył w stronę przekąsek, przy których stanowisko zajęła dziewczyna. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, żeby przywitać się zgodnie z etykietą, kiedy do sali wpadł sekretarz posła. Ten nie bawił się w żadne konwenanse.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Panie! – Podszedł, a właściwie prawie podbiegł do Nerideena. – Jakżeż jestem szczęśliwy, mogąc spotkać tak wielkiego mistrza miecza jak ty.

– Nie jestem mistrzem – odparł chłopak i pochylił głowę przed Io. – Pani, pozwól, że się przedstawię.

– Panie! – Io zgodnie z rozkazem ruszyła do ataku na wskazany przez Proximę cel. – To zaszczyt móc na własne oczy zobaczyć osobistego sekretarza posła Luan. Czy to prawda, że w razie zagrożenia to ty właśnie osłonisz go własnym ciałem?

– Taaaak, niewątpliwie jeśli go osłonię samym sobą, to poseł dosłownie zniknie – sekretarz zażartował ze swojej tuszy i zaatakował swój cel: – Panie, nigdy w życiu jeszcze nie widziałem tak wspaniale wyrzeźbionych muskułów!

Nerideen wzięty przez zaskoczenie odruchowo popatrzył po sobie. Nic się nie zmieniło. Oczywiście jak prawie każdy młody chłopak był dobrze zbudowany, nie było się czego wstydzić, ale o żadnych wyrobionych mięśniach nie było mowy. Czego ten sekretarz chce? Znowu pochylił głowę przed dziewczyną.

– Pani, mam na imię Nerideen i jestem specjalnym...

– Miło mi niezmiernie. – Io oszczędnie dygnęła i znowu zwróciła się do grubasa: – Panie, czy to prawda, że to sekretarz właśnie jest najważniejszym członkiem poselstwa? Podobno bez twojego rozeznania w dokumentach poseł nie mógłby podjąć żadnej decyzji.

– To przesada doprawdy. – Tłuścioch przeniósł wzrok na swój obiekt zainteresowania. – Panie, opowiedz mi, jak to jest, kiedy przed twoim mieczem drżą najwięksi mocarze?

– Jeszcze nie spotkałem żadnego mocarza. Pani...

Rozmowa w tym stylu trwała kilka modlitw, aż Nerideen stracił cierpliwość. Postanowił zaatakować wprost chamskim komplementem bezpośrednim.

– Pani, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć w życiu.

Io patrzyła w oczy sekretarza.

– Panie, jesteś człowiekiem obdarzonym najpiękniejszym umysłem wśród wszystkich ludzi na świecie.

Sekretarz uśmiechnął się do Nerideena.

– Panie, twoje ciało jest jak antyczna rzeźba, godna uwielbienia i adoracji!

– I co? – Poseł Luan znowu zasłonił usta upierścienioną dłonią. – Jak poszło?

– Klęska, panie. To cham i prostak.

– Nie słuchał, co do niego mówiłeś?

– On był po prostu wpatrzony w tę dziewczynę z Troy jak w obraz. Najchętniej by ją tam rozebrał do naga i posiadł na stole pełnym jadła.

– O Bogowie... Jak ja nie cierpię prostaków.

– Tak właśnie, panie. Tak właśnie.

– No trudno. Podejdziemy go zatem, korzystając z pomocy naszych niewieścich agentów.

Biafra ponownie podniósł kołnierz swojej kurtki, ukrywając za nim swoje usta.

– I jak?

– Klęska.

– Co się stało? – Generał aż zerknął w bok. – Przecież niczego ci nie brakuje. A i ona wygląda na zdrową dziewczynę.

– Ale najwyraźniej lubi tylko grubasów! – wypalił chłopak z wściekłością. – O mało tam nie oblizała lubieżnie tego sekretarza!

– Ożeż kurw... – Biafra przygryzł wargi. – No nic. Na to niewiele poradzimy.

– Spróbuję jeszcze raz. – Nerideen najwyraźniej nie mógł darować sobie porażki. – Muszę tylko porozmawiać z moim mistrzem.

– O? Twój mistrz to taki mistrz uwodzenia? – zdumiał się generał.

– A nie czytałeś, panie, rycerskich romansów z nim w roli głównej?

– Czytałem.

– Wszystko, co tam opisane, jest prawdą.

Oczy Biafry rozszerzyły się nagle.

– O jasna zaraza!

Proxima zasłoniła usta wachlarzem.

– I jak poszło, moja panno?

– Klęska, pani. Całkowita.

– No nie mów, że jakiś mężczyzna był w stanie się tobie oprzeć.

Oczy Io miotały gromy.

– Nie tylko się oparł, ale w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi.

Wielka księżna była tak zdziwiona, że nie mogła się oprzeć pokusie i spojrzała w bok. Zupełnie jakby chciała sprawdzić, czy jej agentce podczas tej krótkiej nieobecności nie wypadły wszystkie zęby, nie pomarszczyła się skóra i nie wyrosła gęsta szczecina na całym ciele. Ponieważ nic takiego nie miało miejsca, westchnęła z niedowierzaniem.

– Co się stało?

– Wpuściłaś mnie, pani, w jeżyny!

– Bo?

– Bo sekretarz woli chłopców niż dziewczyny! Niewiele brakowało, żeby się rzucił całować tego nowego od generała Biafry.

– Co?! O Bogowie. – Proxima potrząsnęła głową. – Przecież to zakazane przez luańskie prawo.

– Pamiętaj, pani, że jesteśmy w Arkach. Tu dziewczyny zabierają do wojska na dziesięć lat i siłą rzeczy przez palce się patrzy na

wszelkie związki między nimi. A w reszcie kraju co? Mało kobiet, dużo mężczyzn, więc i na inne rzeczy również trzeba popatrzeć przez palce. Może nie tak oficjalnie już jak w wojsku, ale nikomu się tu krzywda nie dzieje, jeśli jest trochę inny niż reszta.

– Masz rację, dziecko. – Proxima westchnęła cicho. – Po prostu o tym nie pomyślałam. I o tym, że sekretarz musiał się dobrze przygotować do podróży. Wiedział, gdzie jego skłonność może być wybaczona.

– No niestety.

– Nic, nic, nie martw się tym, moja panno. Nie twoja wina, że dziewczęta nie mają u niego szans.

Kiedy wydawało się, że żadna atrakcja już nie nastąpi, kiedy zakończyła się część oficjalna i gości poproszono na śniadanie, poseł zaserwował pokaz dnia. Kazał swoim sługom oddać gościom z Troy i Arkach znalezione przez Druzusa drobiazgi, części wyposażenia oddziałów wojskowych obu państw ze słowami:

– Zwracam to, coście u mnie pogubili. Żeby wam się stany magazynowe zgadzały!

Viriona obudziły odgłosy rąbania. I to takiego, które jest efektem pracy amatora, a nie zawodowego drwala. Rąbanie było nieregularne, pozbawione podstawowej rytmiki, zupełnie jakby ktoś, zamiast robić wszystko, żeby oszczędzić siły, bał się, że ścinane drzewo rozpocznie kontratak i palnie znienacka w łeb gałęzią.

Otworzył oczy, a potem uniósł się w pościeli i wyjrzał za okno.

No tak. Mógł się tego spodziewać. Nerideen, prawem młodości posiadający niespożyte siły i brak chęci do marnotrawienia czasu przez głupie spanie, masakrował właśnie pieniek do rąbania

drewna. To atakował, to odskakiwał, kryjąc się za osłoną, to doskakiwał znowu, wyprowadzając wymyślny cios.

– Już go zabiłeś z sześćdziesiąt razy – krzyknął Virion. – Co on ci złego uczynił?

– Ćwiczę, mistrzu.

– To przestań natychmiast.

– Ale ja się w ten sposób wyrabiam, a drewno się przyda na opał.

– Toż lato chyba mamy, dzięki Bogom. Zostaw, zostaw to w spokoju.

Virion doznał przejmującego uczucia, że wszystko się powtarza. Że przeżył już kiedyś tę historię. Ale wtedy to on walił mieczem w pień bez opamiętania. I z jakiegoś powodu bardzo przeszkadzało to Horechowi.

Dziś wiedział dlaczego.

– Przestań hałasować. Niczego się w ten sposób nie nauczysz, a mnie głowa zaraz pęknie.

– Bo mistrz ma kaca – odparł rezolutnie chłopak. – To i ból taki, że głowa zdaje się pękać.

– Ty! Nie mędrkuj mi tu!

– Zrobię mistrzowi śniadanie.

– I przestań do mnie mówić per mistrzu.

– Biafra kazał – odszczekał się natychmiast wygadany nad miarę młody człowiek. – Mówił, żeby do mistrza mówić „mistrzu”, a nie po imieniu, żeby nikt imienia mistrza nie poznał.

– No i właśnie wykrzyczałeś tę instrukcję głośno, żeby cała okolica się dowiedziała.

– No bo mistrz w oknie siedzi, zamiast tu na śniadanie zejść. Co mam mistrzowi zrobić? Jajecznica może być?

– Żadnych jajek o tej porze. Wystarczy trochę sera i oliwki.

Nerideen parsknął śmiechem.

– A skąd ja mistrzowi oliwki w tym kraju wytrzasnę? – zdziwił się autentycznie. – Mogę usmażyć baraninę.

– Żadnej smażeniny od rana!

– Ale coś mistrz zjeść musi. Jakiś podkład trzeba mieć, jeśli mistrz zamierza dzisiaj łoić tak jak wczoraj.

– Ty!...

Virion chciał pogrozić chłopakowi pięścią, ale zrezygnował, czując, że każdy gwałtowny ruch sprawi, że ból głowy będzie większy. Zwlókł się z łóżka i narzucił na siebie przygotowane przez służbę ubranie. A potem ostrożnie zszedł na parter. Mimo wczesnej pory słońce prażyło już mocno. Na szczęście dwie niskie sosny, które rosły obok, rzucały cień na ganek podmiejskiej willi Biafry. Na widok głównego gościa jaśnie pana otworzyły się drzwi w małym domku dla służby, przepuszczając starą kobietę w wiejskim stroju. Wyglądała na szeptuchę albo jakąś wiejską wiedźmę, na szczęście okazała się zwykłą chłopką.

– Główka boli, synku? – Zbliżyła się i wyciągnęła w stronę Viriona duże drewniane naczynie.

No tak, była w takim wieku, że mogła i per synku.

– Boli – przyznał. – A to jakieś lekarstwo? – zainteresował się zawartością naczynia.

– To dar Bogów, synku. Masz, wypij to, ale nie tutaj. – Wzięła Viriona pod ramię i pociągnęła pod płot. Pomogła oprzeć się o sztachety. – Zdarza się, że płyn, jak się go wypije, to natychmiast chce wrócić na ten piękny świat z powrotem przez gardło. A my nie chcemy ganku uświnić, prawda?

– Nie chcemy – przyznał Virion i przejął z rąk staruszki drewniany puchar. Wstrząsnął nim wydobywający się ze środka smród.

– Pij, pij, synku. To woda z ogórków. Od pokoleń wypróbowana przez synów tej ziemi. Pomaga.

Było coś dziwnego w jej hipnotycznej przemowie, bo mimo okropnego zapachu Virion uwierzył i zaczął pić zawartość naczynia, usiłując nie oddychać przy tym, a już szczególnie przez nos.

– Widzisz, Bogowie dali ludziom ogórki jako cudowne warzywo – mruczała starucha. – A starożytni mędrcy nauczyli nas, jak kisić. I teraz mamy korzyść podwójną. Kiszonym ogórkiem zagryźć najlepiej, żeby wódka człowiekiem nie wstrząsała. A następnego

dnia kaca najlepiej leczyć wodą po tych ogórkach. Niesmaczne może, ale pomaga w trzy modlitwy.

– Ohydne. – Virion otarł wargi, krzywiąc się z obrzydzenia.

– Do przełknięcia trudne, faktycznie, ale widzę, że już ci lepiej, synku.

– Pff... A wiesz, że może i trochę lepiej?

– No! Widzę, że już nie zwrócisz, więc chodź, synku, na ganek, usiądź sobie, a ja ci śniadanie przyrządzę. Bo ten kawaler od miecza to pewnie chciał cię otruć baraniną albo i jeszcze czymś gorszym.

– O tak. Tak!

– Właśnie. – Staruszka pomogła Virionowi usiąść w wielkim fotelu wyrzeźbionym z korzenia jakiegoś olbrzymiego drzewa. – Baranina strawna dla miejscowych. Ten tam, smarkaty, to wszystko strawi, ale człowiek w słusznym wieku potrzebuje czasu, żeby przywyknąć.

– Masz rację. Choć muszę przyznać, że osobliwie wódka to w waszym kraju chyba najlepsza na świecie.

Starucha rozpromieniła się natychmiast.

– Oj, wiele w naszym kraju pięknych rzeczy, wiele. Rad będziesz je wszystkie zobaczyć, synku.

– A co jest takiego najpiękniejszego?

Chłopka poklepała Viriona po ramieniu.

– A najpiękniejsza, synku, to jest u nas wolność – powiedziała.

Nerideen, który zdążył już odłożyć miecz, aż syknął, słysząc te słowa.

– Piękna mi wolność, jak się dziewczyny na siłę do wojska wciela! – warknął.

– Bo jakby chłopców wcielali, to wtedy dopiero byłaby piękna? – zakpiła staruszka, dowodząc, że jest umysłowo sprawna. – Och, syneczku, gadać szkoda... Jak potrzeba jest, to i mus musi być. Jak prawo ustanowili, to i siła musi być, żeby ono obowiązywało. Ale tu, w Arkach, nikt ci nie mówi, jak masz żyć. – Uśmiechnęła się, kiwając głową. – I kiedyś, jak dorośniesz, to docenisz.

Virion przytaknął.

– Ucz się, młody. Zapamiętaj każde słowo tej pani.

– A jaka tam ze mnie pani, ja ze wsi pobliskiej – żachnęła się stara i zniknęła za drzwiami willi, zmierzając w stronę kuchni. – Śniadanie dla trojga zrobię – zawołała z sieni.

– To świetnie, że zjesz z nami. Pogadamy.

– Ja już nie głodna, stara jestem, spać nie mogę, to i zjadłam wcześniej. Ale zmierza do was kobieta, którą na pewno warto posiłkiem podjąć.

– Jaka kobieta?

Obaj z Nerideenem zaczęli się rozglądać. Możliwości obserwacji były wręcz doskonałe. Las był odległy o jakieś dwieście kroków. Wokół trochę pól, strumyk i łąki zajęte na pastwiska. Sielankowa sceneria, która jednak poza dostarczaniem pięknych widoków nie pozwalała na zbliżenie się w sposób niepostrzeżony. A wokół nie było nikogo.

– Jaka? – Starucha otworzyła okno w kuchni i wychyliła głowę. – Ano bardzo młoda, bardzo zdecydowana, bardzo silna i bardzo tajemnicza. Rzekłabym: nie do końca z tego świata pochodząca.

– To jakaś przenośnia? – Nerideen odnosił się do słów chłopki z wyraźnym dystansem.

– Nie sądzę – uśmiechnął się Virion.

On już wiedział, o kogo chodzi.

Proxima stała na szczycie wieży, skąd dawało się ogarnąć wzrokiem całe miasto. Niestety, najwyższy podest nie był otwarty wzorem miast w Troy, gdzie, nawiasem mówiąc, w ogóle podobne wieże wydawały się rzadkością. Tutaj z powodu częstych opadów deszczu, śniegu czy zaraza wie jeszcze czego szczyt osłonięto spiczastym dachem. Wyglądać na zewnątrz można było jedynie przez wąskie okna w murze. Ale i to wystarczało, widok bowiem zapierał dech w piersiach.

– Zastanawia mnie, dlaczego u nas nie buduje się równie wysokich wież – powiedziała wielka księżna. – Przecież to świetna zabawa, kiedy już człowiek odzyska oddech po pokonaniu tych wszystkich schodów.

– A mnie zastanawia, po co buduje się je tutaj – odparła Fedra.

– Mają znaczenie wojskowe – włączyła się Anarcha. – Wartownik umieszczony tak wysoko widzi wszystkie ruchy nieprzyjacielskich wojsk w okolicy.

– Równie dobrze widzą je wartownicy na murach – nie zgodziła się czarownica. – A ich koszt jest nieporównanie mniejszy od budowania tak groteskowej konstrukcji.

– Hm, a po co w ogóle widzieć wojska przeciwnika? – Także Proxima miała odmienne zdanie. – Jeśli jakiś władca nie wie, gdzie na jego terytorium są obecnie wojska przeciwnika, to już przegrał wojnę.

– Właściwie to racja, pani. – Fedra wysunęła głowę przez jedno z okien i spojrzała w dół. – Ale zabawa faktycznie fantastyczna. Nie sądziłam, że człowieka może ucieszyć sam widok z takiej wysokości.

– To prawda – przyznała ruda oficer. – Ale to musi mieć też jakieś zastosowanie praktyczne. Stąd przecież można dostrzec na przykład… pożar lasu z bardzo daleka.

– A po co dostrzegać pożar lasu z daleka? – zainteresowała się czarownica, ale jej przyjaciółka najwyraźniej nie wiedziała.

– Pogodzę was. – Proxima spojrzała na swoje współpracownice. – Praktyczne zastosowanie tego miejsca jest takie, że nikt tutaj nie może nas podsłuchać. Nie wyobrażam sobie agenta, który mógłby wisieć pod oknem na tak straszliwej wysokości.

Obie zaczęły się śmiać. Co prawda, to prawda. Zresztą nie trzeba wisieć pod oknem, wystarczyło przez nie wyjrzeć i już człowiekowi robiły się miękkie nogi.

– Czy zamierzasz nam coś powiedzieć, pani?

– Luan szykuje się do ostatniej ofensywy w tym roku.

– Chce zdążyć przed zimą, kiedy te góry zasypie śnieg i żegnaj, wszelka strategio, aż do przyszłej wiosny?

– Do przyszłego lata. Na wiosnę tu w okolicy po szyję brodzisz w błocie.

– No to jeszcze lepiej. – Fedra cofnęła się od okna. – Mają szansę?

– Mają. – Proxima zasępiła się nagle. – Jeśli w tym sezonie przebiją się przez okolice Kupieckiego Szlaku, to ich wojska rozleją się na płaskiej wyżynie wewnątrz kraju i po zawodach. Arkach przestanie istnieć.

– I tu się stanowczo zgodzę – powiedziała energicznie Anarcha. – Jedyne, co powstrzymuje Luan, to te góry! Oraz dwie dywizje górskie świetnie przygotowane do działania w tym nieprzystępnym terenie.

– Piechota Arkach jest do dupy, a kawaleria to śmiech na sali – potwierdziła czarownica. – W szczerym polu nie wytrzymają z ciężką armią Luan ani dnia.

– Mhm. – Proxima łaskawie skłoniła głowę. – Nasz wywiad twierdzi, że albo ich pierwsza dywizja górska dokona cudu i zatrzyma Luańczyków w pasie Kupieckiego Szlaku, albo ulegnie, a wtedy jeszcze w tym roku skończy się wojna.

– A my potrzebujemy dłuższego konfliktu?

– Nie tylko. Po pierwsze, musimy sprawić, żeby pierwszej dywizji udała się akcja.

– Niepodobieństwo. – Anarcha podniosła rozszerzone zdziwieniem oczy. – Nie ma tu naszych sił.

– Ale jest nasz wywiad. Podsuniemy Biafrze wszystkie dane na temat ruchów wojsk przeciwnika. I wskażemy na jego słabe punkty.

– No i wiem, że od dłuższego czasu wysyłamy tu specjalistyczne zaopatrzenie – wtrąciła Fedra.

– Owszem. W znaczących ilościach, choć okrężną drogą.

– A po drugie? – zapytała Anarcha, chcąc, żeby wielka księżna dokończyła poprzednią myśl.

– A po drugie, Arkach za rok musi uderzyć na wroga. Dlatego posłałam Io z misją wyśledzenia, gdzie znajduje się pozostała część dokumentów kompromitujących Biafrę. Musimy mieć go w ręku. W przyszłym roku musimy sprawić, żeby Arkach uderzyło na Luan.

– Toż zmiotą ich w czasie krótszym niż mrugnięcie okiem. – Ruda oficer nie mogła uwierzyć. – Myślałam, że to tylko takie gry sztabowe z tymi planami.

– I co z tego, że zmiotą?

– Arkach to małe i słabe państwo.

– No to co? Ale jeśli rzuci się na wroga, to my w sumie zyskujemy ponad dwa lata spokoju na naszej granicy. – Proxima podniosła rękę. – Dwa lata przygotowań do wojny. Ale przede wszystkim dwa lata pracy politycznej w Troy i zamiany nareszcie stronnictwa ataku na Luan w realną siłę królestwa.

Fedra wolała nie komentować. Tak po prawdzie absolutnie zdecydowanych zwolenników zniszczenia Luan było w elitach Troy niewielu. Przewodziła im Kasjopea, mająca zadawnioną złość do cesarstwa. Była Proxima. Prawdopodobnie można było liczyć na Oriona, na otoczenie polityczne Betelgeuzy. Może Perseusza. To znaczna siła, ale nie większość, szczególnie przy zdecydowanie proluańskiej postawie Archentara, który uważał, że nie wolno imperium narazić na kompromitację, zadając zbyt wielkie straty, bo cesarz musi przecież zachować twarz. A całą resztę uzyska się w rozmowach i kompromisie.

Z drugiej strony stronnictwo zgładzenia imperium miało niebagatelne wsparcie imperium finansowego Luny. Miało zupełnie niezależny od króla wywiad w postaci założonego przez czarownicę Biura Handlowego. Z tym że trudno było traktować Lunę poważnie, bo wszyscy wiedzieli, że nienawidzi imperium z powodu własnych krzywd, niewolniczego piętna wypalonego na tyłku, wygnania i wielu innych spraw. Ktoś taki nie mógł być obiektywny. Tak samo zresztą jak Fedra, wychłostana publicznie i upokorzona ku uciesze gawiedzi, a przez to trawiona nienawiścią do cesarza, imperium i Rady Czarowników. To nie mogli być ludzie, którzy liczyliby się w polityce, bo z góry było wiadomo, czego chcą. A polityka w Troy to coś, czym steruje się za pomocą opuszek palców, a nie kowalskiego młota. W tej grze nie wyrażało się swoich uczuć jednoznacznie, zakazane było zajmowanie zdecydowanego stanowiska,

o przekonaniach nie wypadało mówić inaczej niż w sposób zawoalowany, a zamiary... A zamiary? Zaraz. Co to są zamiary?

To była zabawa z cieniem, z nierzeczywistą ułudą. I tylko od czasu do czasu ktoś nie wytrzymywał i kogoś walnął pałą w łeb, jak to zrobiła chociażby rodzina Asii, co natychmiast spowodowało odruchową niechęć do nich całej reszty towarzystwa. I dobrze akurat w tym przypadku. Asija była żoną Archentara, a to, co się stało, wyraźnie osłabiało jego pozycję.

– Czy Io jest w stanie znaleźć resztę papierów? – zapytała Proxima.

– To najlepszy pies gończy w całym znanym nam świecie – powiedziała stanowczo Anarcha.

– No i... – Fedra nie miała pojęcia, jak ująć to, co miała do powiedzenia.

– Mów, mów – zachęciła ją wielka księżna. – Tu naprawdę nikt nie słucha.

– Mmm... Tam, w pałacyku myśliwskim, pozwoliłam sobie na mały eksperyment.

– Jaki?

– Wprowadziłam Io w trans, po cichu, bez jej wiedzy.

– Nie zorientowała się, że zniknęło jej całe popołudnie?

– Cały dzień. Byłam ostrożna.

No tak. Proxima uśmiechnęła się oszczędnie. Jeśli człowiekowi zniknie pół dnia, to może wzbudzić podejrzenia. Jak zniknie cały dzień, można się nie połapać.

– Czego się dowiedziałaś?

– Io to czarownica. Ale dziwna, tak niespotykana, że nigdy takiego przypadku nie spotkałam. – Fedra przygryzła wargi. – A nawet o czymś takim nie słyszałam.

Rozdział 8

Io odnalazła podmiejską willę Biafry bez problemu. Prowadził ją instynkt upiorzycy i całkowicie ludzki rozsądek oraz ludzka zdolność precyzyjnego planowania. Jako istota będąca połączeniem dwóch diametralnie różnych gatunków, czasami nie panowała nad swoją skomplikowaną osobowością. Ale dziś zadanie było proste. Gdzie młody generał może mieć swoją siedzibę? No przecież nie w pałacu strzeżonym przez trzydzieści najpiękniejszych żołnierzy wybranych z całej armii. Gdzieś musi załatwiać sprawy wywiadu, gdzieś musi spotykać się z naprawdę ważnymi ludźmi, a to miejsce pod żadnym pozorem nie może znajdować się pod czyimś czujnym okiem. Jedno spojrzenie na mapę pozwoliło Io wybrać kilkanaście możliwych lokalizacji – kluczem była bliskość miasta i małej wioseczki – ktoś bowiem musiał posiadłość obsługiwać, a i droga od oficjalnego pałacu do prawdziwej siedziby nie mogła być za długa. Kolejną ważną sprawą było wolne, czyste podejście. Willa nie mogła znajdować się ani w środku gęstego lasu, ani na skrzyżowaniu ważnych dróg. Tyle powiedział jej ludzki rozum. Po nim przyszła kolej na instynkt upiorzycy. Io stanęła na rozstajach i zaczęła węszyć, a po chwili wszystko już stało się jasne.

Odnalezienie samej willi nie stanowiło już trudności nawet w najmniejszym stopniu. Niepostrzeżone podejście mimo braku jakichkolwiek terenowych osłon również.

– Cześć, tato!

Io znienacka wyłoniła się zza rogu budynku.

Nerideen o mało nie wypuścił miecza z ręki. A z kuchni rozległo się ciche:

– A, tego to jeszcze nie widziałam...

Tylko Virion podniósł się bez zdziwienia, które odbiłoby mu się na twarzy. Był przyzwyczajony do wszystkich sztuczek własnej córki. I wytrenowany wcześniej przez jej matkę.

– Cześć, dziecko!

Io wpadła mu w ramiona, przyłożyła ucho do klatki piersiowej. Demonstracyjnie i głośno pociągnęła nosem.

– Woda z ogórków? Co? Lekki kacyk z rana?

– Oj tam, oj tam.

– E, jak zwykle. Niedospany, zmarszczki jakby głębsze, pogoda ducha niezmienna, fryzura w daleko posuniętym nieładzie.

– Czy mogłabyś znaleźć jakąś pozytywną cechę?

– Jesteś jak zawsze elegancki.

– A, bo wiesz, pierwsza zasada pola walki...

– Wiem, wiem! – Io odkleiła się od ojca i przyglądała mu się krytycznie. – Mama kazała cię szukać.

– Już się obudziła? Co z nią?

– Jak zwykle wszystko w porządku. Wybiera się do ciebie, ale najpierw musiałam przecież cię odnaleźć. – Io potrząsnęła głową. – Z twoimi włosami naprawdę trzeba coś zrobić. I nawet wiem co.

Nerideen dopiero teraz odważył się odezwać:

– Miło cię widzieć.

Zerknęła w jego stronę.

– Cześć, Nerideen. Mnie również miło.

Dziewczyna opuściła wzrok i uśmiechnęła się kpiąco.

– Wystarczyło kilka tygodni z moim ojcem i już od rana można cię zobaczyć z mieczem w ręku.

– Ćwiczę.

– Widzę. – Wydęła wargi. – A ja ci od razu powiem, jak to się kończy. – Wskazała palcem Viriona. – Będziesz coraz lepszy i lepszy. Potem najlepszy. I naj, naj, naj, najlepszy! A potem na starość będziesz się włóczył po całym świecie i szukał kogoś, kto byłby odpowiednio godny, żeby się z nim zmierzyć. Kto byłby dostatecznie dobry, żeby stanowić dla ciebie wyzwanie.

Chłopak odłożył swój miecz i odpowiedział uśmiechem. Bynajmniej nie kpiącym.

– W tym, co mówisz, dostrzegam pewną poetykę.

– No to jesteś stracony dla ludzi. Albo cię szybko zabiją, albo staniesz się żywą legendą, która nie ma sobie równych.

Virion zniecierpliwiony przerwał wymianę zdań na temat przyszłości chłopaka. Wolał teraz nie poruszać tej kwestii. A przynajmniej nie chciał, żeby wydało się, że już w czasie bądź co bądź krótkiej ich znajomości doprowadził młodego na szafot. Nie miał pojęcia, że Nerideen już zdążył się tym pochwalić.

– Powiesz, co u mamy?

– No powiem, powiem, ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę. Jak rozumiem, Biafry tu nie ma?

– Nie ma. Załatwia sprawy w mieście.

– To pogadajmy o interesach, a potem wyślij go – ruch palca w stronę Nerideena – z listem do generała.

– Jasne.

Virion zrozumiał, że owszem, wszystkiego się dowie, ale te wiadomości nie są przeznaczone dla postronnych uszu.

– Śniadanie gotowe.

W drzwiach willi pojawiła się stara kobieta z tacą obciążoną naczyniami. Postawiła ją na stole pod sosnami i zafrapowana podeszła do Io. Uniosła dłonie i delikatnie dotknęła jej twarzy.

– Kim ty jesteś, córcia? – wyszeptała zaaferowana. – A raczej czym ty jesteś? Wydawało mi się, że wszystkie dziwadła na świecie już widziałam. Ale takiego jak ty, nawet troszeczkę chociaż podobnego, jeszczem nie spotkała...

– A ty kto? Szeptucha?

– Tak, jestem zwykłą wiejską czarownicą. Taką, co uroki rzuca i uroki zdejmuje z zabobonnych chłopów. – Roześmiała się nagle zupełnie innym, jakby młodym głosem. – No... może niekoniecznie taką znowu zwykłą. Choć z tobą konkurować w dziwności nie sposób.

Io zbliżyła głowę do twarzy staruchy.

– Mogę? – zapytała.

– Aaa! Ty z tych... – Jakby zrozumienie odbiło się na twarzy czarownicy. – Możesz. Jasne, że możesz.

Nerideen wybałuszył oczy, widząc, że Io nagle wysunęła niesamowicie długi język i oblizała twarz starej chłopki. Ta poddawała się zabiegowi nie dość, że bez protestu, to jeszcze wydawało się, że skądś zna taki rodzaj postępowania.

– No i co? – Chłopka wytarła trochę mokrawą od śliny twarz rękawem. – Już się tobie przedstawiłam.

Io pochyliła się w ukłonie.

– Miło mi cię poznać.

– A ty się nie przedstawisz?

– Trochę trudno tak słowami. Ale wiesz, część mnie pochodzi z bardzo, bardzo daleka, a druga część jest stąd. – Położyła dłoń na ramieniu ojca.

Szeptucha kręciła głową w niemym podziwie.

– To ja zupełnie nie wiedziałam, że aż takie cuda zdarzają się na świecie. Że to w ogóle możliwe! Ech, cudowne jest życie, bo człowiek się uczy do samego jego końca! – Cmoknęła głośno. – Córcia! Przecież ty jesteś normalnie czarownicą.

– No trochę tak.

– Ładne mi „trochę”! Tak zrobić starą babę i podejść tu znienacka, przez puste pole.

– To mam po matce. Nie zwracam niczyjej uwagi.

– Niech każdy mówi za siebie – wtrącił Nerideen. Było oczywiste, że akurat jego uwagę Io zwraca od samego początku.

Stara pokiwała głową.

– No właśnie. Czarownica, ale tak dziwna, że to się największym mędrcom nie śniło.

Io rozłożyła ramiona w geście „no i cóż zrobisz?”. Stara znowu zaczęła się śmiać.

– No siadajcie, siadajcie. – Zakrzątnęła się przy stole. – Bo my tu gadamy, a śniadanie stygnie.

Szeptucha rozstawiła naczynia, a kiedy usiedli, nalała im gęstej zupy. Potrawy prawie nieznanej w Troy czy w Luan. A przynajmniej nie w takim wydaniu. Chłopka przyniosła jeszcze nabiał i warzywa. Nie mogła przy tym powstrzymać się od ciągłych spojrzeń na Io. A także od głaskania jej po włosach, kiedy tylko znalazła się wystarczająco blisko. Dziewczyna poddawała się tym zabiegom bez protestu, a Nerideen zazdrościł starej. Sam by pogłaskał.

– Co tam słychać w szerokim świecie? – zagaił rozmowę Virion.

– Nadchodzi rozstrzygnięcie. Proxima sądzi, że tym razem wojskom Luan uda się przedrzeć przez góry.

– I koniec Arkach?

Starucha nachyliła się nad stołem.

– Wielu już się wydawało, że Arkach zaraz zniknie z map świata. Wielu...

– Oby i tym razem wszystko było w porządku – uśmiechnęła się Io. – W każdym razie ci z Troy sądzą, że w tym roku nastąpi rozstrzygnięcie. I bardzo chcieliby, żeby królestwo zdobyło się na ostatni wysiłek i ruszyło do samobójczego ataku.

– Rozumiem – mruknął Virion. – Jedzmy, bo zaraz wystygnie.

Jego córka zrozumiała natychmiast. I przeszła na język migowy, którego nauczyła ich Niki. Z boku wyglądało to, jakby leciutko bębniła palcami o powierzchnię stołu. Virion odpowiadał w podobny sposób. Dla postronnych wyglądało to całkiem niewinnie. Nerideen nie zorientował się w żaden sposób. Stara chłopka po chwili domyśliła się, że rozmawiają, ale siłą rzeczy nie mogła mieć pojęcia o czym.

„Troy cię zatrudniło?”

„Tak. Zaoferowali bardzo wysoką stawkę”.

„Od kiedy pracujesz za pieniądze?”

„Nie za pieniądze. Oni obiecali azyl wszystkim upiorom, które opuszczą Luan. A wiesz, co się tam dzieje”.

„Kolejna histeria cesarza. Pali się kobiety na stosach po wsiach, bo są rzekomo upiorami”.

„Nagonka przybiera na sile w identycznym tempie co zaburzenia umysłowe cesarza. Jeszcze rok, dwa i dobiorą się do prawdziwych upiorów. W końcu je znajdą”.

„Ufasz ludziom z Troy?”

„Ufam tylko tobie i mamie. Ale królewscy są pragmatykami i nawet jeśli ich władca popadnie w obłęd, to siedem wielkich rodów nie będzie realizować snu wariata”.

„Masz rację. Czego potrzebujesz?”

„Wysłali mnie w poszukiwaniu brakujących papierów zrabowanych ze skrzyni posła Luan. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że mi się uda, bo nie wiedzą, że mogę się zwrócić do ciebie”.

Virion uśmiechnął się mimowolnie.

„Dostaniesz wszystkie papiery. Jeszcze dzisiaj będziesz je mogła zanieść Proximie”.

„Na pewno tobie to nie zaszkodzi?”

„Nie, bo papiery to luańska fałszywka. Biafra chciał je sprzedać wywiadowi Troy lub dać jakiemuś agentowi, żeby umocnić jego pozycję w poselstwie. No to powiem, że tym agentem jesteś ty”.

„Świetnie. Dzięki temu zdobędę wpływ na Proximę”.

„Ale wiesz, że te dokumenty są nic niewarte?”

„Teraz wiem, ale oni nie wiedzą. A ja zadanie wykonam z nawiązką”.

„No to dobrze. A z innych poufnych wieści?”

Tym razem uśmiechnęła się Io.

„Zaczęliście z mamą jakiś dziejowy proces. Oprócz moich braci i sióstr na całym świecie rodzą się dzieci ze związków między ludźmi a upiorami”.

„Jak to możliwe?”

„A jak ja byłam możliwa? Zresztą to tylko pani Nikt może ci wytłumaczyć. Ale... zapoczątkowaliście z mamą nową rasę”.

Virion odsunął od siebie gwałtownie talerz.

– Zupa była doskonała! – Skłonił głowę przed kucharką.

– Mam nadzieję, że wieści były równie dobre? – Szeptucha była doskonałą obserwatorką. I bardzo domyślną.

– Owszem.

– Jakie wiadomości? – Nerideen wciąż się nie domyślał.

– Moja córka emanuje po prostu doskonałym nastrojem, który przywiozła z domu – powiedział Virion. – Odbieram to jako dobre wiadomości.

– Bo są dobre – wpadła mu w słowo Io.

Podniosła swoją sakwę, którą wcześniej położyła na ziemi, i po dłuższych poszukiwaniach wyjęła z niej malutki szaliczek i jeszcze mniejszą czapeczkę.

– Mama przesyła z pozdrowieniami. Sama zrobiła – skłamała nieudolnie, bo Virion doskonale wiedział, że Niki i haftowanie to dwie rzeczy, których łączyć ze sobą niepodobna. No chyba że chodzi o haftowanie po srogiej zabawie.

– Aluzję pojąłem. Jestem pilnie potrzebny, żeby po rozwiązaniu nadać dziecku imię. Męskie, żeńskie?

– Siostrzyczka. – Io rozłożyła ręce.

– Skąd możecie wiedzieć, skoro jeszcze nie narodzona? – nie mógł zrozumieć Nerideen, ale przy tej uwadze nawet szeptucha załamała ręce.

– Od tego są takie jak my – wyjaśniła. – Czarownice.

– Jeszcze coś przywiozłam. – Io wyjęła z sakwy dość spory element jakby wojskowego wyposażenia, zrobiony ze skóry. – W środku wykończony jak kolczuga. Mama prosiła, żebyś wkładał, jeśli będzie się zapowiadać jakaś bijatyka.

– W życiu nie założę pancerza.

– Można ukryć pod tuniką.

– I będzie wyglądać, jakbym miał wielki brzuch.

– Za to w środku ukryty jest bukłak. Można sobie pociągać w każdym towarzystwie, nawet na cesarskich salonach i nikt się nie zorientuje – kusiła dziewczyna.

– A? Aaaaa… Pokaż, pokaż.

– Już pokazuję. – Wbrew swoim słowom Io nie wyciągnęła ręki z prezentem, za to wstała nagle i zrobiła krok w tył. – Ale najpierw zapytaj Biafry, czy wyrazi zgodę na nasz plan.

Virion tylko westchnął. Jednak jakoś szczególnie się nie zżymał. Musiał doskonale znać meandry psychiki swojej córki. Ale wysłanie chłopaka z listem było zdecydowanie dobrym pomysłem. Z wielu względów.

– Czy jest tu coś do pisania? – zwrócił się do gospodyni.

– A pewnie jest. – Szeptucha wzruszyła ramionami. – Pójdę poszukać, to może znajdę, choć przyznam, że mnie nigdy te przybory nie były potrzebne.

– Z czytania same pożytki.

– Hm? Gdybyś chciał coś poczytać, to leży tu cały zbiór rycerskich romansów. Przynieść?

– No nie. – Virion ukrył twarz w dłoniach. – I ty też?! Też to czytałaś?

– Ja tam z pismem średnio obeznana – wykręciła się stara. – Ale Biafra zna wszystkie.

Nerideen znowu nie zrozumiał, dlaczego na twarzy jego towarzysza pojawiła się boleściwa mina.

– Co w tym złego? – zapytał. – Ja też wszystkie czytałem.

Io westchnęła w rezygnacji.

Proxima ni to leżała, ni to siedziała na czymś przedziwnym, czego ani Anarcha, ani Fedra nie widziały nigdy przedtem. Nie była to leżanka, taka jak choćby w jadalni, bo wielka księżna tkwiła w pozycji na wznak. Nie było to krzesło, bo kobieta właściwie znajdowała się w pozycji leżącej. Najłatwiej byłoby to określić jak tron z rozłożonym do tyłu oparciem i uniesionym podnóżkiem.

– Bardzo cierpisz, pani? – ruda oficer pierwsza odważyła się zadać pytanie.

– To bardzo wygodne. Ci tutaj, miejscowi, nazywają to fotelem, ale jeśli o mnie chodzi, to mebel zupełnie nie kojarzy mi się z tym określeniem.

– Ja się w ogóle nie znam na meblach.

– Powróćmy zatem do spraw, na których się znasz. Wysłałyście Io z misją zorientowania się, kto ma pozostałą część dokumentów zrabowanych w siedzibie posła Luan. Jak oceniasz jej szanse?

– Io jest podobno najlepszym wywiadowcą w kręgach służb, o jakim słyszałam. Bardzo trudno do niej dotrzeć. Jeszcze trudniej zwerbować.

– Udzieliłaś mi wymijającej odpowiedzi. Zapytam więc inaczej: jakie są szanse, że Io uda się przejąć pozostałą część dokumentacji?

– One są żadne. – Fedra była bardziej szczera. – Nawet jeśli dziewczynie uda się namierzyć sprawcę, to zdobycie papierów zakrawa na niemożliwość.

Proxima skinęła głową.

– Takie jest i moje zdanie – powiedziała sucho.

– Ależ, pani! – Anarcha najwyraźniej nie mogła pogodzić się z faktami. – Przecież mamy drugą część. Mamy wystarczająco wiele kompromitujących Biafrę materiałów, żeby go szantażować.

– Te papiery są bezwartościowe.

– Dlaczego, pani?

Proxima podniosła zmęczone oczy.

– Jeżeli my możemy szantażem skłonić Biafrę do jakiegoś działania, to ten, kto ma drugą połowę, może go skłonić do działania zupełnie przeciwnego. I co? Nic. Nic z tego nie wynika. Nic z tego nie wyjdzie. Szachujemy się wzajemnie z tym tajemniczym kimś.

– Dobrze więc będzie, jeśli Io uda się dowiedzieć przynajmniej, kto to jest. Wtedy jest szansa na dogadanie się.

– Żadna – oceniła sytuację wielka księżna. – Jeśli to zrobili miejscowi, to szansa na wspólne szantażowanie samych miejscowych raczej odpada. Jeśli Zakon, to oni z nikim się nie dogadują w żadnej sprawie, bo mają własną, odrębną politykę. Jeśli sprawcami są jakieś pomniejsze królestwa, to strach się z nimi zadawać w kwestii wspólnego szantażu, bo nie wiadomo, co zrobią. Są nieprzewidywalne.

– A jeśli to ktoś prywatnie? – podsunęła Anarcha.

– I po co prywatnemu możliwość wpływania na jednego z generałów? Żeby zdobyć tłuste zamówienia dla armii? Ryzykując głową w przypadku takiej gry? Ryzykując swoimi bliskimi? Nie.

– W takim razie nie wiem, co zrobić – przyznała ruda oficer.

Proxima nawet na nią nie zerknęła.

– A ja właśnie oczekuję od was pomysłów – powiedziała.

Zapanowała nieznośna cisza. Jednak nie trwała długo.

– Zabijmy Biafrę i problem się rozwiąże – zaproponowała Fedra.

Anarcha drgnęła.

– Żartujesz?

– Nie. Skoro nie mamy żadnej formy nacisku na Biafrę, to jedyne rozsądne rozwiązanie.

Ruda oficer wlepiła oczy w twarz Proximy, chcąc z niej wyczytać, kiedy pojawi się święte oburzenie, ale się nie doczekała.

– Jesteśmy niebezpiecznie blisko – powiedziała wielka księżna.

– Blisko czego, pani?

– Zamachu stanu.

Czarownica pochyliła się w ukłonie. Prawdopodobnie po to, żeby ukryć swój wyraz twarzy. Chyba triumfalny.

– Ale przecież to nie my, pani. Znajdą zwłoki Biafry, a przy nim tę część papierów, którymi dysponujemy. Nie wiadomo, co się stało, ale... Któż będzie podejrzany?

– Luan.

– Ależ to niepodobieństwo! – Anarcha wodziła wzrokiem od jednej do drugiej. – A poza tym... co nam to da?

– Da nam to, że skoro nie możemy przejąć ani kontrolować najważniejszego agenta Luan na tym terenie, to go wyeliminujemy. I cesarscy zostaną bez niczego. W takiej samej sytuacji jak my.

– To syn królowej.

– Właśnie. Któż by mógł podnieść rękę aż tak wysoko? Tylko te świnie, z którymi Arkach i tak prowadzi wojnę.

– A motyw?

– A motyw nie może być zbyt oczywisty. Jeśli wszystko jest dla śledczych jasne i jednoznaczne, to znak, że ktoś to ukartował. A tak?

– Niech się gubią we własnych domysłach. A kompromitujące dokumenty tylko zaciemnią im obraz.

Proxima uderzyła dłonią w ozdobną poręcz.

– To dobry plan – zawyrokowała. – W bezpośrednich rozmowach z królową będziemy na lepszej pozycji niż ci z Luan.

– Chyba że zrodzą się podejrzenia.

– Względem nas? No przecież to my nie mamy motywu. Jesteśmy naturalnym sojusznikiem Arkach, traktujemy ich jak przyjaciół, umizgujemy się. No i każdy widział, że zabiegaliśmy o względy Biafry.

– „Zabiegaliśmy”? Już w czasie przeszłym?

– Proszę nie robić melodramatu, pani oficer! To dobry plan! Pytanie, czy mamy tu odpowiednich ludzi?

– My zawsze mamy odpowiednich ludzi – powiedziała Fedra.

– Zatem na akcję nie bierzcie tych najpewniejszych. Niech zwykli zlikwidują cel, a ci najpewniejsi niech potem zlikwidują tych od mokrej roboty. I dla Anarchy znajdzie się wtedy odpowiednie zadanie.

– Jakie, pani?

– Ty zlikwidujesz tych najpewniejszych.

– Aha. A potem Fedra zlikwiduje mnie?

Proxima mimo swojego wieku podniosła się energicznie i podeszła do rudej oficer. Uśmiechnęła się ciepło.

– Tak daleko moje plany nie sięgają. Nie mówiąc, że jesteś ulubionym zausznikiem Betelgeuzy. Wiem, że uwielbia splatać warkoczyki z twoich czerwonych włosów. – Księżna lekko i pieszczotliwie uderzyła Anarchę otwartą dłonią w policzek. – Jesteś dla mnie nietykalna.

Czarownica poruszyła się lekko, marszcząc brwi. Czy tylko dla niej nad ostatnim zdaniem zawisło niewypowiedziane słowo „niestety”? Dziwne.

Proxima jednak nie miała wątpliwości.

– No i dobrze. Przygotujcie wszystko, co trzeba. Czekamy już tylko na powrót Io i wyniki jej misji. A potem do dzieła!

Nerideen nie był zbyt wytrawnym jeźdźcem, ale nawet on potrafił pojechać z listem do miasta, załatwić sprawę i powrócić w bardzo rozsądnym czasie. Dystans sam w sobie nie był problemem. To dotarcie bezpośrednio do Biafry i odciągnięcie go na ubocze mogło stanowić wyzwanie zbyt trudne, by zrealizował je w ciągu jednego dnia. W Canope roiło się od posłów i rozmowy, negocjacje, sondowanie przeciwników zajmowały czas wszystkich uczestników zjazdu, wypełniając go w całości rautami, przyjęciami, uroczystymi śniadaniami, obiadami, kolacjami, a potem balami, gdzie też dominowała polityka. A jednak albo chłopak miał szczęście, albo niebywały talent. Zeskoczył z konia i podniósł trzymaną w ręku płócienną torbę.

– Zgodził się. – Przekazał pakunek Io. – Możesz to zabrać i dać Proximie.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, a potem przeniosła wzrok na Viriona.

– Biafra ufa ci tak bardzo, że dał tajne dokumenty chłopakowi, którego kilka dni temu zobaczył pierwszy raz w życiu? – Nie mogła uwierzyć.

– No przecież to mój uczeń.

– I – potrząsała głową – tak o, po prostu zgodził się na twój plan, nie analizując go, nie dyskutując, nie pytając nawet o szczegóły?!

– Jak widać.

Io cmoknęła głośno.

– Co jest grane?

Virion nie zamierzał wdawać się w wyjaśnienia.

– Najważniejsze, że Proxima dostanie te papiery. A to sprawi, że staniesz się w jej oczach kimś niezastąpionym.

Io pochyliła się nad ojcem.

– Wielka księżna nie jest głupią babą z targu – powiedziała cicho. – Prędzej czy później domyśli się, że skoro tak łatwo zdobyłam te

papiery, to coś jest z nimi nie tak.

– I bardzo dobrze. Trzeba ją więc nakłonić, żeby je szybko wykorzystała.

– Co? Coś ty znowu wymyślił?

Virion odchylił się na oparciu ogrodowej ławy, którą zajmował. Podniósł do ust skromny chłopski kubek z drewna i dłuższą chwilę sączył jego zawartość. A potem powiedział:

– Bardzo długo zastanawiałem się, jak zabezpieczyć Biafrę przed kompromitującymi dokumentami, które ma poseł Luan.

– Jak to jak? Nie da się.

– Tiaaa... Jeśli cesarscy teraz ich użyją, to będzie jak grom z jasnego nieba.

– Najpierw będą szantażować. Nieprawdaż?

– Prawdaż. I w związku z tym trzeba sprawić, żeby nie byli jedyni.

Io przyjrzała się ojcu, marszcząc brwi. Niby była przyzwyczajona, że jego umysł działał zupełnie inaczej niż u reszty ludzi na świecie. Ale mimo to niekonwencjonalne podejście Viriona potrafiło ją zaskoczyć.

– Co wymyśliłeś?

– Niech ci z Troy ujawnią jakąś fałszywkę. Niech królowa zobaczy, że ktoś usiłuje skompromitować Biafrę. A my spreparujemy jeszcze inne papiery. I również podsuniemy jako dowód szantażu. Niech tych fałszywek będzie jak najwięcej.

– Aha. – Io domyśliła się nareszcie. – I wtedy luański piorun z jasnego nieba nie będzie już piorunem. Zamieni się w jedną z wielu kropel ulewy?

– Właśnie.

– No i wszystko pięknie. Z tym tylko, że cesarscy mają prawdziwe haki. I królowa będzie mogła to sprawdzić.

– Może tak, może nie. Nikt nie wie, jak przedziwne meandry zdarzeń ułożą się przed nami. A zamieszanie z fałszywkami ma jedynie dać czas Biafrze.

– Czas na co?

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Na reakcję. Nikt nie wie, co się stanie. Nikt nie przewidzi przyszłości, więc nie ma po co układać planu.

Io westchnęła tylko.

– Wiem, wiem, to twoja ulubiona teoria. Nie pętać się jałowymi przewidywaniami. Jeśli coś nastąpi, trzeba reagować elastycznie w zależności od sytuacji.

Nerideen w tym właśnie momencie postanowił się włączyć.

– Czy moglibyście mówić mniej zagadkowo? – poprosił. – Chętnie wziąłbym udział w dyskusji, ale poszybowaliście zbyt wysoko, jak na mnie.

Io uśmiechnęła się do niego promiennie.

– I bardzo podoba mi się twoja uwaga! – wykrzyknęła radośnie. – Potrzebuję twojej pomocy.

Chłopak wyprostował się, prężąc mięśnie.

– Rozkazuj, pani! Mam sam jeden rozbić całą armię?

– Nie, nie. To kompetencje mojego taty.

Virion parsknął śmiechem. Ale nie wtrącał się, ograniczając się do potakiwania.

– Usiłuję go namówić do ogolenia włosów na głowie, a on nie chce o tym słyszeć. I nie chce słuchać moich argumentów, że przecież nie może chodzić z tym czymś na głowie. – Wskazała siwą, niemożliwą do uporządkowania czuprynę.

Nerideen przyjrzał się swojemu mistrzowi z uwagą.

– Myślę, że to doskonały pomysł.

– Zdrajca! – warknął Virion. – I jak ja będę wyglądał?

– Bardzo męsko – powiedziała Io.

– Bardzo groźnie – zawtórował jej Nerideen. – Wszyscy szermierze, wszyscy zapaśnicy w cyrku są ogoleni na łyso!

– Co fakt, to fakt – dołączyła szeptucha, która pojawiła się w drzwiach willi. Najwyraźniej podsłuchiwała całą rozmowę. – Czekajcie. Zaraz wam coś pokażę.

– Czy wy chcecie, żebym ja występował w cyrku?

– Skądże, mistrzu! – żachnął się chłopak. – Ja tylko podałem przykład kogoś, kto wygląda groźnie.

– Oni się golą po to, żeby nie można ich było w walce chwycić za włosy!

– No i widzisz, tato. Sam podałeś kolejny argument.

– Coś ty się do mnie przyczepiła?

– To z miłości i troski. A z tym czymś na głowie nie wyglądasz elegancko – trafiła Viriona w czuły punkt.

– I to własna córka...

– O, popatrzcie. – Szeptucha pojawiła się znowu w drzwiach willi. W rękach trzymała zwinięty rulon, który zaczęła prostować w podmuchach rodzącego się właśnie wiatru. – Pan Biafra trzyma u siebie portrety najsłynniejszych zbójców. Patrzcie.

Starucha nareszcie pokonała opór płachty i pokazała im twarz groźnego mężczyzny. Rzeczywiście robił wrażenie.

– Z tym ogoleniem głowy to całkiem dobry pomysł – dorzuciła.

– Ty też?!

– Ale patrz, synku, jaki on groźny!

– Taki się wydaje, bo ma opuszczoną dolną wargę, a nie dlatego, że łysy.

Starucha zerknęła zaciekawiona.

– No to ty też byś mógł opuścić dolną wargę od czasu do czasu, żeby kogoś postraszyć – powiedziała.

– Jest! – zaraportowała Fedra. – Przyszła!

Proxima podniosła głowę.

– Czy mogłabym prosić o bardziej wyczerpującą formę raportu? – zapytała, jak na nią, nawet dość grzecznie.

– Io wróciła z misji, na którą ją wysłałaś, pani. Jak sama twierdzi, misja zakończyła się sukcesem. Pełnym.

– Zdobyła brakujące dokumenty?

– Tak, pani.

Wielka księżna długo wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Nie mogła uwierzyć w słowa czarownicy.

– Przecież to niemożliwe – wyszeptała wreszcie. – Nie tak szybko.

– A jednak. Papiery widziałam. To brakująca część zbioru, który już znajduje się w naszym posiadaniu.

– Hm. Wierzę ci, oczywiście. Ale... Albo prawdą jest to, co o niej mówią, że potrafi sprawiać cuda. Albo coś tu jest nie tak.

Fedra nie czuła się kompetentna w snuciu rozważań nad meandrami polityki na tym szczeblu. Wzruszyć ramionami nie wypadało, więc powiedziała tylko:

– Prosić?

– Tak, tak. Chcę z nią porozmawiać.

Czarownica ukłoniła się i odeszła bez dalszych komentarzy. Co znowu stara kombinuje? Bo w to, że w umyśle WK pojawiło się już tysiąc nowych pomysłów, nie wątpiła. Za dobrze znała Proximę.

W przedsionku do sali audiencji skinęła na Io.

– Wejdź – szepnęła.

– A jak humor szefa wszystkich szefów?

– Nazwałabym ten stan zaciekawieniem. A nawet fascynacją.

– O, to dobrze rokuje.

– No nie wiem.

Io nie zwracała uwagi na cierpki humor czarownicy. Ominęła ją zgrabnie i weszła do sali audiencji. Miała takie sobie pojęcie o rodzajach pałacowych ukłonów, wykonała więc ten najprostszy, przewidziany dla bliskich współpracowników. Okazało się, że niepotrzebnie zaprzątała sobie głowę tą kwestią. Proxima interesowała się ukłonami w tym samym stopniu co opadami śniegu w dalekim Garrenmich. Spojrzała na dziewczynę skupiona i żywo zainteresowana rozwiązaniem trapiącej ją kwestii.

– Nie ciekawi mnie poziom operacyjny, pomiń, proszę, wszystkie szczegóły – zaczęła bez wstępów. – Powiedz mi: jak byś oceniła trudność w wykonaniu zleconego ci zadania w skali od jeden do pięciu?

– Jako zero – odparła Io bez wahania. W głowie dziewczyny ciągle brzmiały jej własne słowa na temat wielkiej księżnej: „To nie głupia baba z targu”. Oj tak. Tu, w obecności Proximy, nie należało kluczyć w najmniejszym stopniu.

– Tak łatwo poszło?

– Bardzo łatwo, pani. Nie spodziewałam się.

– No właśnie. Wysłałam cię z misją praktycznie niewykonalną. Miałaś, po pierwsze, odnaleźć, a po drugie, odzyskać połowę interesujących nas dokumentów. A przecież ten, który je ukradł, po pierwsze, spodziewał się naszego ataku, a po drugie, nie po to rabował, żeby teraz oddawać bez żadnego zabezpieczenia. A ty przychodzisz po niewiarygodnie krótkim czasie i meldujesz o sukcesie.

Io skłoniła głowę przed księżną.

– Coś tu jest bardzo nie tak. Gdzie zdobyłaś dokumenty? Tylko bez operacyjnych szczegółów.

– U miejscowych, pani.

– Aha! No, to by wyjaśniało bezczelną postawę posła Luan. Ale też rzuca światło na samą aferę. Co o tym myślisz, dziecko?

Io ukłoniła się po raz kolejny.

– Ty, pani, nie ingerujesz w sprawy na poziomie operacyjnym. Pozwól mi więc nie wkraczać w sprawy na poziomie politycznym.

Zmusiła Proximę do śmiechu.

– Jesteś bardzo mądra, dziecko – powiedziała księżna. – Mimo więc niebezpiecznego fachu, który stał się twoim udziałem, będziesz długo żyła i pewnie nawet doczekasz wnuków.

– Dziękuję, pani.

– Zatem ja się wypowiem. Moim zdaniem te materiały są w jakiś sposób trefne. Nie wiem, o co chodzi, nie podejrzewam jakichś szczególnych matactw, ale mam wrażenie, że poseł Luan w dalszym ciągu dysponuje czymś, co może skompromitować Biafrę.

„To nie jest głupia baba z targu” – w głowie Io po raz drugi dzisiaj rozległo się echo jej własnych słów.

– Twoje nowe zadanie będzie polegać na tym, żeby dowiedzieć się, czym dysponuje poseł i gdzie to trzyma.

Io spojrzała na wielką księżną rozszerzonymi nagle oczami i przełknęła ślinę. Proxima zauważyła to natychmiast.

– Spokojnie, dziecko, przecież nie poślę cię w teren bez żadnego punktu zaczepienia. Mam konkretne zlecenie.

– Słucham, pani.

– Musisz uderzyć na sekretarza posła. Tego grubego, który okazał się tak odporny na przyjęciu. – Stara kobieta w bogatej sukni machnęła lekceważąco palcami, jakby odpędzała jakiegoś owada. – Nie chciał dać się zwerbować po dobremu, to spróbujemy gwałtownie.

– Mam mu zrobić krzywdę?

– Jeśli będzie trzeba. Ale nie martw się, wiem, że nie lubisz mokrej roboty.

– Nie lubię likwidowania świadków – sprecyzowała Io.

– Gdyby trzeba było sekretarza uciszyć na zawsze, to w charakterze twojego wsparcia pójdzie też Anarcha. Wiem, wiem. – Wielka księżna uniosła dłonie w obronnym geście. – Ona nie jest zbyt inteligentna. I potrafi być wkurzająca. Ale uwierz, jest dobrym oficerem. I załatwi sprawę we wszystkich jej gwałtownych elementach.

Io uśmiechnęła się, słysząc to określenie.

– Jak się mam do niego dostać?

– O wszystkim powie ci Anarcha. A ja ci powiem o wszystkim, o czym ta ruda małpa nie może się dowiedzieć.

– Tak, pani?

Proxima podniosła z podręcznego stoliczka papierową teczkę i wręczyła ją dziewczynie.

– To są nasze materiały na sekretarza pana posła. Grubas jest defraudantem i oszustem. Podobno miał też jakąś sprawę ze zbytnią słabością do dzieci. Tyle że nie dysponujemy żadnym twardym dowodem. Ale i plotki mogą posłużyć do postraszenia delikwenta. Natomiast mamy dowody na jego kradzieże. Także na fałszowanie

podpisu posła na oficjalnych dokumentach. Wszystko masz w tej teczce. Podejdź do okna, bo tam jest lepsze światło, przeczytaj, zapamiętaj. Teczka zostaje u mnie.

– Tak jest, pani. – Io odruchowo dygnęła jak mała dziewczynka. – A wolno mi zadać pytanie?

– Tak.

– Domyślam się, że trzymam w ręku materiały zdobyte przez wywiad Troy. Jakim więc cudem, pani, zdążyłaś posłać kuriera do centrali i przywieźć wszystko tutaj?

Proxima znowu się roześmiała.

– To nie tak działa, drogie dziecko. – Szeroko rozłożyła ręce. – Konferencja tylu poselstw w jednym mieście siłą rzeczy musiała być zapowiedziana już dawno. I każda ze stron musiała przysłać listę członków swojej delegacji. Dawno już temu, jak mówię.

– I te listy wysłano do Troy?

– Nie no, do Arkach. Myśmy je tutaj skopiowali, przesłali do nas i jadąc tutaj, zabrali z centrali wszystkie materiały, które mieliśmy na ludzi wymienionych na listach. I nie tylko my postąpiliśmy w ten sposób. Sądzę, że w tej chwili w tym mieście ktoś studiuje właśnie moją teczkę, Fedry, Anarchy i innych. Jedynie ty jesteś kartą wyciągniętą z rękawa. Ciebie nie mogli przewidzieć.

– Niesamowite, pani. Jestem pod wrażeniem.

– Czy potrzebujesz jakiegoś krzesła, stolika? – Proxima wskazała papierową teczkę. – Musisz wszystko dokładnie zapamiętać.

– Dziękuję, pani. Zapamiętam po jednym czytaniu.

– Jak myślisz? – Biafra podszedł do Viriona i spojrzał mu badawczo w oczy. – Czy Druzus powiedział posłowi, że jeden z jego ludzi cię rozpoznał?

– Nie sądzę.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nic by mu to nie dało poza ujmą na honorze.

– Dlaczego ujmą?

– Oj, to przecież proste. Jak wytłumaczyć pracodawcy, że wynajęci przez ciebie, ale za jego pieniądze ludzie zaczęli uciekać na sam dźwięk czyjegoś imienia? To przecież pokazuje twoją kolosalną niekompetencję.

Biafra zamyślił się, marszcząc czoło.

– A ty jak sądzisz, młody?

Oderwał Nerideena od obserwacji tego, co działo się na niewielkim dziedzińcu pałacu, który służył generałowi za oficjalną siedzibę podczas pobytu w Canope. A tam właśnie, na dole, służbowy pluton dokonywał porannych ablucji i było to dla chłopaka fascynujące widowisko.

– Co? – Nawet nie usłyszał pytania.

– Czy ty przyznałbyś się posłowi, że twoi ludzie zaczęli uciekać na dźwięk imienia „Virion”? To przecież bardzo ważna informacja.

– Na pewno bym jej nie przekazał posłowi. To by przecież świadczyło, że wynająłem tchórzy, no i że sam nie zadbałem. A tak to po prostu... bitwa była, a tamtych więcej.

Biafra podszedł do okna, chcąc spojrzeć, na co z taką intensywnością patrzy Nerideen.

– Aha. – Kiedy zobaczył myjących się żołnierzy, stało się to dla Biafry jasne. – No ładnie.

– Przepraszam – sumitował się chłopak.

– A za co? Przecież to piękny widok.

– No ale tak się gapić bez żenady...

– E tam. Spróbuj jednak spojrzeć głębiej. – Biafra najwyraźniej polubił Nerideena. Być może dlatego, że dzieliła ich mniejsza różnica wieku niż z Virionem, a może dlatego, że podobał mu się naturalny, nieskażony miazmatami dworskiego wychowania umysł chłopaka.

– Znaczy na co?

– Na piękno w życiu człowieka – uśmiechnął się Biafra. – Czy wiesz, co to jest piękno?

– Mmm... No...

– Piękno to broń.

Chłopak aż prychnął.

– Co?

– Jest takie ludowe przysłowie: nie szata zdobi człowieka. Co znaczy, że trzeba mieć jakieś tam przymioty duchowe, które inni ludzie docenią. – Biafra napełnił swój kielich ciemnym, aż gęstym winem. A Virionowi nalał wódkę. – Nic bardziej mylnego. Każdy, kto zna ludzi, powie, że tylko i wyłącznie szata zdobi człowieka.

– Tu chybabym się zgodził. – Nerideen ewidentnie zaskoczył rozmówcę. – Jestem inaczej traktowany przez wszystkich, jeśli jestem dobrze ubrany.

Z tyłu pomiędzy kolejnymi łykami rozległo się akceptujące mruknięcie Viriona.

– No właśnie. Piękno szaty to raz. A dwa to piękno twarzy, piękno sylwetki. Mężczyźni nie doceniają tego aspektu, kobiety przeciwnie. Kiedyś pewna władna na dworze kobieta powiedziała mi szczerze: „Ja swoje wykwintne majtki wykorzystuję jako broń, bardziej zabójczą niż twój miecz”.

Tu Nerideen wolał milczeć, bo nie wiedział, co to za część garderoby, a nawet o niej nigdy nie słyszał.

– Piękno jest zabójczą bronią – ciągnął Biafra. – I zapamiętaj, że ludzie widzą tylko twoje zewnętrze. Oceniają cię według niego, sądzą, traktują. Nic innego do nich nie dotrze.

Virion odstawił swój kubek i dodał:

– Nie przesadzałbym z tą myślą, że ludzie widzą cokolwiek. Po mojemu nie widzą nic. Żyją w świecie, jaki według ich osądu powinien być, a nie w tym, jaki jest.

Biafra uniósł swój puchar w niemym toaście.

– Twój mistrz – zwrócił się do chłopaka – poszedł jeszcze dalej w ocenie rzeczywistości. I z tym się zgadzam. Jednak w tym urojonym świecie, w jakim żyjemy, jedyną rzeczą, która go kształtuje, jest wygląd. Wygląd, sytuacja i zachowanie. Tymi czynnikami formujesz urojenia.

Virion ewidentnie zgodził się z powyższym. Westchnął głośno:

– Czyż nie powtarzam ci od samego początku, że na polu bitwy musisz być przede wszystkim elegancki? Ale do tej pory chyba nie rozumiałeś, o co mi chodzi.

– O przenośnię! – Nerideen palnął się dłonią w czoło. – O szerszy sens.

– Nie tylko. Można tę radę traktować dosłownie.

– Aaa… – Chłopak przygryzł wargi. – A pozycja? – zapytał. – Czy ona nie stanowi o naszej roli w społeczeństwie?

– Pozycja? – zdziwił się Biafra, a potem odstawił swój puchar. – Chodźcie. Coś wam pokażę.

Ruszył w stronę drzwi, które otworzył na całą szerokość i dwornie przepuścił przed sobą Viriona. Nerideen musiał dreptać z tyłu.

– Wożę ze sobą kucharki – kontynuował generał. – Mam bardzo delikatny żołądek i właściwie wszystko mi szkodzi. Wymagam bardzo specjalnych potraw, inaczej przykre dolegliwości potrafią zniszczyć mój dzień.

– Ja też tak mam. Ale przyczynę kładę na karb wódy.

– A chciałem to tak poetycko określić – niby to obruszył się gospodarz.

Nerideen zastanawiał się, co łączy tych dwóch ludzi. Zauważył wcześniej, że ta kwestia nurtuje także Io. Ale skoro rodzona córka nie zdecydowała się zapytać wprost, on również nie miał odwagi. W żaden sposób nie zmniejszało to jednak jego ciekawości. Jak ci dwaj się poznali? Co ich połączyło? Przecież obaj należeli do drastycznie różnych środowisk. Hm.

– Wracając do tematu – podjął znowu Biafra, prowadząc ich na schody – wożę ze sobą nie tylko kucharki, ale też kuchenną służbę. Ale tych już wyłącznie dla rozrywki.

Kiedy zeszli na parter, generał otworzył kolejne drzwi. Tym razem przodem przepuścił ich obu. A kiedy tylko goście wkroczyli do kuchni, kilkunastu młodych ludzi runęło na kolana i opuściło głowy. Na nogach pozostały jedynie trzy kucharki, sądząc po wyglądzie, kobiety z gminu. Na ich twarzach nie widać było ani krzty

uniżoności, przeciwnie, uśmiechały się przyjaźnie do Biafry, najwyraźniej lubiły swojego szefa.

A on zaczął prezentację.

– To są profesjonalistki. – Wskazał trzy kucharki. – Zawodowcy w swoim fachu. A to – przeniósł rękę na klęczących – ludzie, którzy mieli pozycję.

Wkroczył między dziewczyny i chłopaków z opuszczonymi głowami.

– Wszyscy oni urodzili się w książęcych rodach. Zostali wychowani na dworach, wykształceni, wychuchani, przeznaczeni do zajęcia najwyższych pozycji w państwie. No ale ich mamusie, wspaniałe księżniczki, musiały w żenujący sposób zaniedbać swoje obowiązki, skoro je nasza najmiłościwiej panująca skróciła troszeczkę – Biafra przeciągnął sobie palcem po szyi – a progeniturę wyrzuciła na ulicę. No i ja, przejęty ich losem, kazałem swoim ludziom zbierać te dzieciaki i tu, do kuchni, dawać, żeby z głodu nie pomarły, bo nic przecież nie potrafią. Do gotowania oni się nie nadają. Ale do szorowania garów albo skrobania brudnej podłogi to i owszem. Jeść mają co. Lepsze to, niż trafić do taniego burdelu albo do transportu niewolników, których się pokątnie sprzedaje Luańczykom, co?

– No brawo. – Virion uśmiechnął się zgryźliwie. – Zbawca doprawdy!

Biafra podszedł do klęczącego chłopaka. Stanął tak blisko, że udem prawie dotykał jego skroni. Poklepał go po policzku jak psa.

– Ten tu wychowywał się razem ze mną. A nawet w dzieciństwie trochę mi dokuczał – powiedział cicho. – Teraz moje gary szoruje. I ciekawe, czy tam po kryjomu, kiedy nikt nie widzi, ukradkiem w nie popluwa? Czy też nigdy się na to nie odważy?

Kucharki zaczęły się śmiać.

– A bo też panicz to zawsze teatr jakiś wesoły pokaże gościom – wyjaśniła jedna z nich. – To i my się pośmiejemy przy okazji.

– Ale ja nie dla wesołości, tylko dla nauki tego młodego człowieka.

Biafra podszedł do klęczącej dziewczyny i uniósł jej podbródek.

– A ta to nie wiem, czym mi podpadła. Zapomniałem. Ale postanowiłem ułatwić jej przejście ze świata fikcji do tego realnego. I sam nie wiem, czy ona, szorując podłogę, myśli, jak mi trutki dosypać, czy raczej ślady moich stóp całuje z wdzięczności, że nie umiera od ohydnych chorób w zapomnianym przez Bogów burdelu.

Uderzył klęczącą w policzek, a potem zmusił, żeby znowu opuściła głowę.

– Mścisz się na nich? – zapytał Virion.

– Już od dawna na nikim się nie mszczę. Wyrosłem z tego.

– Mhm. A to tu?

– To tylko dla nauki młodego. Żeby wiedział, że pozycja znaczy mniej niż bańka powietrza na brudnej wodzie. Obie w każdej chwili mogą pęknąć i zniknąć.

Biafra podszedł do Nerideena i położył mu rękę na ramieniu.

– Pamiętaj. Nie ma co liczyć na ludzi, którzy są bańkami. Warto oprzeć się na zawodowcach, jak te trzy panie – wskazał na kucharki – albo ten pan. – Ukłonił się przed szermierzem natchnionym. – Szacunek miej tylko do profesjonalistów. Obojętnie, z jakiej dziedziny.

– Czy po tym przydługim wstępie wyjaśnisz, jaki jest twój plan? – zapytał Virion.

– Chodźcie. – Biafra cofnął się na korytarz, poczekał, aż przejdą, i zamknął drzwi. Nie prowadził ich nigdzie daleko, chciał tylko, żeby nikt z kuchni nie mógł usłyszeć ani słowa. Narada wojenna miała więc odbyć się na korytarzu.

– Powiem tak: jestem w desperacji – powiedział, patrząc Virionowi prosto w oczy. – Jeśli te dokumenty pozostaną w rękach Luan, to oni zaraz po tym poselskim zjeździe zmuszą mnie do jakiegoś numeru, który pozwoli ich wojskom wydostać się na płaskowyż za górami. A wtedy nastąpi koniec Arkach, koniec mnie, koniec wszystkiego.

– Nie desperuj – usiłował mu przerwać szermierz natchniony, ale Biafra nie przestawał mówić:

– To już chyba lepiej naprawdę rzucić się do samobójczego ataku, jak chcą ci z Troy.

– Przecież z waszą armią nie dojdziecie nawet do własnej granicy sprzed lat. A w przyszłym roku...

– Nie będzie przyszłego roku!

– Troy chce cynicznie wykorzystać was do osłabienia Luan przed spodziewanym uderzeniem na nich samych.

– Doskonale o tym wiem. Ale jeśli cesarscy zmuszą mnie do jakiegoś manewru, to naprawdę nikt w Arkach nie będzie więcej obchodził nadejścia przyszłego roku. Bo już nie będzie Arkach.

– A nie myślałeś o jakimś poetyckim samobójstwie? Opiewanym przez mistrzów słowa przez tysiąclecia? Wtedy zniknie wasze najsłabsze ogniwo, a ty zyskasz nieśmiertelną sławę.

Nerideen aż zdrętwiał. Nie mógł sobie wyobrazić, że ktoś mógłby zwrócić się w ten sposób do jednego z najważniejszych ludzi w państwie. A jednak Biafra nawet się nie skrzywił.

– Myślałem. Może nie o własnej śmierci, ale na przykład o podróży do Nimmeth, na wybrzeże. Tam wsiadam na statek i opędzając się od natrętnych piratów, ląduję za Wielkim Lasem. Potem powolutku przez dzikie kraje docieram do Królestwa Chorych Ludzi. Tam mnie nikt nie znajdzie. Ani cesarscy, ani nasze służby. Za daleko.

– Co cię wstrzymało?

– Myśl, że to nic nie da – odparł Biafra szczerze. – Moja szanowna mamusia doprowadzi Arkach do krainy zagłady szybciej niż ja. Ona z chęcią nadstawia ucha, kiedy przemawia do niej wielka księżna Proxima. Wiesz... takie porozumienie dwóch kobiet. Ci z pragmatycznego mocarstwa naprawdę mają wszystko w głowach poukładane. W przeciwieństwie do kochanej mamusi, która złapie się na lep wizji wielkiego świata, do jakiego zostaniemy wpuszczeni, koneksji, jakie zapewni tak wielkie państwo jak Troy, dostępu do najbardziej wykwintnych salonów. To w naszym prowincjonalnym państewku robi wrażenie. I królowa... rzuci naszą armię na cesarskich. A wtedy polegniemy z honorem albo bez honoru, w zależności od tego, czy wyrżną nas wszystkich od razu, czy też nasi zdołają zacząć tchórzliwą ucieczkę.

– Oj – skrzywił się Virion. – Teraz zapachniało melodramatem.

– Bo to jest dramat! Choć żadnej melodii w nim nie dostrzegam.

Przez długą chwilę adwersarze patrzyli na siebie bez słowa. Potem Virion opuścił wzrok.

– Przekonuje mnie wizja zaściankowych parweniuszy, którzy w zamian za wstęp na salony sprzedadzą interes własnego państwa – powiedział, a potem znowu spojrzał w oczy Biafrze. – Czy masz jakiś pomysł?

– Sądzę, że Druzus jest na tyle blisko posła, że wie, gdzie tamten trzyma dokumenty. Myślałem, żeby wykorzystać jego miłość własną...

– Ach. To temu miał służyć twój długi wstęp.

– A co? Nie uda się?

– Nie mogę powiedzieć, że go lubię. Ani choćby cenię. Ale to jednak zawodowiec.

– No to może wyzwij go na pojedynek?

– Dwóch szermierzy natchnionych nie powinno się pojedynkować. Bo to nie ma sensu.

– No to... No szlag! A może ty coś wymyśl?!

– Dobrze – uśmiechnął się szermierz. A potem przeniósł wzrok na Nerideena. – Patrz, młody, i się ucz. Bo nasz gospodarz dzisiaj pokazał ci wiele ważnych rzeczy. A wszystkie godne zapamiętania.

– Uczę się – potwierdził chłopak.

– To powtórzmy. Najpierw padło, że piękno może być zabójczą bronią, ale nie warto weń inwestować, bo szybko przemija.

– Tak.

– Potem, że pozycja społeczna jest jak bańka powietrza na powierzchni brudnej wody.

– Tak, pamiętam.

– No i widzisz. A teraz Biafra oparł się nareszcie o coś trwałego.

Nerideen zmarszczył brwi.

– Co wybrał?

– Brzydotę. – Virion uniósł dłonie i przesunął nimi po swojej wygolonej idealnie czaszce. – Dobrze zrobił, bo tylko brzydota jest

nieprzemijająca.

Sekretarz posła siedział w środku nocy w ciemnym, przewiewnym pawilonie i klął na prowincjonalne Arkach, które tak ważnej delegacji nie potrafiło zapewnić godnej siedziby. No wiadomo, że z najlepszego pałacu poselstwo zrezygnowało samo. Ale żeby w zamian dostać taką norę? To nawet nie był pałac. To był zbiór częściowo reprezentacyjnych budynków postawionych bez żadnego ładu w ciemnym parku porośniętym wściekle szumiącymi drzewami. Tu ciągle wiało. Za dnia porywiście, a w nocy po prostu ciągnęło ziąbem z każdej szpary, z każdej okiennej framugi, dosłownie zewsząd. Sekretarz był przemarznięty do szpiku kości. Jego letni płaszcz, którym się owinął, nie dawał żadnej ochrony przed przenikliwym chłodem. Pieprzone Arkach! A gdzie ogrzewanie podłogowe? Gdzie baseny z ciepłą wodą? Niech zaraza pochłonie tych barbarzyńców! Oni się tu wszyscy myli w zwykłych baliach, i to po kilka osób naraz. Zamiast mas ciepłego powietrza krążącego pod stopami tutaj był kominek. Tyle że albo ledwie się w nim tliło i w ogóle nie grzał, albo można było rozpalić na całego, ale wtedy pomieszczenie błyskawicznie napełniało się trującym dymem. Masakra! Wszystko wokół było okopcone, wszędzie śmierdziało. No i najgorsze... Był środek nocy, wył straszliwy wicher, a on siedział w tym pawilonie całkiem sam. Jeśli nie liczyć wartownika i służącej oczywiście. Ale oni i tak czekali pod drzwiami. Sekretarz miał tu rozłożone tajne papiery i nikt postronny nie mógł widzieć, czego dotyczą. A szef kazał na jutro przygotować zestawienie. Dobre sobie. Po pierwsze, ciężko się pracowało przy świetle... łuczywa. Po drugie, te odgłosy deprymowały sekretarza coraz bardziej. Nie chciał przyznać przed sobą, że po prostu się bał. I tu nawet nie chodziło o ludzi, choć każdy członek poselstwa miał w pamięci nocny atak wrogów w poprzedniej siedzibie. Nie, nie o to

chodziło. Sekretarz bał się duchów. Miał wrażenie, że dociera do niego jakieś skrobanie, szorowanie pazurami w posadzkę tego ciemnego pomieszczenia, czyjeś jęki, może płacz potępieńców, może...

O mało nie umarł ze strachu, kiedy drzwi przed nim uchyliły się nieco.

– Panie?

To była jego służąca.

– Czego?!

– Może przydałby ci się, panie, jakiś ciepły posiłek? Zaraz minie środek nocy i kucharz położy się spać.

– M... Dobrze. W takim razie przynieś mi coś ciepłego.

– Tak, panie.

– Czekaj. – Powstrzymał ją przed domknięciem drzwi.

– Tak, panie?

– Zawołaj tu wartownika.

– Tak, panie.

Westchnął ciężko. A potem, przełamując się z trudem, zdjął z ramion płaszcz i przykrył nim papiery na stole. Wartownik okazał się profesjonalistą. Pojawił się w drzwiach, przyjmując postawę zasadniczą. Jego spojrzenie nawet przez najkrótszą chwilę nie zawadziło o to, co leżało na stole.

– Sprawdź pomieszczenie – rozkazał mu sekretarz. – Mam wrażenie, że nagle zaczęło ciągnąć zimnem trochę mocniej. Zupełnie jakby ktoś otworzył okno czy coś w tym stylu.

– Tak jest!

Luański żołnierz przepisowym krokiem ruszył wzdłuż ściany, lustrując ją przez niewielki otwór w hełmie. Sekretarz nie wierzył w powodzenie jego misji, szczególnie w półmroku. Bardziej chciał pobyć choć przez chwilę z innym człowiekiem. Bogowie, co za straszna noc na końcu świata.

Wartownik poruszał się krokiem marszowym i przejście wzdłuż wszystkich ścian nie zajęło mu zbyt dużo czasu.

– Melduję, że wszystko w porządku! – zaraportował, stając przy drzwiach.

– To świetnie. Dziękuję.

Ponieważ żołnierz ciągle na coś czekał, sekretarz zorientował się, że nie prowadzi przecież rozmowy towarzyskiej, w której zwrot „dziękuję” jest na porządku dziennym. To wojsko.

– Możesz odmaszerować – poprawił się natychmiast.

– Tak jest!

Wartownik tupnął prawą nogą, unosząc ją najpierw, potem tupnął lewą, co z boku wyglądało, jakby co najmniej szykował się do ataku na stolicę Arkach. Potem rozmyślił się chyba, bo zrobił sprawny zwrot i sprężystym krokiem opuścił pomieszczenie, zatrzaskując za sobą drzwi.

Kurde, kto wymyśla ludziom tak śmieszne rytuały? Sekretarz z ulgą podniósł swój płaszcz ze stołu i okrył się nim ponownie. Wizyta wartownika okazała się za krótka i chyba zbyt bezosobowa, by pomóc choć trochę uspokoić rodzące się znowu lęki.

Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go obserwuje. Zerknął w prawo, a potem w stronę przeciwną. Wrażenie, że ktoś na niego patrzy, nasiliło się. Jego ręka odruchowo przesunęła się po blacie w poszukiwaniu jakiegokolwiek przedmiotu, który mógłby mu dodać pewności siebie. Był Luańczykiem, nie miał więc prawa posiadać żadnej broni. Za bezpieczeństwo swoich poddanych odpowiadał przecież cesarz. No ale… Co zrobić, skoro akurat w tym zimnym pomieszczeniu cesarza nie było?! Dłoń zacisnęła się odruchowo na nożyku do papieru.

Sekretarz, czując, że coś go dławi, zaczął się powoli odwracać. Był korpulentny, musiał to robić z całym krzesłem. Perspektywa tego, co znajdowało się za jego plecami, poszerzała się łokieć po łokciu. Ze strachu tracił oddech. Coś zaczęło go kłuć w klatce piersiowej. Odwrócił się już całkowicie, ale nie mógł dostrzec nic niepokojącego. Chwycił i podniósł wyżej swoje łuczywo. Nic.

Jakoś nie mógł odetchnąć z ulgą. Niezmiennie towarzyszyło mu silne uczucie, że ktoś go obserwuje.

Nie. Koniec z tymi wygłupami. Sięgnął po znajdującą się na końcu stołu oliwną lampkę i zapalił od łuczywa. No trudno! Poseł będzie musiał pogodzić się z myślą, że jego papiery będą śmierdzieć spaloną oliwą. Zresztą w tych warunkach nie dało się w ogóle pracować.

O mało mu serce nie stanęło, kiedy ktoś otworzył drzwi.

– Panie.

Uff. To tylko służąca z wielką tacą usiłowała biodrem otworzyć szerzej wielkie skrzydło.

– Niestety, kucharz już śpi. Ale pobudziłam pomocników i przygotowali parę ciepłych zakąsek. Mam nadzieję, że wystarczy.

– Wystarczy, wystarczy. Dobrze, że jesteś – wyrwało się sekretarzowi.

Dziewczyna wygrała szamotaninę z drzwiami i ruszyła w stronę jego stanowiska.

– Słuchaj... – Nie wiedział, jak zadać pytanie. – Czy czujesz tutaj czyjąś obecność?

Zatrzymała się zdziwiona. Rozejrzała się, a potem, choć nie wypadało, odruchowo wzruszyła ramionami.

– Nikogo tu nie ma, panie.

Odsunął na bok tajne papiery, zapominając tym razem, żeby przykryć je płaszczem. Służąca ostrożnie rozstawiała parujące naczynia, a on wciąż nie mógł pozbyć się myśli, że ktoś na niego patrzy. Znowu zerknął w prawo, w lewo. I ponownie zaczął obracać się z krzesłem. Majaki! Oczywiście, że nikogo nie było. Powrócił do poprzedniej pozycji i zamarł.

Służąca musiała coś dostrzec, bo ze strachu cofnęła się o dwa kroki. Jej twarz wyrażała krańcowe przerażenie. Wytrzeszczone oczy, na pół otwarte usta, blada skóra na twarzy. I ten wyraz, jakby nagle przed jej oczami pojawił się obraz dna piekła.

– Co... co...

Sekretarz przerażony znowu rzucił spojrzenie w lewo, w prawo, do tyłu... Nic! Nie mógł niczego dostrzec.

Twarz służącej robiła się sina. Zgroza malująca się na jej twarzy przyprawiała o mdłości. Sekretarz raz jeszcze rozejrzał się w panice. Głos uwiązł mu w gardle. I...

I nagle zrozumiał, gdzie patrzy dziewczyna z tacą. Nie na boki, nie za niego. Ona wlepiała wzrok w coś, co wisiało tuż nad nim.

Ona wlepiała wzrok w coś, co wisiało tuż nad nim. Zmartwiały odchylił się i popatrzył do góry

Zmartwiały odchylił się i popatrzył do góry. O mniej niż palec nad swoją głową zobaczył twarz zwisającej z sufitu kobiety, która przyglądała mu się z dużą ciekawością.

Zaczął się dusić. Czuł, że serce przestaje mu bić.

Poczekalnia kapłanki, która ogłosiła się prorokiem, może nie pękała w szwach o tej porze, ale też trudno ją było nazwać pustą. Kilku pątników czekało cierpliwie w kolejce na posłuchanie... O ile to, czego się spodziewali, można było nazwać posłuchaniem. W każdym razie w opanowaniu znosili przedłużające się oczekiwanie. Wiadomo było, że ważniejsi grzesznicy, którzy w dodatku pragnęli zachować anonimowość, byli wpuszczani bocznym wejściem bez kolejki, aby szybciej mogli doznać łaski pojednania się z Bogami. Virion i Nerideen nie mieli jednak czasu umawiać specjalnej wizyty i załatwiać możliwości przedostania się dyskretnym wejściem. Musieli skorzystać z oficjalnego.

Virion pozostał trochę z tyłu, w płaszczu z narzuconym na głowę kapturem. Chłopaka nikt nie mógł rozpoznać, więc to on podjął się negocjacji ze świątynnym strażnikiem.

– Wypłosz klienta... tfu, pątnika, który właśnie jest w środku, i zapowiedz moją wizytę. Jest absolutnie priorytetowa.

Zwalisty mężczyzna nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Wydawało się, że w ogóle nie słyszy wypowiadanych pod swoim adresem słów.

– Pospiesz się – ponaglił Nerideen. – Nie chcę tam wchodzić na siłę i wywołać skandalu.

Tym razem człowiek z wielkim mieczem, który pilnował drzwi, uśmiechnął się lekko. Ktoś właśnie groził mu, że pokona go tu, na stanowisku, i siłą przedrze się do celi kapłanki. I to kto? Jakiś szczeniak bezczelny, po którym widać, że o walce wie tyle, co o dyrygowaniu cesarską orkiestrą w pełnym składzie.

– No dobra. – Chłopak udawał pogodzenie z losem. – Nie chcesz ze mną rozmawiać, to nie. Niestety, muszę wykonać rozkaz mojego mistrza. – Kiwnął brodą na zakapturzoną postać z tyłu.

– A twój mistrz nie mógłby się pofatygować tu osobiście? – O dziwo, strażnik dał się sprowokować i podjął rozmowę.

– Mógłby – zgodził się Nerideen – ale z całą pewnością nie chciałbyś zobaczyć jego twarzy.

– Zaryzykuję.

– Widać, że znasz się na szermierce, wiele widziałeś, wiele słyszałeś. Więc lepiej mi uwierz. Nie chcesz zobaczyć twarzy, której obraz wielu zabrało do krainy śmierci jako ostatni widok w ich życiu.

– Ale ja się nie boję.

– No... trudno cię przekonać. Pamiętaj zatem: sam chciałeś.

Nerideen odwrócił się i skłonił głowę.

– Mistrzu?

Virion postąpił kilka kroków, a potem lekko odsłonił kaptur.

Strażnik naprawdę był profesjonalistą i wiele widział oraz wiele słyszał. Zakrztusił się, choć przecież niczego w tej chwili nie przełykał. Długą chwilę walczył o odzyskanie oddechu, a potem zwiesił ramiona jak zrugany uczniak w świątynnej szkole.

– Panie... już załatwiam sprawę.

Nie chcąc, by znowu ich spojrzenia się skrzyżowały, odwrócił się błyskawicznie i znikł za drzwiami o doskonale nasmarowanych zawiasach. Mimo ostrego szarpnięcia nie zaskrzypiały ani nie wydały z siebie nawet najcichszego dźwięku.

– I to by było tyle – skwitował Nerideen.

– Nie popadaj w pewność siebie. Jest zgubna.

– Ty jesteś wzorem pewności siebie. A czyż uczeń nie powinien naśladować mistrza?

– Ja mam za sobą kilkadziesiąt lat doświadczenia. A ty ile?

Prowadzoną szeptem sprzeczkę przerwało ponowne otwarcie się drzwi.

– Proszę. – Strażnik wskazał im wąski korytarz z dwiema odnogami. – Prosto i tam na końcu – poinstruował. – Ja muszę zostać tutaj.

– Jasne. – Nerideen ruszył przodem w charakterze przewodnika. W ogóle coraz lepiej się czuł w roli ucznia samego Viriona. I to właśnie dzięki wspomnianej pewności siebie, która ogarniała go coraz mocniej i coraz szybciej. Naładowany mocą, zastanawiał się, czy otworzyć drzwi przed nim bez pukania, czy może jednak zachować pewne pozory. Ale nie! Co tam. Przecież jest człowiekiem samego... no wiadomo! Nie będzie pukał. Pokaże, kto tu rządzi.

Chłopak energicznie nacisnął klamkę i otworzył drzwi, robiąc z rozpędu dwa kroki do środka.

Kapłanka siedziała naprzeciw w ogromnym fotelu. Jedną stopę oparła na prawym podłokietniku, kolano podpierało podbródek. Druga noga kapłanki przełożona była przez lewy podłokietnik.

Widok okazał się więc zupełnie niesamowity. Tym bardziej że kapłanka była naga.

– Aaa!

Nerideen stanął jak wryty na środku pomieszczenia, niezdolny ani do powiedzenia choć jednego słowa, ani do odwrócenia wzroku od punktu, w którym ten wzrok utkwił. Dosłownie go zamurowało.

Virion parsknął śmiechem.

– Czyż nie mówiłem przed chwilą, że pewność siebie bywa zgubna? – szepnął pod adresem swojego ucznia, a potem zdjął kaptur, odsłaniając głowę. – Piękna pani! – Ukłonił się lekko.

– O? Nareszcie jakiś męski typ, w odróżnieniu od tych wymoczków, którzy mnie tu nachodzą.

Kapłanka była dojrzałą kobietą. Jej twarz najlepiej oddawało określenie „wesoła łobuzica”, ale wprawne oko wychwytywało w tym obrazie pewne wyrachowanie. Głębiej kryła się inteligencja i duże życiowe doświadczenie. Nie pasowała do obrazu nimfomanki, nie była w sobie zakochana, nie była zapatrzona w czubek własnego nosa. Wprawny obserwator dostrzegał w jej oczach żywą ciekawość.

Ale też i cień lekceważenia. Z całą pewnością była wytrawnym graczem.

– Nie odpowiesz na mój komplement? – prowokowała.

– Pani, nie sądziłem, że to komplement. – Virion był też zaprawionym zawodnikiem. – Myślałem, że stwierdzasz fakt po prostu, a przecież nie potwierdza się oczywistości.

Warknęła krótko, nie odwracając jednak ani na chwilę wzroku od oczu Viriona.

– Czego chcesz, nachodząc mnie gwałtownie i strasząc mojego strażnika?

– Jesteśmy od Biafry.

– Ach, a już myślałam, że będzie miło.

– Jedno drugiego nie wyklucza.

– Akurat. Obaj jesteście tacy sami. Tylko dominacja wam w głowie, na nic innego miejsca już nie ma.

– Znalazłbym parę różnic.

– E tam. Ty bardziej przypominasz mężczyznę, on bardziej chłopca. Ale zewnętrze to tylko co kto bardziej lubi. A dusza w was taka sama.

Kapłanka opuściła nogi, podniosła się lekko i podeszła do Nerideena. Chyba chciała, żeby poczuł jej zapach. A może po prostu miała ochotę onieśmielić go jeszcze bardziej. Udało jej się i jedno, i drugie.

– Widzisz, młodzieńcze – mruknęła, uśmiechając się smutno – mężczyźni są jak pogoda. Możesz na nich narzekać ile w duszy zapału. Ale koniec końców i tak się trzeba z nimi godzić.

– T... t... tak.

– Aha. – Widząc, że tu raczej niczego nie osiągnie, podeszła do Viriona. – W czym mogłabym wam pomóc?

Stary szermierz najpierw opuścił wzrok, taksując jej sylwetkę, a potem uśmiechnął się promiennie.

– Podobam ci się?

– Owszem – odparł.

– To może małe obcowanie z Przedwiecznymi? – Wskazała swoje ogromne łóżko ustawione w kącie celi. – A może jakieś proroctwo?

Virion najwyraźniej miałby ochotę dowiedzieć się, cóż takiego kryje się pod słowem „proroctwo”, ale Biafra miał nóż na gardle. Nie było szans.

– Miałaś rację, pani, że skoro wspomnieliśmy o wywiadzie, to, niestety, miło już być nie może.

– Wiedziałam. – Wyglądała na autentycznie zawiedzioną.

Podniosła z ławy swoją zgrzebną szatę kapłanki i szybko na siebie narzuciła. Kiedy podniosła głowę, zobaczyli nagle poważną, skupioną, a przede wszystkim cnotliwą twarz rozmodlonej prorokini. Przemiana była tak błyskawiczna i tak głęboka, że obaj drgnęli nieprzygotowani. W ich głowach pojawiło się pytanie: czy to na pewno ta sama kobieta?!

– Służę Bogom i swoim zwierzchnikom – wyszeptała kapłanka, w tej roli już nie śmiąc podnieść oczu do góry. – A skoro przysyłają was jedni i drudzy... rozkazujcie. Spełnię wasze żądania.

– Czy orientujesz się w sprawach poselstwa Luan w tym mieście?

Potwierdziła krótkim skinieniem.

– Czy wiesz, gdzie poseł trzyma dokumenty mogące skompromitować Biafrę?

Tym razem kobieta zaprzeczyła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. No tak. Kapłanka w wersji pokornej nie była zbyt rozmowna. Ale Virion wiedział, jak sobie z tym poradzić.

– Odpowiedz pełnymi zdaniami i wyczerpująco: czy to możliwe, że dokumenty ma Druzus?

Tym razem, choć kobieta w dalszym ciągu nie podnosiła oczu, usłyszeli bardziej rozbudowaną odpowiedź:

– Z całą pewnością to nie Druzus. On jest obcy, jest najemnikiem, wedle ich rozumienia nie może być duszą oddany cesarzowi, więc nigdy nie obdarzą go zaufaniem.

– Co więc robi w ich szeregach?

– Imperium lubi wynajmować najlepszych z najlepszych. To lata temu wymyśliła prokurator Taida, wziąć absolutnie najlepszego

fachowca na rynku, co do którego będzie pewność, że nikt go nie pokona.

– Coś o tym wiem – wyrwało się Virionowi. – Ale Taida odeszła, z tego, co wiem.

– I dlatego u cesarskich przetrwała sama tradycja, zwyczaj wynajmowania obcych zawodowców. Nikt już nie ma pojęcia, co pani Taida chciała w ten sposób osiągnąć.

– Hm. Czy to oznacza, że Druzus pełni wyłącznie rolę przynęty? Żebyśmy się skupili na fałszywkach?

– Troszeczkę na opak mnie zrozumiałeś, panie, i racz mi wybaczyć, bo źle się wyraziłam. – Kapłanka jeszcze bardziej pochyliła głowę. – Druzusowi nikt nie powierzy papierów o kardynalnym znaczeniu, bo nie jest godny zaufania w sensie racji stanu. Ale on jest najlepszym szermierzem, kupili go, będzie więc ochraniał posła i w krytycznych momentach zawsze będzie znajdował się tuż obok. Sytuację można porównać do groźnego, doskonale wytresowanego psa. Takie zwierzę może bronić skarbca z kosztownościami, odstraszać albo i zabijać złodziei. Ale przecież nikt o zdrowych zmysłach nie powierzy psu klucza od tego skarbca.

– Ach, teraz rozumiem. – Virion przesunął palcami po kłującej już brodzie. – Kto zatem może przechowywać dokumenty?

– Tego nie wiem, panie.

– Wielu członków poselstwa odwiedziło cię tutaj?

– Sporo, panie.

– I nic? Żadnego podejrzenia?

Kapłanka znowu zaprzeczyła. Potem jednak dodała:

– Dajcie mi kilka dni, panie. Mając konkretny cel, zbadam sprawę bardziej... hm... dogłębnie.

– Niestety, nie mamy paru dni. Powiedz zatem, kto według ciebie jest najbliżej samego posła. Jego zastępca? Sekretarz?

– Łaziebny – tym razem kapłanka nie miała wątpliwości.

– Jak to łaziebny? Z nim poseł prowadzi dyskusje polityczne? Jego się radzi?

– Tego nie wiem, panie.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Zaraz, zaraz, przecież funkcję łaziebnych pełnią zazwyczaj kobiety. Czy fakt, że w poselstwie jest inaczej, może sugerować, że poseł ma skłonności ku mężczyznom?

– Z całą pewnością nie, panie. Oczywiście nie odwiedził mnie ani poseł, ani jego łaziebny, bynajmniej. Wiem jednak z całą pewnością, że ani jeden, ani drugi nie mają skłonności do własnej płci.

– Co w takim razie jest grane? – Virion zmarszczył brwi. – Dlaczego łaziebnym nie jest kobieta?

Nerideen, od czasu kiedy kapłanka włożyła skromną szatę, odzyskał chyba swój rozum, bo wtrącił:

– Przecież to Luańczycy. A cesarscy nie mają zaufania do kobiet.

– Jakie zaufanie? Przecież poseł nie musi podczas ablucji rozmawiać o najtajniejszych sprawach... – Virion urwał nagle i pacnął się ręką w czoło. – No!

– Co no? – zainteresował się chłopak. – Wiesz już, gdzie są te dokumenty?

– Wiem. Poseł zawsze ma je ze sobą.

Nerideen cmoknął głośno.

– Za proste, żeby wpaść na to od razu – powiedział. – No i jasne też, po co mu zaufany łaziebny.

– Czy musi nosić wszystko przy sobie podczas ciągłych przyjęć i audiencji? – zapytała kapłanka.

– Widocznie te dokumenty mają moc wybuchającego wulkanu. Ale to też znaczy, że już po nas. Leżymy i kwiczymy.

– Nie można mu tego zabrać?

– Nie można się rzucić na posła. Zdolność honorowa Arkach znika wtedy momentalnie.

– Jakoś nie znikła podczas ataku na jego pałac.

– Bo nikt się nawet nie zbliżył do jego szanownej osoby.

– No to trzeba sprawić, żeby on sam się zbliżył. – Kapłanka po raz pierwszy od swojej przemiany lekko uniosła głowę. Znowu zobaczyli jej uśmiech. – Może mały pożar?

Położyła dłoń na ramieniu Viriona. Szermierz ujął tę dłoń i pocałował.

– Bardzo nam pomogłaś, pani. – Ukłonił się, ale nie dwornie, tylko z szacunkiem. – I bardzo ci za to dziękuję.

Zerknęła szybko w stronę swojego wielkiego łóżka.

– A może jednak jakiś szybki i strzelisty akt wiary? – zaproponowała.

– Twoje słowa poczytuję za zaszczyt. Czas jednak jest nieubłagany.

– Szkoda. – Uśmiechnęła się znowu. Tym razem smutno.

Odprowadzając ich do drzwi, nachyliła się do Nerideena i szepnęła:

– Chłopcze, nie musisz kamienieć na widok gołej baby.

– Kiedy to pierwszy raz mi się tak zdarzyło – odpowiedział szeptem.

– Bo do tej pory widziałeś tylko młode. Przygotuj się też na te starsze, doświadczone. One nie biorą jeńców.

Kapłanka ukłoniła się głęboko, wypuszczając ich na korytarz.

– Co ci powiedziała? – zapytał Virion, kiedy zostali sami.

– Aaaa... Powiedz mi lepiej. Czy zawsze robisz takie wrażenie na kobietach?

– Nie ma prostej odpowiedzi, więc powiem tak. Miłość jest jak szermierka. Na początku drogi strasznie trzeba się napracować nad całokształtem. A potem, w miarę upływu lat, liczy się już tylko doświadczenie.

Nerideen gwałtownie poderwał głowę.

– Zaraza. Słyszę to drugi raz!

Rozdział 9

Kobieta wisząca pod sufitem wysunęła niemożliwie długi język i polizała sekretarza po twarzy. Gdyby napluła z wściekłością, gdyby go ugryzła, to pewnie zrobiłoby to na nim mniejsze wrażenie. A ona go polizała...

To kobieta wąż! – przemknęło mężczyźnie przez głowę. Nie, nie, język nie był na końcu rozwidlony. Ale ta długość... Strach mieszał mu myśli. Wydawałoby się, że już nic gorszego nie może się przydarzyć, większa groza jest już nie do pomyślenia, a jednak sekretarz i tu się mylił. Nagle bowiem zdał sobie sprawę, że zna tę kobietę. Że to ona właśnie nagabywała go podczas oficjalnego przyjęcia wydanego przez posła z okazji zmiany siedziby. A teraz wisiała do góry nogami pod sufitem. Tuż nad nim. Bogowie! To może oznaczać tylko jedno. Że stracił rozum i popadł w obłęd!

Opuścił głowę, a przed jego oczami pojawił się inny oniryczny widok z krainy szaleństwa. Tuż za skamieniałą służącą stała inna kobieta. Ta z kolei miała twarz pomalowaną w czarne pionowe pasy.

– Zwariowałem – jęknął sekretarz. – Teraz zamkną mnie w lochu i będą leczyć przez polewanie zimną wodą.

– Niestety. – Io bezszelestnie zeskoczyła na podłogę i stanęła tuż za nim. – To wcale nie jest szaleństwo.

Znowu wysunęła ten długi język i włożyła mu koniuszek do ucha. Potem polizała sekretarzowi skroń.

– Aha – szepnęła. – Ty coś wiesz, co boisz się przyznać nawet przed sobą.

– Nie... nie! Nie wiem!

Sekretarz nie mógł odwrócić wzroku od Anarchy, ubranej w czarny strój, z czarną chustą na głowie, mającą ukryć rude

warkoczyki. Największe jednak wrażenie robiło nie to, że pani oficer trzymała sztylet niemal już wbity w szyję służącej, tylko właśnie jej pomalowana w pasy twarz.

– Powiedz grzecznie – syczała mu Io do ucha – gdzie poseł trzyma najważniejsze dokumenty?

– Nie wiem. – Głos ledwie wydobywał się z jego ściśniętej przerażeniem krtani. – Naprawdę nie wiem.

– Kłamczuszku, czy wiesz, gdzie idą dusze ludzi zamordowanych przez potwory?

– Nie!

– Idą do tego samego piekła, które stworzono właśnie dla potworów. Spędzisz z nami całą wieczność.

– Nie. Nie! – Próbował się bronić resztką sił. – Jestem sekretarzem poselstwa! Tu zaraz ktoś wejdzie i zaalarmuje straże.

– Już nie ma ani straży, ani poselstwa. Znajdujemy się w ruinach opuszczonego pałacu splądrowanego rok temu Canope.

– J... jak to?

– Sprawiłyśmy, że tu czas płynie wolniej. Tam, na zewnątrz, minęło już półtora roku. A jeśli doczekasz poranka, to na świecie nie będzie już nikogo, kto cię pamiętał. Wszyscy dawno będą umarli.

– To niemożliwe. – Sekretarz nie mógł włożyć w wypowiadane słowa ani trochę pewności, jaka powinna się tam znaleźć.

Hipnotyczny głos dziewczyny rozbrzmiewał tuż przy jego uchu. Jej palec nakreślił niewidzialną linię na stole przed nimi.

– To jest oś czasu – szeptała. – A my jesteśmy tutaj i zmierzamy tam. Posła zabito prawie rok temu. A nam kazano odnaleźć jego ciało i stwierdzić, co stało się z dokumentami.

– On miał je cały czas przy sobie. – Sekretarz odniósł wrażenie, że te słowa wypowiedział ktoś stojący obok. Nie on sam. Na pewno nie. – Nie rozstawał się z papierami.

– I miał zapieczętowaną torbę podczas każdej audiencji, przyjęcia, dyplomatycznego spotkania?

– Dokumenty były zawinięte w specjalnym pokrowcu na jego pasie. Miał specjalnego łaziebnego, który pomagał mu pas zakładać

i zdejmować.

Io musnęła językiem policzek sekretarza.

– No widzę, że nie kłamiesz – stwierdziła. – Powiedz nam w takim razie, co jeszcze zdarzyło się wtedy, półtora roku temu?

– Ale ja nie pamiętam – mówiło coś, co znajdowało się obok przerażonego człowieka. A jeśli nawet nie obok, to on sam nie sprawował nad tym czymś kontroli.

– Pamiętasz, pamiętasz. Wróć myślami do tych dni.

– Siedziałem tu, gdzie jesteśmy.

– Wcześniej.

– Jak daleko wcześniej?

– Wróć do dnia, kiedy dowiedziałeś się o kimś lub o czymś, co miało kardynalne znaczenie dla powodzenia misji posła Luan. O czymś, co dawało mu niezachwianą pewność siebie.

– Ja nie... nie...

– Wiem – szeptała Io do ucha. – Wiem, że nie miałeś prawa się o tym czymś dowiedzieć. I bardzo się przestraszyłeś, kiedy się przypadkiem dowiedziałeś.

Głowa sekretarza pochylała się to w lewo, to w prawo, za żadne skarby nie mogła utrzymać pionu. A niewidzialna istota obok, której nie kontrolował, mówiła jego głosem.

– Dowiedziałem się. Ale gdyby poseł się zorientował, to już bym nie żył. Już by mnie dawno pochowano.

– O czym?

– M... m... m...

Ta wiedza nie mogła wydostać się na zewnątrz.

– Spytaj go, skąd wiedzieli, że zamurowaliśmy w ich siedzibie człowieka, który miał podsłuchiwać. – Anarcha, ciągnąc ze sobą służącą, przysunęła się o krok. – Dlaczego wyprzedzali nasze ruchy.

– Powiedz – szeptała Io. – Powiedz, a wtedy poczujesz ulgę. A ja nie będę cię trzymać tu aż do rana. Kiedy na świecie umrą wszyscy ludzie, których znasz. I co zrobisz?

Sekretarz spojrzał na nią z bezbrzeżną rozpaczą. A niewidzialna istota powiedziała jego głosem:

– W szeregach poselstwa Troy był zdrajca. Służba skarbu miała tam swojego agenta!

Io przesunęła językiem po czole umęczonego człowieka.

– Mówi prawdę!

– Kurwa!!! – Anarcha o mało nie zabiła służącej, zaciskając z wściekłości dłoń na rękojeści sztyletu. – Kurwa mać!

– No, ja pierdolę.

– Czy my jeszcze żyjemy, czy tu wszystko jest już otoczone?

Io pociągnęła nosem, węsząc.

– Nie jest.

– A może wiesz, kto jest tym agentem?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, kto nim nie jest.

– Niby kto?

– Ja, ty, Fedra i Proxima. Bo gdyby to był ktoś z naszej czwórki, to byłybyśmy już otoczone.

Anarcha skinęła głową.

– No tak, a tylko my wiedziałyśmy o naszym spacerze po nocy. – Oficer spojrzała na dwoje ludzi, którzy byli świadkami ich najścia. – Spadamy?

– Tak.

– Mam ich zabić sama czy pomożesz?

– Nie ma potrzeby wywoływania kolejnego skandalu.

Io położyła palec na niewidzialnej linii, którą wcześniej nakreśliła na stole.

– To twoja oś czasu – szepnęła do ucha sekretarza. – I właśnie ją cofam, a ty zmierzasz do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło.

Palec dziewczyny przesuwał się w stronę twarzy mężczyzny. Był coraz bliżej i bliżej. Aż coraz większy zez sekretarza zamienił się nagle w wywrócone do góry oczy. Powieki nie zakrywały białek, a głowa opadła na bok.

– Ten już niczego nie będzie pamiętał.

– A ona? – Anarcha znowu nacisnęła mocniej rękojeść sztyletu.

– Z nią pójdzie jeszcze łatwiej. Podaj mi prawą rękę – rozkazała Io. A kiedy służąca wykonała rozkaz, dodała: – A teraz podaj mi lewą

rękę. Dobrze. A teraz uklęknij przede mną. Świetnie. Oprzyj głowę o moje kolano. Dobrze. Zamknij oczy. A teraz zapomnij o wszystkim, co miało tu miejsce. Potknęłaś się, upuściłaś tacę i teraz sprzątasz.

Oczy Anarchy rozszerzyły się w nagłym zdziwieniu, kiedy zobaczyła, że służąca zaczyna zbierać z podłogi naczynia, których tam nie było.

– Zawsze tak łatwo to idzie? – zapytała.

– Z przerażonymi ludźmi, którzy są w szoku, i z kretynami zawsze. Z tobą na przykład już by mi tak łatwo nie poszło – Io zdecydowała się na komplement.

– O, dzięki – uśmiechnęła się ruda oficer. – Ale fajna gadka o tym czasie, co na zewnątrz płynie inaczej niż tutaj. A on uwierzył w taką bzdurę.

To wcale nie taka bzdura, pomyślała Io, ale na głos powiedziała tylko:

– Nieważne, co się mówi. Ważny jest tembr głosu. I zasugerowanie nieuchronności przekazu.

Anarcha machnęła ręką.

– I tak nie zrozumiem. Uciekamy?

– W te pędy.

Io zaczęła wspinać się po ścianie. Ruda oficer musiała w tym celu użyć liny, którą sobie sama wcześniej spuściła.

Biafra siedział przy oknie z łokciami opartymi o parapet. Twarz ukrywał w dłoniach, co było doskonałą charakterystyką stanu, w jakim się znajdował.

– Klęska... klęska – powtarzał cicho. – No to już jest po mnie. A przy okazji Arkach też zniknie z mapy świata.

– Nie desperuj. – Virion podszedł bliżej i szturchnął go w ramię wielkim kielichem, który trzymał w dłoni. – Napij się.

– A co ja robię od rana?!

– No to może zmień trunek?

– To zacznę rzygać.

– W takim razie zaproponuję, żebyś coś zjadł.

– Żadne żarcie nie przejdzie mi przez gardło! – Biafra oderwał łokcie od parapetu i wściekły spojrzał na Viriona. – To już koniec! Rozumiesz?

– Koniec nastąpi dopiero po finałowych fanfarach zjazdu poselstw w Canope. Dopiero wtedy Luańczycy, wiedząc już, co udało im się uzyskać drogą dyplomatyczną, zaczną cię szantażować.

– Ale zakończenie zjazdu jest tuż-tuż.

– Pozostała więc jeszcze chwila na walkę.

– Jaką walkę?! Przecież nie zaatakuję cesarskiego posła!

– Oczywiście, że nie. Ale walka nie polega na robieniu tego, co niemożliwe!

Virion chyba się zdenerwował, bo Nerideen po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali, zaobserwował, żeby mistrz podniósł głos. Coś na krótką chwilę zaburzyło jego zabarwione kpiną, luzackie podejście do wszystkich spraw otaczającego ich świata. Po raz kolejny w głowie chłopca pojawiło się pytanie: co łączyło Biafrę i Viriona?

Młody generał zdecydował się przyjąć kielich z wódką. I nawet upił łyk, ale coś zaczęło nim wstrząsać, a po chwili musiał gwałtownie przełknąć ślinę kilka razy. Znak, że faktycznie znajdował się u kresu swoich możliwości pijackich. Virion podsunął popitkę w wielkim drewnianym kubku. Nie wiadomo, co to był za płyn, ale ewidentnie pomógł Biafrze.

– Czy mógłbyś mnie zatem oświecić i wyjaśnić, na czym polega walka? – zapytał po chwili.

– Oczywiście. Walka polega na stworzeniu takich warunków na polu bitwy, gdzie ty możesz wykorzystać wszystkie swoje atuty, a przeciwnik nie może wykorzystać swoich.

– No co ty nie powiesz?

– Najlepszym przykładem takiego działania jest taktyka armii Arkach. Wasza lekkozbrojna piechota nie przeciwstawi się ciężkim

szturmowcom imperium na klasycznym polu bitwy. Ale teren doskonale kompensuje wszystkie wady lekkiej piechoty, a jednocześnie pozwala wykorzystać jej zalety. Ciężkozbrojne oddziały Luan mają dokładnie odwrotnie. Teren niweluje wszystkie ich zalety, bo nie można hasać po turniach, dźwigając na sobie taki ciężar. Ich armia staje się nieruchawa jak żółw. A dodatkowo teren walki pogłębia wszystkie ich wady. Jak w górach dostarczyć na czas monstrualną rzekę zaopatrzenia, której potrzebują?

– Mówisz o oczywistościach.

– Mówię, bo ty nie chcesz łaskawie ich zauważyć.

– To wyjaśnij mi, proszę. I powiedz, jaką to mam przewagę nad posłem Luan, którą mogę wykorzystać?

– Masz tylko jedną przewagę. Za to taką, której w żaden sposób nie można zrównoważyć.

Virion pochylił się nad Biafrą i położył mu rękę na ramieniu. A potem dodał:

– Otóż matką luańskiego posła nie jest królowa Arkach.

– Ja pierdolę – wyrwało się Nerideenowi, którego ta prosta i z pozoru oczywista myśl również olśniła. Że też nikt nie pomyślał o czymś tak ewidentnym. No przecież... oni po swojej stronie mają samą królową, i to działającą na własnym terenie. W miejscu, gdzie każde jej słowo stanowi obowiązujące prawo!

– Przecież nawet monarchini nie zaatakuje posła – usiłował się bronić Biafra.

– Nie zaatakuje, bo nie musi. Niech tylko stworzy takie warunki, że poseł będzie musiał komuś oddać papiery, które nosi przy sobie. Albo chociaż umożliwi nam ich kradzież.

– Nie umiem kraść.

– Nie wnerwiaj mnie. – Virion ostrzegawczo podniósł palec. – Nie wnerwiaj mnie.

– Byliśmy w lochach, gdzie siedziało mnóstwo bandziorów – wtrącił Nerideen. – Każ sprowadzić najlepszego złodzieja. A on w zamian za łaskę pocałowania cię w dupę, co odkupi jego winy, ukradnie co trzeba.

– To tylko jedna z koncepcji. A możemy wymyślić mnóstwo różnych rzeczy.

– Zaraza...

– Ale zagrać trzeba tym, czego oni nie mają.

Biafra wyraźnie odetchnął. Ktoś nareszcie pokazał mu światło w ciemnej jaskini, ktoś powiedział, że nie wszystko stracone, że nadal jest w grze. Uczucie porównywalne chyba tylko do tego, czego doświadcza spłukany hazardzista przy stole, na którym rzuca się kości. Kiedy komornik mówi mu, że zaraz zlicytują mu dom, który zastawił, odbiorą wszystko, sprzedadzą w niewolę, a tu nagle... Dłoń hazardzisty bezwiednie sięgająca do pasa napotyka pękatą sakiewkę ze złotem. O nie, panowie... Ciągle gramy!

Młody generał pociągnął z kielicha spory łyk. Tym razem nic nim nie wstrząsnęło.

Nerideen postanowił wykorzystać poprawę humoru gospodarza.

– A czy coś może wiadomo już o losie moich sióstr?

– A tak, tak. Oficer wywiadu, której to zleciłem, mówiła, że wszystko jest na dobrej drodze.

– A kiedy...

– Gdybyś był taki dobry i skoczył po wódkę do piwnicy. Tu już się kończy.

– Jest jeszcze prawie pełny dzban.

– Ale ciepłej. A w piwnicy będzie zimna.

Nerideen skinął głową i podniósł się natychmiast. Kiedy wyszedł, Virion oparł się o parapet zwolniony z okupacji przez Biafrę, który odzyskał pogodę ducha.

– Co? Znalezienie dziewczyn ciężko idzie? – domyślił się.

– Oj, ciężko, ciężko. Nikt nie ma pojęcia, dla kogo werbowała ta oficer na granicy.

– Ona coś wspominała o obozie szkoleniowym.

– Obozy ktoś sprawdza, ale jeśli sądzisz, że mamy jakąś centralną ewidencję szeregowych żołnierzy, to jesteś w błędzie.

– Nie sądzę, że macie.

– Właśnie. Posłałem wiadomości do obozów dla rekrutów, ale wiesz, jak jest. Jeśli dziewczęta były głupie i podały te swoje dziwne imiona, a w dodatku przyznały się, że są Luankami, no to jest duże prawdopodobieństwo, że już nie żyją.

– Że zabiły je ich nowe koleżanki?

– Tak. Ale to mały ból, bo wtedy przynajmniej dowiemy się, co zaszło. Problem w tym, że nie wiem, kto i po co werbował na granicy.

– A kto mógł?

– Każdy! Głupia porucznik dowodząca zaledwie plutonem, maszerując przez wieś, może sobie zabrać do służby parę miejscowych dziewczyn, jeśli przedtem poniosła straty w bitwie. Oczywiście drugiego plutonu nie wolno jej stworzyć. Ale uzupełnić etaty po zabitych żołnierzach? Nikt jej złego słowa nie powie.

– Ja pierdolę.

– Spoko, spoko, z twoich słów wynika, że tam była major. A to już szczebel batalionu, więc nie jest aż tak źle. Najważniejsze, żeby te dwie głupie cipy nie przyznały się, że są Luankami, bo wtedy... – Biafra uderzył pięścią we własną otwartą dłoń. – I po sprawie.

– Znam je. Są dość inteligentne.

– Tia. Ale w strachu i zagubieniu najróżniejsze głupoty można powiedzieć.

– Ano. – Virion zniecierpliwiony oderwał się od parapetu. – No gdzie ten Nerideen? Mam ochotę na zimną wódkę.

Walki kogutów odbywały się w spelunie tak strasznej, że trudno było sobie wyobrazić kogoś z wyższych sfer, kto chciałby tu choćby zajrzeć. Ring o pochlapanej krwią podłodze stał w głębokiej, zatęchłej piwnicy o zagrzybionych ścianach, które smrodem konkurowały tylko z odorem szczyn i niemytymi nigdy ciałami bywalców. Dodatkowo podnieceni ludzie wyli i wrzeszczeli,

wzbogacając w ten sposób panujący tu fetor o jeszcze jeden element. Ich oddechy niosły ze sobą wiedzę o wszystkich komponentach podłego alkoholu, którym się tu raczyli. To miejsce było przeznaczone wyłącznie dla plebsu. I to tego z najniższych kręgów społecznych, tych ocierających się o półświatek.

Co było zadziwiające, nikt jednak nie wykazał nawet cienia zdziwienia na widok Io i Anarchy, które pojawiły się na wąskich, śliskich schodach do piwnicy. Drab pilnujący drzwi ani drgnął, podobnie dwóch wykidajłów na dole. A hazardziści, którzy tu pracowali, pochylali głowy w lekkich ukłonach.

– Aha. – Io dopiero po chwili zauważyła przyczynę tego stanu rzeczy.

Na środku, tuż przy małej arenie do walk, w tłumie rozemocjonowanych grających stała wielka księżna Proxima i krzyczała jak mogła najgłośniej:

– Patałach! Jak ty koguta trenujesz?! Tobie kury szczać prowadzać, a nie ptaka bojowego trzymać!

Wzmianka o szczaniu kur musiała spodobać się w tłumie, bo kilku ludzi podchwyciło okrzyk.

– Kury szczać! Kury!... Do domu, patałachu pierdolony!

Stojąca przy kantorze przyjmującym zakłady Fedra skinęła na nie ręką.

– Chodźcie tu, dziewczyny – krzyknęła. – To jeszcze może długo potrwać.

Podeszły bliżej, usiłując unikać dłoni zmożonych alkoholem bywalców, które usiłowały manewrować w okolicach ich bioder.

– Dawno zaczęła? – zapytała Anarcha. – Przeputała już jakiś folwark albo dwa?

– Dość dawno. Ale podręcznej kasy wystarczy jej jeszcze na wiele dni. – Czarownica uśmiechnęła się słodko.

– A ty nie grasz?

– Grałam. I spłukałam się dokumentnie. A wy?

– Ja w tym nie biorę udziału – oświadczyła Io.

– No co ty? Nie lubisz walki? Zapaśników nigdy nie widziałaś?

– Zapaśnik bije się z własnej woli. I przy takich walkach się zakładam. Ale kogut jest zmuszany, więc nie będę nabijać kabzy tym fiutom.

– E tam. – Anarcha wzruszyła ramionami. – A ja zagram. – Wyciągnęła swoją sakiewkę i zajrzała do środka.

– Jaśnie pani! – Hazardzista mówił trochę niewyraźnie, bo trzymał w ustach kolorowe trzcinki oznaczające symbole zwierząt w zbliżających się walkach. Ręce miał zajęte. W jednej trzymał tabliczkę z zapisami zakładów, a w drugiej rysik. – Teraz Czarna Śmierć kontra Biały Smok! Na kogo jaśnie panienka chce postawić?

– A kto wygra? Kogo polecasz?

– Ja radzę na Smoka. Doświadczony kogut, wiele zwycięstw na koncie.

– No to stawiam na Czarną Śmierć. – Ruda oficer rzuciła hazardziście złotą monetę. – Jaki stosunek?

– Sześć do jednego, jaśnie panienko. Sześć do jednego i nie chce być inaczej!

– No to masz drugą monetę.

– Aaaaa... sprytnie! Szczęścia życzę!

– Nie przesadzasz, koleżanko? – zapytała Fedra. – Takich pieniędzy to oni w tej melinie w życiu nie widzieli.

– Spokojnie jak na wojnie. Mają gotówkę od Proximy.

– A fakt.

– Słuchajcie, długo tu będziemy sterczeć? – zniecierpliwiła się Io. Miała dość wrzasków, smrodu i widoku zakrwawionych zwierząt.

– Mooooment – odparła Fedra. – Zaraz pewnie szefowa szefów przyjdzie się czegoś napić.

– Tu będzie piła? To gówno, co tu dają?

– Się nie dziw zawczasu, bo jeszcze trochę dziwnych rzeczy dziś ujrzysz.

Tumult przy arenie wzmógł się nagle, kiedy biały i czarny kogut rzuciły się na siebie. Ludzie wyli, wymachując rękami. Zaduch wzmagał się z każdą chwilą. Wzbity kurz wirował przy oświetlających piwnicę pochodniach. Nie było już czym oddychać.

– Aaaa...

Rozległ się zbiorowy jęk zawodu, który przeradzał się w utyskiwania i pomstowanie na trenera. Z tego tła wybił się tylko radosny okrzyk Anarchy:

– Wygrałam! Wygrałam! Dwanaście złotych monet!

– Pani! Pani! Dotknij mojej dłoni!

Rudą oficer błyskawicznie otoczył tłum ludzi, chcących, by podzieliła się z nimi swoim szczęściem. A nuż to będzie passa? A wtedy los może spojrzeć łaskawie i na nich.

– Na co stawiasz, pani? Na co teraz stawiasz?

Fedra wskazała wielką księżną, która z kolei próbowała wydostać się z tłumu. Pomagał jej w tym chyba syn samego właściciela tego bajzlu, wielki, rosły i podobny z twarzy do człowieka, który stał za ladą.

– Już idzie.

– Gospodarzu! – wykrzyknęła Proxima. – Pić!

Mimo swojej tuszy skoczył na jednej nodze. Najpewniej od czasu założenia ta speluna nie zanotowała nigdy takich obrotów.

– Proszę, proszę, jaśnie pani! – Lał wódkę obficie do drewnianego kubka. Dwie trochę przestraszone dziewczyny, pewnie także dzieci gospodarza, trzymały talerze z zakąskami, marynowanymi cebulkami, wędzonym boczkiem i słoniną. – Proszę! Proszę!

Proxima golnęła jak, nie przymierzając, marynarz w portowej knajpie. Skrzywiła się okrutnie, usiłując opanować coś, co nią wstrząsnęło, a potem wzięła kawałek posolonej słoniny.

Nooo... Fedra miała rację, przemknęło przez głowę Io. Wiele zdziwień można dzisiaj zaliczyć.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, czego jest świadkiem. Wielka księżna skinęła na nią, przywołując.

– Misja zakończona sukcesem?

– Tak jest.

– A gdzie ta ruda?

– Ruda poszła grać.

– Aha. To ty mi zdaj relację – rozkazała Proxima. – Nachyl się do mojego ucha i mów.

– Tutaj?!

– Tu nikt nas nie podsłucha. Osłoń jedynie usta dłonią i mów.

Io posłusznie nachyliła się do ucha księżnej. Zaczęła szeptać. Skupiła się na faktach, bez własnej oceny wydarzeń. Proxima przerwała jej tylko raz:

– Jesteś pewna, że w szeregach naszego poselstwa ukrywa się luański szpieg?

– Tak, pani. Potrafię odróżnić, kiedy ktoś kłamie. A sekretarz posła jest o tym fakcie szczerze przekonany.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– To wszystko, pani.

– Gospodarzu! – Proxima odezwała się głośniej. – Jeszcze raz to samo – zaordynowała. – Czym lepiej zagryźć?

– Cebulką, żeby zabić smak, a potem radzę powolutku gryźć boczek. – Karczmarz nie miał wątpliwości.

Wielka księżna po raz kolejny dowiodła, że ma silniejszą wolę niż niejeden mężczyzna, i ponownie osuszyła kubek, zagryzła i przekąsiła, nie wykazując żadnych negatywnych skutków przyjęcia mętnawego płynu. Skinęła na swoje dziewczyny i pokazała najbliższą ścianę. Odległość nie większa niż kilka kroków, a jednak z powodu tłumu z trudem udało im się tam dotrzeć. Mimo ludzi wokół miejsce wbrew pozorom było bezpieczne, bo gdyby ktokolwiek chciał tu coś posłuchać, musiałby zawczasu uczynić szpiclami wszystkie osoby przebywające w piwnicy.

– Z tego, co mówisz – Proxima zerknęła na Io – to szanse na skuteczne działanie z naszej strony spadają praktycznie do zera.

– Tak, pani.

– Jakieś pomysły?

Fedra przysunęła się bliżej.

– Pani, skoro poseł ma dokumenty przez cały czas przy sobie, to nie sposób ich sięgnąć. Jeśli oni mają człowieka w naszych szeregach, to nie ma możliwości zaplanować jakiejś większej akcji.

– Ten ich agent nie musi być wysoko.

– Jest wystarczająco wysoko, żeby wiedzieć o zamurowaniu naszego szpiega w ścianie pałacu dla posła. Oni jeszcze się tam nie wprowadzili, a my już dostaliśmy przesyłkę z jego głową.

– O czym to świadczy? Przecież ludzie, którzy murowali fałszywą ścianę, mogli być agentami. Do tajnej akcji nie mogliśmy wynająć miejscowych.

– To raczej nie specmurarze, pani – wtrąciła się Io. – Ile razy do roku używasz bowiem takich ludzi? Pewnie raz na dwa, trzy lata.

– Zmierzasz do tego, że nie opłaca się trzymać uśpionego agenta latami? Otóż zapewniam cię, opłaca się.

– Mój ojciec zawsze mi powtarzał: nie wymyślaj możliwości ponad potrzebę, bo trudności będą się mnożyć. – Io była bardzo pewna siebie. – Proponuję zostawić kwestię, czy tajny murarz był agentem, czy nie.

– A skupić się na...?

– Kto wiedział o tej akcji?

– Ja, ty, Fedra i ruda.

– A ponieważ jestem równie pewna jak ty, pani, że to żadna z wymienionych, był ktoś jeszcze.

– No, murarze...

– Zostawmy murarzy. Kto choćby mógł wiedzieć?

Proxima zmarszczyła brwi, ale nie zastanawiała się długo, bo odpowiedź była prosta.

– Poseł.

Z Fedry uszło powietrze. Patrzyła przed siebie przerażona. Twarz Io stała się nieprzenikniona.

– Masz więc winnego, pani.

– Ha! Jesteśmy niebezpiecznie blisko stwierdzenia, że po prostu Królestwo Troy jest jednym wielkim agentem Cesarstwa Luan, dziecko!

– A kto odpowiada za dyplomację?

– Wielki książę Archentar. – Proxima wzruszyła ramionami. – Ale jego to raczej należy uznać za ofiarę cesarstwa niż zausznika.

– Ofiarę? Na pewno? Czy na pewno to Luan go pokrzywdziło?

Wielka księżna kręciła głową, rozstrzygając w myślach jakąś kwestię. Potem powiedziała:

– No dobrze. Nie poznamy nigdy spraw, które rozgrywają się na poziomie Archentara. I pewnie nie dowiemy się, czy rodzina Asii maczała w czymkolwiek palce. To za wysoko dla naszych śledczych. Ale... przyjmijmy roboczo, że nasz poseł może być agentem Luan. Co robić?

– Spakować manatki i ruszać do domu? – zaproponowała Fedra.

– Z grubsza tak – zgodziła się Proxima. – Najpierw jednak trzeba sprawić, żeby pan B rozstał się z tym padołem. To rozwiąże nasze dylematy.

– Nie rozwiąże, pani – powiedziała Io.

– Przeciwnie. Jeśli pan B będzie miał coś do powiedzenia, to Luan zwycięży Arkach jeszcze w tym roku, a potem ruszy na nas z całą swoją potęgą. Jeśli nie będzie pana B, to przekonamy królową do samobójczego ataku na cesarstwo i...

– Nie przekonamy, pani – Io odważyła się przerwać wielkiej księżnej. – Chyba że wyprawimy z tego padołu również posła. A i to bez gwarancji, bo pewności nie mamy.

– Jasny piorun! – Proxima po raz pierwszy pokazała, że i ją można zdenerwować. Nie straciła jednak rozumu i szybko pojęła, że dziewczyna ma rację. – Jakieś inne pomysły?

– Siąść na murku, majtać nogami i płakać? – Fedra dowiodła, że jest dzisiaj w filozoficznym nastroju.

– Nie wiem, dlaczego jeszcze nie wysłałam cię do kata.

– Bo jestem jedyna, która potrafi opanować rudą?

Obie zaczęły się śmiać, Io nie zrozumiała dowcipu. Po prostu nie była z nimi odpowiednio długo.

– No dobrze – pierwsza opanowała się Proxima. – Spróbujmy zatem skupić się jednak na przejęciu kompromitujących pana B dokumentów.

– Czyli skupić się na kwestii, jak rozebrać do naga posła Luan – podsumowała Fedra.

Io chciała odpowiedzieć coś złośliwego, ale przeszkodziła jej rudowłosa oficer, która przepchnęła się do nich z okrzykiem:

– Wygrałam! Wygrałam!

Nie mogła unieść rąk, bo obie dłonie miała obciążone pękatymi sakiewkami.

– Żywy dowód na to, że głupi naprawdę ma szczęście – skomentowała Proxima.

Anarcha dopiero teraz zorientowała się, że jej złoto to część wcześniejszej przegranej księżnej.

– Mogę oddać...

– Nie, nie, dziecko. Kup sobie za to jakiś folwark albo dużą wieś, żeby mieć z czego żyć na starość. A dla mnie, uwierz, gra nie byłaby aż tak podniecająca, gdyby nie zawsze możliwa gorycz przegranej.

Ruda oficer chyba nie zrozumiała, a Proxima nie zaprzątała sobie nią głowy.

– A skoro już o podnieceniu mowa. – Skinęła na Fedrę. – Załatw mi coś.

– Tak jest! Gospodarzu! – Czarownica krzyknęła nagle: – Do mnie!

– Tak, jaśnie pani?

– Przyprowadź trenera kogutów.

– Którego, pani?

– Tego z zakrwawionymi rękami. Tego, co mu już pot zalewa oczy.

– W jednej chwili, jaśnie pani.

Skoczył tak szybko, jakby nie musiał przedzierać się przez tłum, ale był skałą, o którą rozbijają się fale. Miał doświadczenie.

Po chwili przyprowadził chłopaka przed oblicze wielkiej księżnej.

– Wielka pani? – Trener nie miał pojęcia, czy ma się kłaniać, czy uklęknąć, na szczęście instynktownie pojął, że najlepiej będzie nic nie robić.

– Krew kapie z twoich rąk.

– Koguty poszarpały, wielka pani. Złośliwe psiekrwie!

– Trzeba opatrzyć twoje rany.

– Same się zagoją...

– Nie, nie, ja je opatrzę osobiście – przerwała mu Proxima. – Przy okazji zapraszam cię na kolację, chłopcze. Chętnie posłucham twoich opowieści z krwawych walk na arenie.

– O, ja mogę tak... tak. – Trener rozpromienił się nagle. – Ja mogę opowiedzieć.

– A jak już się zasiedzisz, to zapraszam rano na śniadanie – powiedziała Proxima.

Chłopak chyba nie zrozumiał propozycji. Io opuściła oczy. Fedra i Anarcha albo udawały obojętność, albo zdążyły przywyknąć i po prostu były obojętne. W każdym razie stał się jasny powód, dla którego wielka księżna odwiedzała podobne speluny, poza oczywiście zamiłowaniem do krwi i hazardu. W rodzinnym Troy najprawdopodobniej takie rzeczy nie mogłyby mieć miejsca, zbyt wiele oczu patrzyło tam na ręce. No dobrze, wyrażenie, że patrzyły „na ręce", nie jest tu zbyt adekwatne, jeśli chodzi o część ciała.

Gospodarz i zarazem właściciel meliny doskonale zrozumiał słowa dostojnego gościa. Chwycił chłopaka za rękę.

– Ja go przysposobię, jaśnie pani – krzyknął. – Wymyjemy go trochę, przynajmniej z potu, żeby...

– Nie, nie trzeba – wpadła mu w słowo Proxima. – Musimy go tylko czymś okryć w drodze do pałacu.

– Ja mam płaszcz z wielkim kapturem – zaoferowała się Anarcha.

– Chłód na dworze. Bo to jakiś dziwny kraj, co w dzień upalnie, a w nocy ziąb straszny.

– Złoto mnie ogrzeje, pani. Nie zmarznę.

Gospodarz szeptał coś chłopakowi do ucha. Pewnie uprzedzał, że jeśli tamten będzie skwapliwie wypełniał rozkazy tej nocy, to rano będzie bogaty. I pewnie żeby nie myślał za dużo, a rano żeby nic nie gadał.

Już mieli zbierać się do wyjścia, kiedy przez ogólny harmider w piwnicy hazardu przedarł się ostry dźwięk kurierskiej piszczałki.

– To do mnie. – Proxima podniosła rękę, chcąc wskazać drogę przez tłum. Zupełnie niepotrzebnie, albowiem nie sposób było jej nie zauważyć.

Drobna dziewczyna w mundurze zasalutowała dziarsko i podała księżnej zwinięte w rulon pismo. Aha, przemknęło przez głowę Io. Wywiad Arkach wiedział zatem, gdzie znajdują się poszczególni członkowie poselstwa Troy i czym się zajmują.

– Dziękuję. Możesz odejść.

– Tak jest!

– No ciekawe. – Fedra patrzyła za odchodzącym żołnierzem. – Ta wiadomość znaczy, że armia Arkach nas o czymś powiadamia?

– To nie wojsko. To królowa. – Proxima złamała pieczęć i rozwinęła rulon. Czytała dłuższą chwilę, a potem podniosła oczy znad tekstu. – Ja pierdolę! Co za inteligentny skurwysyn!

– Mówisz o panu B, pani? – domyśliła się czarownica.

– Tak. Nie inaczej.

– A w czym objawiła się jego niezwykła przenikliwość?

Wielka księżna spojrzała przytomniej i potrząsnęła głową.

– My bezskutecznie łamiemy sobie głowy, jak dobrać się do dokumentów, które wiadoma osoba ma zawsze przy sobie. Nie dochodzimy do niczego, bo ani tak, ani siak. Bo przecież wiadomej nietykalnej osoby nie rozbierzemy do naga i nie zmusimy, żeby oddała papiery komuś innemu.

– A on? Pan B? Co wymyślił?

Proxima spojrzała na Fedrę, a potem znowu na pismo.

– To zaproszenie od królowej Arkach na bal pożegnalny, kończący zjazd poselstw. Obowiązującym strojem jest... – westchnienie – brak stroju, ponieważ będzie to przyjęcie kąpielowe w ogromnej łaźni, którą specjalnie w tym celu zbudują najlepsi cieśle.

– O kur!... – Anarcha pacnęła się w czoło, i to chyba za mocno, bo w dłoni wciąż trzymała sakiewki ze złotem. – Ja bym na to nie wpadła.

– To nic dziwnego – wtrąciła Fedra. – Ale nawet gdybyś wpadła, to i tak nic, bo twoja mamusia nie zasiada na tronie tego kraju.

Proxima zdawała się nie słyszeć.

– Geniusz pierdolony! – mruknęła pod adresem Biafry.

– I w Troy, i w Luan wspólne korzystanie z publicznych łaźni to codzienność – powiedział Virion. – Ale takie Nimmeth czy Dery, nie wspominając już o Królestwach Północy, mogą nie mieć ochoty na przebywanie razem rozebranych kobiet i mężczyzn.

– Tu się mylisz, moim zdaniem. – Pewność siebie Biafry bywała czasem denerwująca. – Zapominasz o mechanizmie „rzeczy zakazanej". Im bardziej coś jest zakazane, tym bardziej jest też pożądane.

– Ja nie mówię o chęciach, tylko o realizacji. Szczerze mówiąc, wątpię nawet, czy członkowie poselstw z tych bardziej cywilizowanych krajów zechcą chodzić na golasa.

– Nikt im nie każe się rozbierać. Pokoje kąpielowe będą wokół platformy spotkań. Ale sam przyznasz... Na tego typu przyjęcie nikt nie przyjdzie w oficjalnej todze, pod którą można ukryć nawet cesarską bibliotekę.

– To fakt.

– Więc myślę, że młodzi się porozbierają, a starzy będą patrzeć i gadać owinięci w prześcieradła kąpielowe. Namaszczani olejkami, wymasowani i dopieszczani na wszelkie sposoby.

Nerideen, słysząc, że młodzi się porozbierają, podskoczył jak koń dźgnięty ostrogami.

– Czy Io też będzie zaproszona? – zapytał.

Virion i Biafra zaczęli się śmiać.

– No sam widzisz, sam widzisz... Chętnych nie zabraknie.

– Dobra, dobra. A jak zamierzasz ukraść cokolwiek z otoczenia posła? Bo jak rozumiem, plan jest taki: poseł dokumentów w pałacu nawet pod strażą nie zostawi, bo był już świadkiem ataku na pałac. Weźmie je ze sobą i przed samą ceremonią komuś przekaże.

– Albo zrobi to już w trakcie. W przebieralni? Tuż za nią? Przed nią?

– No i?

– Przecież te łaźnie budują cieśle ściągnięci z całej okolicy. To musi przyćmić wszystkie inne przyjęcia pożegnalne. To musi być zapamiętane przez wszystkie poselstwa.

– Do brzegu, Biafra.

– No co jeszcze mam dodać? Przecież moi cieśle zrobią wszystko tak, żeby to mnie pasowało, a nie gościom.

– Skrytki w meblach?

– Skrytki w pałacu już próbowali ci z Troy. I jak się skończyło? Głowę agenta dostarczono im w koszu z trocinami.

– Jak więc?

– Te wszystkie ściany, przepierzenia i przejścia będą modyfikowalne. Nasz człowiek przy odrobinie sprytu prześliźnie się gdzie trzeba i ukradnie co trzeba.

– Aha.

Nerideen znowu włączył się do rozmowy.

– A złodzieja weźmiesz z lochu? – zapytał.

– Raczej nie. To musi być człowiek obyty towarzysko, dysponujący akcentem z wyższych sfer, a nie jakiś tam złodziejaszek dostarczony w skrzyni. Musi improwizować.

– I masz takiego?

– Jak by ci to powiedzieć... Twojemu mistrzowi nie wypada, mnie tym bardziej, więc padło na ciebie.

– Ty chyba żartujesz? Nie będę kradł.

Teraz nawet Virion załamał ręce. Doskonale wiedział, że wszystko jest kwestią motywacji.

– Nie powiem ci, jak poderwać Io – westchnął. – Ale mogę ci dużo opowiedzieć o tym, co ona lubi...

Nerideen przełknął ślinę.

– No dobra. Mogę coś dla was ukraść.

Biafra parsknął śmiechem. Potem tylko machnął ręką.

– Dobra, teraz na poważnie. Spróbujmy coś zaplanować.

Virion westchnął głośno i demonstracyjnie.

– Kolejny, kurwa, się pcha, żeby planować. Życie sobie zaplanuj, to już niczym bardziej Bogów nie rozśmieszysz!

– To co? W ogóle mamy nie mieć planu?

– Srał to. Nigdy w życiu żaden plan mi nie wyszedł, a jednak żyję i mam się dobrze. Trzeba postępować tak, jak podyktuje sytuacja w danej chwili.

– Czyli jak?

– Elastycznie.

– No nieee... Po to kazałem wznosić gigantyczną łaźnię, żeby sobie po prostu popatrzeć na posła w ręczniku. Bo jeśli sytuacja się nie ułoży, to nic nie zrobimy? Tak?

Virion tym razem nie westchnął. Po prostu uszło z niego powietrze.

– Dobrze – zgodził się z rezygnacją. – Co zatem planujesz?

– O! – Biafra podniósł palec. – Moim zdaniem papiery nie będą przetrzymywane na samym balu kąpielowym. Tylko pod strażą gdzieś w pobliżu. Być może nawet w zasięgu wzroku.

– Nawet nieźle kombinujesz.

– Właśnie. Słuchaj dalej. Cały teren będzie ućkany moimi agentami. Ale wiesz...

– Agentom nie zawsze można ufać, bo nie są wprowadzeni w sytuację tak jak my.

– Właśnie. Dlatego na imprezę do tej łaźni poślę dodatkowo cały zespół. Z dziesięciu ludzi.

– Za dużo. Będą chodzić w nogę jak oddział wojska i wszyscy się zorientują.

– Pięciu?

– Czterech plus Nerideen. Młody orientuje się w sytuacji, zna cel działania, ma perfekcyjny akcent z wyższych sfer, będzie niewykrywalny.

– Ale zobaczy Io albo jakąś inną piękną dziewczynę i ogłupieje.

– Nie ogłupieję! – poderwał się Nerideen.

– Dobra, dobra, warunkowo obejmiesz dowództwo nad tą grupą. Ale jeśli zobaczę, że z maślanymi oczami gadasz z jakąś babą, to w tej chwili spadasz mi z planu.

– Nie mam maślanych oczu.

– W grupie będziesz miał cztery bardzo zdecydowane osoby. – Biafra przeszedł do porządku nad zapewnieniami chłopaka. – Kiedy zobaczysz cel, wystarczy, że im wskażesz. A oni zrobią wszystko, żeby go zdobyć.

– Sam mam nic nie robić?

– Najlepiej nic.

– A my? – zapytał Virion.

– A my będziemy czekać na zewnątrz. Razem z niewielkim oddziałem szturmowym. Jeśli moi agenci dadzą znak, atakujemy.

– Genialny plan – mruknął Virion.

Biafra zerknął na jego minę, a potem zagryzł zęby. Przez dłuższy czas milczał. W końcu wycedził:

– To była ironia czy sarkazm?

– Mamy bardzo ograniczone pole działania – powiedziała Proxima. – Z wiadomych względów. – Najpewniej miała na myśli podejrzewaną współpracę posła Troy z wywiadem Luan.

– Względy nie mogą jednak nas powstrzymać? – domyślała się Fedra.

– Oczywiście, że nie. Zorganizujemy wszystko tak. Podzielimy się na trzy zakresy działania. Ja i Fedra wchodzimy na bal i działamy bezpośrednio na tym kąpielisku czy jak to nazwać.

Czarownica skrzywiła się lekko.

– Chyba nie za bardzo nadaję się na paradowanie nago – powiedziała.

– Przecież nie musisz być naga. Możesz się osłonić prześcieradłem.

– Ramiona też?

Fedra odsunęła palcem tunikę, odsłaniając spory fragment pleców. Blizny po pamiętnej chłoście były grube jak supły i doskonale widoczne. Nawet Proxima skrzywiła się wyraźnie.

– Aż tak mocno było? – szepnęła.

– Aż tak.

– No i co tu powiedzieć, żeby nie wypaść protekcjonalnie? – zastanawiała się wielka księżna, dowodząc swojej wrażliwości i inteligencji zarazem. – Znam wielu mężczyzn, którzy lubią takie widoki. Będziesz miała powodzenie. – Proxima zreflektowała się nagle. – Oj, to było chyba nie na miejscu.

Czarownica uśmiechnęła się lekko.

– Trochę tak, jeśli wolno mi zwrócić uwagę, pani.

– Czego zatem jeszcze nie wiem?

– Publiczna chłosta i upokorzenie były szeroko znane. Rada postanowiła ukarać mnie jeszcze czymś bardzo dolegliwym, czym jednak nie chciała się chwalić.

– Czym, jeśli zechcesz nam powiedzieć?

Fedra przygryzła wargi.

– Kazali usunąć mi łechtaczkę. Tak że moje zainteresowanie obcowaniem z jakimkolwiek mężczyzną nazwałabym dość umiarkowanym, delikatnie mówiąc.

Proxima syknęła jak wąż.

– Barbarzyńcy.

– Nie, pani, to Rada Czarowników. Barbarzyńcy ucięliby mi głowę i przynajmniej byłby spokój.

– No... no tak. Palnęłam głupstwo w poprzednim zdaniu. Wybacz.

Czarownica skinęła głową. Natomiast Io zaskoczyła je wszystkie.

– Ja bym na twoim miejscu poszła – powiedziała zdecydowanie. – Po pierwsze, będziesz atrakcją wieczoru, bo wszyscy będą chcieli zobaczyć twoje plecy. Po drugie, potraktuj to jako zemstę. Rady na to przyjęcie nie zaprosili.

Anarcha zaczęła się śmiać, czując instynktownie, że ta uwaga rozbroiła sytuację. To samo zresztą poczuła Proxima.

– No dobrze. Zatem my dwie działamy w samej wielkiej łaźni. Reagujemy w zależności od tego, co się stanie, i tego, co uda nam się zaobserwować lub zwęszyć.

– Będziemy same? – zapytała czarownica.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– Każda z moich służących, które będą dbać o moje zachcianki, jest wyszkolonym agentem. Nie będziemy same. A poza tym na zewnątrz czekać będą odwody. Dwa oddziały po dziesięciu fachowców gotowych do natychmiastowego uderzenia na wskazany cel.

– Mają tylko czekać?

– Nie. Dowództwo jednego z nich obejmie Anarcha. Jej zadaniem będzie obserwowanie agentów Arkach.

– A jak ich rozpoznam? – zdziwiła się ruda oficer.

– Biafra na pewno też będzie miał oddział szturmowy w pobliżu. Zwarty, gotowy, poruszający się razem jak wojsko. Prawdopodobnie łatwo będzie ich zauważyć.

– A ja? – zapytała Io.

– Ty będziesz łącznikiem pomiędzy nami a otoczeniem. Masz tę cudowną cechę, że jeśli tylko zechcesz, to nikt nie zwraca na ciebie uwagi. – Wielka księżna spojrzała na dziewczynę z zainteresowaniem. – Zastanawiałam się, jak ty to robisz.

– Odziedziczyłam po mamie.

– Bezcenna rzecz. W każdym razie drugi oddział będzie czekał na ciebie. Jeśli uznasz, że masz go do czego użyć, obejmujesz dowodzenie i wysyłasz na akcję do realizacji tego, co podpowie ci sytuacja. Jasne?

– Jasne, że jasne. Podoba mi się elastyczne podejście do rzeczywistości.

– Miło mi, że doceniasz, dziecko. Jakieś pytania?

Wszystkie trzy potrząsnęły głowami.

– No to szykujcie się, dziewczęta. – Proxima lubiła podkreślać różnicę wieku między sobą a współpracowniczkami. – Cieśle pracują dzień i noc, wielka łaźnia będzie gotowa lada chwila.

– Widzisz, drogi przyjacielu. – Poseł ujął Druzusa pod ramię i pociągnął w głąb improwizowanej sali audiencji, z dala od wszelkich uszu. – Tamtym się wydaje, że pozjadali rozumy z całego świata, a tak naprawdę w głowach mają sieczkę słomianą. Im się na przykład wydaje, że prowadzimy jakąś grę. Albo może nawet że walczymy z nimi?

– Tak, panie. Jednego tylko żałuję. Że nie widziałem ich min, kiedy odkryli, że zdobyte papiery to fałszywki.

– Doskonały przykład – zgodził się poseł. – Im się wydaje naprawdę, że z nimi walczymy.

– A jak jest w istocie?

– Myśmy już dawno wygrali.

Druzus nie był zbyt skłonny, żeby się zgodzić, ale słuchał z zaciekawieniem.

– Tak, panie?

– Bo widzisz. Tam, w Troy czy w Arkach, za dużo głów do radzenia. Tam każdy chce coś powiedzieć. Tłum się robi przy władzy, przepychanki, różne zdania i opinie. Oni już zapewne niedługo nawet prostego ludu zaczną słuchać na forach, dumając, że zwykli ludzie może też mają coś do powiedzenia... Ha, ha! Głupcy! – Poseł podniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. – A liczy się tylko jedna władza! Cesarska!

– Nikt w to nie wątpi, panie.

– U nas nie, a tam... bezhołowie. I dobrze. Bo traktujemy ich jak marionetki: łatwo tym czymś poruszać, tanio wychodzi, a zwycięstwo już nasze.

– Czy mógłbyś mnie oświecić, panie?

– Przecież sam widzisz. Biafra jest w naszym ręku. Jeszcze gryzie, jeszcze się szarpie, ale już zrozumiał, że nie podskoczy, a klęskę Arkach może odsunąć o rok... własną śmiercią.

– A Troy?

– A w Troy trzeba się było trochę bardziej natrudzić, na szczęście skłócone wielkie rody walczą między sobą, więc udało się sprawić, żeby nie przyjechał tu Archentar.

– To groźny przeciwnik?

– To bardzo doświadczony dyplomata. Ale histeryk, zapatrzony we własny honor bardziej niż w dobro królestwa, no i udało się sprawić, że zamiast niego przyjechał ten poseł, którego bardzo chcieliśmy tu widzieć.

– Tyle że przysłali też wielką księżną.

– Widzisz, przyjacielu, Proxima, mimo że jest luanożercą i najchętniej by nam gardła własnymi zębami poprzegryzała, to jednak nie ma doświadczenia w dyplomacji. Do sandałów Archentarowi nie sięga. I w ogóle ta babska koteria w Troy, skrzywdzona Luna, Kasjopea dysząca żądzą zemsty i wszystkie ich koleżanki... – Poseł prychnął lekceważąco. – Znalazły sobie nowe zabawki. Ty wiesz, kogo one tu przysłały na zwiad polityczny swego czasu?

– Kogo?

– Młodego księcia Siriusa, byłego galernika.

– Jak książę mógł zostać galernikiem?

– Piraci porwali go za młodu. Mętna sprawa, Zakon jakoś go odzyskał i zwrócił ojcu. No ale wysyłać kogoś całkiem bez obycia? To już lepiej psa było przysłać. A w dodatku ten jego mentor, Zaan, który prawdziwego dworu chyba nigdy na oczy nie widział.

– Kto to jest Zaan?

– Zaan to jest nikt, przyjacielu. Absolutnie nikt.

Druzus nie miał pojęcia o dyplomacji ani sprawach wielkiego świata. Słuchał uważnie, cierpliwie czekając, aż poseł przejdzie do rzeczy.

A ten właśnie uniósł palec, zaznaczając, że dopiero teraz powie coś ważnego.

– Ale... musimy im coś pokazać.

– Co takiego, panie?

– Tym z Arkach należy odebrać wszelką nadzieję, upokorzyć i unaocznić, że tylko i wyłącznie my decydujemy o losie tego tak zwanego państwa.

– Rozumiem.

– A tym z Troy należy pokazać dobitnie, że Arkach to jest nasz teren. Tylko nasz, do wyłącznego rozporządzania, i niech nie pchają tu swoich brudnych paluchów, bo krwawo odrąbiemy im całą łapę!

– To też zrozumiałem, panie – potwierdził Druzus. – Jakie rozkazy?

– Pozbądź się całej tej hałastry, którą zwerbowałeś do ochrony pałacu. Nie będą już nam potrzebni.

– Wszystkich zwolnić?!

– No nie, nie. Pozbądź się hałastry. Zostaw sobie samych mistrzów.

– Aha.

– Zorganizujesz ich w dwa oddziały. Pierwszy mały, ruchomy, nierzucający się w oczy. Maksimum pięciu, sześciu ludzi.

– Tak jest.

– Drugi będzie większy, do twojej wyłącznej dyspozycji.

– I jakie mam zadanie?

– O tym zaraz. Musisz wiedzieć, że sytuacja, w której teraz będziemy się poruszać, zmieni się diametralnie.

– A w jaki sposób?

– Wszystkie siły bezpieczeństwa, cała straż, elitarne jednostki wojskowe, które ściągnęła tu królowa, w dniu balu pożegnalnego będą skupione wyłącznie na jego ochronie. Dlatego też w całej tej łaźni nie da się w ogóle działać. Tam nikt nie będzie mógł wejść z bronią, a nawet się zbliżyć. Wręcz nie będzie można o broni pomyśleć.

Druzus w sprawach taktyki był pojętnym człowiekiem. Uśmiechnął się teraz.

– A to oznacza, że reszta miasta nie będzie już tak doskonale chroniona jak do tej pory?

– Tak właśnie! – Poseł oddał mu triumfalny uśmiech. – Tam będzie już można robić prawie to, co się chce.

– A jeśli jednak ktoś będzie zerkać mi na ręce?

– Nie będą mieli siły, żeby interweniować. Ale zawsze możesz polegać na mojej opiece. Jesteś przecież członkiem poselstwa.

– Rozumiem. Jakie jest konkretne zadanie?

– Jak mówiłem. Pokażmy tym z Arkach, że tutaj już my rządzimy, a nie oni. A tym z Troy, żeby nie pchali łap na nasz teren, bo utniemy. A wiesz, jak to osiągnąć?

– Jak?

– Zabij wszystkich agentów Arkach i Troy, których rozpoznasz. Zabij wszystkich ich ludzi, którzy będą chcieli zdobyć moje dokumenty. Wymorduj grupy szturmowe, które będą na ciebie nastawać, do ostatniego żołnierza!

– Rozumiem. – Twarz Druzusa przybrała jaśniejszą barwę, bo akurat ten rozkaz naprawdę rozumiał w całej rozciągłości. – Mam pokazać, kto tu rządzi.

Poseł potwierdził energicznym ruchem głowy.

– Właśnie. Wymorduj wszystkich, którzy mają inne zdanie! To ma być pokaz siły!

Mimo że została wybudowana w wielkim pośpiechu, łaźnia robiła piorunujące wrażenie. Architekt po prostu przykrył część rynku drewnianym sklepieniem. Wokół głównej sali „balowej”, choć to niezbyt adekwatne określenie w tym przypadku, znajdowały się baseny napełnione wodą o różnej temperaturze – od bliskiej wrzątku do bliskiej zamarznięcia. Do dyspozycji dostojnych gości była zresztą nie tylko woda. Można było kąpać się w winie, a nawet w aromatycznych trunkach mocniejszych od wina. Mogli też wybrać kąpiel w mleku, maślance, śmietanie, błocie, okropnie cuchnących zawiesinach, a nawet w „okruchu morza”, jak głosił napis nad basenem. Optymiści twierdzili, że znajdującą się w środku ciecz przywieziono cysternami naprawdę znad morza, realiści jednak pozostali przy opinii, że wodę czerpano ze zwykłej rzeki, tyle że obficie ją posolono.

W okalających rynek kamienicach zdemontowano okna oraz drzwi i włączono wszystkie pomieszczenia do ogromnej przestrzeni

dostępnej dla gości. W tych pokojach zgromadzono najbardziej wykwintne przekąski, napoje i trunki z całego świata. A jeśli ktoś chciałby zjeść coś bardziej konkretnego, do dyspozycji była wielka sala powstała w karczmach, które połączono, wybijając otwory w dzielących je ścianach. Przechodząc z jednej do drugiej, goście mogli dokonać wyboru, na którą ze światowych kuchni mieli w danej chwili ochotę.

Królewski „bal kąpielowy" zapowiadał się znakomicie i taki zresztą od pierwszych chwil się okazał. Było to coś tak innego od dyplomatycznej rutyny, tak oryginalnego, że radosny nastrój ogarniał gości już od momentu, kiedy przed wejściem rozbierali się przy dźwiękach melodii granych przez królewską orkiestrę. Młodzi liczyli na dziką zabawę przez całą noc do białego rana, na zawarcie nowych, podniecających znajomości. Starzy dyplomaci, brzemienni długim doświadczeniem, doskonale wiedzieli, że w takich warunkach będą mogli załatwić sprawy, o jakie w innych warunkach nie wypadało nawet zapytać. A wiadomo, że samo nastawienie gości to połowa sukcesu imprezy. Druga połowa leżała w gestii organizatorów, a ci nie pokpili sprawy. Wszystko zostało przemyślane i zaplanowane w każdym szczególe. Jak choćby rój sług do dyspozycji przybyłych, z których każdy, zdawało się, potrafił wysławiać się na poziomie. W wielu głowach pojawiło się niedowierzanie: skąd oni w tak szybkim czasie wytrzasnęli tylu wykształconych lokajów? Mało kto zauważył, że dworny język znał może co dziesiąty. Ale pchał się przed oczy i za pomocą gestów potrafił dowodzić pozostałymi. Majstersztyk.

– Władczyni może być dumna. – Proxima owinęła się cieniutkim, wzorzystym prześcieradłem kąpielowym. – Biafra nie dość, że potrafi doprowadzić do realizacji swoich pomysłów, to jeszcze ma zmysł organizatora, którego mu szczerze zazdroszczę.

– Myślisz pani, że to on? – Wściekła Fedra wybrała dla siebie ogromny ręcznik, ale jakkolwiek by się nim owijała, część blizn na jej plecach pozostawała widoczna. – Ktoś to za niego zrobił.

– Oczywiście, że generał nie szkolił osobiście sług. Mówiąc o talencie organizacyjnym, mam na myśli umiejętność doboru współpracowników, którzy odwalą za niego czarną robotę.

– Aha! Ty zazdrościsz mu talentu, pani, a ja jestem twoim wyborem, jeśli chodzi o współpracowników. Z tego wniosek, że ja jestem o całe nieba gorsza od ludzi Biafry.

– Oj, oj, oj. – Wielka księżna pocałowała czarownicę po matczynemu w czoło. – Nie dąsaj się i zrezygnuj z bojowego nastroju, moja droga. Albo skieruj go przeciwko komuś innemu.

– Rozumiem, że w tym stroju, zamiast odpowiedzieć „tak jest!”, powinnam dygnąć?

– Wyjątkowo się dzisiaj czepiasz – wtrąciła się milcząca dotąd Io.

– To ty się czepiasz.

– Dobra. Idę poszukać jakiegoś innego wyjścia, gdzie nie będę musiała przechodzić przez tę przebieralnię.

– Słusznie – poparła ją wielka księżna. – Kiedy znajdziesz, zainstaluj powierzony ci oddział gdzieś w pobliżu tego przejścia.

– Już nawet domyślam się, gdzie mogę znaleźć coś odpowiedniego. – Dziewczyna rozglądała się ciekawie. – Pani! – Ukłoniła się dwornie przed Proximą.

– Idź, idź, idź. – Ta odgoniła ją kilkoma szybkimi ruchami głowy. – A my biegniemy zameldować się u królowej.

– To na pewno dobry pomysł, żebym ja też poszła? – zapytała Fedra.

– Na pewno. I odwrócić się do niej niby przypadkiem plecami, postaraj się wzbudzić litość. Królowa jest bardzo ważna, pamiętaj.

Io nie uczestniczyła w dalszej rozmowie. Rozglądała się intensywnie, usiłując wybrać dla siebie odpowiednie miejsce, skąd najlepiej mogłaby obserwować wszystko, co robi poseł Luan. Oficjalna część niby się jeszcze nie zaczęła, ale dziewczyna czuła, że dziś wszystko będzie inaczej. Bo jak tu mówić o części „oficjalnej”, skoro wszyscy mają na sobie co najwyżej tylko ręczniki? Cesarska delegacja jeszcze nie pojawiła się wśród gości. Na razie to Troy składało dary monarchini. Dary skromne z powodu okoliczności,

a raczej nie tyle skromne, co niewielkie gabarytowo, żeby nie sprawić kłopotu organizatorom – wszak wszystkie prezenty na czas balu musiały być wystawione na widok publiczny, aby wszyscy mogli je podziwiać.

– Patrz, patrz. – Proxima dyskretnie wskazała posła Troy, który wił się, schlebiając władczyni na wszystkie możliwe sposoby. – Co za beztalencie. Naprawdę brakuje tu Archentara, nawet bez względu na jego koteryjną przynależność.

– Byłby bardziej zręczny? – zapytała Fedra. – Wybacz, pierwszy raz jestem na przyjęciu dyplomatycznym tej skali.

– Ach... szkoda języka strzępić.

– Królowa za to wygląda na odprężoną – wtrąciła Io. – Wszystko idzie po jej myśli?

– Nic nie idzie po jej myśli – odparła wielka księżna. – Ten pozorny luz to jej ostatnia deska ratunku. A może jeszcze uda się coś załatwić za kulisami? Może odwrócić bieg spraw?

– Zabawne. Arkach walczy o życie, a królowa zachowuje się swobodnie jak nigdy. Troy nic nie zagraża w tej rozgrywce, a my wszystkie trzy wyglądamy, jakbyśmy kije połknęły.

Nie mogła bardziej rozbawić Proximy.

– Racja, dziecko. Święta racja. Bo widzisz, w cywilizowanych krajach często myli się powagę spraw z poważnym wyrazem twarzy.

– Co gorsza, nie ich humor, tylko nasze nadęcie przetrwa tę rozgrywkę – powiedziała czarownica.

– Przestań krakać. A w ogóle to idziemy się kłaniać, dziewczęta. Fedra, pamiętaj, pokaż królowej plecy.

– Pamiętam, pamiętam.

– Czekajcie. – Io miała najlepszy wzrok. – Chyba kurier do ciebie, pani.

Wszystkie trzy zatrzymały się jeszcze na moment. Proxima przejęła malutką karteczkę i szybko rozwinęła ją w palcach.

– Zaczęło się – powiedziała, kiedy już przebiegła oczami kilka linijek tekstu.

– Co się zaczęło, pani?

– Ach... Tu otacza nas wykwint, etykieta i konwenanse. Tymczasem Anarcha natknęła się na pierwszego trupa ze sztyletem wbitym w plecy. Na ulicach otaczających rynek zaczęło się już mordowanie ludzi.

Nerideen rozstawił swoich ludzi tak, żeby mogli obserwować posła Luan podczas całego przebiegu powitania. Nie było martwych pól, nie było możliwości ukrycia się przed oczami agentów. Jeśli więc dokumenty dotarły aż tutaj, a logika na to wskazywała, to poseł będzie je musiał przekazać na oczach szpiegów Biafry. Nie było żadnej innej opcji, nie było...

Chłopak zdał sobie sprawę, że zaklina rzeczywistość. Dobra. Nie mógł sterczeć w pobliżu przebieralni, bo zacząłby zwracać uwagę. W dodatku ktoś z otoczenia posła mógł go rozpoznać. Przecież po nocnym napadzie złożył rano wizytę w pałacu. Ludzie rozlokowani? No to jazda dalej – dosłownie zmusił się, żeby opuścić strategiczną pozycję obserwacyjną i podejść do Biafry.

– I jak tam?

– Wszyscy rozstawieni. Poseł nam nie zniknie. – Nerideen, uporawszy się z jedną sprawą, zabrał się do drugiej. Rozglądał się, usiłując wypatrzyć Io w tłumie gości. – Długo to potrwa?

– Co?

– Kiedy przybędzie luańskie poselstwo?

– Lada chwila. Przecież właśnie ci z Troy składają dary królowej. Luan musi być drugie, bo jeśli się wepchnie przed nich jakieś tam Nimmeth czy Dery, to będzie skandal dyplomatyczny.

– Faktycznie. – Ta uwaga podsunęła Nerideenowi myśl, gdzie może być Io. Odwrócił głowę w stronę podwyższenia dla monarchini. No i oczywiście dostrzegł dziewczynę. Właśnie składała ukłon władczyni.

– Widziałeś? – szturchnął go Biafra i osłonił oczy, żeby lepiej widzieć. – Czy Proxima podała królowej jakiś drobiazg, czy tylko wyciągnęła z kurtuazją rękę?

– Eee... Nie zauważyłem.

– Na co się gapisz?!

I co tu powiedzieć? Że na wypiętą podczas ukłonu pupę Io? To już chyba lepiej udawać kretyna.

– Wypatruję luańskiego posła. Właśnie przybył. – Nerideen wyciągnął rękę w stronę wielkiej szatni.

– Poseł ci nie zniknie, durniu! Nie jest igłą.

– Przepraszam.

Delegacja Troy zakończyła przekazywanie darów, które królewscy zaufani rozłożyli na specjalnie przygotowanych stołach. Następna w kolejności była delegacja Luan. Wielu gości zwróciło uwagę na ich nieprawdopodobną punktualność. Weszli dokładnie wtedy, kiedy przed podwyższeniem zrobiło się pusto. Chwila później mogła oznaczać obrazę majestatu. Chwila wcześniej i kazano by im czekać. Owinięty we wzorzyste prześcieradło kąpielowe niemłody już poseł kroczył z godnością i tak ostentacyjną pewnością siebie, że obecnych wokół poddanych królowej Arkach przechodziły ciarki. A on pochylił głowę dopiero tuż przed monarchinią.

– Wasza Wysokość! Bądź łaskawa przyjąć nasze skromne dary...

– Skurwiel jebany – szepnął Biafra i odwrócił się do Nerideena. – Skocz i zobacz, co przyniósł nasz kurier. Od modlitwy daje nam znaki.

Generał miał chyba oczy wokół głowy. Chłopak opuścił wzrok, żeby nie dało się zauważyć, że znowu patrzył tam, gdzie patrzył, i pobiegł sprawdzić wiadomości.

– Możesz mi wszystko przekazać.

Kurier nie mnożył trudności.

– Panie, złapali i zabili już trzech naszych agentów.

– Kto zabił?

– Luańczycy.

– Jesteś pewny?

– Tak, jestem. Bo wiemy, gdzie są ci z Troy. Oni na razie czekają na rozwój wypadków. A ci z Luan już zaczęli rżnąć.

– Szlag. Zaczęło się.

Virion siedział w kuźni, tuż przy palenisku, i sączył wódkę ze swojego bukłaka. Kowal, a właściwie płatnerz ostrzył jego miecz, dokładając wszelkich starań. Był profesjonalistą.

– Myślę, że można się już nim golić – powiedział nareszcie.

– Domyślam się. Ale mam jeszcze jedną prośbę.

– Tak, panie?

– Wprowadź do procesu ostrzenia poezję, proszę. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem, panie.

Ostry, szarpiący uszy dźwięk wypełnił całą kuźnię. Płatnerz używał mało wody. Niektórych od tej kakofonii pewnie rozbolałyby uszy.

– Z was to wielki fachowiec, panie.

– A skąd wiesz? – zainteresował się Virion.

– Bo miecz rzadko aż tak się ostrzy. Niedobrze jest, jak taka klinga uderzy w inną. To bardzo osłabia materiał.

– Więc trzeba walczyć, nie uderzając o inne klingi. Prawda?

Kowal skinął głową.

– No właśnie mówię, że z was jest mistrz, panie. Niewielu tak potrafi... Walczyć, a nie uderzać.

Virion pociągnął następny łyk.

– Dlaczego przypuszczasz, że będzie jakaś walka?

– Ano, większość ludzi wysiedlili z okolicy na czas balu. Nas, rzemieślników, pozostawiono na miejscu, bo możemy się do czegoś przydać, jak wyniknie potrzeba. Ale w ogóle to pustawo teraz tutaj. Nudno.

– I to wystarczy, żebyś przewidywał walkę?

– Typy zakazane przemykają pod ścianami. Węszą.

– No fakt.

– Zbrojni po izbach poukrywani tu i tam. Jak człowiek posłucha, to szczęk nieostrożnie trzymanego oręża dochodzi.

– No fakt – powtórzył Virion.

Atmosfera musiała naprawdę gęstnieć, skoro zauważył to nawet kowal. A z drugiej strony miasto od wielu dni było patrolowane przez zwiększone siły, ściągnięte pewnie z połowy królestwa. Zbrojnych w królewskich barwach aż nadto, żeby czuć się bezpiecznym. I nagle właśnie dzisiaj oni wszyscy zniknęli z ulic. Pilnują balu, wiadomo. Ale co ma myśleć prosty człowiek? Zwłaszcza jak mu sąsiadów wysiedlili na czas uroczystości.

Tylko głupi byłby spokojny w takiej sytuacji. Tylko głupi nie widziałby chmur mimo pogodnego nieba.

– Już chyba dodałem poezji do waszego miecza, panie.

– Dziękuję.

Virion odebrał miecz i schował go do pochwy. A potem znowu zaczął sączyć wódkę.

– Jak to? – zdziwił się kowal. – Nie sprawdzicie ostrza, panie? Tak ufacie mojej robocie?

– Potrafię to ocenić na słuch – padła odpowiedź. – Zrobiłeś swoje w sposób doskonały.

Kowal odłożył narzędzia.

– Ech, z was to mistrz nad mistrze, panie – westchnął.

– Tak sądzisz, bo słyszę, czy jest dobrze wyostrzone?

– Nie, panie. Ale większość ludzi nie może ścierpieć odgłosu ostrzałki trącej o metal. Większość ludzi się krzywi, uszy zasłania. Głowę odwraca.

Zamilkł na chwilę, a potem dokończył:

– Wy, panie, natomiast uśmiechaliście się, jakbyście najlepszej muzyki słuchali. Uśmiechaliście się, jakby nareszcie dzisiaj miało spotkać was coś bardzo dobrego!

– Panie! – Jeden z agentów podskoczył do Nerideena. – Wszystko widziałem.

– Wiesz, komu poseł przekazał papiery?

– Wiem. Dał dwa pakiety dwóm różnym osobom.

– Aaa, taki spryciarz. Ale najważniejsza rzecz. Czy jesteś pewny, że żadnych papierów poseł nie zachował przy sobie?

– Tego jestem pewny. Przecież się rozbierał. Nie zostawił przy sobie niczego.

– No dobra, czekaj.

Chłopak, udając, że się nie spieszy, podszedł powoli do Biafry.

– Wybaczcie, panie. – Ukłonił się jakiejś wysoko postawionej damie, z którą generał właśnie rozmawiał. – Wieści z frontu.

– Och, pani, czy wybaczysz mi, że na moment opuszczę...

– Ależ nie krępuj się, panie – dama wpadła Biafrze w słowo. – Doskonale wiem, że wieści z frontu zawsze są pilne i zawsze trzeba udzielić posłańcowi natychmiastowej odpowiedzi.

Wszyscy ukłonili się sobie w przewidzianej przez etykietę kolejności. Biafra po raz pierwszy tak naprawdę cieszył się z faktu, że miał do dyspozycji Nerideena, który otrzymał perfekcyjne wychowanie i nie popełnił żadnego błędu.

– Co jest? – zapytał, kiedy oddalili się o kilka kroków.

– Poseł oddał dwa pakiety dwóm ludziom. Podzielę swój oddział i dwóch pójdzie za jednym, dwóch za drugim, a ja będę koordynował...

– Nie dasz rady – przerwał mu Biafra. – Ale dobra. Tak jak mówisz, zacznij, a ja wyjdę stąd najszybciej, jak będę mógł. Daj mi znać, gdzie jesteś.

– Jak?

– Przez któregokolwiek z naszych agentów. Jest ich pełno na ulicach. Rozpoznasz ich, bo dzisiaj każdy z nich ma czerwoną wstążeczkę zawiązaną na prawej ręce wokół palca serdecznego.

– Dobra. To lecę.

Nerideen, tym razem już nie ukrywając pośpiechu, skoczył w stronę wyjścia z ogromnej łaźni. Nie musiał niczego udawać, przecież „miał wieści z frontu”, a teraz „biegł z rozkazami”.

Io widziała wszystko, co działo się w otoczeniu Biafry. Ale nie podchodziła bliżej, nie podsłuchiwała. Jedyne, co ją interesowało, to fakt, że skoro Nerideen biegnie, jakby mu ktoś nasypał soli na ogon, to znak, że poseł przekazał komuś dokumenty. Podeszła więc do Proximy.

– Zaczynam swoją część zadania, pani.

– Świetnie. Jak będzie sposobność, daj nam znać, co i jak.

– Jeśli kogoś tu przyślę, to proszę o wzajemność. Przyślij mi, pani, Fedrę do pomocy.

– Anarcha ci nie wystarczy?

– Ruda jest fajna, sprawna i bardzo odważna. Ale głupia.

– Rozumiem, ale ja też bardzo tu potrzebuję pomocy kogoś inteligentnego. Radź sobie sama.

– Jasne. – Io ukradkiem zasalutowała do własnej brwi jednym palcem. A potem, ignorując Fedrę, rozbawioną ostatnią wymianą zdań i rozkładającą ręce w geście współczucia, pobiegła w stronę szatni.

W pomieszczeniu, gdzie przebywało tylu ludzi, a w dodatku się przebierało, nie sposób było wyłowić jakiegokolwiek indywidualnego zapachu. Człowiek nie jest w stanie poczuć w tym konglomeracie właściwie żadnej dominującej woni, nawet psa łatwo zmylić. Tyle że Io nie była ani w pełni człowiekiem, ani oczywiście psem. Węszyła intensywnie, a część upiorzycy w niej samej bez problemu separowała zapachy. Udając, że coś zgubiła, krążyła wokół, dowiadując się, gdzie Nerideen rozmawiał ze swoim człowiekiem, gdzie stali agenci Biafry i wreszcie gdzie przebierał się

poseł Luan. Towarzyszące mu osoby poszły za szefem w stronę stanowiska królowej Arkach. Dwóch ludzi ruszyło w przeciwną stronę. Na zewnątrz. Jednocześnie sam zapach mógł jej powiedzieć, że poseł niczego nie zachował przy sobie. Nie miał żadnych dokumentów, nic. Na spotkanie z królową poszedł owinięty w gruby ręcznik, który otrzymał od gospodarzy.

Dziewczyna włożyła swoją tunikę, chwilę dłużej zajęło jej sznurowanie sandałów.

– Jaśnie pani jeszcze wróci? – Odźwierny zgiął się w głębokim ukłonie.

– Nie omieszkam.

– Wieczorem największe atrakcje. – Służący otworzył jej drzwi.

– Nie darowałabym sobie, gdybym nie zobaczyła. – Dopiero teraz, po dłuższym czasie, zrozumiała, dlaczego on się tak czepia. Sklęła się w myślach i wysupłała z sakiewki drobną monetę. Odźwierny skwapliwie wyciągnął w jej stronę dłoń. Zauważyła, że na serdecznym palcu miał zawiązaną malutką czerwoną wstążeczkę.

– Dziękuję, jaśnie pani! Dziękuję!

Wybiegła na ulicę. Powstrzymywanie jej w drzwiach, nawet jeśli nieintencjonalne, niewiele dało. Od razu chwyciła zapach. Prawie zobaczyła dwa ślady. Mogłaby bez trudu podążyć za jednym albo za drugim, ale to byłby błąd. Najpierw ruda, najpierw przydzieleni jej ludzie. Kiedy minęła skrzyżowanie ulic i skręciła w prawo, zaczęła biec. Na szczęście kryjówkę dla bojówkarzy Troy umieszczono w wynajętym składzie bławatnym, bardzo blisko rynku i drewnianej łaźni. Nawet nie przyspieszył jej oddech, kiedy po chwili pukała do drzwi umówionym sygnałem.

– I co? – Anarcha szybko wciągnęła ją do mrocznego wnętrza. – Wiesz, kto ma papiery?

– Wiem. Poseł dał dwa pakiety dwóm ludziom.

– O kurwa!

– Spokojnie.

– A co? Wiesz, w którym są prawdziwe dokumenty?

– Nie wiem. Ale ta wiedza nie jest nam do niczego potrzebna.

– Jak to?

– Tak to! Po prostu przejmiemy oba pakiety. Albo my, albo ci z Arkach.

Ruda oficer pokręciła głową.

– O, niedoczekanie! Po pierwsze, to my jesteśmy najlepsi, a po drugie, to my mamy ciebie!

Io tylko pokręciła głową.

– Nie przeceniaj ani siebie, ani mnie. Biafra jest najbardziej inteligentnym sukinsynem na świecie. I co gorsza, zawsze ma w rękawie asa.

– Nam nie da rady.

Nie było sensu spierać się na tym poziomie. Ale dobrze, że ktoś tu miał wysokie morale. Ruda sprawdzała się w bezpośrednim starciu. Nie mnożyła problemów.

– Co mam robić? – spytała.

– Już mówię. Ja biorę swoich ludzi i podążam za jednym z depozytariuszy...

– Za kim?

– Za jednym z tych facetów, którzy mają dokumenty od posła.

– A.

– Ty śledzisz drugiego ze swoimi ludźmi.

– Ale wiesz o tym, że ja nie mam węchu jak ty.

– Nie masz i nie potrzebujesz. Ja ci powiem, gdzie on idzie, mniej więcej. – Io rozpostarła na najbliższej skrzyni chustę, na której wcześniej narysowała coś na kształt planu miasta. Oczywiście nie było tam zaznaczonych ulic, ale dość wiernie odwzorowała najważniejsze i charakterystyczne budowle.

– Patrz. On poszedł w tę stronę. – Palec Io przesuwał się po chuście. – Tu musi skręcić i na pewno skręci w lewo.

– A skąd możesz to wiedzieć?

– Bo gdyby skręcił w prawo, poszedłby w stronę pałacu, w którym zakwaterowano poselstwo Luan. A tam to on nie chce pójść. Myślę, że ich szef ma żywo w pamięci nocny napad na swoją siedzibę.

– Aha.

– Tu znowu musi gdzieś skręcić, najprawdopodobniej na prawo tym razem.

– A czemu?

– Bo w lewo doszedłby do murów miasta. A tam nie chce się znaleźć, bo przy murze zmniejsza mu się możliwość kluczenia.

– Aha.

– Zapamiętałaś?

– Tak.

– To bierz swoich i za nim. Jeśli nadarzy się sposobność, to go w łeb, zabieraj papiery i znikaj. I żeby mi śladu po nim nie zostało!

– No, tyle to sama wiem. – Ruda oficer wyprostowała się. Zadanie okazało się proste i jednoznaczne. Zrozumiała wszystko i nie trzeba było powtarzać.

Pięciu ludzi z luańskiego oddziału podzieliło się na dwie grupy. Mistrzowie miecza nie mieli pojęcia, jak rozpoznać agentów Arkach na ulicach, ale sekretarz posła wymyślił dla nich prosty plan. Dwójka posuwająca się na przedzie dźwigała wielką torbę, którą wypełniały papiery. Nic ważnego, właściwie to makulatura wzięta z siedziby poselstwa tylko ze względu na swoje wymiary. Wielkie rulony wystawały z torby, stanowiąc przynętę. Zwykłych przechodniów to nie interesowało. Natomiast agenci, widząc wrogów przemieszczających się z ważnymi w ich mniemaniu dokumentami, odczekiwali chwilę, a potem rzucali się biegiem, żeby złożyć raport. I tych właśnie wyłapywała trójka luańskich szermierzy posuwająca się z tyłu. Właściwie szermiercze umiejętności nie były im do niczego potrzebne. Agenci sterczący na ulicach nie byli wojownikami. Z reguły wystarczał jeden cios nożem albo sztyletem, żeby unieruchomić ich na zawsze.

Wynajęci bandyci nie przejmowali się zbytnio, jeśli kogoś źle rozpoznali. Nie mieli żadnej możliwości ani metody weryfikacji tego,

czy ktoś jest agentem, czy zwykłym przechodniem, który po prostu zareagował na coś zbyt nerwowo. No trudno. Zabijali jak leci, bo ich zadaniem nie była eliminacja wszystkich oczu wywiadu Arkach. Ich celem był terror. Pokaz siły, mocy i sprawczości. W dodatku osiągnięty nad wyraz skromnymi środkami, cała straż i zbrojni zgromadzeni w mieście pilnowali bowiem teraz wyłącznie obszarów najbliższych gigantycznej łaźni.

Powstrzymał ich dopiero kurier z pilną wiadomością.

– Wszyscy do szefa!

Człowiek z wiadomością pobiegł dalej do trójki egzekucyjnej, która już trzymała w rękach kolejnego delikwenta.

– Wszyscy do szefa – powtórzył. – Natychmiast!

Bandyci puścili krztuszącą się ofiarę, która nie mogła uwierzyć, że uszła śmierci. A ludzie Druzusa przecież byli profesjonalistami. Nie mordowali dla przyjemności. Robili to na rozkaz. A ten rozkaz właśnie w tej chwili im zmieniono.

Druzus i korpulentny sekretarz posła czekali cierpliwie w karczmie. Obaj obserwowali ulicę przez szpary w zasłonach zawieszonych na wąskich oknach.

– Czemu ta karczma naprzeciw ma ścianę pomalowaną na czerwono? – zapytał szermierz natchniony. – Burdel tam mają na piętrze czy jak?

– Czerwona farba jest tutaj bardzo kosztowna – wyjaśnił sekretarz. – Maluje się nią na zewnątrz lokale, które mają uchodzić za wykwintne. Dla bogatych klientów.

– Stąd wygląda na małą knajpę. Tak mało tu bogatych?

– To, co tam podają, nie cieszy się w Arkach zbytnią popularnością. To winiarnia.

– Co? – Ta uwaga rozśmieszyła Druzusa. – Wino dla bogatej elity?

– To dość zimne królestwo. Nie ma ziem, na których dałoby się założyć winnicę. Dlatego wino jest towarem importowanym, drogim i uważanym za wykwintne. Dla kulturalnej szlachty, a nie plebsu, który łoi wódę i piwsko.

– Ciekawe. Ale co? Dlatego kazałeś tam jeszcze dostarczyć dwanaście dużych amfor?

– W moich amforach nie ma wina, tylko oliwa.

– No nie, tego też nie mają?

– Nie. Tu gaju oliwnego nie da się założyć. A przynajmniej nie przyniesie on plonów.

– To z czego mają olej do smażenia?

Sekretarz wzruszył ramionami.

– Z jakiegoś gówna wyciskają. Nie wiem. Z rzepaku?

– To może już prędzej ze świń?

Obaj zaczęli się śmiać, ale sekretarz szybko spoważniał.

– No, mój człowiek się zbliża.

Druzus podążył za jego spojrzeniem.

– Moi też.

Jeden z mężczyzn, którzy w przebieralni przejęli papiery od posła Luan, szedł powoli, miarowym krokiem. Kazano mu się nie rozglądać, nie odwracać. Zapewniono, że nic mu nie grozi. Ładunek, który tkwił w zwykłej z pozoru płóciennej torbie, trzymanej na ramieniu, był zbyt cenny, żeby pozostawić go choć na mgnienie oka bez ochrony. I mimo że na pierwszym etapie jego drogi nikt mu nie towarzyszył, aby nie wzbudzać zainteresowania miejscowych służb, to teraz już pięciu ludzi Druzusa odwołanych z ulicznej akcji podążało za nim, dyskretnie śledząc każdy ruch.

Trudno było nie zauważyć czerwonej ściany. Mężczyzna zatrzymał się przed nią na moment i całą siłą woli powstrzymując chęć rozejrzenia się, wszedł do środka winiarni. Pięciu śledzących go bandziorów Druzusa zatrzymało się również w przypadkowych miejscach. Ci starali się przypominać zwykłych przechodniów, których nagle coś zatrzymało. Ale oni również nie rzucali się w oczy.

Lata bandyckiego życia nauczyły ich wszystkich wtapiać się w otoczenie.

– No. – Sekretarz posła nachylił się do okna. – Pułapka zastawiona. Ciekawe, kiedy pojawi się pogoń.

– Długo czekać nie trzeba będzie. – Szermierz natchniony odstawił kubek i sprawdził rękojeść miecza. Był pewny siebie.

I miał rację.

Nerideen w asyście dwóch ludzi Biafry pojawił się przed upływem modlitwy. Chłopak zajął miejsce obserwacyjne nieopodal drzwi. Agenci weszli do środka. Tuż za nimi kolejno, powoli i z udawaną obojętnością weszło pięciu ludzi Druzusa, którzy dotąd czaili się w pobliżu. Nerideen zerkał co prawda, ale nic w ich wyglądzie nie wydało mu się podejrzane. W każdym razie nie zauważył broni ukrytej pod płaszczami. Ot, normalni klienci, którzy chcieli napić się wina. Niestety, wychował się w ciepłym kraju nad morzem, gdzie wino było podstawowym trunkiem, i nie mógł mieć pojęcia, że tu, w zimnych górach, pięciu amatorów tego egzotycznego i drogiego trunku powinno wzbudzić w nim niepokój.

Podejrzenia wzbudził w nim dopiero fakt, że pięciu amatorów zagranicznego wykwintu dosłownie chwilę później zaczęło opuszczać winiarnię. Kiedy wyszedł ostatni z nich, przytrzymał drzwi i zajrzał do wewnątrz. Miał refleks. Kiedy tylko ujrzał swoich ludzi na podłodze we krwi, nie dał się wepchnąć do środka bandziorom Druzusa. Bez chwili namysłu runął do ucieczki z pełną szybkością, nie oglądając się za siebie. Rada Viriona spełniała się zawsze. W ucieczce albo od razu dasz z siebie wszystko, albo cię złapią. Nerideen dobrze pojął naukę i dlatego biegł teraz co sił w nogach, odbierając nadzieję przeciwnikom, jeśli powstałby im w głowie choćby pomysł, aby rozpocząć pogoń.

– I tak wszystkich zamierzasz załatwić? – zapytał sekretarz posła, obserwujący scenę przez wąskie okno karczmy naprzeciwko.

– Taki był rozkaz.

– Rozumiem. Ale czy nie obawiasz się, że chłopak, który uciekł, ściągnie strażników?

– Chyba nie mamy czasu, żeby się zastanawiać.

Druzus pokazał coś palcem. Sekretarz nachylił się do okna.

Środkiem ulicy zbliżał się oddział dowodzony przez rudowłosą oficer. Jej ludzie byli ewidentnie żołnierzami, choć nieumundurowani teraz, szli prawie że w nogę, w sposób uporządkowany, nawet po cywilnemu tworząc zwarty oddział. To byli weterani. W dodatku dobrze dowodzeni, co widać było, jak błyskawicznie spełniali rozkazy.

Oficer otworzyła drzwi, przepuszczając swoich ludzi przodem, a potem sama weszła do winiarni, domykając za sobą drzwi.

Pięciu ludzi Druzusa opuściło swoje stanowiska i po raz drugi ruszyło w stronę wejścia do winiarni.

– Nie jest ich za mało? – zaniepokoił się sekretarz. – Dwóch na jednego.

– Nie jest za mało – mruknął Druzus. – Ruda ma żołnierzy, a ja mam szermierzy.

Anarcha od razu zauważyła swój cel. Mężczyzna, który miał papiery posła, siedział w najdalszym kącie niewielkiej sali, skupiony nad naczyniem zawierającym jakiś trunek. Problemem było to, że pomiędzy nim a nią na podłodze leżały dwa zmasakrowane ciała w kałuży krwi. Coś było nie tak. Skoro doszło tu do jakiejś bitki, to dlaczego tamten jest taki spokojny? Trudno raczej wyobrazić sobie bywalca knajpy, który sączy sobie wino, kiedy tuż obok leżą dwa trupy...

Zrozumiała, co jest nie tak, kiedy usłyszała skrzypnięcie drzwi za plecami.

– Rozproszenie! – wrzasnęła, odwracając się na pięcie. – Ty – wskazała swojego dziesiętnika – plus pięciu pod tamtą ścianę! Reszta za mną pod przeciwną!

Oddział błyskawicznie podzielił się na dwie części. Ludzie dziesiętnika z mieczami w rękach oparli się plecami o ścianę na lewo od wejścia, ludzie oficer robili to samo przy ścianie po prawej.

Pięciu ludzi, którzy weszli do winiarni, znalazło się w potrzasku, mając wrogów po obu stronach i w dwukrotnej przewadze liczebnej. Nikt z nich jednak nie okazał emocji. Przybysze niespiesznie wyjmowali spod płaszczy swoją broń.

– Do ataku! – krzyknęła Anarcha. – Naprzód!

Majstersztyk będący sumą wyszkolenia, opanowania musztry i doświadczenia zdobytego w wielu bojach. Obie piątki żołnierzy z Troy jednocześnie, zdawało się, idealnie równo, w mgnieniu oka runęły na przeciwnika z dwóch stron.

Ale choć wydawałoby się to niemożliwe, piątka przeciwników, która znalazła się na środku dwóch koncentrycznych ataków, nie zginęła od pierwszego uderzenia. Niemożliwe? Jak można odbić jednym mieczem dwa ciosy zadane naraz?

Wieczna ułuda okrążenia i „ataku naraz”. Nigdy nie udało się osiągnąć ideału. Zawsze jeden z atakujących jest trochę szybszy, drugi waha się choćby przez czas krótszy niż mrugnięcie. Albo po prostu wolniej myśli? Bandyci Druzusa zresztą nie stali w miejscu. Wystarczył przecież nawet drobny ruch w bok, żeby dwa miecze nie uderzyły w tym samym momencie. Piątka na środku sparowała ciosy albo je przepuściła. I natychmiast przeszła do kontrataku. Żołnierze Anarchy tylko dlatego mieli jeszcze jakieś szanse, że walka odbywała się na małej przestrzeni. Ludzie zawsze walczący w linii byli do tego przyzwyczajeni. Bandyci nie.

Tarcie jednak nie trwało długo. Tu decydowała szermierka, a dwóch na jednego nie jest jakąś przesadną przewagą, jeśli tych dwóch ma mniejsze doświadczenie. Bandyci spróbowali wypadów z własnej linii. Przynajmniej krok do przodu, dwa ciosy, cofnięcie. Udało się zachwiać linią przeciwników, ale ta taktyka nie przyniosła rozstrzygnięcia.

No to spróbowali wypadów po dwóch naraz.

Pierwszy żołnierz dostał na odlew przez twarz i zalał się krwią. Jego kolega oberwał pod pachę, cofnął się odruchowo i dostał pod szyję. To wystarczyło.

Drugi wypad pozwolił już zabić dwóch żołnierzy. Przy trzecim linia wroga posypała się, a walka zamieniła się w rzeź.

Anarcha skoczyła na pomoc swoim ludziom. Momentalnie ktoś ugodził ją w bok.

– Ach!

Odskoczyła w ostatniej chwili. Widząc, co się dzieje, runęła w stronę okna, wybiła je jakimś taboretem i próbowała wyskoczyć. Nie udało się, za mało miejsca. Przewróciła się więc tak, żeby brzuchem uderzyć o parapet. Uniosła nogi, odepchnęła się od framugi, a kiedy ciężar ciała przeważył na drugą stronę, szarpnęła się i wylądowała na bruku. Jęcząc, podniosła się natychmiast. Nie mogła złapać oddechu, ale mimo to ruszyła od razu przed siebie. Zataczając się, trzymając za krwawiący bok, kuśtykając... Mimo to dość szybko oddalała się od miejsca zagłady oddziału.

– Zabawne. – Sekretarz z wielkim zaciekawieniem obserwował rozgrywającą się przed oczami scenę. – Wrogowie wchodzą do tej winiarni, za nimi twoich pięciu ludzi. Chwila przerywana stłumionymi wrzaskami i... twoi ludzie wychodzą na zewnątrz w takiej samej liczbie, w jakiej tam weszli.

– Dwoje nam uciekło – skrzywił się Druzus. – Chłopak i ta ruda.

– E tam. Poseł miał jednak rację. Nasi wrogowie to idioci.

– Może. Powinniśmy jednak oddalić się stąd, bo ktoś z nich mógł zawiadomić...

– Bzdura. A tu zabawa jest naprawdę wyśmienita.

– Radziłbym...

– Jeszcze tylko jeden raz. Patrz, ktoś znowu idzie w kierunku winiarni!

Druzus nachylił się do okna i zamarł. Samym środkiem ulicy szedł w ich kierunku elegancko ubrany łysy mężczyzna. Nie był świadomy tego, co tu się dzieje, i nie był wezwanym na pomoc strażnikiem. Gwizdał pod nosem jakąś skoczną melodię i rozglądał się z beztroskim wyrazem twarzy. Przestał gwizdać, dopiero kiedy dostrzegł pomalowaną na czerwono ścianę. Przyspieszył kroku, ruszając w stronę wejścia do winiarni.

– Ktoś go już zawiadomił? – szepnął Druzus, marszcząc brwi.

– Wątpię. – Sekretarz posła zaprzeczył ruchem głowy. – Widać, że obcokrajowiec, a ta gospoda naprzeciw jest charakterystycznym punktem w mieście. Pewnie ktoś mu tam naznaczył spotkanie. Przypadek.

– Za dużo przypadków.

– No i co z tego? Jeśli wejdzie do środka, twoi ludzie wejdą za nim. No i... koniec rozmyślań na jego temat.

Rozdział 10

Virion zmierzał w stronę winiarni, nie mając pojęcia, co tam się wydarzyło. Po prostu Nerideen zdążył przesłać wiadomość, że tam właśnie zadekował się człowiek niosący papiery. Późniejsze wiadomości słane umyślnymi już nie dotarły do adresata, który ruszył w stronę celu.

Na zewnątrz nikt na niego nie czekał, więc Virion długo się nie wahał i wszedł do winiarni. Zatrzymał go dopiero widok tuzina trupów leżących na podłodze w kałużach krwi. Trochę dalej pod przeciwległą ścianą siedział mężczyzna w średnim wieku, wyraźnie przestraszony. Ale to nie była trwoga ani lęk o własne życie. Sądząc po teczce z papierami, którą przyciskał do piersi, pewnie był człowiekiem, któremu poseł powierzył dokumenty. Po prostu wstrząsnął nim widok zabijania tuż przed oczami, którego nie był zwyczajny. Facet miał więc ochronę. Ale gdzie?

Sprawa wyjaśniła się, kiedy zaskrzypiały drzwi za plecami Viriona. Nie musiał odwracać głowy, miał doskonały słuch. Ochroniarzy-egzekutorów było pięciu.

– Co, stary? – rozległ się czyjś młodzieńczy głos. – Zamurowało cię ze strachu?

– Nie, tak stoję tylko, bo liczę trupy. Patrzę, czy kogoś znajomego nie zobaczę, jak tu leży.

Bandyci byli zbyt prymitywni, żeby wstrząsnął nimi obojętny ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa. Całkiem obojętny, z nutkami wesołości.

– I co? – To też było z wyraźnym rozbawieniem.

– Chłopak najwyraźniej wam zwiał.

– A był taki jeden, był.

Pobrano ze strony pijafka.pl

– No to fuszerka z waszej strony.

– Nie bój się, z tobą nie sfuszerujemy. Zaraz dołączysz do tych, co tu leżą.

– Nie znam ich. To wy macie ze sobą do pogadania.

– Ty... nas chcesz posłać na podłogę?

– Chcieć to nie chcę. Ale z musu poślę.

– Ty żeś się nawet do nas nie odwrócił! – W bandycie, który prowadził niezbyt wyrafinowany dialog, zaczęła rodzić się złość.

– No bo nie ma potrzeby, ale skoro chcesz...

Virion dopiero teraz odwrócił się przodem do napastników. Jego ręka nawet nie zbliżała się do rękojeści miecza. A na twarzy widniał wyraz spokoju, rozbawienia, który powoli, kiedy ich już zobaczył, zamieniał się w wyraz rozczarowania.

– No i co, dzieci? – zapytał. – Czego ode mnie chcecie?

Tego już było bandytom za wiele. Stojący najbliżej uniósł miecz i wyprowadził zabójcze cięcie znad głowy, płatające i kończące sprawę natychmiast. Od razu.

Virion znudzony, gestem, jakby odpędzał muchę, uderzył otwartą dłonią tak, by uderzenie przeszło bokiem, tuż koło ramienia.

– Hekke, byłbyś ze mnie dumny... – szepnął do własnych myśli.

Siła zamachu popchnęła bandytę do przodu. Obaj zderzyli się ciałami. Virion lewą ręką przejął miecz tamtego, wyłamując mu palce. Potem ujął jelec obiema dłońmi i ciągnąc mocno od dołu, złamał szczękę mężczyźnie rękojeścią jego własnego miecza. Nieartykułowany wrzask wypełnił pomieszczenie. Reszta ruszyła na pomoc koledze, a pierwszy z nich już nawet wyprowadził cios. Virion pchnął ofiarę wprost na sztych tamtego.

– Aaa... eeełuuu, eeeppp... – umierający bełkotał coś niezrozumiale, patrząc w bezbrzeżnym zdziwieniu na towarzysza, który go zabił.

Pozostali zatrzymali się chyba równie zdziwieni. Jednak nie trwało to długo. Najmłodszy z nich podskoczył do przodu, stając w pozycji z wyciągniętym mieczem.

– Fechtuj! – krzyknął.

– Ja nie fechtuję, bo mi się miecz stępi. Mogę was tylko pozabijać.

– Spróbuj! – Agresja bijąca z oczu młodego wskazywała, że nie zrozumiał nic ze słów, które zostały do niego wypowiedziane.

– Ile masz lat? – zapytał Virion z ciekawością.

– Siedemnaście, ty staruchu!

– I warto ginąć w takim wieku? Kurwa, tyle rzeczy może być przed tobą. Warto z tego wszystkiego zrezygnować? Może odpuść, co?

Młody napastnik postąpił o krok, Virion zrobił krok do tyłu.

– Ja nie jestem człowiekiem, który czyni sprawiedliwość na świecie – powiedział Virion. – Nic mnie nie obchodzą wasze uczynki, więc możecie uciekać.

To tylko rozzuchwaliło bandytów. Po swojemu zrozumieli, że jak ktoś tak gada, znaczy się boi. A pierwsza śmierć była przypadkiem.

Młody, który stał najbliżej, nie tracąc pozycji, zrobił kolejny krok do przodu. Virion znowu odstąpił o krok.

– Jesteś w wieku mojego ucznia. Odpuść!

I znowu. Jeden postąpił do przodu, drugi zrobił krok w tył. Virion najwyraźniej był w desperacji, bo powiedział:

– Odpuść... proszę! Nie warto!

Nie mógł bardziej rozjuszyć przeciwnika. Chłopak uniósł broń odrobinę wyżej i runął do ataku. Virion wyjął swój miecz i przebił nim szyję chłopca tak nieszczęśliwie, że nie uszkodził ani tchawicy, ani żadnej z tętnic. Przez chwilę obaj stali, opierając na sobie wzajemnie wyciągnięte ramiona. Z bliska patrzyli sobie w oczy.

– I co? – smutno szepnął Virion. – Było warto czy nie?

Siedemnastoletni młodzieniec opadł na podłogę z oczami rozszerzonymi do granic ze zdumienia.

– Co? Co mi jest? Co się ze mną dzieje?

– A co? – spytał jeden z pozostałych przy życiu kolegów.

– Nie mogę ruszyć ani ręką, ani nogą! – Na twarzy chłopca rodziła się właśnie panika. – Nie mogę się ruszać!

– To kręgosłup – zawyrokował któryś z bandytów.

– Nie mogę... I to tak będzie do końca życia?!

– Krótkiego życia – mruknął Virion. – Osiemnastki nie dociągniesz.

Pozostałych trzech rzuciło się na niego, robiąc ten sam błąd, który wcześniej wykorzystali u żołnierzy Anarchy. Postawili na jednoczesne uderzenie z trzech stron.

Ten, który atakował od lewej, zrozumiał nagle, że nie ma przed nim przeciwnika, który czeka na cięcie mieczem, sącząc wino na środku knajpy. Zrozumiał też, że ktoś jakimś cudem znajduje się za jego plecami. A trzecią rzeczą, którą pojął w ułamku oddechu, był fakt, że coś koszmarnie ostrego właśnie rozpłatało mu gardło, otwierając je na całej szerokości. Odruchowo szukając pomocy, odwrócił się w stronę kolegi.

Krew z rozprutej szyi chlusnęła na twarz bandyty obok, który przez moment stracił możliwość widzenia. W dodatku bandzior poczuł, że coś ciepłego rozlewa się na jego brzuchu. Zaczął macać lewą ręką. Ciepłe, śliskie... W nozdrza uderzył ostry odór. Bogowie! To były wnętrzności! To były!... Jego własne trzewia! Osunął się na kolana. Uderzenia w kark już nie czuł.

Trzeci bandyta zdążył odskoczyć i się zasłonić. Zdążył też zobaczyć, że jego ręka ściskająca miecz szybuje właśnie gdzieś w dal zupełnie oddzielona od reszty ciała. Czas zwolnił chyba, bo widział, jak ramię obraca się w powietrzu i tryskając krwią, uderza o sufit, zostawiając na nim szkarłatny znak. Czując nagłą słabość, chciał stanąć pewniej, ale kolana ugięły się pod nim.

Virion odwrócił się, szukając wzrokiem mężczyzny, który miał przy sobie dokumenty. Ten jednak otrzymał wyraźną instrukcję, którą w momencie utraty ochrony zaczął właśnie realizować. Krótkim, łatwym do ukrycia w ubraniu łomem rozbijał zgromadzone pod ścianą amfory z oliwą. Otworzył przyniesione ze sobą naczynie z żarem i wysypał jego zawartość na podpałkę. Odgrodzony ścianą ognia, przycisnął do siebie torbę z papierami, odwrócił się i ruszył w stronę tylnego wyjścia.

Zdążył też zobaczyć, że jego ręka ściskająca miecz szybuje właśnie gdzieś w dal zupełnie oddzielona od reszty ciała

Virion nie mógł go gonić. Płonąca oliwa szybko rozprzestrzeniała się na całe pomieszczenie. Podniósł więc miecz z całej kolekcji leżących na podłodze i rzucił nim jak włócznią, trafiając uciekiniera prosto w sam środek pleców. Dokumenty były jednak już poza zasięgiem Viriona.

Taki los, uśmiechnął się do siebie. Widocznie ich przeznaczeniem było spłonąć.

Sam zaczął się cofać do drzwi.

– Bardzo podoba mi się widowisko, które mi zafundowałeś – perorował sekretarz posła.

– Jakie widowisko? – Druzus nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– No, że wchodzi ktoś do winiarni naprzeciw, za nim wchodzi pięciu twoich ludzi. Mija krótka chwila i pięciu twoich ludzi wychodzi. A potem wbiegają tam liczni zbrojni, wchodzi twoja piątka, mija dłuższa chwila i wychodzi twoja piątka. Piękne.

Sekretarz nie mógł zrozumieć braku entuzjazmu na twarzy szermierza natchnionego. Przecież właśnie go chwalił.

– I tak samo teraz – ciągnął. – Do winiarni wszedł jakiś osiłek, za nim pięciu twoich ludzi, minęła dłuższa chwila i zaraz otworzą się drzwi, żeby wypuścić twoją piątkę.

Drzwi naprzeciw rzeczywiście otworzyły się właśnie w tym momencie.

– Ja pierdolę! – Oczy sekretarza wyszły z orbit.

W drzwiach stanął barczysty starszy mężczyzna z ogoloną czaszką. Czyścił swój miecz zabranym komuś płaszczem. Zza jego pleców buchały kłęby dymu.

– Ja pierdolę... – powtórzył bezwiednie sekretarz. A potem się opamiętał. – Idź i go zabij! – Chwycił Druzusa za rękaw. – Idź i go zabij!

– Chodźmy stąd. – Szermierz natchniony wstał gwałtownie zza stołu. – Te dokumenty najwyraźniej spłonęły. A my mamy drugie do ochrony!

– Ale on załatwił twoich ludzi. Idź i go zabij!

– Nieważne. Nie traćmy już tutaj czasu.

Złapał sekretarza za ramię i mocno pociągnął w stronę tylnego wyjścia.

Mężczyzna stojący na ulicy nie zauważył tego, co dzieje się w karczmie naprzeciw. Nie rozpoznał też żadnej twarzy, która mogła mignąć w wąskim oknie.

Miał słaby wzrok.

Dwóch mężczyzn z grupy Nerideena nie miało pojęcia, co robić. Ich cel, czyli człowiek przenoszący dokumenty, wszedł do karczmy i zajął miejsce przy stole. Mogli go wyraźnie zobaczyć nawet przez okno. No i co dalej? Chłopak się nie pojawiał, a czekanie mogło być zgubne. Ci ludzie nie byli idiotami i doskonale zdawali sobie sprawę, że mężczyzna w karczmie nie jest sam, choć żadnych ochroniarzy nie zauważyli. Nie podejmowali więc żadnej indywidualnej akcji. Jeden z nich poszedł zawiadomić Biafrę.

Io szła ulicą sama. Jej oddział podążał za nią kilkadziesiąt kroków z tyłu, rozciągnięty w rozproszeniu, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Nie potrzebowała swoich dziesięciu zbrojnych w tej chwili. Najpierw musiała upewnić się co do lokalizacji celu.

Nie rozglądając się, weszła do karczmy i podeszła wprost do kontuaru, za którym siedział senny gospodarz. Zamówiła kubek niezbyt wytrawnego wina i zaczęła sączyć, skarżąc się na upał. To było Królestwo Arkach. Nikt więc nie dziwił się samotnej kobiecie raczącej się trunkiem i wdającej się w rozmowę z nieznajomymi. Ucięła sobie zatem wesołą pogawędkę, nie dała się namówić na drugi kubek, zapłaciła i udając radosną, wyszła na ulicę. Nie musiała nawet rzucać ukradkowego spojrzenia – wyraźnie czuła obecność mężczyzny z papierami. Ale... nie czuła nic innego. Żadnego zapachu broni, spoconych mężczyzn czekających na atak, ulotnych komponentów niepokoju i gotowości. Oddział szturmowy Luan musiał być więc ukryty gdzieś poza karczmą. Gdzie? Nie wnikała. Nie chciała też krążyć po okolicy i węszyć. Gdzieś tutaj na pewno albo już był, albo zaraz przybędzie oddział Arkach, którego zadaniem będzie zdobycie papierów. Wystarczyło więc poczekać.

Dała dyskretny znak swoim ludziom, żeby ukryli się w miarę możliwości i czekali na sygnał, a sama po prostu stanęła pod ścianą, przytulając się do załomu murów. Nie rzucała się w oczy i nawet w jasny dzień trudno ją było zauważyć.

Miała to po matce.

Biafra przybył na miejsce dosłownie parę chwil później. Klął, wściekał się, ciskał, a jego oczy miotały gromy. Wysłuchał raportu, co chwila zdenerwowany wychodził na środek ulicy i rozglądał się gniewnie. Najwyraźniej on akurat nie miał szkolenia w dyskretnej pracy agenta. On tymi agentami jedynie kierował.

Na szczęście po jakiejś modlitwie przybiegł Nerideen, prowadząc za sobą oddział szturmowy Arkach, który przejął z kryjówki.

– Gdzieś ty był, do jasnej zarazy?

– To jest zasadzka!

– Jaka zasadzka?

– Tam też była taka karczma… winiarnia. Weszliśmy przejąć cel i zaatakowali nas luańscy siepacze. Tu też są!

– Ilu?

– Tam było pięciu. Ale winiarnia była bliżej od rynku niż ta lokalizacja. Więc tam było pięciu, bo liczyli na zaskoczenie. Tu mają dwudziestu albo więcej, bo wiedzą, że jesteśmy już ostrzeżeni.

– To zaraz przyprowadzę pół armii Arkach!

– To oni podetkną papiery pod nos królowej.

Te słowa otrzeźwiły Biafrę. No tak. Wkroczenie nowych oddziałów wojska do Canope wymagało zgody królowej. A wykorzystanie tych, co już są w murach miasta, było niemożliwe, bo oddziały ochraniały wielmożów na łaziennym balu. Ich ruszenie również wymagało rozkazu królowej. Co widząc, poseł Luan zdąży zrobić wszystko, co mu do głowy przyjdzie.

– Gdzie Virion?

– Nie wiem. Posłałem gońca, że nasz cel siedzi w winiarni. Potem mnie zaatakowano. Uciekłem i posłałem następnego gońca, ale wątpię, żeby zastał mojego mistrza.

– I co?

– No nic, przejąłem oddział i wysłałem trzeciego gońca. Ma czekać w okolicy winiarni, aż Virion zabije tych pięciu Luańczyków i skieruje go tutaj.

– Pięciu na niego wysłali? A nie pięć sotni?

Obaj zaczęli się śmiać. Ja pierdolę! – identyczna myśl pojawiła się w obu głowach. Wysłać pięciu siepaczy na Viriona. Ich pułapka stacjonarna została załatwiona przez pułapkę ruchomą.

– Czekamy na niego? – zapytał Nerideen.

– Nie, nie. – Biafra znowu się rozejrzał. – Tu gdzieś w okolicy czają się na mur ci z Troy, żeby zabrać nam łup sprzed nosa. Więc bierz nasz oddział szturmowy i atakuj!

Druzus nie miał problemu z szybkim przedostaniem się do kolejnej kryjówki, położonej tuż przy karczmie, gdzie czekał człowiek niosący dokumenty posła. Tu miał przygotowanych więcej sił. Tutaj też teren bardziej mu sprzyjał. Doskonale wiedział, że kłusowanie kurierów Arkach po mieście nie przyniesie szybkich efektów, jeśli adresaci przemieszczają się z miejsca na miejsce. Trzeba czasu, żeby wszyscy się poodnajdywali i żeby wprowadzić choć podstawowy porządek: powiedzieć każdemu, gdzie i po co ma iść. Teraz więc szansa na utarcie nosa tym z Arkach i tym z Troy była największa. Wywiad Luan dostarczył mu dane – jedni i drudzy dysponowali w okolicy siłami w liczebności po kilkunastu ludzi. On miał więcej, no i na pewno lepszych. A poza tym dowodził nimi osobiście.

Nic nie powinno mu przeszkodzić w wykonaniu zadania.

Biafra znał wojenną zasadę, która mówi, że można układać szczegółowe i precyzyjne plany kampanii, ale... można też po prostu uderzyć szybciej. Ten, kto pierwszy przyłoży pięścią w nos przeciwnika, zyskuje natychmiastową przewagę. Dlatego też kazał chłopakowi zaatakować z marszu. Nie liczył na jego umiejętności dowódcze, liczył na szybkość i bezczelność. Powinno wystarczyć, bo w tej akcji talenty strategiczne nie były potrzebne.

Nerideen potraktował rozkaz Biafry poważnie. Karczma, którą mieli zaatakować, była odsunięta od reszty zabudowy z trzech stron. Po lewej i po prawej ciągnęły się dość wąskie uliczki, z przodu znajdował się dość duży plac przeładunkowy dla ciężkich wozów transportowych. Tylko czwarta ściana przylegała do ciągu kamienic. Teoretycznie więc był to doskonały punkt do obrony, pozwalający na obserwację przedpola niemal dookoła. Ale z drugiej strony pozwalał na jednoczesne uderzenie z wielu kierunków, prawie z otoczenia. I takie rozwiązanie wybrał chłopak.

– Was dwóch otwiera drzwi. Jeśli będą zabarykadowane, to trudno. Walcie w nie, łomoczcie i dużo krzyczcie. Wy idziecie pierwsi.

– Tak jest! Mamy zwrócić uwagę?

– Właśnie.

– A jeśli nie uda się wejść, to co potem?

– Czekajcie przy drzwiach. Przy winiarni ich odsiecz właśnie przedostała się na plecy naszych. Więc wy w ogóle macie nie wchodzić, tylko pilnować wejścia.

– Jasne.

– Wy dwaj – wskazał kolejną parę najemników – rozwalacie okno obok drzwi i do środka. Wy i wy rozwalacie okna od przeciwległej ulicy.

– Tak jest!

– A wy i wy od strony placu.

– Tu bym uważał ze ścianą od strony placu – powiedział jeden z najemników. – Przyjrzałem jej się.

– Też widziałem. Jest zmurszała.

– To jakiś zabytek z początków tego miasta. Może się zawalić, jak zaczniemy wybijać okna.

– Nie, nie, nie. Nie możemy stworzyć rumowiska, a potem szukać w gruzach. Wejdźcie, nie rozwalając chałupy!

– Tak jest! – Najemnicy krzywili się, bo rozkaz był trudny.

– I już! Już! – Nerideen poganiał swoich. – Nie ma na co czekać. Jazda!

Jego ludzie rozdzielili się sprawnie i szybko dotarli na stanowiska.

– Już! Atakować!

Dwójka przy drzwiach zaczęła walić w drewniane skrzydło i hałasować. Pozostali zaczęli wybijać okna. Pojedynczo błyskawicznie dostawali się do środka. Nerideen skoczył ostatni, zranił ramię o jakieś drzazgi z roztrzaskanej okiennicy i wylądował na podłodze. Mężczyzna z torbą wypełnioną papierami siedział niedaleko wygasłego kominka i wodził wokół rozszerzonymi oczami. Poza nim w izbie nie było nikogo.

– Mamy go! – wrzasnął chłopak, skacząc do przodu. – Papiery!

Był dosłownie o parę kroków od celu, kiedy kilka desek w suficie uniosło się, a przez powstałe otwory do izby zaczęli zeskakiwać zbrojni. Dokładnie za plecy atakujących.

– Do mnie! – Nerideen, mimo że był niedoświadczony, zadziałał instynktownie. W momencie zagrożenia żołnierze powinni się gromadzić przy dowódcy. – Wszyscy do mnie!

Jego ludzie nie wykonali rozkazu. Ledwie zdołali się odwrócić. Luańczycy zaatakowali, precyzyjnie wybierając cele. Najpierw jeden na jednego, żeby związać siły przeciwnika, a w miarę kiedy z dziur w suficie zeskakiwali następni, dochodzili do dwóch na jednego. Trysnęła krew, pierwsi najemnicy Arkach zaczęli walić się na podłogę.

– Wycofać się! – Nerideen szybko zorientował się, że są bez szans. – Wszyscy w tył!

Sam rzucił się w stronę wejścia, gdzie było trochę luźniej.

– Do mnie! Do mnie! Wycofywać się!

Akurat. Nie pozostał już nikt zdolny do wykonania rozkazu. Luańczyków było więcej, nie byli zaskoczeni tak jak atakujący, zachowywali spokój i komendę. Walka właściwie zamieniła się w likwidację tych, którzy napadli na gospodę.

Chłopak zrozumiał nagle, że tu zginie. Uwiązł między walczącymi ostatkiem sił, nie miał pojęcia, w którą stronę powinien się skierować. Uderzył mieczem w głowę Luańczyka atakującego jednego z jego ludzi i z przerażeniem stwierdził, że na nogach zostało tylko ich dwóch.

– W tył!

Obrońcy karczmy zbliżali się ze wszystkich stron. Nagle w pomieszczeniu powiał jakby mocniej wiatr. To ta dwójka, która miała symulować atak przez drzwi, w końcu otworzyła je, zaciekawiona, czemu po drugiej stronie nagle robi się cicho. Luańczycy zaczęli się odwracać, by stawić czoła nowemu niebezpieczeństwu. I w tym momencie Nerideen popchnął ostatniego ze swoich ludzi w przeciwnym kierunku, zanim do

tamtych dotarło, że przez drzwi wtargnęło jedynie dwóch nowych przeciwników.

Obaj w ostatniej chwili wyskoczyli przez rozwalone okna, lądując z potłuczeniami na bruku. Obaj byli umazani krwią kolegów, ale chyba jako jedyni nie odnieśli ran.

– Gdzie?! – wydyszał najemnik, zrywając się do biegu.

– Do Biafry!

Runęli przed siebie, skręcając w wąską ulicę.

Io, widząc zakrwawionego Nerideena, który biegł wraz z ostatnim ze swoich ludzi, zrozumiała, że ma jedyną w swoim rodzaju szansę, aby uderzyć na przeciwnika w momencie jego triumfu. A ta ulotna chwila, kiedy wszystkie głowy przepełnia jedna myśl: „Wygraliśmy!”, jest najbardziej zwodnicza. Wygraliśmy, a to znaczy, że niebezpieczeństwo jest już za nami. I teraz nikt już na nas nie uderzy. Ha, ha...

Io włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła ostro na swoich ludzi. Podniosła pięść i poruszyła nią parę razy do góry i w dół, co oznaczało „do ataku, za mną”. Żołnierze Troy błyskawicznie opuścili swoje kryjówki i zebrali się przy dowódcy.

Io zasalutowała przebiegającemu obok Nerideenowi palcem do własnej brwi i ruszyła w stronę karczmy na czele oddziału.

Ona ma zielone oczy!

To pierwsza myśl, która przyszła chłopakowi do głowy. Ona ma zielone oczy! Bogowie, jakim cudem nie zauważył tego do tej pory? Był tak zapatrzony, że nawet nie...

Druga myśl była bardziej racjonalna. Skoro Troy atakuje, to jeszcze nie wszystko stracone. Nikt nie wie, jak potoczy się bitwa,

a ten, kto będzie czekał w pobliżu na jej wynik, wiele jeszcze może ugrać!

– Stój, zawracamy!

– Panie, ale Biafra...

– Dowie się od kogoś innego. A my z powrotem!

Io wybrała doskonały moment na przeprowadzenie ataku. Jej ludzie wdarli się do karczmy przez rozwalone wcześniej miejscowymi siłami okna i od razu uderzyli na bandytów Druzusa. Uzyskali efekt zaskoczenia, ale nie to było najważniejsze. Uderzyli na ludzi w momencie ich triumfu, a co za tym idzie rozprzężenia.

– Naciskać! Naprzód! Naprzód!

Io doskonale wiedziała, że ma dosłownie chwilę na opanowanie sytuacji. Na zepchnięcie przeciwnika do głębokiej defensywy. I udało jej się. Żołnierze wykorzystali brak inicjatywy bandytów Druzusa i przyparli ich do ściany, niwelując przewagę liczebną.

– Ciśnij! Ciśnij!

Io podskoczyła do przodu. Miała w głowie wszystkie nauki swojego ojca, że zły to dowódca, który sam pcha się na pierwszą linię. A beznadziejny to taki, który sam wdaje się w walkę i naparza wroga własnymi rękami. Dobra, dobra, a sam jej tatuś to co niby robił, broniąc Syrinx na przedpolu? No ale... z drugiej strony faktycznie mówił, żeby tego nigdy nie powtarzać.

Mniejsza z tym. Dziewczynę porwał wir walki. Szybko oceniła sytuację i doskoczyła do szeregu splątanych w bijatyce ciał. Powinna zwiększyć nacisk na prawe skrzydło szeregu. No i dobrze.

Nie mogła się wepchnąć pomiędzy walczących, więc zza ich pleców, usiłując nie włazić pod ręce, zadała dwa ciosy szpadą. Dwóch przeciwników wyeliminowanych. Zrobiło się luźniej. A jej samej udało się stanąć w poprzek, prostopadle do własnych ludzi, z prawym barkiem osłanianym przez ślepą ścianę.

I mogła zaatakować z boku!

Znajdujący się najbliżej przeciwnik albo jej nie zauważył, albo po prostu zlekceważył dziewczynę, która w dodatku nie trzymała w ręku niczego, co przypominałoby prawdziwy miecz. I to był jego błąd. Nawet początkowo nie poczuł wąskiej, śliskiej klingi, która uderzyła go w bok jak żmija. Poczuł dopiero sztych, dzięki któremu przypominające szpikulec ostrze wbiło mu się pod pachę. Poczuł straszliwy ziąb bijący od stali, a potem rozlewające się gorąco. Przedziwną słabość w nogach i ciemność, która odbierała wzrok.

Kiedy mężczyzna upadł na ziemię, Io postąpiła o krok i usiłując się nie przewrócić, zaatakowała z boku następnego. Jeśli dalej tak pójdzie, zwycięstwo będzie miała w ręku. Była od niego dosłownie o włos.

– Dlaczego tu jest tak cicho?

Brzmienie głosu sprawiło, że Io oderwała się od walczących, aby zerknąć na postać, która pojawiła się w drzwiach.

– Co jest? – Druzus rozglądał się z kpiącym wyrazem twarzy. – Jeden stęka, drugi pierdzi, no przestańcie. To karczma.

Podszedł do drzwi prowadzących do spiżarni i otworzył je na całą szerokość. Prawdopodobnie tam zamknięto właściciela, jego rodzinę, parobków, a także, sądząc z dalszych słów szermierza natchnionego, karczemną orkiestrę.

– Kapela! Wyłazić i grać! – wrzasnął. – Coś rzewnego proszę!

Io spróbowała uporządkować szereg swoich ludzi. Oderwała dwóch najmniej zajętych i ustawiła poprzecznie, prostopadle do pozostałych, by umożliwić zwinięcie oddziału.

Druzus nawet nie spojrzał w jej stronę. Kiedy przerażeni muzycy wygramolili się nareszcie ze spiżarni, rozdygotani ustawili pod najdalszą ze ścian i zaczęli grać trudną do rozpoznania, smętną melodię, podszedł do walczących. Dopiero teraz wyjął miecz i od razu zabił najbliższego żołnierza Troy. Postąpił o krok. Kolejne ciało zwaliło się na podłogę. Jeszcze jeden krok i jeszcze jeden trup.

– W tył! W tył! – krzyczała Io. – Wycofujemy się!

Nie było szans na odwrót. Druzus zabijał jednego za drugim, a ci z jego ludzi, którzy przeżyli walkę, ruszali właśnie do rzezi, ponieważ jej oddział topniał w mgnieniu oka.

– W tył!

Io zdała sobie sprawę, że właściwie nie ma już komu wydawać rozkazu. A ta przedziwna przyzwoitość, która nie pozwoliła jej uciec samej na początku zwrotu sytuacji, sprawiła, że teraz Druzus podskoczył do niej, wyciągając miecz w stronę jej gardła.

Nie było sensu z nim walczyć. Io odwiniętą z nadgarstka chustą otarła ostrze swojej szpady i schowała pod płaszczem.

– Hm – mruknął szermierz natchniony, krzywiąc swoją dość prymitywną twarz. – Najpierw będziemy się kochać, a później cię zabiję. Może tak być?

– A może być w odwrotnej kolejności? – nie straciła rezonu. – Jeśli mnie dotkniesz, kiedy jestem przytomna, to się zrzygam.

– O, jaka pyskata.

Io nie patrzyła na tkwiącą tuż przy jej gardle końcówkę miecza. Doskonale wiedziała, że w takich sytuacjach trzeba bez przerwy utrzymywać kontakt wzrokowy. I przez cały czas mówić.

– Wcale nie pyskuję. Mówię, jak wygląda sytuacja.

– A jak wygląda?

Wyraźnie zaciekawiła Druzusa. Pierwszy cel został osiągnięty.

– Widzisz, kiedy zaczęłam dorastać i wychodzić sama z domu, mama wpadła na genialną jej zdaniem myśl. Kazała wyhaftować mi na tunice napis. To miała być kara za moją niesubordynację, ale napis tak mi się spodobał, że od tamtej pory sama każę szyć takie tuniki. I kiedy idę się bić, zawsze podobną wkładam.

– Co to za napis?

– Umiesz czytać? – zapytała Io, a potem spojrzała w bok i rozchyliła poły płaszcza na całą szerokość.

Druzus najpierw popatrzył na jej piersi ukryte pod cienką tkaniną. Dopiero po chwili mógł się skupić na literach.

„Błogosławiona przez Bogów, rozpieszczona przez ojca… Chroniona przez wszystkich wyżej wymienionych!”

– Ha, ha, ha – zaczął się śmiać. – I sądzisz, że Bogowie zstąpią tutaj, żeby cię obronić?

Io uśmiechnęła się promiennie.

– Na ciebie mój tatuś wystarczy!

W jej głosie było tyle pewności, że Druzus aż drgnął.

– Kto niby...?

– W dzieciństwie mówiłam na niego Vi, ale tak naprawdę na imię ma Virion.

– O kurwa! – wyrwało się szermierzowi.

– Nie. Zarabiam na życie zupełnie inaczej.

Zdawał się jej nie słyszeć.

– To córka Viriona. – Pewne fakty zaczęły mu się układać w głowie i ewidentnie jej wierzył. – Kurwa jebana! Ja pier...

To właśnie chciała osiągnąć. Jego rozproszenie. Podniosła dłonie i zetknęła ze sobą dwa palce wskazujące. A potem zaczęła odsuwać je od siebie. Jej obraz w oczach tych, którzy właśnie patrzyli, rozdwoił się. Potem każda z iluzji znowu podzieliła się na dwa. I znowu.

– Ona coś!... – podniosły się głosy. – Ona! Patrzcie... Czarownica!

Io ugięła nogi i wybijając się z całej siły, skoczyła pod sufit. Chwyciła dłońmi obrzeże jednej z dziur wybitych przez ludzi Druzusa, podciągnęła się i przerzuciła na górę nogi. Kiedy tylko uzyskała oparcie, wstała szybko i uskoczyła w ciemność strychu. Rozglądała się, szukając drogi ucieczki.

– Brać ją! Jazda!

Tylko jak dostać się na sufit? W odwrotną stronę było prosto, a teraz? Ktoś ustawiał ławę na sztorc, opartą jednym końcem o szczyt ściany. Inni ustawiali jeden stół na drugim.

– Szybciej! Nie może nam zwiać!

Nerideen ze swojego stanowiska nie za bardzo słyszał, co dzieje się w środku. Ale otwarte drzwi karczmy pozwalały mu dostrzec kilka szczegółów. Zrozumiał jedno. Ludzi Io wybito tak samo jak jego własnych. A teraz bandyci chcą dorwać ją samą.

– Za mną! – wrzasnął do ostatniego człowieka, który mu został.

– Chyba nie zaatakujemy ich tylko we dwóch?

– Nie! Nie będziemy atakować. – Chłopak biegł w stronę placu, na którym przeładowywano wozy transportowe. – My ich tylko zabijemy!

Najemnik zwolnił zaskoczony.

– Jeździsz konno? – zawołał Nerideen.

Co za kuriozalne pytanie.

– Jeżdżę konno, sram i oddycham. Wszystko potrafię!

– To pakuj się na pierwszego konia z szóstki!

Żołnierz dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie biegną. Tuż pod rampą przeładunkową stał ciężki furgon załadowany beczkami. Do masywnej machiny przyprzęgnięto aż sześć koni pociągowych.

– Co robimy?

– Rozpędzamy się bez zlitowania dla zwierząt.

– Na co?

– Na tę zmurszałą ścianę. Kiedy szarpnę lejcami, ty skierujesz prowadzącego konia w lewo, ja odpinam dyszel, a ty skręcasz zaprzęgiem w ostatniej chwili.

– Zrozumiałem!

– No to jazda!

– Ale ty, kurwa, możesz zginąć!

– No i będzie jednego durnia mniej.

Nerideen wskoczył na kozioł ciężkiego wozu i odwiązał lejce.

– Gdzie jest trzpień mocujący dyszel?! – zawołał do kupca, który widząc, co się dzieje, wybiegł z pobliskiego kantoru.

Kupiec był mądry i doświadczony. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, aby się przekonać, że nie ma do czynienia ani z próbą kradzieży, ani z rabunkiem.

– Co zamierzacie uczynić, panie?!

– Gdzie jest trzpień do mocowania dyszla?!

Ulokowany na koźle Nerideen z lejcami w jednej dłoni, a mieczem w drugiej nie był człowiekiem, z którym należało dyskutować na jakikolwiek temat.

– Tu, panie. – Kupiec palcem pokazał dużą dźwignię tuż obok śrubowego hamulca. – Wystarczy szarpnąć i dyszel odskoczy z zaprzęgiem.

– Hej! – krzyknął chłopak do swojego najemnika, który już siedział na grzbiecie prowadzącego konia. – Wiesz, co masz robić? Jesteś gotowy?

– Nie wiem, kurwa, co mam robić, ale jestem gotowy!

– Dobra...

– Panie! – nie ustawał właściciel furgonu. – Dlaczego zamierzacie zniszczyć wóz, panie? Panie?

Nerideen wstrzymał się na chwilę. Właściwie kupiec zasługiwał na uczciwą odpowiedź. Zerknął więc na niego i powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Bo słońce jest złote, a jej oczy są zielone...

Starszy, doświadczony mężczyzna załamał ręce. Stracił nadzieję na odzyskanie wozu. „Jej oczy są zielone!” – tej siły nie powstrzyma żadna moc z tego świata. Ta siła tworzyła imperia albo je niszczyła. Ta siła przenosiła góry, osuszała oceany, sprawiała, że całe cywilizacje znikały z tego świata. Tu w grę wchodziła kobieta. I miłość. Cóż tam jeden furgon. Należy się z nim po prostu pożegnać.

– Z Bogami więc, młodzieńcze. I powiedz jej nareszcie, że ją kochasz. Nie zwlekaj!

Nerideen odkręcił hamulec. A potem strzelił lejcami, wrzeszcząc na konie. Najemnik na prowadzącym dawał z siebie wszystko. Mimo ciężaru wóz, choć ruszył opornie, to szybko nabierał tempa. Łoskot obitych metalem obręczy kół zaczął zagłuszać wszystkie inne dźwięki oprócz świstu powietrza. Ściana karczmy zbliżała się w niesamowitym tempie. Sześć rumaków z klapkami na oczach pędziło ku samozagładzie. Nic już nie mogło zatrzymać rozpędzonego tarana.

– Teraz!

Nerideen szarpnął lejcami i kopnął dźwignię zwalniania dyszla. Najemnik zmusił prowadzącego konia do zmiany kierunku w ostatniej chwili. Cały zaprzęg skręcił, a chłopak rzucił się na podłogę za kozłem. Pędzący furgon uderzył w ścianę karczmy z taką siłą, że zmurszała drewniana konstrukcja, zdawało się, eksplodowała, rozsypując się już nie na pojedyncze belki, ale bez mała na drzazgi.

Przednia oś wozu uderzyła w podmurówkę, która ją rozsadziła. Dwa koła odpadły, odbiły się od posadzki i uderzyły w sufit głównej sali karczmy. Wóz zarył w kamieniach na fundamencie, a potworna siła uniosła jego tył.

Beczki poleciały do przodu niczym wyrzucone z katapulty. I zmiotły wszystkie prowizoryczne konstrukcje, dzięki którym ludzie Druzusa usiłowali wydostać się na strych.

Drewniany kozioł najpierw wbił się w plecy Nerideena, a potem poddał się z trzaskiem. Ciało chłopaka zsunęło się z resztek wozu wprost pod nogi tych bandytów, którym udało się przeżyć ostrzał z beczek.

Nie wszyscy jednak stracili głowę. Druzus wskazał ludziom cel.

– Brać go i nie zabijać – rozkazał. – On mnie śledził od samego Luan i musi coś wiedzieć.

Dwie pary rąk uniosły Nerideena z podłogi. Ktoś wykręcił mu ramiona, ktoś inny przyłożył nóż do szyi.

Miecz chłopaka leżał tuż pod nogami, na podłodze, teraz poza zasięgiem.

Io nie miała pojęcia, co dzieje się na dole, w głównej sali karczmy. Oczywiście poczuła wstrząs, kiedy wydawało się, że cały budynek nagle kucnął i powstał. Słyszała nieprawdopodobny huk, a potem

łoskot. Kiedy zerknęła w dół, dostrzegła beczki latające w charakterze pocisków. Nic więcej.

Druga taka szansa mogła się już nie powtórzyć. Io chwyciła jedną z belek dachowej więźby i nogami wybiła dziurę w połaci, roztrzaskując stare dachówki. Błyskawicznie wydostała się na zewnątrz. Stara konstrukcja, teraz dodatkowo nadwerężona potężnym wstrząsem, nie była stabilna. Wszystko osuwało się spod jej stóp, krokwie zdawały się uginać, a płatwie trzeszczały niepokojąco. Nie było sensu ryzykować skoku z dachu, nie można w żaden sposób przewidzieć, co przy okazji spadnie jej na głowę, kiedy sama już znajdzie się na dole. No i obecność ludzi Druzusa na parterze.

Io wspięła się więc na kalenicę i ruszyła wzdłuż osi budynku. Stojąc na samym szczycie, ostrożnie stawiała stopy na obu spadkach. Na szczęście do ściany następnego budynku nie miała daleko. Był co prawda wyższy o całe dodatkowe piętro, ale wspinanie się po ścianach, jeśli tylko nie były idealnie gładkie, nie stanowiło dla Io kłopotu. Szybko przedostała się na następny dach. Tu wszystko wydawało się już w znacznie lepszym stanie technicznym. Mogła nawet biec po kalenicy. Z rozpędu przeskoczyła na następny dom, a potem na kolejny. Tu już nie groził jej żaden pościg, ale Io zatrzymała się, dopiero kiedy zobaczyła kuśtykającą ulicą, zakrwawioną Anarchę.

– Hej – krzyknęła. – Zaczekaj tam na mnie.

Zsunęła się po dachówkach na samą krawędź dachu, a potem opuściła się na rękach z jego krawędzi i skoczyła z wysokości drugiego piętra na bruk. Podniosła się i pobiegła bliżej.

– W co dostałaś?

Ruda oficer pokazała zakrwawiony bok. Na szczęście materiał tuniki dało się łatwo rozerwać. Io oczyściła jej brzegiem ranę. Nie wyglądała groźnie. Dużo większym problemem było chyba opuchnięte kolano.

– Straciłam wszystkich ludzi.

– Pewnie cię to nie pocieszy, ale ja też.

– To była pułapka.

– No co ty nie powiesz?

Io, nie bacząc na rosnące zdziwienie koleżanki, szybko wylizała jej ranę.

– Z kolanem musisz iść do medyka. Nie znam się na leczeniu.

– Ale... ale bok już mnie w ogóle nie boli.

– No i nie będzie się jadzić. To nie zasługa moich lekarskich zdolności. To tylko dziwne właściwości mojej śliny.

Anarcha patrzyła na Io z niedowierzaniem. Potem potrząsnęła głową, być może po to, żeby przyspieszyć proces myślowy. Ale jeśli tak, to zabieg się nie powiódł.

– Co robimy? – zapytała.

– Musimy znaleźć nowych ludzi.

– Nie mamy nowych. Przecież poselstwo nie ciągnie ze sobą połowy armii.

– Domyślam się. Musimy więc dogadać się z Biafrą.

– Z wrogiem?

– W tej sprawie niekoniecznie jest wrogiem.

– Ale on też nie ma ludzi do dyspozycji. Straż i wojsko pilnują balu.

Io spojrzała w oczy rudej oficer.

– Ma przecież swój pluton służbowy. Do wyłącznego rozporządzania.

Anarcha skrzywiła się z powątpiewaniem.

– A widziałaś w ogóle te jego ślicznotki?

Druzus rozglądał się z ponurą miną. Mniej więcej ośmiu jego szermierzy nadawało się do walki. Wielu leżało na podłodze pośród innych trupów albo nie mogło się podnieść z powodu ciężkich ran. W planach posła nie był przewidziany żaden medyk. Każdy przecież powinien zadbać sam o siebie. Jęki rannych, którym lecące beczki

potrzaskały kości tak, że te przebiły ciało i sterczały teraz na zewnątrz, nie znajdowały niczyjego odzewu.

Zdrowych i całych ogarniał gniew. Co innego zostać zabitym w walce. Z mieczem w ręku. Wtedy koledzy wspomną przy ognisku, biwakując w lesie, a może nawet imię pojawi się w jakiejś pieśni wywrzaskiwanej w knajpie przy morzu alkoholu, kiedy łzy nawet u mężczyzn tak łatwo pojawiają się w oczach. A przynajmniej była szansa na wspomnienia snute niewyraźnie przez starców bez zębów w przytułkach, wśród takich samych jak oni nędzarzy. O dawnej chwale, odwadze i pogardzie śmierci. O dniach chwały. A tu? Ginąć, będąc przywalonym przez beczkę... I to w dodatku w niewyobrażalnych mękach.

Druzus doskonale wyczuwał nastroje, jakie rodziły się w duszach jego ludzi. Podszedł do Nerideena i teatralnie westchnął.

– Śledziłeś mnie od Luan, karakanie.

Chłopak, który czuł nóż trzymany przy gardle, uznał, że lepiej udzielać odpowiedzi, niż wymownie milczeć.

– To przypadek, że się tam spotkaliśmy.

– Przypadek nie przypadek. To nie ma znaczenia.

– Rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz. Sądzę, że jesteś kimś ważnym, istotnym dla twoich mocodawców. A więc i dla moich zatem.

– Nie mam mocodawców.

– Aha. A napadłeś na moich ludzi, bo ich nie lubisz?

– Nie. Napadłem na was z powodu kobiety.

Druzus machnął ręką.

– Jak mówię, to bez znaczenia. Chciałem cię ofiarować posłowi jako nagrodę specjalną. Żeby pokazać, jak sprawnie potrafimy działać. Ale to już nieaktualne.

– Dlaczego?

– Z powodu moich umierających z twojej ręki kolegów. Myślę, że ich umieranie osłodzą twoje wrzaski bólu, twoje błagania o litość, twoje skomlenie.

Nerideen poczuł drobne igiełki strachu, które powoli, ale coraz mocniej zaczynały paraliżować mu gardło, utrudniając wzięcie następnego oddechu.

Druzus skinął na jednego ze swoich ludzi, wielkiego, barczystego chłopa o sękatych ramionach.

– Tu zaczniesz. – Palcem narysował na głowie chłopca linię ciągnącą się od czoła do samej potylicy. – Zaczniemy ściągać z niego skalp.

Nerideen o mało nie udławił się strachem. Wielkolud wyjął zza paska nóż do skórowania zwierząt. Miał ostrze długości mniej więcej dłoni, był lekko zakrzywiony i wyostrzony jak do golenia.

– He. – Oprawca nachylił się nad chłopakiem. – Zabawne, jakie rzeczy wymyślają ludzie odzierani ze skóry. Przy odsłanianiu głowy sprzedają swój kraj, swojego pana, wszystkie idee. Po dojściu do szyi sprzedają swojego ojca i swoją matkę. Gorliwie sprzedają najbliższych. Kiedy idzie się jeszcze niżej, oferują swoją duszę... A potem już tylko skomlą, żeby dobić, żeby zakończyć męki.

– Ale my nie dobijamy, chłopcze – dodał Druzus. – Przed tobą bardzo długa noc.

Strach dosłownie zamroczył Nerideena. Jak to? Jak to noc? Przecież środek dnia dopiero. Spanikowany umysł popadał w coraz gorsze aberracje.

Wielki mężczyzna dotknął ostrzem czoła Nerideena.

I w tym momencie rozległ się czyjś podszyty wesołością głos.

– Nie baw się ostrymi zabawkami, bo sobie krzywdę zrobisz!

Wszyscy obecni w karczmie, oprócz zestrachanej rodziny gospodarza i przerażonej orkiestry, odwrócili głowy. W drzwiach stał elegancko ubrany barczysty mężczyzna o gładko ogolonej głowie. Miał przy sobie miecz, ale ten tkwił spokojnie przy pasie. Przybysz musiał odwiedzić po drodze jakąś inną karczmę, w jednej dłoni trzymał bowiem drewniany kubek, z którego od czasu do czasu pociągał mały łyk, a w drugiej śledzia, którym zagryzał to, co przełknął.

Przez twarz Druzusa przebiegł cień. Ale on sam nie odzywał się, obserwując rozwój wypadków. Jego szermierze także woleli zachować milczenie. Oprócz tego wielkiego, który z ostrym nożem stał nad Nerideenem.

– Spierdalaj, dziadek. Chyba że chcesz zobaczyć, jak skórujemy tego tutaj.

– A co to za chamskie powitanie?

– Chamski to ja się dopiero zaraz zrobię.

– Nie musisz się robić. Już jesteś.

Virion upił kolejny łyk z kubka i zagryzł śledziem. Rozglądał się, wyraźnie ubawiony stanem, w jakim znajdowało się główne pomieszczenie knajpy. Podziurawiony, rozwalony sufit, rozbity wóz nieudolnie pełniący rolę ściany, która kiedyś pewnie stała w tym miejscu, zdemolowane meble, roztrzaskane beczki, a w tym wszystkim ludzkie ciała. Niektóre jeszcze żywe.

– Co to było? – zapytał wyraźnie zaciekawiony. – Wesele tu urządzaliście?

– Spierdalaj, mówię!

Było coś przedziwnego w tej sytuacji. Zasadniczo bandyci Druzusa każdego intruza pozbyliby się w czasie krótszym niż oddech, ale ci tutaj mogli wiedzieć, kim jest TEN intruz. Jedynie wielkolud z nożem zdawał się nie domyślać. Virion ruszył więc w jego stronę.

– Gdzie, kurwa, leziesz?! Masz problem ze słuchem!?

Specjalista od skórowania chyba nie zauważył braku reakcji swoich kolegów. Albo go zlekceważył.

– Masz problem ze słuchem?

– Wprost przeciwnie, nie mam żadnego – uśmiechnął się Virion. – Ale oczy już nie te, więc podchodzę bliżej.

– Mam stać się naprawdę chamski?! – Wielki mężczyzna w miarę zmniejszania się dystansu zdawał się wręcz nachylać nad intruzem. – Mam stać się naprawdę chamski?! – groził coraz głośniej.

Virion nie odpowiedział. Wychylił resztę zawartości swojego kubka i włożył do ust resztę śledzia. Puste naczynie odrzucił za siebie, ale zrobił się problem z tłustymi od ryby palcami. Nie było ich

w co wytrzeć. Nie udało mu się dostrzec w pobliżu żadnej czystej szmatki. Rozwiązanie tej kwestii było więc tylko jedno.

Virion wytarł palce w tunikę mężczyzny, który stał naprzeciw niego.

Ten przez dłuższą chwilę chyba nie zrozumiał, co się stało. Stał jak sparaliżowany. Potem zrozumiał. Ale po swojemu. Nie przyszło mu do głowy, że jeżeli ktoś odważył się na taki krok, to może lepiej udawać, że nic się nie stało.

Wielki mężczyzna gwałtownie uniósł rękę z nożem i właśnie miał zadać ostateczny cios, kiedy Virion podniósł swoją i zabrał mu nóż. Nie wyrwał, nie zdobył, nie wykręcał w tym celu dłoni tamtego, nie miażdżył palców. Po prostu zabrał.

I wbił w sam czubek głowy przeciwnika.

Wielkolud przez długą chwilę nie rozumiał, co się stało. Usiłował zadawać ciosy pustą ręką, wreszcie jednak pojął, że nie może nią za bardzo władać. Jego oczy uniosły się ku górze i wykonały zbieżnego zeza. Zupełnie jakby ich właściciel chciał zobaczyć rękojeść własnej broni, tkwiącej teraz głęboko w czaszce. Nie udało się. Nie udało się także podnieść ręki, żeby sprawdzić dotykiem.

– Co... co... – szeptał zdziwiony jak dziecko, które nie przewidziało rozwoju sytuacji. – Co ze mną będzie...?

– Będziesz jednorożcem – odparł Virion i odwrócił się do pozostałych przeciwników.

Biafra dzięki swoim informatorom, ale też dzięki szczerej rozmowie z Io wiedział, jak wygląda sytuacja na mieście. Posłał oczywiście swój pluton, choć dokładnie znał skuteczność w walce tworzących go piękności. Siedział więc zgnębiony na przyjęciu, aż królowa, widząc stan syna, przywołała go skinieniem palca.

– Czemu jesteś taki struty? – zapytała szeptem, kiedy odwołana jednym gestem służba oddaliła się o kilka kroków i zamarła

Pobrano ze strony pijafka.pl

pochylona w głębokich ukłonach. – Czyżby jakieś machinacje zakończyły się fiaskiem?

– To nie machinacje, pani. To splot tragicznych okoliczności i ludzkiego świństwa, który doprowadzi Arkach na skraj upadku – odpowiedział również szeptem, zasłaniając usta dłonią. – Albo nawet poza ten skraj.

– Aha. – Pojęła to po swojemu, ponieważ bardzo dobrze znała swoje dziecko. – Czy to oznacza, że Luańczycy okazali się sprytniejsi od ciebie?

Aż prychnął, nagle wściekły, co dało jej pewność, że miała rację. Nie lubiła, kiedy przegrywał. Nie lubiła też, kiedy wygrywał. Z całkowitą pewnością wiedziała bowiem, że Biafra jest nieobliczalny. Przy całej jego inteligencji i wrażliwości absolutnie nikt na całym świecie nie mógł przeniknąć mroków jego umysłu.

– Nie są! – warknął. – Są za to o całe nieba większymi świniami.

– No już, już – usiłowała go uspokoić. – Nie przejmuj się tak strasznie sytuacją królestwa.

– Czy to znaczy, że mam nie płakać nad stosem pogrzebowym?

– To znaczy, że na stos jeszcze grubo za wcześnie. Właśnie dzisiaj ci z Troy już oficjalnie zaproponowali podpisanie ścisłego aliansu wojskowego pomiędzy naszymi państwami. Luan przestraszy się takiej potęgi.

– Pani! Ten alians to kielich napełniony najsłodszym winem na świecie.

– Sam widzisz.

– Ale brzegi pucharu posmarowano trucizną! To nasza zagłada.

– Ciii… Nie podnoś głosu. – Popatrzyła na zgnębionego syna i dodała: – No co tam się dzieje na mieście? – zapytała innym, łagodnym tonem. – Twoi ludzie naprawdę przegrywają z tamtymi?

– Nie tylko moi – westchnął. – Ci z Troy też dostali srodze po tyłku. A w dodatku nikt nie wie, jakie posiłki są jeszcze w gestii posła.

– Nie poznaję cię. Nie masz w rękawie jakiegoś asa?

Biafra podniósł głowę i popatrzył królowej w oczy.

– Mam – szepnął. – Ale to moja ostatnia karta.

Virion stanął kilka kroków przed Druzusem i zapytał:

– No i jak będzie?

– A o co pytasz?

– Oddaj papiery, które trzyma tamten gość. – Palec wskazujący Viriona powędrował w stronę przerażonego do granic możliwości mężczyzny, który siedział w najdalszym kącie sali i przyciskał do siebie torbę z dokumentami. – No i możesz sobie iść. Razem z tymi bandziorami.

– Widzisz... Moje zadanie polega na tym, żeby tę torbę ochraniać do samego końca.

– Do twojego końca czy torby?

– To zależy, co nastąpi szybciej.

Virion przekrzywił głowę.

– My się ze sobą nie pojedynkujemy – powiedział. – Trafia do twojego zakutego łba?

– Trafia, trafia, każdy z nas słyszał, że to bez sensu. Że rozstrzygnięcie będzie wyłącznie kwestią przypadku.

– I?

– I coś mi mówi, że tę starą zasadę można sobie o kant dupy potłuc.

Druzus potrafił zadziwić swojego przeciwnika. W tej chwili pokazał też, że mimo wyrazu twarzy znamionującego prymityw jest wbrew pozorom inteligentnym facetem.

– Mówią, że jeśli spotka się dwóch szermierzy natchnionych, to albo jeden z nich wygra przez czysty przypadek, albo po prostu zginą obaj. Pozabijają się w tym samym momencie.

– Ciekawie zacząłeś.

– Bo widzisz, tylko ślepy nie dostrzega, że jesteś ode mnie starszy. I to nie o rok czy dwa. – Druzus roześmiał się chrapliwie. – W każdym pojedynku ogromną rolę gra skłonność do ryzyka. A ty jesteś stary. I jak każdy stary człowiek boisz się o swoje życie. Nie

położysz go odruchowo na szali. Nie zaryzykujesz instynktownie tak jak młody.

Virion skinął głową z pewnym nawet uznaniem.

– Skłonność do ryzyka działa na twoją korzyść – przyznał. – Ale... nie przyszło ci do głowy, że ja mam dramatycznie większe doświadczenie?

– Masz trochę większe doświadczenie. Ale jak wiesz, walka to instynkt zabójcy, a nie wiedza na temat zabijania. Choćby i praktyczna.

– Owszem. Widzę, że cię nie przekonam.

– Ano nie.

Virion rozejrzał się po twarzach zgromadzonych ludzi. Trochę dłużej zatrzymał wzrok na Nerideenie, któremu jakiś drab wciąż trzymał nóż przy gardle.

– Będziecie świadkami kuriozalnego starcia. Pierwszego takiego w historii.

Druzus potwierdził ruchem głowy.

– Jeden z nas przejdzie dzisiaj do legendy – powiedział.

– Wątpię. Chyba że masz na myśli klechdy o głupcach.

Obaj, jakby na dany przez kogoś niewidzialnego znak, wyjęli miecze. Nawet najmniej doświadczeni zrozumieli nagle, że czas się skończył. Czas rozmów, czas negocjacji, czas wahania. Teraz już było jasne, że jeden z szermierzy zginie, a być może i obaj. Każdy, kto miał choć blade pojęcie o fechtunku, wiedział doskonale, że naprzeciw siebie stanęli ludzie, którzy nigdy nie przegrywają. Ludzie stworzeni do walki. Cóż więc wygra? Młodość i szaleństwo? Czy starość i doświadczenie?

Nie. Każdy, kto miał choć blade pojęcie, wiedział, że tych cech nie da się ze sobą porównywać. Wygra po prostu lepszy albo do grobu złożą dwóch równych.

Druzus zaatakował pierwszy. Ruszył w lewo, pozorując atak z tej strony, aby błyskawicznie zmienić kierunek i stworzyć sobie możliwość do ataku z drugiej. Ponieważ jednak Virion nawet nie drgnął, sam odskoczył, a nawet machnął ręką, jakby chciał

powiedzieć „głupio myślałem”. Dokładnie w tej chwili zrozumiał, że w tym starciu nie będzie szermierki. Dwóch przeciwników nie będzie fechtować. To nie gra składająca się ze zwodów, uderzeń i wycofań. Tu nie będzie finty w fincie ani żadnych innych wyrafinowanych technik. Tu po prostu jeden człowiek zabije drugiego.

Ruszyli nagle, z dwóch stron, dokładnie w tym samym momencie. Ich ciała zderzyły się, żaden z szermierzy nie zaryzykował zadania ciosu, nie chcąc odsłaniać boku. Obaj odskoczyli błyskawicznie. Stało się jasne, że w ten sposób niczego nie rozstrzygną.

No to jeszcze raz. Tym razem ruszyli, trzymając miecze przed sobą. No i teraz się nie zderzyli. Dwa uniki zrobione w tej samej chwili sprawiły, że dwóch przeciwników minęło się w odległości kroku może, a broń nie została użyta.

– To może stańmy na odległość ramienia? – zaproponował Druzus.

– A kto będzie pierwszy, który złamie tę zasadę?

– No fakt.

Obaj mierzyli się wzrokiem.

Virion zrozumiał, że uczestniczy właśnie w czymś, co jest kwintesencją walki. Walki, która nie jest wymianą ciosów. Jest zabijaniem. Właściwie odkąd sięgał pamięcią, wszyscy jego kolejni nauczyciele powtarzali to samo. Nie bij się. Zabij.

No właśnie. Ale jak jedna żmija ma zabić drugą? Gdzie jest ukryta ta istota zatracenia? Może Druzus miał rację? Jemu bardziej zależało. Przypomniał sobie Niki, swoje dzieciaki, cały ten świat, w którym czuł się tak dobrze, a który opuszczał trawiony tęsknotą za spotkaniem przeciwnika stanowiącego dla niego wyzwanie. A najgorsze w tym wszystkim było stwierdzenie, że Druzus tym przeciwnikiem nie był. Stanowił idealną kopię Viriona sprzed kilkudziesięciu lat. Oczywiście trochę inną, inaczej myślącą, objuczoną innym bagażem doświadczeń. Ale to nie było wyzwanie. To było postawienie życia na rzut monetą w grze na targu.

Kto stawia życie na rzut monetą?

I dlaczego Druzus nie jest wyzwaniem?

Na pierwsze pytanie odpowiedź była prosta: nikt o zdrowych zmysłach.

Na drugie pytanie Virion też znalazł odpowiedź. Ale była zwodnicza. Druzus nie był inspirujący. Nie należał do jego świata legend, nie miał pojęcia o honorze, choć kto wie tak naprawdę. Był nijaki. Brakowało mu tej iskry, którą miał Nolaan, Hekke, Lirion czy nawet Rohan. Był jakiś taki... trudny do zapamiętania. Choć na pewno groźny. Cóż to za stwierdzenie. Jeśli człowieka związać i spławić rzeką wpadającą do koryta, którego kresem jest młyn wodny, to zginie. I co z tego wynika? Że młyn jest groźny? No i co z tego? Co wynika z faktu, że młyn pokona człowieka? Zupełnie nic.

I tak samo Virion czuł się w tej chwili. Jakby stał naprzeciw machiny śmierci. Machiny bez uczuć, bez myśli, bez intencji, bez własnej chęci i dążenia.

A przecież tak nie było. Wystarczyło więc dostrzec w Druzusie człowieka. Który przecież ewidentnie miał uczucia, miał myśli, intencje, chęć i dążenie. Jakim człowiekiem był jego przeciwnik? Hm. A co Virion w ogóle o nim wiedział? Przypomniał sobie nieliczne swoje z nim spotkania.

Na pewno Druzus musiał imponować. Musiał mieć akceptację otoczenia. Ludzie musieli go szanować, dawać tego jasny i jednoznaczny wyraz. A to by znaczyło, że ma poczucie niższości. Że ktoś w młodości wyżywał się na nim. Koledzy? Matka? A może ojciec go bił? Ewentualnie ojca w ogóle nie było. Może Druzus pochodził z biednej rodziny? A może przeciwnie, z bogatej. I zazdrośni rówieśnicy urządzili mu z życia piekło, udowadniając, że jest niedojdą, nikim, osobą wśród nich nieakceptowaną?

Zaraz, zaraz, czy on nie przypisuje mu czyichś cech? Własnych? Virion ledwie dostrzegalnie przygryzł wargi. Ten typ osobowości kogoś mu przypominał. I nagle przyszło olśnienie.

Nerideena!

Psiamać! No jasne, że tak. Było wiele punktów wspólnych, z tym że chłopak był dopiero na początku drogi. No i miał dwie siostry, które z jednej strony były uprzykrzeniem, ale z drugiej łagodziły

jego potrzebę akceptacji u innych ludzi. Nerideen jak dziecko miał tę akceptację, choćby u sióstr. Druzus nie miał. Virionowi zrobiło się go trochę żal. Ale też zrozumiał inną rzecz.

Walczyć z szermierzem natchnionym mógł, dopiero kiedy dostrzegł w nim człowieka. Gorzej, człowieka, któremu współczuł.

– Kim była twoja matka? – spytał, nagle sam zaskoczony faktem, że zdobył się na takie pytanie.

Ale... Druzus nie miał nic przeciwko, żeby odpowiedzieć.

– Jestem z rodziny nomadów, całe dzieciństwo na wozach, z miasta do miasta. A matka była tancerką. Żyła z brązowych, które jej rzucano na bruk.

– Aha.

– A twoja?

– Chciała być poetką. Ale różne powinności, jakie miała wtłoczone do głowy, sprawiły, że została zrzędliwą żoną bogatego męża, którego w związku z tym nie było nigdy w domu.

– A, i przelała miłość na ciebie? Taki maminsynek byłeś?

– Tak – przyznał Virion. – Ale nie śmiej się. Już za to zapłaciłem.

– Nie śmieję się. Zresztą to przeszłość. A ja żyję teraz. I też mam do ciebie pytanie.

– Pytaj.

– Czy jesteś absolutnie świadomy faktu, że twoja epoka minęła?

Virion roześmiał się, bo Druzus znowu trafił w punkt. Wcale nie był taki prymitywny, na jakiego wyglądał.

– Już w gimnazjonie paru nauczycieli mówiło, że jestem z jakiejś innej epoki. A w ogóle to tak. Mam świadomość, że należę do starych czasów, tych pięknych, a nie pojebanych jak dziś.

– I tak bez wahania stajesz naprzeciw mnie?

– Bo widzisz... Ty jesteś dzieckiem nowych czasów, a i tak nie potrafisz mnie pokonać.

Druzus westchnął, myśląc nad czymś.

Ludzie wokół wytrzeszczali oczy, nie mogąc uwierzyć, że dwóch ludzi, którzy za chwilę mają się pozabijać, rozmawia ze sobą spokojnie, z zainteresowaniem, szczerze odpowiadając na zadane

pytania. To nikomu nie mieściło się w głowie. Cisza w karczmie była wręcz namacalna. No, może oprócz człowieka z wbitym w czaszkę nożem, który stał ciągle obok i bełkotał coś niezrozumiałego pod nosem, puszczając przy tym bańki ze śliny.

Cisza przeszkadzała Virionowi.

– Hej tam! – krzyknął do struchlej orkiestry pod ścianą. – Grać!

– Coś rzewnego – powiedział Druzus.

– Coś skocznego – powiedział Virion.

– Nie no... Bo się zaraz pozabijamy z powodu różnicy zdań.

Obaj się uśmiechnęli. Druzus miał jaja. A Virion zrozumiał, że właśnie teraz, dopiero kiedy zamiast machiny ujrzał w nim człowieka, może tak naprawdę podjąć z nim walkę. Jednak brakowało mu jeszcze czegoś.

Przypomniał sobie walkę z Legionem Moy na przedpolu Syrinx. Przypomniał sobie ówczesne wahania. Czy można stanąć do walki, którą się przegra? Słowem, które mu wtedy pomogło, było odkupienie. Nawet przegrana walka ma sens. Trzeba podjąć walkę nawet wtedy, kiedy z góry wiemy o swojej przegranej.

A teraz?

A teraz słowem kluczem była... ofiara. Poświęcenie.

Virion zrozumiał nagle, że szaleństwu młodego człowieka zasadniczo nie ma za bardzo czego przeciwstawić. Musi coś poświęcić. I bynajmniej nie była to myśl o Niki ani o swojej rodzinie. Nawet nie o swoim sprzyjającym świecie. Odblokowało go to, że przestał traktować przeciwnika jak młyn wodny do mielenia kości. Dostrzegł w nim człowieka. Poharatanego, smutno doświadczonego, którego rozumiał i którego mógłby polubić. Który nie był winny tego, po jakiej stronie teraz stoi. Ot, przypadek. Jedna i druga strona były równoważne. Ot, młody, ambitny, utalentowany i rokujący. A teraz Virion, jeśli chce wygrać, musi go złożyć w oficerze. Poświęcić na ołtarzu zwycięstwa. Mimo że właśnie teraz było mu żal.

Przerażeni orkiestranci doszli chyba do czegoś w wewnętrznych negocjacjach dotyczących pogodzenia muzyki rzewnej i skocznej

jednocześnie. Zaczęli grać. Ze strachu jednak trzęsły im się ręce i fałszowali okrutnie, co zresztą Virionowi bardzo się podobało.

– No co... zaczynamy?

– Zaczynaj.

Virion musiał zmienić taktykę. Zaatakował klasycznie, od przodu, doskonale wiedząc, że Druzus przyjmie uderzenie na własną klingę, przepuści i będzie chciał przejść do kontruderzenia z przeciwnej strony, które z kolei Virion zablokuje, cofając broń. Wymieniali się uderzeniami jak w zwykłym podręczniku szermierki, tyle że na oko jakieś dziesięć razy szybciej. Obserwatorzy nie nadążali. Dla nich miecze kreśliły w powietrzu świetliste płaszczyzny. Nie sposób było dostrzec szczegółów. Nie sposób zauważyć, kto i co w danej chwili zrobił.

Ten charakter walki to nie było jak z kimś innym – czekanie, aż przeciwnik popełni jakiś błąd. Błędów w tym starciu nie będzie. Jeśli będą tak kontynuować, wygra ten, kto później opadnie z sił. A kto miał ich więcej? Młody? Czy jednak stary, który walczył w takich pojedynkach z tysiąc razy więcej? Nie dało się rozstrzygnąć. Ale najwyraźniej Druzus tracił cierpliwość. Napierał coraz mocniej, co zużywało szybciej jego siły, ale zmuszało przeciwnika do cofania się odrobinę z każdym ciosem.

Niestety. Virion pamiętał sztuczki Hekkego i kiedy wróg naparł jeszcze bardziej, po prostu wbiegł na ścianę, sufit i zeskoczył za plecami Druzusa. Nie przyniosło to rozstrzygnięcia. Druzus upadł na ziemię, rozpłaszczając się jak żaba, i odbił się, wstając w innym miejscu.

– Żebyśmy tylko nie skończyli bijatyki na kominie – wysapał. – Widziałem go, zmurszały.

Walka wysysała siły w zupełnie nieprawdopodobnym tempie. Obaj przeciwnicy mieli wyćwiczony od dawna sposób oddychania, ale też obaj łapali powietrze z coraz większym trudem. Właściwie nie było podziału, nie było różnicy, kto trzymał się lepiej.

Ludzie wytrzeszczali oczy do granic możliwości. Nerideen sam wstrzymał oddech, trzymającym go oprawcom zaczynały drżeć ręce.

Mężczyzna z nożem w głowie chyba coś nucił. Orkiestra rzępoliła niemiłosiernie.

Atak, zastawa, odskok. Kontratak, zastawa, odskok. Zwarcie, cios i przepuszczenie. Nie było żadnych szans na podstawowe zwody. To klasyczna szermierka, która jednak będzie trwać w nieskończoność, jeśli nieskończonością można nazwać chwilę, kiedy przeciwnicy upadną na podłogę z wyczerpania.

Jak zakończy się więc walka? Na noże? Na pięści? Czy obaj, nie mogąc już poruszać rękami, zaczną przegryzać sobie gardła? Nie było szans na błąd przeciwnika. Nie było szans nawet na otarcie potu, który obu zalewał już oczy.

Druzus przy kolejnym cofnięciu nadepnął na szybę, która jakimś cudem przetrwała upadek całego okna podczas szarży ciężkim furgonem. I ten dźwięk poruszył Viriona. Szyba. Lustrzane odbicie! Druzus mógł przecież nie wiedzieć, że on sam równie dobrze włada prawą, jak i lewą ręką. Nie mógł wiedzieć. Ci, którzy poznali ten sekret, już przecież nie żyli. A pozostałym nigdy się tą cechą nie chwalił. Już nauczyciel kaligrafii uświadomił mu kiedyś, że w Luan nikt nie tolerował odmieńców.

Virion cofnął się trochę, a potem, kiedy Druzus również się cofnął, zrobił w tył jeszcze kilka kroków.

– Pozostaje chyba rzucić się na siebie – zaproponował zdyszany.

– No chyba tak. – Tamten również nie miał złudzeń co do rozstrzygnięcia tego starcia. – Z rozbiegu...

Idiotyczny pomysł. Mistrzowie tej klasy zdążą zadać sobie po kilka ciosów, zanim ich ciała się zderzą. W biegu nie ma możliwości robienia zastaw ani przepuszczania. Rozstrzygnięcie w tym przypadku polegało na tym, kto pierwszy umrze od odniesionych ran. Bo to, że obaj je odniosą, było przecież pewne.

– No to? – zapytał Druzus. – Kiedy?

Obaj mieli najwyraźniej doskonały muzyczny słuch, więc Virion wskazał orkiestrę.

– Oni grają powtarzający się motyw. Proponuję ruszyć na ostatni takt.

– Łapię. Dobra.

Stali, oddychając ciężko i mierząc się wzrokiem. Wszystkie myśli poszły precz, nie mając już dostępu do głowy. Ktoś zaraz umrze. Najprawdopodobniej obaj. Ale kontynuowanie walki w poprzednim stylu doprowadzi do tego samego. Tyle że w upokarzającym wyczerpaniu. Mieli rację starzy mistrzowie. Teraz dojdzie do rozstrzygnięcia, tyle tylko, że zadecyduje wyłącznie szczęście.

Albo plan Viriona, o którym starożytni mistrzowie mogli nie wiedzieć.

Muzyka, choć fałszowana przez roztrzęsioną kapelę, miała swój nieubłagany, niezmienny rytm. Każdy człowiek z wrażliwym słuchem wiedział, kiedy nastąpi zapowiadany takt. A jednostką dokładności było tu mgnienie oka. Kiedy więc obaj szermierze zginą? Już zaraz. Trzy... dwa... jeszcze chwila... Już!

Obaj rzucili się biegiem na siebie, od razu pędem. Jakieś dziesięć kroków dystansu nie pozwalało na żadne zwody. Za mało, za szybko, zbyt krótko.

Virion przerzucił miecz do lewej ręki. Obaj zderzyli się na pełnej prędkości, prawa dłoń Druzusa uderzyła z wielką siłą w lewą dłoń Viriona. Jakimś cudem obaj zaplanowali bowiem zadanie tego samego ciosu. Siła uderzenia przewróciła obu przeciwników, a ich miecze, obracając się w powietrzu, poszybowały gdzieś daleko poza zasięg rąk.

Nerideen poczuł, że nadeszła chwila rozstrzygnięcia. Promienie słońca wpadające przez roztrzaskane okna zmieniły barwę na szkarłatną, a orkiestra zaczęła grać wolniej. To właśnie ten moment. Nóż na jego gardle naparł z wielką siłą, a chłopiec wyobraził sobie zielone oczy.

No i już. Kopnął leżący na podłodze własny miecz, posyłając ostrze daleko przed siebie.

Obaj szermierze wstali jednocześnie. Dysząc, patrzyli sobie w oczy, i to z minimalnego dystansu. Co teraz? Gryźć się? Kopać? Żaden z nich nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Po prostu stali i mierzyli się wzrokiem.

Pierwszy oddech odzyskał Virion.

– Wiesz, co nas różni? – zapytał.

– Co? – wydyszał Druzus po chwili.

– Obaj stoimy na nogach. Ale tylko jeden ma broń w ręku.

Virion uniósł miecz Nerideena, który chłopak w ostatniej chwili wkopnął pod upadające ciało.

Druzus miał nieprawdopodobny refleks. Widząc, że zaraz zginie, odskoczył jakimś nadzwyczajnym kocim ruchem i pełnym pędem rzucił się do drzwi. Już z zewnątrz usłyszeli jego głos.

– Zabiję cię! – wrzeszczał. – Resztę życia poświecę, żeby cię zgładzić.

Virion uśmiechnął się radośnie. Całą radością człowieka, który dowiedział się właśnie, że śmierć, która przeszła tuż obok, która wręcz otarła się o niego, była tylko ułudą. Nic nieznaczącym majakiem z nocnego koszmaru.

– Widzicie go – mruknął. – Grozić mi będzie. I to w biały dzień.

Podszedł do mężczyzny skulonego w kącie i zabrał mu torbę z dokumentami. Być może tamten miał jakiś plan, jakąś procedurę zniszczenia papierów, ale był zbyt przerażony, żeby ją zrealizować.

– A ja? – krzyknął Nerideen, ciągle czując ostrze na gardle.

– Już cię nie zabiją. Teraz myślą, jak zwiać.

Jego mistrz jak zwykle miał rację. Wynajęci przez Druzusa bandyci runęli do ucieczki. Wszyscy oprócz oczywiście tego, który wciąż utrzymywał się na nogach mimo wbitego w głowę noża. Chodził teraz powoli w kółko, mamrocząc coś niezrozumiale. Nerideen podniósł się, prostując zdrętwiałe nogi. Pamiętając, że to facet, który chciał go oskórować, kopnął wielkoluda w goleń. Niestety, okazało się, że ranny nie odczuwa bólu. Chłopak zdjął więc znad drzwi dzwoneczek, który oznajmiał gospodarzowi, że ktoś

wszedł do knajpy, i zawiesił na rękojeści tkwiącej w czaszce broni. A niech tak chodzi sobie w kółko i dzwoni. Aż umrze.

– Masz. – Virion podał mu torbę z dokumentami. – Zanieś Biafrze.

– A ty, mistrzu, czemu nagle taki struty?

Biafra podskoczył na widok Nerideena, który powrócił na teren gigantycznej łaźni będącej areną najbardziej oryginalnego balu w historii królestwa. Choć graniczyło to z obrazą, przerwał rozmowę prowadzoną z jakimś zagranicznym oficjelem i bez mała pobiegł w kierunku chłopaka. Zaciągnął Nerideena do niewielkiej salki z fontanną wina na środku. Na szczęście towarzystwo na balu było już pijane w sztok i amatorzy wykwintnych trunków nie przeszkadzali.

– Masz?

– Mam.

– Bogowie...

Biafra chwycił przyniesioną torbę z dokumentami.

– Zabiliście ich wszystkich?

– Generalnie tak.

– Zwycięstwo! Ach! – Syn królowej zreflektował się nagle. – Zaraz... a dlaczego masz taką smętną minę?

– Zerknij na zawartość torby.

Biafra rozerwał sznurki, którymi zabezpieczono zawartość, i sięgnął do wnętrza, wyjmując plik kartek.

Czystych.

– O kurwa mać! – Dyszał ciężko, nie mogąc opanować nagłego drżenia rąk. – Chuj nawet nie wysilił się, żeby stworzyć fałszywki.

– Nie musiał. To tylko przynęta.

– Ale zaraz. Skoro wysłannicy posła nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, skoro poseł nie zostawił ich w pałacu bez straży, to gdzie są te papiery?

Nerideen opuścił głowę.

– Virion powiedział mi, że w takim razie poseł umieścił je w najbezpieczniejszym miejscu w Królestwie Arkach.

– Czyli gdzie?

– A jakie jest najbezpieczniejsze miejsce w królestwie?

– No...? Dalej nie chwytam.

– Virion myśli, że poseł dał dokumenty królowej. Twojej matce.

Biafrę zatkało. Długo patrzył przed siebie nic nierozumiejącym wzrokiem, a potem dotarło do niego, co usłyszał. Poseł nie wręczył papierów władczyni, on je dał na przechowanie.

– Ja pierdolę!

Nerideen wyciągnął rękę w stronę łaziebnego tronu.

– Właśnie rozmawiają – powiedział. – Idź, posłuchaj.

Dwa razy nie musiał powtarzać. Biafra rzucił torbę na podłogę i runął we wskazanym kierunku. Na monarszym balu nie wypadało jednak biec, ani nawet przemieszczać się szybkim krokiem. Obowiązywał rytm spacerowy, kłanianie się wielmożom, oddawanie uśmiechów wielkim damom. Kiedy więc dotarł w pobliże królowej, rozmowa między nią a posłem właściwie się już kończyła.

– Wielka pani – perorował Luańczyk – mógłbym zrzucić winę na służących, ale przecież każdy wie, że doglądam wszystkiego osobiście, nawet drobiazgów. A prezent dla władcy nie jest drobiazgiem. Zatem nie będę zrzucał winy na sługi, na moich ludzi ani pomocników. Prezenty dla ciebie, pani, pakowałem osobiście! To ja jestem idiotą, to ja jestem staruchem, który traci pamięć, to ja jestem winny tej tragicznej pomyłki!

– Ależ, panie pośle! Proszę być dla siebie wyrozumiałym. Przecież nic się nie stało.

– Najłaskawsza pani na świecie, stało się! – Poseł zaprezentował trzymaną w rękach tubę. – Tu jest prezent dla ciebie, pani. Tu są cudownej urody malowane papirusy starożytnej cywilizacji, która dawno już zniknęła w pomroce dziejów. To jedyny skarb, który po nich pozostał, prezent godny władcy wielkiego królestwa. A ja... –

poseł dramatycznie zawiesił głos – podarowałem ci ładnie zapakowane kwity płatnicze mojego poselstwa!

Królowa raczyła się roześmiać.

– Wybacz, panie pośle – długo nie mogła się opanować – ale bardziej zabawna historia jeszcze mi się chyba nie zdarzyła.

– To nie jest zabawna historia, pani. To skandal, żenująca afera i zgorszenie publiczne, którego ja jestem autorem! Na świecie nie ma słów, którymi mógłbym cię przepraszać, pani. A cesarz każe mnie ściąć na forum, uprzednio poddając torturom.

– Ależ nie, nie, panie pośle. Żadnego zgorszenia nie było, a cesarz o niczym się nie dowie. – Królowa skinęła na podręcznych, którzy skoczyli wymienić tuby. Ta właściwa, z kompromitującymi papierami, tkwiła przecież tuż obok, na wystawie darów, które dzisiaj otrzymała królowa.

– Łaskawa pani, łaskawa pani! – powtarzał poseł, podnosząc się z klęczek. – Nie wiem, czym zasłużyłem na tak litościwe potraktowanie.

– To nie łaska, panie, to szacunek.

Biafra podjął ostatnią, krańcowo już desperacką próbę przejęcia papierów będących ukręconym na niego biczem bożym. Kiedy Luańczyk dostał do rąk swoją tubę z rzekomą pomyłką, zapytał jeszcze:

– A czy moglibyśmy zerknąć na te kwity, panie? Tak z ciekawości.

Poseł uśmiechnął się całym sobą i zbliżył twarz do twarzy syna królowej.

– Chciałbyś, panie, dowiedzieć się, ile zarabiam? – zapytał słodkim głosem. – Ja sam ci to powiem. Stanowczo za mało.

No to koniec. Ten buc wyjdzie z przyjęcia przekonany o własnym geniuszu, triumfujący, zwycięski. I chuj. Nic się już nie da zrobić. A historia najmłodszego generała, szefa wywiadu Arkach właśnie dobiega swojego kresu.

Poseł nie zamierzał jeszcze odchodzić. Chyba chciał pokazać, że panuje dosłownie nad wszystkim. Albo przynajmniej wbić szpilę swojemu przeciwnikowi.

– Wielka pani, doszły mnie słuchy, że zaatakowano na ulicach cudzoziemskich gości. Podobno miejscowe męty nie dają im spokoju.

Królowa zmarszczyła brwi i zerknęła na syna.

– Ty odpowiadasz za bezpieczeństwo – powiedziała. – Co się dzieje?

– Rzeczywiście z zagranicy przybyło wielu różnych meneli, chcących pożywić się podczas święta, jakim jest zjazd poselstw. I doszło do awantur z miejscowymi.

– Ale sytuacja jest już opanowana?

– Oczywiście. I to nawet bez naszego udziału. – Tym razem to Biafra zbliżył twarz do twarzy posła i popatrzył mu w oczy. – Po prostu miejscowe męty wybiły cudzoziemskich meneli co do nogi!

Poseł zacisnął zęby. Nie mówiąc już nic więcej, ukłonił się Biafrze, złożył głęboki ukłon przed władczynią i zaczął wycofywać się w przewidzianym przez etykietę rytmie.

Kiedy zostali sami, królowa zerknęła na syna.

– Czemu wyglądasz jak po wypiciu wiadra octu?

– Bo właśnie dokonał się upadek naszego królestwa.

– O? Czyżby?

– Tak, pani.

W głowie Biafry huczało od czarnych myśli. Przed sobą widział tylko śmierć albo wygnanie, które też doprowadzi do śmierci. Widział klęskę, rzezie, mieszkańców Arkach w niewolniczych kajdanach. Widział upadek tradycji, zagładę ich kultury, zapomnienie obyczajów. I na końcu zniszczenie wolności. Najgorsze z możliwych, kiedy ludzie zaczną bać się mówienia tego, co myślą. To koniec.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Żeby Arkach przetrwało… – coś dławiło go w gardle – musiałby zdarzyć się cud.

Notabene Biafra mylił się, mówiąc, że zabito wszystkich cudzoziemskich mistrzów miecza. Druzusowi udało się uciec. Nikt nie wie w jaki sposób, nikt nie wie gdzie.

Gorzej powiodło się wynajętym przez niego szermierzom. Ci, uciekając z rozwalonej przez furgon karczmy, już na placu przeładunkowym natknęli się na rozwijający się w pozycji powstrzymującej służbowy pluton Biafry. Niby nic. Fachowcy tej klasy poradziliby sobie z żołnierzami bez żadnego problemu. Ale zadziałał tu pewien mechanizm psychologiczny.

Mężczyźni z mieczami zatrzymali się, widząc trzydzieści zjawiskowo pięknych dziewczyn stojących w rozkroku z kolbami kusz opartymi o biodra. I to jakoś tak dziwnie połączyło się w ich głowach. Skoro przeciwnik jest tak nieprawdopodobnie piękny, skoro ma tak śliczną broń, to i zabijać musi zjawiskowo.

Na szczęście nie wiedzieli, że rekrutacja do tego akurat plutonu odbywała się według kryterium urody, a nie fachowości. Na szczęście też nie słyszeli cichej uwagi rzuconej przez jedną z żołnierzy do koleżanki:

– Ty, słuchaj. Ta strzała to ma lecieć do przodu tym ostrym czy do przodu piórami?

– Czekaj. Chyba najpierw powinnaś naciągnąć ten sznurek...

Mistrzowie miecza rzucili swoją broń na bruk i podnieśli ręce.

Nerideen z melancholią w sercu obserwował wydłużające się cienie drzew. Słońce w Arkach zachodziło szybko, a willa Biafry położona była w dolinie. Gdzieś niedaleko na wzgórze wyszedł dudziarz i grał na swoim instrumencie góralskie melodie. Tak dla siebie, dla własnej radości, a może i dla poprawy ducha tych, którzy znaleźli się w zasięgu słuchu. Chłopakowi nic nie mogło poprawić humoru. Ani muzyka, ani wlewana do gardła wódka, ani nawet perspektywa, że być może niedługo zobaczy Io. No... to ostatnie trochę poprawiało

samopoczucie. Tylko trochę. Cała reszta malowała się w czarnych barwach.

– Mistrzu – odwrócił się do Viriona – jak to jest? Zwyciężyliśmy, a właściwie to ponieśliśmy klęskę. Pokonaliśmy wrogów, a to oni pokonali nas? Czemu źle się czuję?

– Tak w życiu bywa. Zwyciężysz, a w gardle czujesz gorycz porażki.

– Ale ten gad, mówię o pośle, teraz triumfuje.

– To nie jest tak, że dobrzy zwyciężają, a źli przegrywają. Zresztą... czy my jesteśmy ci dobrzy, to miałbym pewne wątpliwości.

– Ale proszę, nie mieszaj mi w głowie. To ten gnój jest agresorem, to oni zaatakowali niewinne państwo i jeszcze udają wzór moralności, prawdy i racji.

– A co? Mają atakować z okrzykiem: „Lżyjcie nas, myśmy bowiem świnie parszywe!”?

– No nie. Tyle że ja już się gubię. Mam jakieś głupie myśli. Że zwycięstwo zamienia się w klęskę, że dobro to tak naprawdę zło, a zło to piękno wcielone, które triumfuje. Ja... ja już mam wątpliwości, jak odróżnić dobro od zła. Co jest zwycięstwem, a co klęską. Czy nie ma jakiejś wartości, która jest stała?

Nastąpiła długa cisza. Dudziarz na pobliskim wzgórzu grał piękną góralską pieśń o rycerzach śpiących w wąwozach skalistych gór. Wiatr szumiący dotąd w koronach drzew zamierał właśnie.

– Jest.

Nerideen poderwał się ze swojego siedziska.

– Mistrzu, to oświeć mnie. Bo ja nie wiem, co myśleć.

Virion wstał powoli i wyjął miecz. A potem wbił ostrze w wieko drewnianej skrzynki do przechowywania sadzonek. Klinga, jelec i rękojeść rzucały cień na jego twarz.

– Chodź – rozkazał.

A kiedy Nerideen się zbliżył, objął dłońmi ostrze miecza.

– Zrób to samo.

Chłopak zacisnął mocno palce na klindze broni. Starał się zrozumieć, o co chodzi. Ale to była złudna droga. Zamiast rozumieć,

trzeba poczuć. Poddał się więc chwili.

Dwóch mężczyzn razem trzymających miecz wyglądało jak starożytny posąg. Nieruchomy, trwały, stojący jak opoka. Dudziarz na wzgórzu zdawał się grać coraz wolniej. A promienie zachodzącego słońca przybierały barwę szkarłatu. Barwiły klingę na czerwono. Jak krew.

Virion spojrzał na chłopaka.

– Już wiesz?

Koniec tomu pierwszego

Copyright © by Andrzej Ziemiański
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2024

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-992-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski
Robert Łakuta

Ilustracja na okładce
Piotr Cieśliński

Projekt okładki
Szymon Wójciak

Ilustracje
Paweł Zaręba

Redakcja
Karolina Kacprzak

Korekta
Magdalena Byrska

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Sprzedaż internetowa

Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

Wydawnictwo
Fabryka Słów sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

NA TEMAT
VIRIONA
NAPISALI:

Epickie pojedynki, bitwy, liczne intrygi i dworskie konwenanse podkręcają tylko akcję, która jest ostra jak miecz Viriona. Przyjemności trzeba sobie dawkować. Gorzej, jak są uzależniające. Uwielbiam. Po prostu uwielbiam pióro Autora, jego pomysły, humor, kreacje bohaterów, którzy są duszą tej książki.

EWELINA KANIA

Virion jest tak charyzmatyczny i interesujący, że warto poznać każdy etap jego życia. Postać, która powstała jako przeciwnik dla Achai, stała się czymś więcej – wojownikiem, człowiekiem z krwi i kości, do którego wzdychać może niejedna czytelniczka i któremu zazdrościć może niejeden czytelnik. Czas na kolejny rozdział jego historii!

ADRIANNA WARMUZIŃSKA

Ja się cieszę, że polska fantastyka trzyma poziom!

Okoń w Sieci

Zobacz więcej na YouTube

VIRION

LEGENDA MIECZA

TOM I • KREW

– Ani broń, ani sposób,
w jaki ją trzymasz, nie są ważne.
– A co jest ważne?
– Pasja.

Starość nie radość, wiadomo.
Ale jak cię znajdują pod stosem
trupów, bez pamięci, za to
z ogromnym bukłakiem pełnym
wódki, który tulisz do siebie
niczym troskliwa matka
niemowlę, to wiadomy znak,
że żarty się skończyły.
Tak oto rozpoczyna się zupełnie
nowy rozdział w życiu Viriona.

Pamięć: brak.
Umiejętności: ponadprzeciętne.
Cierpliwość: mocno ograniczona.

Dodając do tego trzy pary
oczu wpatrzonych w niego
z uwielbieniem i trzy pary ust
szepcące nabożnie: „Mistrzu,
prowadź!", dostajemy najlepszą
ekipę ze spalonego teatru
i reżysera na skraju załamania
nerwowego. Ale jaka to będzie
piękna katastrofa!